

Emil Zola

LOURDES

DZIEŃ PIERWSZY

I

Kiedy pociąg był już w ruchu, a pielgrzymi i chorzy, stłoczeni na twardych ławkach wagonu trzeciej klasy, kończyli rozpoczęte w chwili wyjazdu z Dworca Orleańskiego *Ave maris stella*, Maria, trawiona gorączką niecierpliwości, na wpół uniósłszy się ze swego nędznego posłania, ujrzała fortyfikacje.

– O, już fortyfikacje! – zawołała wesoło mimo nękających ją cierpień. – Więc jesteśmy już poza Paryżem, nareszcie wyjechaliśmy!

Usadowiony naprzeciwko pan de Guersaint uśmiechnął się widząc radość córki, natomiast ksiądz Piotr Fromerut, który patrzył na Marię z braterską czułością, nie zdołał opanować pełnej niepokoju troski i rzekł:

– Potrwa to aż do jutra rana, w Lourdes będziemy dopiero o trzeciej czterdzieści. Ponad dwadzieścia dwie godziny podróży!

Było wpół do szóstej, słońce właśnie wstało, promienne w przejrzystości ślicznego poranka. Był piątek, 19 sierpnia. Ale już drobne, ciężkie chmurki na horyzoncie zapowiadały groźny dzień burzowego upału. Ukośne promienie wnikały do przedziałów wagonu napełniając je wirującym złotym pyłem.

Maria, którą znów ogarnął niepokój, szepnęła:

– Tak, dwadzieścia dwie godziny. Mój Boże, jak to długo! Ojciec pomógł jej ułożyć się znowu w wąskiej skrzyni, czymś

w rodzaju rynny, w której żyła od lat siedmiu. Kolej zgodziła się w drodze wyjątku zabrać na bagaż dwie pary kółek, które można było zdejmować i zakładać, gdy chorą przewożono. Ściśnięta wśród desek tej ruchomej trumny, zajmowała trzy miejsca na ławce; przez chwilę leżała z zamkniętymi oczyma, z wychudzoną i ziemistą twarzą, która zachowała dziecinną subtelność, choć Maria miała już dwadzieścia trzy lata, twarzą mimo wszystko uroczą, którą okalały cudowne blond włosy, włosy godne królowej, oszczędzone nawet przez chorobę. Ubrana bardzo skromnie w suknię z lekkiej czarnej wełny, na szyi miała zawieszoną kartę świadczącą o przynależności do szpitala, z wypisanym nazwiskiem i numerem porządkowym. Ona sama

zażądała tego upokorzenia, nie chcąc też narażać na wydatki rodziny, która cierpiała coraz większy niedostatek. Dlatego właśnie znalazła się dziś tutaj, w trzeciej klasie, w białym pociągu, pociągu dla ciężko chorych, najbardziej cierpiącym z czternastu pociągów, które owego dnia zmierzały do Lourdes, w pociągu, gdzie prócz pięciuset zdrowych pielgrzymów tłoczyło się blisko trzystu nieszczęśników, wyczerpanych, skręcanych bólem, unoszonych całą siłą pary z jednego krańca Francji na drugi.

Niezadowolony, że ją zasmucił, Piotr wciąż patrzył na Marię, z wyrazem braterskiego rozrzewnienia. Skończył właśnie trzydziestkę, był blady, szczupły, o wysokim czole. Najpierw troskliwie obmyślił każdy najdrobniejszy szczegół podróży, a później postanowił, że będzie towarzyszył chorej, i w tym celu postarał się, aby go przyjęto do pomocniczego personelu Schroniska Matki Boskiej Wybawicielki, i teraz nosił na sutannie czerwony, krzyż obrzeżony pomarańczową wypustką, jak wszyscy pielęgniarze. Pan de Guersaint miał natomiast przypięty do szarej, sukiennej maszynarki mały szkarłatny krzyż pielgrzymi. Wydawał się zachwycony podróżą, cały przemieniony we wzrok, i nie mógł utrzymać w spokoju swojej głowy łagodnego i roztargnionego ptaka; wyglądał młodo, mimo iż przekroczył już pięćdziesiątkę.

Ale w sąsiednim przedziale, mimo gwałtownych wstrząsów, na które uskarżała się Maria, podniosła się z miejsca siostra Hiacynta. Zauważyła, że dziewczyna leży w pełnym słońcu.

– Księżo, proszę łaskawie opuścić storę... No, no, musimy się tu jakoś urządzić i zagospodarować.

W czarnym habicie siostr od Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, od którego wesoło odbijał biały kornet, biały barbet i obszerny biały fartuch, siostra Hiacynta uśmiechała się, pełna energii i ruchliwości. Młodość rozkwitała na jej drobnych świeżych ustach, w głębi pięknych niebieskich oczu o zawsze tkliwym wyrazie. Nie była właściwie ładna, ale urocza, subtelna, smukła, z chłopięcą piersią pod karczkiem fartucha, jak miły chłopak o śnieżnobiałej cerze, tryskający zdrowiem, wesołością i niewinnością.

– Ależ to słońce daje się nam we znaki! Bardzo proszę, niech pani też zapuści swoją storę.

Siedząca w kącie obok zakonnicy pani de Jonquiere trzymała jeszcze małą torbę podróżną na kolanach. Pomału opuściła storę. Ciemnowłosa i tęga, była wciąż jeszcze ładna, mimo że miała dwudziestoczteroletnią córkę, Rajmundę, której z uwagi na konwenanse kazała wsiąść z dwoma paniami pielęgniarzkami, panią Desagneaux i panią Volmar, do wagonu pierwszej klasy. Ona sama, jako kierowniczką jednej z sal. Szpitala Matki Boskiej Bolesnej w Lourdes, nie rozstawała się ze swoimi chorymi, a na drzwiach przedziału od strony zewnętrznej chybotwała urzędowa wywieszka z wypisanymi pod jej nazwiskiem imionami towarzyszących jej dwóch siostr od Wniebowzięcia. Odkąd zrujnowany majątkowo mąż zostawił ją wdową, żyła skromnie wraz z córką w oficynie przy ulicy Vaneau z renty wynoszącej cztery czy pięć tysięcy franków i uprawiała nieograniczone miłosierdzie, oddając cały wolny czas pracy w Schronisku – Matki

Boskiej Wybawicielki, którego czerwony krzyż również nosiła na jasnobrażowej popelinowej sukni i którego była jedną z najczynniejszych członkiń. Z usposobienia trochę dumna, lubiąca pochlebstwa i atmosferę sympatii, wydawała się szczęśliwa z tej dorocznej podróży, w którą wkładała namiętność i serce.

– Ma siostra słuszność, zaraz tu wszystko urządzimy. Doprawdy nie wiem, dlaczego męcę się z tą torbą.

I wsunęła ją obok siebie, pod ławkę.

– Proszę uważać – mówiła dalej siostra Hiacynta – ma pani tuż przy nogach dzbanek z wodą. Zawadza pani.

– Ależ nie, zapewniam siostrę. Niech tak zostanie. Gdzieś go trzeba było postawić.

Tak więc, zgodnie z zapowiedzią, obie gospodarowały, aby przeżyć w wagonie wraz ze swoimi chorymi możliwie najwygodniej cały jeden dzień i jedną noc. Żałowały, że nie mogły zabrać do swego przedziału Marii, która chciała mieć przy sobie Piotra i ojca; ale ponad niską przegrodą można się było do woli porozumiewać i utrzymywać stały kontakt. A zresztą cały wagon, zawierający pięć dziesięcioosobowych przedziałów, tworzył jedno duże pomieszczenie, jak gdyby ruchomą wspólną salę, którą ogarniało się jednym spojrzeniem. Była to, wśród nagich żółtych boazerii przegródek, pod lakierowaną na biało wykładziną sufitów, prawdziwa sala szpitalna, z nieporządkiem i beżładem naprędce zorganizowanego ambulansu. Na wół wsunięte pod ławki stały wszędzie nocne naczynia, miski, miotły, gąbki. Ponieważ w tym pociągu nie przyjmowano nic ‘na bagaż, wszędzie po trosze piętrzyły się paczki, walizy, skrzynki z jasnego drzewa, pudła na kapelusze, torby, żaloszny stos rzeczy nędznych, zniszczonych, powiązanych sznurkami; podobny tłok panował powyżej: odzież, paczki, koszyki wiszące na mosiężnych wieszakach kołysały się bez ustanku. Wśród tej rupieciarni dużo miejsca zajmowali na swoich wąskich materacach ciężko chorzy, kołysani, podrzucani dudniącymi wstrząsami kół pociągu, ci zaś, którzy mogli utrzymać się w pozycji siedzącej, jechali z twarzami wybladłymi, wsparci plecami o ścianę, z poduszkami pod głową. Wedle regulaminu, w każdym przedziale powinna była jechać jedna z pań pielęgniarek. Na przeciwnym końcu siedziała druga zakonnica od Wniebo wzięcia Najświętszej Marii Panny, siostra Klara od Aniołów. Zdrowi pielgrzymi wstawali, pożywiali się już i pili. W głębi wagonu jeden przedział zajmowały wyłącznie kobiety, dziesięć ciasno stłoczonych pątniczek, jedne młode, drugie stare, ale wszystkie jednakowo brzydkie brzydota żaloszna i smutna. A ponieważ w obawie o znajdujących się tam również suchotników nikt nie śmiał otworzyć okien, robiło się upalnie i rozchodziła się nieznośna woń, która wyłaniała się jakby ze zgrzytu kół pociągu pędzącego z całą szybkością.

W Juvisy odmówiono wspólnie różaniec. Biła właśnie godzina szósta, pociąg szybko jak burza przemknął przez dworzec w Brètigny, gdy siostra Hiacynta podniosła się z miejsca. Ona kierowała wszystkimi pobożnymi ćwiczeniami, których program, podany w małej niebiesko

oprawnej książeczce, większość pielgrzymów gorliwie wypełniała. – *Anioł Pański*, moje dziatki! – rzekła uśmiechając się z macierzyńskim wyrazem twarzy, któremu jej dziewczęcość nadawała tyle uroku i słodyczy.

Znów popłynęły *Ave*. A gdy ukończono modlitwę, Piotr i Maria zwrócili uwagę na dwie kobiety usadowione w dwu przeciwległych kątach ich przedziału. Jedna, ta, która siedziała przy stopach Marii, drobna, przedwcześnie zwiędła blondynka, wyglądała na mieszczańkę i miała ze trzydzieści parę lat. W ciemnej sukni, z wypelzłymi włosami, twarzą długą i bolesną, wyrażającą bezgraniczną rezygnację i niezmierny smutek, starała się nie rzucać ludziom w oczy i zabierać jak najmniej miejsca. Druga, siedząca naprzeciwko niej, na tej ławce co Piotr, robotnica w tym samym wieku, w czarnym kapeluszu, z twarzą zniszczoną przez nędzę i troski, trzymała na kolanach dziewczynkę siedmioletnią, tak wątłą i wychudzoną, że wyglądała zaledwie na cztery lata. Miała wąski nos, sine, zamknięte powieki w woskowej twarzy i nic nie mówiła; wydawała tylko cichą skargę, łagodny jęk, który za każdym razem na nowo rozdzierał serce pochylonej nad dzieckiem matki.

– Może zjadłaby trochę winogron? – zaproponowała nieśmiało milcząca dotąd pani. – Mam w koszyku...

– Dziękuję pani – odrzekła robotnica. – Pije tylko mleko, ale i to... Pamiętałam, żeby zabrać z sobą butelkę.

I dając folgę chęci zwierzeń, jaką odczuwają ludzie nieszczęśliwi, opowiedziała swoje dzieje. Nazwisko jej brzmiało Vincent, mąż jej, który był poźłotnikiem, umarł na suchoty. Została sama z ukochaną małą Różą, siedziała dniem i nocą przy maszynie do szycia, aby ją wychować. Ale przyszła choroba. Od czternastu miesięcy tak nosiła ją na rękach, a dziecko coraz bardziej cierpiało, chudło i marniało. Pewnego dnia ona, która nigdy nie bywała na mszy, gnana rozpaczą weszła do kościoła i błagała o uzdrowienie córki; i tam usłyszała głos mówiący jej, aby zawiozła dziewczynkę do Lourdes, gdzie Najświętsza Panna zlituje się nad nią. Nie mając żadnych znajomości, nie wiedząc nawet, jak organizuje się podobne pielgrzymki, żyła jedną tylko myślą: pracować; zaoszczędziła trochę pieniędzy na podróż, kupiła bilet i z pozostałymi trzy – dziestoma su wyjechała, zabierając jedynie butelkę mleka dla małej, nie myśląc już nawet o tym, aby kupić dla niej kawałek chleba.

– Co jest temu drogiemu maleństwu? – spytała znowu pani.

– Ach, proszą pani, to na pewno wzdęcia... Ale doktorzy mają te swoje nazwy... Z początku lekko chorowała na brzusek. Potem przyszły te wzdęcia i bolało ją tak, że com na nią spojrziała, to na płacz mi się zbierało. Teraz brzuch skłęśł, tylko że jej już jakby nie było, nóżki jak patyczki, zmarniała zupełnie i bez ustanku się poci...

Ponieważ Róża jęknęła i otworzyła oczy, matka pochyliła się nad nią, niespokojna i blada. – Mój skarbie, mój klejnocie, co ci jest?... Chcesz się napić?

Ale dziewczynka tylko na chwilę ukazała nieprzytomne oczy mętnej niebieskiej barwy i zaraz znów je zamknęła; nie powiedziawszy ani słowa, zapadła w swoją nicość, bardzo blada w białej sukience, która była najwyższą kokieterią ze strony matki; pani Vincent zdobyła się na ten nieużyteczny wydatek w nadziei, że Najświętsza Panna okaże więcej względów małej chorej, gdy będzie ładnie ubrana i cała w bieli.

Po chwili milczenia pani Vincent mówiła dalej:

– A pani dla siebie samej jedzie do Lourdes?... Zaraz widać, że pani chora.

Ale tamta, spłoszona, jakby ktoś uraził ją w bolesne miejsce, cofnęła się do swojego kąta szepcząc:

– Nie, nie jestem chora... Oby Bóg dał, żebym była chora! Mniej bym cierpiała.

Nazywała się pani Maze, miała w sercu ból nieuleczalny. Wyszła za męża z miłości za dorodnego młodego hulakę o kwitnących wargach, który porzucił ją po roku „miodowego miesiąca” Stale w podróży jako agent handlowy w branży jubilerskiej, sporo zarabiający, znikał przeważnie na pół roku i zdradzał żonę na terenie całej Francji, a nawet zabierał z sobą w drogę jakieś kreatury. Ona zaś, ubóstwiając go, cierpiała tak okrutnie, że zaczęła szukać pociechy w religii. Wreszcie postanowiła pojechać do Lourdes i błagać Najświętszą Pannę, aby nawróciła jej męża i oddała go jej z powrotem.

Pani Vincent, nie bardzo rozumiejąc jej słowa, wyczuła w nich jednak wielkie cierpienie moralne i obie dalej przyglądały się sobie: porzucona kobieta, ginąca przez swą namiętność, i matka, która umierała patrząc, jak umiera jej dziecko. Piotr i Maria przysłuchiwali się. Piotr wmieszał się do rozmowy, wyraził zdziwienie, że robotnica nie oddała chorej córeczki do szpitala. Stowarzyszenie Matki Boskiej Wybawicielki, założone po wojnie przez ojców augustynów od WnieboWzięcia, postawiło sobie za cel pracę nad zbawieniem Francji i obronę Kościoła poprzez wspólne modlitwy i pełnienie dzieł miłosierdzia; ten zakon właśnie dał początek wielkim pielgrzymkom, a przede wszystkim stworzył i od dwudziestu lat nieustannie, na coraz większą skalę organizował pielgrzymkę narodową, która corocznie pod koniec sierpnia udawała się do Lourdes. I tak z wolna udoskonalała się racjonalna organizacja, całego świata napływały datki, w każdej parafii werbowano chorych, zawierano umowy z towarzystwami kolei żelaznych, nie mówiąc już o czynnej pomocy siostrzyczek od Wniebowzięcia i o utworzeniu Schroniska Matki Boskiej Wybawicielki, które, zrzeszało w sobie wszelką ofiarność i gdzie mężczyźni i kobiety, przeważnie z najlepszego towarzystwa, pod rozkazami przewodników pielgrzymek, pielęgnowali chorych, przewozili Ich, zapewniali im należyłą opiekę. Chorzy winni byli wnieść pisemne podanie, aby uzyskać przyjęcie do Schroniska, co zwalniało ich od wszelkich kosztów związanych z podróżą i pobytem w Lourdes; zabierano ich z domów i tam ich później odstawiano, ich rzeczą było jedynie wziąć z sobą trochę żywności na drogę. Co prawda, najczęściej chorych polecali księża lub osoby miłosierne, które przeprowadzały wywiady,

wciągały dane do ksiąg, starały się o potrzebne dowody osobiste i zaświadczenia lekarskie. Później chorzy nie troszczyli się już o nic, byli *tylko* smutnymi ciałami wydanyymi na cierpienie i cuda, we władzy braterskich i siostrzanych rąk pielęgniarzy i pielęgniarek.

– Ale – wyjaśniał Piotr – mogła pani po prostu zwrócić się do proboszcza swojej parafii. Ta biedna dziewczynka zasługuje na wszelkie względy. Przyjęto by ją natychmiast.

– Nie wiedziałam o tym, proszę księdza.

– Więc jak pani postąpiła? – Poszłam, proszę księdza, po bilet do biura, które wskazała mi jedna sąsiadka, co czytuje gazety.

Miała na myśli bilety po cenach znacznie zniżonych, rozdawane pielgrzymom, którzy nie mogli zapłacić. Maria, słuchając tego, uczuła wielką litość, a także pewien wstyd: ona, nie tak zupełnie uboga, postarała się, aby ją przyjęto do szpitala dzięki pośrednictwu Piotra, gdy tymczasem ta matka i to smutne dziecko wydały swoje biedne oszczędności i zostały już bez grosza.

W tej chwili gwałtowniejszy wstrząs pociągu wyrwał jej okrzyk bólu.

– Ojczy, proszę cię, podnieś mnie trochę. Nie mogę już dłużej leżeć na plecach.

Gdy pan de Guersaint posadził ją, głęboko westchnęła. Za ledwie minęli Étampes, odległe o półtorej godziny od Paryża, a już w coraz mocniejszym słońcu, wśród kurzu i pyłu zaczęli odczuwać znużenie. Pani de Jonquièrre wstała, aby poprzez przegrodę' dodać biednej dziewczynie trochę otuchy, zaś siostra Hiacynta znowu podniosła się, wesoło zaklaskała w ręce, aby wszyscy z jednego końca wagonu na drugi usłyszeli ją i wykonali polecenie.

– No, bardzo proszę, nie myślmy już o tym, co nas boli. Pomódlmy się i zaśpiewajmy, a Najświętsza Panna będzie z nami.

I pierwsza zaczęła odmawiać różaniec, jak to nakazała Matka Boska z Lourdes, a wszyscy chorzy i pielgrzymi poszli za jej przykładem. Była to pierwsza część różańca, pięć tajemnic radosnych: Zwiastowanie, Nawiedzenie, Narodzenie, Ofiarowanie i Odnalezienie Jezusa w świątyni. Następnie wszyscy zaintonowali hymn: *Wychwalajmy aniołów, wiernych stróżów ludzi*. Głosy ginęły w turkocie kół, słyhać było tylko głuchy pomruk tej gromady duszącej się we wnętrzu zamkniętego, bez przerwy toczącego się wagonu.

Pan de Guersaint, chociaż praktykujący, jak zwykle nie mógł dobrać do końca pieśni nabożnej; to wstawał, to siadał. Wreszcie oparł się łokciami o przegrodę i zaczął półgłosem rozmawiać z chorym siedzącym pod tą samą ścianką w sąsiednim przedziale. Pan Sabatier był to człowiek lat około pięćdziesięciu, krępy; o dużej głowie i pocziwej twarzy, zupełnie łysy. Od piętnastu lat dotknięty był ataksją i chociaż cierpiał tylko czasami, nogi miał sparaliżowane, zupełnie bezwładne; kiedy, podobne do dwóch sztab ołowiu, zbyt mu już ciążyły, żona, która mu towarzyszyła, przesuwała mu je niby martwe przedmioty. – Tak, proszę pana, jak mnie pan tu widzi, jestem byłym nauczycielem liceum Karola Wielkiego. Z początku myślałem, że mam

zwykłą rwę kulszową. Potem zaczęły się ostre bóle, wie pan, jakby mnie kto ciął po wszystkich mięśniach ognistym mieczem. Przez dziesięć lat, stopniowo ogarnęło to mnie całego, radziłem się mnóstwa lekarzy, jeździłem do wszystkich możliwych uzdrowisk; teraz cierpię mniej; ale nie mogę się ruszyć z fotela... I wówczas mnie, który byłem niewierzący, zaprowadziła do Boga myśl, że jestem istotą zbyt nieszczęsną, aby Matka Boża z Lourdes nie ulitowała się nade mną. Piotr, zainteresowany, również oparł się na łokciach i słuchał.

– Prawda, księżę, że cierpienie najskuteczniej pobudza duszę ludzką? Oto już po raz siódmy jadę do Lourdes, ale nie zwątpiłem, że zostanę uzdrowiony. Jestem pewien, że w tym roku Najświętsza Panna okaże mi swoje miłosierdzie. Tak, spodziewam się, że jeszcze będę chodził, i teraz żyję już tylko tą nadzieją.

Pan Sabatier przerwał, chciał, aby żona przesunęła mu nogi trochę więcej w lewo, a Piotr przyglądał mu się i dziwił się znajdując taką upartą wiarę u intelektualisty, jednego z tych ludzi z wyższym wykształceniem, zazwyczaj nastrojonych tak wolteriańsko. W jaki sposób myśl o cudzie mogła była zakiełkować i wyrósć w tym mózgu? Jak sam mówił, tylko wielkie cierpienie mogło tłumaczyć tę potrzebę, to kwitnienie iluzji, wieczystej pocieszycielki.

– I widzi pan, moja żona i ja ubrani jesteśmy jak biedacy, bo w tym roku chciałem być tylko biedakiem, przez pokorę dałem się zapisać do Schroniska, aby w oczach Najświętszej Panny być tylko jednym z nieszczęśliwych, jednym z jej dzieci... Tyle że nie chcąc zabierać miejsca jakiemuś prawdziwemu biedakowi, wpłaciłem Schronisku pięćdziesiąt franków, dzięki czemu, jak panom zapewne wiadomo, mam w tej pielgrzymce swojego chorego... Ja nawet znam mego chorego. Przedstawiono mi go właśnie na dworcu. Jest to gruźlik, jak sędzę, i wydał mi się bardzo słaby, bardzo kiepski... – Znowu zamilkł na chwilę. – Oby Najświętsza Panna, ona, która może wszystko, jego również ocaliła, a byłbym szczęśliwy, bardzo szczęśliwy!

Trzej mężczyźni rozmawiali dalej tworząc osobną grupę; mówili najpierw o medycynie, a potem przeszli na architekturę romańską, zauważywszy na wzgórzu dzwonnice, na której widok wszyscy pielgrzymi uczynili znak krzyża świętego. W tym biednym cierpiącym świecie, wśród tych prostych ludzi, otepiałych z nędzy, młody ksiądz i jego dwaj towarzysze zapomnieli o wszystkim, znów posłuszni nawykowi swoich starannie wykształconych umysłów. Upłynęła godzina, odśpiewano jeszcze dwa hymny, pociąg minął stację Tournay i Aubrais, a oni dopiero w Beaugency przerwali rozmowę, na głos siostry Hiacynty, która zaklaskała w ręce i sama zaczęła młodym i dźwięcznym głosem: *Parce, Domine, parce populo tuo...*

Śpiew znowu się rozległ, wszystkie głosy zjednoczyły się i wraz z falą nieustannie odradzających się modlitw, kojącą cierpienie i ożywiającą nadzieję, wszystkie udręczone istnienia z wolna wzlatywały ku niebiosom, ogarnięte nieodpartym pragnieniem łask i uzdrowień, po które trzeba było jechać tak daleko.

Gdy Piotr wrócił na miejsce, zobaczył, że Maria jest bardzo blada i oczy ma zamknięte; po

bolesnym skurczu jej twarzy poznał, że nie śpi.

– Czy cię teraz bardziej boli?

– Och, tak, strasznie. Me wytrzymam. Te ciągłe wstrząsy... Jęknęła, otworzyła oczy. Siedziała na posłaniu wpółomdląca

i patrzyła na innych chorych. Właśnie w sąsiednim przedziale, naprzeciwko pana Sabatier, podniosła się leżąca dotąd nieruchomo jak trup Grivotte. Była to wysoka dziewczyna lat przeszło trzydziestu, niezgrabna, dziwaczna, z okrągłą zniszczoną twarzą, która dzięki krętym włosom i płomiennym oczom wydawała się niemal ładna. Miała suchoty w ostatnim stadium.

– No i jak się pani czuje?– zwróciła się do Marii swoim chrapliwym, niewyraźnym głosem.– Dobrze by było przespać się choć trochę. Ale niepodobna, te wszystkie koła obracają się nam w głowach.

Mimo że mówienie ją męczyło, uparcie mówiła o sobie wdając się w szczegóły. Była tapicerką, długi czas z jedną ze swoich ciotek robiła materace, od podwórka do podwórka, w Bercy; i właśnie ta gręplowana przez nią w młodości, zapowietrzona wełna stała się źródłem jej choroby. Od pięciu lat zwędrowała wszystkie szpitale paryskie, toteż poufale mówiła o słynnych lekarzach. Siostry z Lariboisière widząc, że namiętnie lubi ceremonie religijne, nawróciły ją w końcu i przekonały, że Najświętsza Panna oczekuje jej w Lourdes, aby ją uleczyć.

– Ma się rozumieć, jest mi to potrzebne, bo oni mówią, że jedno moje płuco jest stracone, a drugie niewiele więcej warte. Kawerny, rozumie pani. Z początku bolało mnie tylko między łopatkami i plułam taką pianą... Potem schudłam, że litość brała. Teraz wciąż jestem spocona, kaszlę, że mało mi serce nie wyskoczy, nie mogę odpluwać, takie to gęste... I widzi pani, trudno mi ustać na nogach, trudno jeść... – Chwyciła ją duszność; posiniała. – Ale mimo wszystko wolę być we własnej skórze niż w skórze tego zakonnika, który jedzie w przedziale za panią. Ma to samo co ja, ale jest w znacznie gorszym stanie.

Myliła się. Wprawdzie po drugiej stronie przegrody, przy której umieszczono Marię, leżał na materacu młody misjonarz, brat Izydor, którego nie było widać, gdyż nie mógł nawet poruszyć palcem, nie był to jednak suchotnik; umierał na zapalenie wątroby, którego nabawił się w Senegal. Bardzo wysoki, bardzo chudy, twarz miał żółtą, wyschłą i martwą, jak pergamin. Wrzód, który powstał w wątrobie, przebił się w końcu na zewnątrz i ropienie wyniszczało chorego powodując nieustanne gorączkowe dreszcze, wymioty i majaczenia. Żyły już tylko jego oczy, oczy pełne niewygasłej miłości, a płomień ich rozświecał tę twarz umierającego na krzyżu Chrystusa, pospolitą chłopską twarz, którą wiara i namiętna pasja czyniły chwilami wzniosłą. Był Bretończykiem, najmłodszym, wątłym dzieckiem zbyt licznej rodziny, i gdzieś tam kiedyś zostawił odrobinę ziemi starszemu rodzeństwu. Jedna z siostr, Marta, młodsza od niego o dwa lata, dotąd przebywająca na służbie w Paryżu, jechała teraz z nim, tak ofiarna w swej nicości „dziewczyny do wszystkiego, że porzuciła miejsce, aby mu towarzyszyć, i zjadała swoje skromne

oszczędności.

– Stałam jeszcze przed wagonem, na dworcu, gdy załadowano go do wagonu – mówiła dalej Grivotte. – Czterech ludzi go niosło.

re po_Ale nie zdołała powiedzieć nic więcej, wstrząsnął nią atak kaszlu i rzucił na ławeczkę. Dusił się, różowe jej policzki posiniały... Natychmiast siostra Hiacynta uniosła jej głowę i wytarła usta kawałkiem płótna, na którym ukazały się czerwone plamy. Jednocześnie pani de Jonquièspieszyła z pomocą chorej, siedzącej naprzeciwko. Nazywała się pani Vetu, była żoną skromnego zegarmistrza z dzielnicy Mouffetard, który nie mógł zamknąć pracowni i towarzyszyć jej do Lourdes. Zgłosiła się więc do szpitala, aby zapewnić sobie opiekę. Strach przed śmiercią sprowadził ją do kościoła, gdzie noga jej nie powstała od dnia pierwszej komunii. Wiedziała, że jest skazana, że pożera ją rak żołądka; miała już tę groźną i żółtą maskę ludzi chorych na raka, a wymioty jej były czarne, jak gdyby zwracała sadzę. Od początku podróży nie przemówiła jeszcze ani słowa, siedziała z zaciśniętymi ustami, cierpiąc okropnie. Potem chwyciły ją wymioty i straciła przytomność. Gdy otworzyła usta, biła z nich wstrętna woń, istne morowe powietrze, od którego dostawało się mdłości.

– To nie do wytrzymania – szepnęła pani de Jonquière czując się bliska omdlenia – trzeba tu wpuścić trochę powietrza.

Siostra Hiacynta kończyła układać Grivotte na poduszkach.

– Oczywiście, otworzymy na parę minut, ale nie z tej strony, bałabym się nowego ataku kaszlu... Proszę otworzyć ze swojej strony!

Upał wciąż się wzmagał, wszyscy dusili się w tej ciężkiej i mdlącej atmosferze, toteż wielką ulgę przyniosła im odrobina świeżego powietrza. Teraz trzeba było wykonać różne prace, całe sprzątanie; zakonnica uwijała się z nocnikami i basenami, których zawartość wyrzucała przez okno, a tymczasem pani pielęgniarka gąbką wycierała drgającą od mocnych wstrząsów podłogę. Trzeba było wszystko doprowadzić do porządku. Potem wyłonił się nowy kłopot: czwarta chora, która dotąd siedziała bez ruchu, chuda dziewczyna z twarzą owiniętą w czarną chustkę, powiedziała, że jest głodna.

Pani de Jonquière natychmiast zaofiarowała się ze swoim spokojnym poświęceniem. – Proszę się nie trudzić, siostrzo. Pokraję jej ten chleb na drobne kawałeczki.

Maria, pragnąc czymś zająć myśl, zainteresowała się tą nieruchomą twarzą, ukrytą pod czarną chustką. Podejrzewała ranę na twarzy. Powiedziano jej tylko, że to jakaś służąca. Nieszczęśliwa ta dziewczyna, Eliza Rouquet, rodem z Pikardii, musiała rzucić zajęcie i żyła w Paryżu, u siostry, która niechętnie ją trzymała, a żaden szpital nie chciał jej przyjąć, gdyż właściwie nie była chora. Bardzo nabożna, od wielu miesięcy gorąco pragnęła pojechać do Lourdes. Maria z głuchym lękiem czekała na chwilę, gdy chustka opadnie.

– Czy teraz są dość drobno pokrajane? – pytała macierzyńskim tonem pani de

– Czy będzie je pani mogła wziąć do ust?

Spod czarnej chustki doszedł chrapliwy głos:

– Tak, tak, proszę pani.

Wreszcie chustka opadła, Marię przeszył dreszcz zgrozy. Była to gruźlica skóry, która zaatakowała nos i usta i pomału się tam rozrastała, stałe ropienie poszerzało się coraz bardziej pod strupami, przeżerając błony śluzowe. Twarz wydłużona w psią mordę, otoczona sztywnymi włosami, z wielkimi okrągłymi oczami, stała się straszna. W tej chwili chrząstki nosa były już niemal stoczone, usta ściągnęły się, wykrzywione na lewą stronę z powodu obrzęku górnej wargi, i przypominały ukośną szczelinę, brudną i niekształtną. Krwawy pot zmieszany z ropą sączył się z ogromnej sonej rany.

– Ach, popatrz, Piotrze! – z dreszczem szepnęła Maria. Ksiądz z kolei zadrżał spojrzawszy na Elizę Rouquet, która

ostrożnie wsuwała małe kawałki chleba w krwawiący otwór, służący jej za usta. Wszyscy w wagonie zbledli na widok tego ohydneho zjawiska. I wszystkie te dusze wezbrane nadzieją uleciały jedną myślą ku niebu: „Ach, Panno święta, Panno można, cóż by to był za cud, gdybyś taką chorobę uleczyła!”

– Moje dzieci, nie myślmy o sobie, jeżeli chcemy czuć się dobrze – powtórzyła siostra Hiacynta.

I kazała odmówić drugą częśćkę różańca, pięć tajemnic bolesnych: Jezus w Ogrodzie Oliwnym, Jezus ubiczowany, Jezus cierniem ukoronowany, Jezus dźwigający krzyż, Jezus umiera – jący na krzyżu. Potem odśpiewano pieśń: *W Tobie, Najświętsza Panno, ufność moją Madę...*

Minęli właśnie Blois, jechali już dobre trzy godziny. I Maria, odwracając oczy od Elizy Rouquet, zatrzymała je teraz na człowieku, który zajmował kąt w przedziale po jej prawej stronie, tym, gdzie leżał brat Izydor. Parą razy zwrócił już jej uwagę ten bardzo ubogo ubrany w stary czarny surdut, młody jeszcze człowiek, z rzadką, już siwiejącą bródką; mały i wyschły, z chudą, spoconą twarzą, zdawał się bardzo cierpieć. A jednak siedział bez ruchu, wciśnięty w swój kąt, nie odzywał się do nikogo, tylko patrzył uparcie przed siebie szeroko otwartymi oczyma. I nagle Maria spostrzegła, że powieki mu opadły i że ten człowiek mdleje. Zwróciła na to uwagę siostrze Hiacyncie.

– Siostrze, zdaje mi się, że ten pan źle się czuje.

– Gdzie, moje drogie dziecko?

– Tam... siedzi z odrzuconą głową.

Nastąpiło ogólne poruszenie, wszyscy zdrowi pielgrzymi wstali, aby zobaczyć, co się stało. Pani de Jonquièrre zawołała do Marty, siedzącej przy bracie Izydorze, aby dotknęła ręk tego człowieka.

– Proszę go zapytać, dowiedzieć się, co go boli.

Marta dotknęła go, zadała mu parę pytań. Ale człowiek nie odpowiadał, tylko charczał, oczy zaś wciąż miał zamknięte. Odezwał się jakiś przerażony głos:

– Zdaje mi się, że on umiera!

Lęk wzrastał z każdą minutą, słowa krzyżowały się i rady padały z jednego końca wagonu na drugi. Nikt nie znał tego człowieka. Na pewno nie został wciągnięty na listę szpitala, gdyż nie miał na szyi białej kartki oznaczającej barwę pociągu. Ktoś powiedział, że widział go, jak przyszedł na trzy minuty zaledwie przed odjazdem, ledwie się wlokąc, ogromnie zmęczony, i rzucił się w kąt, w którym teraz umierał. Później nie odezwał się ani słowem. Zauważono zresztą jego bilet, zatknięty za wstążkę starego cylindra, który wisiał obok.

Siostra Hiacynta wykrzyknęła:

– Ach, on przecież oddycha! Zapytajcie go, jak się nazywa. Ale człowiek, ponownie zapytany przez Martę, wydał tylko

jęk, ledwie zrozumiała okrzyk:

– Och, jak boli! I odtąd to tylko powtarzał. Na wszystko, o co go zapytywano: kim jest, skąd pochodzi, na co choruje, jak można by mu pomóc, nie odpowiadał, tylko jęczał bez przerwy:

– Och, boli!... Och, boli!

Siostra Hiacynta drżała z niecierpliwości. Gdyby chociaż była w tym samym przedziale! I obiecywała sobie, że zmieni miejsce. Ale przed Poitiers nie przewidziano postoju. Położenie stawało się tym groźniejsze, że głowa nieznanego znowu zwiśla bezwładnie.

– Umiera, umiera! – powtórzył ten sam głos.

O Boże, co począć! Siostra Hiacynta wiedziała, że ojciec Massias z zakonu Wniebowzięcia jedzie tym pociągiem wioząc święte oleje, w każdej chwili gotów udzielić umierającemu ostatniego namaszczenia. Każdego bowiem roku w drodze ludzie umierali. Ale nie miała odwagi pociągnąć za hamulec alarmowy. Był również wagon-kantyna, obsługiwany przez siostrę od Świętego Franciszka, gdzie znajdował się lekarz i mała apteczka. Gdyby chory dojechał aż do Poitiers, gdzie mieli zatrzymać się na pół godziny, zajęto by się tam nim troskliwie. Okrutne byłoby, gdyby umarł przed Poitiers. Uspokojono się jednak. Człowiek oddychał regularniej, zdawał się spać.

– Umrzeć, zanim się tam będzie – szepnęła ze drżeniem Maria – umrzeć przed wejściem do Ziemi Obiecanej! – A gdy ojciec ją uspokajał, dodała: – I mnie boli, mnie także bardzo boli!

– Ufaj – rzekł Piotr. – Najświętsza Panna czuwa nad tobą. Maria nie mogła już dłużej wytrwać w pozycji siedzącej

i trzeba ją było znów ułożyć w wąskiej trumnie. Ojciec i ksiądz musieli zachowywać przy tym niezmiernie ostrożności, gdyż jęczała przy najmniejszym potrąceniu. I teraz leżała bez tchu, jak martwa, z konającą twarzą wśród królewskiego przepychu blond włosów. Od czterech już

blisko godzin pociąg jechał bez przerwy. Wagon drżał nieznośnym, zygzakowatym ruchem, gdyż był ostatni, zwory trzeszczały, koła huczały wściekle. Przez okna, które trzeba było zostawić uchylone, przenikał kurz ostry i palący; ale najstraszniejszy był upał pożerający wszystko, upał przed burzą, pod płowym niebem z wolna zasnuwającym się ogromny – mi, nieruchomymi chmurami. Rozgrzane przedziały zamieniały się w istne piece, toczące się na kołach domostwa, gdzie ludzie jedli, pili, gdzie chorzy załatwiali wszelkie potrzeby, w zepsutym powietrzu, wśród mieszających się z sobą jęków, modlitw i śpiewów.

Maria nie była jedyną chorą, której stan się pogorszył, inni również źle znosili podróż. Na kolanach zrozpaczonej matki, która patrzyła na dziecko wielkimi, zaćmionymi od łez oczyma, mała Róża leżała nieruchoma i tak blada, że pani Maze dwukrotnie pochyliła się, aby dotknąć jej rąk, w strachu, że okażą się zimne. Pani Sabatier co chwila musiała przesuwać z miejsca na miejsce mężowskie nogi, gdyż – jak mówił chory – ciężar ich obrywał mu biodra. Brat Izydor, wciąż pogrążony w odrętwieniu, teraz zaczął krzyczeć, a siostra mogła mu nieść ulgę tylko podnosząc go i trzymając w ramionach., Grivotte zdawała się spać, ale wstrząsała nią uparta czkawka i cienka smużka krwi spływała jej z ust. Pani Vetu zwymiotowała znowu czarną i cuchnącą cieczą. Eliza Rouquet nie starała się już ukrywać okropnej ziejącej rany na twarzy. A człowiek w kącie wciąż rzeził, dyszał tak ciężko, jak gdyby miał zaraz umrzeć. Na próżno, pani de Jonquière i siostra Hiacynta czyniły wszelkie możliwe wysiłki, nie mogły zaradzić aż tylu nieszczęściom równocześnie. Istnym piekłem stawał się ten wagon cierpienia i nędzy, pędzący z ogromną szybkością, wstrząsany na boki, aż kołysały się bagaże, zawieszane na kołkach, stare łachmany, zniszczone koszyki obwiązane sznurkiem; a tymczasem w dalszym przedziale dziesięć pątniczek, wśród których były stare i młode, ale wszystkie brzydkie, aż litość brała, bez przerwy śpiewały piskliwymi głosami, żałośnie i fałszywie.

Wtedy Piotr pomyślał o innych wagonach pociągu, tego białego pociągu, który wiozł przede wszystkim ciężko chorych; wszystkie mknęły pełne takiego samego cierpienia, z trzystu chorymi i pięciuset pielgrzymami. Pomyślał też o innych pociągach, które wyjeżdżały z Paryża tego ranka, o pociągu szarym i pociągu niebieskim, które wyprzedziły pociąg biały, o pociągu zielonym, żółtym, różowym, pomarańczowym, które pędziły za nimi. Wzdłuż całej linii kolejowej mknęły pociągi, które wypuszczano co godzinę. I pomyślał o innych jeszcze pociągach, o tych, które w tym samym dniu wyjeżdżały z Orleanu, z Mans, z Poitiers, z Bordeaux, Marsylii, Carcassonne. Ziemię francuską przecinały w tej godzinie we wszelkich kierunkach podobne pociągi, a wszystkie zmierzały do świętej Groty wioząc trzydzieści tysięcy chorych i pielgrzymów do stóp Najświętszej Panny.

I pomyślał, że podobna fala ludzka płynie tam również w inne dni roku, że nie ma tygodnia, aby Lourdes nie widziało przybywającej pielgrzymki, że nie tylko Francja, ale cała Europa, cały świat puszcza się w drogę, że w niektórych latach wielkiej pobożności bywało tam trzysta

tysięcy, a nawet do pół miliona pielgrzymów i chorych.

Piotrowi zdawało się, że słyszy, jak jadą te rozkołysane, zewsząd przybywające pociągi, a wszystkie zmierzają do tej samej skalistej Groty, jarzącej się od płonących świec. Wszystko dokoła szumiało, ludzie krzyczeli z bólu, nabożne hymny wznosiły się do nieba. Były to ruchome szpitale pełne zrozpaczonych, chorych ludzi, wielki pęd ludzkich cierpień ku nadziei wyzdrowienia, szaleńcze pragnienie ulgi, pośród wzmagających się krzyków, pod grozą szybkiej, okropnej śmierci, w strasznym tłoku. Jechały, wciąż jechały, bez końca zwożąc nędzę tego świata, w drodze do boskiego złudzenia, które było zdrowiem dla chorych, a pocieszeniem dla utrapionych.

Ogromne współczucie wypełniło po brzegi serce Piotra, ludzka religia tylu nieszczęść, tylu łez nękających słabego i nagiego człowieka. Był śmiertelnie smutny i żarliwe miłosierdzie płonęło w nim jak nie wygasający ogień braterskiej miłości ku wszystkim rzeczom i wszystkim ludziom.

O wpół do jedenastej, gdy ruszyli z dworca Saint-Pierre-desCorps, siostra Hiacynta dała znak i odmówiono trzecią część różańca, pięć tajemnic chwalebnych: Zmartwychwstanie Pana Naszego, Wniebowstąpienie Pana Naszego, Zesłanie Ducha Świętego na Apostołów, Wniebowzięcie Najświętszej Panny Marii, Ukoronowanie Najświętszej Panny. Potem rozległ się hymn Bernadety, nie kończąca się skarga o sześćdziesięciu zwrotkach, gdzie *Pozdrowienie Anielskie* powraca w stałym refrenie, długa kołysanka, powolna obsesja, która wreszcie zawładnęła wszystkimi i uspiła ich ekstatycznym snem, w słodkim oczekiwaniu na cud. II

Za oknami przesuwają się teraz zielone łąki Poitou i ksiądz Piotr Froment, z oczami utkwionymi w okno, patrzył na uciekające drzewa, które pomału zlewały mu się w jedno. Zjawiała się jakaś dzwonnica i znikła; wszyscy pielgrzymi przeżegnali się. W Poitiers mieli być dopiero o dwunastej trzydzieści pięć, pociąg wciąż jechał we wzrastającym znużeniu ciężkiego burzliwego dnia. Młody ksiądz utonął w tak głębokim zamyśleniu, że pieśń nabożną słyszał już jak zwolnione kołysanie wzburzonego morza.

Było to zagarniające całą jego istotę zapomnienie o teraźniejszości, powrót do minionego czasu. Cofnął się w przeszłość tak daleko, jak tylko mogła sięgnąć jego pamięć. Znów widział dom w Neuilly, gdzie się urodził i dotąd jeszcze mieszkał, dom ciszy i pracy, z ogrodem, w którym rosło parę pięknych drzew, dom, od sąsiedniego, całkiem podobnego, odgradzony tylko żywopłotem wzmocnionym przez parkan. Miał trzy, może cztery lata i widział znowu, w pewien letni dzień, siedzących wokół stołu, przy śniadaniu, w cieniu dużego kasztanowca, ojca, matkę i starszego brata. Ojciec jego, Michał Froment, nie miał wyraźnej twarzy. Piotr widział go niedokładnie, jak za mgłą, w nimbie sławy znakomitego chemika i godności członka Instytutu, przesiadującego w laboratorium, które kazał sobie urządzić w głębi tej odludnej

dzielnicy. Wyraźnie natomiast widział brata Wilhelma, liczącego wtedy lat czternaście, który przyszedł z liceum na wolne popołudnie, a zwłaszcza matkę, łagodną, poruszającą się cicho, z oczyma pełnymi zapobiegliwej dobroci. Po latach poznał udręki tej religijnej duszy, istoty wierzącej, która zgodziła się, z szacunku i wdzięczności, poślubić niedowiarka, starszego o lat piętnaście, bo oddał jej rodzinie wielkie przysługi. Piotr, późny owoc tego związku, przyszedł na świat, gdy ojciec dobiegał już pięćdziesiątki, i znał matkę już tylko pełną szacunku i uległą wobec męża, którego wreszcie gorąco pokochała, w straszliwej udręce świadomości, że żyje on w stanie potępienia. Nagle stanęło przed nim inne wspomnienie, straszne wspomnienie dnia, kiedy ojciec zginął w laboratorium na skutek nieszczęśliwego wypadku, wybuchu retorty. Piotr miał wtedy pięć lat, pamiętał najdrobniejsze szczegóły, krzyk matki, gdy znalazła pokaleczone ciało wśród różnych szczątków, potem jej przerażenie, płacz, – modlitwy na myśl, że oto Bóg ukarał bezbożnika, że potępił go na wieki. Me śmiejąc spalić książek i papierów, poprzestała na zamknięciu gabinetu, gdzie nikt już nie miał wstępu. Od tej chwili, dręczona wizją piekła, myślała tylko o jednym: aby zawładnąć duszą młodszego syna, który był jeszcze dzieckiem, wychować go w surowej religijności, ofiarować jako okup, wybłagać ulaskawienie dla ojca. Starszy syn, Wilhelm, już się jej wymknął, rósł w liceum, należał do świata, ten zaś, mały, nie opuści domu, będzie miał księdza za nauczyciela; pieściła skryte marzenie, gorącą nadzieję, że zobaczy go kiedyś jako kapłana, odprawiającego pierwszą mszę, niosącego ulgę duszom w ich wiecznym cierpieniu.

Jeszcze inny obraz stanął przed nim jak żywy, na tle zielonych drzew usianych słonecznymi plamami. Piotr ujrzał nagle Marię de Guersaint taką, jak zobaczył ją pewnego ranka poprzez szparę w żywopłocie oddzielającym dwie sąsiadujące posesje. Pan de Guersaint, pochodzący z drobnej szlachty normandzkiej, był to architekt skrzyżowany z wynalazcą i zajmował się w tym czasie budowaniem osiedli robotniczych, z kościołem i szkołą: wielkie przedsięwzięcie, ale źle pomyślane, w którym ze zwykłą sobie pochopnością i beztroską poronionego artysty zaryzykował trzysta tysięcy franków posiadanego majątku. Jednakowa religijność zbliżyła panią de Guersaint i panią Froment; ale pierwsza, ostra i surowa, była władczą kobietą o żelaznej ręce, która sarna musiała bronić rodziny przed katastrofą; wychowywała dwie córki, Blanę i Marię, w rygorystycznej pobożności, zwłaszcza starszą, już poważną jak matka; młodsza, bardzo religijna, ale nadzwyczaj lubiąca się bawić, tryskała wielką żywotnością, która wybuchała w dźwięcznym śmiechu. Od najwcześniejszych lat Piotr i Maria bawili się razem, płot nie stanowił żadnej przeszkody, obie rodziny stale z sobą przebywały. W ów jasny słoneczny poranek, gdy ją na nowo taką zobaczył, rozchylającą gałęzie, miała już dziesięć lat. On ukończył lat szesnaście i miał w najbliższy wtorek wstąpić do seminarium. Nigdy nie wydawała mu się tak piękna. Jej włosy z czystego złota były tak długie, że gdy się rozplotły, okrywały ją całą. Z zadziwiającą dokładnością widział jej twarz z tego okresu, okrągłe policzki, niebies – kie oczy,

czerwone usta, a przede wszystkim blask śnieżnej cery. Wesoła i promienna jak słońce, była olśnieniem; powieki jej nabrzmiewały łzami, bo wiedziała o jego bliskim odejściu. Oboje usiedli w cieniu żywopłotu, na końcu ogrodu. Ręce ich się splotły, obojgu ciężar leżał na sercu. Wśród zabaw nigdy nie wymienili żadnych przysięg, tak zupełną była ich niewinność. Ale w przeddzień rozstania czułe słowa cisnęły się im na usta, wypowiedali je podświadomie, przysięgali, że będą zawsze o sobie myśleć, że się pewnego dnia odnajdą, jak dusze odnajdują się w niebie, aby zażywać błęgiego szczęścia. Potem, sami nie wiedząc kiedy, objęli się ramionami, w gwałtownym uścisku całowali swoje twarze, płacząc gorącymi łzami. Było to uroczyste wspomnienie, które Piotr niósł z sobą wszędzie, które czuł jeszcze żywe w sobie, po tylu latach i po tylu bolesnych wyrzeczeniach.

Gwałtowny wstrząs obudził go z zamyślenia. Spojrzał po wagonie, jak przez mgłę zobaczył cierpiące istoty, nieruchomą, unicestwioną bólem panią Maze, małą Różę wydającą słabe jęki na kolanach matki, Grivotte duszącą się od chrapliwego kaszlu. Przez chwilę wszystko przesłoniła wesółą twarz siostry Hiacynty w bieli barbetu i kwefu. Ciągnęła się trudna podróż z promieniem boskiej nadziei w dali. Potem, z wolna, wszystko utonęło pod nową, daleką falą, która nadpłynęła z przeszłości, i pozostał już tylko kołyszący śpiew i niewyraźne głosy snu, dobywające się z tego, co niepokonalne.

Piotr wstąpił do seminarium. Wyraźnie ożywały mu w pamięci lekcje, dziedziniec porośnięty drzewami. Nagle ujrzał rysującą się, niby w lustrze, twarz młodzieńca, jakim był wówczas; przyglądał się jej, analizował ją w szczegółach, jak oblicze obcego człowieka. Wysoki i szczupły, twarz miał bardzo pociągłą, z silnie rozwiniętym czołem, wysokim i stromym jak wieża, szczęki natomiast zwężały się i kończyły bardzo delikatnym podbródkiem. Zdawał się żyć samą myślą, jedynie usta, dość wydatne, pozostały pełne czułości. Gdy surowa twarz odprężyła się, usta i oczy nabierały wyrazu niezmiernej miłości, był w nich nienasycony głód kochania, poświęceń i życia. Wnet zresztą powracała namiętność intelektualna, wiecznie pożerający go intelektualizm, pragnienie, aby rozumieć i wiedzieć. Lata spędza – nie w seminarium wspominał zawsze ze zdziwieniem. Jakże mógł tak długo przyjmować surową dyscyplinę ślepej wiary, posłusznie wierzyć we wszystko, nic nie badając! Zażądano od niego całkowitego wyrzeczenia się własnej myśli i on wymógł to na sobie, gwałtem zdołał zdusić dążenie do prawdy. Oczywiście, nie umiał oprzeć się łzom matki, nade wszystko pragnął dać jej wielkie, wymarzone szczęście. W tej godzinie jednak przypomniał sobie pewne odruchy buntu, odnajdywał w głębi pamięci noce, które przeplakał nie wiadomo nad czym, noce wypełnione mglistymi obrazami, gdzie pulsowało życie wolne i pełne mocy, gdzie twarz Marii nieustannie powracała, Marii takiej, jaką zobaczył owego ranka, olśniewającą i zalaną łzami, gdy całowała go z całej duszy. I to tylko trwało w nim teraz, bo lata studiów duchownych, monotonne lekcje, ćwiczenia i zawsze jednakowe ceremonie odeszły w tę samą mgłę, w niepewny półmrok, wypełniony śmiertelnym milczeniem...

Potem, gdy wśród huku gnającego pełną parą pociągu mijali jakąś stację, przed jego oczyma zaczęły się przesuwać obrazy

o zatartych konturach. Widział wielkie, puste, ogrodzone pole, zdawało mu się, że ma znowu lat dwadzieścia. Marzenia jego zmały się. Dość ciężkie niedomaganie, opóźniające jego studia, sprawiło wówczas, że wysłano go na wieś. Długo nie widział Marii; dwa razy, gdy przyjeżdżał na wakacje do Neuilly, nie zobaczył dziewczynki, bo wciąż była w podróży. Wiedział, że ciężko choruje po upadku z konia, co zdarzyło się jej w trzynastym roku życia, w okresie gdy właśnie miała stać się kobietą, i matka, w rozpaczy, wydana na łup sprzecznych konsultacji lekarskich, co roku wozila ją do innego uzdrowiska. Potem nagle jak piorun spadła na niego wiadomość o nagłej śmierci jej matki, surowej, ale jakże użytecznej swoim najbliższym, i to w tragicznych okolicznościach; zapalenie płuc zmiotło ją w pięć dni, a nabawiła się go na wieczornej przechadzce w Bourboule, zdjęła bowiem płaszcz, aby narzucić go na ramiona Marii, którą zawiozła tam na kurację. Ojciec musiał pojechać po niemal oszalałą córkę

i ciało zmarłej żony. Najgorsze było, że od nagłego zniknięcia matki interesy rodziny podupadały coraz bardziej i wikłyły się w rękach architekta, który nie licząc rzucał majątek w otchłań swoich interesów. Maria nie wstawiała już z szezlonga i domem zajmować się mogła już tylko Blanka, sama pochłonięta ostatnimi egzaminami, dyplomami, które zdobywała z uporem w przewidywaniu, że któregoś dnia przyjdzie jej samej zarabiać na chleb codzienny.

Piotr nagle doznał wrażenia, że z tej masy zatartych, na wpół zapomnianych faktów wyłania się jeden wyraźny obraz. Było to podczas urlopu, jaki znów zmuszony był wziąć z powodu złego stanu zdrowia. Właśnie ukończył dwadzieścia cztery lata, był ogromnie spóźniony, gdyż dotąd otrzymał tylko cztery niższe święcenia, ale po powrocie do seminarium miał zostać subdiakonem, co na zawsze wiązało go nienaruszalną przysięgą. I scena odżywała z całą dokładnością, w małym ogrodzie w Neuilly, w ogrodzie państwa de Guefsaint, gdzie niegdyś tak często się bawił. Wytoczono pod wielkie drzewa w głębi, w pobliżu przegradzającego ogrody płotu, szezlong Marii; i byli sami wśród smutnego spokoju jesiennego popołudnia, i widział Marię w grubej żałobie po matce, na wpół leżącą, z bezwładnymi nogami; on zaś, również czarno ubrany, już w sutannie, siedział koło niej na żelaznym krześle. Chorowała już od pięciu lat. Miała osiemnaście lat, wybladła i wychudła, nadal jednak urocza ze swymi złotymi królewskimi włosami, które choroba oszczędziła. Zresztą, jak sądził, ona wiedziała, że jest kaleką na zawsze, że skazana jest na to, aby nigdy nie być kobietą, że sama jej płeć została w niej wyniszczona. Lekarze, których zdania były sprzeczne, opuścili chorą. Zapewne w to smutne popołudnie, gdy opadały na nich pożółkłe liście, mówiła mu o tym. Ale on nie pamiętał słów, widział tylko, jak żywy, jej blady uśmiech, jej młodą twarz, tak zawsze uroczą, teraz pełną rozpaczy za życiem. Potem uprzytomnił sobie, że ona wspomina dzień ich rozstania, na tym miejscu, za żywopłotem usianym słonecznymi plamami; i wszystko to było jak umarłe, ich łzy, ich uścisk, ich obietnica,

że się kiedyś odnajdą w pewności szczęścia. Odnaleźli się, ale na co im się to teraz zdało, skoro ona była niby umarła, on zaś miał wkrótce umrzeć dla życia, dla świata! Od kiedy lekarze orzekli, że nie będzie kobietą, żoną ani matką, on również mógł wyrzec się życia mężczyzny, unicestwić się w Bogu, któremu ofiarowała go matka. I odczuł słodką gorycz tego ostatniego spotkania, gdy Maria boleśnie uśmiechała się do ich dawnych dziecinnych rojeń, mówiła mu o szczęściu, jakiego on na pewno zakosztuje w służbie Boga, tak tą myślą przejęta, że wymogła na nim obietnicę, iż zaprosi ją na wysłuchanie jego pierwszej mszy.

Na stacji w Sainte-Maure wybuchł gwar, który zwrócił uwagę Piotra na to, co się dzieje w wagonie. Myślał, że nowu ktoś ma atak lub zemdlał. Ale bolesne twarze, jakie wzrok jego napotkał, były nie zmienione, miały ten sam wyraz napięcia, trwożnego oczekiwania boskiej pomocy, tak wolno nadchodzącej. Pan Sabatier próbował jakoś wygodniej ułożyć nogi, brat Izidor skarżył się nieustannie, cicho jak umierające dziecko, a pani Vetu w męce strasznego ataku, z przeżartym żołądkiem, nie oddychała nawet, zaciskając wargi, z twarzą zmienioną, czarną i dziką. W pewnej chwili pani de Jonquière, mając nocnik, upuściła cynowy dzban. I mimo tylu udręczeń rozweseliło to chorych, tak dziecinnymi uczyniło cierpienie te proste dusze. Natychmiast siostra Hiacynta, która słusznie nazywała ich dziećmi, bo słuchali każdego jej słowa, kazała im znowu ująć różańce i czekać na *Angelus*, który miano odmówić w Chatellerault, wedle ustalonego programu. Zdrowaśki płynęły jedno po drugim, był to już tylko szept, pomruk zagubiony w huku żelastwa i skrzypieniu kół.

Piotr miał dwadzieścia sześć lat i był księdzem. Na parę dni przed wyświęceniem opadły go spóźnione skrupuły, głucha świadomość, że przyjmował obowiązki nie wniknąwszy w siebie dość głęboko. Ale unikał tej myśli, żył oszołomiony swoją decyzją, sądząc, że jednym ciosem siekiery wytrzebił w sobie wszystko, co ludzkie. Ciało jego było martwe jak ów niewinny romans jego dzieciństwa, jak ta biała dziewczyna o złotych włosach, którą, widywał już teraz tylko na łóżku kaleki, z ciałem równie martwym, jak jego ciało. I uczynił następnie ofiarę ze swego rozumu, co wówczas uważał za łatwiejsze, mając nadzieję, że wystarczy chcieć, aby nie myśleć. Potem było już za późno, już nie mógł się cofnąć; i chociaż w chwili wypowiedzenia ostatniej uroczystej przysięgi nurtowała go jakaś tajemna groza, nieokreślony, ogromny żal, potem zapomniał o wszystkim, został bowiem bosko wynagrodzony za swój wysiłek w dniu, kiedy obdarzył matkę wielką, długo wyczekiwaną radością: mogła wysłuchać jego pierwszej mszy. Widział jeszcze swoją biedną matkę w małym kościele w Neuilly, który sama wybrała, w kościele, gdzie odbyło się żałobne nabożeństwo za ojca; zobaczył ją w ten zimny listopadowy ranek, niemal samą w mrocznej kaplicy; na klęczkach, z twarzą ukrytą w dłoniach; długo płakała, gdy on wznosił hostię. Zakosztowała wtedy ostatniego szczęścia, gdyż żyła osamotniona i smutna, nie widując starszego syna, który, wyznając inne idee, odszedł od niej, gdy brat jego postanowił zostać kapłanem. Mówiono, że Wilhelm, bardzo zdolny chemik jak jego ojciec, ale

zdeklasowany, zapaliwszy się do rewolucyjnych urojeń, mieszka na przedmieściu w małym domku, gdzie przeprowadza niebezpieczne studia nad materiałami wybuchowymi; dodawano również, i to ostatecznie doprowadziło do zerwania wszelkich stosunków między nim a matką, tak pobożną i szanującą konwenanse, że żył jak mąż z kobietą z niewiadomego środowiska. Piotr, który jako dziecko uwielbiał Wilhelma, tego starszego, ojcowskiego brata, dobrego i lubiącego się śmiać, nie widział go już trzy lata.

Teraz serce jego ścisnęło się okrutnie, ujrzał matkę umarłą.. I tym razem był to grom z jasnego nieba, trzydniowa zaledwie choroba, zniknięcie równie nagłe jak śmierć pani de Guersaint. Pewnego wieczora, po szalonym biegu w poszukiwaniu lekarza, znalazł ją martwą, sztywną i białą; umarła podczas jego nieobecności; na wargach na zawsze zachował lodowaty smak ostatniego pocałunku. Reszty już nie pamiętał, ani czuwania, ani przygotowań, ani pogrzebu. Wszystko to utonęło w ciemności, ośpieniu, w bólu tak okrutnym, że o mało sam nie umarł, nękany po powrocie z cmentarza dreszczami i gorączką, chory na tyfus brzuszny, który na trzy tygodnie pozbawił go przytomności i trzymał między życiem a śmiercią. Zjawił się wtedy jego brat, pielęgnował go, potem zajął się sprawami majątkowymi, dokonał podziału skromnego majątku, jemu zostawił dom i małą rentę, a sam wziął swoją część w gotówce; gdy zobaczył, że Piotrowi nic już nie zagraża, odszedł znowu, powrócił do swego nieznanego życia. Jakże długo trwała rekonwalescencja w głębi opuszczonego domu! Piotr nic nie uczynił, aby zatrzymać brata, wiedział bowiem, że dzieli ich przepaść. Z początku samotność sprawiała mu ból. Potem nabrała dla niego wielkiej słodyczy w głębokim milczeniu pokoi, którego nie zakłócały skąpe hałasy z ulicy, pod dyskretnym cieniem małego ogrodu, gdzie mógł spędzać całe dni nie widując żywej duszy. Schronieniem jego było przede wszystkim dawne laboratorium, gabinet ojcowski, który matka przez dwadzieścia lat starannie zamykała, jak gdyby chciała zamurować tam przeszłość noszącą piętno niedowiarstwa i potępienia. Może, mimo swej łagodności, mimo dawnego, pełnego szacunku posłuszeństwa byłaby wreszcie kiedyś zniszczyła papiery i książki, gdyby śmierć nie zaskoczyła jej tak nagle. Piotr kazał otworzyć okna, otrzeć z kurzu biurko i bibliotekę, zasiadł w wielkim skórzanym fotelu i odtąd spędzał tam urocze godziny, jak gdyby choroba odrodziła go i powróciła mu młodość, i czytając książki, które znalazł pod ręką, doznawał niezwyklej radości intelektualnej.

Nie pamiętał, aby przez te dwa miesiące powolnego powrotu do sił odwiedzał go ktoś poza doktorem Chassaigne. Był to dawny przyjaciel ojca, lekarz o wielkiej wiedzy, który ograniczył się skromnie do roli praktyka, za jedyną ambicję mając przywracanie zdrowia. Bez skutku leczył panią Froment, ale chlubił się, że z ciężkiego przypadku wyciągnął młodego księdza; i przychodził odwiedzać go od czasu do czasu, rozmawiał z nim, starał się go zająć, opowiadał mu o jego ojcu, wielkim chemiku, nieskończoną ilość uroczych anegdot i szczegółów, tchnących jeszcze gorącą przyjaźnią. Przed oczyma syna, słabego, znużonego rekonwalescenta, wyłaniała

się powoli twarz pełna uroczej prostoty, czułości i naiwności. Był to ojciec taki, jakim był naprawdę, a nie twardy człowiek nauki, jakiego wyobrażał sobie dotąd na podstawie słów matki. Oczywiście, ona zawsze wpajała mu tylko szacunek dla tej drogiej pamięci; ale czyż nie był niedowiarkiem, człowiekiem negacji, nad którym płakały anioły, wyrobnikiem bezbożności, który zwalczał dzieło Boga? Był więc posępną wizją, upiorem, potępieńcem snującym się po domu; teraz stawał się jasną, radosną światłością, pracownikiem namiętnie pożądanym prawdy, który zawsze pragnął tylko miłości i powszechnego szczęścia. Sam doktor Chassaigne, pochodzący z Pirenejów, urodzony w zapadłej wiosce, gdzie wierzono jeszcze w czarownice, skłaniałby się raczej ku religii, jakkolwiek od czterdziestu lat, odkąd mieszkał w Paryżu, noga jego nie powstała w kościele. Ale w jedno wierzył niezachwianie: jeżeli istniało gdzieś jakieś niebo, przebywał tam Michał Froment, i to usadowiony na tronie, po prawicy Boga.

Piotr raz jeszcze przeżył w parę chwil straszliwy kryzys, który nękał go przez dwa miesiące. Powodem jego było nie to, że znalazł był w bibliotece książki zwalczające religię, ani też, że jego ojciec, którego papiery uporządkował, nigdy nie wyszedł poza techniczne badania naukowe. Z wolna, z czego nie zdawał sobie sprawy, jasność naukowa zapanowała w systemie dowiedzionych zjawisk i te burzyły jego dogmaty, wniwecz obracały fakty, w które powinien był wierzyć. Wydawało się, że choroba go odrodziła, że na nowo zaczynał żyć i uczyć się, odczuwając cielesną słodycz rekonwalescencji, błogiego osłabienia, które dawało jego mózgowi przenikliwą jasność. W seminarium, stosując się do rady profesorów, stale hamował swego ducha poszukiwań, swoją potrzebę poznawania. To, czego go uczono, napełniało go wielkim zdziwieniem, ale udawało mu się składać ofiarę ze swego umysłu, zgodnie z tym, czego wymagano od jego pobożności. I oto teraz całe to pracowicie wznoszone rusztowanie dogmatu zostało zmiecione w buncie władczygo rozumu, który dopominał się o swoje prawa, nie mogąc narzucić im milczenia. Prawda kipiała, przelewała się przez brzegi falą tak nieokiełznaną, że Piotr pojął, iż nigdy już nie potrafi na nowo odtworzyć pomyłki swego mózgu. Była to zupełna i bezpowrotna ruina wiary. Bo chociaż zdołał zabić w sobie ciało wyrzekając się idylli młodości, choć opanował do tego stopnia zmysły, że nie czuł się już mężczyzną, wiedział jednak, że niemożliwą do spełnienia byłaby teraz ofiara z inteligencji. I nie mylił się, to jego ojciec odradzał się w głębi jego istoty i wreszcie odniósł zwycięstwo w dziedzicznej walce dwóch pierwiastków, w której tak długo przewaga należała do matki Piotra. Zdawało się, że górna część jego twarzy – strome czoło podobne do wieży – jeszcze urosła, gdy tymczasem dół twarzy, drobny podbródek, tkliwe usta jak gdyby zanikały. Jednakże cierpiał; dręczył go smutek, że już nie wierzy, i czasem o zmierzchu, gdy budziła się jego dobroć i miłość, czuł pragnienie, aby jeszcze wierzyć; dopiero gdy wnoszono lampę, zaczynał znów jasno patrzeć dookoła siebie i w siebie, odzyskiwał energię i spokój umysłu, siłę męczennika, wolę, aby poświęcić wszystko dla spokoju sumienia. Nastąpił kryzys. Był księdzem, a już nie wierzył. Wybuchło mu to nagle pod stopami niby bezdenna

otchłań. Był to koniec życia, ruina wszystkiego. Jak ma postąpić? Czyż zwyczajna uczciwość nie nakazywała zrzucić sutanny, wracać między ludzi? Ale widywał już księży renegatów i pogardzał nimi. Żonaty ksiądz, a znał i takiego, budził w nim odrazę. Zapewne były to tylko pozostałości jego wieloletniego wychowania religijnego; zachował przekonanie o niezmałności kapłaństwa, przekonanie, że skoro człowiek oddał się Bogu, nie może mu się odebrać. A może również czuł się zbyt naznaczony, zbyt już różny od innych ludzi i bał się, że będzie pośród nich niezgrabnym intruzem. Od chwili gdy go wytrzebiono, chciał pozostać na uboczu w swej bolesnej dumie. Po dniach trwogi, po wciąż odradzających się walkach, gdzie zmagaly się pragnienie szczęścia i moce odzyskanego zdrowia, powziął heroiczne postanowienie, że pozostanie księdzem, i to księdzem uczciwym. Zdobył się na to wyrzeczenie. O ile bowiem nie potrafił okiełznać umysłu, opanował natomiast ciało i przysiągł sobie, że pozostanie czystym; i to był punkt niezachwiany, miał absolutną pewność, że będzie prowadził życie czyste i prawe. Cóż obchodziło go wszystko inne, jeżeli cierpiał samotnie, jeżeli nikt na świecie nie domyślał się popiołów w jego sercu, unicestwienia jego wiary, straszego kłamstwa, od którego ginął! Niezawodnym oparciem będzie mu uczciwość, pełnić będzie swój zawód księdza jak człowiek prawy, nie łamiąc żadnego ze złożonych ślubów, będzie dalej wypełniał zgodnie z obrządkiem powinność sługi bożego, będzie wygłaszał kazania, odprawiał mszę przy ołtarzu, podawał chleb żywota. Któż więc osmieleł się oskarżyć go o to, że stracił wiarę, gdyby nawet kiedyś to straszne nieszczęście stało się wiadome? I czego więcej świat miałby od niego żądać, skoro całe istnienie poddał świętej przysiędze, czci dla swego kapłaństwa, pełnieniu wszelkiego miłosierdzia, bez nadziei przyszłej nagrody? W ten sposób uspokoił się, stał jeszcze prosto i z podniesioną głową, wielki tą rozpaczą kapłana, który sam już nie wierzy, ale nadal czuwa nad wiarą innych ludzi. I na pewno nie był jedynym, czuł, że posiada wielu braci, księży zdruzgotanych, wydanych na łup zwątpienia, ale stojących przy ołtarzu jak żołnierze, co utracili ojczyznę, ale mają jeszcze na tyle odwagi, aby wybły – skać świętym płomieniem ułudy ponad głowami klęczących tłumów.

Od czasu całkowitego odzyskania sił Piotr podjął funkcje duszpasterskie w małym kościółku w Neuilly. Co rano odprawiał mszę. Ale zdecydowany był odrzucić każde lepsze stanowisko, wszelki awans. Upływały miesiące i lata, a on upierał się, aby pozostać wikarym, najbardziej nieznanym, najpokorniejszym z księży, jakich toleruje się w parafii, jednym z tych, którzy zjawiają się i znikają wypełniwszy swoje obowiązki. Każda przyjęta godność wydawałaby mu się pogłębieniem jego kłamstwa, kradzieżą popełnioną na szkodę bardziej zasługujących. Musiał bronić się przeciw licznym propozycjom, gdyż zalety jego nie mogły ujść niepostrzeżenie; w biskupstwie dziwiono się tej upartej skromności, chciano skorzystać z siły, jaką w sobie rozwinął. Czasami tylko gorzko żałował, że nie jest użyteczny, że nie służy jakiemuś wielkiemu dziełu, szerzeniu pokoju na świecie, zbawieniu i szczęściu ludów, do czego ciągnęło go płomienne pragnienie. Na szczęście, dni miał wolne i mógł szukać pociechy w szaleństwie pracy;

przeczytał najpierw wszystkie książki z biblioteki ojca, a potem przestudiował i przetrawił jego prace, zainteresował się gorąco historią narodów, zapragnął przeniknąć aż do głębi zło społeczne i religijne, aby przekonać się, czy istotnie jest ono nieuleczalne.

Pewnego ranka, szperając w dolnych szufladach biblioteki, Piotr znalazł wielki plik dokumentów dotyczących objawień w Lourdes. Były to dokumenty bardzo wyczerpujące, protokoły z przesłuchań Bernadety, sprawozdania władz administracyjnych, raporty policji, wyniki badań lekarskich, nie licząc prywatnych i poufnych listów, niezmiernie interesujących. Był zdumiony tym znaleziskiem; zwrócił się po wyjaśnienia do do'ktora Chassaigne, który przypomniał sobie, że przyjaciel jego, Michał Froment, istotnie w pewnym okresie namiętnie studiował przypadek Bernadety, zaś on sam, urodzony w wiosce niezbyt odległej od Lourdes, musiał w tym wziąć udział i dostarczył chemikowi pewnej części dokumentów. Piotr z kolei przez miesiąc gorąco zajmował się tą sprawą, oczarowany szlachetną i czystą postacią jasnowidzącej, ale zbuntowany przeciw wszystkiemu, co narosło później, przeciw barbarzyńskiemu fetysz – mowi, bolesnym przesądom, tryumfującej symonii. W kryzysie, jaki przeżywał, historia ta zdawała się jak gdyby umyślnie stworzona po to, aby przyśpieszyć ruinę jego wiary. Ale równocześnie podrażniła jego ciekawość; zapragnął przeprowadzić badania, ustalić naukową, nie podlegającą dyskusji prawdę, oddać czystemu chrystianizmowi przysługę uwalniając go od tego wypaczenia, od tej bajeczki, tak wzruszającej i dziecinnej. Potem porzucił te dociekania, cofnął się przed koniecznością podróży do Groty przeczuwając ogromne trudności w uzyskaniu informacji, których mu brakowało, i pozostała w nim już tylko tkliwość dla pełnej uroku Bernadety, o której myślał z zachwytem i bezgraniczną litością.

Dni płynęły i Piotr żył w coraz większej samotności. Doktor Chassaigne wyjechał właśnie w Pireneje, pod obuchem straszliwego niepokoju; porzucił klientelę, aby wywieźć do Caunterets chorą żonę, która, jak to z trwogą widział on sam i jego córka, dorosła uroczą córka, gasła z każdym dniem. Odtąd domek w Neuilly pogrążył się w milczeniu, zapanowała w nim pustka śmierci. Jedynym urozmaiceniem dla Piotra było już tylko odwiedzanie od czasu do czasu państwa de Guersaint, którzy wyprowadzili się z sąsiedniego domu i których odnalazł w głębi nędznej uliczki tej dzielnicy, w ciasnym mieszkaniu. Pamięć pierwszej wizyty była jeszcze tak żywa, że w sercu. odczuł ostry ból, gdy wspominał, jak bardzo wzruszył się na widok smutnej Marii.

Ocknął się, spojrzął i zobaczył Marię leżącą na ławeczce, taką, jaką odnalazł ją wtedy, już w jej szynach, przygwożdżoną do trumny, do której zakładano kółka, aby można było zawieźć ją na przechadzkę. Ona, niegdyś tak kipiąca życiem, ruchliwa i roześmiana, umierała z beczynności i bezruchu. Nie zmienione zostały tylko włosy, które okrywały ją złotym płaszczem; była strasznie wychudzona, zdawało się, – że się skurczyła, że powróciła do rozmiarów dziecka. Wstrząsające w tej bladej twarzy było spojrzenie puste i uparte, stałe

pograżenie się w jednej myśli, wyraz nieobecności, unicestwienia w otchłani nieszczęścia. Gdy poczuła, że on na nią patrzy, chciała się do niego uśmiechnąć, ale nie mogła powstrzymać skarg, i jaki żalony był uśmiech biednej, ciężko dotkniętej istoty, pewnej, że umrze, zanim dokona się cud! Wzburzony, słyszał już tylko ją, ją tylko widział, mimo że tyle cierpień 'napelniało ten wagon, jak gdyby | ona wszystkie je skupiła w sobie, w długiej agonii swojej urody, wesela i młodości.

I pomału, nie przestając patrzeć na Marię, Piotr wrócił do minionych dni, zakosztował godzin o gorzkim i smutnym uroku, jakie przeżył przy niej, gdy dotrzymywał jej towarzystwa w smutnym małym mieszkaniu. Pan de Guersaint akurat doszczętnie się zrujnował, zamarzył bowiem o odrodzeniu produkcji świętych obrazków, których niski poziom go irytował. Jego ostatni grosz utonął w bankructwie drukarni, która sporządzała kolorowe reprodukcje; roztargniony, nieprzewidujący, pełen wiary w opatrność, nie tracąc nic ze złudzeń swojej chłopięcej duszy, nie widział stale wzrastającego okrutnego niedostatku i myślał z kolei o balonach sterowanych, nie dostrzegając wcale, że jego starsza córka, Blanka, musi dokonywać cudów energii, aby zdobyć chleb dla ich małej rodziny, dla dwojga swoich dzieci, jak nazywała ojca i siostrę. Właśnie Blanka, która udzielała lekcji francuskiego i gry na fortepianie i biegała po Paryżu od rana do wieczora, w kurzu i błocie, znajdowała jeszcze niezbędne pieniądze na zabiegi, jakich wymagała Maria. Toteż Maria często wśród łez rozpaczała, że ona jest właściwą przyczyną ruiny, bo od tylu lat opłacano jej lekarzy i wożono ją do wszystkich możliwych uzdrowisk, do Bourboule, Aix, Lamalou, Amelie-les-Bains. Wreszcie lekarze, po dziesięciu latach sprzecznych diagnoz i kuracji, opuścili ją: jedni uważali, że chodzi tu o zerwanie więzadeł szerokich, inni mówili o guzie, jeszcze. inni o porażeniu na skutek urazu rdzenia kręgowego; a ponieważ Maria, w swoim buncie niewinnej dziewczyny, nie zgadzała się na żadne badania, tak że nie śmieli jej nawet wyraźnie wypytywać, każdy z nich upierał się przy swojej diagnozie, utrzymując, że chora nigdy zdrowia nie odzyska. Ona sama liczyła tylko na pomoc boską, od kiedy bowiem cierpiała, stała się niezmiernie pobożną. Wielką dla niej udręką było, że nie mogła już chodzić do kościoła, i codziennie odczytywała liturgiczne teksty z mszału. Jej bezwładne nogi wydawały się martwe, opanowywała ją taka słabość, że w pewne dni siostra musiała ją karmić. Piotr przypomniał sobie w tej chwili jeszcze jeden wieczór. Zapalono już lampę. Siedział przy niej w cieniu i nagle Maria powiedziała, że chciałyby pojechać do Lourdes, bo ma pewność, że wróciłyby uleczone. Piotr zmieszał się, stracił panowanie nad sobą, wołał, że to szaleństwo myśleć o podobnych dzieciństwach. Nigdy nie mówił z nią o religii, wzbraniał się nie tylko spowiadać ją, ale nawet nie chciał udzielać wskazówek w jej błahych skrupułach dewotki. Była to w nim wstydlivość i litość, gdyż nie potrafiłby się zdobyć na kłamstwo przed nią, a jednocześnie uważałby się za zbrodniarza, gdyby najlżejszym choćby tchnieniem zamącił tę wielką czystą wiarę, 'która dawała jej siłę w cierpieniu. Toteż, mając sobie za złe okrzyk, którego

nie zdołał powstrzymać, zmieszał się straszliwie, gdy poczuł, że mała, zimna ręka chorej ujmując jego dłoń; cicho, ośmielona przez mrok, załamującym się głosem, Maria odważyła się dać mu do zrozumienia, że zna jego tajemnicę, że wie o jego nieszczęściu, o straszliwej nędzy kapłana, który Utracił wiarę. W ich rozmowach on, nie zdając sobie z tego sprawy, zdradził swoją tajemnicę, Maria przeniknęła na wskroś jego sumienie dzięki subtelnej intuicji osoby kochającej a chorej. Straszliwie martwiła się o niego, bardziej niż nad sobą ubolewała nad nim, nad jego śmiertelną chorobą moralną. Następnie gdy on, zaskoczony, nie mógł znaleźć odpowiedzi, wyznając prawdę już samym milczeniem, ona znów zaczęła mówić o Lourdes; bardzo cicho dodała, że jego również chciałaby, oddać pod opiekę Matki Boskiej, błagać ją, aby powróciła mu Wiarę. I od tego wieczora nie przestała o tym mówić, powtarzając, że gdyby mogła pojechać do Lourdes, byłaby uzdrowiona. Ale powstrzymywała ją sprawa kosztów, o których nie śmiała nawet wspominać siostrze. Dwa miesiące upłynęły, ona słabła coraz bardziej, zatracając się w marzeniach, z oczyma utkwionymi w dali, w blaskach cudotwórczej Groty.

Piotr przeżył wówczas ciężkie dni. Naprzód stanowczo nie zgodził się towarzyszyć Marii w podróży. Potem zachwiał się w postanowieniu: gdyby zdecydował się na podróż, mógłby z niej skorzystać i podjąć na nowo badania nad sprawą Bernadety, której urocza twarz wyryła mu się w sercu. A w końcu uczuł, jak słodycz i nie wyznana nadzieja przenikają go na myśl, że może Maria ma dobre przecucia, że Najświętsza Panna mogłaby się także nad nim ulitować, powracając mu ślełą wiarę, wiarę małego dziecka, które kocha i nie dyskutuje. Ach, wierzyć z całej duszy, zatracić się w wierze! Na pewno nie może istnieć większe szczęście. Pragnął wiary z całą radością swojej młodości, z całym uczuciem, jakie żywił dla matki, z całą żarliwością, z jaką chciał uniknąć udręki rozumienia i wiedzenia, i usnąć na zawsze na łonie boskiej nieświadomości. Urocza i tchórzliwa była ta nadzieja, że przestanie istnieć, że będzie tylko jako rzecz w Bożych rękach. W ten sposób zrodziło się w nim pragnienie, aby podjąć ostateczną próbę.

W tydzień później pielgrzymka do Lourdes została postanowiona. Ale Piotr zażądał, aby Maria raz jeszcze zasięgnęła opinii lekarzy, chciał bowiem wiedzieć, czy naprawdę może ona znieść podróż; i oto stanęła mu przed oczyma jeszcze jedna scena; pewne jej szczegóły widział bardzo dokładnie, inne natomiast już zdążyły się zatrzeć. Dwaj lekarze, którzy już dawniej chorą leczyli i z których jeden twierdził, że to zerwanie więzadeł szerokich, a drugi, że porażenie wywołane uszkodzeniem rdzenia kręgowego, zgodzili się wreszcie, że to paraliż z powikłaniami, prawdopodobnie ze strony więzadeł; potwierdzały to wszystkie objawy, przypadek wydawał im się tak oczywisty, że nie zawahali się podpisać zaświadczeń, niemal jednobrzmiących, w których kategorycznie wyrażali swe zdanie. Poza tym uważali, że podróż jest możliwa, ale będzie 'bardzo ciężka. To wpłynęło ostatecznie na decyzję Piotra, ponieważ widział, że ci panowie są bardzo ostrożni i bardzo dbają o prawdę. Zachował mgliste jedynie wspomnienie o trzecim

lekarzu, nazwiskiem Beauclair, młodym swoim kuzynie, młodzieńcu o żywej inteligencji, mało jeszcze znanym i uchodzącym za dziwaka. Ten długo najpierw przyglądał się Marii i wypytywał o jej rodzinę, z zainteresowaniem słuchał, co mówiono mu o panu de Guersaint, architekcie skrzyżowanym z wynalazcą, o jego słabej i niespokojnej umysłowości; potem chciał zmierzyć pole widzenia chorej, a badając ją z wielką delikatnością, ustalił, że ból zlokalizował się ostatecznie w lewym jajniku i że przy nacisku ból ten jak gdyby podchodził do gardła, niby gęsta masa, która dusiła chorą. Zdawał się nie przywiązywać żadnej wagi do bezwładu nóg. A następnie, na postawione wprost pytanie, oświadczył, że trzeba ją zawieźć do Lourdes, że na pewno zostanie tam uzdrowiona, jeżeli sama w to wierzy. O Lourdes mówił z powagą; wystarczyło wierzyć; dwie jego pacjentki, bardzo nabożne, które wysłał tam w zeszłym roku, wróciły tryskające zdrowiem. Opisał nawet, jak odbędzie się cud: będzie to jak grom z jasnego nieba, jak nagłe przebudzenie, poryw całej istoty, a wtedy choroba, ten okrutny szatański ciężar, który dławił dziewczynę, podejdzie po raz ostatni do gardła i zniknie, jak gdyby wyszedł przez usta. Natomiast stanowczo odmówił wystawienia świadectwa lekarskiego. Nie doszedł do porozumienia. ze swoimi dwoma kolegami, którzy odnosili się do niego chłodno, widząc w nim umysł młody i awanturniczy; Piotr niejasno zapamiętał fragmenty dyskusji, rozpoczętej w jego obecności, urywki konsultacji sformułowane przez Beauclaira: skrzywienie macicy oraz lekkie uszkodzenie więzadeł w następstwie upadku z konia, później powolna regeneracja, powrót do poprzedniego stanu, po czym nastąpił szereg urazów nerwowych, tak że byłaby to już tylko obsesja poprzedniego lęku, z uwagą skupioną na uszkodzonym miejscu, u chorej unieruchomionej przez wzmagający się ból, niezdolnej już tło odbierania nowych wrażeń, chyba że towarzyszyłoby im wzruszenie gwałtowne jak smagnięcie bata. Dopuszczał ponadto niedostatecznie dotychczas zbadane zaburzenia w związku z odżywianiem, o których przebiegu i doniosłości sam jeszcze nie śmiał się wypowiadać. Myśl, że choroba Marii jest tylko urojeniem, że nękające ją straszliwe cierpienia pochodzą z obrażeń dawno już uleczonych, wydała się Piotrowi tak paradoksalna, gdy patrzył na jej agonię, na jej martwe nogi, że nie poświęcił temu baczniejszej uwagi, uszczęśliwiony samym faktem, iż wszyscy trzej lekarze zgodnie zezwalają na podróż do Lourdes. Wystarczyło mu, że ona może wyzdrowieć; gotów był jej towarzyszyć choćby na koniec świata.

Ach, te ostatnie dni w Paryżu! W jakim żyli rozgardiaszu! Ponieważ właśnie miała wyruszyć narodowa pielgrzymka, przyszło mu na myśl, aby Marię wpisać do Schroniska i w ten sposób uniknąć wielkich kosztów. Następnie musiał się wiele nabiegać, aby jego samego przyjęto do Schroniska Matki Boskiej Wybawicielki. Pan de Guersaint był zachwycony, gdyż kochał wieś i przyrodę i miał ogromną ochotę zwiedzić Pireneje, nie trapił się o nic, zgodził się bez najmniejszego sprzeciwu, aby młody ksiądz opłacił mu podróż i zajął się nim w hotelu 'w Lourdes, niby dzieckiem; a że starsza córka, Blanka, wsunęła mu w ostatniej chwili złotego

ludwika, czuł się bogaty jak Krezus. Biedna, bohaterska Blanka miała odłożone w tajemnicy pięćdziesiąt franków, które trzeba było od niej przyjąć, bo czułaby się bardzo urażona; ona również pragnęła przyczynić się do wyleczenia siostry, wyjechać zaś nie mogła, gdyż lekcje trzymały ją w Paryżu; gdy więc bliscy jej mieli ukłęknać w dalekiej, pełnej czarów Grocie, ona musiała dreptać po twardym miejskim bruku. Tak oto opuścili Paryż i teraz jechali... jechali...

Na stacji w Châtellerault Piotr otrząsnął się usłyszawszy nagły gwar, który wyrwał go z odrętwienia, w jakim pogrążyły go jego refleksje. Co się stało? Może to już Poitiers? Ale dochodziła dopiero dwunasta; to siostra Hiacynta kazała odmówić *Anioł Pański*, trzy razy po trzy *Zdrowaś Maria*. Głosy rwały się, po czym znowu wzbiła się pieśń i trwała, podobna do skargi. Jeszcze dwadzieścia pięć długich minut, zanim przybędą do Poitiers, gdzie, jak sądzili, półgodzinny postój przyniesie im ulgę w cierpieniach. Wszyscy czuli się tak źle, tak trzęsło w tym dusznym, rozżarzonej wagonie! Była to nędza zbyt wielka, grube łzy spływały po policzkach pani Vincent, pan Sabatier, tak zazwyczaj zrezygnowany, zaklął z cicha, a brat Izidor, Grivotte i pani Vètu wydawali się unieczestwieni, podobni do szczątków rozbitego okrętu, unoszonych falą. Maria, z zamkniętymi oczyma, nie odpowiadała już, nie chciała otworzyć oczu, prześladowana straszliwą wizją twarzy Elizy Rouquet, tej dziurawej i ziejącej głowy, która dla niej była obrazem śmierci. I gdy pociąg rozwijał coraz większą szybkość, wioząc coraz dalej tę ludzką rozpacz, pod ciężkim niebem, wśród rozpalonych równin, nowa groza padła na wszystkich: nieznajomy człowiek przestał oddychać, jakiś głos krzyknął, że to już pewnie koniec. **III**

W Poitiers, gdy tylko pociąg stanął, siostra Hiacynta szybko wysiadła, przeciskając się wśród dyżurnych, którzy otwierali okna, i tłoczących się pielgrzymów.

– Czekajcie, czekajcie – powtarzała. – Pozwólcie mi przejść, chcę zobaczyć, czy już naprawdę jest po wszystkim.

Gdy znalazła się już w sąsiednim przedziale, uniosła głowę nieznajomego, w pierwszej chwili pewna, że umarł, bo był blady, a oczy miał jakby puste. Ale dosłyszała słaby oddech.

– Nie! Nie! Oddycha! Prędko, trzeba się pośpieszyć! – I zwracając się do drugiej zakonnicy, która opiekowała się chorymi na tym krańcu wagonu, dodała: – Siostrzo Klaro od Aniołów, proszę pobiec i poszukać ojca Massias, który powinien być w trzecim lub czwartym wozie. Proszę mu powiedzieć, że mamy tu chorego, któremu grozi wielkie niebezpieczeństwo, i żeby przyszedł jak najprędzej ze świętymi olejami.

Zakonnica bez słowa zniknęła wśród tłumu. Była drobna, szczupła i łagodna, ze skupionym wyrazem twarzy, z oczami pełnymi tajemnic, a jednak bardzo energiczna.

Piotr, który przyglądał się tej scenie, stojąc w innym przedziale, pozwolił sobie na uwagę:

– A gdyby poszukać również lekarza?

– Oczywiście, myślałam już o tym – odpowiedziała siostra Hiacynta. – Och, księżo, gdyby ksiądz był łaskaw sam po niego pobiec!

Piotr właśnie wybierał się do wagonu-kantyny po bulion dla Marii. Chora czując się trochę lepiej, od – kiedy ustały wstrząsy pociągu, otworzyła oczy i prosiła ojca, aby pomógł jej usiąść. Miała wielką ochotę, aby ją choć na chwilę zniesiono na peron, gdyż ogromnie pragnęła odetchnąć świeżym powietrzem. Ale zdawała sobie sprawę, że wymagałaby za wiele, gdyż trudno byłoby ją wnieść z powrotem. Pan de Guersaint, który jak większość pielgrzymów i chorych zjadł śniadanie w wagonie, stanął na peronie koło otwartych drzwi i palił papierosa, a tymczasem Piotr pobiegł do wagonu-kantyny, gdzie też znajdował się lekarz dyżurny dysponujący małą apteczką.

W wagonie pozostali także i inni chorzy, bo trudno było myśleć o ruszaniu ich z miejsca. Grivotte dusiła się i majaczyła; zatrzymała nawet przy sobie panią de Jonquière, chociaż ta miała się spotkać w bufecie z córką Rajmundą oraz z paniami Volmar i Dètagneaux, gdzie chciały w czwórkę zjeść obiad. Jakże mogła zostawić samą, na twardej ławce, tę nieszczęsną dziewczynę, jak się zdawało, w agonii? Manta również nie ruszyła się z miejsca, została przy bracie, misjonarzu, który nieustannie jęczał po cichu. Przykuty do miejsca pan Sabatier oczekiwał żony, która poszła przynieść mu winogron. Inni, którzy mogli chodzić, właśnie przed chwilą tłoczyli się przy wyjściu, pragnąc choćby na chwilę uciec z tego wagonu-koszmaru, gdzie drętwieli od siedmiu długich godzin, które upłynęły od wyjazdu. Pani Maže natychmiast odłączyła się od gromady, poszła w odludny kraniec peronu i tam błąkała się w swoim smutku. Ogłupiała od cierpień pani Vetu z trudem uczyniła parę kroków, po czym upadła na ławkę, w pełnym słońcu, którego spiekoty nie czuła; Eliza Rouquet znów owiązała sobie twarz czarną chustką i szukała studni, pożerana pragnieniem, aby napić się zimnej wody. Pani Vincent nosiła na ręku małą Różę, starała się do niej uśmiechać i rozweselić ją pokazując jaskrawe obrazki, na które dziecko poważnie patrzyło niewidzącymi oczyma.

Tymczasem Piotr z największym trudem torował sobie drogę pośród tłumu zalewającego peron. Niewiarygodna była ta żywa fala, kaleki i ludzie zdrowi, których pociąg tu wyrzucił, ponad osiemset osób, które biegały, kręciły się, tłoczyły. Każdy wagon ukazywał swoją nędzę, jak sala ewakuowanego szpitala; można było teraz ocenić, jaką przerażającą sumę nieszczęść wiozł ten okropny biały pociąg, wokół którego rodziła się po drodze straszliwa legenda. Jedni chorzy wlekli się sami, innych niesiono, wielu stłoczono na peronie. Tworzyły się nagłe zatory, słychać było głośnie okrzyki, ludzie pędzili w stronę bufetu i pijalni. Każdy się śpieszył, zajęty swoimi sprawami. Krótki był ten półgodzinny postój, jedyny, jaki przewidziano przed Lourdes. Odrębny wesoły akcent pośród czarnych sutann i biedaków w znoszonej, bezbarwnej odzieży stanowiła radosna biel siostrzyczek od Wniebowzięcia Matki Boskiej, żwawo uwijających się w śnieżnych kornetach i fartuchach. Gdy wreszcie Piotr dobrnął do wagonu-kantyny,

znajdującego się w połowie pociągu, i tam już panował tłok. Była tam kuchnia naftowa i trochę najpotrzebniejszych sprzętów kuchennych. Bulion, przyrządzony z ekstraktu wywaru mięsnego, podgrze wano w kociołkach z żelaznej blachy, zaś skondensowane mleko w puszkach objętości jednego litra również rozcieńczano i wydawano w miarę potrzeby. Inne zapasy, jak biszkopty, owoce i czekolada, złożone były w czymś podobnym do szafy. Widząc przed sobą chciwie wyciągające się ręce, siostra z zakonu Świętego Franciszka, pełniąca tam dyżur, kobieta lat czterdziestu pięciu, niska i tęga, z poczciwą świeżą twarzą, traciła po trochu głowę. Nie przestając rozdawać żywności, słuchała słów Piotra rozmawiającego z lekarzem, który jechał w innym przedziale tego wagonu i miał z sobą podróżną apteczkę. Po chwili, gdy młody ksiądz wyjaśnił, o co chodzi, i wspomniał o umierającym nieszczęśniku, znalazła kogoś, kto. ją zastąpił, i oświadczyła, że ona także pójdzie zobaczyć chorego.

– Ale, siostrze, ja właśnie chciałem prosić o bulion dla chorej.

– Doskonale, proszę księdza, więc ja go zaniosę, proszę iść przodem.

Pośpieszyli się; obaj mężczyźni wymieniali po drodze szybkie pytania i odpowiedzi, a za nimi szła siostra franciszkanka, ostrożnie niosąc kubek rosółu pośród potracającego się tłumu. Lekarz był to młody człowiek, brunet lat około dwudziestu ośmiu, krzepki, bardzo przystojny, z głową młodego imperatora rzymskiego; tacy rodzą się jeszcze na spalonych słońcem polach Prowansji. Gdy siostra Hiacynta zobaczyła go, zdziwiła się i zawołała:

– Co widzę! To pan, panie Ferrand?

Oboje byli zdumieni spotkaniem. Siostry od Wniebowzięcia mają piękny obowiązek pielęgnowania chorych, ale tylko chorych ubogich, którzy nie mogą nic płacić i samotni konają na poddaszach, w mansardach; zakonnice te spędzają życie wśród nędzarzy, zasiadają przy barłogach, w ciasnych izbach, oddają najniższe posługi, gotują, sprzątaj, żyją jak służące lub jak krewne, aż do wyzdrowienia lub śmierci. W ten właśnie sposób siostra Hiacynta, tak jeszcze młoda, z mleczną twarzą, w której nie – ustannie śmiały się niebieskie oczy, zasiadła pewnego dnia u wezglowia tego chłopca, wówczas studenta, chorego na tyfus i tak biednego, że mieszkał przy ulicy du Four na strychu u szczytu stromych schodów, pod samym dachem. Nie opuściła go, uratowała z właściwą sobie pasją życia tylko dla bliźnich, bo – jako dziecko niegdyś znalezione u kościelnej bramy – za całą rodzinę miała cierpiących, dla których poświęcała się, przeniknięta żarliwą potrzebą kochania. I jakież to był uroczy miesiąc, jakie potem cudowne koleżeństwo zawarte w czystym braterstwie cierpienia! Gdy wołał do niej: „Siostrze!”, zwracał się naprawdę do siostry. Była też matką, podnosiła go i kładła jak dziecko, przy czym nie wyrosło między nimi nic poza najwyższą litością, boskim rozculeniem miłosierdzia. Była zawsze wesoła, wydawała się istotą bez płci, ożywiona tylko jednym instynktem: niesienia ulgi i pociechy. Ferrand wielił ją, czcił i zachował o niej najczystsze i najgorętsze wspomnienie..

– Och, siostrze Hiacynto! Siostrze Hiacynto! – szeptał zachwycony.

Zetknął ich czysty przypadek, Ferrand bowiem był niewierzący, a w pociągu znalazł się tylko dlatego, że w ostatniej chwili zgodził się zastąpić przyjaciela, któremu coś nagle stanęło na przeszkodzie. Od roku prawie odbywał praktykę w szpitalu La Pitié. Podróż do Lourdes w tak szczególnych warunkach zainteresowała go.

Radość ze spotkania sprawiła, że zapomnieli o chorym. Zakonnica wnet wróciła do rzeczywistości.

– Panie doktorze, to właśnie z powodu tego biedaka... Przez chwilę myśleliśmy, że nie żyje... Od Amboise tak się niepokoimy i już nawet posłałam po księdza, aby udzielił ostatniego namaszczenia... Czy pan uważa, że już tak z nim źle? Czy nie można by mu dać coś na wzmocnienie?

Młody lekarz już badał nieznanego, a tymczasem inni chorzy, pozostali w wagonie, przyglądali się z ogromną uwagą. Maria, której siostra od Świętego Franciszka podała kubek bulionu, trzymała go ręką tak niepewną, że Piotr musiał sam go wziąć i usiłował ją napić; ale Maria z trudem przetykała płyn i nie dokończyła bulionu; czekała z oczyma utkwionymi w obcym człowieku, jak gdyby chodziło o jej własne życie. – Doktorze – spytała znowu siostra Hiacynta – jak go pan znajduje? Co to za choroba?

– Ach, jaka choroba – szepnął Ferrand. – Ależ wszystkie naraz!

Potem wyjął z kieszeni małą fiolkę i próbował wlać z niej parę kropeł między zaciśnięte zęby chorego. Ten westchnął, uniósł powieki, opuścił je; i to było wszystko; nie dał innego znaku życia.

Siostra Hiacynta, tak zazwyczaj opanowana i nigdy nie poddająca się rozpacz, zniecierpliwiła się.

– Ależ to straszne. A siostra Klara od Aniołów nie wraca! Przecież dokładnie jej wytłumaczyłam, gdzie znajdzie ojca Massias... O Boże! Co to będzie?

Widząc, że na nic się tu nie przyda, zakonnica od Świętego Franciszka miała już wrócić do swego wagonu. Przedtem jednak zapytała, czy może ten człowiek nie umiera po prostu z głodu, bo takie rzeczy zdarzały się, a ona przyszła właśnie zaofiarować żywność, jaką miała do dyspozycji. Odchodząc obiecała, że jeśli spotka siostrę Klarę od Aniołów, przynagli ją do pośpiechu; nie zrobiwszy jeszcze nawet dwudziestu kroków, odwróciła się i ukazała szerokim gestem zakonnice, która wracała sama, dyskretnym, drobnym krokiem.

Wychylona z okna siostra Hiacynta powtarzała:

– Sostro, prędzej, prędzej!... Gdzie jest ojciec Massias?

– Nie ma go tam!

– Jak to? Nie ma go?

– Nie, na próżno przeciskałam się, trudno przebić się wśród takiej ciżby. Gdy dobiegłam do wagonu, nie zastałam już ojca Massias, który zapewne wyszedł poza dworzec.

Wyjaśniła, że ksiądz ten, tak jej mówiono, podobno miał się spotkać z proboszczem z Sainte-Radegonde. W poprzednich latach pielgrzymka narodowa zatrzymywała się tutaj na dwadzieścia cztery godziny; chorych umieszczano w szpitalu miejskim, pielgrzymi udawali się z procesją do Sainte-Radegonde. Ale w tym roku zaszła jakaś przeszkoda, pociąg miał jechać prosto do Lourdes; ojciec Massias na pewno już spotkał się z proboszczem, bo mieli coś razem omówić. – Obiecano mi, że jak go tylko odszukają, zaraz mu powiedzą, aby przyszedł tu ze świętymi olejami.

Siostrze Hiacyncie wydawało się to prawdziwą klęską. Skoro wiedza okazała się bezsilna, może święte oleje przyniosłyby choremu ulgę? Nieraz już takie rzeczy widziała.

– Och, siostrze, siostrze, jakaż jestem zmartwiona! A gdyby siostra była tak dobra, wróciła tam, zaczekała na ojca Massias i przyprowadziła go tutaj, gdy tylko się zjawi?

– Tak, siostrze – powiedziała krótko siostra Klara od Aniołów i oddaliła się z poważną i tajemniczą twarzą, wślizgując się w tłum ze zwinnością istoty bezcielesnej.

Ferrand wciąż przyglądał się obcemu, zrozpaczony, że nie może sprawić siostrze Hiacyncie przyjemności i przywrócić sił biedakowi. A gdy uczynił gest bezradności, ona jeszcze go błagała:

– Panie doktorze, proszę jeszcze nie odchodzić, proszę poczekać, aż przyjdzie ksiądz... Będę trochę spokojniejsza.

Został, pomógł jej podnieść nieznajomego, który osuwał się z ławki. Zakonnica wzięła ręcznik i otarła choremu twarz, która nieustannie pokrywała się kroplistym potem. I oczekiwanie trwało nadal w atmosferze niepokoju, jaki ogarnął pozostałych w wagonie chorych, podczas gdy z zewnątrz zaczęli się gromadzić ciekawscy. Jakaś młoda dziewczyna żywo odsunęła tłum, stanęła na stopniu wagonu i zawołała do pani de Jonquièrre:

– Co się z tobą dzieje, mamusiu? Obie panie czekają w bufecie!

Była to Rajmunda de Jonquièrre, trochę zbyt dojrzała na swoje skończone lat dwadzieścia pięć, uderzająco podobna do matki, silna brunetka z wydatnym nosem, dużymi ustami, twarzą pełną i miłą.

– Ale, widzisz, moje dziecko, nie mogę opuścić tej biednej kobiety.

I wskazała Grivotte, wstrząsaną właśnie okrutnymi atakami kaszlu.

– Och, manio, co *za* przykrość! Pani D ssagneaux i pani Volmar tak się cieszyły na to nasze śniadanie w czwórce! – Trudno, moje biedne dziecko... Zaczynajcie beze mnie. Powiedz paniom, że jak tylko będę mogła, zaraz przybiegnę.

Potem przyszło jej coś na myśl:

– Czekaj, jest tutaj lekarz, spróbuję oddać mu w opiekę moją chorą... Idź, a ja zaraz przyjdę. Bo trzeba ci wiedzieć, że umieram z głodu!

Rajmunda pośpiesznie zawróciła do bufetu, a pani de Jonquièrre gorąco poprosiła Ferranda, aby zaszedł do jej przedziału i zobaczył, czy nie mógłby przynieść ulgi cierpieniom Grivotte. Już

na prośbę Marty zbadał był brata Izydora, który ani na chwilę nie przestawał jęczeć, ale i tym razem Ferrand gestem pełnym rozpaczy wyznał, że jest bezsilny. Mimo to szybko spełnił prośbę pani de Jonquière, podniósł i usadowił suchotnicę, w nadziei, że w ten sposób uśmierzy kaszel, który istotnie pomału ustawał. Następnie pomógł pani de Jonquière, która wlała chorej do ust lek uspokajający. W wagonie obecność lekarza podziałała ożywczo na chorych. Pan Sabatier, który powoli jadł przyniesione mu przez żonę winogrona i który nie pytał go o nic, gdyż z góry znał odpowiedź i był już znużony zasięganiem rady, jak powiadał, u wszystkich ksiąząt wiedzy, niemniej poczuł się lepiej, gdy zobaczył, jak skutecznie lekarz śpieszy z pomocą biednej dziewczynie, której sąsiedztwo sprawiało mu wielką przykrość. Nawet Maria patrzyła na krzątanie Ferranda z rosnącym zainteresowaniem, nie mając wszakże odwagi wezwać go do siebie, pewna, że i w tym wypadku byłby bezsilny.

Na peronie tłok wzrastał. Pozostawało już tylko piętnaście minut czasu. Pani Vetu, jak gdyby straciła wszelką wrażliwość, z oczyma otwartymi, ale niewidzącymi, usypiała swój ból pod spiekotą południowego słońca, a przed nią, wciąż tym samym kołyszącym krokiem, pani Vincent chodziła ze swoją Różą, nie cięższą od chorego ptaszka, tak że niemal nie czuła jej w ramionach. Ludzie biegali gromadnie do studni, aby napełnić dzbany, manierki i butelki. Pani Maze, bardzo wrażliwa i delikatna, zapragnęła również pójść tam i umyć ręce; ale gdy podeszła, natknęła się na Elizę Rouquet, która właśnie piła wodę, i cofnęła się przed potworem, przed tą psią głową z okaleczonym pyskiem, która nadstawiała ukośną szczelinę swej rany, wysuwała język i chłęptała; wszystkich przeszył ten sam dreszcz, to samo wahanie, czy napełniać butelki, dzbany i manierki u tej samej studni, gdzie ona się napiła. Wielu pielgrzymów pożywiało się siedząc wzdłuż peronu. Słychać było stukot kul jakiejś kobiety, bezustannie chodzącej tam i z powrotem pomiędzy grupami. Po ziemi włókł się z trudem kaleka bez nóg, szukając nie wiadomo czego. Inni, siedząc w gromadzie, nie ruszali się z miejsca. Cały ten na chwilę rozpakowany kram, ten wędrowny szpital ewakuowany na pół godziny, ubogi i przerażająco smutny, zażywał powietrza w pełnym świetle południa, wśród trwożnego podniecenia ludzi zdrowych.

Piotr nie opuszczał Marii, gdyż pan de Guersaint znikł, zwabiony zieleniejącą smugą krajobrazu, którą widać było tuż za dworcem. Młody ksiądz, zmartwiony, że Maria nie wypila bulionu, usiłował z uśmiechem pobudzić apetyt chorej, ofiarowując się, że pójdzie jej kupić, brzoskwinie, ale ona bronila się, zbyt teraz cierpiała, na nic nie miała ochoty. Patrzyła na niego wielkimi zrozpaczonymi oczyma; niecierpliwość wywołana postojem, który oddalał chwilę spodziewanego uzdrowienia, walczyła w niej ze strachem, że znowu zazna wstrząsów podczas tej ciężkiej nie kończącej się jazdy.

Jakiś tęgi pan zbliżył się, dotknął ramienia Piotra. Był siwawy, miał długą brodę i szeroką twarz o dobrodusznym wyrazie.

– Przepraszam księdza, czy to w tym wagonie jest nieszczęśliwy chory, który kona?

A gdy ksiądz dał odpowiedź twierdzącą, jegomość stał się jeszcze bardziej wylewny i poufały.

– Nazywam się Vigneron, jestem zastępcą naczelnika w Ministerium Finansów i poprosiłem o urlop chcąc wraz z żoną towarzyszyć naszemu synowi Gustawowi do Lourdes... Biedne dziecko całą nadzieję pokłada w Najświętszej Panience, do której modlimy się za niego rano i wieczór... Jedziemy tam, w wagonie poprzedzającym wagon księdza, gdzie zajmujemy przedział drugiej klasy. – Odwrócił się i wezwał rodzinę ruchem ręki. – Chodźcie, chodźcie, to tutaj. Ten biedak jest naprawdę w opłakanym stanie.

Pani Vigneron była niska, a jej długa i blada twarz poprawnej mieszczyki odznaczała się bezkrwistością, która w straszny sposób powtarzała się u jej syna Gustawa. Miał on lat piętnaście, a wy – glądał na dziesięć zaledwie, wykrecony, chudy jak szkielet, z prawą nogą uschniętą i zmarniałą, tak że musiał chodzić o kuli. Miał szczupłą drobną twarz, trochę wykrzywioną, w której widziało się tylko oczy, ale oczy tryskające inteligencją, wyostrome cierpieniem, na pewno sięgające w głąb duszy ludzkiej.

Za nimi postępowała stara dama o twarzy rozlanej, z trudem powłócząca nogami; pan Vigneron, który uprzytomnił sobie, że dotąd o niej nie wspomniał, zwrócił się do Piotra, aby dokończyć prezentacji:

– A to jest pani Chaise, starsza siostra mojej żony; ona również zapragnęła towarzyszyć Gustawowi, którego bardzo kocha. – I pochyliwszy się dodał cicho, z poufałą miną: – Pani Chaise jest wdową po kupcu jedwabi... nadzwyczaj bogata. Jest chora na serce i ogromnie się tym niepokoi.

Cała rodzina, zbита w gromadkę, z ciekawością patrzyła na to, – co działo się w wagonie. Ludzi zbierało się coraz więcej, więc ojciec chcąc, aby syn też mógł coś zobaczyć, podniósł go na chwilę, a tymczasem ciotka trzymała kulę, matka zaś sama wspierała się na palce.

Wagon przedstawiał wciąż jednaki widok, nieznanemu człowiekowi siedział w swoim kącie, sztywny, z głową wspartą o twardą dębową ściankę. Był siny, oczy miał zamknięte, usta wykrzywione agonią, zlany był lodowatym potem, który mu siostra Hiacynta od czasu do czasu ścierała ręcznikami; zakonnica nic już nie mówiła, przestała się niecierpliwić, odzyskała zwykłą pogodę licząc na Niebo, od czasu do czasu tylko rzucała okiem po peronie, aby zobaczyć, czy nie nadchodzi ojciec Massias.

– Patrz uważnie, Gustawie – rzekł pan Vigneron do syna – to chyba musi być suchotnik.

Chłopiec, nękany skrofułami, z biodrem stoczonym przez zimny ropień, z początkami martwicy kręgosłupa, zdawał się namiętnie interesować tą agonią. Nie czuł lęku, uśmiechał się bezgranicznie smutnym uśmiechem.

– Ach, jakie to okropne – szepnęła pani Chaise blednąc na myśl o śmierci, żyła bowiem w stałej obawie przed atakiem sercowym, który mógłby ją zabić.

– Do licha! – rzekł filozoficznie pan Vigneron. – Na każdego przyjdzie kolej, wszyscy jesteśmy śmiertelni. Na te słowa w uśmiechu Gustawa pojawiła się bolesna drwina, jak gdyby usłyszał jakieś inne słowa, jakieś podświadome życzenie, nadzieję, że stara ciotka umrze przed nim, że on odziedziczy przyrzeczone pięćset tysięcy franków i że on sam niedługo będzie się naprzykrzał rodzicom.

– Postaw go na ziemi – rzekła pani Vigneron do męża. – Męczy się, gdy go tak trzymasz za nogi.

I szybko podeszła wraz z panią Chaise, aby oszczędzić chłopcu wszelkiego wstrząsu. To drogie biedactwo wymaga tylu starań! Żyli w nieustannym lęku, że go utracą. Ojciec był zdania, że najlepiej byłoby zanieść go od razu do przedziału. Gdy obie kobiety zabrały chłopca, pan Vigneron, bardzo wzruszony, dodał jeszcze, zwracając się znowu do Piotra:

– Ach, księżu, gdyby Pan Bóg zabrał go nam, dla nas życie byłoby skończone... Nie mówię już o tym, że majątek jego ciotki przeszedłby na innych siostrzeńców. To byłoby, nieprawdaż, sprzeczne z naturą, aby on miał umrzeć przed nią, zwłaszcza wobec takiego stanu jej zdrowia... Trudno, wszyscy jesteśmy w ręku opatrności i pokładamy ufność w Najświętszej Pannie, która na pewno pokieruje wszystkim jak najlepiej.

Pani de Jonquère, uspokojona przez doktora Ferrand, mogła wreszcie odejść od biednej Grivotte. Ale wpięrow jeszcze zwróciła się do Piotra:

– Umieram z głodu, biegnę na chwilę do bufetu... Ale gdyby moja chora zaczęła znowu kaszleć, proszę przyjść po mnie.

W bufecie, gdy z wielkim trudem udało się jej przebrnąć przez peron, wpadła w nową ciżbę. Zamożni pielgrzymi szturmowali stoły, zwłaszcza tłoczyło się tutaj, wśród szczęku widelców, noży i talerzy, wielu duchownych. Trzech lub czterech kelnerów nie mogło zapewnić należytej obsługi, tym bardziej że tłum stał im na drodze, cisnął się przy ladzie, kupował owoce, bułki, zimne mięsiwo. W głębi sali, przy małym stoliku, siedziała i jadła śniadanie Rajmunda w towarzystwie pani Desagneaux i pani Volmar.

– Ach, mama, nareszcie! – zawołała. – Już miałam znowu iść po ciebie. Przecież muszą ci pozwolić coś zjeść.

Śmiała się, bardzo podniecona i szczęśliwa z przygód w podróży, z tego naprędce zaimprovizowanego posiłku. – Patrz, zostawiłam ci porcję pstrąga w zielonym sosie, a tu czeka kotlet... My już jesteśmy przy karczoach.

Wszystko to było cudowne. Tworzyły wesołą grupkę, na którą przyjemnie było spojrzeć!

Zwłaszcza młoda pani Desagneaux była urocza; delikatna blondynka, z jasnobłond włosami, nieposłusznymi i puszystymi, z drobną mlecznobiałą twarzą, okrągłą, pełną dołeczków, wielka śmieszka o prawdziwie złotym sercu. Wydana bogato za mąż, pozostawiała od trzech lat męża w Trouville, w połowie sierpnia, aby wziąć udział w pielgrzymce narodowej jako pielęgniarzka;

była to jej wielka namiętność, pełna drzenia litość, potrzeba dania z siebie chorym wszystkiego przez tych pięć dni, istna rozpusta absolutnego poświęcenia, po czym wracała zmordowana i szczęśliwa. Jedynym jej zmartwieniem było, że nie miała jeszcze dziecka, a czasem znów żałowała w zabawnym uniesieniu, że nie uświadomiła sobie dość wcześnie powołania na siostrę miłosierdzia.

– Ach, moja droga – powie”działa żywo do Rajmundy – nie użalaj się nad matką, że tak ją absorbują jej chorzy. Przynajmniej się nie nudzi. – A zwracając się do pani de Joriquière dorzuciła: – Gdyby pani wiedziała, jak bardzo dłużą się nam godziny w naszym pięknym przedziale pierwszej klasy! Nie można nawet zająć się robótkami, to zabronione. Prosiłam, aby umieszczono mnie z chorymi, ale wszystkie miejsca były zajęte i skazana zostałam na drzemanie w moim kąci. – Zaśmiała się i powiedziała jeszcze do pani Volmar: – Prawda, proszę pani, że będziemy spały, gdyż rozmowa zdaje się panią męczyć

Pani Volmar, która wyglądała na osobę po trzydziestce, ciemna brunetka z pociągłą twarzą, wydłużonymi subtelnymi rysami, miała ogromne, wspaniałe oczy, dwa płomienie, przez które chwilami przesuwał się jakiś woal, jakaś mora, zdająca się je przyćmiewać. Na pierwszy rzut oka nie była piękna, ale w miarę jak się na nią patrzyło, stawała się niepokojąca, zaborcza, pożądana, budziła namiętność i rozterkę. Zresztą starała się nie zwracać na siebie uwagi, zachowywała się bardzo skromnie, usuwała się na dalszy plan, zawsze czarno ubrana, bez klejnotów, chociaż mąż jej handlował diamentami i perłami. – Ach, co do mnie – szepnęła – byle mnie zbyt nie potrącano, jestem całkiem zadowolona.

Chociaż dwa razy już jeździła do Lourdes jako siła pomocnicza, jednakże nikt jej jeszcze nie spotkał w Szpitalu Matki Boskiej Bolesnej, ponieważ *od* chwili przyjazdu tak była zmęczona, iż – jak tłumaczyła – zmuszona była pozostać w swoim pokoju.

Pani de Jonquière, kierowniczką sali, okazywała jej wiele serdeczności i wyrozumiałości.

– O Boże, moje drogie biedactwa, jeszcze zdążycie się dobrze namęczyć. Spijcie więc, jeżeli tylko możecie, bo potem, kiedy ja nie będę się już mogła utrzymać na nogach, przyjdzie wasza kolej. – Powiedziała jeszcze zwracając się do córki: – Ty, moja miła, nie powinnaś się tak wszystkim przejmować, jeżeli nie chcesz stracić głowy.

Rajmunda spojrzała na nią i uśmiechnęła się z wyrzutem.

– Mamo, mamo, dlaczego to mówisz?... Czyż nie jestem osobą rozsądną?

I zapewne nie była to przechwałka, gdyż w jej szarych oczach, spod pozorów beztroskiej, radej z życia młodości wyczierała silna wola, postanowienie, aby samej zdecydować o swoim życiu.

– To prawda – przyznała matka, trochę zmieszana – ta dziewczynka ma czasem więcej rozumu niż ja... A teraz przysuń mi kotlet, a zapewniam cię, że zostanie dobrze przyjęty. O Boże, jaka ja byłam głodna!

Śniadanie trwało dalej, rozweselane ciągłym śmiechem pani Desagneaux i Rajmundy, która ożywiła się; twarz jej, którą oczekiwanie na męża powlokło lekką żółtawą barwą, odzyskiwała różowy blask lat dwudziestu. Zajadały szybko, bo pozostało do odjazdu już tylko dziesięć minut. W całej sali rozlegał się wciąż wzrastający gwar biesiadników, którzy bali się, że nie zdążą wypić kawy.

W tej chwili ukazał się Piotr: Grivotte znowu dostała duszności; pani de Jonquièrre uporała się ze swoim karczochem i wróciła do wagonu ucałowawszy wprzód córkę, która pożegnała ją wesoło. Tymczasem ksiądz ledwie zdołał powstrzymać odruch zdziwienia na widok pani Volmar z czerwonym krzyżem pań pielęgniarek na bluzce. Znał ją, niekiedy składał wizyty starszej pani Volmar, matce jubilera, która była dawną znajomą jego matki: najgroźniejsza z kobiet, przesadnie religijna, twarda i tak surowa, że zamykała okiennice, aby synowa nie wyglądała na ulicę. Znał historię młodej kobiety, uwięzionej nazajutrz po ślubie pomiędzy teściową, która ją terroryzowała, a mężem, człowiekiem podłym i potwornie brzydkim, który, szalejąc z zazdrości, bił ją nawet, chociaż sam utrzymywał dziewczęta. Nie wypuszczali jej z domu ani na chwilę, chyba na mszę. Piotr pewnego dnia u Świętej Trójcy przychwycił jej tajemnicę: zobaczył, jak za kościołem wymieniła szybko parę słów z jakimś eleganckim, przyzwoicie wyglądającym panem; upadek nieunikniony, ale jakże zasługujący na przebaczenie, grzech w ramionach dyskretnego przyjaciela, którego los nadarzył, namiętność skryta i pożerająca, która tak pali, że niepodobna jej ugasić, przygotowane z niezmiernym trudem, wyczekiwane całymi tygodniami spotkanie, z którego korzysta się żarłocznie, w nagłym rozplóceniu pożądania!

Zmieszała się, podała mu małą, szczupłą i ciepłą rękę.

– Cóż za spotkanie, księżę... Nie widzieliśmy się tak dawno! I wyjaśniła mu, że już po raz trzeci jedzie do Lourdes, że

świekra zmusiła ją do wstąpienia do Stowarzyszenia Matki Boskiej Wybawicielki.

– Dziwne, że ksiądz nie zauważył jej na dworcu, zawsze odprowadza mnie do pociągu i za powrotem oczekuje mnie.

Wyrzekła te słowa bardzo naturalnie, ale błysnęło w nich ostrze tak głębokiej ironii, że Piotr doszedł do wniosku, iż ją przejrzał. Wiedział, że jest niewierząca, że od czasu do czasu bywa w kościele tylko dlatego, aby zdobyć godzinę swobody, i nagle domyślił się, że w Lourdes ktoś na nią czeka. Widocznie biegła tak na spotkanie swojej namiętności z tą zgaszoną a żarliwą twarzą, z gorejącymi oczyma, których płomień tłumiała pod woalem martwej obojętności.

– Ja – powiedział z kolei – towarzyszę przyjaciółce z lat dziecinnych, biednej chorej... Polecam ją pani, będzie ona pod pani opieką.

Gdy zarumieniła się lekko, nie miał już żadnej wątpliwości. Tymczasem Rajmunda regulowała rachunek, z pewnością siebie osóбки, która zna się na cyfrach; pani Desagneaux odeszła z panią Volmar. Kelnerzy uwijali się jeszcze szybciej, ludzie wstawali od stolików

i tłoczyli się słysząc dźwięk dzwonka.

Piotr także śpieszył się, aby na czas wrócić do swego wagonu, ale znów go zatrzymano.

– Ach, to ksiądz proboszcz! – zawołał. – Widziałem księdza, gdyśmy wyjeżdżali, ale nie udało mi się podejść i przywitać się.

I wyciągnął rękę do starego, poczciwie wyglądającego księdza, który patrzył na niego z uśmiechem. Ksiądz Judaine był proboszczem w Saligny, małej gminie w departamencie Oise. Wysoki, tęgi, miał dużą różową twarz otoczoną siwymi puklami; czuło się w nim świętego człowieka, którego nie dręczyło nigdy ciało ani umysł. Uosobienie spokojnej niewinności, wierzył mocno, ślepo, bez żadnych walk, łatwą wiarą dziecka, nie znającego, co to namiętność. Odkąd Najświętsza Panna uzdrowiła go w Lourdes z choroby oczu – był to głośny cud, o którym wciąż jeszcze mówiono – wiara jego stała się jeszcze bardziej ślepa i tkliwa, jak gdyby przesycona boską wdzięcznością.

Cieszę się, że widzę cię tu wśród nas, mój drogi – rzekł łagodnie – gdyż młodzi księża mogą odnieść wielkie korzyści z tych pielgrzymek... Mówiono mi, że nieraz opanowuje ich duch buntu... Zobaczysz, jak wszyscy ci biedni ludzie modlą się... Jest to widok wyciskający łzy z oczu... Jakże nie oddać się w ręce Boga w obliczu tylu cierpień uzdrowionych lub pocieszonych!

On także towarzyszył pewnej chorej. Wskazał jeden z przedziałów pierwszej klasy, gdzie umieszczono kartkę z napisem: „Ksiądz Judaine, zarezerwowane.” Zniżając głos dodał:

– Jest to pani Dieulafay, wie ksiądz, żona tego wielkiego bankiera. Zamek ich, posiadłość iście królewska, należy do mojej parafii; gdy się dowiedzieli, że Najświętsza Panna raczyła mi okazać szczególniejszą łaskę, błagali mnie, abym wstawił się za biedną chorą. Odprawiłem już msze, czyniłem żarliwe śluby... Widzi ją ksiądz, tam, na peronie. Koniecznie chciała, żeby ją wyniesiono na chwilę, mimo że będą wielkie trudności z załadowaniem jej z powrotem. Na peronie, w cieniu, istotnie leżała w długiej jak gdyby skrzyni kobieta, której piękna twarz o czystym owalu nie wskazywała na więcej jak dwadzieścia sześć lat. Dręczyła ją okrutna choroba, zanik soli wapniowych powodujący rozmiękanie kośćca, powolne zniszczenie całego układu kostnego. Przed dwoma laty, urodziwszy martwe dziecko, poczuła lekkie bóle w kręgosłupie. Następnie kości jej pomału miękły i ulegały zniekształceniu, kręgi wiotczały, kości miednicy spłaszczyły się, a kości rąk i nóg stawały się coraz krótsze i cieńsze, cała postać jak gdyby stopniała, chora była już tylko ludzkim strzępem, rzeczą płynną, bez nazwy, która nie może utrzymać się na nogach, którą przenosiło się z miejsca na miejsce z tysiącem ostrożności, w strachu, że przecieknie między palcami. Głowa zachowała dawną urodę – głowa nieruchoma, z wyrazem otępienia i bezmyślności. Wobec tych żalonych resztek kobiety bardziej przejmujący był widok otaczającego ją zbytku, skrzyni wybitej niebieskim jedwabiem, okrywających ją cennych koronek, czepka z walansjenek, bogactwa, jakie roztaczała nawet w godzinie konania. –

Ach, cóż za niedola! – mówił dalej półgłosem ksiądz Judaine. – Taka młoda, taka ładna, milionerka! I gdyby ksiądz wiedział, jak była kochana, jakie uwielbienie dziś jeszcze ją otacza... To jej mąż, ten wysoki pan stojący obok; a to jej siostra, pani Jousseur, ta wytworna dama.

Piotr przypomniał sobie, że często spotykał w prasie nazwisko pani Jousseur, żony dyplomaty, bardzo znanej w wytwornych paryskich kołach katolickich. Krążyła nawet jakaś historia o wielkiej, zwalczanej i pokonanej namiętności. Pani Jousseur była bardzo ładna, ubrana z cudownym kunsztem prostoty; z całym poświęceniem krzątała się wokół swej smutnej siostry. Mąż chorej, który właśnie, w trzydziestym piątym roku życia, odziedziczył po ojcu ogromny dom bankowy, był to urodziwy mężczyzna o jasnej cerze, starannie wypielęgnowany, w obcisłym czarnym surducie; oczy miał pełne łez, gdyż uwielbiał żonę; aby zawieźć ją do Lourdes, porzucił interesy, ostatnią nadzieję pokładał bowiem w odwołaniu się do boskiego miłosierdzia. Od rana Piotr dość już napatrzył się straszliwym ludzkim nieszczęściom w tym bolesnym białym pociągu. Żadne z nich jednak nie wzburzyło w nim duszy tak jak ów niewieści szkielet, który topniał wśród, koronek i milionów.

– Nieszczęsna! – szepnął przejęty dreszczem.

Ksiądz Judaine odpowiedział głosem pogodnej nadziei:

– Najświętsza Panna ją uzdrowi; tak ją o to błagałem! Rozległ się jeszcze jeden dzwonek, i tym już razem oznaczał

odjazd. Pozostało jeszcze dwie minuty. Poderwała się ostatnia fala tłumu. Ludzie wracali z żywnością opakowaną w papier, z butelkami i manierkami napełnionymi u studni. Wielu błądziło, nie mogło odszukać swego wagonu i biegło w popłochu wzdłuż pociągu; chorzy wlekli się z gorączkowym stukotem kul, a inni, którzy poruszali się z trudem, usiłowali przyśpieszyć kroku, wsparci na ramionach pań pielęgniarek. Czterej ludzie z niesłychanym wysiłkiem wnieśli panią Dieulafay do przedziału pierwszej klasy. Państwo Vigneron, którzy poprzestali na drugiej klasie, usadowili się już na miejscach, wśród takiego mnóstwa koszyków, skrzynek, waliz, że niewiele już miejsca zostało dla małego Gustawa, aby mógł wyciągnąć swe nieszczęsne członki poronionego owada. Kolejno zjawily się wszystkie podróżne: pani Maze, która wśliznęła się w milczeniu, pani Vincent unosząca wysoko w ramionach ukochaną córeczkę, w strachu, że znów usłyszy jej krzyk; pani Vetu, którą trzeba było przynaglać, a przedtem jeszcze obudzić z otępienia, w jakim pogrążyły ją straszliwe bóle; Eliza Rouquet, cała zmoczona, gdyż uparcie piła wodę i jeszcze teraz ocierała swoją twarz potwora. Gdy wszyscy zajmowali miejsca i wagon znów się zapełniał, Maria przysłuchiwała się słowom ojca, zachwyconego, że mógł pójść na kraniec dworca, aż do budki zwrotniczego, skąd widać było prześliczny krajobraz.

– Czy chcesz, żebyśmy zaraz pomogli ci położyć się? – zapytał Piotr, którego martwiła obawa malująca się na twarzy chorej.

– Och, nie, nie, za chwilę – odrzekła. – Dość się jeszcze nasłucham tych kół zgrzytających

mi w głowie, jak gdyby miażdżyły mi czaszkę.

Siostra Hiacynta ubłagała właśnie doktora Ferrand, aby raz jeszcze zbadał nieznanego człowieka, zanim odejdzie do wa – gonu-kantyny. Wciąż oczekiwała ojca Massias, zdziwiona tym niezrozumiałym opóźnieniem, nie wątpiła jednak, że zakonnik zaraz nadejdzie, gdyż siostra Klara od Aniołów jeszcze nie wróciła.

– Panie doktorze, proszę mi powiedzieć, czy temu biedakowi grozi naprawdę bezpośrednie niebezpieczeństwo?

Młody lekarz raz jeszcze obejrzał go i osłuchał. Potem zrobił ruch oznaczający zupełny brak nadziei i rzekł po cichu:

– Moim zdaniem, nie dowiezie go siostra żywego do Lourdes.

Wszystkie głowy trwożnie zwróciły się w tę stronę. Gdyby chociaż wiadomo było, jak się ten człowiek nazywa, skąd pochodzi, kim jest! Ale ten nieznaną biedak, z którego nie udało się wydobyć ani słowa, miał umrzeć tutaj, w tym wagonie, gdzie nikt nie mógł ustalić jego nazwiska.

Siostrze Hiacyntie przyszło na myśl, że można by go obszukać. W tych okolicznościach można sobie było na to pozwolić.

– Panie doktorze, proszę zajrzeć, co on ma w kieszeniach.

Lekarz ostrożnie obszukał nieznanego. W kieszeniach znalazł tylko różaniec, scyzoryk i trzy su. Nigdy nie dowiedziano się niczego więcej.

W tej samej chwili jakiś głos oznajmił, że nadchodzi siostra Klara od Aniołów i ojciec Massias, który po prostu zagadał się z proboszczem z Sainte-Radegonde w poczekalni. Nastąpiła chwila wielkiego napięcia, przez moment wszystko wydawało się uratowane. Ale pociąg już ruszał, kolejarzy zamykali drzwi, trzeba było dokonać ostatniego namaszczenia w ogromnym pośpiechu, jeśli nie miało to spowodować zbyt wielkiego opóźnienia.

– Tędy, wielbny ojciec – wołała siostra Hiacynta. – Tak, tak, proszę wsiadać, nasz nieszczęśliwy chory jest tutaj!

Ojciec Massias, o pięć lat starszy od Piotra, który jednak był równocześnie z nim w seminarium, był wysoki i chudy; w ascetycznej, okolonej jasną brodą twarzy płonęły roziskrzane oczy. Nie był to ani ksiądz, którego toczyłoby zwątpienie, ani kapłan o wierze dziecka, lecz apostoł ponoszony namiętnością, zawsze gotów do walki i do zwycięstwa, ku większej chwale Matki Bożej. Spod czarnej peleryny z wielkim Kantu – rem, spod włochoatego kapelusza z szerokimi krysami promieniował jego stały zapał do boju.

Szybko wydobyl z kieszeni srebrną puszkę ze świętymi olejami. Zaczęła się ceremonia przy wtórze zatraskiwania ostatnich drzwi, wśród tupotania spóźnionych pielgrzymów, a tymczasem naczelnik stacji niespokojnie patrzył na zegar, widząc, że będzie musiał opóźnić odjazd o parę minut.

– *Credo in unum Deum...* – szeptał w pośpiechu zakonnik.

– *Amen* – odpowiedziała siostra Hiacynta, a za nią wszyscy w wagonie.

Ci, którzy mogli, poklękali na ławkach. Inni składali ręce, kreślili wielokrotne znaki krzyża, a gdy po szeptanych modlitwach nastąpiły przewidziane rytuałem litanie, głosy wzbiły się w górę, wraz z *Kyrie elejson* uleciały gorące błagania, aby człowiekowi temu grzechy jego zostały odpuszczone, aby odzyskał zdrowie duszy i ciała. Oby całe jego niewiadome życie zostało mu przebaczone, aby wszedł nieznany, ale tryumfujący do Królestwa Niebieskiego.

– *Christe, exaudi nosi*

– *Ora pro nobis, sancta Dei Genitrix.*

Ojciec Massias wydobyl srebrną igłę, u której drżała kropla świętego oleju. Niepodobna było w ścisku, wśród oczekiwania wszystkich podróżnych, gdy zdziwieni ludzie wtykali głowy przez okna, dokonać zwykłego namaszczenia różnych narządów zmysłów, owych drzwi, które pozwalały wchodzić złu. Jak przewidywały przepisy, w nagłych wypadkach wolno było poprzestać na jednym namaszczeniu; i ojciec Massias dokonał go na ustach, na tych sinych, wpółotwartych ustach, z których ledwie się wydobywał lekki oddech, podczas gdy twarz b zamkniętych powiekach wydawała się już jak zatarta, obrócona w proch ziemi.

– *Per istam sanctam unctionem, et suam piissimam misericordiara indulgeat tibi Dominus quidquid per visum, auditum, odoratum, gustum, tactum, deliquisti.*

Reszta ceremonii zagubiła się, zatraciła w zgiełku odjazdu. Zakonnik miał ledwie czas wytrzeć kroplę małym kawałkiem waty, który trzymała w pogotowiu siostra Hiacynta, po czym musiał opuścić wagon i jak najszybciej dopaść swojego, po drodze zamykając puszką ze świętymi olejami, obecni zaś sami ukończyli ostatnią modlitwę.

– Nie możemy czekać dłużej, to wykluczone! – powtarzał zdenerwowany naczelnik stacji. – Prędszej, proszę się pośpieszyć!

Wreszcie pociąg mógł ruszyć. Wszyscy zasiadali znów na miejscach, wracali do swoich kątów. Pani de Jonquière, której nie przestawał niepokoić stan Grivotte, przesiadła się bliżej, naprzeciw pana Sabatier, który czekał zrezygnowany i milczący. Siostra Hiacynta nie wróciła do swego przedziału, postanowiła bowiem zostać przy nieznanym człowieku i czuwać nad nim, zwłaszcza że tutaj również łatwiej jej było mieć staranie o brata Izydora, któremu Marta nie umiała nic pomóc, a który męczył się w ataku. Maria pobladła i czuła już w głębi swego smutnego ciała wstrząsy, zanim jeszcze pociąg na nowo rozpórczał bieg wioząc swoich chorych w duchocie i zatrutym powietrzu przegrzanych, rozpalonych słońcem wagonów.

Rozległ się głośny gwizd, maszyna sapnęła, a siostra Hiacynta wstała ze słowami:

– A teraz *Magnificat*, moje dzieci!

IV

Gdy pociąg ruszył, drzwi raz jeszcze się otworzyły i jakiś kolejarz wepchnął do przedziału, gdzie jechali Maria i Piotr, dziewczynkę lat czternastu.

– O, tutaj jest miejsce, proszę się pośpieszyć!

Już twarze się przeciągały, chciano protestować, ale siostra Hiacynta zawołała:

– Co widzę? To ty, Zofio? Jedziesz więc znowu odwiedzić Najświętszą Pannę, która uzdrowiła cię w zeszłym roku?

– Ach, moja mała przyjaciółka Zofia, to bardzo dobrze, że umiesz być wdzięczna! – powiedziała jednocześnie pani de Jonquière.

– Ależ tak, siostrzko! Tak, proszę pani – odpowiedziała grzecznie dziewczynka.

Zresztą drzwi się już zamknęły i trzeba się było pogodzić z obecnością nowej pątniczki, spadłej jak gdyby z nieba, w chwili gdy ruszał pociąg, na który omal się nie spóźniła. Była drobna, nie zajmowała wiele miejsca. A przy tym te panie знаły ją, a wszyscy chorzy wlepili w nią wzrok, słysząc, że Najświętsza Panna ją uzdrowiła. Tymczasem pociąg wyjechał z dworca, maszyna sapała i rozlegał się coraz głośniejszy stukot kół, a siostra Hiacynta, klaszcząc w dłonie, powtórzyła:

– No, drogie dzieci, *Magnificat!*

Gdy radosny hymn rozległ się przy wstrząsach wagonu, Piotr przyglądał się Zofii. Była to niewątpliwie mała wieśniaczka, córka ubogich rolników z okolic Poitiers, którą rodzice rozpieszczali i traktowali jak panienkę, od kiedy spłynęła na nią łaska, od kiedy była wybraną, do której zjeżdżali się księża z całego okręgu, aby ją osobiście zobaczyć. Miała słomkowy kapelusz ze wstążkami, szarą wełnianą suknię z falbaną. Okrągła jej twarz nie była ładna, ale miła, bardzo świeża, rozjaśniona parą niebieskich sprytnych oczu, które nadawały jej twarzy wyraz uśmiechnięty i skromny.

Gdy prześpiewano *Magnificat*, Piotr nie mógł oprzeć się chęci zadania Zofii kilku pytań. Żywo zainteresowała go ta młodziutka dziewczynka o powierzchowności tak niewinnej, że nie wątpiło się o jej prawdomówność.

– Więc o mało nie spóźniłaś się na pociąg, moje dziecko?

– Och, proszę księdza, byłabym bardzo zmartwiona... Przyszłam na dworzec już o dwunastej w południe. Ale zobaczyłam księdza proboszcza z Sainte-Radegonde, który mnie zna, i on zawołał mnie, aby mnie uściskać i powiedzieć, że jestem dobrą dziewczynką, skoro znowu wybrałam się do Lourdes. No i tak się stało, że pociąg już ruszał i miałam tylko tyle czasu, aby dobiec... Ależ biegłam!...

Jeszcze trochę zadyszana, śmiała się, a jednocześnie wyrażała skruchę, że wskutek roztrzęsania o mało nie przegapiła pociągu.

– Jak się nazywasz, moje dziecko?

– Zofia Couteau, proszę księdza.

– Nie pochodzisz z samego Poitiers?

– Nie, nie... Mieszkamy w Vivonne, siedem kilometrów od miasta. Moi rodzice mają trochę ziemi i szłoby nam nawet nie – źle, gdyby nie to, że jest nas ośmioro dzieci... Ja jestem piąta z kolei. Na szczęście, czworo starszych zaczyna już pracować.

– A ty, moje dziecko, czym się zajmujesz?

– Ja, ach, proszę księdza, nie jestem im wielką pomocą... Od zeszłego roku, od kiedy wróciłam uzdrowiona, nie miałam dnia spokojnego, bo, rozumie ksiądz, ludzie schodzili się, aby mnie zobaczyć, wozili mnie do biskupa, a potem do klasztorów i wszędzie... A przedtem długo chorowałam, nie mogłam chodzić bez laski, płakałam za każdym krokiem, tak bolała mnie noga.

– A więc Najświętsza Panna uzdrowiła twoją chorą nogę? Zofia nie zdążyła odpowiedzieć. Przysłuchująca się siostra

Hiacynta wmieszała się do rozmowy.

– Była to próchnica lewej kości piętowej, trwająca od trzech lat. Noga była spuchnięta, zniekształcona i były tam przetoki powodujące stałe ropienie.

Nagle wszystkich chorych w wagonie ogarnęło wielkie podniecenie. Nie spuszczała oczu z uzdrowionej, wypatrując w niej oznak cudu. Ci, którzy mogli wstać, podchodzili, aby lepiej się jej przyjrzeć, inni, wyciągnięci na materacach, usiłowali podnieść się i odwrócić głowę. W cierpieniach, które owładnęły nimi znowu od chwili wyruszenia z Poitiers, w przerażeniu na myśl

o czekających ich jeszcze piętnastu godzinach podróży, nagłe wtargnięcie dziewczynki, wybranej przez Niebo, stanowiło dla tych ludzi jakąś boską ulgę, promień nadziei, z którego czerpali siły, aby wytrwać aż do końca. Już ucichły po trochu skargi

i wszystkie twarze zwracały się w jedną stronę, z żarliwym pragnieniem, aby wierzyć.

Zwłaszcza Maria, pełna ożywienia, na wpeł się podniosła, złożyła drżące ręce i cicho błagała Piotra:

– Proszę cię, zapytaj ją, prosz, aby nam wszystko opowiedziała. Uzdrowiona, o mój Boże, uzdrowiona z tak strasznej choroby!

Wzruszona pani de Jonquière przechyliła się przez ściankę i ucałowała Zofię.

– Oczywiście, że nasza mała przyjaciółka opowie nam... Prawda, kochanie, że opowiesz nam, co Najświętsza Panna uczyniła dla ciebie? – Ależ tak, proszę pani... Jeżeli państwo sobie życzą. Twarz jej miała wyraz radosny i skromny, oczy błyszczały

inteligencją. Chciała zacząć zaraz, już podniosła prawą rękę w górę ładnym ruchem nakazującym uwagę. Widać było, że przywykła już mówić do grona słuchaczy.

Ale nie widziano jej ze wszystkich miejsc w wagonie, więc siostra Hiacynta postanowiła temu zaradzić.

– Wejdz na ławkę, Zofio, i mów trochę głośniej, bo pociąg tak huczy!

Rozśmieszyło to dziewczynkę, musiała więc odzyskać powagę, nim zaczęła opowiadać.

– A więc moja noga była stracona, nie mogłam nawet zejść do kościoła i musiałam ją zawsze owijać płótnem, ponieważ płynęło z niej coś brzydkiego... Pan Rivoire, lekarz, który zrobił mi cięcie na nodze, aby zobaczyć, co jest w środku, mówił, że musi usunąć kawałek kości, po czym pewno okulałabym na całe życie. I wtedy pomodliłam się najpierw serdecznie do Najświętszej Panny, poszłam umoczyć nogę w wodzie, z takim pragnieniem, abym została uleczona, że nawet nie zdążyłam odwinąć płótna... A wtedy wszystko zostało w wodzie i gdy wyszłam, na nodze nic już nie było.

Podniósł się szmer i krążył dookoła, szmer zdziwienia, zdumienia i tęsknoty wywołany tym cudownym opowiadaniem, tak miłym dla zrozpaczonych. Ale dziewczynka jeszcze nie skończyła. Przeczekała chwilę, a potem dodała z nowym gestem, rozłożywszy lekko ramiona:

– W Vivonne, gdy pan Rivoire zobaczył znowu moją nogę, rzekł: „Wszystko mi jedno, kto uzdrowił to dziecko, Pan Bóg czy diabeł; ale prawdą jest, że jest ono wyleczone.”

Tym razem rozległy się śmiechy. Zofia wyrzekła te słowa patetycznym tonem, bo tyle już razy powtarzała swoją przygodę, że umiała wszystko na pamięć. Powiedzenie lekarza było zawsze efektem niezawodnym, sama już z góry śmiała się, pewna, że wszyscy się roześmieją. I przy tym wciąż była naiwna i wzruszająca.

Widocznie jednak o czymś zapomniała, bo siostra Hiacynta, która poprzednio błyskiem oczu zapowiedziała niejako słuchaczom słowa doktora, teraz szepnęła cicho: – Zofio, a co powiedziałaś pani hrabinie, kierownicze waszej sali?

– Ach, prawda... Nie zabrałam z sobą dość płótna do opatrywania nogi i powiedziałam jej: „Matka Boska okazała wielką dobroć, że uzdrowiła mnie pierwszego dnia, bo już nazajutrz mój zapas byłby się wyczerpał!”

Znowu zapanowała radość. Uważano, że to bardzo miło, iż w ten sposób została uzdrowiona! Musiała jeszcze, na pytanie pani de Jonquière, opowiedzieć historię o trzewikach, pięknych nowiutkich trzewiczkach, które podarowała jej pani hrabina i w których ona, uradowana, biegała, skakała i tańczyła. Pomyślcie tylko, trzewiczki dla niej, która od trzech lat nie mogła – włożyć nawet pantofla!

Spoważniały, pobladły od uczucia głuchej przykrości, jakie go opanowało, Piotr nie przestawał przyglądać się Zofii. Po chwili zwrócił się do niej z nowymi pytaniami. Na pewno nie kłamała, podejrzewał ją tylko o lekką deformację prawdy, bardzo zrozumiałe upiększanie jej z radości, że doznała pociechy i stała się ważną osobką. Któż mógł teraz wiedzieć, czy zupełnie, rzekomo nagle – w parę sekund – zasklepienie się rany nie dokonywało się na przestrzeni wielu dni? Gdzie byli świadkowie?

– Ja tam byłam – mówiła właśnie pani de Jonquière. – Nie należała do mojej sali, ale spotkałam ją tego właśnie ranka, kulą...

Piotr żywo przerwał:

– Ach, pani widziała jej nogę przed i po zanurzeniu?

– Nie, nie, nikt chyba nie mógł jej widzieć, gdyż była zabandażowana. Sama przecież mówiła, że opatrunek wpadł do sadzawki... – I zwracając się do dziewczynki dodała: – Ale ona pokaże księdzu tę nogę... Nieprawdaż, Zofio? Zdejm trzewik!

Zofia już zdejmowała trzewik i pończochę z szybkością i wprawą, która świadczyła, jak bardzo przywykła to czynić. Wysunęła nogę, bardzo czystą i białą, a nawet wypielegnowaną, ze zgrabnie obciętych różowymi paznokciami, i obracała ją z pobłażliwą miną, aby ksiądz mógł ją wygodnie obejrzeć. Poniżej kostki widniała blizna, a białawy i bardzo wyraźny szew świadczył, że schorzenie było poważne. – O, może ksiądz dotknie pięty i ściśnie z całej mocy; ja nic już nie czuję! ‘

Piotr zrobił ruch, z którego można było wnioskować, że zachwyciła go potęga Najświętszej Panny. Ale pozostał niespokojny i pełen wątpliwości. Czy oddziaływała tutaj jakaś siła? A raczej jaka to fałszywa diagnoza lekarza, jaki splot pomyłek i przejawienie wydał tę piękną opowieść?

Ale wszyscy chorzy też chcieli zobaczyć cudownie uleczoną nogę, ten widzialny dowód boskiej siły uzdrawiającej, do której wszyscy pielgrzymowali. Pierwszą, która jej dotknęła, była Maria; siedziała teraz na posłaniu mniej już cierpiąca. Potem pani Maze, obudzona ze swej melancholii, podała ją pani Vin-cent, która byłaby ją ucałowała z wdzięczności za nadzieję, jaką ten widok na nowo w niej obudził. Pan Sabatier słuchał z błogą miną; pani Vtu, Grivotte, nawet brat Izidor szeroko otwierali oczy, pełni przejęcia; a twarz Elizy Rouquet stała się niezwykłą, przeobrażona wiarą, niemal ładna; rana, która tak znikła, nie byłaż to jej rana, zamknięta, wyglądzona; czy to nie jej twarz zachowała już tylko lekką szramę, stając się zwykłym ludzkim obliczem? Zofia, wciąż stojąc, musiała się chwycić jednego z żelaznych prętów i postawić stopę na krawędzi przegrody, na prawo, na lewo, niezmordowana, bardzo szczęśliwa i dumna z rozlegających się dokoła okrzyków, z trwożnego podziwu i religijnego uszanowania, jakie okazywano tej części jej osoby, drobnej stopie, która była teraz jak gdyby uświęcona.

– Na pewno trzeba mieć wielką wiarę – pomyślała na głos Maria – i duszę jak śnieg białą. – A zwracając się do pana de Guersaint dodała jeszcze: – Ojcze, wierzę, że zostałambym uzdrowiona, gdybym miała dziesięć lat i białą duszę małej dziewczynki.

– Ależ ty masz dziesięć lat, moja droga! Prawda, Piotrze, że nawet dziesięcioletnie dziewczynki nie mają bielszej duszy niż ona?

Pan de Guersaint, przy swoim chimerycznym usposobieniu, uwielbiał opowiadania o cudach. Młody ksiądz zaś, głęboko wzruszony płomienną czystością dziewczyny, nie próbował wdawać się w dyskusję, pozwolił jej poddać się technicznemu pocieszającemu ułudy. Od wyjazdu z Poitiers powietrze stało się jeszcze cięższe, miedziane niebo zapowiadało burzę i zdawało się, że pociąg

jedzie przez rozgrzany piec. Mijali ponure i wyludnione wioski pod palącym słońcem. W Coune-Vèrac pielgrzymi znów odmówili różaniec, a następnie odśpiewali hymn. Ale ćwiczenia pobożne trochę się opóźniały. Siostra Hiacynta, która nie znalazła jeszcze czasu na śniadanie, postanowiła szybko zjeść bułkę i trochę owoców, nie przestając wszakże czuwać nad nieznanym człowiekiem, którego ciężki oddech wydawał się teraz bardziej regularny. Dopiero w Ruffec, o godzinie trzeciej, zaczęto godzinki do Matki Boskiej.

– *Ora pro nobis, sancta Genitrix.*

– *Ut digni efficiamur promissionibus Christi.*

Gdy już kończyli, pan Sabatier, który przyglądał się był, jak mała Zofia wkładała z powrotem pończochę i trzewik, zwrócił się do pana de Guersaint.

– Nie ma wątpliwości, że przypadek tej dziewczynki jest ciekawy. Ale to jeszcze nic, proszę pana, są rzeczy znacznie bardziej od tego zadziwiające... Zna pan historię Piotra de Rudder, belgijskiego robotnika?

Wszyscy zaczęli się przysłuchiwać.

– Człowiekowi temu upadające drzewo zgruchotało nogę. Przez osiem lat odłamy nie rosły się, widać było dwa końce w głębi rany, która nieustannie ropiała, noga zaś, zwiotczała, obwisła, ugiwała się we wszystkich kierunkach... I oto wystarczyło, że wypił szklanekę cudownej wody, a noga zagoiła się natychmiast; zaczął chodzić bez kul, lekarz zaś powiedział mu: „Pańska noga jest jak nóżka nowo narodzonego dziecka.” Wspaniale, co? Zupełnie nowa noga.

Wszyscy milczeli, wymieniali tylko ekstatyczne spojrzenia.

– Albo znowu – ciągnął pan Sabatier – historia Ludwika Bouriette, kamieniarza, jeden z pierwszych cudów w Lourdes. Zna ją pan? Został raniony przy wybuchu miny. Prawe oko było całkiem stracone, groziło mu nawet, że oślepie na lewe. Otóż pewnego dnia posłał córkę, aby przyniosła mu butelkę błotnistej wody ze źródła, które zaledwie się sączyło. Następnie przemył oko tym błotem i żarliwie się pomodlił. Nagle wykrzyknął! Widział, proszę pana, widział równie dobrze jak pan i ja! Lekarz, który miał go w opiece, napisał o tym szczegółowe sprawozdanie, tak że niepodobna żywić żadnych wątpliwości.

– To zdumiewające! – szepnął z zachwytem pan de Guersaint.

– Chce pan jeszcze innego przykładu? Stał się on sławny; chodziło o Franciszka Macary, stolarza z Lavour... Od osiemnastu lat miał on po stronie wewnętrznej lewego podudzia głębokie owrzodzenia żylakowe, którym towarzyszyło silne obrzmienie tkanek. Me mógł się ruszać, lekarze zawyrokowali, iż zostanie kaleką na zawsze... I oto pewnego wieczora zamyka się w domu z butelką wody z Lourdes. Zdejmuje bandażę, obmywa obie nogi, resztę zawartości butelki wypija. Następnie kładzie się, zasypia; po obudzeniu dotyka nóg, przygląda się: z żyłaków i owrzodzeń ani śladu!... Skóra na kolanie, proszę pana, stała się znowu tak gładka i świeża jak u dwudziestoletniego młodzieńca.

Tym razem nastąpił istny wybuch zdumienia i podziwu. Chorzy i pielgrzymi wstępowali w zaczarowaną krainę cudu, gdzie rzeczy niemożliwe dokonują się na zakręcie każdej ścieżki, gdzie człowiek bez przeszkód kroczy od cudu do cudu. I każdy chciał opowiedzieć znaną sobie historię, dać świadectwo, wesprzeć swoją wiarę i nadzieję jeszcze jednym przykładem.

Milcząca pani Maze do tego stopnia uległa nastrojowi, że pierwsza zabrała głos.

– Mam przyjaciółkę, która osobiście знаła wdowę Rizan, tę panią, której uzdrowienie także było w swoim czasie bardzo głośne... Od dwudziestu czterech lat miała sparaliżowany cały lewy bok. Zwraçała wszystko, co zjadła, była już tylko nieruchomą bryłą, którą obracano na łóżku; i z czasem pościel zaczęła odparzać jej skórę... Pewnego wieczoru lekarz oznajmił, że nie dożyje do rana. Dwie godziny później ocknęła się nagle z martwoty i słabym głosem poprosiła córkę, aby poszła do sąsiadki i przyniosła stamtąd szklanę wody z Lourdes. Ale dostała tę szklanę wody dopiero nazajutrz rano, a wtedy zawołała: „Och, córko, piję samo życie, przemyj mi twarz, rękę, nogę, całe ciało!” W miarę jak córka spełniała jej wolę, widzia – ła, że ogromna spuchlizna ustępuje, sparaliżowane członki odzyskują giętkość i naturalny wygląd... Ale to jeszcze nie wszystko. Pani Rizan zawołała, że jest uleczona, że chce jeść, że prosi o chleb i mięso, ona, która nie miała tego w ustach ód dwudziestu czterech lat! Wstała i ubrała się, a tymczasem jej córka odpgwiadała sąsiadkom, które widząc ją tak wzburzoną sądziły, że już została sierotą: „Nie, nie, mama nie umarła, lecz powróciła do życia.”

Łzy napływały do oczu pani Vincent. Mój Boże, gdyby też dane jej było ujrzeć, że jej Róża także wstaje, zajada z apetytem i biega! Przypomniała jej się inna historia, o młodej dziewczynie, którą opowiadano jej w Paryżu i która w znacznej mierze przyczyniła się do decyzji zawiezienia małej chorej do Lourdes.

– Ja także znam dzieje jednej paralityczki, Łucji Druon, z sierocińca, bardzo młodziutkiej, która nie mogła nawet przykłęknąć. Członki jej poskręcały się; prawa noga, krótsza, okręciła się w końcu wokół lewej; gdy któraś z towarzyszek niosła ją, widać było jej nogi martwe, kołyszące się w powietrzu... Proszę zwrócić uwagę, że nie udała się ona do Lourdes. Odprawiła tylko nowennę; ale pościła przez dziewięć dni i jej pragnienie odzyskania zdrowia było tak wielkie, że całe noce spędzała na modlitwach... Wreszcie dziewiątego dnia, gdy piła wodę z Lourdes, poczuła w nodze mocne szarpnięcie. Wstała, upadła, znowu wstała i zaczęła iść. Wszystkie jej towarzyski, zdumione, niemal przerażone, wołały: „Łucja chodzi! Łucja chodzi!” I była to prawda, nogi jej w ciągu paru sekund wyprostowały się, zdrowe i silne. Przeszła dziedziniec, miała siłę wejść do kaplicy, gdzie całe zgromadzenie, przepełnione wdzięcznością, odśpiewało *Magnificat*... Ach, biedna dziewczyna, jakaż ona musiała być szczęśliwa, jak bardzo szczęśliwa!

Dwie łzy spływały po jej policzkach na bladą twarzyczkę córki, którą namiętnie pocałowała.

Ale zainteresowanie wciąż rosło, rosła pełna zachwyty radość wywołana tymi pięknymi opowieściami, gdzie Niebo co chwilę odnosiło zwycięstwo nad ludzką rzeczywistością,

i przepelniała te dziecinne dusze taką egzaltacją, że najciężej chorzy podnosili się kolejno i nabierali ochoty do mówienia. Spoza ich opo – wiadań przebijała myśl o własnej chorobie, nadzieja, że wyzdrowieją, gdyż taka sama choroba zniknęła jak zły sen pod boskim tchnieniem.

– Ach! – wyjąkała pani Vetu, z ustami jakby zaklejonymi cierpieniem – była też niejaka Antonina Thardivail, której żołądek był tak przeżarty chorobą jak mój. Wydawało jej się, że go rozszarpują głodne psy, a czasem stawał się większy niż głowa dziecka. Wyrastały tam guzy wielkości kurzego jaja, tak że przez osiem miesięcy wymiotowała krwią. Ona również była już umierająca, skóra przyrastała do kości; umierała z głodu; pewnego razu napiła się wody z Lourdes i kazała nią sobie przemyć brzuch. W trzy minuty później lekarz, który poprzedniego dnia opuścił ją był konającą, bez tchu, zastał ją na nogach: siedziała przy kominku i z apetytem zajadała kruche skrzydełko kurczęcia. Nie miała już guzów, śmiała się jak w dwudziestym roku życia, twarz jej odzyskała dziewczęcą świeżość... Ach, jeść to, na co się ma ochotę, stać się znów młodą, nie cierpieć!

– No, a uzdrowienie siostry Julianny – odezwała się Grivotte, która wsparła się na łokciu, z oczyma błyszczącymi od gorączki. – Chwyciło ją to przy ciężkim katarze, jak i mnie; potem zaczęła płuć krwią. Co pół roku miała nawroty, musiała kłaść się do łóżka. Ostatnim razem wszyscy byli pewni, że się już nie podniesie. Na próżno stosowano wszelkie środki: jod, wezykatorie, przyżeganie. Była zdecydowaną suchotnicą, co stwierdziło sześciu lekarzy... No, dobrze! I jedzie ona do Lourdes, a jak cierpi przy tym, wie tylko jeden Bóg; na dworcu w Tuluzie przez chwilę wydawało się nawet, że już umiera. Zakonnice wzięły ją na ręce, przy sadzawce panie pielęgniarki nie chciały jej wykapać. Była jak trup... Ale ją rozebrali, zanurzyli nieprzytomną i całą w potach, potem wyciągnęli ją i położyli śmiertelnie bladą, myśląc, że tym razem już koniec z nią. Nagle policzki jej zaróżowiły się, oczy się otwały i odetchnęła głęboko. Była uzdrowiona, sama się ubrała, podjadła sobie dobrze, udawszy się przedtem do Groty, aby podziękować Najświętszej Pannie... No i nie ma co mówić, była suchotnicą i została uzdrowiona gruntownie, jak gdyby kto ręką odjął. Wówczas brat Izydor także zapragnął coś opowiedzieć, ale nie miał siły, więc tylko z trudem rzekł do siostry:

– Marto, opowiedz no historię siostry Doroty, którą słyszeliśmy od proboszcza z Saint-Sauveur.

– Ta siostra Dorota – zaczęła niezręcznie młoda chłopka – wstała jednego dnia ze sztywną nogą i od tego czasu nie mogła ruszać tą nogą, która zrobiła się zimna i ciężka jak kamień. Do tego bolało ją bardzo w krzyżu. Lekarze nic nie rozumieli. Radziła się aż sześciu, a oni wbijali jej igły i parzyli skórę różnymi lekarstwami. Ale na nic się to nie zdało... Wtedy siostra Dorota pomyślała, że tylko Najświętsza Panna znajdzie dla niej lekarstwo; wybrała się więc do Lourdes i tam kazała się zanieść do sadzawki. Naprzód zdawało się jej, że zaraz ducha wyzionie, tak jej było zimno. Potem woda zrobiła się tak łagodna, że wydała się jej letnia, dobra jak mleko.

Jeszcze nigdy w życiu nic nie wydało się jej tak dobre; żyły jej otwierały się i wpływała do nich ta woda. Rozumiecie, że to życie wracało do jej ciała, od chwili, kiedy Najświętsza Panna wdała się w tę sprawę... Nie czuła już najłżejszego bólu, przechadzała się, wieczór zjadła całego gołąbka, spała całą noc jak suseł. Chwała Najświętszej Paniencie, wieczysta podzięką potężnej Matce i jej boskiemu Synowi.

Eliza Rouquet również miała ochotę opowiedzieć o znanym jej cudzie. Ale wymawiała słowa tak niewyraźnie swoimi zniekształconymi ustami, że nie zdołała dotąd zabrać głosu. Ale gdy zapanowało milczenie, skorzystała z niego, opuściwszy nieco chustkę, która okrywała ohydę jej rany.

– Och, to, co mnie opowiadali, to nie o jakiejś wielkiej chorobie, ale coś takie śmieszne... Było to o jednej kobiecie, Celestynie Dubois, która wbiła sobie igłę w rękę przy praniu bielizny. Przez siedem lat igła siedziała w ręce, żaden lekarz nie mógł jej wyciągnąć. A ręka tak się skurczyła, że Celestyna nie mogła jej już otworzyć... Jedzie i zanurza ją w sadzawce. Ale zaraz musiała ją wyciągnąć, i to z wielkim krzykiem. Siłą zanurzają jej znowu tę rękę, przytrzymują, a ona płacze, twarz nia całą spoconą. Tak trzy razy zanurzali jej rękę i za każdym razem widzą, jak igła posuwa się, a wreszcie wychodzi przez koniuszek wielkiego palca... Ma się rozumieć, krzyczała, bo igła szła przez ciało, jak gdyby ją ktoś popychał i chciał wyciągnąć... Celestyna nigdy już potem nie czuła bólu, na rękę została jej tylko mała blizna po to jedynie, aby został ślad, jak Najświętsza Panna to zrobiła.

Historyjka ta wywarła jeszcze większe wrażenie niż cuda wielkich uzdrowień. Ta igła maszerująca, jakby ją ktoś popychał! To, co niewidzialne, ożywało, każdy chory widział swego anioła stróża, który za boskim rozkazem gotów był pośpieszyć mu z pomocą. I jakie to było ładne i proste: igła, która siedem lat nie chciała wyjść z ciała, zaczęła się posuwać, gdy tylko chora zanurzyła rękę w cudotwórczej wodzie. Wszyscy wydawali okrzyki podziwu, rozbawieni, roześmiani, rozpromienieni na myśl, że dla Nieba nic nie jest niemożliwe, że jeżeli ono zechce, wszyscy będą znowu zdrowi, młodzi i wspaniali. Wystarczyło wierzyć i gorąco się modlić, aby natura została pokonana i aby to, co niewiarygodne, stało się rzeczywiste. Poza tym była to także sprawa szczęścia, Niebios bowiem zdawały się dokonywać wyboru.

– Ach, ojciec, jakież to piękne! – szepnęła Maria, która dotąd słuchała namiętnie, niema z podziwu. – Pamiętasz, coś mi sam opowiadał o tej Joachinie Dehaut, przybyłej z Belgii; przemierzyła całą Francję z wykręconą nogą, na której miała wrzód tak cuchnący, że ludzie uciekali... Naprzód zagoił się wrzód; można było ścisnąć kolano, ona nic nie czuła, zostało tylko niewielkie zaczerwienienie... Następnie przyszła kolej na zniekształcenie... W wodzie krzyczała, wydawało się jej, że coś gruchocze jej kości, że rozdziera nogę, a jednocześnie ona i kobieta, która ją zanurzyła, ujrzała, jak wykręcona noga wyprostowuje się z regularnością wskazówki zegara sunącej po cyferblacie. Noga wyprostowała się, mięśnie się naciągały, kolano wracało na

miejsce, ale wśród tak wielkiego bólu, że Joachina zemdląca w końcu. Gdy odzyskała przytomność, pobiegła, prosta i lekka, do Groty, aby zanieść tam swoje kule.

Pan de Guersaint śmiał się zachwycony i gestami wtórował opowiadaniu, które sam słyszał od pewnego zakonnika od Wniebowzięcia. Jak twierdził, mógłby opowiedzieć jeszcze dwadzieścia podobnych wypadków, a jeden od drugiego był bardziej wzruszający i niezwykły. Powoływał się na świadectwo Piotra, a ten, ponieważ nie wierzył, ograniczył się do potakiwania głową. Nie chcąc czynić przykrości Marii, usiłował zająć myśl czym innym, wyglądał przez okno na uciekające pola, drzewa i domy. Minęli właśnie Angouleme, łąki rozlewały się coraz szerzej, rzędy topoli przemykały układając się w kształt wachlarza. Najwidoczniej byli opóźnieni, pociąg bowiem pędził i huczał pod burzliwym niebem, przesywając rozpalone powietrze i chłonąc kilometry. I Piotr mimo woli słuchał urywków opowiadań, pozwalał się wciągnąć tym niezwykłym historiom, łagodzącym przeraźliwy stukot kół, jak gdyby lokomotywa, szalona i zostawiona samej sobie, unosiła ich do boskiej krainy marzeń. Jechali, wciąż jechali, aż wreszcie Piotr przestał wyglądać przez okno i pogрузzył się w ciężkiej i usypiającej atmosferze wagonu, gdzie narastała ekstaza, oderwany od rzeczywistego świata, który przebiegali w takim pędzie. Ożywiona twarz Marii przejmowała go radością. Pozostawił jej swoją rękę, którą ujęła, aby mu wypowiedzieć w tym uścisku całą odradzającą się w niej nadzieję. Jakże mógł odbierać jej odwagę swoim zwątpieniem, skoro pragnął jej uzdrowienia? Toteż z bezgraniczną czułością zatrzymał wilgotną małą dłoń chorej, z uczuciem bolesnego braterstwa pragnąc wierzyć w powszechną litość, w wyższą dobroć, która oszczędza bólu zrozpaczonemu.

– Ach, Piotrze – powtórzyła – jakie to piękne, jakie piękne! I cóż za chwała, jeśli Najświętsza Panna zechce się dla mnie trudzić... Czy naprawdę, myślisz, że ja jestem tego godna?

– Na pewno – zawołał – jesteś najlepszą i najczystsza istotą, duszą białą ponad śnieg, jak powiedział twój ojciec, i nawet w raju nie ma aniołów godnych stanąć w twoim orszaku.

Ale i teraz opowiadaniom nie było jeszcze końca. Siostra Hiacynta i pani de Jonquière przypominały sobie wszystkie znane im cuda, długą listę cudów, które od lat przeszło trzydziestu stale kwitły w Lourdes, niczym róże na mistycznym krzewie. Liczono je na tysiące, zakwitały co roku na nowo, nabrzmiały cudownymi sokami życia, z każdym rokiem piękniejsze. I chorzy, słuchający tego z wciąż wzrastającym podnie – ceniem, podobni byli małym dzieciom, które wysłuchawszy jednej bajki chcą jeszcze drugiej, trzeciej... Och, jeszcze, jeszcze słuchać tych opowiadań, gdzie zła rzeczywistość zostaje wyszydzone, gdzie niesprawiedliwa natura otrzymuje policzek, a Bóg działa jako najwyższy uzdrowiciel urągający nauce i wedle własnej woli darzący ludzkość szczęściem.

Wymieniano przede wszystkim głuchych i niemych, którzy odzyskali słuch i wzrok: Aurelia Bruneau, nieuleczalna, która miała pęknięty bębenek i nagle z zachwytem usłyszała niebiańskie dźwięki fisharmonii; Ludwika Pourchet, niemowa od lat czterdziestu pięciu, która modląc się

przed Grotą nagle zawołała: „Pozdrawiam cię, Mario!” I inni, setki innych, radykalnie wyleczonych dzięki temu tylko, że włąli sobie do ucha lub na język parę kropli wody. Następnie szeregiem przewinęli się ślepcy: ojciec Herman uczuł, jak łagodna dłoń Najświętszej Panny usunęła woal przysłaniający jego wzrok; panna de Pontbriant, zagrożona utratą obydwu oczu, odzyskała wzrok lepszy niż kiedykolwiek przedtem, dzięki jednej modlitwie; dwunastoletni chłopiec, którego rogówki podobne były do marmurowych kul, w trzy sekundy odzyskał oczy, przejrzyste i głębokie, w których aniołowie zdawali się uśmiechać. Ale najwięcej było paralityków, nieszczęśliwców o bezwładnych nogach, kalek złożonych na łożu boleści, do których Pan rzekł: „Powstań, a idź!” Delaunoy, dotknięty ataksją, przyżegany, przypiekany, zawieszany, piętnaście razy przyjęty do paryskich szpitali, gdzie dwunastu lekarzy postawiło zgodną diagnozę, czuje na widok Najświętszego Sakramentu, z którym kapłan przechodzi obok niego, że ożywia go jakaś siła, i zaczyna iść za procesją, na zdrowych nogach. Maria Ludwika Delpon, lat czternaście, której paraliż usztywnił nogi, poskręcał ręce, wykrzywił w bok usta, widzi, jak członki jej się prostują, skrzywienie ust znika, jak gdyby niewidzialna ręka przecinała zniekształcające ją okrutne więzy. Maria Vachier, przykuta od siedemnastu lat do fotela niedowładem kończyn dolnych, nie tylko chodzi i biega po wyjściu z sadzawki, ale nie odnajduje nawet śladu po ranach, jakie wytworzyły się na jej ciele przez długi okres, kiedy nie mogła się ruszyć. A Jerzy Hanquet, cierpiący na rozmiękanie rdzenia kręgowego, całkowity zanik czucia, przechodzi bez – pośrednio z agonii do kwitnącego zdrowia. Leonia Charton – jeszcze jeden wypadek rozmiękania rdzenia – przy równoczesnym znacznym zniekształceniu kręgow, czuje, że garb jej – niby pod działaniem czarów – znika, a równocześnie nogi jej, odrodzone i silne, prostują się.

Potem mówiono o rozmaitych chorobach. Najpierw o skrofułach, o nogach bezwładnych i uleczonych; Małgorzata Gehier, cierpiąca na straszliwie bolesne zapalenie stawu biodrowego od dwudziestu siedmiu lat, z zeszywniałym prawym stawem kolanowym, nagle klęka, aby podziękować Najświętszej Pannie za uzdrowienie; Filomena Simonneau, młoda dziewczyna z Wandei, mająca na lewej nodze trzy okropne rany, w głębi których widać spróchniałą, odpadającą kawałkami kość, odzyskuje zdrową skórę, mięśnie i kości. Byli i chorzy na wodną puchlinę: pani Ancelin, której nogi, ręce, całe ciało otęchło, tak że nie umiano sobie wytłumaczyć, gdzie podziało się tyle wody; panna Montagnon, której wypompowano łącznie dwadzieścia dwa litry wody i która, znowu spuchnięta, pozbyła się obrzęku stosując zwyczajny kompres umoczony w cudotwórczym źródle, przy czym nie znaleziono śladu wody ani w łóżku, ani na podłodze. Również nie ostoi się świętej wodzie żadna choroba żołądka, wszystkie znikają po wypiciu pierwszej szklanki. Maria Souchet, która wymiotowała czarną krwią i była chuda jak szkielet, zaczyna jeść z wilczym apetytem i odzyskuje w dwa dni normalną tuszę. Maria Jorland oparzyła sobie żołądek, wypła bowiem przez pomyłkę całą szklankę roztworu kwasu

szczawiowego, ale powstały w następstwie tego wrzód rozszedł się bez śladu. Zresztą największe guzy znikają w ten sam sposób, przy zanurzeniu w sadzawce. Ale najbardziej uderzające jest to, że najstraszliwsze rany i wrzody od razu zablizniają się pod boskim tchnieniem. Pewien Żyd, aktor, z ręką przeżartą wrzodem, zanurzył ją i został uleczony. Młody, niesłuchanie bogaty cudzoziemiec, który miał w okolicy nadgarstka prawego guz wielkości kurzego jaja, widzi, jak guz *ten* się rozchodzi. Róż.: Duval, która po guzie gruźliczym miała w lewym łokciu dziurę, gdzie można było zmieścić orzech włoski, zobaczyła, jak zdrowe ciało szybko wypełniło owo zagłębienie. Wdowa Fromont, z wargą na wpół zżartą przez raka, natarła się tylko wodą i z rany nie została najmniejsza nawet blizna. Maria Moreau, cierpiąca straszliwie na raka piersi, zasnęła położywszy na ranie okład z wody z Lourdes; gdy po dwóch godzinach obudziła się, ból ustał, ciało było zdrowe, świeże jak róża.

W końcu siostra Hiacynta zaczęła wyliczać przypadki natychmiastowego i całkowitego uzdrowienia suchot, co było prawdziwym tryumfem nad chorobą dziesiątkującą ludzkość; niewierzący twierdzili, że Najświętsza Panna nie da sobie z tym rady, a tymczasem, jak się okazało, uzdrawiała suchotników jednym skinieniem małego palca. Sto przypadków, jeden niezwyklejszy od drugiego, piętrzyło się, przelewało przez brzegi. Małgorzata Coupel, suchotnica od trzech lat, ze szczytami płuc stoczonymi przez prątki, wstaje i idzie, tryskająca zdrowiem. Pani de la Rivière, która pluła krwią, stale oblana zimnym potem, o sinych paznokciach, goniąca ostatkami sił, wypila tylko łyk wody, którą wlano jej do ust; natychmiast ustaje rżenie, chora podnosi się, odpowiada na słowa litanii, dopomina się o bulion. Julii Jadot trzeba było aż czterech porcji wody, ale nie mogła już podnieść głowy, była tak wątłej konstytucji, że choroba – jak się zdawało – stopiła jej ciało; w parę dni nabrała dobrej tuszy. Annę Catry, w bardzo już złym stanie, z lewym płucem na wpół zniszczonym przez kawernę, pięć razy zanurzano w zimnej wodzie, chociaż wydawało się, że to jest sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, i oto jest wyleczona, płuco ma zdrowe. Inna młoda dziewczyna chora na płuca, skazana przez piętnastu lekarzy, o nic się nie modliła, tylko po prostu ukłękła sobie w Grocie i sama była potem zdumiona, gdy spostrzegła, że wstała uzdrowiona tak mimochodem, szczęśliwym trafem, zapewne w godzinie, gdy Najświętsza Panna, zdjęta litością, upuszcza cud ze swoich niewidzialnych dłoni.

Cuda, coraz nowe cuda! Padały jak deszcz wyśnionych kwiatów z jasnego i łagodnego nieba. Jedne z nich były wzruszające, inne miały w sobie coś naiwnego. Pewna staruszka, z ręką sztywną od lat trzydziestu, obmywa się wodą i żegna się znakiem krzyża świętego. Siostra Zofia, która szczekała jak pies, zanurza się w wodzie i odzyskuje czysty głos, śpiewa pieśń nabożną. Pewien Turek, imieniem Mustafa, modli się do białej Pani i odzyskuje prawe oko, na które położył był okład. Oficer jednego z pułków algierskich został ocalony pod Sedanem; pewien kirasjer byłby zginął pod Reichshoffen od kuli w serce, gdyby kula ta, przebiwszy portfel, nie

natrafiła na wizerunek Matki Boskiej z Lourdes. A dzieci, biedne cierpiące maleństwa, one także doznawały łask; na przykład ten chłopiec pięcioletni, paralytyk, którego rozebrano i trzymano przez pięć minut pod mroźnym strumieniem źródła, inny chłopak, lat piętnastu, który na swym łóżku wydawał jedynie zwierzęce ‘pomruki, wyskoczył z sadzawki wołając, że jest uzdrowiony; inny, dwuletni malec, który jeszcze nie chodził, przesiedział kwadrans w zimnej wodzie, a potem, uradowany, uśmiechnięty, zaczął stawiać pierwsze kroki jak mały mężczyzna. Wszyscy, zarówno dzieci, jak dorośli, odczuwali dotkliwe bóle w momencie, gdy dokonywał się cud; bowiem praca odbudowy nie może się odbywać bez ogromnego wstrząsu całej ludzkiej maszyny; kości się odradzają, ciało odrasta, wypędzona choroba ucieka w ostatnich drgawkach. Ale cóż za błogość następuje potem! Lekarze nie wierzyli swoim oczom, zdumiewali się za każdym uzdrowieniem, widząc, że chorzy biegają, skaczą, jedzą z ogromnym apetytem. Ci wybrani, te świeżo uzdrowione kobiety – ‘wszyscy – przebywają trzy kilometry, zasiadają do stołu, aby ‘zjeść całe kurczę, przesypiają kamiennym snem po dwanaście godzin. Nie przechodzą żadnej rekonwalescencji, jest to nagły skok od agonii do kwitającego zdrowia, odrodzone członki, zasklepione rany, narządy odbudowane w całości, uzyskana nagle, dobra tusza, a wszystko to dzieje się w mgnieniu oka. Wiedza zostaje wyszydzone, w Lourdes nie zachowuje się bowiem ‘najmniejszych ostrożności, kąpie się oblanych potem suchotników i kobiety, bez względu na dzień miesiąca, w lodowatej wodzie, pozwala ranom gnić nie dbając o antyseptykę. A po każdym cudzie, jakież radosny ‘ śpiew, jakież okrzyki wdzięczności i miłości! Ten, kto dostąpił cudu, rzuca się na kolana, wszyscy płaczą, ludzie się nawracają, protestanci i żydzi przechodzą na katolicyzm, następują dalsze cuda, cuda wiary, w których tryumfuje Niebo. Mieszkańcy wiosek tłumnie wychodzą na spotkanie cudem uzdrowionej, głośno biją dzwony, a ludzie widząc, jak uzdrowiona lekko wyskakuje z pojazdu, wybuchają radosnym krzykiem, łkaniem, rozlega się *Magnificat*. Chwała Najświętszej Pannie! Wieczna wdzięczność i miłość Matce Bożej!

Z tych spełnionych nadziei, z tych żarliwych aktów dziękczynienia była przede wszystkim wdzięczność dla Matki najczystszej, Matki przedziwnej. Była ona wielką, namiętną miłością tych wszystkich dusz, była Panną możną, Panną łaskawą, Zwierciadłem sprawiedliwości, Stolicą mądrości. Wszystkie ręce wyciągały się do niej, do Róży duchownej w cieniu kaplicy, do Wieży z kości słoniowej na widnokrągach marzenia, do Bramy niebieskiej otwierającej się na obszary nieskończoności. Każdego dnia od jutrzeńki świeciła ta promienna Gwiazda zaranna, wesoła od młodej nadziei. Czyż nie była także Uzdrowieniem chorych, Ucieczką grzesznych, Poczyszczycielką strapiionych? Francja była zawsze ukochanym jej krajem, darzono ją tam uwielbieniem gorącym, uwielbieniem dla kobiety i matki, w porywie żarliwej tkliwości; właśnie we Francji lubiła się ukazywać małym pasterkom. Była tak dobra dla maluczkich; zawsze się nimi opiekowała; zwracano się do niej tak chętnie właśnie dlatego, że widziano w niej pośredniczkę miłości między niebem a ziemią. Co wieczór płakała złotymi łzami u stóp swego

boskiego Syna, aby wyjednać u niego łaski i cuda, które pozwalał jej czynić; było to jak piękne pole kwitnące cudami, które pachniały niby rajskie róże, zadziwiały blaskiem i wonią.

Pociąg jechał, wciąż jechał. Minęli właśnie Coutras, była godzina szósta. Siostra Hiacynta wstała, klasnęła w ręce i raz jeszcze powtórzyła:

– *Anioł Pański*, moje dzieci!

Nigdy jeszcze *Pozdrowienie Anielskie* nie rozbrzmiewało z taką siłą, z tak gorącym pragnieniem, aby usłyszano je w niebie. I wtedy nagle Piotrowi wszystko stało się jasne, rozumiał te pielgrzymki, te wszystkie pociągi toczące się przez cały świat, te zjeżdżające się zewsząd tłumy, to Lourdes płonące w dali jak wybawienie dusz i ciał. Ach, ci biedni, nieszczęśliwi, na których od rana patrzył, jak rżęzili z bólu wydając swoje smutne, wychudzone ciała na mękę takiej podróży! Wszyscy byli skazańcami, wiedza ich opuściła, znużyli się zasięgnięciem rady u lekarzy, torturą zażywania bezskutecznych leków. Rozumiał, że płonąc jeszcze żądzą życia nie umieli poddać się z re – zygnaćją niesprawiedliwej i obojętnej naturze i dlatego wyśnili sen o nadludzkiej potędze, o wszechmocnym bóstwie, które może zechce dla nich wstrzymać działanie ustalonych praw, zmienić bieg gwiazd i odwołać wyrok wydany na stworzenie. Czyż nie pozostawał im już tylko Bóg, skoro zabrakło dla nich ziemi? Rzeczywistość była zbyt ohydna, toteż narastała w nich ogromna potrzeba łudzenia się i okłamywania... Ach, pomyśleć, że istnieje gdzieś najwyższy szafarz sprawiedliwości, który naprawia oczywiste błędy wszelkich istot i rzeczy: wierzyć, że istnieje odkupiciel, pocieszyciel, władca, który może cofać strumienie do ich źródeł, przywracać starcom młodość, wskrzeszać umarłych! Mówić sobie, gdy ciało nasze pokrywają rany, gdy ręce i nogi mamy wykręcone, brzuch wzdęty od guzów, przeżarte płuca, wtedy powiedzieć sobie, że to nie ma znaczenia, że wszystko może zmienić się i odrodzić na skinienie Najświętszej Panny, bo wystarczy pomodlić się, wzruszyć ją, wyjednać tę łaskę, aby nas wyróżniła. I jakież to boskie źródło nadziei, gdy zaczyna płynąć cudowna fala pięknych opowieści o uzdrowionych, fala zdumiewających bajek, które kołyszą, upajają rozgorączkowaną wyobraźnię chorych i kalek! Od chwili gdy mała Zofia Couteau, ze swoją białą, cudownie uzdrowioną nóżką, wsiadła do wagonu i otworzyła bezkresne niebo rzeczy boskich i nadnaturalnych, jakże zrozumiałe stało się to krążące wokół tchnienie zmartwychwstania, które powoli dźwigało najbardziej zrozpaczonych z łoża boleści, rozniecało blask w oczach, bo życie nie było jeszcze dla nich skończone i mogli zacząć je na nowo! Tak właśnie rzecz się miała. I dlatego ten nieszczęsny pociąg jechał, wciąż jechał, dlatego ten wagon i wszystkie inne były zatłoczone, dlatego Francję i cały świat od najdalszych krańców przemierzały podobne pociągi, dlatego trzystutysięczny tłum wiernych, wlokąc z sobą tysiące chorych, z roku na rok ruszał w drogę, że tam daleko Grota jaśniała w chwale niby latarnia morska nadziei i uludy, bunt i tryumf niemożliwości nad nieubłaganą materią. Nigdy nie napisano bardziej pasjonującej powieści ku wzniesieniu dusz ponad twarde warunki bytu. Śnić

ten sen – oto było wielkie, niewypowiedziane szczęście. Pielgrzymki ojców od Wniebowzięcia dlatego z roku na rok potężnie się rozwijały, że zbiegającym się do źródła pociechy ludom sprzedawali oni kłamstwo, ten przewyborny chleb nadziei, którego nigdy nie zaspokojony głód cierpiąca ludzkość stale odczuwa. I nie tylko rany fizyczne krzyczały z pragnienia, aby je uleczono, cała istota moralna i intelektualna wołała o swojej nędzy, w nienasyconym pragnieniu szczęścia. Być szczęśliwym, z wiary uczynić sobie gwarancję życia, wesprzeć się aż. do śmierci na tej mocnej lasce pątniczej – oto pragnienie, które wyrывało się ze wszystkich piersi, rzucało na kolana wszelkie cierpienia duchowe, kazało błagać o przedłużenie łaski, o nawrócenie bliskich, o zbawienie duchowe własne i osób ukochanych. Rozlegał się ogromny krzyk, który rósł i wypełniał przestrzeń: być szczęśliwym zawsze, w życiu i śmierci!

I Piotr dobrze widział, że ci wszyscy cierpiący, którzy go otaczają, nie czują już stukotu kół, że odzyskują siły z każdą przebytą milą zbliżającą ich do cudu. Nawet pani Maze stawiała się rozmowna, pewna, że Najświętsza Panna zwróci jej męża. Pani Vincent, uśmiechnięta, lekko kołysała małą Różę; córeczka wydawała się jej mniej chora od tych półmartwych dzieci, które kapano w lodowatej wodzie i które zaraz zaczynały się bawić. Pan Sabatier żartował z panem de Guersaint, opowiadał mu, że w listopadzie, gdy będzie miał zdrowe nogi, odbędzie podróż do Rzymu, w którą wybierał się już od lat piętnastu. Pani Vetu, uspokojona, z lekkimi tylko kurczami żołądka, myśląc, że to głód, prosiła panią de Jonquère, aby pozwoliła jej umoczyć kawałeczki biskopka w szklance mleka; Eliza Rouquet zapomniała o swej ranie i jadła winogrona z odkrytą twarzą. Siedzącą na posłaniu Grivotte i brata Izydora, który przestał się skarżyć, ogarnęła po wysłuchaniu pięknych opowieści tak błoga niecierpliwość, że pytali o godzinę, nie mogąc się już doczekać chwili uzdrowienia. Ale najdziwniejsze było, że nieznanym człowiekiem ożył na chwilę. Gdy siostra Hiacynta znów ocierała mu zimny pot z twarzy, otworzył oczy i uśmiech rozjaśnił na moment jego rysy. Raz jeszcze nabrał nadziei.

Maria trzymała w swej małej ciepłej dłoni rękę Piotra. Była godzina siódma, do Bordeaux mieli przybyć dopiero o wpół do ósmej; pociąg, już opóźniony, coraz to przyspieszał biegu, pędził jak szalony. Burza wreszcie się rozeszła, bezgranicznie czysta słodycz padała z ogromnego, jasnego nieba. – Ach, Piotrze, jakież to piękne, jakie piękne – powtórzyła raz jeszcze Maria ściskając mu rękę z wielką czułością. – I nachylając się ku niemu rzekła półgłosem: – Piotrze, widziałam przed chwilą Najświętszą Pannę, prosiłam ją o uzdrowienie ciebie i ona mi to przyrzekła.

Ksiądz zrozumiał ją i wzburzyły go jej oczy pełne boskiego światła, które utkwiała w jego źrenicach. Zapomniała o sobie, prosiła o jego nawrócenie; i pobożne pragnienia, które z taką niewinnością wybiegały z ust istoty tak cierpiącej a tak ukochanej, poruszyły go do głębi. Dlaczego i on nie miałby kiedyś uwierzyć? I na niego podziałało to mnóstwo niezwykłych opowiadań. Przytłaczający upał odurzył go, na widok takiej nędzy nagromadzonej w tym

wagonie krwawiło jego litościwe serce. Bakcyl działał. Piotr nie wiedział już, gdzie kończyły się rzeczy realne i możliwe, niezdolny był pośród tego mnóstwa zdumiewających faktów dokonać podziału, wyjaśnić jedne, odrzucić drugie. Przez chwilę, gdy pieśń nabożna znowu się rozległa, unosząc go w uparty nurt jego obsesji, nie panował już nad sobą; w halucynacyjnym obłądnie tego pędzącego w przestrzeń szpitala wydało mu się, że wreszcie uwierzył.

V

Pociąg opuścił Bordeaux po kilkuminutowym postoju, tak że zaledwie ci, którzy nie jedli jeszcze obiadu, zdążyli zakupić żywność. Chorzy nie przestawali popijać mleka, dopominając się o biszkopty, niczym dzieci. Gdy tylko pociąg ruszył, siostra Hiacynta klasnęła w dłonie.

– A teraz szybko odmówimy modlitwę wieczorną.

Wówczas przez kwadrans blisko słyhać było niewyraźne mamrotanie, *Ojcze nasz, Zdrowaś*, rachunek sumienia, akt skruchy, polecenie się Bogu, Matce Bożej i świętym Pańskim, dziękczynienie za szczęśliwie przeżyty dzień, a wreszcie modlitwę za żyjących i za wiernych, którzy pomarli.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego... *Amen!*

Było dziesięć minut po godzinie ósmej, zmrok zatapiał już okolice, bezkresną wydłużoną jeszcze przez wieczorne mgły rów – ninę, na której w dali zapalały się w zagubionych domach żywe iskry. Lampy w wagonach chwiały się, rzucając żółte światło na spiętrzone bagaże i pielgrzymów wstrząsanych nieustannie kołyszącym ruchem pociągu.

– Jak wam wiadomo, moje dziatki – powiedziała znowu siostra Hiacynta, stojąc w przedziale – w Lamothe, mniej więcej za godzinę, zarządzą ciszę. Macie więc godzinę, żeby się jeszcze zabawić; ale bądźcie rozsądni, nie podniecajcie się nad miarę. A gdy przyjedziemy do Lamothe, zapamiętajcie to sobie dobrze, ani słowa, ani mru-mru, bo chcę, abyście się wszyscy przespali.

Rozśmieszyło to podróżnych.

– Bo taki jest przepis, a na pewno jesteście bardzo rozsądni i zastosujecie się do niego.

Istotnie od rana wypełniali akuratnie program ćwiczeń religijnych, ułożony godzina za godziną. Teraz, gdy odmówili już wszystkie modlitwy i różańce, odśpiewali pieśni, dzień był skończony, następowała jeszcze tylko krótka rekreacja przed snem. Ale czym ją wypełnić?

– Sostro – zaproponowała Maria – może by siostra pozwoliła księdzu, aby nam trochę poczytał? Czyta doskonale, a ja mam tu taką małą książeczkę, dzieje Bernadety, to takie ładne...

Nie dano jej dokończyć, wszyscy wołali ze świeżo obudzoną namiętnością dzieci, którym obiecano piękną bajkę: – Och tak, sostro! Dobrze, sostro?

– Oczywiście, że pozwalam – rzekła zakonnica – skoro idzie o dobrą lekturę...

Piotr musiał się zgodzić. Ale chciał usiąść pod lampą, więc zamienił się na miejsca z panem

de Guersaint, którego zapowiedź lektury zachwycała tak samo jak innych. Gdy młody ksiądz usadowił się wreszcie oświadczając, że ma dobre światło, i otworzył książkę, dreszcz ciekawości przebiegł z jednego końca wagonu na drugi, wszyscy w skupieniu zwrócili ku niemu głowy i nadstawili uszu. Na szczęście Piotr miał głos donośny i mógł zagłuszyć zgrzytanie kół, które teraz, na tej ogromnej i płaskiej równinie, przypominało huk dalekiego grzmotu.

Piotr, zanim rozpoczął czytać, przyjrzał się książce. Była to jedna z tych obficie kolportowanych broszur wydawanych przez prasę katolicką, rozpowszechnianych w całym świecie chrześcijańskim. Źle wydrukowana, na lichym papierze, miała na niebieskiej okładce naiwny, pozbawiony wdzięku wizerunek Matki Boskiej z Lourdes. Nie śpiesząc się, można to było przeczytać w pół godziny.

Piotr zaczął więc czytać swoim pięknym, wyrazistym głosem o brzmieniu łagodnym i przenikającym:

– „Działo się to w Lourdes, małej miejscinie leżącej w Pirenejach, w czwartek, 11 lutego 1858. Dzień był zimny i nieco mglisty. Zabrakło drzewa na ugotowanie obiadu w domu biednego, lecz uczciwego młynarza Franciszka Soubirous. Jego żona Ludwika zwróciła się do młodszej córki, Marii: «Idź po drzewo na brzeg Gave albo do lasu gminnego. Gave jest to nazwa rzeki przepływającej przez Lourdes.

Maria miała starszą siostrę imieniem Bernadeta, która świeżo powróciła ze wsi, gdzie pewni zacni wieśniacy zatrudniali ją jako pasterkę. Była to dziewczynka wątła i delikatna, wielkiej niewinności, ale cała jej wiedza polegała na tym, że umiała odmawiać różaniec. Ludwika Soubirous wahała się, czy posłać ją z siostrą do lasu na takie zimno; ale w końcu uległa prośbom Marii i pewnej małej sąsiadki, nazwiskiem Joanna Abadie.

Trzy dziewczeczki poszły z biegiem wody, aby zbierać kawałki suchego drewna, i znalazły się przed grotą wydrążoną w wielkiej skale, którą miejscowi ludzie nazywają Massabielle...”

Doszedłszy do tego miejsca lektury i odwracając kartkę, Piotr zatrzymał się i opuścił książeczkę na kolana. Naiwność opowieści, banalne i puste zdania niecierpliwiły go, gdyż miał swego czasu w rękach kompletny zbiór dokumentów dotyczących tej niezwyklej sprawy, namiętnie zagłębiał się w jej najdrobniejsze szczegóły i zachował w sercu słodką czułość i bezgraniczną litość dla Bernadety. Pomyślał sobie, że owe badania na miejscu w Lourdes, o jakich niegdyś marzył, mógłby teraz zacząć na nowo, choćby jutro. Był to jeden z motywów, które skłoniły go do podróży. I cała jego ciekawość w stosunku do drogiej mu jasnowidzącej obudziła się na nowo; uważał ją za istotę czystą, prawdomówną i nieszczęśliwą i gorąco pragnął zanalizować i wyjaśnić jej dzieje. Na pewno nie kłamała, istotnie miewała wizje, słyszała głosy jak Joanna d'Arc i – w prze – konaniu katolików – jak Joanna d'Arc ocaliła Francję. Z JAS. kichż więc mocy zrodziła się ona i jej dzieło? Jak w tej biednej dziewczynce mogła wykiełkować wizja i tak wzburzyć wszystkie dusze wierzące, iż odnowiły się cuda epoki pierwotnej i powstała

niemal nowa religia w świętym mieście, wzniesionym kosztem milionów i nawiedzanym przez tłumy, jakich w podobnym stanie egzaltacji i w itakiej liczbie nie widziano od czasów wypraw krzyżowych!

Przestał więc czytać i opowiedział, co mu było wiadome, co odgadł i ustalił w całej sprawie tak jeszcze niejasnej, mimo iż wypisano z jej przyczyny całe morze atramentu. Piotr znał kraj, jego zwyczaje i obyczaje dzięki długim rozmowom, jakie wiódł był ze swoim przyjacielem, doktorem Chassaigne. A przy tym posiadał czarującą łatwość wysławiania się, subtelną wrażliwość, wybitny talent kaznodziejski, który poznał w sobie jeszcze w seminarium, ale którym nigdy się nie posługiwał. W wagonie, gdy spostrzeżono, że Piotr zna tę historię znacznie lepiej, znacznie obszerniej, niż ją podawała broszurka, i że mówi o niej z twarzą pełną słodyczy i namiętności, powszechne napięcie jeszcze się wzmogło i nowy poryw ogarnął zbolale, spragnione szczęścia dusze, które niepodzielnie zwróciły się ku młodemu kapłanowi.

Zaczął od dzieciństwa Bernadety w Bartres. Przebywała tam u niejkiej Lagûes, która straciwszy własne niemowlę oddała bardzo ubogim Soubirous tę usługę, że wykarmiła i wychowała ich córkę. Wieś licząca czterysta dusz, o milę mniej więcej od Lourdes, leżała jak gdyby na pustyni, daleko od wszelkich uczęszczanych dróg, ukryta wśród zieleni. Droga spada w dół, parę rozrzuconych domów pośrodku łąk przeciętych żywopłotami, porośniętych drzewami orzechowymi i kasztanami; ze zboczy spływają nie milknące nigdy, przejrzyste strumienie, biegną równolegle do ścieżek i tylko stary romański kościółek panuje nad wzgórzem pokrytym grobami cmentarza. Ze wszech stron zadrzewione pagórki falują i pną się do góry: jest to zagubiona miejscowość porośnięta trawą o czarującej świeżości i soczystej zieleni, która od dołu kapie się w wodzie, w szeroko rozlanych obszarach zaskórnych wód, spływających z otaczających gór. I Bernadeta, która od chwili gdy podrosła, płaciła za swe wyżywienie pasaniem owiec, wyganiała je przez cały rok, zagubiona wśród zarośli, gdzie nie spotykała żywej duszy. Czasem tylko ze szczytu wzgórza widziała w dali góry, Pic du Midi, Pic de Viscos, zwały skał lśniące lub zamglone, zależnie od pogody, a za nimi inne szczyty, bezbarwne, na wpół zatarte, nierealne zjawy, jakie widuje się we śnie. Poza tym był dom rodziny Lagûes, gdzie stała jeszcze jej kołyska, dom samotny, ostatni w wiosce. Otaczała go łąka wysadzana gruszami i jabłunkami, od rozległych pól oddzielona tylko źródłem, które można było przebyć jednym skokiem. W niskim domu były tylko na lewo i na prawo drewniane schody prowadzące na strych i dwie duże izby wykładane kamiennymi płytami, a w każdej z nich stało po cztery lub pięć łóżek. Dziewczynki spały razem, zasypiały z wieczora przyglądając się pięknym obrazkom przyklejonym na ścianach, a wielki zegar w sosnowej szafce poważnie wybijał godzinę wśród ogromnej ciszy.

Ach, w jakim słodkim zachwyceniu przeżyła Bernadeta owe lata w Bartrès! Rosła wątła, stale chora, cierpiała na astmę, która dusiła ją przy najmniejszej zmianie wiatru, i w dwunastym

roku życia nie umiała ani czytać, ani pisać, mówiła tylko narzeczem, była dziecinna, opóźniona w rozwoju zarówno umysłowym, jak i fizycznym. Była to dziewczynka dobra, „bardzo łagodna, nadzwyczaj grzeczna, poza tym dziecko jak inne dzieci, ale małowówna, lubiące raczej słuchać niż mówić. Chociaż wcale nie była inteligentna, często wykazywała wiele wrodzonego rozsądku, a czasem nawet umiała dać szybką a ciętą odpowiedź, zdobyć się na prosty dowcip, który pobudzał ludzi do śmiechu. Z ogromnym trudem nauczono ją odmawiać różaniec. Gdy się go już nauczyła, zdawało się, że postanowiła do tego ograniczyć swoje umiejętności, recytowała go od rana do wieczora, tak że odtąd nie widziano jej pasącej owce inaczej jak z różańcem w ręce, przesuającą ziarenka *Pater i Ave*. Wiele godzin przeżyła tak na gęsto porośniętych trawą stokach wzgórz, zatopiona i jak gdyby udreńczona tajemnicą zieleni, widując chwilami z całego świata tylko dalekie szczyty gór, skąpane w blasku, lekkie jak sen! Dnie mijały, a ona wciąż snuła swoje ubogie marzenie, powtarzała jedną modlitwę, która za jedyną towarzyszkę i przyjaciółkę niewinnej i naiwnej samotności dziecka dawała Najświętszą Pannę. A jak piękne wieczory spędzała w zimie w izbie po lewej stronie domu, gdzie palił się ogień! Jej opiekunka miała brata, który był księdzem i czasami czytywał na głos wspaniałe książki; *Żywoty świętych*, zdumiewające przygody, które przejmowały dreszczem strachu i radości, rajskie objawienia na ziemi, kiedy niebo rozchyłało się ukazując anielskie wspaniałości. Książki, które przynosił, często były z obrazkami: Pan Bóg w swojej chwale, Jezus taki’ delikatny i śliczny, z jaśniejącym obliczem, a przede wszystkim i najczęściej Najświętsza Pani, promienna, przybrana w biel, lazur i złoto, tak słodka, jak ją Bernadeta czasem widywała w snach. Ale jeszcze częściej czytano Biblię, starą Biblię, poźółkłą od używania, przeszło sto lat przechowywaną w rodzinie; i w każdy zimowy, wspólnie spędzony wieczór mąż opiekunki, który jeden tylko umiał czytać, brał szpilkę, wsuwał ją na ślepo w książkę i zaczynał czytać od góry po prawej stronie, wśród głębokiego skupienia kobiet i dzieci, które wreszcie nauczyły się całej księgi na pamięć i mogły recytować dalej nie myląc się ani w jednym słowie.

Bernadeta najlepiej lubiła książki nabożne, gdzie występowała życzliwie uśmiechnięta Matka Boża. Ale zainteresowała ją jeszcze jedna lektura, a mianowicie przedziwna historia o *Czterech synach Aymona*. Na żółtej okładce małej książeczki, która zabłąkała się tu w tłumoku wędrownego kolportera, widać było na niezdarnej rycinie czterech bohaterów, Renalda i jego braci, siedzących w czwórce na Bayardzie, słynnym bojowym rumaku, którego w królewskim podarunku otrzymali od wróżki Orlandy. Były tam krwawe bitwy, budowa i obleganie warowni, straszliwe pojedynki między Renaldem a Rolandem, który miał wreszcie wyzwolić Ziemię Świętą, a także czarownik Maugis, rzucający przedziwne czary, i księżniczka Klarysa, siostra króla Akwitanii, piękniejsza od jutrzeńki. Podniecona wyobraźnia często nie dawała Bernadecie zasnąć, zwłaszcza w te wieczory, gdy porzuciwszy książkę zebrani zaczynali opowiadać historie o czarownikach. Bernadeta była bardzo zabobonna, za żadne skarby nie przeszłaby po zachodzie

słońca obok pobliskiej wieży nawiedzanej przez diabła. W całej okolicy zresztą, gdzie lud był pobożny a nieoświecony, roilo się od tajemnic, od śpie – wających drzew, krwawiących kamieni i rozdroży, tak że trzeba było odmówić trzy *Ojcze nasz* i trzy *Zdrowaś*, aby nie spotkać zwierza o siedmiu rogach, który porywał dziewczęta na wieczystą ich zgubę. A jakie bogactwo przerażających bajek! Były ich setki, i wieczorem, gdy ludzie zaczęli opowiadać, trudno było zahamować ten potok. Na pierwszy ogień szły bajki o wilkołafkach, o nieszczęsnych ludziach, których demon zmuszał do wchodzenia w skórę psów, wielkich, białych, górskich psów; gdy się do takiego psa wystrzeli z fuzji i od jednego razu trafi, człowiek zostaje wyzwolony; ale gdy kula padnie tylko na cień, człowiek umiera natychmiast. Następnie przeciągali nie kończącym się orszakiem czarownicy i czarownice. Jedno z tych opowiadań szczególnie pobudzało wyobraźnię Bernadety, to ó pisarzu z Lourdes, który chciał zobaczyć diabła i którego czarownica zaprowadziła w Wielki Piątek o północy na puste pole. Diabeł zjawił się wspaniale ubrany w czerwień. Bez zwłoki zaproponował pisarzowi, że kupi jego duszę, a pisarz udał, że się godzi. Diabeł trzymał właśnie pod pachą rejestr z podpisami ludzi z tego miasta, którzy już się zapredali. Chytry pisarczyk wydobyl z kieszeni niby to butelkę atramentu, a tymczasem była to woda święcona; i pokropił diabła, który strasznie krzyczał, tamten zaś zabrał mu rejestr i uciekł. Wtedy zaczęła się szalona gonitwa przez góry i doliny, przez lasy i strumienie, która mogła trwać cały wieczór. „Oddaj mi rejestr!” – „Nie, nie oddam!” i tak w kółko: „Oddaj mi rejestr!” – „Nie, nie, oddam!” Wreszcie pisarczyk, bez tchu, bliski śmierci, ale mając w tym swoją myśl, pognął ku cmentarzowi, na poświęcaną ziemię, skąd zaczął uragać diabłu, wymachując rejestrem, i w ten sposób wybawił dusze wszystkich nieszczęśników. W te wieczory, przed zaśnięciem, Bernadeta odmawiała w myśli różaniec, szczęśliwa, że piekło zostało wyszydzone, ale drżąca na myśl, że złe duchy na pewno będą krążyć koło niej, gdy tylko zgaśnie lampa.

Przez całą zimę wieczornice odbywały się w kościele. Proboszcz Ader zgodził się na to i schodziło się wiele rodzin, chcąc oszczędzić na świetle, nie mówiąc o tym, że i cieplej było siedzieć tak w gromadzie. Czytywali Biblię, odmawiali wspólnie modlitwy. Dzieci powoli usypiały. Tylko Bernadeta opierała się senności do końca, uradowana, że przebywa w gościnie u Boga, w wąskiej nawie, której smukłe żebrowanie pomalowane było na czerwono i niebiesko. W głębi ołtarz, również malowany i wyłożony, ze swymi krętymi kolumnami i obrazami, gdzie przedstawiona była Maria Panna nawiedzająca świętą Annę, oraz ścięcie świętego Jana, ukazywał swój trochę dziki i barbarzyński przepych. Dziewczynce w ogarniającej ją senności zwidywały się zapewne mistyczne sceny wyłaniające się z tych jaskrawo malowanych obrazów, krew ciekąca z rany, płonące aureole, a Matka Boża wciąż spoglądała na nią oczyma barwy niebios, oczyma żywymi, i zdawało się, że lada chwila otworzy koralowe wargi, aby przemówić do Bernadety. Całymi miesiącami spędzała wieczory w tym półśnie, w obliczu mroczniejącego a pełnego przepychów ołtarza, w tym rodzeniu się boskiego marzenia, które uniosła ze sobą,

a potem, leżąc w łóżku, snuła dalej w błogim śnie, pod okiem anioła stróża.

W tym samym kościele, tak ubogim i tak pełnym żarliwej wiary, zaczęła też Bernadeta naukę katechizmu. Dobiegała właśnie lat czternastu, był najwyższy czas, aby przystąpiła do pierwszej komunii. Jej opiekunka, która uchodziła za skąpą, nie posyłała jej do szkoły, lecz wysługiwała się dziewczynką od świtu do nocy. Pan Barbet, nauczyciel, nigdy nie widywał jej na lekcjach. Ale pewnego dnia, gdy w zastępstwie chorego księdza Adera prowadził lekcję katechizmu, zwróciła na siebie jego uwagę swoją pobożnością i skromnością. Ksiądz bardzo lubił Bernadete; często wspominał o niej nauczycielowi, mówił mu, że nie może spojrzeć na nią, aby nie pomyśleć zaraz o dzieciach z Salette, które musiały być proste, dobre i pobożne jak ona, skoro objawiła im się Najświętsza Panna. Jednego ranka obaj wyszli ze wsi i ksiądz ujrawszy z daleka Bernadete, pędzącą stadko owiec, zagubioną wśród wysokich drzew, odwrócił się parę razy, powtarzając: „Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale ilekroć spotkam to dziecko, wydaje mi się, że widzę Melanię, pastereczkę, towarzyszkę małego Maksymina.” Na pewno prześladowała go ta dziwna myśl, która zdawała się być proroczą. Pewnego dnia, po lekcji katechizmu, czy też wieczorem, po zebraniu w kościele, opowiedział może zdumiewającą historię sprzed lat dwunastu o Pani, która we wspaniałej sukni szła po trawie nie deptając jej, o Najświętszej Pannie, która ukazała się Melanii i Maksyminowi na górze, nad brzegiem strumienia, aby zwierzyć im wielką tajemnicę i przepowiedzieć gniew swego Syna. Od owego dnia źródło, zrodzone z łez Najświętszej Panny uzdrawiało wszelkie choroby, a tajemnica, powierzona pergaminowi zamkniętemu na trzy pieczęcie woskowe, drzemała w Rzymie. Na pewno Bernadeta słuchała tej dziwnej opowieści chciwie, z niemrawą miną przebudzonej śpioszki, a potem unosiła ją z sobą w pustkę zieloną od liści, gdzie spędzała dni, i przeżywała ją na nowo, popędzając owieczki i przesuwając w. wątlých palcach ziarenka różańca.

I tak minęło w Bartrès jej dzieciństwo. Czarujące w wątlej i biednej Bernadecie były jej ekstatyczne oczy, piękne oczy wizjonerki, w których, jak ptaki po czystym niebie, przelatywały marzenia. Usta, duże i zbyt wydatne, znamionowały dobroć; mocno sklepiona czaszka, strome czoło i gęste czarne włosy mogłyby się wydawać pospolite, gdyby nie właściwy jej urok łagodnego uporu. Ale kto nie zajrzał w jej oczy, nie dostrzegł w niej nic szczególnego; była zwyczajnym dzieckiem, biedactwem, dziewczynką wyrosłą w smutku, pełną trwożliwej pokory. Toteż pewnie ksiądz Ader w jej spojrzeniu ze smutkiem wyczytał to, co miało się w niej rozwinąć: dławiącą chorobę nekającą jej smutne dziewczęce ciało, samotność w zielonej pustce, w której wyrosła, łagodność jej pobekujących owiec, *Pozdrowienie Anielskie* obnoszone pod gołym niebem, powtarzane aż do halucynacji, i przedziwne opowieści słyszane w domu opiekunki, i wieczornice spędzane przed pełnymi życia obrazami w kościele, i całą atmosferę prymitywnej wiary, jaką oddychała w tym dalekim kraju odgrodzonym górami.

Dnia 7 stycznia Bernadeta ukończyła czternaście lat i jej rodzice, ci właśnie Soubirous,

widząc, że w Bartrès niczego się nie nauczy, postanowili nieodwołalnie wziąć ją do siebie, do Lourdes, gdzie miała pilnie uczęszczać na lekcje katechizmu i przygotowywać się poważnie do pierwszej komunii. Przebywała więc już w Lourdes dwa czy trzy tygodnie, gdy 11 lutego, w czwartek, w dzień zimny i dość pochmurny...

Tutaj Piotr musiał przerwać, bo siostra Hiacynta wstała, donośnie klaszcząc w ręce. – Moje dzieci, minęła już dziewiąta... Cisza! Cisza! Istotnie minęli już Lamothe, pociąg toczył się ze stłumionym

łoskotem przez morze ciemności, wśród bezkresnych równin wrzosowisk, zatopionych w mroku nocy. Od dziesięciu minut miała już w wagonie panować niczym nie zmacona cisza, ludzie winni byli spać albo cierpieć w milczeniu. Mimo to wybuchł bunt.

– Ach, siostró – zawołała Maria z błyszczącymi oczyma – jeszcze choćby mały kwadransik! Jesteśmy w najciekawszym miejscu!

Podniosło się dziesięć, dwadzieścia głosów:

– O tak, błagamy, jeszcze tylko kwadrans!

Wszyscy chcieli usłyszeć ciąg dalszy, płonęli z ciekawości, jak gdyby nie znali jeszcze tej historii, tak bardzo pochłonęły ich szczegóły z ludzką tkliwością i uśmiechem podawane przez narratora. Spojrzenia nie odwracały się od niego, głowy dziwacznie skłaniały się w jego stronę w świetle dymiących lamp. I pasjonowali się nie tylko chorzy, ale także dziesięć kobiet z głębi przedziału; one również zwracały żalosne brzydkie twarze, wypiękniałe od naiwnej wiary, szczęśliwe, że nie tracą ani jednego słowa.

– Nie, nie mogę – odpowiedziała siostra Hiacynta. – Program jest jasny, trzeba zarządzić milczenie.

Jednakże chwiała się w swojej decyzji, sama tak bardzo zaciekawiona, że serce jej biło pod barbetem. Maria powtórzyła znowu usilne błagania, a jej ojciec, pan de Guersaint, który przysłuchiwał się słowom Piotra z rozpromienioną miną, oświadczył, że wszyscy się pochorują, jeżeli nie usłyszą dalszego ciągu; ponieważ pani de Jonquière także uśmiechała się pobłaźliwie, zakonnica wreszcie ustąpiła.

– No, dobrze, dobrze, jeszcze mały kwadransik, ale tylko kwadransik, prawda? Bo wina spadłaby na mnie.

Piotr czekał spokojnie, *nie* mieszał się do dyskusji, a potem mówił dalej tym samym przejmującym głosem, w którym zwątpienie zabarwiało się współczuciem dla tych, co mimo cierpień nie porzucali nadziei.

Teraz opowieść przeniosła się do Lourdes, na ulicę PetitsFossés, ulicę ponurą, wąską i krętą, biegnącą w dół pomiędzy ubogimi domami i prostacko otynkowanymi murami. Na parterze jednego z tych smutnych domostw, u końca ciemnej sieni, rodzina Soubirous zajmowała jedną tylko izbę, gdzie tłoczyło się siedem osób, ojciec, matka i pięcioro dzieci. Było tam ciemnawo,

z wewnętrznego podwórza, małego i wilgotnego, padało zielonkawe światło. Sypiali tam w tłoku; tam również jedli, gdy było co. Od pewnego czasu ojciec, młynarz z zawodu, z trudem otrzymywał pracę u innych młynarzy. I z tej ciemnej nory, z tej skrajnej nędzy, w zimny lutowy czwartek Bernadeta, starsza córka, poszła po drzewo na opał z Marią, młodszą siostrą, i z Joanną, przyjaciółką z sąsiedztwa.

I teraz szeroką falą popłynęła piękna bajka. Trzy dziewczynki zeszły na brzeg Gave, po drugiej stronie Zamku, znalazły się na wyspie Chalet, naprzeciwko skały Massabielle, od której dzielił je tylko wąski kanał młyna Sâvy. Na to dzikie miejsce gminny pasterz często wypędzał wieprze, które podczas niespodzianej ulewy chroniły się pod skałę Massabielle, mającą u stóp wyżłobioną płytką grotę, zarosłą głógiem i jeżynami. Suchego drzewa było tu niewiele, więc Maria i Joanna przeszły młynówkę dojrzwawszy na drugim brzegu cały stos gałęzi przyniesionych i porzuconych tutaj przez wody strumienia, Bernadeta zaś, węższa i już trochę panienka, pozostała na brzegu, bardzo zmartwiona, nie śmiejąc zamoczyć stóp. Miała ognipiór na twarzy, matka stanowczo przykazała jej okrywać się kapturem, wielkim białym kapturem, wyraźnie odcinającym się na jej starej wełnianej sukience. Gdy ujrzała, że towarzyszki odmawiają jej pomocy, zdecydowała się zdjąć saboty i pończochy. Było około południa, w parafialnym kościele dziewięć razy miał wydzwonić dzwon na *Anioł Pański*, pod rozległym, spokojnym zimowym niebem, przysłoniętym lekkim puchem chmur. I wtedy zrodził się w niej ogromny niepokój, w uszach jej powstał tak wielki burzliwy szum, że myślała, iż to spada huragan z gór; spojrzała na drzewa i zdumiała się; nie drgnął na nich ani jeden listek. Pomyślała więc, że się omyliła, i miała właśnie sięgnąć po saboty, gdy znowu przeniknął ją ten potężny wichur; ale tym razem ogarnął i oczy, nie widziała już drzew, oślepiła ją białosc, coś jak żywa jasność w górnej części groty, w wąskiej pionowej szczelinie podobnej do katedral – nego łuku. Przerażona, padła na kolana. Cóż to było, o Boże? Często, w złych okresach, gdy bardziej nękała ją astma, całymi nocami dręczyły ją przykre sny, których ciężar czuła jeszcze po obudzeniu, nawet gdy nic sobie z nich nie mogła przypominieć. Otaczały ją płomienie, słońce padało jej na twarz. Czy to się jej śniło poprzedniej nocy? Czy to dalszy ciąg jakiegoś zapomnianego snu? Powoli zarysował się jakiś kształt, zdawało się jej, że widzi jakąś twarz, którą mocne światło czyni zupełnie białą. W strachu, aby to nie był zły duch, mózg bowiem miała przesycony bajkami o czarownicach, zaczęła odmawiać różaniec. I gdy niebo z wolna przygasło, Bernadeta przebrnąwszy młynówkę przyłączyła się do Marii i Joanny, zdumiona, że żadna z nich nic nie widziała, gdy zbierały drzewo pod grotą. Wracając do Lourdes, trzy dziewczynki rozmawiały: a więc Bernadeta coś widziała? Ale ona nic nie chciała opowiadać, niespokojna i trochę zawstydzona; wreszcie rzekła, że widziała coś ubranego na biało.

Odtąd wieść poszła i zataczała coraz szersze kręgi. Małżonkowie Soubirous, dowiedziawszy się o tym, gniewali się na podobne dzieciństwa i zabronili córce chodzić do skały Massabielle.

Ale wszystkie dzieci z sąsiedztwa powtarzały już sobie nowinę, tak że w niedzielę rodzice musieli ustąpić i puścić Bernadetę do grotty, z butelką święconej Wody, aby mieć niezbity dowód, że nie jest to sprawka diabelska. Zobaczyła znowu światło; twarz, która jakby nabierała ostatecznego kształtu, uśmiechała się i wcale się nie lękała święconej wody. W następny czwartek dziewczynka znowu tam poszła z gromadką innych osób i dopiero tego dnia jaśniejąca Pani wcieliła się w postać całkiem wyraźną i nawet do niej przemówiła: „Bądź tak dobra i przychodź tutaj przez dwa tygodnie.” Tak więc pomału postać Pani nabrała takiej wyrazistości, że owo coś w białej szacie stało się Panią piękniejszą od królowej, jaką zobaczyć można tylko na obrazku. Z początku na pytania, jakimi sąsiedzi dręczyli ją od rana do wieczora, Bernadeta odpowiadała z wahaniem, pełna skrupułów. Potem wydawało się, że pod samą już sugestią tych pytań twarz Pani nabierała wyrazistości, pełni życia, rysów i barw, od których dziewczynka w swych opisach nigdy już nie miała odstąpić. Oczy były niebieskie i bardzo łagodne, usta różowe i uśmiechnięte, owal twarzy miał jednocześnie wdzięk młodości i macierzyństwa. Spod welonu osłaniającego twarz i sięgającego aż do stóp zaledwie widać było rąbek pukli wspaniałych, bujnych blond włosów. Śnieżnobiała, olśniewająca szata miała być z materiału nie znanego na ziemi, utkanego przez słońce. _ Szarfa, koloru nieba, lekko związana, z dwoma długimi, luźno opadającymi końcami, miała w sobie lekkość rannego powietrza. Różaniec, przełożony przez prawą rękę, ziarnka miał śnieżnobiałe, a łańcuszki i krzyż ze złota. Na obnażonych stopach, na cudnych stopach, białych jak dziewiczy śnieg, kwitły dwie złote róże, mistyczne róże niepokalanego ciała boskiej rodzicielki. Gdzie Bernadeta widziała taką Najświętszą Panią, tak tradycyjną w prymitywnej kompozycji, bez klejnotów, o naiwnym dziecięcym wdzięku prostych ludzi? W której z księzek brata swej opiekunki, poczciwego księdza, który czytywał im przepiękne historie? Na jakimś posązku, obrazie, na jakimś witrażu w malowanym i złożonym kościele, w którym dziewczynka wzrosła? A przede wszystkim skąd wzięły się złote róże na nagich stopach, ta urocza, pełna miłości fantazja, zbożne ukwiecenie kobiecego ciała: z rycerskiego romansu czy też z historii opowiedzianej na lekcjach katechizmu przez księdza Ader, z podświadomego marzenia obnoszonego przez dziewczynkę po cienistym Bartres, przy upartym, nie kończącym się wtórze dziesiątka *Pozdrowień Anielskich*”!

Głos Piotra zabrzmiał jeszcze większą tkliwością; bo choć nie mówił wszystkiego swoim prosto dusznym słuchaczom, ludzki sens, jaki tkwiące w głębi jego duszy zwątpienie próbowało nadać tym cudom, sprawiał, że jego opowiadanie pulsowało braterskim współczuciem. Kochał Bernadetę przede wszystkim za wdzięk jej, halucynacji, za tę Panią o tak ujmującym zachowaniu, niezwykle miłą, uprzejmie pojawiającą się znikającą. Naprzód ukazywało się wielkie światło, potem kształtowała się postać, szła i wracała, pochylała się, krążyła ruchem płynnym i lekkim; a gdy rozwiewała się, jasność utrzymywała się jeszcze przez chwilę, a potem gasła jak zamierająca gwiazda. Żadna Pani z tego świata nie mogłaby mieć oblicza tak białego

i różowego, tak pięknego naiwną pięknnością obrazków-pamiętek od pierwszej komunii. Nawet krzew dzikiej róży w grocie nie ranił jej uwielbianych nagich stóp, ukwieconych złotem.

Piotr opowiadał o dalszych jeszcze objawieniach. Czwarte i piąte miało miejsce w piątek i sobotę; ale jaśniejąca blaskiem Pani, która nie wyrzekła jeszcze swojego imienia, poprzestała na uśmiechu i skinieniu głową, nie przemówiła jeszcze ani słowa. W niedzielę zapłakała i rzekła do Bernadety: „Módl się za grzeszników.” W poniedziałek zasmuciła wielce Bernadetę, nie pokazała się wcale, zapewne aby ją doświadczyć. Ale we wtorek powierzyła jej tajemnicę osobistą, która nigdy nie miała zostać rozgłoszona; a następnie wskazała jej posłannictwo, jakim ją obarczała: „Idź, powiedz księżom, że trzeba tutaj zbudować kaplicę.” W środę szepnęła kilkakrotnie: „Pokutujcie! Pokutujcie! Pokutujcie!”, co dziewczynka powtórzyła całując ziemię. W czwartek powiedziała: „Idź do źródła napić się wody, umyj się nią i zjedz trochę rosnącej obok trawy!” – słowa, które Bernadeta w końcu zrozumiała, gdy w głębi grotty źródło trysnęło pod jej rękami; był to cud czarodziejskiego źródła. Zaczął się następny tydzień: nie ukazała się w piątek, przybywała skrupulatnie przez następne pięć dni i powtarzała rozkazy, patrząc z uśmiechem na swoją pokorną wybranekę, która za każdym zjawieniem odmawiała różaniec, całowała ziemię, czołgała się na klęczkach aż do źródła, aby napić się i obmyć. Wreszcie w czwartek, 4 marca, w ostatni dzień mistycznych spotkań, zażądała bardzo usilnie, aby zbudowano kaplicę, gdzie lud zdążyłby w procesjach ze wszystkich krańców ziemi. Jednakże aż do tej chwili odmawiała wszelkiej odpowiedzi na pytania, kim jest; dopiero w czwartek, 25 marca, w trzy tygodnie później, Pani złożyła ręce, wzniosła oczy do nieba i rzekła: „Jam jest Niepokalane Poczucie.” Dwa razy jeszcze, w przeszło trzymiesięcznym odstępnie czasu, 7 kwietnia i 16 lipca, ukazała się Pani: pierwszy raz, aby dokonać cudu świecy, tej świecy, ponad którą dziewczynka długo trzymała rękę, przez nieuwagę, nie parząc jej sobie; drugi raz na pożegnanie przesyłając ostatni uśmiech i ostatnie pozdrowienie, pełne uroczej uprzejmości. Stanowiło to razem osiemnaście objawień, po czym Pani nigdy się już nie ukazała.

Piotr jak gdyby się rozdziwił. Opowiadając dalej piękną błą – kitną bajkę, tak miłą nieszczęsnym ludziom, dla siebie wywoływał obraz Bernadety żalostnej i bliskiej, której cierpienia zakwitły tak prześlicznym kwiatem. Wedle brutalnych słów pewnego lekarza, ta czternastoletnia dziewczynka, dręczona spóźnionym dojrzewaniem, już wyniszczona przez astmę, była po prostu ofiarą hysterii, istotą niewątpliwie zdegenerowaną, niedorozwiniętą. To, że nie cierpiała na gwałtowne ataki, że nie doznawała podczas ataków zeszywnienia mięśni, że zachowywała dokładne wspomnienia swoich marzeń, stanowiło po prostu bardzo interesującą właściwość tego specjalnego wypadku; cud polega tu na tym, co niewytłumaczone, nauka bowiem wie jeszcze tak mało, błędzi wśród nieograniczonej różnorodności zjawisk, zmieniających się zależnie od jednostki. Ile to już pasterek przed Bernadetą widywało Matkę Boską w tych samych naiwnych okolicznościach! Czyż nie była to zawsze jednakowa historia: Pani

w świetlistej szacie, powierzona tajemnica, tryskające źródło, wyznaczenie misji, cuda, pod których urokiem nawracają się tłumy? I zawsze występowało marzenie ubogiego dziecka, ten sam kolorowy obrazek z książeczki do modlitwy, ideał ukształtowany na tradycyjnej piękności, słodczy i uprzejmości, naiwność środków oraz identyczność celu: odkupienie ludów, budowa kościołów, procesje wiernych! Podobnie też brzmiały wszystkie padające z nieba słowa, wezwania do pokuty, obietnice boskiej pomocy. Nowością było tutaj tylko niezwykle oświadczenie: „Jam jest Niepokalane Poczęcie”, które wybuchło tam jak wielce pożądane uznanie przez samą Marię Pannę dogmatu, który Rzym ogłosił był uroczyście trzy lata wcześniej. Ukazywała się nie Dziewica Niepokalana, lecz Niepokalane Poczęcie, sama abstrakcja, rzecz, dogmat, tak że nasuwały się wątpliwości, czy Najświętsza Panna mogła się tak właśnie wyrazić. Co do innych słów, Bernadeta zapewne gdzieś je usłyszała, przechowała w jakimś nieświadomym zakątku swojej pamięci. Ale skąd wzięło się to zdanie, mające dostarczyć spornemu jeszcze dogmatowi zdumiewającego poparcia i świadectwa samej Matki, co została poczęta bez grzechu?

W Lourdes podniecenie było ogromne, zbiegały się tłumy, zaczynały dziać się cuda, a jednocześnie występowały nieuni – knione prześladowania, które zapewniają powodzenie nowym religiom. Ksiądz Peyramale, proboszcz z Lourdes, uczciwy olbrzym, o rzetelnym i trzeźwym, umyśle, mógł z czystym sumieniem powiedzieć, że nie zna tej dziewczynki, której nie widziano jeszcze na nauce katechizmu. Skąd więc brał się ten nacisk, ta wyuczona lekcja? Wciąż pozostawało tylko to dzieciństwo spędzone w Bartrès, pierwsze nauki księdza Adera, może rozmowy, ceremonie religijne ku czci nowego dogmatu albo może po prostu otrzymany w podarunku jeden z tych medali, którymi szczerze szafowano. Nigdy już nie miał się ukazać na widowni ksiądz Ader, który przepowiedział był misję Bernadety. Pozostanie obcy tej historii, będąc poprzednio pierwszym, co wyczuł, jak w jego pobożnych rękach rozwija się ta duszyczka. I oto wszystkie nieznanne siły nagromadzone w zapadłej wiosce, w tonącym wśród zieleni zakątku, ciasnym i przesadnym, płynęły w świat, mącąc umysły, szerząc epidemię tajemnicy. Przypominano sobie, że pewien pasterz z Argeles, mówiąc o skale Massabielle, przepowiedział, że wielkie rzeczy będą się tam działy. Inne dzieci wpadały w ekstazę z szeroko otwartymi oczyma, z członkami wstrząsanymi przez konwulsje; ale one widziały diabła. Zdawało się, że wichur szaleństwa przeciąga przez kraj. Jakaś stara dama oświadczyła na placu du Porche w Lourdes, że Bernadeta jest czarownicą i że w oku jej widać łapę ropuchy. Natomiast inni, tysiące przybywających tam pielgrzymów, widzą w niej świętą, całują jej suknie. Wybuchają szloch, uniesienie ogarnia dusze, gdy ona pada na kolana przed Grotą, z zapaloną świecą w prawej ręce, lewą zaś przebijając ziarnka różańca. Stawała się wtedy bardzo blada, bardzo piękna, przemieniona. Rysy jej nabierały łagodnego ożywienia, wydłużały się w wyrazie błogiej szczęśliwości, a równocześnie oczy wypełniała jasność, rozchylone usta drgały, jakby

wymawiała jakieś niedosłyszalne słowa. I stawało się pewne, że dziewczynka nie ma już własnej woli, że dała się porwać własnemu marzeniu, tak przez nie opanowana w kręgu swojego ciasnego i odrębnego otoczenia, iż je snuje nawet na jawie, że je przyjmuje jako jedyną bezsporną rzeczywistość, gotowa głosić ją choćby za cenę życia, upierając się przy niej' i powtarzając ją z nie zmienionymi szczegółami. Nie kłamała, gdyż nie umiała, nie mogła, nie chciała chcieć czegoś innego.

Piotr zapalił się teraz, kreśląc uroczy obraz dawnego Lourdes, pobożnego małego miasteczka, uspiętego u stóp Pirenejów. Niegdyś Zamek, zbudowany w miejscu, gdzie zbiega się siedem dolin Lavedanu, był kluczem do tutejszych gór. Ale dzisiaj, zburzony, był już tylko rudera, chylącą się do upadku, u wejścia do ślepej ulicy. Nowoczesne życie trafiło tu na zapórę ogromnego szczytu śnieżnych szczytów; i tylko kolej transpirenejska, gdyby ją zbudowano, mogłaby była obudzić szybsze krążenie krwi w społecznym życiu tego zapadłego kąta, sennym jak stojąca woda. Tak więc zapomniane Lourdes drzemało, szczęśliwe i opieszale w swym doczesnym spokoju, wśród wąskich uliczek wybrukowanych pospolitymi kamieniami, wśród czarnych domów z marmurowymi wykładzinami. Stare dachy piętrzyły się jeszcze wszystkie na wschód od Zamku; ulica Groty, która wtedy nazywała się ulicą Leśną, była po prostu odludną, bardzo złą drogą; nad brzegiem rzeki Gave, która toczyła spienione fale w absolutnej pustce, wśród wierzb i wysokich traw, nie było żadnych domostw. Na placu Marcadal w tygodniu ukazywali się nieliczni przechodnie, śpieszące się gospodynie i beczynnienie snujące się drobni rentierzy; i dopiero w niedzielę lub dzień targowy widywało się na gminnym placu wystrojonych odświętnie mieszkańców, liczne rodziny hodowców, którzy z dalekich wyżyn przypędzali tutaj bydło. W sezonie kąpielowym pewne ożywienie wnosili również kuracjusze udający się do Cauterets i do Bagnères, dylizansy bowiem przejeżdżały przez miasto dwa razy dziennie; ale przybywały one z Pau fatalną drogą i trzeba było przejechać w bród rzekę Lapaca, która często wzbierała, następnie musiano wspinać się stromą jezdnią ulicy Niskiej, przeciąć terasę przy kościele, ocienioną wysokimi wiażami. Wielki spokój panował wokół i wewnątrz tego kościoła, kościoła na wpół hiszpańskiego, pełnego starożytnych rzeźb, kolumn, obrazów, posągów, zaludnionego wizjami ze złota i malowanymi postaciami, spatynowanymi przez czas, jakby oświetlonymi blaskiem mistycznych lamp. Cała ludność schodziła się, tam na nabożeństwa, syciła oczy tym snem o tajemnicy. Nie było tam niedowiarków, lud zachował pierwotną wiarę, każda korporacja kroczyła pod chorągwią swego świętego, wszelkiego rodzaju bractwa w świąteczne poranki skupiały całe miasto w jedną chrześcijańską rodzinę. Toteż panowała tam wielka czystość obyczajów, wyhodowana niby cenny kwiat w wybranym naczyniu. Nie było tam nawet miejsca rozpusty, gdzie młodzi mężczyźni mogliby narazić duszę na zatracenie, a wszystkie dziewczęta wyrastały w woni i krasie niewinności, pod okiem Panny Świętej, Wieży z kości słoniowej i Stolicy mądrości.

Cóż dziwnego, że Bernadeta, urodzona na tej ziemi świętości, zakwitła tutaj jak istna róża polna na przydrożnym krzewie! Była samym kwitnieniem starej krainy wiary i uczciwości, mogła zrodzić się i rozwinąć tylko tam, wśród ludu zapóźnionego w ewolucji, w sennym spokoju ludu dziecięcego, żyjącego w moralnej dyscyplinie religii. A ile miłości wybuchło natychmiast dookoła niej, jaka ślepa wiara w jej posłannictwo, jaka ogromna pociecha i nadzieja zaraz od pierwszych cudów! Przeciągły okrzyk ulgi powitał uzdrowienie starego Bouriette, który odzyskał wzrok, malutkiego Justyna Bouhohorts, który ożył w lodowatej wodzie świętego źródła! Nareszcie Najświętsza Panna wstawiała się za zrozpaczonymi, zmuszała naturę-macochę, aby była sprawiedliwa i miłosierna. Zaczynało się nowe panowanie boskiej wszechmocy, które obalało prawa świata na rzecz cierpiących i ubogich. Cuda się mnożyły, wybuchały z dnia na dzień niezwyklejsze, jako niezbite dowody prawdomówności Bernadety. Była ona zaprawdę różą z bożej grędy, działającą niby balsam i sprawiającą, że dokoła niej wschodziły wszelkie inne kwiaty łaski i zbawienia.

Piotr doszedłszy do tego miejsca znów zaczął opowiadać o cudach i chciał mówić o cudownym tryumfie Groty, ale siostra Hiacynta ocknęła się nagle z czaru, w jakim trzymało ją opowiadanie, i szybko się podniosła.

– Doprawdy, to bardzo nierozsądnie... Dochodzi jedenasta...

Istotnie tak było. Minęli już Morcenx, dojeżdżali do Montde-Marsan; zakonnica klasnęła w ręce.

– Cisza, moje dziatki, cisza!

Tym razem nikt nie śmiał już się buntować, siostra Hiacynta miała słuszość, to wcale nie było rozsądne. Ale jaka szkoda! Nie słyszeć dalszego ciągu, pozostać tak w samym środku tej pięknej opowieści! Dziesięć kobiet z przedziału w głębi pozwoliło sobie nawet na pomruki niezadowolenia; a chorzy, z głowami wciąż odwróconymi, z oczyma szeroko otwartymi na światłość dalekiej nadziei, zdawali się jeszcze słuchać. Bez końca wyliczane cuda napełniły ich wreszcie radością ogromną i nadnaturalną.

– I abym już – dodała wesoło zakonnica – nie słyszała ani słóweczka, bo inaczej zadam pokutę!

Pani de Jonquière roześmiała się dobrodusznie.

– Bądźcie posłuszne, moje dziatki, śpijcie, śpijcie grzecznie, abyście jutro mieli siłę modlić się w Grocie z całego serca.

Zaległo milczenie, nikt już słowa nie wyrzekł i słyhać było tylko łoskot kół, wstrząsy pociągu pędzącego w czarną noc.

Piotr nie mógł zasnąć. Obok niego pan de Guersaint lekko już chrapał, z błogą miną, mimo że ławka była twarda. Ksiądz długo jeszcze widział szeroko otwarte oczy Marii, wciąż pełne blasku cudów, o jakich przed chwilą opowiadał. Wpatrywała się w niego żarliwie, a potem

zamknęła oczy i Piotr nie wiedział, czy drzemie, czy pod zamkniętymi powiekami wskrzesza nieustanny cud. Teraz chorzy śnili na głos, nieświadome ich skargi przerywał niekiedy śmiech. Może widzieli archanioły, jak rozszczepiają ich ciało, aby wyrwać z niego chorobę. Inni, dręczeni bezsennością, przewracali się na posłaniu, tłumili łkania, patrzyli uporczywie w ciemność. Piotr, rozdygotany tą tajemnicą, którą przywołał do życia swymi słowami, zamroczony, zagubiony w tym majaczącym otoczeniu cierpiących braci, związany wspólnotą z tymi pokornymi duszami, poczuł wreszcie nienawiść do swego umysłu, gotów wierzyć jak one. Na cóż mu te studia fizjologiczne nad Bernadetą, tak skomplikowane, a tak pełne luk? Dlaczego nie uznać jej za wysłanniczkę Nieba, wybranekę nieznannej boskiej istoty? Lekarze to po prostu ignoranci, brutalne ręce, a tymczasem tak słodko byłoby usnąć w dziecięcej wierze, w zaczarowanych ogrodach niemożliwości! Przyszła na niego wreszcie uroczą chwilą poddania, kiedy nie chciał już niczego sobie tłumaczyć, przyjmował jasnowidzącą z jej wspaniałym orszakiem cudów, zdając się bez reszty na Boga, aby myślał i pragnął zamiast niego. Wyglądał na świat przez szybę, którą obawiano się opuścić, aby nie narażać suchotników; i wi – dział niezmierną noc, zalewającą okolice, przez które pędził pociąg. Burza musiała wyładować się tutaj, niebo miało cudowną nocną czystość, jak gdyby obmyte obfitymi wodami. Na ciemnym aksamicie błyszczały wielkie gwiazdy i one tylko oświecały tajemniczym lśnieniem odświeżone i nieme pola, rozwijające ku nieskończoności mroczną samotność swego snu. Przez wrzosowiska, doliny i wzgórza wagon cierpienia i nędzy pędził wciąż naprzód, przegrzany, zapowietrzony, rozpaczliwy i jęczący wśród pogodnej sierpniowej nocy, tak pięknej i łagodnej.

O pierwszej minęli Riscle. Bolesna, pełna majaków cisza trwała dalej wśród huku pociągu. O godzinie drugiej, w Vic-de-Bigorre rozległy się głuche skargi: wagon pędząc po źle utrzymanym torze okrutnie wstrząsał chorymi. Dopiero za Tarbes,

wpół do trzeciej, przerwano wreszcie milczenie i odmówiono modlitwy poranne, jeszcze w nocnych ciemnościach: *Pater, Ave*

i *Credo*, i błaganie, aby Bóg dał dzień szczęśliwy i pełny chwały. „O Panie mój, daj mi dość siły, abym uniknął wszelkiego zła, abym czynił wszelkie dobro, abym znieść mógł wszelkie utrapienia!”

Teraz mieli się zatrzymać dopiero w Lourdes. Upłynęły niespełna trzy kwadransy i Lourdes zaczęło płonąć ogromną nadzieją wśród bezlitosnej i długiej nocy. Ciężkie obudzenie miało w sobie coś gorączkowego, w porannej niemocy, przy rozpoczynającym się od nowa ohydnyemu cierpieniu narastało ostatnie podniecenie.

Ale siostra Hiacynta przede wszystkim niepokoiła się o nieznanego człowieka, któremu nie przedstawiała ocierać zalanej potem twarzy. Żył jeszcze, ona czuwała nad nim, nie zmrużyła oka ani na chwilę, nasłuchując słabego oddechu, z upartym pragnieniem, aby dowiedzieć go choćby do Groty.

Nagle, przerażona, zwróciła się do pani de Jonquière:

– Proszę mi szybko podać butelkę z octem... Nie słyszę już jego oddechu.

Rzeczywiście od pewnego czasu słaby oddech tego człowieka ustał. Oczy miał wciąż zamknięte, usta rozchylone; ale bladeść jego nie mogła już być większa, był zimny, szary jak popiół. Wagon toczył się z hukiem potrząsanego żelazniwa, z szybkością, która zdawała się wzrastać. – Chcę natrzeć mu skronie – rzekła znowu siostra Hiacynta. – Proszę mi pomóc.

Nagle, przy jakimś mocniejszym wstrząsie, człowiek runął twarzą do przodu.

– O Boże, proszę mi pomóc! Podnieście go!

Podniesiono go. Był martwy. Ale trzeba go było znów posadzić w tym samym kącie, oparłszy plecami o ścianę. Siedział prosto, ze sztywnym torsem, głowa tylko chwiała mu się lekko przy każdym wstrząsie. Pociąg unosił go dalej, w tym samym huku, lokomotywa, snadź szczęśliwa, iż przybywa do celu, wydawała przeraźliwe gwizdy, istną fanfarę radości rozdzierającą nocną ciszę.

I tak tą śmiercią, w ciągu wlokącej się beznadziejnie pół godziny, zakończyła się podróż. Dwie duże łzy spłynęły po twarzy siostry Hiacynty; po chwili złożyła ręce i zaczęła się modlić. Cały wagon drżał, z przerażenia patrząc na strasznego towarzysza podróży, którego zbyt późno przywieziono do Najświętszej Panny. Ale nadzieja była silniejsza od bólu, wszystkie nagromadzone na tym miejscu choroby na próżno się budziły, rosły, jątrzyły pod przytłaczającym zmęczeniem, śpiew radości i tak sławił tryumfalne wejście do ziemi cudów. Chorzy, wśród łez wyciskanych przez cierpienie, zrozpaczeni, wśród coraz głośniejszych okrzyków, gdzie skargi kończyły się okrzykiem nadziei, zaintonowali *Ave, maris stella*.

Maria znowu ujęła rękę Piotra małymi rozpalonymi dłońmi.

– Och, Boże, ten człowiek umarł... a ja tak się bałam, że nie dożyję do końca podróży!... Ale jesteśmy na miejscu, nareszcie tu jesteśmy!

Ksiądz drżał z ogromnego wzruszenia.

– To dlatego, Mario, że ty masz wyzdrowieć i że ja także wyzdrowieję, jeżeli będziesz się za mnie modliła.

Lokomotywa zagwizdała jeszcze przeraźliwiej wśród błękitnych ciemności. Dojeżdżali, światła Lourdes błyskały na horyzoncie. A cały pociąg śpiewał pieśń nabożną, dzieje Bernadety, nie kończącą się skargę o sześciu tuzinach zwrotek, gdzie *Pozdrowienie Anielskie* powracało stale jako refren, natrętne, oszołamiające, otwierające niebo ekstazy:

DZIEŃ DRUGI

I

Zegar dworcowy, którego tarczę oświetlał reflektor, wskazywał godzinę trzecią dwadzieścia. Pod daszkiem osłaniającym peron, długości około stu metrów, snuły się tam i z powrotem cienie w pełnym rezygnacji oczekiwaniu. W dali, na czarnych polach, widać było tylko czerwony płomień sygnału.

Dwaj z przechadzających się przystanęli. Wyższy, zakonnik ze zgromadzenia Wniebowzięcia, czcigodny ojciec Fourcade, kierownik pielgrzymki narodowej, przybyły dnia poprzedniego, był to człowiek sześćdziesięcioletni, majestatyczny, w czarnej pelerynie z długim kapturem. Jego piękna głowa, z jasnymi i władczymi oczyma, okolona szpakowatą brodą, była głową wodza płonącego inteligentną wolą zdobywania. Powłóczył trochę nogą, gdyż właśnie nękał go atak podagry, i opierał się na ramieniu towarzysza, doktora Bonamy, lekarza przydzielonego do biura stwierdzania cudów, niskiego, krępego mężczyzny

o wygolonej twarzy, oczach bladych i jak gdyby zmętniałych, rysach grubych i spokojnych.

Ojciec Fourcade zwrócił się do naczelnika, stacji, który wybiegł ze swego biura.

– Panie naczelniku, czy biały pociąg ma wielkie opóźnienie?

– Nie, wielbny ojcze, najwyżej dziesięć minut... Będzie tutaj o wpół... Niepokoi mnie natomiast pociąg z Bajonny, który powinien już być stąd wyjechać.

Pobiegł dalej, aby wydać rozporządzenia. Potem, wrócił, chudy

i nerwowy, podniecony, w gorączce, która trzymała go na nogach dniami i nocami w okresie wielkich pielgrzymek. Tego ranka oczekiwał, poza zwykłym rozkładem jazdy, osiemnastu pociągów, ponad piętnastu tysięcy podróżnych. Pociąg szary i pociąg niebieski, które wcześniej wyruszyły z Paryża, przybyły już we właściwym czasie. Ale opóźnienie białego pociągu zakłócało porządek, tym bardziej że ekspres z Bajonny również nie został jeszcze zasygnalizowany; wobec tego zrozumiała była nieustanna czujność, stałe pogotowie, w jakim żył personel kolejowy.

– A zatem za dziesięć minut? – powtórzył ojciec Fourcade.

– Tak, za dziesięć minut, o ile – nie zajdzie konieczność zamknięcia mu wjazdu – rzucił naczelnik stacji biegnąc do telegrafu.

Zakonnik i lekarz znów zaczęli się wolno przechadzać. Dziwili się, że nigdy jeszcze nie wydarzył się żaden poważny wypadek przy takim zamieszaniu. Dawniej zwłaszcza panował niewiarygodny chaos. Zakonnik chętnie wspominał pierwszą pielgrzymkę, którą zorganizował i poprowadził w 1875 roku: straszną, nie kończącą się podróż, bez poduszek, bez materaców, z na wpół martwymi chorymi, których nie wiadomo było, jak ratować; potem przyjazd do Lourdes, bezładne wysiadanie; brak wszelkiego materiału pomocniczego, jak pasy, nosze, powozy. Dzisiaj istniała potężna organizacja, szpitale oczekiwały na chorych, nikt nie musiał już nocować w szopach, na słomie. Jaki to był wstrząs dla tych nieszczęśników! Jaka siła woli

w człowieku wiary, który wiódł ich do cudu! I zakonnik uśmiechał się łagodnie do dzieła, którego dokonał.

Zwrócił się do doktora, wciąż opierając się na jego ramieniu.

– Ile miał pan pielgrzymów w zeszłym roku?

– Około dwustu tysięcy. Ta przeciętna utrzymuje się... W roku koronacji Najświętszej Panny liczba ta wzrosła do pięciuset tysięcy. Ale okazja była niezwykła i propaganda dokonała ogromnego wysiłku. Oczywiście, takich tłumów już potem nie widzieliśmy.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym zakonnik rzekł cicho:

– Bez wątplenia... Dzieło jest błogosławione, rozwija się z każdym dniem, zebraliśmy blisko dwieście pięćdziesiąt tysięcy franków jałmużny na tę podróż i Bóg będzie z nami: jutro będzie pan miał liczne wypadki uzdrowień do stwierdzenia, jestem tego pewien. – Po czym przerwał sam sobie: – Czy ojciec Dargelès nie przybył? Doktor Bonamy wykonał niezdecydowany ruch ręką na znak, że nie wie. Ów ojciec Dargeles był redaktorem „Dziennika Groty”. Należał do zakonu ojców Niepokalanego Poczęcia, osadzonych przez biskupa w Lourdes i będących tu absolutnymi panami. Ale gdy ojcowie z zakonu Wniebowzięcia przywozili z Paryża pielgrzymkę narodową, do której przyłączali się wierni z takich miast, jak Cambrai, Arras, Ghartres, Troyes, Reims, Sens, Orèlan, Blois, Poitiers, usilnie starali się zniknąć z widowni; nie widywano ich ani w Grocie, ani w Bazylice; wydawało się, że zdają wszystkie klucze, zrzucają z siebie wszelką odpowiedzialność. Ich superior, ojciec Capdebarthe, wysoki wieśniak o wężlistym ciele, jak gdyby wykrojony ciosany, topora, o zniszczonej twarzy, która zachowała rudy, mroczony odcień ziemi, w ogóle się nie pokazywał. Pozostawał tylko Ojciec Dargelès, mały i przymilny, którego spotykało się wszędzie, poszukującego materiału do dziennika. Jednakże, mimo iż ojcowie od Niepokalanego Poczęcia znikali, czuło się ich za całą tą ogromną dekoracją, jako siłę ukrytą a najwyższą, która zbijała majątek, pracowała bez przerwy na tryumfalną pomyślność zakonu. Wykorzystywali nawet swoją pokorę.

– Prawda – mówił dalej wesoło ojciec Fourcade – że trzeba było wstać wcześniej, o drugiej godzinie. Ale chciałem tu być. Bo cóż powiedziałyby moje biedne dzieci?

Tak nazywał chorych, te ciała potrzebne do spełniania się cudów; i nigdy nie zaniedbał stawić się na dworcu, bez względu na porę, aby oczekiwać białego pociągu, żałosnego pociągu z najcięższymi chorymi.

– Godzina trzecia dwadzieścia pięć, jeszcze pięć minut – rzekł, doktor Bonamy, który patrząc na zegar stłumił ziewanie; mimo uniżonej miny był w głębi duszy bardzo markotny, że musiał wstać tak wcześniej.

Na peronie podobnym do krytego deptaku dalej odbywała się powolna przechadzka wśród ciemnej nocy, którą palniki gazowe rozjaśniały żółtymi plamami. Niewyraźne. postaci w drobnych grupach, księża, panowie w surdutach, oficer dragonów. chodzili nieustannie tam

i z powrotem, z dyskretnym szmerem głosów. Inni, siedząc wzdłuż budynku dworcowego, również rozmawiali lub czekali spokojnie, ze wzrokiem utkwio – nym przed siebie, w ciemną przestrzeń Biura i poczekalnie, dobrze oświetlone, odcinały się jasnymi drzwiami; lampy płonęły też w bufecie, gdzie widać było marmurowe stoliki i ladę, na której stały koszyki z chlebem i owocami, butelki i szklanki.

Ale najwięcej ludzi roilo się po prawej stronie, w miejscu, gdzie kończył się daszek. Tam bowiem, koło wejścia do budynku poczty towarowej, wyładowywano chorych. Szeroki chodnik barykadowało mnóstwo noszy i małych wózków, stosy poduszek i materaców. Czekало tam już trzy ekipy pielęgniarzy; ludzi ze wszystkich warstw społecznych, a zwłaszcza młodzieńcy z najlepszego towarzystwa; mieli na ubraniu czerwony krzyż obramowany pomarańczową wypustką i szelki z żółtej skóry. Wielu nosiło berety, wygodne okrycie głowy, charakterystyczne dla tej okolicy. Niektórzy, wyekwipowani jak na długą wyprawę, mieli na nogach piękne getry sięgające aż do kolan. Jedni palili, a drudzy, siedząc w swoich małych wózkach, spali lub czytali gazety przy świetle najbliższej lampy gazowej. Jedna, stojąca na uboczu grupa omawiała jakąś sprawę służbową.

Nagle pielęgniarze skłonili się. Zbliżał się jakiś pocziwie wyglądający człowiek, siwy, o twarzy pełnej, z dużymi niebieskimi oczyma łatwowernego dziecka. Był to baron Suire, jedna z największych fortun w Tuluzie, prezes Schroniska Matki Boskiej Wybawicielki.

– Gdzie jest Berthaud – pytał wszystkich z zafrasowaną miną -. gdzie jest Berthaud? Muszę z nim pomówić.

Każdy odpowiadał, padały sprzeczne objaśnienia. Berthaud był zwierzchnikiem pielęgniarzy. Jedni widzieli przed chwilą pana dyrektora w towarzystwie wielebnego ojca Fourcade, inni twierdzili, że powinien być na placu przed dworcem, gdzie ma odbyć przegląd ambulansów.

– Jeżeli pan prezes życzy sobie, pójdziemy poszukać pana dyrektora.

– Nie, nie, dziękuję, sam go pewnie znajdę.

A: tymczasem Berthaud siedział na ławce w drugim końcu peronu i rozmawiał ze swoim młodym przyjacielem, Gerardem de Peyrelongue, oczekując przyjścia pociągu. Był to mężczyzna około czterdziestki, o pięknej, dużej i regularnej twarzy, który zachował wypiełgnowane faworyty urzędnika. Należąc do wojującej, legitymistycznej rodziny i sam wyznając poglądy mocno reakcyjne, był prokuratorem Republiki w jednym z miast na południu kraju, od 24 maja, ale nazajutrz po ukazaniu się dekretu przeciwko kongregacjom podał się do dymisji z wielkim hukiem, w obraźliwym liście skierowanym do ministra Sprawiedliwości. Nie złożył jednak broni, na znak protestu wstąpił do Schroniska Matki Boskiej Wybawicielki i rok w rok manifestacyjnie przyjeżdżał do Lourdes w przekonaniu, że pielgrzymki są przykre i szkodliwe dla Republiki i że tylko Najświętsza Panna mogłaby przywrócić monarchię – za pomocą jednego z cudów, którymi

tak hojnie szafowała w Grocie. Poza tym był to człowiek nadzwyczaj rozsądny, skłonny do śmiechu, a biednym chorym, którym miał zapewnić transport podczas 'trzech dni pielgrzymki narodowej, okazywał jowialne współczucie.

– A więc, mój drogi Gerardzie – mówił do siedzącego obok młodzieńca – w tym roku postanowiłeś się ożenić?

– Tak, jeżeli znajdę żonę, jakiej mi trzeba – odpowiedział Gerard. – A ty, kuzynie, udziel mi dobrej rady! Gerard de Peyrelongue, niski, szczupły, rudy, z wydatnym nosem i kościstymi policzkami, pochodził z Tarbes, gdzie niedawno właśnie pomarli jego rodzice, zostawiając mu najwyżej Siedem do ośmiu tysięcy franków renty. Bardzo ambitny, nie mógł znaleźć w swojej okolicy żony, jakiej pragnął: dobrze spokrewnionej, zdolnej pchnąć go daleko i wysoko. Wstąpił więc do Schroniska i co roku udawał się do Lourdes, z niejasną nadzieją, że wśród tłumu wiernych, wśród mnóstwa dobrze teysłających pań i panien trafi na rodzinę, która pomoże mu zrobić karierę na tym padole. Ale był w kłopotcie, bo chociaż miał już na oku parę młodych dziewcząt, żadna nie zadowalała go w zupełności.

– Przecież ty, kuzynie, jesteś człowiekiem bardzo doświadczoneym, więc mi poradź... Znam niejaką pannę Lemercier, która przyjeżdża tutaj z ciotką. Jest bardzo bogata, ma ponad milion, jak mówią. Ale nie należy do naszej sfery i wydaje mi się bardzo niemądra.

Berthaud pokiwał głową. – Mówiłem ci już: ja wziąłbym sobie małą Rajmunda, pannę de Jonquièrre.

– Ależ ona nie ma ani grosza!

– To prawda, wystarcza im zaledwie na życie. Ale panna dostatecznie urodziwa, dobrze wychowana, a przede wszystkim 'nie przyzwyczajona do wielkich wydatków, a to rzecz decydująca; bo cóż ci z bogatej panny, jeżeli wyda wszystko, co wniesie w posagu? Poza tym, widzisz, ja dobrze znam te panie, w zimie spotykam je w najbardziej wpływowych salonach 'Paryża. A wreszcie nie zapominaj o wuju dyplomacie, który miał tę smutną odwagę, że wytrwał w służbie Republiki, i który uczyni siostrzeńca, czym tylko zechce.

Gerard zapalił się na chwilę, po czym znów opadły go wątpliwości.

– Ani grosza, ani grosza... nie!... To niemożliwe... Muszę się jeszcze dobrze namyślić, ale doprawdy boję się!

Tym razem Berthaud zaczął się szczerze śmiać. – Trudno, masz ambicje, więc powinienes zdobyć się na odwagę. A ja ci powiadam, że to oznacza stanowisko sekretarza 'ambasady... Te panie jadą białym pociągiem, na który właśnie czekamy. Zdecyduj się, zacznij konkury.

– Nie, nie!... Później, chcę się zastanowić!

W tej chwili przerwano im rozmowę. Baron Suire, który raz już przeszedł mimo, ale ich nie zauważył, tak gęsty cień panował w tym odległym kącie, poznał właśnie dobroduszny śmiech byłego prokuratora Republiki. I natychmiast, ze swadą człowieka szybko ogarniającego sytuację,

wydał mu mnóstwo poleceń dotyczących pojazdów i transportu; ubolewał, że nie można chorych zawieźć do Groty bezpośrednio po przybyciu, ale godzina jest naprawdę zbyt wczesna. Umieści się ich w Szpitalu Matki Boskiej Bolesnej, co pozwoli im trochę wypocząć po tak uciążliwej podróży.

Podczas gdy baron i Berthaud omawiali środki działania, Gerard ścisnął dłoń księdza, który usiadł obok niego na ławce. Ksiądz Des Hermoises, zaledwie trzydziestoosmioletni, miał ładną twarz księdza światowca, był starannie uczesany, pachnący, kobiety go uwielbiały. Obdarzony dużym wdziękiem, przyjeżdżał do Lourdes niczym nie związany, jak wielu innych księży, dla własnej przyjemności; w głębi pięknych oczu zachował – żywą iskrę, uśmiech sceptyka wyższego ponad wszelkie bałwochwalstwo. Oczywiście, wierzył, podziwiał; ale Kościół jeszcze się nie wypowiedział na temat cudów; jak się zdawało, gotów był poddawać je dyskusji. Mieszkał w Tarbes, znali się z Gerardem.

– Bardzo nastrojowe – rzekł – jest to oczekiwanie na pociąg w nocy, prawda?... Przeszedłem tutaj ze względu na pewną damę, jedną z moich dawnych paryskich penitentek; nie wiem dokładnie, którym pociągiem przyjedzie; ale, widzi pań, czekam, bo tak mnie to pasjonuje.

Gdy z kolei inny duchowny, stary wiejski proboszcz, przysiadł się do nich, ksiądz Des Hermoises zaczął z nim pobłażliwie rozmawiać o piękności okolic Lourdes, o wspaniałym widowisku, jakie ujrzą za chwilę, kiedy pojawią się góry we wschodzącym słońcu.

Nagle znowu wszczął się alarm. Naczelnik stacji biegał, wykrzykiwał rozkazy. Ojciec Fourcade, mimo swej podagry, puścił ramię doktora i szybko podszedł do toru.

– Ach, to jest sygnał ekspresu z Bajonny, któremu groziło wielkie niebezpieczeństwo – odparł naczelnik stacji na pytanie. – Nie jestem jeszcze spokojny, muszę zdobyć jakieś informacje. Ale rozległy się dzwonki; jeden z kolejarzy pogrążył się w ciemnościach, kołysząc latarnią, a tymczasem w dali poruszał się sygnał. Naczelnik stacji zawołał:

– No, teraz nadjeżdża biały pociąg. Miejmy nadzieję, że zdążymy wyładować chorych przed przybyciem ekspresu. Pobiegł znowu, znikł. Berthaud zawołał Gerarda, który był kierownikiem grupy, i obaj również spieszenie przyłączyli się do swoich ludzi, którymi już dyrygował baron Suire. Pielęgniarze schodzili się ze wszystkich stron, kręcili się w zupełnej ciemności, ciągnęli małe wózki poprzez szyny, aż na odkryty peron towarowy. Wyrosła tam wkrótce istna góra” przygotowanych poduszek, materaców, noszy; ojciec Fourcade, doktor Bonamy, księża, kilku panów i oficer dragonów przeszli tam również, aby asystować przy wyładowywaniu chorych. Na razie, widać było tylko, bardzo daleko, w głębi ciemnych pól, latarnię na lokomotywie, podobną do czerwonej gwiazdy, która rosła z każdą chwilą. Ostre gwizdy rozdzierały noc. Potem umilkły i słychać było tylko dyszenie pary, głuchy stukot kół pomału zwalnających tempa. Wtedy usłyszano wyraźnie pieśń pobożną, skargę Bernadety, śpiewaną w całym pociągu, z upartym *Ave* refrenu. I wreszcie pociąg cierpienia i wiary, pełen jęku i śpiewu, wjechał na dworzec w Lourdes

i zatrzymał się.

Natychmiast otwarto drzwi, tłum zdrowych pielgrzymów i tych chorych, którzy mogli się poruszać, wysiadł, wypełnił peron. Nieliczne latarnie gazowe słabo oświetlały ubogi szary tłum, obładowany wszelkiego rodzaju pakunkami, koszykami, walizkami, drewnianymi kuferkami; w tłoku, wśród wystraszonego stada, nie wiedzącego, gdzie się zwrócić, aby trafić do wyjścia, podnosiły się okrzyki, nawoływania rodzin, które się pogubiły, i powitania, bo na niektórych przybyszów oczekiwali krewni lub przyjaciele. Jakaś kobieta, oznajmiła z miną głupiego zadowolenia: „Spałam dobrze” Jakiś proboszcz, idący z walizką, mówił do ułomnej pani: „Życzę szczęścia!” Większość miała strwożone, zmęczone i uradowane twarze ludzi, których wycieczkowy pociąg wyrzucił na nieznanym, dworcu. Tłok stał się tak wielki, zamieszanie w ciemnościach tak wzrosło, że podróżni nie słyszeli już urzędników, chrypnących od wykrzykiwania: „Tędy! Tędy!”, należało bowiem jak najszybciej opróżnić peron.

Siostra Hiacynta szybko wysiadła z wagonu, zostawiając zmarłego pod strażą siostry Klary od Aniołów, i straciwszy głowę pobiegła do wagonu-kantyny, z nadzieją, że Ferrand coś jej pomoże. Na szczęście, przed furgonem natknęła się na ojca Fourcade, któremu po cichu opowiedziała o wypadku. Pohamował gest niezadowolenia, przywołał barona – Suire, który właśnie tamtędy przechodził, i nachylił się do jego ucha; Przez chwilę szeptali. Następnie baron Suire pobiegł, przepchał się przez tłum z dwoma pielęgniarzami, którzy wzięli kryte nosze. Zabrali nieznanego człowieka, jak gdyby był tylko chorym,; który zemdłał zwłaszcza że tłum pielgrzymów w gorączce przyjazdu już o nim zapomniał; dwaj pielęgniarze, poprzedzani przez barona, złożyli zwłoki na razie w magazynie towarowym, za beczkami. Jeden z nich, niski blondyn, syn generała, pozostał przy ciele. Tymczasem siostra Hiacynta wróciła do wagonu, poprosiwszy w pierw siostrą od Świętego Franciszka, aby zaczekała na nią na placu przed dworcem, koło zamówionego powozu, który miał je zawieźć do Szpitala Matki Boskiej Bolesnej. Gdy powiedziała, że przed odejściem pomoże swoim chorym wysiąść, Maria nie (pozwoliła się nawet tknąć.

– Nie, nie, proszę się mną nie zajmować, siostro. Ja zostanę na koniec... Mój ojciec i ksiądz Froment poszli do wagonu towarowego po koła; poczekam na nich, oni wiedzą, jak się to wszystko montuje, i zabiorą mnie, proszę się nie kłopotać!

Również pan Sabatier i brat Izydor chcieli, aby ich nie ruszać, dopóki tłumy choć trochę się nie przerzedzą. Pani de Jonquière, która podjęła się opieki nad Grivotte, obiecała dopilnować, aby i panią Vêtu przeniesiono do ambulansu.

Wobec tego siostra Hiacynta postanowiła jechać natychmiast, aby przygotować wszystko w szpitalu. Zabrała z sobą małą Zofię Couteau, a także Elizę Rouquet, której starannie obwiązała twarz. Pani Maze szła przed nimi, zaś pani Vincent walczyła z tłumem, niosąc w ramionach omdlałą córeczkę, opanowana jedyną tylko myślą, aby złożyć ją w Grocie, u stóp Najświętszej

Panny. Teraz tłum zbił się u drzwi wyjściowych. Trzeba było otworzyć salę bagażową, aby ułatwić przepłynięcie tej ogromnej ludzkiej fali; urzędnicy nie wiedząc już, jak odbierać bilety, nadstawiali czapki, które wypełniały się ulewą małych kartoników.

Na placu, wielkim kwadratowym placu obramowanym z trzech stron niskimi kolejowymi budynkami, panował również ogromny zgiełk, natłok wszelkiego rodzaju pojazdów. Omnibusy hotelowe, stojące tuż przy chodniku, nosiły na wielkich tablicach czcigodne imiona: Jezusa i Marii, Świętego Michała, Różańca Świętego, Serca Jezusowego. Dalej tłoczyły się ambulanse, landa, kabriolety, omnibusy wycieczkowe, małe wózki zaprzężone w osły, a woźnice krzyczeli i przeklinali wśród tumultu wzmaganego przez ciemności, rozdierane żywymi błyskami latarni. Burza trwała przez część nocy, kałuże błota pryskały spod końskich kopyt, a piesi grzęzli w nich aż po kostki. Pan Vigneron, za którym szły oszołomione panie: Vigneron i Chaise, dźwigał Gustawa i wraz z kulą umieścił go w omnibusie hotelu „Objawień”, gdzie następnie usadowił się wraz z obiema kobietami. Pani Maze, z lekkim otrząsaniem się wypielegnowanej kotki, która nie chce ubrudzić sobie łapek, skinęła na woźnicę starej karety, wsiadła i dyskretnie znikła podając adres: klasztor Sióstr Błękitnych. Siostra Hiacynta zdołała się wreszcie umieścić z Elizą Rouquet i Zofią Couteau w dużym szarabanie, gdzie siedzieli już Ferrand, siostry od Świętego Franciszka i siostra Klara od Aniołów. Stangreci zacinali batem żwawe, małe koniki, pojazdy pryskając błotem ruszały w piekielnym tempie wśród ogólnego krzyku.

Wobec napierającej fali pani Vincent wahała się przejść ze swym drogim ciężarem. Chwilami wokół niej rozbrzmiewały śmiechy. Ach, cóż za bałagan. Kobiety unosiły spódnice i biegły dalej. Gdy na placu trochę się przeredziło, pani Vincent wzięła na odwadę i poszła dalej, choć bardzo się bała, że w tych ciemnościach pośliznie się w kałuży i upadnie. Gdy doszła do biegnącej w dół ulicy, spostrzegła grupy miejscowych kobiet, które proponowały pokoje do wynajęcia, nocleg i wikt, zależnie od zamożności przybyłych.

– Czy mogłaby pani – zapytała starej kobiety – wskazać mi drogę do Groty?

Tamta nie odpowiedziała, zaproponowała natomiast niedrogi pokój.

– Wszędzie pełno, w hotelu nie znajdzie pani miejsca... Można by tam jeszcze coś zjeść, ale na pewno nie będzie najmniejszej choćby dziury, aby się przespać.

„Jeść, spać”, o Boże, czy pani Vincent w ogóle o tym myślała, ona, która wyjechała mając półtora franka w kieszeni, wszystko, co jej zostało po koniecznych wydatkach!

– Proszę pani, jak się idzie do Groty?

Wśród kobiet werbujących sobie klientów stała wysoka i tęga dziewczyna, ubrana jak służąca z zamożnego domu, czysta, ze starannie utrzymanymi rękoma. Wzruszyła lekko ramionami. A że przechodził właśnie jakiś ksiądz, szeroki w barach i z czerwoną twarzą, podbiegła ku niemu, ofiarując mu pokój umeblowany, i szła za nim coś mu szepcząc.

– Niech pani słucha – zlitowała się wreszcie nad panią Vincent inna dziewczyna – pójdzie

pani w dół tą drogą, skwrci pani na prawo i dojdzie pani do Groty.

Na dworcu, na peronie wyładunkowym., tumult trwał dalej Wprawdzie zdrowi pielgrzymi i chorzy mogący się utrzymać na nogach usunęli się już częściowo, ale ciężko chorzy, których trudno było wyładować i zabrać, zalegali jeszcze chodnik. Pielęgniężki uwijali się przy nich, jak w ukropie, z noszami i wózkami, przerażeni tym ogromem pracy, nie wiedząc, jak się do niej zabrać.

Gdy Berthaud żywo gestykułując przechodził tamtędy z Gerardem, dojrzał w świetle gazowego płomienia dwie panie i młodą pannę, które zdawały się na coś czekać. Poznał Rajmundę i żywym gestem zatrzymał towarzysza.

– Jakże się cieszę, że panią widzę! Czy szanowna matka pani czuje się dobrze? Zapewne miały panie wygodną podróż – I zaraz, nie czekając na odpowiedź, dodał: — Mój kuzyn, pan Gerard de Peyrelongue.

Rajmunda przeciągle popatrzyła na młodego człowieka jasnymi, śmiejącymi się oczyma.

– O, mam przyjemność trochę pana znać! Spotkaliśmy się już raz w Lourdes.

Gerard uważając, że jego kuzyn Berthaud zbyt ostro zabiera się do rzeczy, a za nic nie chcąc dać się zaangażować w ten sposób, przestał na bardzo uprzejmym ukłonie.

– Czekamy na moją matkę – mówiła dalej dziewczyna. – Jest ogromnie zajęta, opiekuje się ciężko chorymi.

Mała pani Dètagneaux, o blond główce, z rozwichrzonymi Włosami, zawołała, że dobrze tak pani de Jonquière, skoro odrzuciła jej usługi; i trudno jej było ustać na miejscu, tak bardzo pragnęła przystąpić do pracy, aby stać się użyteczną; natomiast pani Volmar, trzymająca się na uboczu, milcząca, nie interesowała się niczym, wpatrywała się tylko w ciemność, jak gdyby szukała kogoś swoimi wspaniałymi, zwykle zamglonymi oczyma, w których teraz zaczynał płonąć żar. W tej chwili zrobił się ogromny tłok. Wynoszono panią Dieulafay z jej przedziału pierwszej klasy; i pani Desagneaux nie mogła powstrzymać okrzyku litości: – Ach, cóż to za biedna kobieta!

Istotnie, bolesny był widok tej młodej kobiety otoczonej

ogromnym zbytkiem złożonej wśród koronek jak w trumnie, tak zmarniałej, iż. wydawała się łachmanem; leżała teraz na chodniku, w oczekiwaniu, by ją zabrano. Mąż i siostra stali koło niej, oboje bardzo eleganccy i bardzo smutni, a tymczasem służący nosił walizki, a następnie poszedł upewnić się, czy wielka karetka, zamówiona telegraficznie, stoi już przed dworcem. Ksiądz Judaine również towarzyszył, chorej, a gdy dwaj ludzie ją dźwignęli, nachylił się, pożegnał ją i wyrzekł parę pocieszających słów których ona zdawała się nie słyszeć. Patrząc, jak się oddalała, dodał zwracając się, do Berthauda, z którym się znali:

– Biedni ludzie! Gdyby mogli kupić uzdrowienie! Powiedziałem im, że najcenniejszą monetą w oczach Matki Bożej jest modlitwa; i mam nadzieję, że sam dość, się modliłem, ażeby Niebo

dało się wzruszyć. Wiozą oni zresztą wspaniały dar, złotą lampę do Bazyliki, istne cudo, wysadzone kamieniami... Oby Niepokalana raczyła się do, nich uśmiechnąć!

Wiele darów już tak zwieziono; właśnie tragarze nieśli ogromne bukiet, a wśród nich rodzaj potrójnej korony z róż, umieszczonej na drewnianej podstawie. Stary ksiądz dodał, że chciałby przed opuszczeniem dworca odebrać chorągiew, dar pięknej pani Jousseur, siostry pani Dieulafay.

Ale tymczasem nadeszła pani de Jonquière i zobaczyła Berthauda i Gerarda.

– Błagam was, panowie, chodźcie do tego wagonu, to, bliźniutko. Potrzeba. tam mężczyzn, jest paru chorych, których musi się wynieść... Jestem w rozpacz, bo nie mogę dać sobie rady.

Gerard skłonił się Rajmundzie, i pobiegł, zaś Berthaud po-radził pani de Jonquière, aby nie zatrzymywała się dłużej na peronie; zapewnił ją, że teraz nie jest tutaj potrzebna, bo on zajmie się wszystkim, ona zaś będzie mieć swoich chorych' w szpitalu najdalej za trzy kwadransy. Ustąpiła wreszcie i wsiadła do powozu z Rajmunda i panią Dètagneaux. Pani Volmar w ostatniej chwili znikła, jak gdyby nagle się zniecierpliwiła. Widziano, jak podeszła do jakiegoś nieznanego pana, zapewne, aby go o coś zapytać. Zresztą panie miały się z nią zobaczyć w szpitalu.

Przed wagonem Berthaud zobaczył Gerarda w chwili, gdy ten, przy pomocy dwóch kolegów, z trudem wynosił pana Sabatier. Niełatwe to było zadanie, gdyż chory był bardzo gruby i ciężki i wydawało się, że w żaden sposób nie wyniosą go przez drzwi przedziału. Ale skoro tam go wniesiono! Jeszcze dwaj pielęgniarze musieli stanąć po drugiej stronie drzwi i w końcu udało się go złożyć na peronie wyładunkowym. Wstawał dzień, blade dzionek, i peron żałośnie wyglądał w nieładzie naprędce zorganizowanego szpitala. Leżała tam już na materacu nieprzytomna Grivotte, czekając, aż przyjdą ją zabrać; panią Vetu trzeba było posadzić pod gazową latarnią, dostała bowiem tak silnego ataku, że krzyczała przy najmniejszym wstrząsie. Pielęgniarki, w rękawiczkach, z wysiłkiem wieźli w małych wózkach ubogie, niechlujne kobiety, które trzymały przy nogach stare koszyki; inni nie mogli wydostać z tłoku noszy, gdzie leżały sztywne ciała, smutne, nieme ciała o przerażonych oczach; a tymczasem kaleki i ułomni starali się posuwać o własnych siłach; był tam kulawy ksiądz i mały chłopiec o kulach, garbaty i bez jednej nogi, wlokący się wśród tłumu niby gnom. Zator powstał przy człowieku skurczonym we dwoje i wykręconym przez paraliż, którego musiano przenieść w tej pozycji na przechylnym do tyłu krześle, z nogami i głową w dole.

Zamieszanie doszło do zenitu, gdy przebiegł naczelnik stacji wołając:

– Sygnalizują ekspres z Bajonny... Spieszmy się, śpieszmy! Macie trzy minuty czasu!

Ojciec Fourcade, który górując nad ciżbą, wsparty na ramieniu doktora Bonamy, z pogodną twarzą dodawał odwagi najciężej chorym, wezwał do siebie gestem Berthauda i rzekł:

– Wynieście najpierw wszystkich z wagonów, a potem zabierzecie ich do miasta.

Rada była mądra, skończono więc wyładowywanie i w wagonie pozostała tylko czekająca

cierpliwie Maria. Wreszcie ukazali się pan de Guersaint i Piotr, niosąc dwie pary kół; Piotr w pośpiechu, we dwójkę tylko z Gerardem, wyniósł dziewczynę. Była lekka jak żaloszny, przemarznięty ptak, i tylko ze skrzynią mieli kłopot. Potem dwaj mężczyźni postawili skrzynię na dwu parach kół i przymocowali je sworzniami. Teraz Piotr byłby już mógł zabrać Marię, gdyby droga była wolna.

– Spieszmy się, śpieszmy się! – powtarzał naczelnik stacji.

Sam też pomagał; tu podtrzymał chorego za nogi, byle prędzej wydobyto go z przedziału, tam popchnął mały wózek, odsuwał nosze i bagaże z brzegu chodnika. Ale w wagonie drugiej klasy jakaś kobieta, która miała wysiąść ostatnia, dostała ciężkiego ataku nerwowego. Krzyczała, szamotała się. Nie było nawet mowy, aby ją tknąć w takiej chwili. A tymczasem ekspres nadchodził, sygnalizowany nieprzerwanym dźwiękiem elektrycznych dzwonków. Trzeba się było zdecydować, zamknąć drzwi, odprowadzić pociąg na boczny tor, gdzie miał stać w pełnym składzie przez trzy dni, czekając, aż znowu obciążą go jego ładunkiem pielgrzymów i chorych. Gdy ruszał z miejsca, jeszcze słyhać było krzyki nieszczęsnej kobiety, która musiała pozostać tam sama z jedną zakonnica, krzyki coraz cichsze, krzyki słabego dziecka, które udało się wreszcie uspokoić.

– Dobry Boże! – szepnął naczelnik stacji. – Czas już był najwyższy!

Istotnie ekspres z Bajonny nadjechał z całą szybkością i jak piorun przeleciał wzdłuż żaloszego peronu, gdzie rozłożyła się cierpiąca nędza zrujnowanego szpitala. Małe wózki i nosze ‘doznały wstrząsu; ale nie było żadnego wypadku, ludzie z załogi czuwali, usuwali z szyn przerażone stado, które dalej przepychało się do wyjścia. Zresztą natychmiast rozpoczął się przerwany na chwilę ruch, pielęgniarze mogli ostrożnie i powoli dokończyć transportu chorych.

Dzień narastał, przejrzysta zorza bielą na niebie, refleks jej rozjaśniał czarną jeszcze ziemię. Można już było odróżnić ludzi i przedmioty.

– Zaraz, zaraz! – powtarzała Maria Piotrowi, który usiłował torować sobie drogę. – Poczekajmy, aż przepłynie ta fala.

Uwagę jej zwrócił człowiek lat około sześćdziesięciu, o wyglądzie wojskowego, przechadzający się wśród chorych; miał sympatyczną twarz i ze swymi siwymi, krótko przystrzyżonymi włosami wyglądałby jeszcze krzepko, gdyby nie powłóczył lewą nogą, którą wyrzucał do wewnątrz przy każdym kroku. Lewą ręką wspierał się na grubej lasce;

Pan Sabatier, który bywał w Lourdes od siedmiu lat, zobaczył go i ucieszył się.

– Ach, to pan, Komandorze!

Nie wiadomo, czy tak brzmiało jego nazwisko, czy też przezwano go tak, bo miał odznaczenie i nosił szeroką czerwoną wstążkę, choć co prawda był tylko zwykłym kawalerem tego orderu, a nie komandorem. Nikt właściwie nie znał jego dziejów; miał podobno jeszcze jakąś rodzinę, na pewno dzieci; ale sprawy te pozostały niejasne. Od trzech już lat zjawiał się na

dworcu i miał obowiązek czuwać nad przewozem bagażu: było to nieskomplikowane i skromne zajęcie, ofiarowane mu z wielkiej łaski, marnie wynagradzane, ale pozwalało mu żyć w zupełnym szczęściu. Tknięty pierwszym atakiem apoplektycznym w pięćdziesiątym piątym roku życia, w dwa lata później miał drugi atak, po którym pozostał mu lekki bezwład lewej połowy ciała. ‘Oczekiwał trzeciego z doskonałym spokojem. Jak sam mówił, był teraz na łasce śmierci, która mogła przyjść dziś, jutro, w każdej chwili. Całe Lourdes dobrze znało jego manię, jego dziwny nawyk: w okresie pielgrzymek, powłócząc nogą, wsparty na lasce, wychodził do każdego pociągu, aby gwałtownie dziwić się i wyrzucać chorym ich zaślepienie, z jakim pragnęli uzdrowienia.

Ponieważ od trzech lat widywał pana Sabatier, cały swój gniew wyładował na nim.

– Jak to? Pan znowu tutaj? Tak bardzo zależy panu na tym obrzydliwym życiu? Ależ, do diaska, umieraj pan spokojnie na własnym łóżku! Czyż to nie najlepsze, co może być na świecie?

Pan Sabatier śmiał się, bez gniewu, zmęczony tylko trudnościami, z jakimi wyniesiono go z wagonu.

– Me, nie, wolę wyzdrowieć!

– Wyzdrowieć, wyzdrowieć! Wszystkim się tego zachciewa! Przebywacie setki mil, zjawiacie się tu zmordowani, krzycząc z bólu, aby wyzdrowieć i aby od nowa znosić wszystkie bóle, wszystkie utrapienia! Przecież pan, w tym wieku, tak zruj – nowany fizycznie, byłby naprawdę zaskoczony, gdyby Matka Boska uzdrowiła pańskie nogi! Cóż by pan, u Boga Ojca, z nimi począł? Jaka radość dałoby panu przedłużenie o parę lat tej ohydy starości? Ach, dopóki pan tu jest, staraj się pan jak najszybciej umrzeć! To jest szczęście!

Mówił to nie jak człowiek wierzący, który wzdycha do nagrody w przyszłym życiu, lecz jak człowiek zmęczony, który liczy na to, że zapadnie w nicość, w ogromny wieczysty spokój niebytu.

Pan Sabatier wzruszał ramionami, jak gdyby miał do czynienia z dzieckiem, ale ksiądz Judaine, który odszukał wreszcie swoją chorągiew, zatrzymał się w przejściu i pogodnie zganił Komandora, którego znał również.

– Proszę nie bluźnić, drogi panie; kto nie chce żyć i nie kocha zdrowia, obraża Niebo. Pan sam, gdybyś chciał mnie słuchać, byłbyś już prosił Najświętszą Pannę o uzdrowienie twojej nogi.

Na to Komandor uniósł się.

– Na moją nogę nie ma już żadnej rady, jestem o to spokojny! I niech już wreszcie przyjdzie śmierć, niech się to wszystko raz na zawsze skończy... Gdy zbliża się śmierć, człowiek odwraca się do ściany i umiera, to całkiem proste!

Ale stary ksiądz przerwał mu. Wskazał Marię, która przysłuchiwała się im, leżąc w swojej skrzyni.

– Każe pan wszystkim chorym umierać w domu, nawet tej młodej osobie, która jest

w kwiecie młodości i chce żyć?

Maria żarliwie otwierała swoje duże oczy z pragnieniem, aby istnieć, mieć swoją część na tym wielkim świecie, a Komandor, podszedłszy bliżej, patrzył na nią z głębokim wzruszeniem, od którego zadrżał mu głos.

– Jeżeli pani wyzdrowieje, życzę jej jeszcze drugiego cudu: aby była szczęśliwa!

I odszedł, kontynuując wśród chorych swą przechadzkę gniewnego filozofa, powłócząc nogą i stukając w płyty żelaznym okuciem grubej laski.

Powoli chodnik pustoszał, zabrano panią Vêtu i Grivotte; Gerard powiózł pana Sabatier w małym wózku, a tymczasem baron Suire i Berthaud wydawali już zarządzenia dotyczące następnego pociągu, zielonego, którego teraz oczekiwano. Została już tylko Maria, którą zazdrośnie obarczył się Piotr. Zaprzął się do wózka i pociągnął ją na plac dworcowy. Oboje zauważyli, że od pewnej chwili znikł gdzieś pan de Guersaint. Natychmiast zresztą dostrzegli go prowadzącego ożywioną rozmowę z księdzem Des Hermoises, z którym właśnie zawarł znajomość. Zbliżył ich jednak podziw dla przyrody. Dzień się już zrobił na dobre, otaczające góry ukazywały się w całym majestacie. Pan de Guersaint wydawał okrzyki zachwytu.

– Cóż za kraj, księżu! Oto trzydzieści lat marzę o tym, aby zwiedzić wąwóz Gavarnie. Ale to jeszcze daleko i kosztuje dużo, tak że zapewne nie będę mógł urządzić tej wycieczki.

– Myli się pan, to nic trudnego. Jeżeli wybrać się w licznym towarzystwie, koszty, są umiarkowane. I właśnie mam zamiar znów tam pojechać w tym roku, tak że jeżeli pan zechce się do nas przyłączyć...

– Ależ oczywiście!... Jeszcze o tym porozmawiamy. Stokrotne dzięki!

Wołała go córka, wrócił do niej po serdecznej wymianie ukłonów. Piotr postanowił zaciągnąć Marię aż do szpitala, aby jej oszczędzić przeładunku na inny pojazd. Omnibusy, landa, wozy wycieczkowe, wracały już i znowu tarasowały plac, oczekując zielonego pociągu. Z pewną trudnością wydostał się na drogę ze swoim małym wózkiem, którego niskie koła aż po piasty tonęły w błocie. Policjanci czuwający nad porządkiem klęli obrzydliwe błocko, które ochlapały im buty. Tylko prostytutki, stare i młode, pragnąc koniecznie wynająć swoje pokoje, drwiły sobie z kałuż i brnęły przez nie w sabotach, w pogoni za pielgrzymami.

Ponieważ wózek swobodnie teraz potoczył się spadzistą drogą, Maria uniosła głowę i zapytała pana de Guersaint, który szedł obok niej:

– Ojczy, jaki to dzisiaj dzień? – Sobota, kochanie.

– To prawda, sobota, dzień Matki Boskiej... Może ona dzisiaj mnie uzdrowi?

A za nią ukradkiem, na osłoniętych noszach, dwaj pie – łęgniarze nieśli zwłoki nieznanego mężczyzny, które zabrali z głębi magazynu towarowego, gdzie leżały w cieniu beczek, aby złożyć je w ustronnym miejscu, wskazanym przez ojca Foureade.

II

Szpital Matki Boskiej Bolesnej, zbudowany przez pewnego miłosiernego kanonika, ale nie wykończony z powodu braku pieniędzy, jest wielkim czteropiętrowym gmachem, znacznie za wysokim, gdzie trudno jest wnosić chorych. Zazwyczaj przebywa tam około setki chorych i ubogich starców. Ale w okresie pielgrzymki narodowej starców przenosi się na trzy dni gdzie indziej, a szpital wynajmuje się ojcom od Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, którzy czasem lokują tam do pięciuset lub sześciuset chorych. Mimo tego sale szpitala okazują się niewystarczające. Pozostałych trzystu do czterystu chorych przydziela się – mężczyznom do Szpitala Zbawienia, kobiety do Schroniska Miejskiego.

Tego ranka, o wschodzie słońca, na wysypanym piaskiem dziedzińcu, przed drzwiami strzeżonymi przez dwóch księży, panowało wielkie zamieszanie. Dnia poprzedniego personel czasowy objął w posiadanie biura, z całym bogactwem rejestrów, kart, drukowanych formularzy. Chciano poprowadzić wszystko znacznie lepiej niż w roku poprzednim; sale dolne miano zostawić dla chorych bezwładnych; rozdział kart z wypisaną na nich *nazwą* sali i numerem łóżka miał być starannie kontrolowany, gdyż zdarzały się pomyłki co do identyczności osób. Ale wobec fali ciężko chorych, których właśnie przywiózł biały pociąg, nie ostały się te dobre intencje i nowe formalności do tego stopnia skomplikowały sprawę, że trzeba było zdecydować się na gromadzenie nieszczęsnych na dziedzińcu, w miarę jak przybywali, zanim zdoła się przyjąć ich w jakim takim porządku. Zaczynał się podobny chaos jak na dworcu, żalosne koczowanie pod gołym niebem, a tymczasem pielęgniarki i urzędnicy z sekretariatu, młodzi seminarzyści, biegali na wszystkie strony z przerażonymi minami. – Zbyt dobrze chcieli to wszystko urządzić – wołał zrozpaczony baron Suire.

I miał słuszość, nigdy jeszcze nie przedsięwzięto tylu bezużytecznych środków ostrożności, ale dopiero teraz zauważono, że na skutek jakiejś niezrozumiałej pomyłki do górnych sal zostali skierowani chorzy najtrudniejsi do transportowania. Niepodobna już było zmienić rozdziału miejsc i wszystko znowu miało się ułożyć na chybił trafił; zaczęto więc rozdawanie kart, a jakiś młody ksiądz wpisywał do rejestru nazwiska i adresy dla kontroli. Każdy chory musiał przy tym przedłożyć kartę szpitalną w kolorze swego pociągu, z wypisanym na niej nazwiskiem i numerem porządkowym; na te same karcie notowano mu nazwę sali i numer łóżka, co w nieskończoność przedłużało ceremonię przyjęcia.

W całym więc ogromnym budynku, poprzez cztery jego piętra, zaczęła się bieganina. Pana Sabatier zainstalowano, jako jednego z pierwszych, w parterowej sali, zwanej salą małżeństw, gdzie chorym mężczyznom wolno było zatrzymywać przy sobie żony. Do Szpitala Matki Boskiej Bolesnej przyjmowano poza tym tylko kobiety. Ponieważ brat Izydora był z siostrą, zgodzono się potraktować ich jako małżeństwo i położono misjonarza koło pana Sabatier, na sąsiednim łóżku.

Tuż obok mieściła się kaplica, jeszcze biała od wapna, z deskami w oknach zamiast szyb. Inne sale również nie były jeszcze wykończone; leżały w nich tylko materace, gdzie szybko układały się chore. Tłum kobiet mogących się samodzielnie poruszać zalegał już refektarz, długą galerię z oknami wychodzącymi na wewnętrzny dziedziniec; a siostry Saint-Frai – zwykła obsługa szpitala – które pozostały na miejscu, aby zająć się kuchnią, wydawały garnuszki kawy z mlekiem i czekolady biedaczkom, wyczerpanym okropną podróżą.

– Proszę wypocząć, nabrać sił – powtarzał baron Suire, który nie szczędził się i był wszędzie naraz. – Macie dobre trzy godziny czasu. Nie ma jeszcze piątej i czcigodni ojcowie wydali rozporządzenie, aby do Groty udać się dopiero o godzinie ósmej, bo trzeba, koniecznie unikać przemęczenia. Na górze, na drugim piętrze, pani de Jonquière jako jedna z pierwszych objęła w posiadanie salę Świętej Honoryny, która – rejs była kierowniczką. Musiała zostawić na dole córkę, Rajmundę, przydzieloną do obsługi refektarza, gdyż regulamin zabraniał młodym pannom wchodzić do sal, gdzie mogły zobaczyć rzeczy nieprzyzwoite i zbyt straszne. Ale mała pani Desagneaux, jako pielęgniarka, nie opuściła kierowniczkę i już wypytywała ją o polecenia, szczęśliwa, że wreszcie będzie mogła się poświęcić.

– Proszę pani, czy też wszystkie łóżka są dobrze posłane? A gdybym je przesłała wraz z siostrą Hiacyntą?

W sali wymalowanej na kolor jasnożółty, słabo oświetlonej przez okna od wewnętrznego dziedzińca, stało piętnaście łóżek w dwu rzędach, pod ścianami.

– Zaraz, zaraz, zobaczymy – odpowiedziała pani de Jonquiere z zafrasowaną miną.

Policzyła łóżka, przyjrzała się długiej i wąskiej sali. Potem rzekła półgłosem:

– Za mało tu miejsca. Zapowiedziano mi dwadzieścia trzy chore, więc trzeba będzie położyć materace na ziemi.

Siostra Hiacynta, która przyszła z obu paniami, zostawiwszy siostrę od Świętego Franciszka z siostrą Klarą od Aniołów w sąsiedniej małej salce zamienionej na skład bielizny, obejrzała koce, zbadała pościel, po czym uspokoila panią Desagneaux,

– Łóżka są dobre, wszystko czyste. Widać, że były tutaj siostry Saint-Frai... Ale zapasowe materace leżą na boku, więc jeżeli pani zechce mi pomóc, mogłybyśmy od razu ułożyć je rzędem tutaj, pomiędzy łózkami.

– Ależ oczywiście – zawołała młoda kobieta, zachwycona myślą, że będzie nosić materace w swoich wątych ramionach ślicznej blondynki.

Pani de Jonquiere musiała je miarkować.

– Zaraz, nie ma gwałtu... Zaczekajmy, aż zjawią się nasze chore... Niezbyt podoba mi się ta sala, trudno ją wietrzyć. Poprzedniego roku miałam salę Świętej Rozalii, na pierwszym piętrze. Ale ostatecznie jakoś to sobie urządzimy.

Nadeszły inne panie pielęgniarki, cały ogromny rój pracowitych pszczoł, rwących się do

roboty. Ta zbyt liczna rzesza pielęgniarek z wyższego towarzystwa i z burżuazji, powodu – jących się gorliwością, do której dołączało się nieco próżności, była zresztą jeszcze jedną z przyczyn zamieszania. Było ich ponad dwieście. Ponieważ każda, wstępując do Schroniska Matki Boskiej Wybawicielki, winna była złożyć dar, nie śmiano żadnej odmówić, z obawy, aby nie wyschło źródło jałmużny, toteż liczba pielęgniarek wzrastała z roku na rok. Na szczęście, niektóre z nich zadowolają się noszeniem przy sukni czerwonego sukienego krzyża i zaraz po przybyciu do Lourdes wy. jeźdźwały na wycieczki. Ale te, które poważnie rzecz traktowały, naprawdę zasługiwały na szacunek, gdyż przez pięć dni znosiły okropne trudy, sypiały w nocy zaledwie po dwie godziny, żyły wśród najstraszniejszych i najobrzydliwszych widoków. Siadywały przy konających, opatrywały cuchnące rany, opróżniały miednice i naczynia nocne, zmieniały pościel chorym robiącym pod siebie, odwracały ich, wykonywały okropną, druzgocącą pracę, do której nie były przyzwyczajone. Toteż kończyły ją wycieńczone, na wpół martwe, z błyszczącymi gorączką oczyma, płonąć przenikającą je radością miłosierdzia.

– A gdzie pani Volmar? – zapytała pani Desagneaux. – Myślałam, że tu przyjdzie.

Pani de Jonquière ucięła krótko, jak gdyby znała sprawę i chciała otoczyć ją milczeniem, powodując się pobłażliwością osoby wrażliwej na ludzką niedolę.

– Nie jest zbyt mocna, wypoczywa w hotelu. Pozwólmy jej wyspać się.

Następnie przydzieliła każdej z pielęgniarek po dwa łóżka, i tak wzięły w posiadanie salę; krzątały się tam i z powrotem, wchodziły na górę i schodziły, aby zorientować się, gdzie mieści się administracja, magazyn z bielizną, kuchnię.

– A gdzie apteka? – spytała jeszcze pani Desagneaux.

Ale apteki nie było. Nie było też żadnego personelu lekarskiego. Po co, skoro ci chorzy, opuszczeni przez wiedzę, byli straceńcami, przybywali prosić Boga o uzdrowienie, którego bezsilni ludzie nie mogli im przyrzec? Wszelkie leczenie więc słusznie na czas pielgrzymki przerywano. Jeżeli któraś biedaczka zaczynała konać, przygotowywano ją na śmierć. I tylko młody lekarz, towarzyszący zazwyczaj białemu pociągowi, był na miejscu, dysponował podręczną apteczką i próbował przynieść trochę ulgi, gdy prosił o to chory w chwili ataku.

Właśnie siostra Hiacynta przyprowadziła Ferranda, którego siostra od Świętego Franciszka zatrzymała w pokoju sąsiadującym ze składem bielizny, gdzie miał on zamiar stale teraz przebywać. Zwrócił się do pani de Jonquière:

– Jestem całkowicie do pani dyspozycji. W razie potrzeby proszę tylko posłać po mnie.

Zaledwie go słuchała, gdyż właśnie sprzeczała się z młodym księdzem z administracji: na całą salę było zaledwie siedem nocników.

– Oczywiście, panie doktorze, jeżeli będzie nam potrzebny środek uspokajający... – Ale nie skończyła, powracając do sprzeczki: – Ostatecznie, księżę, proszę mi dostarczyć jeszcze cztery lub pięć... Bo i jakże mamy sobie poradzić? Już i tak jest ciężko!

A Ferrand słuchał, patrzył, przerażony tym niezwykłym światem, z którym zetknął się dzięki przypadkowi zaledwie wczoraj. On, człowiek niewierzący, który znalazł się tutaj powodowany zwykłym współczuciem, dziwił się straszliwemu zbiegowisku nędzy i cierpienia, pędzącemu ku nadziei szczęścia. Poglądy młodego lekarza obrażało zwłaszcza takie lekceważenie wszelkich środków ostrożności, pogarda dla najprostszych wskazań wiedzy, przekonanie, że jeżeli Niebo zechce, uzdrowienie nastąpi z żywiołową siłą protestu przeciwko samym prawom natury. Po co więc czynić to ostatnie ustępstwo wobec względów ludzkich, po co sprowadzać lekarza, jeżeli się go tak traktuje? Wrócił do swego gabinetu z niejasnym uczuciem zażenowania, czując się zbyt zbytecznym i trochę śmiesznym.

– Proszę jednak przygotować pigułki z opium – powiedziała mu siostra Hiacynta, która odprowadziła go aż do składu bielizny. – Będą się po nie zwracać do pana, bo mamy chore, o które jestem niespokojna!

Jej wielkie niebieskie oczy, tak łagodne, tak dobre, patrzyły na niego z nieustannym boskim uśmiechem. Ruch, jakiego sobie nie szczędziła, zaróżowił żywą krwią jej młodą, olśniewającą skórę. Odezwała się jak dobra przyjaciółka, chcąc podzielić się z nim troską swego serca: – A poza tym, jeżeli będę potrzebowała kogoś do podnoszenia i układania chorych, czy pomoże mi pan?

Wtedy ucieszył się, że przyjechał, że tu jest, że będzie jej użyteczny. Zobaczył ją znowu u swego wezglowia, gdy bliski był śmierci, gdy pielęgnowała go siostrzanymi rękami, z wesołą skwapliwością anioła bez płci, w którym było coś z kolegi i kobiety..

– Ależ ile siostra tylko zechce! Jestem własnością siostry, będę szczęśliwy, jeżeli uda mi się siostrze przysłużyć. Siostra wie, jaki mam wobec niej dług wdzięczności do spłacenia!

Z wdziękiem położyła mu palec na ustach, aby zamilkł. Nikt nie był jej nic winien. Była tylko służebnicą chorych i ubogich.

W tej chwili pierwsza chora ukazała się na sali Świętej Honory. Była to Maria, którą w jej skrzyni Piotr przy pomocy Gerarda właśnie wniósł na górę. Choć ostatnia opuściła dworzec, przybywała przed innymi na skutek niezliczonych komplikacji, które zatrzymały wszystkie chore – teraz uwalniano je kolejno, w miarę przypadkowego rozdziału kart. Pan de Guersaint musiał przed bramą szpitala rozstać się z córką na jej życzenie; niepokoiła się, że hotele są przepelnione, i chciała, aby natychmiast zajął dwa pokoje, dla siebie i Piotra. A była tak strasznie zmęczona, że choć wprzód rozpaczała, iż nie mogą jej natychmiast zawieźć do Groty, teraz zgodziła się, aby ją na chwilę położono do łóżka.

– (Drogie dziecko – powtarzała pani de Jonquière – ma pani przed sobą trzy godziny czasu. Połóżmy panią na łóżku. Wypocznie pani znacznie lepiej niż w tej skrzyni.

Podniosła ją za ramiona, a siostra Hiacynta podtrzymywała nogi. Łóżko stało pośrodku sali, przy oknie. Przez chwilę chora leżała z zamkniętymi oczyma, jak gdyby wyczerpała ją zmiana

miejsca. Następnie musiano przywołać Piotra, gdyż denerwowała się, twierdząc, że chce mu wyjaśnić jakieś sprawy.

– Nie odchodź stąd, mój drogi, zaklinam cię. Wynieś tę skrzynię na korytarz, ale zostań tam, bo. chcę, żeby mnie zniesiono, gdy tylko mi na. to pozwolą.

— Czy jest ci lepiej, gdy tak leżysz? – zapytał młody ksiądz.

– Tak, tak, oczywiście... A zresztą, nie. wiem... Tak mi śpieszno, mój Boże, znaleźć się już tam, u stóp Najświętszej Panny!

Ale gdy Piotr zabrał skrzynię, myśl jej zaprzętnęły kolejno przybywające chore. Panią Vêtu wnieśli dwaj pielęgniarze podtrzymując ją pod ramiona i położyli w ubraniu na sąsiednim łóżku; leżała tam nieruchomo, bez tchu, z żółtą i stęszą twarzą osoby chorej na raka. Nie rozbierano chorych, zadowalano się ułożeniem ich na łóżku, radząc, aby zdrzemnęły się, jeśli tylko potrafią. Te, których nie kładziono na łóżkach, siadały na skraju materaca, rozmawiały z sobą, układały swoje drobiazgi. Już Eliza Rouquet, również umieszczona blisko Marii, z lewej strony, otworzyła koszyk, aby wyjąć z niego czystą chustkę, i była bardzo zmartwiona, że nie ma lustra. W niespełna dziesięć minut wszystkie łóżka zostały zajęte, tak że gdy ukazała się Grivotte, na wpół niesiona przez siostrę Hiacyntę i siostrę Klarę od Aniołów, zaczęto rozkładać materace na podłodze.

– Proszę, jest materac! – wołała pani Desagneaux. – Będzie jej tu bardzo dobrze, z dala od przeciągu.

Wkrótce dodano do szeregu siedem dalszych materaców, tak że całe środkowe przejście zostało zajęte. Nie można już było poruszać się swobodnie, lecz tylko ostrożnie przesuwać się wąskimi ścieżkami pozostawionymi dokoła chorych. Każda zatrzymywała przy sobie pakunek, pudło, walizkę, co utworzyło w nogach zaimprovizowanych posłań stosy ubogich manatków, łachów rozrzuconych na prześcieradłach i kołdrach. Wyglądało to jak żałosny szpital polowy zorganizowany w pośpiechu po jakiejś wielkiej katastrofie, pożarze, trzęsieniu ziemi, które setki rannych i ubogich pozbawiły dachu nad głową.

Pani de Jonquière chodziła z jednego końca sali na drugi i powtarzała:

– Moje dzieci, nie denerwujcie się, starajcie się zasnąć choć na chwilę.

Ale nie udało się jej uspokoić chorych, zwłaszcza że sama i oddane pod jej rozkazy panie pielęgniarce wzmagały jeszcze ogólną gorączkę swoją bezładną krzątaniną. Jednym trzeba było zmienić bieliznę, inne miały różne potrzeby. Któraś, cierpiąca na wrzód na nodze, tak jęczała; że pani Dètagneaux zabrała się do zmiany opatrunku, ale szło jej to niezręcznie i mimo całej odwagi zapalonej pielęgniarce o mało nie straciła przytomności, tak ją zemdlila ohydna woń. Te, które czuły się lepiej, prosiły o bulion, kubki krążyły wśród zapytań, odpowiedzi, sprzecznych rozkazów, które nie wiadomo było, jak wykonywać... Wesoła, swobodna w tym zamieszaniu, mała Zofia Couteau, która została z zakonnkami, czuła się jak na rekreacji; biegała, tańczyła,

skakała, wzywana, wielbiona i pieszczona przez wszystkie, wdzięczne za nadzieję na cud, jaką je darzyła. Tymczasem godziny upływały w podnieceniu. Wybiła właśnie siódma, gdy wszedł ksiądz Judaine. Był kapłanem sali Świętej Honoryny, a przyczyną jego spóźnienia była tylko trudność w znalezieniu wolnego ołtarza, gdzie mógłby odprawić mszę. Zaledwie, się ukazał, ze wszystkich łóżek podniosły się okrzyki niecierpliwości.

– Ach, księżu proboszczu, jedźmy, jedźmy natychmiast!

Podrywała je żarliwa tęsknota, rosnąca, podniecana z minuty na minutę, jak gdyby paliło je coraz większe pragnienie, które ugasić mogły tylko u cudownego źródła. Zwłaszcza Gri-votte, usadowiona na materacu, składała ręce i błagała, żeby ją zaprowadzić do Groty. Czyż nie było już początkiem cudu to odzyskanie jej woli, ta podrywająca ją z miejsca gorączkowa potrzeba, aby dostąpić cudu? Przyjechała mdlejąca, bezwładna, a teraz siedziała rzucając na wszystkie strony swoje czarne spojrzenia i czatowała na błogosławioną chwilę, kiedy przyjdą po nią; i jej sina twarz nabrała kolorów, już zmartwychwstała...

– Łaski, księżu proboszczu, proszę kazać, żeby mnie już zaprowadzili! Czuję, że zostanę uzdrowiona.

Ksiądz Judaine, ze swą pocziwą twarzą, z uśmiechem czulego ojca, słuchał, oszukiwał niecierpliwość chorych miłymi słówkami. Wyruszą już wkrótce. Ale trzeba być rozsądnym, poczekać, aż się wszystko należycie zorganizuje; a zresztą Najświętsza Panna też nie lubi, aby ją ponaglać, czeka właściwej godziny i łaskami swoimi obdarza najrozsądniejszych. Przechodząc koło łóżka Marii i słysząc, jak ze złożonymi rękoma jąka swoje błagania, znów się zatrzymał.

– Ty również, moja córko, jesteś tak niecierpliwa! Uspokój się, wystarczy łask dla was wszystkich! – Mój ojczu – szepnęła – umieram z miłości. Serce moje zbyt nabrzmiało od modlitw, dławi mnie!

Wzruszyło go bardzo to silne, namiętne uczucie u biednej dziewczyny, tak wychudzonej, tak ciężko pokrzywdzonej w swojej urodzie i młodości. Chcąc ją pocieszyć, wskazał jej sąsiadkę, panią Vêtu, która leżała nieruchomo, ale oczy miała szeroko otwarte, utkwione w przechodzących.

– Niech pani spojrzy, jaka ona spokojna! Skupia się i jakże słusznie czyni oddając się jak małe dziecko w ręce Boga.

Ale pani Vetu, głosem niedosłyszalnym, samym niemal oddechem jęczała:

– Ach, boli, boli!

Wreszcie na kwadrans przed ósmą pani de Jonquière uprzedziła chore, że powinny się przygotować do wyruszenia. Ona sama, przy pomocy siostry Hiacynty i pani Dêsagneaux, zapinała suknie, obuwiała bezwładne nogi. Przypominało to naprawdę robienie toalety, gdyż wszystkie pragnęły ukazać się jak najkorzystniej przed Najświętszą Panną. Niektóre zdobyły się na umycie rąk. Inne wyjmowały fatalaszki, wkładały czystą bieliznę. Eliza Rouquet dojrzała

wreszcie kieszonkowe lusterko w rękach jednej z sąsiadek, kobiety ogromnej, chorej na wodną puchlinę, ale bardzo dbałej o swą powierzchowność, i poprosiła

o pożyczenie go, po czym ustawiła je oparte o poduszkę i, skupiona, z nadzwyczajnym staraniem obwiązała sobie pretensjonalnie chustką głowę, tak aby ukryć potworną twarz z krwawą raną. Stojąc tuż przy niej, z miną głęboko zainteresowaną, mała Zofia przyglądała się jej ruchom.

Wreszcie ksiądz Judaine dał znak wyruszenia do Groty. Chciał towarzyszyć swoim drogim cierpiącym córkom w Chrystusie, jak mówił; panie pielęgniarki i zakonnice miały zostać

i zaprowadzić na sali trochę porządku. Sala natychmiast opustoszała, chore, wśród nowego zamieszania, zostały zniesione na dół. Piotr, który znów umieścił na kółkach skrzynię, w której leżała Maria, stanął na czele orszaku złożonego z około dwudziestu małych wózków i noszy. Pustoszały również inne sale, na podwórzu zrobiło się tłoczno, pochód formował się w wielkim rozgardiaszu. Wkrótce już ciągnął się bez końca, schodząc dość stromą aleją wiodącą do Groty, tak że Piotr dochodził już do terasy Merlasse, gdy ostatnie nosze zaledwie opuszczały szpitalny dziedziniec.

Była godzina ósma, słońce, tryumfalne sierpniowe słońce, stało już wysoko, płonęło na szerokim, cudownie czystym niebie. Obmyty nocną burzą, błękit powietrza wydawał się jak gdyby całkiem nowy, dziecięco świeży. A straszny orszak, istny „dziedziniec cudów” ludzkiego cierpienia, szedł po bruku w dół, w blasku promiennego poranka. Pochód okropności nie miał kresu, wydłużał się nieustannie. Był to chaos, pomieszanie wszelkich chorób, otwarcie się piekła, gdzie nagromadzono potworne choroby, przypadki niezwykle i okropne, budzące dreszcz przerażenia. Były tam głowy przeżarte egzemą, czoła pokryte rumieniem, nosy i usta, z których słoniowaczna uczyniła bezkształtne ryje. Nawet zaginione choroby tutaj zmartwychwstawały: jedna z kobiet cierpiała na trąd, inna pokryta była liszajem, jak drzewo, które spróchniało w cieniu. Byli też chorzy na wodną puchlinę: bukłaki wezbrane wodą, z ogromnymi brzuchami sterczącymi pod kocami; ręce powykręcane reumatyzmem opadały z noszy, a nogi zwisały, napęczniałe od obrzęków, zmienione nie do poznania, niby worki wypchane gałganami. Jakaś kobieta, cierpiąca na wodogłowie, siedziała w małym wózku i kołysała ogromną, zbyt ciężką głową, która opadała przy każdym wstrząsie. Dotknięta płasawicą, dorastająca dziewczyna, której wszystkie członki nieustannie podrygiwały, czyniła gwałtowne grymasy, ściągała jej lewą połowę twarzy. Inna, młodsza, idąca za nią, wydawała coś jakby szczeknięcie, zwierzęcą skargę, za każdym razem, gdy bolesny, straszliwy skurcz wykrzywił jej usta. Były i suchotnice, drżące z gorączki, wyczerpane krwawą biegunką, chude jak szkielety, o skórze sinej, szarej jak ziemia, w której niedługo miały spocząć; jedna z nich, o bardzo białej twarzy, z płomiennymi oczyma, wyglądała jak trupia czaszka, w którą wstawiono płonące świece. Były też wszelkie zniekształcenia wynikłe z porażeń, wykrzywione tułowia, wykręcane ramiona i szyje,

nieszczęsne uszkodzone i pomiażdżone istoty, znieruchomiłe w pozach tragicznych błaznów, a wśród nich jedna, której prawa dłoń odrzucona była na krzyże, lewy policzek zaś opa – dał w dół, przyciśnięty do ramienia. Żałosne, rachityczne dziewczęta ukazywały woskową cerę, wątle szyje, zżarte zimnymi ropniami; pożółkłe kobiety miały w sobie bolesną drętwotę nieszczęsnych istot, których piersi toczy rak; inne jeszcze, leżące ze wzrokiem utkwionym w niebo, zdawały się nasłuchiwać w swoim wnętrzu odgłosu zderzających się guzów, wielkich jak głowa dziecka, tarasujących ich narządy. Chorych wciąż przybywało, jedna była straszniejsza od drugiej i budziła coraz Silniejszy dreszcz grozy. Jakaś dwudziestoletnia dziewczyna, ze spłaszczoną głową ropuchy, dźwigała wole tak olbrzymie, że zwiśla jej do pasa, jak napierśnik fartuszka. Niewidoma KB-. bieta miała twarz bladą jak marmur, z dwiema dziurami oczu zaognionych i krwawych, z dwiema żywymi ranami ociekającymi ropą. Stara wariatka, niedorozwinięta, z nosem rozniesionym przez jakiś szankier, z czarnymi ustami, śmiała się przerażająco. Nagle jakaś epileptyczka, z ustami pokrytymi pianą, rzuciła się konwulsyjnie na swoich noszach, ale konwój nie zwolnił kroku, jak okręt popychany wiatrem, w szalonej gorączce, która gnała go do Groty.

Pielęgniarze, księża, a także same chore zaintonowali właśnie pieśń nabożną, skargę Bernadety; i pochód płynął teraz przy natrętnym wtórze *Ave*; nosze, wózki, ludzie idący pieszo schodzili stromą ulicą jak wezbrany, występujący z brzegów strumień, z hukiem toczący swoje fale. Na rogu ulicy Świętego Józefa, niedaleko terasy Merlasse, jakaś rodzina na wycieczce, przybyła z Cauterets lub Bagnères, stanęła na brzegu chodnika, w głębokim zdumieniu. Byli to pewnie zamożni mieszczanie, ojciec i matka ogromnie poprawni, dwie dorosłe córki w jasnych sukniach, z roześmianymi twarzami istot szczęśliwych, rozbawionych. Ale po pierwszym zdziwieniu ogarnęło tych ludzi przerażenie, które rosło z każdą chwilą, jak gdyby ujrzeli nagle szpital trędowatych z dawnych czasów, jeden z tych legendarnych szpitali, który nagle ewakuowano po jakiejś wielkiej epidemii. Obie panny zbladły, rodzice stali jak porażeni, patrząc na nieprzerwany pochód tylu okropności, od którego wiatr przynosił im prosto w twarz odrażające wonie. O Boże, tyle brzydoty, tyle brudu, tyle cierpienia! Czy to możliwe pod ‘tym pięknym, promiennym słońcem, pod wysokim, radosnym niebem, gdy od Gave wiało ożywczym chłodem, a poranny ‘wiatr przynosił czysty oddech gór!

Gdy Piotr na czele orszaku wyszedł na terasę Merlasse, uczył się jak skąpany w tym jasnym słońcu, rzeźwym i balsamicznym powietrzu. Odwrócił się i lekko uśmiechnął się do Marii, a ponieważ właśnie dochodzili do placu Różańca Świętego, oboje zachwycili się cudowną panoramą, która roztaczała się dokoła nich we wspaniałości poranka.

Na wprost, we wschodniej stronie, widzieli stare Lourdes, leżące w ogromnym zagłębieniu terenu, po drugiej stronie swojej skały. Słońce wznosiło się zza dalekich gór i w jego ukośnych promieniach odcinała się ciemnym fioletem ta samotna skała, uwieńczona wieżą i walącymi się

murami starożytnego Zamku, niegdyś stanowiącego groźny klucz do siedmiu dolin. W pyle lotnego złota widać było tylko dumne kontury, górną partię cyklopieznych murów, a za nimi niewyraźne, szare i zatarte dachy starego miasta; natomiast po tej stronie Zamku, wybiegając w lewo i w prawo, śmiało się wśród zieleni nowe miasto, z białymi fasadami hoteli, strojnymi domami, pięknymi sklepami, całe miasto bogate i hałaśliwe, wyrosłe jakby cudem w ciągu paru lat. Gawe przepływa u stóp skały, tocząc z hukiem swoje przejrzyste wody, zielone i niebieskie, głębokie pod starym mostem, skoczne pod mostem nowym, zbudowanym przez Ojców, aby połączyć Grotę z dworcem i świeżo udostępnionym bulwarem. Tło dla tego uroczego obrazu, dla chłodnych wód, dla zieleni odmłodzonego miasta, szeroko rozrzuconego i wesołego, tworzyły Małe Gers i Wielkie Gers, dwa olbrzymie skalne szczyty, nagie lub porośłe niską trawą, które w cieniu leżącym tam, gdzie nurzały się w wodzie, nabierały delikatnych barw biadoliła i bladozielonej, przechodzącej w jasną różowość.

W stronie północnej, na prawym brzegu Gawe, za pagórkami, wzdłuż których biegła linia kolejowa, piętrzyło się Buala, którego zdrzewione zbocza tonęły w porannym świetle. W tej stronie leżało Bartres. Bardziej na lewo sterczał szpon Julos, a nad nim Miramont. Bardzo daleko rozpląwały się w eterze inne szczyty. A na pierwszym planie, spiętrzone wśród zarosłych trawą pagórków, po przeciwnym brzegu Gawe, wesołą plamę w krajobrazie tworzyły liczne klasztory, które tu pobudowano. Zdawało się, że wyrosły jak naturalna roślinność, żywotna na tej ziemi cudów. Widać tam było przede wszystkim sierociniec założony przez zakonnice z Nevers; ogromne budynki rozbłyskiwały w słońcu. Dalej gnieździły się naprzeciw Groty, na drodze do Pau, karmelitanki, powyżej, na skraju drogi do Poueyferre, Siostry od Wniebowzięcia i dominikanki, zagubione w pustce, tak że widać było zaledwie narożniki dachów; a wreszcie Siostry od Niepokalanego Poczęcia, zwane Siostrami Błękitnymi, które miały na skraju doliny dom rekolekcyjny, gdzie przyjmowały jako pensjonariuszki samotne damy, bogate pątniczki, spragnione ciszy. W tej porze nabożeństw wszystkie dzwony wymienionych klasztorów były wesoło, donośnie w kryształowym powietrzu, a na przeciwnym krańcu horyzontu, na południu, odpowiadały im inne dzwony z tym samym wybuchem srebrzystej radości. Koło starego mostu zwłaszcza dzwon u klarysek wydobywał gamę nut tak jasnych, że wydawały się ptasim ćwierkaniem. W tej stronie miasta doliny jeszcze się pogłębiały, góry piętrzyły nagie zbocza, tworząc ogromny krajobraz, niespokojny i wesoły, bezkresne falowanie pagórków, wśród których wyróżniały się wzgórza Vi-sens, cieniowane subtelnie karminem i bladym błękitem.,

Ale gdy Maria i Piotr zwrócili oczy na zachód, doznali olśnienia. Słońce padało prosto na Wielkie Bêout i na Małe Bêout, o kopułach nierównej wysokości. Było to jak purpurowozłote tło, góra pełna blasków, gdzie odróżniało się tylko drogę biegnącą serpentyną i dochodzącą wśród drzew do Kalwarii. I tam, na nasłonecznionym tle, lśniącym jak aureola, odcinały się trzy, jeden nad drugim stojące kościoły, które na Wątyły głos Bernadety, ku chwale Najświętszej Panny,

wyrosły ze skały. Najniżej położony był kościół Różańca Świętego, płaski i okrągły, na wpół wykuty w skale, w głębi dużego placu, który ujęty był w potężne ramiona, w duże, olbrzymie terasy wznoszące się łagodnie aż do Krypty. Dokonano tam ogromnej pracy, były to całe kamieniołomy poruszonych i obciosanych głazów, wysokie jak nawy kościelne, dwie aleje gigantycznego cyrku, gdzie rozwijać się mogła uroczysta procesja i gdzie mały wózek chorego dziecka mógł bez trudu dotrzeć do Boga. Powyżej była Krypta, kościół podziemny, ukazujący tylko swoją niską bramę nad kościołem Różańca Świętego, którego dach ułożony z kamiennych płyt i wielkie kryte deptaki stanowiły przedłużenie terasy. A wreszcie wystrzelała w górę Bazylika, trochę za drobna i za wąta, zbyt nowa i biała, w wysublimowanym stylu wykwińskiego klejnotu, tryskająca ze skał Massabielle niby modlitwa, niby lot białej gołębic. Smukła wieżyczka ponad gigantycznymi terasami wyglądała jak mały, prosty płomyk świecy wśród ogromnego widnokregu, wśród falującego bezkresnego morza dolin i gór. Przy gęstej zieleni wzgórza Kalwarii miała ona kruchość, skromną czystość wiary dziecięcej; i nasuwała się myśl o drobnym białym ramieniu, o małej białej rączce wątej dziewczynki, która – sama pogrążona w ludzkiej nędzy – ukazywała niebo. Me widać było Groty, do której wejście znajdowało się po lewej stronie, u podnóża skały. Za Bazyliką wznosiła się już tylko siedziba Ojców, ciężki kwadratowy budynek, a znacznie dalej, pośrodku cienistej, rozszerzającej się dolinki – pałac biskupi. I trzy kościoły płonęły w porannym słońcu, złota ulewa promieni padała na całą okolicę, a wielkie granie dzwonów wydawało się wibrującą jasnością, śpiewaną pobudką pięknego, rodzącego się dnia. Mijając plac Różańca Świętego, Piotr i Maria spojrzeli na Esplanadę, park z długim trawnikiem środkowym, obramowanym dwiema równoległymi alejami biegnącym aż do nowego mostu. Stała tam, zwrócona ku Bazylice, ogromna Matka Boska w koronie. Wszystkie chore przeżegnały się. I tak straszliwy orszak posuwał się wśród odświętnego krajobrazu, unoszony pieśnią nabożną. Pod olśniewającym niebem, na tle purpurowych i złotych gór, wśród krzepkich stuletnich drzew, w wieczystej świeżości bieżących wód, straszny pochód wiódł swoje nieszczęśnice z chorobami skóry, ze stoczonym ciałem, dotknięte wodną puchliną, wzdęte jak bukłaki, reumatyczki, paralityczki, wykręcone cierpieniem, kobiety dotknięte wodogłowiem, epileptyczki, suchotnice, rachityczki, chore na raka, na wole, wariatki, niedorozwinięte. *Ave, Ave, Maria!* Uparta skarga narastała, toczyła się ku Grocie ohydą falą niedoli i cierpienia ludzkiego, ku przerażeniu i obrzydzeniu przechodniów, którzy stawali jak wryci, zmrożeni tą paradą koszmaru. Piotr i Maria pierwsi przeszli pod wysoką arkadą jednej z teras. Potem, ponieważ szli bulwarem nad Gawe, nagle znaleźli się przed Grotą. Maria, którą Piotr starał się przysunąć jak najbliżej kraty, z trudem podniosła się na swym wózku, szepcząc:

– O Najświętsza Panno!... O Święta Panno uwielbiana!

Nie widziała nic, ani budyneczków, gdzie mieściły się sadzawki, ani źródła o dwunastu wypustach, które właśnie mijali; nie dostrzegała również, po lewej stronie, sklepu

z dewocjonaliami, a po prawej kamiennej kazalnicy, na którą wstąpił jakiś zakonnik. Olśniewała ją jedynie wspaniałość Groty, zdawało się jej, że tam za kratą płonie sto tysięcy świeczek, wypełniając blaskiem rozżarzonego paleniska niski otwór, niecąc gwiazdne promienie w posągu Najświętszej Panny, stojącym powyżej, na skraju wąskiego zagłębienia o łukowatym kształcie. Wobec tego świetlistego zjawiska znikło wszystko, i kule, którymi pokryta była część sklepienia, i zrzucone na stos bukiety kwiatów, wędnące wśród bluszczów i głógów, a nawet ołtarz umieszczony pośrodku, obok małych ruchomych organów przykrytych kapą. Ale gdy wzniosła oczy, ujrzała na szczycie góry, w niebie, drobną, białą Bazylikę, widoczną teraz z boku, ze smukłą iglicą zabłąkaną w błękicie nieskończoności,

‘ niby modlitwa.

– Panno można... Królowo panińska... Święta Panno nad pannami.

Tymczasem Piotrowi udało się wepchnąć wózek Marii do pierwszego rzędu, przed dębowe ławki, których mnóstwo stało rzędami pod gołym niebem, tak jak w nawie kościelnej. Ławki te były już szczelnie nabite chorymi, którzy mieli siłę siedzieć. Wolną przestrzeń wypełniały składane na ziemi nosze, małe wózki szepiające się kołami, stosy poduszek i materaców, na których bezwładnie sasiadowały ze sobą wszelkie możliwe choroby. Przeciskając się tam, zobaczył państwa Vigneron, z ich smutnym synkiem Gustawem, siedzących w ławce, a na kamiennych płytach strojne koronkami łoże pani Dieulafay, u którego wezgiłowia klęczeli i modlili się mąż i siostra. Byli tu już *zresztą* wszyscy chorzy z ich wagonu, pan Sabatier i brat Izidor tuż obok siebie, bezsilna pani Vetu na wózku; Eliza Rouquet siedziała, a rozegzaltowana Grivotte podnosiła się wsparta na rękach. Zobaczył nawet panią Maze na uboczu, unicestwioną w modlitwie; pani Vincent padła na kolana, wciąż trzymając w objęciach małą Różę, i żarliwie unosiła ją ku Najświętszej Pannie, namiętym gestem matki, błagając, aby Matka łaski Bożej raczyła się ulitować. Wokół tego zastrzeżonego miejsca rósł nieustannie tłum pielgrzymów zalecając powoli całą przestrzeń, aż do bariery nad Gave.

– Panno łaskawa – mówiła dalej półgłosem Maria. – O Panno wierna... Panno bez zmyy poczęta...

Omdlewała, z ustami poruszającymi się wciąż od wewnętrznej modlitwy, patrzyła na Piotra w uniesieniu. Wydało mu się, że pragnie mu coś powiedzieć. Nachylił się.

– Czy chcesz, abym tu został, i gdy tylko zapagniesz, zawiózł cię do sadzawki?

Maria, gdy go wreszcie pojęła, odpowiedziała przeczącym ruchem głowy, po czym rzekła gorączkowo: – Nie, nie, nie chcę, aby mnie już zaraz wykapano. Wydaje mi się, że muszę stać się bardziej godną, bardziej czystą, świętą, zanim pokuszę się o cud! Cały dzisiejszy ranek chcę o niego błagać ze złożonymi rękoma, chcę się modlić, modlić z całej siły, z całej duszy... – Wzruszenie dławilo ją; dodała jeszcze: – Przyjdź po mnie dopiero o jedenastej, wrócimy do szpitala. Nie ruszę się stąd.

Piotr jednakże nie oddalił się, pozostał przy niej. Padł na kolana; on również pragnął modlić się z taką płomienną wiarą, błagać Boga o zdrowie dla chorej dziewczyny, którą kochał miłością tak braterską. Ale od chwili gdy stanął przed Grotą, uczuł, że ogarnia go jakieś dziwnie przykre uczucie, głuchy bunt, hamujący lot jego modlitwy. Chciał wierzyć, przez całą noc żył nadzieją, że wiara na nowo zakwitnie w jego duszy, jak piękny kwiat nieświadomości i naiwności, gdy tylko uklęknie na ziemi cudów. Ale czuł jedynie skrępowanie i niepokój na widok tej scenerii, tego posągu twardego i bladego w półblasku świeczek, między kramem z różańcami, gdzie tłoczyli się kupujący, a wielką kamienną kazalnicą, gdzie zakonnik od Zwiastowania głośno recytował *Ave*. Czyż więc dusza jego tak bardzo wyjałowiała? Czyż żadna rosa niebieska nie zdoła ską – pać jej w niewinności, uczynić ją podobną duszom dzieci, które całym sercem poddają się najłżejszym tchnieniom legendy?

Nie mógł skupić się wewnątrz; w zakonniku stojącym na kazalnicy poznał ojca Massias. Spotkał go już dawniej i raził go ten posepny zapach, ta chuda twarz z płomiennymi oczyma, 2 dużymi wymownymi ustami, które zadawały gwałt Niebu, aby je ściągnąć na ziemię. Gdy mu się przyglądał, zdziwiony, iż sam czuje się tak odmiennym, zauważył u stóp kazalnicy ojca Fourcade w ożywionej dyskusji z baronem Suire. Baron wydawał się zakłopotany; jednakże w końcu zgodził się na coś, pobłażliwie kiwając głową. Był tam również ksiądz Judaine, który chwilę jeszcze zatrzymał zakonnika; jego duża ojcowska twarz także wyrażała pewne zmieszanie; z kolei i on skłonił głowę na znak zgody.

Nagle ojciec Fourcade stanął na kazalnicy prostując wysoką swą postać, którą atak podagry lekko był zgarbił; nie pozwolił, aby ojciec Massias, ukochany brat, wybrany spośród wszystkich, odszedł stamtąd; zatrzymał go na jednym ze stopni wąskich schodów i oparł się na jego ramieniu.

Głosem dźwięcznym i dostojnym, z władcą powagą, która wszystkim nakazywała zupełną ciszę, przemówił:

– Drodzy bracia i siostry, przebaczenie, iż przerywam wasze modły, ale pragnę wam coś oznajmić, prosić o pomoc wszystkie wierne dusze... Dzisiejszego ranka opłakiwaliśmy bardzo smutne zdarzenie: jeden z naszych braci zmarł w jednym z pociągów, które was tu przywiozły, w chwili gdy już stopy jego miały dotknąć ziemi obiecanej...

Zamilkł na chwilę. Zdawał się rosnać jeszcze, jego piękne oblicze jaśniało w królewskiej fali długiej brody.

– Otóż, drodzy bracia i siostry, przychodzi mi myśl, że mimo wszystko nie powinniśmy tracić nadziei... Któż może wiedzieć, czy Bóg nie zechciał tej śmierci, aby przekonać świat o swojej wszechmocy?... Jakiś głos, który kazał mi wejść na tę kazalnicę, rozkazuje mi prosić was, byście się modlili za tego człowieka, który już odszedł, ale którego ocalenie jest w rękach Najświętszej Panny, ona zawsze może błagać swego boskiego Syna... Tak! Ów człowiek jest tutaj, kazałem przynieść ciało i może od was zależy, aby wspaniałą cud zachwycił całą ziemię,

jeżeli będziecie się modlić tak gorąco, że modlitwa wasza poruszy Niebo... Zanurzmy ciało w sadzawce, będziemy błagać Pana, władcę świata, aby go wskrzesił, aby zesłał nam ten niezwykle znak swojej władczej dobroci...

Lodowaty powiew z zaświata przeniknął zgromadzonych. Wszyscy pobledli; i chociaż nikt ust nie otworzył, wydało się, że w powietrzu przebiega jakiś szept podobny do dreszczu.

– Jednakże – gwałtownie podjął ojciec Fourcade, ożywiony prawdziwą wiarą – z jakąż ufnością trzeba się modlić! Moi drodzy bracia, drogie siostry, domagam się całej waszej wiary, modlitwy, w którą włożycie całe serce, całą krew, całe życie, wszystko, co w nim najszlachetniejsze, najtkliwsze... Módlcie się z całej mocy, módlcie się aż do zatury świadomości, kim jesteście i gdzie jesteście, módlcie się tak, jak się kocha, jak się umiera; gdyż to, o co będziemy prosić, jest łaską tak cenną, tak rzadką, tak zdumiewającą, że tylko gwałtowność naszego uwielbienia może skłonić Boga, aby nas wysłuchał... I, aby modły nasze były skuteczne, aby miały czas unieść się i dotrzeć do stóp Przedwiecznego, dopiero dziś po południu o godzinie trzeciej zaniesiemy ciało do sadzawki... Drodzy bracia, drogie siostry, módlcie się, proście Pannę świętą, Królową anielską, Pocieszycielkę strapionych!

I sam, porwany wzruszeniem, ujął różaniec, a ojciec Massias wybuchnął łkaniem. Wielkie, trwożne milczenie zostało przełamane, tłum, jak gdyby zaraził się od nich, wybuchnął krzykiem, łzami, błagalnym bezradnym jękaniem. Był to jakiś gorączkowy szal, który powiał unicestwiając wolę, czyniąc z tych wszystkich ludzi jedną istotę, oszalałą z miłości, ponoszoną szaleńczym pragnieniem niemożliwego cudu.

Piotrowi przez chwilę zdawało się, że ziemia usuwa mu się spod nóg, że upadnie i zemdleje. Z trudnością wstał i odszedł.

III

Gdy Piotr z rozterką w duszy oddalał się, przejęty nieodpartą odrazą na myśl, że miałby tam dłużej pozostać, zobaczył pana de Guersaint klęczącego koło Groty, ze skupioną miną, modlą – cego się z całej duszy. Nie widział go od rana i nie wiedział, czy udało mu się wynajść dwa pokoje; pierwszym jego odruchu było podejść do niego. Potem zawahał się, nie chcąc zamącić jego skupienia, gdyż na pewno modlił się za córkę, którą uwielbiał mimo stałych dystrakcji swego niespokojnego umysłu. Piotr poszedł więc dalej pod zielonym sklepieniem drzew. Biła dziewiąta, miał przed sobą wolne dwie godziny.

Na dzikim brzegu, gdzie pały się niegdyś wieprze, wytyczono, przy wielkim nakładzie kosztów, wspaniałą aleję biegnącą równoległe do Gawe. Trzeba było przesunąć łożysko rzeki, aby zyskać teren pod monumentalny bulwar, obramowany szerokim chodnikiem, ubezpieczonym poręczą. Aleja długości dwustu czy trzystu metrów dochodziła do wzgórza, tworząc zamkniętą

promenadę, ocienioną wspaniałymi drzewami, pod którymi stały ławki. Nikt tamtędy nie przechodził, przelewała się tam tylko zbyt wezbrana fala tłumu. Były tam jeszcze samotne zakątki między pokrytym darnią murem, który ogradzał promenadę od południa, a rozległymi polami ciągnącymi się od północy, na drugim brzegu Gave, gdzie wznosiły się zalesione zbocza, rozweselone białymi fasadami klasztorów. W upalne sierpniowe dni nad zacienionym brzegiem płynącej wody panował rozkoszny chłód.

Piotr natychmiast uczył ulgę, jak gdyby obudził się z przykrego snu. Badał swoje wrażenia, niepokoił się nimi. Czyż rankiem nie przybył do Lourdes z pragnieniem, aby wierzyć, z myślą, że już znowu zaczyna wierzyć, jak w pokornych latach dzieciństwa, gdy matka kazała mu składać ręce i uczyła bożej bojaźni? Ale gdy znalazł się przed Grotą, bałwochwalstwo kultu, gwałt dokonywany na wierze, atak przeciw, rozumowi przygnębiły go do ostateczności. Cóż się więc stanie? Czyż nie spróbuje nawet zwalczyć swego zwątpienia, nie skorzysta z tej podróży, aby patrzeć i samego siebie przekonać? Początek był przygnębiający, Piotr nie mógł się opanować: ukoił go dopiero widok tych pięknych drzew, przejrzystego strumienia, cichej i chłodnej alei.

Doszedł do końca alei... i cóż za niespodziane spotkanie! Od pewnej chwili widział już jakiegoś starca, który szedł w jego stronę, w szczelnie zapiętym surducie, w kapeluszu o pros – tych kryzach; Piotr usiłował przypomnieć sobie tę bladą twarz z orlim nosem, z oczyma bardzo czarnymi i przenikliwymi. Ale zmyliła go długa siwa broda i białe pukle włosów. Starzec stanął również ze zdziwioną miną. – Jak to, Piotrze, ty przyjechałeś do Lourdes?

I wówczas młody ksiądz poznał doktora Chassaigne, który był przyjacielem jego ojca, a także jego przyjacielem, który go leczył, a potem przywrócił mu siły w okresie strasznego kryzysu moralnego i fizycznego po śmierci matki.

– Ach, drogi doktorze, jakże się cieszę, że pana widzę! Uściskali się z wielkim wzruszeniem. Teraz na widok tych

śnieżnych włosów i brody, powolnych ruchów i niezmiernie smutnego wyrazu twarzy Piotr przypomniał sobie okrutne przejścia, które uczyniły tego człowieka starcem. Upłynęło zaledwie parę lat, a znajdował go zdruzgotanego losem.

– Nie wiedziałeś, że zamieszkałem w Lourdes, prawda? Istotnie, nie pisuję do nikogo, nie należę już do żyjących, gdyż osiadłem w krainie umarłych.

Łzy ukazały się w jego oczach; mówił dalej złamanym głosem:

– Chodźmy usiąść na ławce; z jaką radością odżyję przy tobie na chwilę i przypomnę sobie dawne czasy!

Z kolei młody ksiądz uczył, że dławią go łzy. Nie wiedział, co mówić, zdołał tylko szepnąć:

– Ach, drogi doktorze, stary przyjacielu, współczułem panu z całego serca, z całej duszy!

Była to klęska, katastrofa życiowa; doktor Chassaigne i jego córka Małgorzata, urocza dwudziestoletnia panna, przyjechali, aby ulokować w Cauterets panią Chassaigne, ukochaną żonę

i matkę, gdyż niepokoił ich stan jej zdrowia; po dwóch tygodniach czuła się znacznie lepiej, snuła plany wycieczek, gdy nagle pewnego ranka znaleziono ją martwą w łóżku. Ojciec i córka byli zmiażdżeni tym strasznym ciosem, ogłuszeni tą zdradą losu. Doktor, pochodzący z Bartres, miał na cmentarzu w Lourdes grobowiec rodzinny, grób, który kazał być zbudować i gdzie leżeli już jego rodzice. Zdecydował więc, że tam spocznie również ciało jego żony, obok wolnego miejsca, gdzie wkrótce miał nadzieję z nią się połączyć. Przebywał w Lourdes od tygodnia wraz z Małgorzatą, gdy dziewczyna, wśród silnych dreszczy, położyła się do łóżka i w dwa dni później umarła, zanim zrozpaczony ojciec zdołał sobie uświadomić, co to za choroba. Dziewczyna tryskała młodością, promieniała urodą i zdrowiem, i oto położono ją na cmentarzu w pustej kwaterze, obok matki. Człowiek wczoraj jeszcze szczęśliwy, zamożny, uwielbiany, mający przy sobie dwie ukochane istoty, których miłość rozgrzewała mu serce, stał się nieszczęsnym, jękającym się, niezaradnym starcem, którego mroziła samotność. Znikła cała słodycz jego życia, zazdrościł robotnikom rozbijającym kamienie na gościńcu, gdy widział, jak bose żony i córki przynoszą im jedzenie. I nie chciał już wyjechać z Lourdes, porzucił wszystko, pracę naukową, pacjentów w Paryżu, aby żyć tutaj, blisko grobu, gdzie spały wiecznym snem jego żona i córka.

– Ach, stary przyjacielu – powtórzył Piotr – jakże panu współczuję! Jakież to okrutny ból! Ale dlaczego nie liczył pan ani trochę na tych, co pana kochają, dlaczego zamknął się pan tutaj w swoim bólu?

Doktor szerokim gestem wskazał widnokrag.

– Nie mogę stąd odejść, one są tutaj, one mnie tu trzymają... Wszystko skończone, czekam tylko, aby się z nimi połączyć.

Znów zapadło milczenie. Za nimi, w zaroślach porastających zbocza, polatywały ptaki; przed sobą słyszeli głośny pomruk Gave. Pomiedzy wzgórzami słońce gęstniało w leniwy złoty pył. Ale pod pięknymi drzewami, na tej ustronnej ławce, wciąż jeszcze panował uroczy chłód; byli jak na pustyni, choć zaledwie o dwieście kroków od tłumu, który jednak nie odrywał się od Groty i nie zapędzał się aż do nich.

Długo rozmawiali. Piotr opowiedział doktorowi, w jakich okolicznościach przybył dziś rano do Lourdes z narodową pielgrzymką, w towarzystwie pana de Guersaint i jego córki. Na pewne słowa doktora poderwał się zdziwiony:

– Jak to, doktorze, obecnie wierzy pan, że cuda są możliwe? Pan, wielki Boże, którego znałem jako niedowiarka, a co najmniej człowieka najzupełniej obojętnego w rzeczach wiary?

Patrzył na doktora zdumiony jego słowami o Grocie i o Ber – nadziei. On, ten człowiek o tęgiej głowie, uczony o tak ścisłej inteligencji, o tak potężnych zdolnościach do analizy, które niegdyś tak u niego podziwiał! Jakże umysł tego rodzaju, wykształcony i jasny, wolny od wszelkiej wiary, wyhodowany na metodzie i eksperymencie, doszedł do uznawania cudownych uzdrowień dokonywanych za sprawą czarodziejskiego źródła, któremu Najświętsza Panna kazała

wytrysnąć pod ręką malej dziewczynki?

– Ależ, drogi doktorze, niechże pan sobie przypomni! Przecież to właśnie pan dostarczał mojemu ojcu notatek dotyczących Bernadety, pańskiej krajanki, jak ją pan nazywał, i pan również, później, gdy sprawa ta przez pewien czas mnie pasjonowała, wiele mi o niej opowiadał! Wedle pana, Bernadeta była po prostu chorą, cierpiącą na halucynacje istotą, dziecinną, na wpół niepoczytalną, niezdolną chcieć czegokolwiek... Proszę przypomnieć sobie nasze rozmowy, moje wątpliwości; przecież dopiero dzięki panu odzyskałem trzeźwy sposób myślenia!

Wzburzyła go ta najdziwniejsza z przygód. On, ksiądz niegdyś pełen rezygnacji, który stracił wreszcie wiarę w zetknięciu z tym lekarzem, wówczas niedowiarkiem, odnajdywał go teraz nawróconym, pozyskanym dla świata nadzmysłowego, gdy on sam ginął z męki, że już nie wierzy!

– Pan, który uznawał jedynie ściśle fakty, który wszystko opierał na obserwacji!... A więc wyrzeka się pan wiedzy?

Wtedy Chassaingne, dotąd spokojny i smutno uśmiechnięty, zrobił gest gwałtownej, władczej pogardy.

– Wiedza! Czy ja cokolwiek wiem, czy cokolwiek mogę!... Pytałeś mnie przed chwilą, na jaką chorobę umarła moja biedna Małgorzata. Ależ ja nie mam pojęcia! Ja, którego ludzie uważają za uczonego, uzbrojonego przeciw śmierci, ja wtedy nie rozumiałem, byłem bezsilny, nie mogłem nic, nie wiedziałem, jak choćby o godzinę przedłużyć życie mojej córce! A jeśli chodzi o moją żonę, którą znalazłem zimną w łóżku, chociaż w przeddzień położyła się tak wesoła i choć stan jej się polepszył, czy miałem choćby pojęcie, co należałoby robić?... Nie chcę już nic wiedzieć, jestem tylko głupcem, bezradnym człowiekiem! Mówił to w namiętym buncie przeciw całej swojej przeszłości, kiedy był pyszny i szczęśliwy. Uspokoiwszy się trochę, dodał:

– Wiesz, jedno tylko jest dla mnie strasznym wyrzutem. Tak, to mnie prześladowe, gna mnie tutaj, każe mi krążyć wśród tych modlących się ludzi... To, że nie przyszedłem wcześniej upokorzyć się przed tą Grotą i nie przyprowadziłem tutaj obu moich ukochanych istot. One też byłyby padły na kolana, jak te wszystkie kobiety, które tutaj widzisz, a ja byłbym w prostocie ducha ukląkł przy nich i Najświętsza Panna może by je uzdrowiła i zachowała przy życiu... Ja, bezrozumny, umiałem je tylko utracić! To moja wina.

Łzy płynęły teraz z jego oczu.

– W dzieciństwie, w Bartres, pamiętam, że moja matka, zwyczajna chłopka, kazała mi składać ręce i co rana prosić Boga o pomoc. Modlitwa ta wróciła mi żywo na pamięć, gdy zostałem znowu sam, słaby i wylękniony jak dziecko. I cóż, mój drogi... Ręce moje same złożyły się jak dawniej, byłem zbyt nieszczęśliwy, zbyt opuszczony, zbyt żywo odczuwałem potrzebę nadludzkiej i pomocy, boskiej potęgi, która myślałaby, która chciałaby za mnie, która by mnie

ukołysała i zagarnęła w swoją wieczystą prescjencję. Ach, w te pierwsze dni, jakie zamieszanie, jaki chaos panowały w mojej biednej głowie po straszliwym uderzeniu maczugą, jakie jej właśnie wymierzono. Dwadzieścia dni spędziłem bezsennie, mając nadzieję, że oszaleję. Najrozmaitsze myśli ścierały się we mnie, przeżywałem bunty, wznosiłem zaciśniętą pięść ku niebu, a potem wpadałem ‘w pokorę, błagałem Boga, aby mnie z kolei zabrał... A wreszcie przekonanie, że istnieje sprawiedliwość i miłość, uspokoiło mnie i powróciło mi wiarę. Przecież ty znałeś moją córkę, wysoką, piękną, tryskającą życiem; czyż nie byłoby najpotworniejszą niesprawiedliwością, gdyby jej, która jeszcze nie żyła, nie czekało nic poza grobem? Ona musi odżyć, jestem tego absolutnie pewny, gdyż nieraz jeszcze słyszę, jak mi mówi, że się odnajdziemy, że się zobaczymy. Ach, ujrzyć znowu te ukochane, utracone istoty, najdroższą żonę, najdroższą córkę, odżyć z nimi gdzie indziej – oto jedyna nadzieja, jedyna pociecha na wszystkie cierpienia tego świata!... Oddałem się Bogu, bo tylko Bóg może mi je oddać!

Wstrząsało nim lekkie, starcze drzenie i Piotr zrozumiał w końcu, odtworzył sobie ten wypadek nawrócenia: uczony, postarzały intelektualista, powracał do wiary pod władzą uczu’cia... Przede wszystkim, ku swemu zdziwieniu, odkrywał u tego ‘Pirenejczyka, tego syna górali wykarmionych na legendach, todzaj atawizmu wiary; legenda teraz zagarniała go na nowo pod swoją władzą, mimo że przeszło ponad nią pięćdziesiąt lat ścisłych studiów. Po drugie, było tu ludzkie zmęczenie, człowiek, któremu wiedza nie dała szczęścia i który się przeciw ‘niej buntuje w dniu, kiedy wydała mu się ograniczona, niezdolna osuszyć jego łez. A wreszcie działało i zniechęcenie, zwątpienie we wszystko, które u tego starego, zmęczonego życiem człowieka przerodziło się w potrzebę pewności; poczuł się szczęśliwy, że usypia w ślepej wierze.

Piotr nie protestował, nie szydził, gdyż serce mu się krajało na widok wysokiego, pokonanego przez los starca, na widok jego bolesnej starości. Jakże żaloszny jest widok, kiedy ludzie najsilniejsi, najbardziej oświeceni, pod ciosami losu stają się podobni dzieciom!

– Ach – westchnął bardzo cicho – obym tak cierpiał, obym i ja mógł zagłuszyć mój rozum i ukłęknać tam, i wierzyć we wszystkie te piękne historie!

Błady uśmiech, który chwilami jeszcze błąkał się na ustach doktora Chassaigne, pojawił się teraz.

– Cuda, nieprawdaż? Moje dziecko, jesteś księdzem i wiem o twoim nieszczęściu... Cuda wydają ci się niemożliwe. A cóż ty o nich wiesz? Przyszaj, że nic nie wiesz i że to, co wedle naszych zmysłów jest niemożliwe, dokonuje się w każdej minucie. Widzisz, długośmy z sobą rozmawiali, zaraz wybije jedenasta i trzeba ci będzie wracać do Groty. Ale spotkamy się o wpół do czwartej, zaprowadzę cię do lekarskiego biura badania cudów, gdzie mam nadzieję pokazać ci rzeczy, które cię zadziwią... Nie zapomnij, o wpół do czwartej!

Pożegnał go, został sam na ławce. Upał jeszcze wzrósł, pagórIri w dali płonęły w blasku słonecznego żaru. I zapamiętał się, marząc w zielonym półmroku gałęzi, słuchając

nieprzerwanego pomruku Gave, jak gdyby przemawiał do niego głos z innego świata, głos ukochany.

Piotr natychmiast pośpieszył do Marii. Nie sprawiło mu to zbyt wielkiej trudności, gdyż tłum rzedniał, wiele osób poszło na śniadanie. Przy siedzącej spokojnie dziewczynie ujrzał jej ojca, pana de Guersaint, który chciał natychmiast wytłumaczyć swoją długą nieobecność. Przez dwie przeszło godziny rano biegał po całym Lourdes, pukał do bram dwudziestu hoteli, ale w żadnym z nich nie było najmniejszej choćby izdebki, gdzie można by się przespać; wynajęto już nawet pokoje Służby, niepodobna było zdobyć choćby wolnego materaca, aby wyciągnąć się na nim w korytarzu. Gdy już był w rozpacz, trafiły mu się nagle dwa pokoje, co prawda bardzo ciasne, ale w porządnym hotelu, hotelu „Objawień”, jednym z najlepszych w mieście. Osoby, które je zamówiły, nadesłały właśnie telegram, że ich chory umarł. Po prostu niesłychane szczęście, którym pan de Guersaint był wielce uradowany.

Jedenasta biła, żalсны orszak wyruszył w drogę powrotną, przez place, przez rozświetnione ulice; gdy znaleźli się w Szpitalu Matki Boskiej Bolesnej, Maria ubłagała ojca i młodego księdza, aby poszli spokojnie do hotelu na śniadanie, potem trochę wypoczęli i wrócili po nią dopiero około drugiej, gdy przyjdzie pora, aby chorych znowu zawieźć do Groty. Ale w hotelu „Objawień”, po śniadaniu, gdy obaj poszli na górę do swoich pokoi, pan de Guersaint, bardzo zmęczony, zasnął tak głęboko, że Piotrowi żal było go budzić. Po co? Obecność jego nie była konieczna. Wrócił więc sam do szpitala, orszak znów zeszedł ulicą Groty, wzdłuż terasy Merlasse, minął plac Różańca Świętego wśród nieustannie gęstniejących tłumów, które zegnały się znakiem krzyża i szumiały radością cudownej Sierpniowej pogody. Była to najpromienniejsza godzina pięknego dnia.

Ulokowana znów przed Grotą, Maria zapytała: – Czy mój ojciec przyjdzie tu do nas?

– Tak, teraz odpoczywa trochę.

Przytaknęła gestem, że dobrze zrobił. I powiedziała głosem pełnym wzruszenia:

– Słuchaj, Piotrze, przyjdź po mnie dopiero za godzinę i wtedy zawieziesz mnie do sadzawek. Nie jestem jeszcze w stanie dostatecznej laski, chcę się modlić, długo się modlić!...

Mimo że tak gorąco pragnęła znaleźć się tutaj, teraz, kiedy miała nadejść chwila cudu, nurtował ją lęk, ogarnęły ją skrupuły i wahanie; właśnie kiedy mówiła Piotrowi, że nie mogła rano nic przełknąć, zbliżyła się do niej jakaś młoda osoba.

– Droga pani, jeżeli czuje się pani osłabiona, podajemy tutaj, jak pani wiadomo, bulion.

Maria poznała Rajmundę. W ten sposób zatrudniano przy Grocie młode panny: roznosiły chorym bulion i mleko. Ponieważ niektóre z nich w latach poprzednich przejawiały wiele zalotności strojąc się w wykwintne, jedwabne fartuszki z koronkami, narzucono im teraz wszystkim jednakowe fartuchy ze zwykłego płótna w biało-niebieską kratę. Jednakże Rajmunda wyglądała uroczo nawet w tym skromnym odzieniu: taka młoda, skrzątnie uwijająca się, dobra

gosposia.

– Więc jakże? – powtórzyła. – Proszę mi tylko dać znak, a zaraz przyniosę.

Maria podziękowała zapewniając, że na pewno nic jeść nie będzie, a potem zwróciła się do księdza:

– Za godzinę, za godzinę, mój drogi...

Piotr wolał zostać przy niej, ale cały plac był przeznaczony dla chorych i pielęgniarzom nie wolno było tam przebywać. Ruchliwa fala tłumu porwała go w kierunku sadzawek i tam przykuło go do miejsca niezwykle widowisko. Przed trzema kioskami, z których każdy mieścił po trzy baseny, sześć dla kobiet i trzy dla mężczyzn, pozostawiono pod drzewami wolną przestrzeń, którą otaczał i czynił niedostępną gruby sznur uwiązany do pni drzew; chorzy, na małych wózkach albo noszach, czekali tam w szeregu na swoją kolej, a tymczasem po drugiej stronie sznura cisnął się ogromny, podniecony tłum. W tej chwili jakiś kapucyn, stojąc pośrodku wolnej przestrzeni, kierował modłami. Płynęły kolejne *Zdrowaś Maria*, tłum szemrał mrużąc niewyraźnie. Potem nagle, właśnie gdy pani Vincent, od dawna już czekająca, weszła w końcu ze swoim ukochanym ciężarem, córeczką podobną do woskowego Jezuska; zakonnik padł na kolana, rozkrzyżował ręce i zawołał: „Panie, racz uzdrowić naszych chorych!” Powtórzył ten okrzyk dziesięć razy, dwadzieścia, ze wzrastającą furją, a tłum powtarzał za nim, podniecając się za każdym razem coraz więcej, płakał i całował ziemię. Wicher szaleństwa przeszedł pochylając ku ziemi wszystkie czoła. Piotra wrzucił do głębi szloch cierpienia dobywający się z trzewi tego ludu, ta modlitwa, cicha najpierw, potem coraz głośniejsza, wybuchająca wreszcie żądaniem, głosem niecierpliwości i gniewu, ogłuszającym i zaciekłym, który miał zadać gwałt Niebu. „Panie, racz uzdrowić naszych chorych!... Panie, racz uzdrowić naszych chorych!...” I krzyk ten powracał (nieustannie).

W tej chwili doszło do kłopotliwej sceny. Grivotte rozplakała się gorącymi łzami, bo nie chciano jej wykapać.

– Mówią, że ja jestem suchotnica i że nie wolno kąpać suchotników w zimnej wodzie... A tymczasem jeszcze dziś rano wykąpali taką jedną, sama widziałam! Więc czemu nie chcą mnie pozwolić?... Od pół godziny zrywam sobie płuca i przysięgam im, że robią w ten sposób kłopot Najświętszej Pannie. Bo ja będę uzdrowiona, czuję to, będę uzdrowiona...

Ponieważ mogła spowodować przykre zajście, jeden z księży, przydzielony do sadzawek, podszedł do niej i próbował ją uspokoić. Zaraz zobaczymy... zasięgniemy opinii czcigodnych ojców. Jeżeli okaże się rozsądna, zapewne ją wykapiają.

Krzyk: „Panie, racz uzdrowić naszych chorych! Panie, racz uzdrowić naszych chorych!”, nie ustawał. Piotr, który zobaczył teraz panią Vêtu, również czekająca swej kolei, nie mógł oderwać oczu od tej twarzy udręczonej nadzieją, od oczu wlepionych w drzwi, z których ludzie błogosławieni, wybrani, wychodzili zdrowi. Wśród zdwojonych błagań tłumu ukazała się pani

Vincent trzymając w ramionach córeczkę, nieszczęsną i uwielbianą córeczkę, którą omdlałą zanurzono właśnie w zimnej wodzie i której biedna twarzyczka, jeszcze wilgotna, wciąż tak samo blada, z zamkniętymi oczyma, była jeszcze boleśnieszka i bardziej martwa. Matka, zdruzgotana tą przewlekłą agonią, zrozpaczona odmową Najświętszej Panny, nieczulej na nieszczęście jej dziecka, tonęła we łzach. Gdy z kolei weszła pani Vetu, z namiętym uniesieniem umierającej, która ma wypić wodę życia, natrętny okrzyk, w którym nie było zwątpienia ani zniechęcenia, buchnął znowu: „Panie, racz uzdrowić naszych chorych!... Panie, racz uzdrowić naszych chorych!...” Kapucyn padł na twarz, a tłum, z rozkrzyżowanymi ramionami, krzyczał, pożerał pocałunkami ziemię.

Piotr chciał podejść do pani Vincent, aby powiedzieć jej jakieś słowo pociechy, ale natknął się na falę pielgrzymów, która odrzuciła go aż do cudownego źródła, również obleżonego przez tłum. Była to cała budowla, niewysoka zresztą, długi kamienny mur, ze świątym daszkiem; mimo dwunastu kurków, z których woda płynęła do wąskiego zbiornika, musiano i tutaj utworzyć kolejki. Wiele osób napełniało flaszki, manierki, fajansowe dzbanki. Ażeby zapobiec zbytniemu marnotrawieniu wody, każdy kran działał dopiero po naciśnięciu kurka, toteż kobiety o słabych rękach biedziły się tam, oblewały sobie stopy. Te, które nie miały manierek do napełniania, podchodziły, aby się napić i umyć sobie twarz. Piotr zauważył jakiegoś młodzieńca, który wypił siedem małych szklaneczek i siedem razy przemył sobie oczy, nie wycierając ich. Inni pili z muszel, z kubków cynowych i skórzanych. Piotr z ciekawością patrzył na Elizę Rouquet, która osądziwszy, że zbyteczną rzeczą byłoby iść do sadzawek z okropną raną, jaką miała na twarzy, zadowolona się ablucjami u źródła, które od rana powtarzała co godzinę. Klękała, zdejmowała chustkę, długo trzymała na ranie zamoczoną chusteczkę, niby gąbkę, a dookoła niej ludzie tłoczyli się tak gorączkowo, że nie widzieli już jej potwornej twarzy, myli się tam i pili z tego samego kranu, gdzie ona zwilżała chusteczkę.

W tej chwili Gerard, który wiózł tamtędy do sadzawek pana Sabatier, zawołał na Piotra, widząc, że jest wolny. Prosił go, żeby poszedł z nim i pomógł mu, niełatwo mu bowiem będzie poruszyć i zanieść do wody tego bezwładnego człowieka. Piotr więc około pół godziny spędził przy sadzawce dla mężczyzn, gdzie pozostał przy chorym, a tymczasem Gerard powrócił do Groty po następnego. Basen wydał mu się dobrze urządzone. Składał się z trzech kabin, z trzech wani, do których schodziło się po stopniach i które oddzielone były przepierzeniem; u wejścia do każdej wisiała płócienna firanka, którą można było zaciągnąć, aby odosobnić chorego. Od przodu znajdowała się wspólna sala, wyłożona płytami, gdzie stała tylko ławka i dwa krzesła – była to poczekalnia. Chorzy rozbierali się tam, później ubierali, z niezgrabnym pośpiechem, z niespokojną troską o przyzwoitość. Jakiś człowiek stał jeszcze nagi, osłaniając się do pasa firanką, i drżącymi rękoma nakładał sobie bandaż. Drugi, suchotnik, przerażająco chudy, dygotał i charczał, cały szary i w sinych plamach. Ale Piotr zadrżał dopiero na widok brata Izydora,

‘którego wyjmowano z wanny; był nieprzytomny, wydawał się martwy, a potem znów zaczął po swojemu jęczeć; straszliwie żalosne było to długie ciało z dziurą w biodrze, wysuszone przez cierpienie, podobne do ludzkiego mięsa rzuconego na ladę w jatkach. Dwaj pielęgniarze, którzy właśnie go wykąпали, z największym trudem wkładali mu koszulę, gdyż bali się, że przy silniejszym wstrząsie wyzionie ducha.

– Czy książd zechce mi pomóc? – zapytał pielęgniarz, który rozbierał pana Sabatier.

Piotr podszedł skwapliwie; przyjrząwszy się, poznał w pielęgniarzu pełniącym tak niskie funkcje margrabiego SalmonRoquebert, którego pokazywał mu był pan de Guersault wychodząc z dworca. Był to mężczyzna około czterdziestki, z wielkim rycerskim nosem w podłużnej twarzy. Ostatni potomek jednej z najstarszych i najznakomitszych rodzin francuskich, miał znaczny majątek, królewski pałac w Paryżu przy ulicy de Lilie i ogromne posiadłości w Normandii. Co roku przyjeżdżał do Lourdes na trzy dni pielgrzymki narodowej, powodowany współczuciem, nie z gorliwości religijnej, gdyż praktykował tylko, jak przystało człowiekowi z dobrego towarzystwa. I upierał się, aby nie przyjmować żadnych wyróżnień, chciał pozostać zwykłym pielęgniarzem; w tym roku kąpał chorych, ramiona opadały mu ze zmęczenia, ręce mdlały, od rana do wieczora zajęte przerwaniem łachmanów, zdejmowaniem i zakładaniem opatrunków.

– Proszę delikatnie – rozkazał – i bez pośpiechu zdjąć pończochy. Właśnie przed chwilą u tego biednego człowieka, którego ubierają, odpadł kawałek ciała.

Gdy opuścił na chwilę pana Sabatier i podszedł, aby włożyć tamtemu nieszczęśnikowi trzewiki, uczył pod palcami, że lewy trzewik był od wewnątrz mokry. Spojrzał: ropa ciekła, wy – pełniąc trzewik, musiał więc ją wylać, zanim obuł chorego zachowując jak największą ostrożność, aby nie urazić przeżartej wrzodem stopy.

– Teraz – rzekł do Piotra, wracając do pana Sabatier – proszę wraz ze mną zdjąć kalesony, abyśmy to zrobili za jednym zamachem.

W małej sali byli tylko chorzy i dyżurni pielęgniarze oraz kapelan odmawiający *Pater i Ave*, gdyż modlitw nie należało przerywać ani na chwilę. A ponieważ tylko zwyczajna firanka zasłaniała drzwi wychodzące na przestrzeń ograniczoną sznurami, błagania tłumu dolatywały tutaj jako nieprzerwana wrzawa, wyraźnie natomiast słyhać było ostry głos kapucyna, powtarzającego nieustannie: „Panie, racz uzdrowić naszych chorych!... Panie, racz uzdrowić naszych chorych!” Wysokie okna przepuszczały zimne światło i panowała tam stale wilgoć i mdła woń mokrej jaskini.

Wreszcie pan Sabatier był nagi. Zawiązano mu tylko na brzuchu wąski fartuszek, dla przyzwoitości.

– Bardzo proszę – mówił – zanurzać mnie w wodzie pomału, stopniowo...

Przerażała go ta zimna woda. Jeszcze dziś pamiętał wstrząs, jakiego doznał za pierwszym razem, wstrząs tak okrutny, iż przysięgł był sobie, że już nigdy się temu nie podda. Wedle niego

nie istniała straszliwsza tortura. Poza tym, jak mówił, woda nie była wcale zachęcająca, gdyż ojcowie z Groty w obawie, że nie starczy jej w zdroju, zmieniali wodę w wannach tylko dwa razy dziennie, a ponieważ w tej samej wodzie ‘kąpano przeszło stu innych chorych, można sobie łatwo wyobrazić, jaką obrzydliwą lurą stawała się wreszcie. Spotykało się tam wszystko: smużki krwi, kawałki skóry, strupy, strzępy gazy i opatrunków, straszliwą mieszaninę wszelkich chorób, ran, wszelkiej zgnilizny. Była to istna hodowla zarazków, esencja najgroźniejszych zakażeń i, doprawdy, cudem tylko wychodziło się żywym z tego ludzkiego błota.

– Powoli, powoli – mówił pan Sabatier do Piotra i margrabiego, którzy ujęli go pod nogi, aby zanieść do wanny.

Patrzył z przerażeniem dziecka na wodę, na tę gęstą, siną wodę z lśnącymi podejrzanymi plamami. Na brzegu, po lewej stronie, leżał czerwony kamyk, jak gdyby w tym miejscu pękł jakiś wrzód. Strzępy płótna pływały niby martwe ciała. Ale jego strach przed zimną wodą był tak wielki, iż mimo wszystko wołał te brudne łazienki po południu, gdy wszystkie zanurzone ciała trochę ją wreszcie ogrzały.

– Opuścimy pana po stopniach – wyjaśnił półgłosem margrabia i poprosił Piotra, aby mocno trzymał chorego pod pachy.

– Proszę się nie obawiać – rzekł ksiądz – utrzymam go.

Pomału opuścili w dół pana Sabatier. Widać już tylko było jego plecy, żalosalne obolałe plecy, które chwiały się, wyginały, pokrywały morą dreszczu. Gdy go zanurzono, głowa odwróciła się spazmatycznym ruchem, dało się słyszeć trzeszczenie kości, chory zaś dusił się, bez tchu.

Kapelan przed łazienkami powtórzył z nowym uniesieniem: „Panie, racz uzdrowić naszych chorych!... Panie, racz uzdrowić naszych chorych!”

Pan de Salmon-Roquebert powtórzył okrzyk, gdyż było to obowiązkiem pielęgniarzy przy każdym zanurzeniu. Piotr mu. siał uczynić to samo, a jego litość wobec tylu cierpień była tak wielka, że odzyskał trochę wiary: od dawna już się tak nie modlił z pragnieniem, aby Bóg był na niebie i aby jego wszechmoc mogła przynieść ulgę niedoli ludzkiej. Ale gdy po paru minutach z wielkim trudem wydobyli bladego i drżącego z zimna pana Sabatier, Piotr uczuł tym większy, rozpaczliwy smutek na widok paralityka, który, nieszczęsny, unicestwiony, nie czuł żadnej poprawy jeszcze jedna daremna próba, Najświętsza Panna po raz. siódmy nie raczyła go wysłuchać. Zamknął ‘oczy, dwie duże łzy spłynęły spod zaciśniętych powiek, gdy go ubierano.

Następnie Piotr zobaczył małego Gustawa Vigneron, jak wchodził o ‘kuli, aby wziąć pierwszą kąpiel. Przy drzwiach uklękła rodzina: ojciec, matka, ciotka, wszyscy troje dostatnio ubrani i przykładnie pobożni. W tłumie szeptano, mówiono, że to wysoki urzędnik z Ministerstwa Finansów. Ale gdy chłopiec zaczął się rozbierać, wszczął się jakiś hałas, ukazali się ojciec Fourcade i ojciec Massias i nakazali przerwać kąpiele. Właśnie miano pokusić się o wielki cud, niezwykłą łaskę, którą gorąco wypraszano od rana: o zmartwychwstanie człowieka.

Na zewnątrz modlitwa trwała dalej, pełen furii zew głosów ginących w niebie gorącego letniego popołudnia. Po chwili wniesiono zakryte nosze, które dwaj tragarze położyli na środku sali. Towarzyszył im baron Suire, prezes Schroniska, z – jednym z kierowników, Berthaudem, gdyż sprawa poruszyła cały personel; między tymi panami a dwoma zakonnikami od Wniebowzięcia nastąpiła cicha wymiana słów, po czym zakonnicy padli na kolana, rozkrzyżowali ramiona i zaczęli się modlić z natchnionymi i rozpromienionymi twarzami, przemienionymi od palącego pragnienia, aby Bóg okazał swą wszechmoc.

– Panie, usłysz nas!... Panie, wysłuchaj nas!

Zabrano właśnie pana Sabatier, z chorych pozostał tylko mały Gustaw, na wpół rozebrany, zapomniany na krześle. Zdjęto płachtę, na noszach ukazał się trup nieznanego człowieka, już sztywny, jak gdyby zmałały i pomniejszony, z wielkimi oczyma, które uparcie pozostały otwarte. Ale trzeba go było rozebrać, gdyż miał jeszcze na sobie odzież, i pielęgniarze zawahali się na chwilę przed tą straszną robotą. Piotr zauważył, że margrabia de Salmon-Roquebert, tak ofiarny, nie okazujący wstępu w stosunku do żywych, odsunął się i również ukląkł, nie chcąc dotykać tego ciała. Piotr poszedł za jego przykładem: ukląkł obok niego, aby ukryć zakłopotanie.

Powoli ojciec Massias zapalał się, przemawiał głosem tak donośnym, że nie było słyhać jego przełożonego, ojca Fourcade.

– Panie, powróć nam brata naszego!... Panie, uczynź to dla iswej chwały!

Tymczasem jeden z pielęgniarzy zdecydował się ująć za spodnie nieznanego, ale nogi nie poddawały się, trzeba było ciało unieść; drugi pielęgniarz, który rozpinał zniszczony surdut, półgłosem zauważył, że szybciej poszłoby, gdyby rozciąć to wszystko nożyczkami. Inaczej nie dadzą sobie rady.

Rzucił się ku nim Berthaud. Błyskawicznie porozumiał się z baronem Suire. W głębi duszy ten polityk potępiał ojca Fourcade za podjęcie tak ryzykownego przedsięwzięcia. Ale teraz nie sposób już było nie brnąć do końca: tłum czekał, od rana zasylał modły do nieba. Jedyłą rozumną rzeczą było teraz skończyć jak najprędzej, okazując możliwie jak największe poszanowanie dla zmarłego. Berthaud pomyślał, że – zamiast zbytnio potrząsać trupem przy rozbieraniu go do naga – lepiej będzie zanurzyć go w sadzawce zupełnie ubranego. Zawsze będzie czas przebrać go, jeśli zmartwychwstanie, a w przeciwnym wypadku, mój Boże, i tak wszystko jedno! Szybko powiedział to wszystkim pielęgniarzom i pomógł im przeciągnąć rzemienie pod udami i pod pachami tego człowieka.

Ojciec Fourcade wyraził zgodę skinieniem głowy, a tymczasem ojciec Massias podwajał żarliwość:

– Panie, tchnij na niego, a narodzi się znowu!... Panie, *zwróć* mu duszę jego, aby cię chwalił!

Dwaj pielęgniarze jednocześnie dźwignęli trupa na rzemieniach, zanieśli go nad sadzawkę i opuścili do wody pomału, w strachu, że się im wyśliznie. Piotr, ogarnięty przerażeniem, widział

dokładnie, jak zanurza się trup w ubogim odzieniu, które oblepia kości zarysowując kształt szkieletu. Pływał po wierzchu jak topielec. Później głowa, pomimo trupiej sztywności, ohydnie opadła do tyłu i tkwiła pod wodą, a pielęgniarkę na próżno usiłowali unieść rzemień przesunięty pod ramionami. Była chwila, kiedy o mało nie poszedł na dno basenu. Jakże mógł być odzyskać oddech z ustami pełnymi wody, z szeroko otwartymi oczyma, które za tą osłoną zdawały się umierać po raz drugi?

Przez trzy nie kończące się minuty, gdy go pławiono, dwaj zakonnicy od Wniebowzięcia oraz kapelan, w paroksyzmie pragnienia i wiary, usiłowali zgwałcić Niebo.

– Panie, obróć nań oczy twoje, a żyć będzie!... Panie, niechaj podniesie się na twój głos i nawróci ziemię!... Dość, abyś rzekł słowo, a cały świat będzie słał twoje imię!

Jak gdyby mu jakieś naczynie pękło w gardle, ojciec Massias dławiąc się opadł na łokcie, nie mając już siły całować płyt posadzki. A z zewnątrz dobiegał krzyk tłumu, krzyk nieustannie powtarzany, wciąż wznoszony przez kapucyna: „Panie, racz uzdrowić naszych chorych! Panie, racz uzdrowić naszych chorych!” Padało to tak regularnie, że Piotr ledwie powstrzymywał okrzyk buntu. Czuł, że margrabia drży obok niego. Toteż wszyscy odczuli ulgą, gdy Berthaud, mocno niezadowolony z incydentu, odezwał się szorstko do pielęgniarzy: – Wyciągnijcie go, ależ wyciągnijcie go!

Wydobyto trupa, złożono na noszach wraz z jego łachmanami przylepionymi do ciała. Z włosów ciekło, strumyki wody spływały na podłogę sali. Ale nie ożył.

Wszyscy wstali i patrzyli na trupa w przykrym milczeniu. Potem, gdy go znów okrywano i zabierano, ojciec Fourcade poszedł za nim, wsparty na ramieniu ojca Massias, powłócząc swą podagryczną nogą, o której bolesnym ciężarze na chwilę był zapomniawszy. Odzyskiwał już całą swoją siłę i pogodę; usłyszano, jak wśród ogólnego milczenia mówi do tłumu:

– Drodzy bracia, drogie siostry, Bóg nie zechciał go nam oddać. Zapewne, w swej niezmierzonej dobroci, postanowił zachować go wśród swoich wybranych.

I na tym się skończyło, nikt już nie wspominał o nieznanym człowieku. Znowu przyprowadzono chorych, dwie pozostałe wanny były zajęte. Mały Gustaw, który bez lęku przyglądał się scenie bystrym i ciekawym okiem, kończył się rozbierać. Ukazało się jego nędzne ciało skrofulicznego dziecka, ze sterczącymi żebrami i wypukłym kręgosłupem, tak chude, że nogi jego, zwłaszcza lewa, przypominały laski, tak były wyschnięte i kościste; miał dwie rany, jedną na udzie, drugą w okolicy lędźwiowej, straszną, ukazującą żywe mięso. Jednakże uśmiechał się, tak wysubtelniony przez chorobę, że ten piętnastoletni chłopiec, wyglądający na lat dziesięć, zdawał się mieć umysł i mądre poglądy dojrzałego mężczyzny.

Margrabia de Salmon-Roquebert wziął go na ręce, nie przyjmując zaofiarowanej przez Piotra pomocy.

– Dziękuję, waży nie więcej niż ptaszek. I nie bój się, mój mały, będę szedł pomału.

– Och, proszę pana, ja się nie boję zimnej wody, może mnis pan zanurzyć!

Zanurzono go w wannie, gdzie pławiono tamtego człowieka. Przy drzwiach pani Vigneron i pani Chaise, którym nie wol – no było wejść, ukłękły i pobożnie się modliły, ojciec zaś, pan Vigneron, wpuszczony do sali, żegnał się zamazyście znakiem krzyża.

Piotr wyszedł, bo nie był już potrzebny. Pośpieszył się na myśl, że trzecia godzina dawno już wybiła i że Maria na niego czeka. Ale gdy usiłował precyzyjnie się przez tłum, zobaczył Marię; ciągnął ją w jej wózku Gerard, który wciąż przywoził chorych do sadzawek. Maria niecierpliwiła się, nagle opanowana pewnością, że wreszcie znajduje się w stanie łaski. Zwróciła się do niego z wyrzutem:

– Ach, mój drogi, więc zapomniałeś o mnie!

Nie znalazł odpowiedzi, patrzył tylko, jak zniknęła w kierunku sadzawek dla kobiet, i śmiertelnie smutny padł na kolana. Tak chciał na nią czekać, na klęczkach, aby potem odprowadzić ją do Groty, na pewno uzdrowioną, śpiewającą dziękczynienia. Skoro była tego pewna, czyż nie zostanie uzdrowiona? Ale nadaremnie szukał słów modlitwy w głębi swej wzburzonej istoty. Pozostawał pod obuchem straszliwych faktów, które niedawno oglądał, przytłoczony zmęczeniem fizycznym, z udreżonym mózgiem; nie wiedział już, co widzi ani w co wierzy. Pozostała mu tylko gorąca tkliwość dla Marii, i to popychało go do modlitw i pokory, podsuwając myśl, że najmniejsi, gdy umieją kochać i gdy błagają możnych, otrzymują w końcu upragnione łaski. Uprzytomnił sobie, że powtarza wraz z tłumem, głosem pełnym rozpaczy, dobyty z głębi istoty okrzyk:

– Panie, racz uzdrowić naszych chorych!... ‘Panie, racz uzdrowić naszych chorych!

Trwało to dziesięć minut, może kwadrans. Potem ukazała się Maria na swoim wózku. Twarz miała zrozpaczoną i bladą, piękne włosy zwinięte w ciężki złoty węzeł, którego woda nie sięgnęła. Drętwa bezgranicznego zniechęcenia zamykała jej usta, oczy zaś odwracały się, jak gdyby unikając spotkania z oczyma księdza, który przejęty, ze złodowaciałym sercem, znów ujął za dyszel, aby zawieźć ją przed Grotę.

A krzyk wiernych, klęczących z rozkrzyżowanymi ramionami, całujących ziemię, brzmiał w rosnącym szaleństwie, podsycany przez przenikliwy głos kapucyna: – Panie, racz uzdrowić naszych chorych!... Panie, racz uzdrowić naszych chorych!

Przed Grotą, gdy Piotr znowu ustawił wózek, Maria zapadła w omdlenie. Gerard, który był w pobliżu, zobaczył, że natychmiast podbiegła do niej Rajmunda z filiżanką bulionu, i wówczas wywiązał się między nimi wyścig gorliwości dookoła chorej. Zwłaszcza Rajmunda nalegała, żeby Maria wzięła od niej bulion, uprzejmie, z pieszczotliwymi minami dobrej pielęgniarki podając filiżankę. Gerard doszedł do wniosku, że ta dziewczyna, mimo iż bez posagu, jest jednak urocza; taka doświadczona w sprawach życiowych, potrafi prowadzić dom pewną ręką, nie tracąc przy tym wdzięku. Berthaud miał chyba słusność, to żona, jakiej mu potrzeba.

– Czy życzy sobie pani, abym chorą nieco podniósł?

– Dziękuję panu, ja sama dość jestem silna... A zresztą napoję ją łyżką, tak będzie wygodniej.

Ale Maria, uparta w zaciętym milczeniu, powoli wracała do przytomności i odpychała bulion. Pragnęła, aby ją zostawiono w spokoju, aby nikt nic do niej nie mówił. Dopiero gdy tych dwoje odeszło uśmiechając się do siebie, Maria głuchym głosem rzekła ‘do księdza:

– A więc mój ojciec nie przyszedł?

Piotr zawahał się chwilę, potem musiał wyznać prawdę:

– Zostawiłem go śpiącego i nie miał go kto zbudzić... Wtedy Maria, zapadając znowu w nicość, odprawiła, i jego

gestem, który odrzucał wszelką pomoc. Nieruchoma, nie modliła się już, patrzyła wielkimi oczyma uparcie w marmurową Matkę Boską, w biały posąg wśród żaru Groty. A ponieważ była godzina czwarta, Piotr, z udreńczonym sercem, udał się do lekarskiego biura stwierdzeń, przypomniał sobie bowiem o spotkaniu, jakie wyznaczył mu był doktor Chassaigne.

IV

Doktor Chassaigne czekał na Piotra przed lekarskim biurem stwierdzeń. Cisnął się tam zwarty, rozgorączkowany tłum, czyhający na chorych, i zasypywał pytaniami tych, którzy wcho – dzili do biura, wznosząc okrzyki przy ich wyjściu, ilekroć rozchodziła się wieść o cudzie, o ślepcu, który przejrzał, o głuchym, który odzyskał słuch, o paralityku, któremu wróciła władza w nogach. Piotr z wielkim trudem przecisnął ‘się przez ciżbę.

– I jakże – zapytał doktora – czy będziemy mieli cud, ale prawdziwy, niezaprzeczalny?

Doktor uśmiechnął się, pobłażliwy w swej nowej wierze.

– No, cuda nie dzieją się na zawołanie. Bóg działa, kiedy zechce.

Pielęgniarze surowo strzegli wejścia. Wszyscy znali doktora, usunęli się więc z szacunkiem i przepuścili go wraz z towarzyszem. Biuro, gdzie stwierdzano cuda, mieściło się bardzo niewygodnie w nędznym drewnianym domku i ‘składało się z dwóch izb, ciasnego przedpokoju i wspólnej, zbyt małej sali. Mówiło się zresztą o ulepszeniu organizacji biura, przeniesieniu go do obszerniejszego lokalu, pod jedną z teras Różańca, i już przygotowywano się do przeprowadzki.

W przedpokoju, gdzie stała tylko drewniana ławka, Piotr zauważył dwu chorych, którzy czekali na swoją kolej pod opieką młodego pielęgniarza. Ale gdy wszedł do ogólnej sali, zdumiał się wielką ilością stłoczonych tam osób, a ciężki upał nagromadzony wśród drewnianych ścian nagranych słońcem palił mu twarz. Był to pokój kwadratowy, pomalowany na kolor jasnożółty, pokój nagi, z jednym oknem o pobielonych szybach, aby cisnący się na zewnątrz tłum nie mógł nic zobaczyć. Nie śmiano nawet otworzyć okna i wpuścić trochę powietrza, bo natychmiast wsuwało się mnóstwo ciekawych głów. Urządzenie było prymitywne: dwa sosnowe stoły,

niejednokrotnej wysokości, umieszczone tuż przy sobie, niczym nawet nie przykryte, dalej wielkie regały, na których bezwładnie piętrzyły się papiery, pliki aktów, rejestry i broszury, a wreszcie ze trzydzieści wyplatanych słomą krzesel, zajmujących całą pozostałą przestrzeń, i dwa stare, obszarpane fotele dla chorych.

Doktor Bonamy natychmiast pośpieszył naprzeciw doktora Chassaigne, który był jedną z ostatnich i najchlubniejszych zdobyczy Groty. Znalazł mu krzesło, usadowił też Piotra, przejęty szacunkiem dla jego sutanny. Potem odezwał się tonem nadzwyczaj uprzejmym:

– Drogi kolego, pozwoli pan, że będę kontynuował pracę... Właśnie badaliśmy tę młodą osobę...

Chodziło o głuchą dwudziestoletnią wieśniaczkę, która siedziała na jednym z foteli. Ale Piotr zamiast słuchać, czując jeszcze zmęczenie w nogach i szum w głowie, zadowolił się patrzeniem i próbował obserwować ludzi znajdujących się w pokoju. Było tam z pięćdziesiąt osób, wiele z nich stało opierając się o ścianę. Za dwoma stołami siedziało ich pięć: główny zarządca sadzawek w środku, pochylony nad grubym rejestrem, dalej zakonnik od Wniebowzięcia i dwaj młodzi klerycy, którzy pełnili funkcje sekretarzy, pisali, podawali pliki aktów, a po każdym badaniu odkładali je na miejsce. Uwagę Piotra przykuła na chwilę osoba zakonnika od Niepokalanego Poczęcia, ojca Dargelès, naczelnego redaktora „Dziennika Groty”, którego pokazywano mu z rana. Jego szczupła, drobna twarz z mrugającymi oczyma, z ostrym nosem i wąskimi ustami, stale się uśmiechała. Siedział skromnie przy niższym stole, a niekiedy robił notatki dla swego dziennika. On jeden z całej swej kongregacji ukazywał się przez trzy dni pielgrzymki narodowej. Ale poza nim odgadywało się innych, jak siłę powoli narosłą i ukrywaną, wszystko organizującą i wszystko w sobie skupiającą.

Poza tym byli tutaj tylko ciekawi, świadkowie, ze dwudziestu lekarzy i czterech czy pięciu księży. Lekarze, przybyli zewsząd po trosze, zachowywali przeważnie całkowite milczenie; kilku z nich ryzykowało czasem parę pytań; chwilami wymieniali ukośne spojrzenia, bardziej zajęci pilnowaniem się wzajemnie niż stwierdzaniem faktów poddanych ich osądowi. Kim byli? Wymieniano ich nazwiska, zupełnie nieznane. Jeden tylko mówił z przejęciem, a był to słynny lekarz z jednego z uniwersytetów katolickich.

Ale tego dnia doktor Bonamy, który zawsze na stojąco prowadził zebranie i wypytywał chorych, całą uwagę i uprzejmość skupiał na niskim, jasnowłosym panu, dość utalentowanym pisarzu i wpływowym redaktorze jednego z najpoczytniejszych dzienników paryskich, który przypadkiem tego właśnie ranka przybył, do Lourdes. Czyż nie była to sposobność, aby nawrócić niedowiarkę, aby wyzyskać jego wpływy i zrobić Sprawie reklamę? Doktor usadowił go na fotelu, popisywał się uśmiechniętą dobroduszością, dawał dla niego wielkie widowisko, podkreślał, że tutaj nic się nie ukrywa, że wszystko dzieje się w pełnym świetle.

– Pragniemy tylko światła – powtarzał. – Nie przestajemy upominać ‘się o badania czynione

przez ludzi dobrej woli.

Następnie, ponieważ rzekome uzdrowienie głuchej przedstawiało się bardzo niepewnie, potraktował ją dosyć szorstko.

– No, no, moje dziecko, to dopiero początek... Proszę tu ‘jeszcze wstąpić... – I dodał półgłosem: – Jeżeli by ich słuchać, okazałoby się, że wszyscy zostali cudownie uzdrowieni. Ale my zajmujemy się tylko wyzdrowieniami dowiedzionymi, jasnymi jak słońce. Proszę zauważyć, że mówię: wyzdrowieniami, a nie: cudami, bowiem my, lekarze, nie pozwalamy sobie na interpretację, jesteśmy tu po prostu po to, aby stwierdzić, czy chorzy poddani naszemu badaniu nie wykazują już żadnych oznak choroby.

Puszył się, popisывał się swoją uczciwością, nie będąc większym kłamcą ani durniem jak inni, wierząc bez wiary, wiedząc, że nauka jest tak ciemna, tak pełna niespodzianek, że niemożliwość jest tam zawsze możliwa; i pod koniec swego życia lekarza praktyka wyrobił sobie sytuację szczególną, która miała swe dobre i złe strony, ale w sumie była bardzo miła i szczęśliwa.

Teraz, na pytanie paryskiego dziennikarza, wyjaśnił swoją metodę postępowania. Każdy chory należący do pielgrzymki przybywał z plikiem akt, a wśród nich prawie zawsze znajdowało się świadectwo lekarza, który go leczył; niekiedy było tam parę świadectw różnych lekarzy, raporty szpitalne, cała historia choroby. A kiedy zaszedł przypadek wyzdrowienia i dana osoba zgłaszała się, wystarczyło zajrzeć do jej papierów, przeczytać świadectwa, aby dowiedzieć się, na jaką chorobę cierpiała, i zbadać, czy choroba istotnie ustąpiła.

Piotr słuchał uważnie. Siedząc tu zdążył już wypocząć, czuł się spokojniejszy, odzyskiwał sprawność umysłu. Już tylko upał dawał mu się we znaki. Toteż, zaciekawiony wyjaśnienia – mi doktora Bonamy, pragnąc wyrobić sobie własne zdanie, sam tyłby zabrał głos, gdyby nie nosił duchownej sukni. Sutanna skazywała go na stałe usuwanie się na drugi plan. Bardzo się ucieszył, gdy usłyszał, że niski jasnowłosy pan, wpływowy pisarz, formułuje zarzuty, które od razu się nasuwały. Czy nie było to fatalną rzeczą, że inny lekarz stawiał diagnozę choroby, a inny stwierdzał jej wyleczenie? Tu na pewno tkwiło stałe źródło możliwych omyłek. Lepiej byłoby, gdyby komisja lekarska badała wszystkich chorych w chwili ich przyjazdu do Lourdes i spisywała protokoły, do których ta sama komisja sięgałaby w każdym wypadku wyzdrowienia. Ale doktor Bona -

my żywo zaprotestował, słusznie powiadając, że żadna komisja nie podołałaby tak ogromnej pracy. Proszę tylko pomyśleć tysiąc różnych przypadków zbadać jednego ranka! Ileż byłoby różnych teorii, ile dyskusji, ile sprzecznych diagnoz, jeszcze potęgujących niepewność! Badanie wstępne, prawie niemożliwe do przeprowadzenia, mogło być istotnie przyczyną również poważnych omyłek. W praktyce trzeba było trzymać się świadectw wystawianych przez lekarzy, które nabierały w ten sposób kapitalnej, decydującej ważności. Przerzucono pliki akt na jednym

ze stołów, po czym dano je do przejrzania dziennikarzowi z Paryża. Niektóre akta były rażąco lakoniczne. Inne, lepiej zredagowane, jasno określały rodzaj choroby. Niektóre podpisy lekarzy były nawet uwierzytelnione przez merów danej gminy. Jednakże wątpliwości pozostawały niezliczone, nie do odparcia: co to byli za lekarze? Czy posiadali konieczny autorytet naukowy? Czy nie ulegali jakimś nieznanym względom, interesom, czysto osobistym? Miało się ochotę przejrzeć wyniki badań każdego z nich. Od chwili gdy wszystko opierało się na dokumentach przywiezionych przez chorego, potrzebna była bardzo staranna kontrola tych dokumentów, gdyż wszystko waliło się w gruzy, jeżeli 'surowa krytyka nie ustaliła absolutnej pewności faktów.

Doktor Bonamy, bardzo czerwony, spocony, irytował się.

– Ależ my to właśnie, to właśnie robimy!... Z chwilą gdy jakiś wypadek zdaje się nam niemożliwy do wytłumaczenia w sposób naturalny, przystępujemy do drobiazgowego śledztwa, prosimy osobę uzdrowioną, aby raz jeszcze dała się zba – dać... I widzi pan przecież, że otaczamy się wszelkimi możliwymi autorytetami: Słuchający nas tutaj panowie to prawie wszystko lekarze pochodzący z różnych, najdalszych nawet krańców Francji. Usilnie prosimy ich, aby nie ukrywali przed nami swoich wątpliwości, aby dyskutowali z nami nad każdym przypadkiem; i ze wszystkich posiedzeń sporządza się bardzo szczegółowe protokoły. Panowie słyszycie, więc protestujcie, jeżeli coś tutaj obraża wasze poczucie prawdy.

Nikt na sali nie poruszył się. Prawie wszyscy obecni tam lekarze, zapewne katolicy, oczywiście przytaknęli. Inni zaś, niewierzący, bezstronni uczeni, patrzyli, interesowali się niektórymi zjawiskami, lecz przez kurtuazję nie chcieli wszczynać dyskusji, zresztą bezowocnych, a kiedy ich niesmak, jako ludzi rozsądnych, stawał się zbyt wielki i kiedy czuli, że ogarnia ich gniew, po prostu wychodzili.

Tak więc nikt słowa nie rzekł i doktor Bonamy tryumfował. A gdy dziennikarz spytał, czy sam jeden musi spełniać tak wielką pracę, odrzekł:

– Zupełnie sam. Moje zadanie jako lekarza Groty nie jest tak skomplikowane, gdyż polega ono, powtarzam, po prostu na stwierdzaniu wyzdrowień, gdy się to zdarzy. – Zreflektował się zaraz i dodał z uśmiechem: – Ach, zapomniałem, mam Raboina, który pomaga mi utrzymać tutaj jaki taki porządek.

I wskazał ręką tęgiego mężczyznę około czterdziestki, szpakowatego; o pełnej twarzy i szczękach doga. Był to człowiek ślepo wierzący, zapaleniec, który nie mógł znieść, żeby ktoś podawiał cud w wątpliwość. Toteż cierpiał z powodu swojej funkcji w biurze stwierdzeń, zawsze gotów mrużyć ze złości, gdy tylko zaczynała się dyskusja. Wezwanie skierowane do lekarzy oburzało go, tak że lekarz musiał go uspokajać: – No, Raboin, mój drogi, siedź cicho! Każdy ma prawo szczerze się wypowiedzieć!

Tymczasem chorych przybywało. Przyprawdzono człowieka z torsem pokrytym egzemą; gdy zdejmował koszulę, szara mąka sypała się z jego skóry. Nie był wyleczony, twierdził tylko,

że przyjeżdża co roku do Lourdes i że za każdym razem stan jego ulega poprawie. Następnie zjawiała się kobieta, pewna hrabina, przeraźliwie chuda, której dzieje były niezwykle: uzdrowiona po raz pierwszy przez Najświętszą Pannę z gruźlicy przed siedmiu laty, miała potem czworo dzieci; następnie znowu zapadła na suchoty – a była wówczas morfinistką; teraz, odrodzona przez pierwszą kąpiel, zamierzała wziąć udział wieczorem w procesji przy pochodniach, wraz z dwudziestoma siedmioma osobami ze swojej rodziny, które tu sprowadziła. Po niej przyszła kobieta cierpiąca na bezgłos na tle nerwowym, która po miesiącach całkowitej niemoty nagle odzyskała głos podczas procesji o godzinie czwartej, gdy przeszedł obok niej ksiądz z Najświętszym Sakramentem.

– Panowie – oznajmił doktor Bonamy z przesadną uprzejmością uczonego o szerokich horyzontach – wiadomo wam, że nie zatrzymujemy się przy wypadkach, gdzie w grę wchodzi schorzenia nerwowe. Zauważcie jednak, że tę kobietę leczono przez pół roku w Salpêtrière i że musiała tu przybyć, aby język jej nagle się rozwiązał.

W tej chwili otworzyła drzwi dziewczynka uśmiechnięta i skromna, z jasnymi oczyma tryskającymi inteligencją.

– Ach – zawołał uradowany doktor – nasza mała przyjaciółka Zofia!... Oto niezwykle wyleczenie, panowie, które dokonało się w zeszłym roku o tej porze i którego wyniki pozwolę sobie zaprezentować!

Piotr poznał Zofię Couteau, cudownie uzdrowioną, która wsiadła do ich przedziału w Poitiers. I teraz był świadkiem powtórzenia sceny już raz przed nim odegranej. Doktor Bo-

na my udzielał teraz bardzo szczegółowych objaśnień niskiemu panu o jasnych włosach, który słuchał z wielką uwagą: próchnica kości lewej pięty, początki martwicy, która wymagała resekcji, straszliwa rana ropiejąca, uleczona w jednej chwili, przy pierwszym zanurzeniu w sadzawce. ‘

– Zofio, opowiedz panu o tym.

Dziewczynka zrobiła swój wdzięczny ruch nakazujący uwagę.

– A więc tak, moja noga była stracona, nie mogłam nawet już pójść do kościoła i trzeba ją było owijać w płótno, bo ciekły z niej takie brzydkie rzeczy... Pan Rivoire, lekarz, który zrobił cięcie, aby zajrzeć do środka, mówił, że trzeba koniecznie usunąć kawałek kości, co na pewno zrobiłoby mnie kula – wąż... I wtedy serdecznie pomodliłam się do – Najświętszej Panny i poszłam zanurzyć nogę w wodzie, z tak wielką chęcią wyzdrowienia, że nawet nie starczyło mi czasu na zdjęcie płótna... I wtedy wszystko zostało w wodzie, a na nodze, gdy ją wyciągnęłam, nie było już ani śladu.

Doktor Bonamy przytakiwał głową każdemu jej słowu.

– Zofio, powtórz nam słowa waszego doktora...

– U nas, kiedy pan Rivoire zobaczył moją nogę, powiedział: „Wszystko jedno, czy to Pan

Bóg, czy diabeł wyleczył to dziecko, ale prawdą jest, że zostało wyleczone.”

Wybuchł śmiech, to zdanie wywierało efekt niezawodny.

– A coś ty, Zofio, powiedziała do pani hrabiny, kierowniczkii waszej sali?

– Ach, tak... Przywiozłam ze sobą nie bardzo dużo płótna na moją nogę i powiedziałam do pani hrabiny: „Najświętsza Panna jest bardzo dobra, że uzdrowiła mnie w pierwszym dniu, bo jutro moje zapasy byłyby się skończyły.”

Znowu rozległy się śmiechy, wszyscy z zadowoleniem patrzyli na tę miłą dziewczynkę, która trochę za gładko recytowała swoją historię, bo umiała ją już na pamięć, ale była tak wzruszająca i robiła wrażenie tak prawdopodobnej!

– Zofio, zdejm trzewik, pokaż nogę tym panom... Trzeba, aby jej dotknęli, aby nikt nie mógł już wątpić.

Wnet ukazała się drobna nóżka, bardzo biała, czyściutka, nawet wypielęgowana, z blizną poniżej kostki, długą blizną, której białawy ślad świadczył, jak ciężka była choroba. Podeszło paru lekarzy, przyjrzeni się w milczeniu. Inni, którzy zapewne mieli już zdanie wyrobione, nie trudzili się. Jeden z tych pierwszych bardzo uprzejmie zapytał, dlaczego Najświętsza Panna, gdy zajęła się małą, nie obdarzyła jej zupełnie nową nogą, co nie sprawiłoby jej większego trudu. Na to doktor Bonamy żywo odpowiedział, że skoro Matka Boża pozostawiła bliznę, widocznie chciała, aby został ślad, dowód cudu. Zagłębił się w szczegóły techniczne, dowodził, że ułamek kości i ciało musiały zostać odtworzone błyskawicznie, czego niepodobna wyjaśnić drogą naturalną.

– Mój Boże – przerwał niski pan o jasnych włosach – nie potrzeba aż tak skomplikowanych dowodów! Byle mi pokazano skaleczony cięciem scyzoryka palec, który wyjęto z wody zabliźniony, cud byłby równie wielki i byłbym zupełnie przekonany. – Po chwili dodał: – Gdybym miał źródło, które w ten sposób goiłoby rany, próbowałbym poruszyć cały świat. Nie wiem, w jaki sposób, ale wezwałbym wszystkie narody i one usłuchałyby mnie. Podałbym tak oczywiste dowody cudu, że zostałbym władcą świata. Proszę tylko pomyśleć o takiej władzy, zaiste boskiej!... Ale to wymagałoby usunięcia wszelkiej wątpliwości, prawda musiałaby być jasna jak słońce. Cały świat widziałby i wierzył.

Wdał się z doktorem w dyskusję na temat środków kontroli. Przyznał, że niepodobna było zbadać wszystkich chorych po ich przybyciu do Lourdes. Ale dlaczego nie zorganizowano w szpitalu specjalnej sali, zastrzeżonej dla ran zewnętrznych? Zebrano by tam co najwyżej trzydzieści przypadków i poddano je uprzedniemu badaniu przez komisję. Sporządzono by protokoły stwierdzające stan rzeczy, a nawet fotografowano rany. Potem, gdy nastąpiłoby wyzdrowienie, komisja tylko by je stwierdzała w nowym protokole. Nie zajmowano by się chorobami wewnętrznymi, których rozpoznanie jest trudne i zawsze może wywołać dyskusję. Chodziłoby tylko o sprawy oczywiste.

Doktor Bonamy, nieco zakłopotany, powtarzał:

– Niewątpliwie, niewątpliwie, my pragniemy tylko światła wiedzy... Trudność leżałaby w zorganizowaniu takiej komisji. Gdyby pan wiedział, jak ciężko dojść do porozumienia!... Ale na pewno to jest myśl słuszna.

W sukurs przyszło mu ukazanie się następnej chorej. Gdy mała Zofia Couteau, już zapomniana, wkładała trzewik, weszła Eliza Rouquet ze swą straszną twarzą potwora, którą ukazała zdejmując chustkę. Od rana przemywała ją mokrym kawałkiem płótna przy studni i twierdziła, że rana jej, tak dotąd zaogniona, zaczynała wysychać i blednąć. Była to prawda, jak stwierdził Piotr, bardzo zdziwiony, rana była mniej ohydna. Dostarczyło to nowego tematu do dyskusji o ranach zewnętrznych, gdyż niski pan o jasnych włosach upierał się przy swoim pomysle urządzenia sali specjalnej: gdyby dziś rano stwierdzono stan tej dziewczyny i gdyby wyzdrowiała, jakież byłoby to tryumf dla Groty: toczeń uleczony! Niepodobna by wówczas nie uznać cudu!

Do tej chwili doktor Chassaingne trzymał się na uboczu, siedział nieruchomo i bez słowa, jak gdyby chciał, aby fakty same przemówiły do Piotra. Nagle pochylił się ku niemu i rzekł półgłosem:

– Rany zewnętrzne, rany zewnętrzne... Ten pan nie wie, że obecnie nasi uczeni lekarze podejrzewają, iż wiele ran jest pochodzenia nerwowego. Tak, odkrywają, że to po prostu wynik wadliwego odżywiania skóry. Sprawy odżywiania są jeszcze tak mało zbadane! I dochodzi się do wniosku, że wiara, która uzdrawia, doskonale może leczyć rany, między innymi pozorne tocznie. A wtedy, pytam, jaką będzie miał pewność ten pan ze swoją sławetną salą ran zewnętrznych! Jeszcze trochę więcej zamieszania i zawziętości w odwiecznym sporze... Nie, nie, nauka jest bezsilna, jest to morze niepewności.

Uśmiechał się boleśnie, a tymczasem doktor Bonamy zachęcał Elizę Rouquet, aby dalej stosowała przemywania i każdego dnia przychodziła się badać. Następnie powtórzył ze swą miną przezorną i uprzejmą:

– W każdym razie, panowie, jest to początek, trudno wątpić!

Nagle w biurze zawrzało. Grivotte weszła, wtargnęła jak wichur, krokiem tanecznym, wołając na cały głos:

– Jestem uzdrowiona!... Jestem uzdrowiona!...

I opowiedziała, jak to jej zrazu nie chciano wykąpać, jak musiała upierać się, błagać, płakać, aby się wreszcie zgodzili, i to dopiero na wyraźne pozwolenie ojca Fourcade. A przecież ona to z góry przewidziała: nie minęło trzy minuty od chwili, gdy ją, całą w potach, z jej suchotniczą chrypką, zanurzono w lodowatej wodzie, a już poczuła, że siły jej wracają, jak gdyby za mocnym uderzeniem bata, którym smagnięto ją przez całe ciało. Była w niej egzaltacja, jakiś płomień; rozpromieniona dreptała, nie mogąc ustać na miejscu.

– Jestem uzdrowiona!... Jestem uzdrowiona!...

Piotr przyglądał się jej zdumiony. Czy to była ta sama dziewczyna, którą ubiegłej nocy widział półżywą na ławce, w wagonie, kaszlącą i plującą krwią, z ziemistą twarzą? Nie mógł jej teraz poznać, tak była prosta, smukła, policzki miała płonące, oczy pełne blasku, ponosiła ją wola i radość życia.

– Panowie – oznajmił doktor Bonamy – przypadek wydaje mi się ogromnie interesujący... zobaczmy...

Poprosił o akta Grivotte. Ale wśród stosu szpargałów na dwóch stołach nie można ich było znaleźć. Sekretarze, dwaj młodzi klerycy, przetrząsnęli wszystko; zarządca sadzawek, siedzący pośrodku, musiał wstać i zajrzeć na półkę. W końcu, gdy wrócił na miejsce, znalazł te akta pod rejestrem, który miał rozłożony przed sobą. Zawierały one aż trzy zaświadczenia lekarskie, które odczytał osobiście. Wszystkie trzy stwierdzały daleko posunięte suchoty, skomplikowane i powikłane przez dolegliwości nerwowe.

Doktor Bonamy wykonał gest dający do zrozumienia, że taki zespół dokumentów nie może pozostawiać wątpliwości. Następnie dokładnie opukał chorą, mrużąc przy tym:

– Mc nie słyszę... Nic nie słyszę... – Poprawił się: – Albo prawie nic

Następnie zwrócił się do dwudziestu pięciu czy trzydziestu lekarzy, którzy zachowywali milczenie.

– Panowie, gdyby paru spośród was zechciało się podzielić ze mną swoimi wiadomościami... Jesteśmy tu, aby uczyć się i dyskutować.

Zrazu nikt się nie ruszył. Później jeden zebrał się na odwagę. Opukał młodą kobietę, ale nie wypowiedział swego zdania, namyślał się, z zakłopotaniem kiwał głową. W końcu wyjąkał, że jeśli chodzi o niego, uważa, iż należy zająć stanowisko wyczekujące. Ale zaraz miejsce jego zajął inny – i ten okazał się bardziej zdecydowany: nie słyszał nic, ta kobieta nigdy nie była suchotnicą. Za jego przykładem poszli inni, wreszcie uczynili to wszyscy, z wyjątkiem pięciu czy sześciu, którzy zachowali postawę powściągliwą i sprytny uśmieszek. Wkrótce zamieszanie doszło do szczytu, bo każdy wypowiadał swoje zdanie, tak że w gwarze głosów nikt nawet samego siebie nie słyszał. Jedynie ojciec Dargelès okazywał spokój absolutnej pogody ducha, zwęszył bowiem jeden z tych wypadków, które budzą namiętności i przyczyniają chwały Matce Boskiej z Lourdes. Już w rogu stołu robił notatki. Piotr i doktor Chassaigne, siedząc na uboczu, mogli w tym rozgwarze rozmawiać przez nikogo nie słyszani.

– Och, te łazienki, które dziś widziałem – rzekł młody książdz – te łazienki, w których tak rzadko zmienia się wodę! Jakież brud, istna zupa z mikrobów!... Mania, istny szal stosowania środków antyseptycznych, któremu teraz ulegamy, otrzymuje tu mocny cios. Jakim sposobem jakaś ogólna epidemia nie zaraża wszystkich tych chorych? Przeciwnicy teorii mikrobowej muszą się tym dobrze bawić!

Doktor mu przerwał:

– Ależ nie, mój drogi... Mimo że kąpiele nie są całkiem czyste, nie stanowią one żadnego niebezpieczeństwa. Zauważ, że woda nie dochodzi do temperatury ponad dziesięć stopni, a trzeba dwudziestu pięciu stopni, aby zarazki mogły się rozwijać. A poza tym chorzy na choroby zakaźne nie przyjeżdżają wcale do Lourdes, to znaczy chorzy na cholere, tyfus, ospę, odrę czy szkarlatynę. Spotykamy tutaj tylko pewne choroby organiczne, paraliże, skrofuły, guzy, owrzodzenia, ropnie raka, suchoty; a tej ostatniej choroby nie można nabyć za pośrednictwem wody w kąpielu. Stare rany, które się tam zanurza, i same niczego się nie boją, i nikomu nie grożą zakażeniem... Zapewniam cię, że w tej sprawie Najświętsza Panna nie ma wcale potrzeby interweniować.

– A więc, doktorze, niegdyś, w swojej praktyce, pozwoliby pan kąpać wszystkich swoich chorych w lodowatej wodzie, kobiety w każdym dniu miesiąca, reumatyków, chorych na serce, gruźlików?... Czy pozwoliby pan wykąpać tę nieszczęsną dziewczynę, na wpół martwą, całą w potach?

– Oczywiście, że nie!... Są środki heroiczne, których na ogół nie ważymy się stosować. Lodowata kąpiel na pewno może zabić suchotnika, ale nie wiemy, czy w pewnych okolicznościach nie może go również uratować... Ja, który w końcu uznałem, że tutaj działa siła nadnaturalna, chętnie przyznaję, że uzdrowienia dokonują się chyba drogą naturalną, dzięki temu zanurzeniu w zimnej wodzie, które nam wydaje się głupie i barbarzyńskie... Ach, wielu rzeczy nie wiemy, o wielu rzeczach nie mamy pojęcia...

Znowu ogarniał go gniew, ogarniała nienawiść do wiedzy, którą gardził od czasu, gdy porzuciła go, zbłąkanego i bezsilnego wobec agonii żony i córki.

– Jeżeli żądasz pewników, medycyna ci ich nie da... Posłuchaj przez chwilę tych panów, i będziesz zbudowany. Czyż nie piękny jest ten absolutny chaos, w którym zwalczają się najrozmaitsze opinie? Oczywiście, są choroby znane już doskonale, aż do najdrobniejszych faz ich ewolucji; są leki, których działanie wystudiuowano z największym staraniem; ale nie wiemy i wiedzieć nie możemy, jaka jest zależność między lekiem a chorym, gdyż ilu chorych, tyle przypadków, i za każdym razem doświadczenie zaczyna się od nowa. Oto dlaczego medycyna pozostaje sztuką: nie może ona podlegać rygorom doświadczalnym; wyzdrowienie zawsze zależy od szczęśliwego zbiegu okoliczności, od pomysłowości i talentu lekarza... Toteż rozumiesz, że ludzie, którzy tutaj przychodzą dyskutować, budzą we mnie śmiech, gdy przemawiają w imię absolutnych praw nauki. Gdzie są te prawa w medycynie? Proszę mi je wskazać!

Chciał na tym skończyć. Ale dał się ponieść uczuciu.

– Mówiłem ci, że powróciłem do wiary... Ale doskonale rozumiem, że ten zacny doktor Bonamy wcale się nie przejmuje i zwołuje lekarzy z całego świata, aby studiowali jego cuda. Im więcej zbiegnie się lekarzy, tym dalej będą od prawdy w tej bitwie diagnoz i metod leczenia.

Jeżeli ludzie nie mogą się zgodzić co do rany zewnętrznej, nie porozumieją się również w sprawie schorzeń wewnętrznych; jedni stwierdzają, drudzy im zaprzeczają. A dlaczego odtąd wszystko nie miałooby być cudem? W gruncie rzeczy bowiem, czy działa natura, czy siła nadprzyrodzona, lekarze i tak najczęściej stają zdziwieni wobec wyników, które bardzo rzadko udaje się im przewidzieć... Niewątpliwie, organizacja jest tutaj bardzo zła. Świadczenia jakichś nieznanych lekarzy nie mają żadnej istotnej wartości. Należałoby przeprowadzić bardzo surową kontrolę dokumentów. Ale nawet zakładając absolutny rygor naukowy, byłbyś naiwny, mój drogi, sądząc, że prawda stanie się niewątpliwa dla wszystkich. Błąd tkwi w człowieku i heroicznym trudem, zaiste, jest ustalenie najdrobniejszej choćby prawdy.

Teras Piotr zaczął rozumieć, co się działo w Lourdes, zaczął pojmować niezwykle widowisko, na które ludzkość patrzyła od lat – jedni ze zbożnym uwielbieniem, drudzy z urągliwym śmiechem. Oczywiście, działały tutaj siły mało jeszcze, a nawet wcale nie znane: autosugestia, długo przygotowywany wstrząs, nastrój podróży, modlitwy i pieśni, wzrastająca egzaltacja, a zwłaszcza uzdrawiający powiew, nieznana potęga emanująca z tłumów, mocny przypływ wiary. Toteż w tej chwili niezbyt mądre wydało mu się mniemanie, że tkwi w tym. jakieś oszustwo. Fakty stały na znacznie wyższym poziomie i były znacznie prostsze. Ojcowie z Groty nie musieli obciążać sobie sumienia kłamstwami, wystarczyło, że sprzyjali zamieszaniu, że korzystali z powszechnej ignorancji. Można było nawet przypuścić, że wszyscy tu działali szczerze: i nieudolni lekarze wystawiający świadectwa, i pocieszeni chorzy, którzy uważali się za wyleczonych, i roznamiętnieni świadkowie, którzy przysięgali, że widzieli. Wobec tego wszystkiego oczywistą niemożliwością było dowieść, że cud był albo go nie było. A czy od tej chwili cud nie stawał się rzeczywistością dla większości ludzi, dla tych wszystkich, którzy cierpieli i którym potrzebna była nadzieja?

Gdy doktor Bonamy widząc, że rozmawiają na uboczu, podszedł do nich, Piotr go zapytał:

– Ile zdarza się wypadków uzdrowienia?

– Około dziesięć procent – odrzekł Bonamy. Następnie, widząc zdziwienie w oczach młodego księdza, dodał z doskonałą dobroduszością: – Och, uzyskiwalibyśmy więcej... Ale trzeba jasno powiedzieć, że ja jestem tutaj po to, aby niejako sprawować nad cudami dozór policyjny. Moją istotną funkcją jest hamować zbyt wielką gorliwość, nie dopuszczać, aby ośmieszano rzeczy święte... Mówiąc ogólnie, moje biuro jest urzędem przyznającym wizę, gdy stwierdzone uleczenia wydają się poważne.

Przerwało mu głuche pomrukiwanie. To Raboin wyrażał niezadowolenie.

– Stwierdzone uleczenia, stwierdzone uleczenia... Po co to? Cuda dzieją się ciągle... Ludziom wierzącym niepotrzebne jest stwierdzanie. Ich rzeczą jest skłonić głowę i wierzyć. A na co potrzebne jest niedowiarkom? Nic ich nigdy nie przekona. To, co robimy tutaj, to są głupstwa. Doktor Bonamy surowo rozkazał mu zamilknąć.

– Raboin, jest pan buntownikiem... Powiem ojcu Capdebarthe, że nie życzę sobie pana tutaj, gdyż sieje pan ferment.

A jednak ten szczerzący zęby Raboin, zawsze gotów kąsać, gdy atakowano jego wiarę, miał słuszność, i Piotr spojrział na niego z sympatią. Cała praca biura stwierdzeń, w dodatku bardzo źle zorganizowana, była istotnie bezużyteczna; raniła ludzi wierzących, a nie przekonywała niedowiarków. Czyż można dowieść cudu? W cud trzeba wierzyć. Nie ma co rozumieć, z chwilą gdy wkracza Bóg. W wiekach prawdziwej wiary nauka nie próbowała wytłumaczyć Boga. Cóż więc miała tutaj do roboty? Stawała wierze na przeszkodzie i sama się pomniejszała. Nie, nie – rzucić się na kolana, całować ziemię i wierzyć. Albo stąd odejść. Żaden kompromis nie był tu możliwy. Z chwilą gdy zaczynało się badanie, nie mogło się już zatrzymać w pół drogi, musiało niechybnie prowadzić do zwątpienia.

Ale Piotrowi największą przykrość sprawiały dziwaczne rozmowy, które tutaj słyszał. Wierzący, zebrani w tej sali, mówili o cudach z niesłychaną swobodą i spokojem. Zdumiewające fakty nie mąciły ich doskonałej pogody umysłu. Jeszcze jeden cud, jeszcze jeden cud! I opowiadali szaleńcze wymysły ze spokojnym uśmiechem, a rozsądek ich nie podnosił żadnych sprzeciwów. Widocznie żyli w takiej atmosferze wizjonerskiej gorączki, że nic już ich nie dziwiło. I nie byli to tylko prostacy. kowie, ludzie naiwni, nieoświeceni, ulegający halucynacjom jak Raboin; byli tam bowiem intelektualiści, uczeni, doktor Bonamy inni. Było to niepojęte. Piotr czuł w sobie narastające niezadowolenie, głuchy gniew, który mógł wreszcie wybuchnąć. Umysł jego walczył jak słaba istota wrzucona do wody, którą fala ze wszystkich stron chwyta i zalewa; i myślał, że umysły takie jak doktor Chassaigne na przykład, zanim utoną w ślepej wierze, muszą wpierrw przeżyć taką rozterkę i taką walkę, nim pogrążą się ostatecznie.

Spojrział na niego i zobaczył człowieka niezmiernie smutnego, zmiażdżonego przez los, słabego jak dziecko, które płacze, bo zostało samotne na świecie. Pomimo to Piotr nie umiał powstrzymać krzyku protestu, który cisnął mu się na usta. – Nie, nie! Chociaż nie wiemy wszystkiego, chociaż nawet nigdy nie będziemy wiedzieć wszystkiego, nie jest to argumentem, abyśmy przestali się uczyć. Źle jest, że nieznanne ciągnie zyski z tego, czego jeszcze nie wiemy. Przeciwnie, naszą wieczystą nadzieją powinno być, że pewnego dnia poznamy to, co nieznanne. I nie może istnieć dla nas żaden ideał poza tyra dążeniem ku nieznanemu, aby je poznać, poza tym powolnym zwycięstwem rozumu wbrew słabości naszego ciała i naszej inteligencji... Ach, ludzki rozum! On jest powodem mojego ‘cierpienia, ale od niego także oczekuję wielkiej siły. Gdy on ginie, ginie cała istota. Choćby trzeba za to zapłacić szczęściem, gorąco pragnę zaspokajać to pragnienie coraz doskonalej.

Łzy ukazały się w oczach doktora Chassaigne. Zapewne myślał o swoich ukochanych zmarłych. Z kolei on szepnął:

– Rozum, rozum, tak, zapewne, jest to wielka duma, sama godność życia... ale jest jeszcze

miłość, która stanowi wszechmocną potęgę życia, jedyne dobro warte odzyskania, jeśli się ije utraciło...

Głos mu się załamał w zduszonym łkaniu. A ponieważ przerzucał machinalnie pliki akt na stole, znalazł teczkę, na której wielkimi literami wypisane było nazwisko Marii de Guersaint. Otworzył ją, przeczytał świadectwa dwóch lekarzy stwierdzających zanik szpiku kostnego, i rzekł:

– Mój drogi, o ile wiem, jesteś szczerze przywiązany do panny de Guersaint... Cóż byś powiedział, gdyby ona tu wyzdrowiała? Widzę tu świadectwa podpisane przez ludzi o szanownych nazwiskach, a wiadomo ci, że zaburzenia tego rodzaju są nieuleczalne... A jeżeli ta młoda osoba nagle zacznie chodzić i biegać ‘jak tyle innych, które tu widziałem, czy nie będziesz bardzo szczęśliwy, czy nie uwierzysz w końcu w interwencję Siły nadnaturalnej?

Piotr miał odpowiedzieć, gdy przypomniał sobie diagnozę, jaką postawił jego kuzyn Beauclair, przepowiedziany przez niego nagły cud, jak gdyby przebudzenie, poryw całej istoty; uczuł, jak rośnie jego wewnętrzna rozterka, więc poprzestał tylko na słowach:

– Istotnie, byłbym ogromnie szczęśliwy... I myślę jak pan: niewątpliwie całe to miotanie się ludzkie jest wołą szczęścia. Ale nie mógł już tu dłużej zostać. Upał był taki, że pot strumieniami spływał po twarzach. Doktor Bonamy dyktował jednemu z kleryków wyniki badania Grivotte; a tymczasem ojciec Dargelès, czuwający nad stylizacją dokumentów, podnosił się czasem i szeptał mu do ucha, jak należałoby przeredagować jakieś zdanie. Zresztą gwar wokoło nich nie ustawał, dyskusja lekarzy schodziła na inne tory, dotyczyła teraz danych technicznych, zupełnie obojętnych w szczególnym przypadku, jakim się właśnie zajmowali. Nie było już czym oddychać wśród drewnianych ścian, mdłości ogarniały ciała i umysły. Niski jasnowłosy pan, wpływowy pisarz z Paryża, odszedł niezadowolony, że nie zobaczył żadnego prawdziwego cudu.

Piotr rzekł do doktora Chassaigne:

– Wyjdźmy, bo robi mi się słabo.

Wyszli równocześnie z Grivotte, którą właśnie odprawiono. I natychmiast w drzwiach wpadli w tłum, który tłoczył się i cisnął, aby zobaczyć cudownie uzdrowioną. Wieść o cudzie już się rozeszła, więc do kogo tylko zbliżyła się wybranka Niebios, każdy ją wypytywał, chciał jej dotknąć. Ona zaś, z purpurowymi – policzkami, z płonącymi oczyma, jedno tylko powtarzała z uszczęśliwioną miną:

– Jestem uzdrowiona!... Jestem uzdrowiona!...

Krzyki zagłuszały jej słowa, zatopiła ją, porwała ludzka fala. Na chwilę stracili ją z oczu, jakby zatoneła; potem ukazała się nagle tuż koło Piotra i doktora, którzy starali się wydostać. Natknęli się teraz na Komandora, którego manią było także chodzić do łazienek i do Groty

i dawać tam upust złości. Opięty po wojskowemu w surduty, opierał się na lasce ze srebrną gałką, powłócząc nieco lewą nogą, którą pozostałości paraliżu po drugim ataku uczyniły nieco sztywną. Twarz mu poczerwieniała, oczy zapłonęły z gniewu, kiedy Grivotte potrąciła go w przejściu, powtarzając wśród nieokiełznanego entuzjazmu tłumu:

– Jestem uzdrowiona!... Jestem uzdrowiona!...

– A więc – krzyknął ogarnięty nagłą furią – tym gorzej dla ciebie, moja panno!

Ludzie zakrzyknęli, roześmiali się, bo go znali i wybaczała mu jego namiętną, prześladowczą myśl o śmierci. Gdy jednak zaczął bełkotać, że litość go bierze, gdy ktoś nie mający ani urody, ani majątku chce żyć, i że ta dziewczyna powinna wybrać raczej natychmiastową śmierć niż dalsze cierpienia, zaczęto szemrać wokół niego i dopiero ksiądz Judaine, który właśnie przechodził, przyszedł mu z pomocą. Odprowadził go na bok.

– Niechże pan będzie cicho! Toż to zgorszenie... Dlaczego buntuje się pan przeciw dobroci Boga, który czasem wybawia nas z niedoli i zsyła nam ulgę?... Powtarzam, winien pan sam upaść na kolana i błagać Stwórcę, aby powrócił panu władzę w nodze, aby pozwolił panu żyć jeszcze dziesięć lat.

Wówczas Komandora o mało nie zadławiło.

– Ja? Ja prosić o dziesięć lat życia, gdy najpiękniejszy będzie dla mnie ten dzień, kiedy odejdę! Stać się tak marnym, tak tchórzliwym jak te tysiące chorych, które się tutaj tłoczą w podłym strachu przed śmiercią i wykrzykują o swojej słabości,

o swojej nie wyznanej żądzy życia? O nie, nazbyt bym sobą pogardzał... Wolę zdechnąć, i to zaraz; jak dobrze będzie już nie żyć!

Znalazł się znowu koło doktora Chassaigne i Piotra, wreszcie poza ciżbą pielgrzymów, na brzegu Gave. I zwrócił się do doktora, którego często spotykał.

– Czy to prawda, że niedawno próbowali tu wskrzesić umarłego? Powiedziano mi o tym, i o mało nie zemdlałem... Czy pan to rozumie, doktorze? Człowieka spotkało podobne szczęście, a oni ośmielili się kąpać go w tej swojej wodzie, żywiąc zbrodniczą nadzieję, że przywołają go do życia! Ależ gdyby się im to udało, gdyby ta ich woda była go wskrzesiła, bo na tym dziwnym świecie nigdy nic nie wiadomo, czy nie uważa pan, że ten człowiek miałby prawo wypluć cały swój gniew w twarz tym poprawiaczom trupów?... Czy ten zmarły prosił ich, aby go przywoływali do życia? Skąd wiedzą, że on nie jest zadowolony z tego, że umarł? Należy w takim wypadku zapytać człowieka o zdanie! Czy wyobraża pan sobie, co by się stało, gdyby iaki podły kawał urządził mnie, kiedy zasną wreszcie ogromnym, dobrym snem? Ależ bym ich potraktował! Nie wtrącajcie się do cudzych spraw! I co prędzej umarłbym z powrotem!

Był tak dziwny w swoim uniesieniu, że ksiądz Judaine

i doktor nie mogli powstrzymać uśmiechu. Ale Piotr zachował powagę, przebiegł go silny, mroźny dreszcz. Czyż nie były to rozpaczliwe złorzeczenia Łazarza? Często wyobrażał sobie, iż

Łazarz wyszedłszy z grobu wołał do Jezusa: „O Panie, czemuś mnie obudził do tego ohydneho życia? Spałem tak słodko wiecznym snem bez snów, kosztowałem wreszcie miłego spoczynku w rozkoszach nicości. Poznałem wszelkie nędze i wszelkie bóle, zdrady, fałszywe nadzieje, klęski, choroby, spłaciłem cierpieniu straszliwy dług żyjącego, gdyż urodziłem się nie wiedząc, po co żyłem, nie wiedząc jak; i oto, Panie, każesz mi płacić po raz drugi, skazujesz mnie, abym znowu rozpoczął moją kaźń!... Czyż popełniłem jakiś niemożliwy do odpokutowania grzech, za który karzesz mnie tak okrutnie? Wrócić do życia, niestety, czuć, że każdego dnia umieram po trochu w swoim ciele, używać rozumu tylko po to, aby wątpić, woli, aby nic nie móc, wrażliwości, aby opłakiwać swe utrapienia! I już się to skończyło, uczyniłem ten tak przerażający krok do śmierci. minęła ta ohydna chwila, która wystarcza, aby zatruć całą egzystencję. Czułem, jak oblewa mnie pot konania, jak krew odpływa mi z członków, jak braknie mi tchu ulatującego z ostatnią czkawką. Chcesz zatem, abym dwa razy zaznał tej rozpacz, chcesz, abym umierał dwukrotnie i aby ludzka moja nędza przewyższała wszelką nędzę ludzką? Ach, Panie, więc niechże się to stanie zaraz! Tak, zaklinam, cię, uczyn ten (drugi wielki cud, połóż mnie znowu w grobie, uśpij mnie bez cierpień moim wiecznym, nieprzerwanym snem! Zmiłuj się, nie skazuj mnie na mękę powrotu do życia, tę straszliwą mękę, na jaką nie ośmieliłeś się jeszcze skazać żadnej istoty. Miłowałem cię zawsze i służyłem ci, nie czyni ze mnie największego przykładu twojego gniewu, który przerażałby przyszłe pokolenia! Okaż dobroć i łagodność, Panie, oddaj mi sen, na który uczciwie zasłużyłem, uśpij mnie znowu w słodczy twojej nicości!”

Tymczasem ksiądz Judaine zabrał z sobą Komandora, którego udało mu się w końcu ułagodzić; Piotr uściśnął rękę doktora Chassaigne, uświadomił sobie bowiem, że jest już po piątej i że Maria zapewne na niego czeka. W powrotnej drodze do Groty spotkał jeszcze księdza Des Hermoises zatopionego w rozmowie z panem de Guersaint, który teraz dopiero opuścił hotelowy pokój, pokrzepiony mocnym snem. Obaj podziwiali niezwykłą piękność, jaką żarliwość wiary obdarzała niektóre kobiece twarze. Omawiali również plan wycieczki do kotliny Gavarnie.

Zresztą pan de Guersaint, gdy tylko usłyszał, że Marii pierwsza kąpiel nie przyniosła żadnej poprawy, poszedł natychmiast za Piotrem. Zastali dziewczynę pogrążoną, w tym samym bolesnym osłupieniu, z oczyma wciąż utkwionymi w Najświętszą Pannę, która jej nie wysłuchiwała. Nie odpowiedziała na czule słowa, z jakimi zwrócił się do niej ojciec, spojrzała tylko na niego wielkimi, zrozpaczonymi oczyma, a potem znów obróciła je na marmurowy posąg, śnieżnobiały w płomieniach świec. Piotr stał i czekał, aby odwieźć ją do szpitala, zaś pan de Guersaint nabożnie ukląkł. Naprzód modlił się gorąco o uzdrowienie córki. Następnie prosił dla siebie o łaskę znalezienia cichego współnika, który wyłożyłby milion, konieczny na przeprowadzenie studiów nad sterowaniem balonów.

V

Około jedenastej wieczór Piotr zostawił pana de Guersaint w jego pokoju w hotelu „Objawień”, sam zaś postanowił wrócić na chwilę do Szpitala Matki Boskiej Bolesnej, zanim się sam położy. Zostawił Marię tak zrozpaczoną, pogrążoną w tak zaciętym milczeniu, że czuł wielki niepokój. Kiedy stanął u drzwi sali Świętej Honoryny i zapytał o Marię panią de Jonquère, zaniepokoił się jeszcze bardziej, gdyż nowiny nie były pomyślne: kierowniczka powiedziała mu, że dziewczyna dotąd nie odezwała się ani słowem, że nie odpowiadała na pytania i nie chciała nawet nic jeść. Dlatego to koniecznie domagała się, aby Piotr wszedł do środka. Mężczyźni nie mieli o tej porze wstępu do sal kobiecych, ale ksiądz nie jest mężczyzną.

– Zaprzyjaźniona jest tylko z księdzem i tylko księdza wysłucha. Proszę wejść, usiąść przy jej łóżku i poczekać na księdza Judaine. Powinien nadejść około pierwszej w nocy, aby udzielić komunii najciężej chorym, tym, które nie mogą się ruszać i które dostają posiłek wczesnym rankiem. Będzie mu ksiądz asystował. Piotr poszedł za panią de Jonquère, ona zaś wskazała mu miejsce u wezłowania Marii.

– Drogie dziecko, przyprowadzam pani kogoś, kto bardzo panią kocha... Będzie pani rozmawiać i okaże się rozsądną, prawda?

Ale chora, poznawszy Piotra, popatrzyła na niego z wyrazem rozpaczliwego cierpienia, z twarzą pociemniałą i stwardniałą od buntu.

– Może pani chce, aby ksiądz poczytał pani, jak w pociągu, jedną z tych pięknych książek, które przynoszą pociechę?... Nie? Nie zajmie to pani, nie ma pani ochoty? No, to zobaczymy później... Zostawiam księdza tutaj. Jestem pewna, że za chwilę wszystko już zmieni się na lepsze.

Na próżno Piotr przemawiał do Marii cichym głosem, mówił jej wszystkie dobre i czułe słowa, jakie mogła jego miłość znaleźć, i błagał ją, aby się tak nie poddawała rozpacz. Najświętsza Panna nie uzdrowiła jej pierwszego dnia, gdyż zachowuje ją na jakiś wspaniały cud. Ale Maria odwróciła głowę, zdawała się nawet go nie słuchać, z gorzkim i gwałtownym grymasem ust, z rozdrażnionym, utkwionym w próżni wejrzeniem. Musiał zamilknąć i spojrzeć wokoło, na salę.

Widok był straszny. Nigdy serce nie targnęło się w nim takim skurczem litości i zgrozy. Było już dawno po obiedzie; porcje jedzenia, przyniesione z kuchni, stały jeszcze na pościeli; i aż do świtu jedne chore jadły, inne jęczały błagając, aby je odwrócić na drugi bok lub podać im nocnik. W miarę jak czas upływał, niemal wszystkie zaczynały lekko majaczyć. Niektóre tylko spały spokojnie, kilka rozebranych, pod kocami, ale w większości po prostu wyciągnięte na łóżku, gdyż tak trudno było je rozebrać, że przez pięć dni pielgrzymki nawet nie zmieniały bielizny. Tłok na tej sali, pogrążonej w półmroku, zdawał się teraz jeszcze większy; piętnaście łóżek ustawionych wzdłuż sali, siedem materaców wypełniających przejście środkowe, jeszcze inne

materace, świeżo dodane, spiętrzenie łańców trudnych do określenia, wśród których tonęły pakunki, stare kosze, skrzynki, walizy. Nie było gdzie stopy postawić. Dwie kopzące lampy skąpo oświetlały to obozowisko umierających, a powietrze było po prostu straszliwe mimo dwu uchylonych okien, którymi wchodził tylko ciężki upał sierpniowej nocy. Snuły się cienie i dobiegały koszmarnie okrzyki, zaludniając to piekło wśród nocnej agonii tylu cierpień.

Piotr mimo półmroku dojrzał Rajmundę, która skończywszy dyżur zapragnęła uścisnąć matkę, zanim pójdzie położyć się na górze, w jednej z mansard przeznaczonych dla pielęgniarek. Pani de Jonquière, która bardzo serio traktowała swoją funkcję kierowniczką, nie spała już trzecią noc. Oczywiście miała fotel, gdzie mogła się wyciągnąć, ale zaledwie w nim usiadła, zaraz ktoś ją wzywał. dzielnie jej sekundowała mała pani Desagneaux, przejawiająca tak wielką gorliwość, że siostra Hiacynta rzekła do niej z uśmiechem: „Dlaczego nie zostanie pani zakonnica?” Ona zaś odpowiedziała zaskoczona i przestraszona: „Nie mogłabym, jestem zamężna i uwielbiam mego męża.” Pani Volmar nie pokazała się. Mówiono, że położyła się, bo miała straszną migrenę, na co pani Desagneaux zrobiła uwagę, że nie należy zgłaszać się do pielęgnowania chorych, jeżeli samemu nie jest się dość silnym. Ona sama miała ręce i nogi jak połamane, ale nie chciała się do tego przyznawać i biegła na najcichszą skargę, zawsze gotowa śpieszyć z pomocą. Ona, która w swoich paryskich apartamentach raczej zadzwoniłaby na służącego, niż sama przestawiła świecznik, nosiła teraz nocniki i miednice, opróżniała baseny, dźwigała chorych, aby pani de Jonquière mogła wsunąć im pod plecy poduszkę. Ale o jedenastej czuła się jak pogruchotana. Była na tyle nieostrożna, że wyciągnęła się na chwilę w fotelu, a wtedy zasnęła natychmiast, z ładną główką opadłą na jedno ramię, wśród rozrzuconych, prześlicznych blond włosów. I ani skargi, ani wezwania, zaden hałas nie zdołał już jej przebudzić.

Pani de Jonquière cicho zbliżyła się i powiedziała do młodego księdza:

– Posłałam już po pana Ferrand, tego medyka, który nam towarzyszy; dałby może tej biednej pannie de Guersaint coś na uspokojenie. Ale jest zajęty na dole, w sali małżeństw, przy bracie Izydorze. A poza tym nie leczymy tutaj, jesteśmy tylko po to, aby oddać naszych chorych w ręce Najświętszej Panny.

Podeszła do nich siostra Hiacynta, która czuwała przez noc wraz z kierowniczką. – Wracam z sali małżeństw, bo przyrzekłam zanieść pomarańcze panu Sabatier, i widziałam się z panem Ferrand, który był przy bracie Izydorze... Czy mam znów pójść po niego?

Ale Piotr się sprzeciwił.

– Nie, nie, Maria zaraz się uspokoi. Poczytam jej trochę z tej pięknej książki, to jej dobrze zrobi.

Maria dalej leżała niema, oporna. Jedna z dwóch lamp była blisko przy ścianie, toteż Piotr widział bardzo wyraźnie drobną, nieruchomą twarz dziewczyny. Na prawo, na sąsiednim łóżku, dostrzegł głowę Elizy Rouquet, głęboko uspionej, bez chustki, z odkrytą twarzą potwora, na

której straszliwa rana wciąż jednak bladła. Po lewej stronie leżała pani Vetu, osłabła, skazana; nie mogła usnąć, wstrząsana nieprzerwanym dreszczem. Powiedział do niej parę życzliwych słów. Podziękowała mu, dodając słabym głosem:

– Było dzisiaj wiele uzdrowień, ogromnie się tym ucieszyłam. Istotnie Grivotte, leżąc na materacu u stóp tego samego

łożka, wciąż się podnosiła w gorączce niezwyklego podniecenia, aby każdemu, kto przechodził, powtórzyć swoje zdanie:

– Jestem uzdrowiona... Jestem uzdrowiona...

I opowiadała, że zjadła pół kurczęcia, ona, która od pół roku nic prawie do ust nie brała. Następnie przez blisko dwie godziny szła pieszo za procesją z pochodniami. Na pewno byłyby tańczyła do rana, gdyby Matka Boska wydawała bal.

– Jestem uzdrowiona, ach, uzdrowiona, zupełnie uzdrowiona! Wówczas pani Vetu, z dziecięcą pogodą, z uśmiechniętym

i doskonałym wyrzeczeniem, zdołała jeszcze powiedzieć:

– Najświętsza Panna słusznie uczyniła uzdrawiając ją, taką biedną! Jest to dla mnie większa radość, niż gdyby uzdrowiła mnie, bo ja mam nieduży zakład zegarmistrzowski i mogę poczekać... Na każdego przyjdzie kolej, na każdego...

Prawie wszystkie przejawiały takie miłosierdzie, taką niewiarygodną radość z cudzego wyzdrowienia. Rzadko kiedy bywały zazdrosne; ulegały jakiejś szczęśliwej epidemii, zaraźliwej nadziei, że będą uzdrowione jutro, jeśli tak zechce Najświętsza Panna. Nie trzeba się jej naprzykrzać, okazywać nadmierną niecierpliwość. Ona z pewnością ma swoje plany i dobrze wie, dlaczego zaczyna nie od tej, lecz od tamtej. Toteż osoby najczęściej chore modliły się za swoje sąsiadki, w braterstwie cierpienia i nadziei. Każdy nowy cud był zapowiedzią następnego. Wiara ich, odradzająca się nieustannie, była niezachwiana. Opowiadano historię pewnej folwarcznej dziewczyny, paralityczki, która z niezwykłą siłą woli poszła do Groty; następnie w szpitalu kazała się zanieść na dół, bo chciała pójść pieszo do stóp Matki Boskiej z Lourdes; ale w połowie drogi zachwiała się, zadyszana i posiniała; i sprowadzona na noszach, umarła uzdrowiona, jak mówiły jej sąsiadki z sali. Na każdego przyjdzie kolej. Najświętsza Panna nie zapomina o żadnej ze swoich ukochanych córek, chyba że zamiarem jej jest od razu wziąć do raju którąś wybranekę.

W chwili gdy Piotr pochylił się nad Marią, raz jeszcze proponując, że jej poczyta, ona wybuchnęła nagle szalonym łkaniem. Opuściła głowę na ramię przyjaciela, wypowiadała swój gniew głosem niskim, strasznym, wśród niepewnych cieni, tej przerażającej sali. Była to niezwykła u niej utrata wiary, nagły zanik odwagi, wielki bunt istoty cierpiącej, która nie umie już dłużej czekać. Nie powstrzymała się nawet przed bluźnierstwem.

– Nie, nie, ona jest zła, jest niesprawiedliwa! Byłam taka pewna, że wysłucha mnie dzisiaj, i tak się modliłam! Ja nigdy nie wyzdrowieję, skoro minął ten pierwszy dzień! To była sobota,

wierzyłam, że ona uzdrowi mnie w sobotę... Och, Piotrze, nie chcę już mówić, nie pozwól mi mówić, bo serce mam zbyt wezbrane i powiem za dużo!

W pośpiechu objął jej szyję braterskim uściskiem, pragnąc zagłuszyć ten krzyk buntu.

– Mario, zamilcz! Me trzeba, aby cię słyszano... Ty, tak pobożna! Czyż chcesz zgorszyć wszystkie te biedne dusze?

Ale ona, mimo wysiłków, nie mogła milczeć.

– Udusiłabym się, muszę mówić... Nie kocham jej już, nie wierzę w nią. To, co tutaj opowiadają, to wszystko kłamstwo: nie ma nic, ona wcale nie istnieje, bo ona nie słyszy, gdy ją wzywamy i gdy płaczymy! Gdybyś wiedział, co ja jej mówiłam!... To już koniec, Piotrze, ja chcę natychmiast stąd odejść. Zabierz mnie, zabierz, niech to konanie skończy się na ulicy, gdzie przynajmniej przechodnie ulitują się nad moimi cierpieniami!

Wyczerpana, opadła na plecy, mówiła z trudem, bezbronna jak dziecko.

– A zresztą nikt mnie już nie kocha! Nawet mego ojca tam nie było. Ty, mój biedny przyjacielu, opuściłeś mnie. Gdy zobaczyłam, że kto inny wiezie mnie do szpitala, uczułam wielkie zimno w sercu. Ach, to zimno zwątpienia, jakiego często doznawałam w Paryżu... I nie ma wątpliwości: dlatego że zwątpiłam, ona nie uzdrowiła mnie. Modliłam się źle, nie byłam dość uświęcona...

Nie bluźniła już, szukała usprawiedliwień dla Nieba. Ale twarz jej zachowała wyraz gwałtowności w tej walce przeciw wyższej potędze, tak kochanej i tak błaganej, która jej nie wysłuchiwała. Gdy czasami zdarzył się na sali taki atak gniewu, gdy wybuchały na łózkach bunt, rozpacz i szloch, a nawet przekleństwa, pielęgniarki i zakonnice, trochę przerażone, poprzestawały na zaciągnięciu firanek. Łaska boża opuszczała duszę, trzeba było czekać na jej powrót. I wszystko uspokajało się, zamierało po paru godzinach wśród wielkiego, żalosego milczenia.

– Uspokój się, uspokój się, zaklinam cię – mówił łagodnie Piotr do Marii, widząc, że chwyta ją nowy atak, atak zwątpienia o siebie, lęku, że nie jest już godna.

Znowu podeszła do nich siostra Hiacynta.

– Nie będzie pani mogła przystąpić do komunii, drogie dziecko, jeżeli się pani nie uspokoi... Skoro upoważniamy księdza, aby pani poczytał, czemu pani nie chce się na to zgodzić?

Maria zrobiła bezsilny ruch wyrażający zgodę, więc Piotr szybko wyjął z jej walizki, stojącej w nogach łóżka, małą książeczkę w niebieskiej oprawie, gdzie naiwnie opowiedziana była historia Bernadety. Ale – podobnie jak zeszłej nocy w jadącym pociągu – nie trzymał się zubożonego tekstu broszury, lecz improwizował, a tymczasem tkwiący w nim rezoner, analityk nie mógł wzbronić sobie dociekania prawdy i czynił znów ludzką tę legendę, której nieustanna cudowność sprzyjała uzdrawianiu chorych. Wkrótce ze wszystkich sąsiednich materaców podniosły się kobiety, chcąc poznać dalszy ciąg opo – wiadania, ponieważ prawie wszystkie,

w namiętym oczekiwaniu na komunię, nie mogły już usnąć.

Wtedy, pod bladym światłem lampy wiszącej nad nim na ścianie, Piotr podniósł trochę głos, aby słyszano go w całej sali.

– „Wraz z pierwszymi cudami zaczęły się prześladowania. Bernadetę potraktowano jako oszustkę i wariatkę; groziło jej więzienie. Ksiądz Peyramale, proboszcz w Lourdes, i Jego Ekscelencja Laurence, biskup w Tarbes, a także podległy mu kler trzymali się na uboczu, okazując jak największą ostrożność, natomiast władze świeckie, prefekt, prokurator cesarski, mer, komisarz policji pozwolili sobie wobec religii na wybryki oplakane w swej gorliwości...”

W miarę tej lektury przed Piotrem wyłaniała się z nieodpartą siłą prawdziwa historia świętej. Cofnął się trochę wstecz, odnalazł Bernadetę w okresie pierwszych objawień, tak czystą, tak uroczą w swej nieświadomości i dobrej wierze, w swym cierpieniu. Była jasnowidzącą, świętą, twarz jej w chwili ekstazy nabierała wyrazu nadludzkiej piękności: czoło promieniało, rysy zdawały się jak odrodzone, oczy tonały w blasku, a wpółotwarte usta płonęły miłością. Po chwili cała postać nabierała dostojeństwa, Bernadeta zaczynała kreślić pełne godności znaki krzyża świętego, które zdawały się wypełniać cały horyzont. Pobliskie doliny, wsie, miasteczka mówiły już tylko o niej. Jakkolwiek Pani nie wyrzekła jeszcze swego imienia, rozpoznawano ją, mówiono: „To ona, Najświętsza Panna.” Na najbliższym targu zeszło się tyle ludzi, że Lourdes wypełniło się po brzegi. Wszyscy chcieli zobaczyć błogosławione dziecko, wybranek Królowej Aniołów, która stawała się tak piękna, gdy przed jej zachwyconymi oczyma otwierało się niebo. Co rana większy tłum gromadził się na brzegu Gave; i wreszcie cisnęło się tam tysiące osób, nie chcąc nic utracić z widowiska. Gdy ukazywała się Bernadeta, przebiegał żarliwy pomruk: „Oto święta, święta, święta!” Ludzie rzucali się ku niej, całowali jej suknie. Był to Mesjasz wieczysty, Mesjasz, którego oczekują ludy, którego pożądanie odradza się nieustannie, w każdym pokoleniu. Przygoda zaczynała się, zawsze tak samo: Święta Dziewica ukazywała się pasterce, głos nawoływał ludzi do pokuty, źródło tryskało, coraz potężniejsze cuda dziwiły i zachwycały zbiegające się tłumy.

Ach, te pierwsze cuda w Lourdes! Cóż za wiosenne kwitnienie pocieszenia dla serc nieszczęśliwych, pożeranych nędzą i chorobami! Uzdrawione oko starego Bouriette, do życia powrócony, po zanurzeniu w lodowatej wodzie, mały Bouhohorts, głusi, którzy odzyskiwali słuch, kulawi, którzy zaczęli chodzić, i tylu, tylu innych! Błażej Maumus, Bernarda Soubies, August Bordes, Blaisette Soupenne, Benedykta Cazeaux uwolnieni od najcięższych chorób, stawali się niewyczerpanym tematem rozmów, budzili nadzieję we wszystkich, którzy cierpieli na duszy lub ciele..W czwartek, 4 marca, w ostatni dzień piętnastu odwiedzin, o jakie prosiła Pani, przed Grotą zebrało się przeszło dwadzieścia tysięcy ludzi, zeszli w dolinę wszyscy mieszkańcy gór. I ten niezmierny tłum znajdował w Lourdes to, czego był zgłodniały, boski pokarm, ucztę cudów, tyle niemożliwości, aby mógł nasycić swą wiarę w wyższą potęgę, która

raczy zajmować się biedakami, która hucznie interweniuje w smutne sprawy świata tego, aby wprowadzić w nie trochę sprawiedliwości i dobroci. Wybuchał krzyk niebiańskiego miłosierdzia, wyciągała się niewidzialna a pomocna ręka, opatrywała wieczną ludzką ranę. Ach, to marzenie, które każde pokolenie snuje na nowo, z jakąś niezniszczalną energią odżywało w duszach tych wydziedziczonych, gdy tylko znalazło żyzny grunt, przygotowany przez okoliczności! A. zapewne od wieków już fakty nie połączyły się w sposób tak sprzyjający rozpaleniu mistycznego ogniska wiary jak w Lourdes.

– „Nowa religia zaczynała się utwierdzać i natychmiast rozpoczęły się prześladowania, gdyż religie wyrastają tylko wśród udręki i buntu. Jak niegdyś w Jeruzalem, gdy rozeszła się wieść, że cuda rozkwitają pod stopami wyczekiwanego Zbawiciela, i tu zaniepokoiły się władze cywilne, prokurator cesarski, sędzia pokoju, mer, a przede wszystkim prefekt z Tarbes. Ten ostatni był to zresztą szczery katolik, człowiek praktykujący, absolutnie uczciwy, ale jednocześnie trzeźwy urzędnik, niezłomny obrońca porządku, zdecydowany przeciwnik fanatyzmu, z którego rodzą się bunt i wynaturzenia religijne. Pod swymi rozkazami miał w Lourdes komisarza policji płonącego godną pochwały chęcią wykazania się zręcznością i przenikliwością. Zaczęła się walka i właśnie ten komisarz w pierwszą niedzielę postu, zaraz po pierwszych wizjach, kazał sprowadzić Bernadetę, aby ją wypytać. Na próżno był najpierw serdeczny, potem gwałtowny i groźny; dziewczynka dawała wciąż te same odpowiedzi. Historia, jaką opowiadała, z powoli narastającymi szczegółami, stopniowo a nieodwołalnie utrwaliła się w jej dziecięcym umyśle. I u tej niezwyklej ofiary hysterii nie było to kłamstwo, lecz podświadoma myśl prześladowcza, sparaliżowana wola, która nie mogła się wyswobodzić od pierwszej halucynacji. Ach, smutne dziecko, kochane dziecko, tak łagodnie, odtąd stracone dla życia, umęczone przez manię prześladowczą, od której można ją było uwolnić tylko przenosząc ją w inne środowisko, w jakąś krainę pełną światła i ludzkiej tkliwości! Ale była wybranką, widywała Najświętszą Pannę; miała z tego powodu cierpieć przez całe życie i z tego umrzeć.”

Piotr, który dobrze poznał Bernadetę i zachował dla niej braterską litość, gorące uczucie dla ludzkiej świętej, dla istoty szczerzej, prawej i uroczej, dręczonej męką wiary, nie ukrywał wzruszenia, wilgotnych oczu, drżenia głosu. Ale przerwano mu: Maria, leżąca dotąd nieruchomo, z surową twarzą zbuntowanej, rozplotła ręce i uczyniła słaby ruch współczucia.

– Biedne dziecko – szepnęła – sama jedna wobec tych urzędników, i tak niewinna, tak dumna, tak pewna swego!

Ze wszystkich łóżek wzbijało się takie samo bolejące współczucie. Piekło tej sali, z jej nocną rozpaczą, zatrutym powietrzem, natłokiem cierpiętniczych legowisk, upiorną krzątaniną przemęczonych pielęgniarek i zakonnic, zdawało się rozjaśniać blaskiem boskiej litości. Biedna, biedna Bernadeta! Wszystkie oburzały się na prześladowania, jakie wycierpiała w obronie prawdziwości swoich wizji.

Piotr ciągnął dalej; opowiadał, co przeszła Bernadeta:

– „Po śledztwie u komisarza musiała jeszcze stawić się przed sądem. Wszyscy sadownicy zawzięli się, chcąc wymóc na niej odwołanie zeznań. Ale siła jej marzenia była większa niż rozum tych wszystkich powag razem wziętych. Dwaj lekarze przysłani przez prefekta, aby ją zbadać, uczciwie stwierdzili – jak uczyniłby każdy lekarz – zaburzenia nerwowe, których nieomylną oznaką była astma i które mogły być w pewnych warunkach spowodować jej wizje; to o mało nie przesądziło o umieszczeniu jej w szpitalu w Tarbes. Jednakże nikt nie odważył się jej zabrać w obawie przed gniewem ludu. Pewien biskup przybył, aby ugiąć przed nią kolano. Wielkie damy chciały kupować od niej łaski na wagę złota. Wciąż wzrastające tłumy zadreślały ją odwiedzinami. Schroniła się do zakonnicy w Nevers, które obsługiwały miejski szpital; tam przyjęła pierwszą komunię, tam z trudem uczyła się czytać i pisać. Ponieważ Najświętsza Panna, jak zdawało się, wybrała ją tylko, aby uszczęśliwić innych, a jej nie wyleczyła z chronicznej dusznicy, słusznie postanowiono zawieźć ją do pobliskich wód w Cauterets, które zresztą nic jej nie pomogły. Gdy zaś wróciła do Lourdes, udręka przesłuchiwań i dowodów uwielbienia ze strony ludu zaczęła się na nowo, wzmagała się, a wreszcie obrzydziła jej świat. Nigdy już nie będzie rozbawioną dziewczynką, dziewczyną marzącą o mężu, młodą kobietą całującą swoje dzieci. Ujrzała Najświętszą Panią, więc została wybranką i męczennicą. Wierzący powiadali, że Matka Boska tylko dlatego powierzyła jej trzy tajemnice, dając jej tę potrójną zbroję, aby ją podtrzymać w tych ciężkich próbach.. Przez długi czas duchowieństwo trzymało się z dala, samo pełne wątpliwości i niepokoju. Proboszcz z Lourdes, ksiądz Peyramale, był człowiekiem gwałtownym, ale niezmiernej dobroci, nadzwyczajnej prawości, a także energii, gdy uwierzył, że kroczy dobrą drogą. Gdy Bernadeta odwiedziła go po raz pierwszy, przyjął ją niemal równie szorstko jak komisarz policji, tę dziewczynkę wychowaną w Bartres, której nie widziano jeszcze na lekcjach katechizmu; nie chciał wierzyć w jej opowiadanie, z pewną ironią kazał jej prosić Panią, aby przede Wszystkim kazała zakwitnąć krzewowi głogu u swoich stóp, czego Pani zresztą nie uczyniła; a jeżeli później wziął wreszcie dziewczynkę pod opiekę, jak dobry pasterz broniący swojej owieczki, stało się to dopiero wówczas, gdy zaczęły się prześladowania, gdy zamierzano uwięzić wątłe dziecko o jasnych, szczerych oczach, opowiadające o swoich wizjach tak uparcie, a ze skromną łagodnością. Zresztą dlaczego miałby dalej zaprzeczać cudowi, w który dotąd wątpił tylko jako ostrożny proboszcz, nie chcący narażać religii w sprawie jeszcze niepewnej? Księgi święte pełne są cudów, wszelki dogmat opiera się na tajemnicy. Odtąd w oczach kapłana nie było rzeczą niemożliwą, aby Najświętsza Panna obarczyła tę pobożną dziewczynkę posłaniem do niego, aby przez jej usta kazała mu zbudować kościół, gdzie wierni udawaliby się w procesji. Tak oto, ujęty czarem Bernadety, zaczął ją kochać i bronić, przykładnie trzymając się na uboczu, w oczekiwaniu na decyzję biskupią.

Biskup ów, Jego Ekscelencja Laurence, jak można było sądzić, zamknął się w głębi swego

biskupstwa – Tarbes na cztery spusty, zachowując absolutne milczenie, jak gdyby w Lourdes nie działo się nic, co mogłoby go interesować. Wydał swemu duchowieństwu surowe rozkazy i jeszcze żaden ksiądz nie zjawił się wśród ogromnych tłumów spędzających całe dni przed Grotą. Czekał, pozwalał pisać prefektowi w rozporządzeniach administracyjnych, że władze świeckie działają w porozumieniu z władzą duchowną. W istocie nie wierzył on zapewne w zjawiska, widział w tym, jak lekarze, jedynie halucynacje chorej dziewczynki. Zdarzenie, które wzburzyło cały kraj, było dość ważne, aby kazać je starannie zbadać dzień po dniu; i fakt, że traktował je obojętnie przez tak długi czas, dowodzi, w jak małej mierze dopuszczał tu możliwość ewentualnego cudu,

o jedno się tylko troszcząc: aby nie narazić Kościoła w sprawie, która miałyby się źle skończyć. Biskup Laurence, bardzo pobożny, o inteligencji zimnej i praktycznej, rządził swoją diecezją wykazując wiele zdrowego rozsądku. W owym czasie ludzie niecierpliwi, zapaleńcy, przezwali go świętym Tomaszem, był bowiem uparty w wątpieniu, aż do czasu gdy okoliczności zmusiły go do działania. Nie chciał słyszeć ani widzieć, zdecydowany ustąpić dopiero wówczas, gdy nie będzie to mogło zaszkodzić religii.

Ale prześladowania miały się wzmóc. Minister Wyznań w Paryżu domagał się, aby ustały wszelkie nieporządki, a prefekt kazał wojskiem obsadzić Grotę, którą gorliwość wiernych i wdzięczność uzdrowionych zdążyła przyozdobić wazonami kwiatów. Wrzucano tam pieniądze, napływały dary dla Najświętszej Panny. Poczyniono tam również samorzutnie pewne najprostsze urządzenia: kamieniarze wykuli coś w rodzaju rezerwuaru, aby zbierać cudowną wodę; inni usuwali ogromne kamienie, wytyczali drogę po zboczu pagórka. Wobec rosnącej fali tłumy prefekt, który zrezygnował z myśli o aresztowaniu Bernadety, powziął ważne postanowienie, aby wzbronić dostępu do Groty, zamykając ją mocnym ogrodzeniem. Doszło do” przykrych wypadków, dzieci twierdziły, że widziały diabła, przy czym jedne zmyślały, a inne ulegały prawdziwym atakom, zarażone unoszącym się w powietrzu szaleństwem. A ta historia z opróżnieniem Groty! Komisarz dopiero pod wieczór znalazł jakąś dziewczynę, która zgodziła się wynająć mu swój wózek; a w dwie godziny później dziewczyna ta upadła i złamała sobie zebro. Podobnie było z człowiekiem, który pożyczył siekiery: już nazajutrz spadający kamień zdruzgotał mu nogę. Wreszcie komisarz o zmierzchu zabrał wśród szyderczych Śmiechów doniczki z kwiatami, parę płonących świec, pieniądze i srebrne serca rzucone na piasek. Ludzie zaciskali pięści, po cichu nazywali go złodziejem i mordercą. A potem słupy ogrodzenia wkopano w ziemię, deski zbito gwoździami, wykonano całą pracę, która miała ukryć tajemnicę, zamknąć nieznaną, uwięzić cud. I władze cywilne wyobrażały sobie w swej naiwności, że wszystko już skończone, że parę desek powstrzyma biednych ludzi spragnionych ułudy i nadziei.. Nowa religia, z chwilą gdy została zakazana, gdy prawo ścigało ją jak zbrodnię, rozpalila się nieugaszonym płomieniem w tych wszystkich duszach. Wyznawcy przybywali mimo wszystko

coraz liczniej, klękali z dala, szlochali na widok wzbronionego im Nieba. A chorzy, ubodzy chorzy przede wszystkim, którym barbarzyńskie rozporządzenie wzbraniało wyzdrowienia, tłoczyli się mimo zakazu, wślizgiwali się przez szczeliny, pokonywali przeszkody, opanowani jedynym gorącym pragnieniem: aby skraść trochę wody. Jakże to? Tam była cudowna woda, która przywracała wzrok ślepy, leczyła kaleki, przynosiła natychmiast ulgę we wszystkich chorobach, a znaleźli się ludzie tak okrutni, że zamknęli wodę na klucz, ażeby przestała leczyć biedaków? Ależ to potworne! – Krzyk zgrozy podnosił się wśród ubogiego ludu, wśród wszystkich wydziedziczonych, którym cudowność równie była nieodzowna do życia jak chleb. Wedle rozporządzenia, w wypadku przekroczenia zakazu, należało sporządzać protokoły; i w ten sposób ujrano przed sądem żalostną procesję starych kobiet, kulawych mężczyzn, których winą było, że zaczerpnęli wody ze studni życia. Jąkali się, błagali, nie rozumieli, gdy nakładano im kary. A na zewnątrz tłum szemrał, narastał wściekły gniew na urzędników, tak nieczułych wobec nędzy świata, na tych bezlitosnych panów, którzy zagarnawszy wszelkie bogactwa nie chcieli pozwolić biednym nawet marzyć o innym świecie, wierzyć, że jakaś wyższa i dobra potęga zajmie się nimi wreszcie po macierzyńsku. W smutny poranek gromada nędzarzy i chorych poszła do merostwa; poklękali na podwórzu i zaklinali mera z płaczem, aby kazał otworzyć Grotę; a to, co mówili, było tak żalostne, że wszyscy płakali. Jakaś matka pokazywała na wpół martwe dziecko; czy pozwoli mu tak umrzeć na jej rękach, gdy tam jest źródło, które ocaliło dzieci, innych matek? Ślepiec pokazywał swoje zmaczone oczy, blady, skrofuliczny chłopiec odsłaniał rany na nogach, sparaliżowana kobieta usiłowała złożyć powykręcane ręce; czy, on chce ich śmierci, odmawia im boskiej szansy życia, skoro wiedza ludzka ich opuściła? Również wielka była rozpacz. wierzących, przekonanych, że ‘wśród nocy swej ponurej egzystencji dojrzeli jakiś zakątek Nieba; oburzali się, że pozbawiono ich radości urojenia, tej najwyższej ulgi dla cierpień osobistych i społecznych, wiary, że Święta Dziewica zesłała na ziemię, aby obdarzyć ich nieograniczoną słodyczą swego wstawiennictwa. Mer nie mógł nic przyrzec i tłum odszedł z płaczem, gotowy się zbuntować, jakby pod obuchem tej strasznej niesprawiedliwości, głupiego okrucieństwa wymierzonego przeciw małym i prostym, których pomści Niebo.

Walka trwała wiele miesięcy. Dziwny widok przedstawiali ci ludzie rozsądni, jak minister, prefekt, komisarz policji, ożywieni zapewne najlepszymi chęciami, walczący ze stale rosnącym tłumem zrozpaczonych, którzy nie chcieli, aby zamknięto przed nimi drzwi marzenia. Władze domagały się porządku, poszanowania dla mądrej religii, tryumfu rozważi, a tymczasem pragnienie szczęścia ponosiło lud, który pożałował zbawienia na tym i na tamtym świecie. Och, nie cierpieć dłużej, zdo – być zrównanie w szczęściu, żyć już tylko pod opieką Matki sprawiedliwej i dobrej, umierać tylko po to, aby przebudzić się w raju! I to palące pragnienie, to święte szaleństwo powszechnej radości musiało unicestwić surową i ponurą koncepcję społeczeństwa dobrze urządzonego, które potępia epidemiczne ataki halucynacji religijnych, bo zagrażają

spokojowi dusz zdrowych.”

W tej chwili sala Świętej Honoryny też się buntowała. Piotr znowu musiał na chwilę przerwać czytanie wobec stłumionych „okrzyków piętnujących komisarza jako szatana i Heroda.. Gri-votte uniosła się na materacu i wołała:

– Ach, potwory! A dobra Matka Boża uleczyła mnie!

Pani Vetu, ogarnięta nową nadzieją, mimo tłumionej pewności, że niedługo umrze, także oburzała się na myśl, że gdyby prefekt dopiął swego, dziś nie byłoby już Groty.

– A wtedy nie byłoby pielgrzymek, my nie przyjechalibyśmy tutaj i ludzie nie mogliby doznawać corocznie setek uzdrowień!

Chwyciły ją duszności i siostra Hiacynta musiała ją posa’dzić. Pani de Jonquière skorzystała z przerwy, aby podać basen młodej kobiecie cierpiącej na schorzenie szpiku kostnego. Dwie inne kobiety, które nie mogły uleżeć w łózkach, tak niezdolny panował upał, krążyły cichym, drobnym krokiem, bardzo białe wśród dymnych cieni; z końca sali słyhać było ciężki oddech, który nie przycichł, lecz towarzyszył lekturze głośnym charczeniem. Tylko Eliza Rouquet, ułożona na wznak, spała spokojnie, nie zakrywając swojej strasznej, ale wysychającej rany.

Był kwadrans po północy i lada chwila mógł nadejść ksiądz Judaine, aby udzielić komunii. Łaska powracała do serca Marii; była ona teraz pewna, że jeśli Najświętsza Panna nie zechciała jej uzdrowić, winę za to ponosiła ona sama, wątpiła bowiem wstępując do sadzawki. I kajała się za swój bunt jak za zbrodnię: czy uda jej się kiedyś uzyskać przebaczenie? Jej pobladła twarz napadała się wśród pięknych blond włosów, oczy napęniały się łzami, patrzyła na Piotra z bezgranicznym smutkiem. – Och, mój drogi, jakże byłam zła! I dopiero słuchając o zbrodniach wynikających z pychy tego prefekta i sędziów, zrozumiałam swój błąd... Trzeba wierzyć, mój drogi, bo nie ma szczęścia poza wiarą i miłością.

Gdy Piotr chciał na tym skończyć lekturę, wszystkie głośno zaprotestowały, domagając się dalszego ciągu. Musiał im więc przyrzec, że doczyta aż do tryumfu Groty.

– „Ogrodzenie wciąż wzbraniało do niej wstępu, kto chciał się pomodlić i zabrać butelkę wody, musiał przychodzić nocą, ukradkiem. Tymczasem groźba buntu wzrastała, opowiadano; że wioski górskie zejdą w dolinę, aby oswobodzić Boga. Był to masowy ruch biedaków, tak żywiołowy napór ludzi spragnionych cudu, że zwyczajny zdrowy rozsądek, zwyczajny ład miały zostać zmiecione jak słoma. Pierwszym, który się pod. dał, był Jego Ekscelencja Laurence w swoim biskupstwie w Tarbes. Cała powściągliwość, wszystkie wątpliwości opuściły go wobec tego ruchu ludowego. Mógł on przez pięć długich miesięcy trzymać się na uboczu, zabraniać swemu duchowieństwu, by śpieszyło za wiernymi do Groty, osłaniać Kościół przed rozpętanym wichrem zabobonu. Ale na co się przyda dalsza walka? Widział wielką nędzę swoich wiernych, więc godził się dać im kult bałwochwalczy, czując, jak bardzo go pożądamy. Jednakże, powodując się resztką przezorności, wydał rozporządzenie mianujące komisję do przeprowadzenia badań;

„oznaczało to uznanie cudów w terminie mniej lub więcej dalekim. Jeżeli Jego Ekscelencja Laurence – jak sądzimy – ‘był człowiekiem rzetelnej kultury, zimnego rozsądku, można sobie wyobrazić jego trwożę rankiem tego dnia, gdy podpisał owo rozporządzenie. Zapewne ukląkł w kaplicy, błagał Boga, władcę świata, aby wskazał mu, co ma czynić. Nie wierzył w objawienia; jego wyobrażenia o sposobach objawiania się Boga na ziemi były wyższe, bardziej intelektualne. Jednakże, czy litość i współczucie nie nakazywały stłumić skrupułów inteligencji, sprzeniewierzyć się szlachetności form kultu wobec tego pożądanego chleba kłamstwa, które tak nieodzowne było dla szczęścia biednych ludzi? «O, Boże mój, przebac mi, jeżeli ściągam cię z wysokości wieczystej potęgi, jaką jesteś, jeżeli zniżam cię do tej dziecinnej gry bezużytecznych cudów. To obraza dla ciebie mieszać cię do tej żalostnej awantury, gdzie jest tylko choroba i obłąd. Ale, mój Boże, oni tyle cierpią, tak głodni są cudów, bajek, aby mogli zapomnieć o bólu życia! Ty sam, gdyby byli twoimi owieczkami, pomógłbyś ich oszukać! Niech idea twojej boskości na *ty*m traci, ale niech zostaną pocieszeni na tej ziemi!» I tak biskup, ze łzami w oczach, uczynił ofiarę ze swego Boga, aby z drżeniem trwogi dać folgę miłosierdziu pasterza litującego się nad nieszczęsnym ludzkim stadem.

Z kolei poddał się władca, cesarz. Był wówczas w Biarritz, codziennie informowano go o sprawie objawień, którymi zajmowały się wszystkie paryskie gazety; prześladowanie bowiem nie byłoby zupełne, gdyby nie przydano do nich atramentu wolteriańskich dziennikarzy. Podczas gdy jego minister, jego prefekt i jego komisarz policji walczyli w obronie zdrowego rozsądku i ładu, cesarz zachowywał owo głębokie milczenie przebudzonego marzyciela, którego nikt nigdy nie zgłębił. Codziennie nadchodziły petycje – on milczał. Przybywali biskupi, aby z nim porozmawiać, wybitne osobistości, wielkie damy z jego otoczenia czyhały na stosowną chwilę, uprowadzały go na poufne rozmowy – on milczał. Zacięta walka toczyła się nieustannie o jego decyzję: z jednej strony ludzie wierzący lub tylko chimeryczne głowy pasjonujące się tajemnicą, z drugiej strony niewierzący przedstawiciele rządu, nieufni wobec urojeń wyobraźni – on milczał. Nagle, z determinacją człowieka trwożliwego, przemówił. Rozeszła się wieść, że powziął decyzję, ubłagany przez cesarzową. Cesarzowa niewątpliwie zabrała głos w tej sprawie, ale u cesarza nastąpiło przebudzenie jego dawnych humanitarnych marzeń, powrót szczerzej litości dla wydziedziczonych. Jak biskup, i on nie chciał zamykać nędzaczom bramy złudzeń przez utrzymanie w mocy niepopularnego rozporządzenia prefektury, zabraniającego pić wodę u świętego źródła. I wysłał depezę, krótki rozkaz, aby zwalić ogrodzenie i otworzyć dostęp do Groty.

Wtenczas wybuchła radość; był to tryumf. Obwołano nowy rozkaz na placach w Lourdes, przy huku bębna, przy wtórze fanfar. Komisarz policji we własnej osobie musiał wziąć się do rozbiórki ogrodzenia. Następnie jego, jak i prefekta, przeniesiono na inne stanowisko. Ludność napływała ze wszystkich stron, w Grocie organizował się kult. I rozlegał się radosny okrzyk. Bóg

zwyciężył. Bóg? Niestety, nie! Lecz nędza ludzka, wieczysta potrzeba kłamstwa, tej nadziei skazańca, który oddaje się dla swego zbawienia w ręce niewidzialnej wszechwładzy, silniejszej niż natura, jedynie zdolnej przełamać jej nieubłagane prawa. A poza tym zwyciężyła jeszcze potężna litość przewodników stada, miłosiernego biskupa i miłosiernego cesarza, dających iwielkim chorym dzieciom fetysza, co pocieszał jedne z nich, a niektóre czasem nawet uzdrawiał.

Od połowy listopada mianowana przez biskupa komisja przybyła, aby przeprowadzić badania, jakimi ją obarczono. Raz jeszcze przesłuchała Bernadotę, przestudiowała wiele cudownych wydarzeń. Jednakże stwierdziła tylko trzydzieści uzdrowień, których oczywistość była absolutna. I Jego Ekscelencja uznał się za przekonanego. Dał wszakże ostatni dowód przeczności, przeczekał bowiem jeszcze trzy lata, zanim ogłosił w liście pasterskim, że Najświętsza Panna istotnie ukazała się w Grocie massabielskiej i że odtąd działy się tam liczne cuda. W imieniu biskupstwa nabył od miasta Lourdes Grotę wraz z otaczającym ją znacznym obszarem. Dokonano tam prac, zrazu skromnych, a potem coraz większych, w miarę jak napływały pieniądze od całego chrześcijaństwa. Uporządkowano Grotę. Zamknięto ją kratą. Rzekę Gave odsunięto daleko, w nowe koryto, aby urządzić wielkie przykopy, gazony, aleje, promenady. Wreszcie zaczął się wyłaniać z ziemi, na samym szczycie skały, kościół, o który prosiła Najświętsza Panna, Bazylika. Od pierwszego uderzenia motyki proboszcz Lourdes, ksiądz Peyramale, kierował wszystkim z niezwykłą gorliwością, gdyż walka uczyniła zeń najpłomienniejszego i najszczerzego wyznawcę tego dzieła. Z nieco szorstką ojcowską czułością zaczął uwielbiać Bernadotę, oddał się duszą i ciałem wypełnianiu rozkazów, jakie otrzymał był z Nieba przez usta tego niewiniątka. Spalał się w ogromnej pracy, pragnął bowiem, aby wszystko było bardzo piękne, bardzo wielkie, godne Królowej Aniołów, która raczyła nawiedzić ten górski zakątek. Pierwsza ceremonia religijna odbyła się dopiero w sześć lat po objawieniach, w dniu, gdy w Grocie nadzwyczaj uroczyste ustawiono posąg Najświętszej Panny, w miejscu, gdzie się ukazała. Tego ranka, przy cudownej pogodzie, Lourdes przywdziało odświętną szatę, odezwały się wszystkie dzwony. W pięć lat później, w 1869, odprawiono pierwszą mszę w krypcie Bazyliki, której iglica nie była jeszcze ukończona. Dary rosły nieustannie, płynęła rzeka złota, z ziemi wyrastało całe miasto. Nowa religia była ugruntowana. Gorąca chęć uzdrowienia uzdrawiała, pragnienie 'cudu wywoływało cuda. Bóg miłosierdzia i nadziei rodził się z ludzkich cierpień, z potrzeby karmienia się pocieszającymi złudzeniami, która we wszystkich wiekach ludzkości budowała cudowny zaświatowy raj, gdzie wszechmoc wymierza sprawiedliwość i darzy wieczystym szczęściem."

Toteż chore z sali Świętej Honoryny widziały w zwycięstwie Groty przede wszystkim własną nadzieję tryumfalnego powrotu do zdrowia. Wśród łóżek przebiegło radosne drżenie, gdy Piotr, z sercem ściśniętym na widok tylu żalonych twarzy zwróconych ku niemu, chciwych pewności, powtórzył:

– Bóg zwyciężył i odtąd cuda dzieją się stale, a najpokorniejsi największej pociechy doznawali.

Odłożył małą książeczkę. Wszedł ksiądz Judaine, miała się zacząć komunia. Ale Maria, na nowo ogarnięta gorączką miłości, nachyliła się ku Piotrowi.

– Drogi mój, ach, oddaj mi tę wielką przysługę: wysłuchaj moich grzechów i udziel mi rozgrzeszenia. Błądziłam, jestem w stanie grzechu śmiertelnego. Jeżeli nie przyjdiesz mi z pomocą, nie będę mogła przyjąć komunii, a mnie tak bardzo potrzeba pomocy i utwierdzenia!

Młody kapłan odmówił gestem. Nigdy nie chciał spowiadać swojej przyjaciółki, jedynej kobiety, którą kochał i której pożądał w zdrowych i roześmianych latach młodości. Ale Maria nalegała:

– Zaklinam cię, w ten sposób przyczynisz się do cudu mojego uzdrowienia.

Ustał więc, wysłuchał wyznania jej grzechu, bezbożnego buntu cierpienia przeciwko Świętej Panience, która pozostała głucha na prośby następnie w sakramentalnych słowach udzielił jej rozgrzeszenia.

Tymczasem ksiądz Judaine już położył cyborium na małym stoliku, między dwoma płonącymi świecznikami, dwiema smu – tnymi gwiazdami w półmroku sali. Zdecydowano się wreszcie otworzyć na całą szerokość okna, gdyż, woń cierpiących ciał i spiętrzonych łańców stała się nie do zniesienia; ale nie wszedł żaden powiew, ciasne podwórze pogrążone w ciemnościach podobne było do rozżarzonej studni. Piotr ofiarował się jako ministrant i odmówił *Confiteor*. Następnie kapłan w albie, odmówiwszy *Misereatur* i *Indulgentiam*, podniósł cyborium: „Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata.” Wszystkie znekane chorobą kobiety, czekające niecierpliwie na komunię, jak ‘umierający, który nie może doczekać się, aby podano mu nowe lekarstwo, mające przywrócić mu życie, odmówiły trzykrotnie w myśli akt pokory: „Panie, nie jestem godna, abyś wszedł do przybytku serca mego, ale rzeknij tylko słowo, a będzie zbawiona dusza moja.” Ksiądz Judaine wraz z Piotrem rozpoczął obchód żalonych legowisk, a towarzyszyły im pani de Jonquière i siostra Hiacynta, każda z lichtarzem w ręku. Zakonnica wskazywała chore, które miały przyjąć komunię; ksiądz pochylał się, trochę na ślepo kładł hostię na języku, szepcząc łacińskie słowa. Wszystkie chore podnosiły się z szeroko otwartymi, błyszczącymi oczyma wśród nieładu spowodowanego zbyt szybką instalacją wędrownego szpitala. Trzeba było obudzić dwie kobiety, które głęboko usnęły. Wiele jęczało nie zdając sobie z tego sprawy lub zaczynały znów jęczeć zaraz po przyjęciu Boga. W głębi sali nie ustawało charczenie chorej, której nie było widać. Trudno było o coś smutniejszego jak ten szczupły orszak w półmroku, rozgwieżdżony dwiema żółtymi plamami świeczek.

Iście boskim zjawiskiem było oblicze Marii pogrążonej w ekstazie. Nie udzielono komunii Grivotte, która, spragniona chleba żywota, miała do niej przystąpić rano w kościele Różańca Świętego. Milczącej pani Vetu, nekanej czkawką, położono hostię na poczerniałym języku. Teraz

przyszła kolej na Marię; leżała w bladym świetle tak piękna wśród blond włosów, z rozszerzonymi oczyma, z rysami przetworzonymi wiarą, że wszyscy patrzyli na nią w zachwycie. Przyjęła komunię z uniesieniem, Niebo widomie do niej schodziło, wnikało w jej biedne młode ciało, doprowadzone do takiej nędzy fizycznej. Przez chwilę jeszcze trzymała Piotra za rękę. – O, mój drogi, ona uzdrowi mnie, właśnie mi to powiedziała... Idź wypocząć. Ja zasnę snem tak błogim...

Wychodząc z księdzem Judaine, Piotr ujrzał małą panią Desagneaux w fotelu, gdzie zmęczenie rzuciło ją bezsilną. Nic nie zdołało jej obudzić. Była godzina wpół do drugiej. A pani de Jonquière przy pomocy siostry Hiacynty wciąż się krzątała, odwracała chore na drugi bok, myła je, opatrywała. Odkąd przez salę przemknęła pełna uroku postać Bernadety, wszystko się trochę uspokoiło, mroczna ociężałość jakby złagodniała. Drobną cień wizjonerki zwycięsko błędził teraz wśród łóżek, dokonawszy dzieła, przynosząc trochę Nieba wszystkim wydziedziczonym, wszystkim zrozpaczonym na ziemi; i gdy zapadały w sen, widziały ją, jak sama – wątpła i chora – pochyla się nad nimi, aby ucałować je z uśmiechem.

DZIEŃ TRZECI

I

W ten piękny sierpniowy niedzielny poranek, gorący i jasny, pan de Guersaint już o siódmej godzinie był gotów, całkiem ubrany, w jednym z dwu małych pokoików, które tak szczęśliwie udało mu się wynająć na trzecim piętrze hotelu „Objawień” przy ulicy Groty. Położył się o jedenastej i czuł się teraz bardzo dziarski; zaraz poszedł do drugiego pokoju, zajmowanego przez Piotra. Ale ten, wróciwszy o godzinie drugiej w nocy, trawiony bezsennością, zdrzemnął się dopiero o świcie i teraz spał jeszcze. Sutanna przewieszona przez krzesło i rozrzucone w pokoju inne części ubrania świadczyły, że wrócił zmęczony i niespokojny.

– Cóż to, tacyśmy leniwi? – zawołał wesoło pan de Guersaint. – Nie słyszysz, jak biją dzwony?

Piotr poderwał się, zdziwiony, że jest w tym ciasnym hotelowym pokoju, tonącym w słońcu. Przez okno, które pozostało otwarte, wchodziło radosne bicie dzwonów i dźwięczny gwar szczęśliwego miasta.

– Nie zdążymy być przed ósmą w szpitalu po Marię, bo zjemy teraz śniadanie, prawda?

– Oczywiście, proszę szybko zamówić dwie filiżanki czekolady. A ja zaraz wstanę, nie potrwa to długo.

Gdy Piotr został sam, mimo bolesnego znużenia, jakie czuł we wszystkich członkach, wyskoczył z łóżka i zaczął się szybko ubierać. Stał jeszcze pochylony nad miednicą i oblewał się zimną wodą, gdy ukazał się pan de Guersaint, który nie mógł znieść samotności..

– Załatwione. Zaraz nam tu przyniosą na górę... Ach, ten hotel! Widziałeś właściciela, imćpana Majeste, ubranego na biało i tak godnego w swoim biurze? Podobno mają przepelnienie, nigdy jeszcze nie było tutaj tyle ludzi... Toteż zgiełk jest piekielny! Zbudzono mnie trzy razy w nocy. Nie wiem doprawdy, co mogło się dzieć w pokoju sąsiadującym z moim: jeszcze teraz coś stuknęło w ścianę, potem jakieś szepty, a wreszcie westchnienia... – Przerwał, aby zapytać: – A ty dobrze spałeś?

– Nie – odrzekł Piotr. – Byłem strasznie zmęczony i oka nie mogłem zmrzyć. To zapewne z powodu tego hałasu, o którym pan mówi.

On z kolei zaczął mówić o cienkich ścianach, o budynku przepelnionym i trzeszczącym od ludzi, których tu słoczono. Słyszało się tutaj hałasy niewytłumaczalne, nagłą bieganinę po korytarzach, ciężkie kroki, grube głosy dochodzące na górę nie wiadomo skąd, nie licząc jęków chorych i kaszlu, strasznego kaszlu, który wydobywał się jakby ze wszystkich ścian. Oczywiście przez całą noc ludzie wracali i znów wychodzili, wstawali i kładli się, nie istniały już bowiem ustalone godziny, żyło się w chaosie namiętnych wstrząsów, oddając się pobożności jak rozrywkom.

– A w jakim stanie zostawiłeś wczoraj Marię? – zapytał znowu pan de Guersaint.

– Miała się znacznie lepiej – odrzekł ksiądz. – Po strasznym ataku rozpaczy odzyskała całą odwagę i wiarę.

Zapanowało milczenie.

– Och, ja się nie niepokoję – zaczął znowu ojciec ze swym niezachwianym optymizmem. – Zobaczysz, że wszystko pójdzie doskonale... Co do mnie, jestem zachwycony. Prosiłem Najświętszą Pannę o opiekę nad moimi interesami, wiesz, nad tym wielkim wynalazkiem balonów sterowanych. I wiesz, co ci powiem: już okazała mi swoją łaskę! Tak, wczoraj wieczór, gdy rozmawiałem z księdzem Des Hermoises, on zaofiarował mi się, że znajdzie mi współnika w Tuluzie, jednego ze swoich przyjaciół, człowieka nadzwyczaj bogatego, który interesuje się mechaniką. Natychmiast dostrzegłem w tym palec boży.

I roześmiał się swoim dziecinnym śmiechem.

– Uroczy człowiek z tego księdza Des Hermoises! Pójdę się dowiedzieć, czy nie moglibyśmy urządzić razem niedrogiej wycieczki do kotliny Gavarnie.

Piotr, który zamierzał wszystko opłacić, hotel i całą resztę, zachęcał go życzliwie.

– Oczywiście, nie powinien pan zmarnować sposobności i odbyć tę upragnioną wycieczkę w góry. Maria będzie szczęśliwa widząc pana szczęśliwym.

Przerwała im służąca, która przyniosła dwie filiżanki czekolady i dwie bułeczki na przykrytej

serwetą tacy, a ponieważ zostawiła drzwi otwarte, widać było część korytarza.

– Proszę, sprzątaj już pokój mego sąsiada – zauważył pan de Guersaint, zaintrygowany. – On jest z żoną, prawda?

Pokojówka zdziwiła się.

– Ależ nie, jest sam.

– Jak to sam! Przecież kręcił się całą noc, a rano słychać tam było rozmowy i westchnienia.

– To niemożliwe, on jest sam... Właśnie wyszedł, a przedtem kazał u siebie posprzątać. Jest tam tylko jeden pokój, z wielką szafą ścienną, od której klucz zabrał ze sobą... Na pewno chowa tam jakieś papiery wartościowe...

Rozgadała się, ustawiając obie filiżanki na stole.

– O, to bardzo elegancki pan!... W zeszłym roku zamówił jeden z tych osobnych małych pawilonów, które pan Majestè wynajmuje w sąsiedniej uliczce. Ale w tym roku zgłosił się za późno i musiał zadowolić się tym pokojem... był bardzo zmartwiony... Nie chce jadać razem z wszystkimi, każe sobie podawać jedzenie do pokoju, drogie wina, różne przysmaki...

– Ach, tak – wywnioskował wesoło pan de Guersaint – widocznie wczoraj wieczór zjadł w samotności zbyt suty obiad.

Piotr przysłuchiwał się.

– A czy od mojej strony nie mieszkają dwie panie z panem i dzieckiem chodzącym o kuli?

– Tak, proszę księdza, znam ich... Ciotka, pani Chaise, zajmuje jeden pokój, zaś państwo Vigneron z synkiem Gustawem muszą się tłoczyć w drugim... W zeszłym roku też tu byli. O, to także bardzo przyzwoici państwo!

W nocy istotnie zdawało się Piotrowi, że rozpoznaje głos pana Vigneron, któremu zapewne przeszkadzało gorąco. Służąca rozgadała się i wymieniała innych mieszkańców z tego samego korytarza: na lewo ksiądz, matka z trzema córkami, niemłoda para małżeńska; na prawo samotny pan, samotna młoda pani, znowu cała rodzina, pięcioro małych dzieci. Hotel był wypełniony aż po mansardy. Służące, które odstąpiły gościom swoje pokoje, spały wszystkie razem w pralni. Ostatniej nocy ustawiono na korytarzach wszystkich pięter łóżka polowe. A nawet pewien czcigodny kapłan zmuszony był spać na bilardzie.

Gdy pokojówka wreszcie znikła, a obaj mężczyźni wypili czekoladę, pan de Guersaint poszedł do swojego pokoju, aby znowu umyć ręce, gdyż bardzo dbał o swoją osobę, Piotr zaś, zwiabiony jasnym słońcem na dworze, wyszedł na chwilę na wąski balkon. Wszystkie pokoje na trzecim piętrze, z tej strony, miały 'balkony z drewnianą rzeźbioną balustradą. Piotr zdziwił się bardzo, gdy na sąsiednim balkonie, należącym do pokoju zajętego przez samotnego pana, ukazała się kobieta z głową wychyloną do przodu; poznał panią Volmar; była to na pewno ona, jej pociągła twarz, subtelne i wydłużone rysy, duże, wspaniałe oczy, podobne dwu płomieniom, które chwilami zasnuwały się ciemną morą, przyćmiewającą ich blask. Drgnęła ze strachu, gdy

go poznała. On sam, bardzo zmieszany, zmartwiony, że ją tak zaskoczył, szybko się cofnął. I nagle wszystko stało mu się jasne: ów pan, nie mogąc dostać innego pokoju, ukrywał tam kochankę zamykając ją na czas sprzątanego w dużej ściennej szafie, żywił ją posiłkami, które mu przynoszono, pił z nią z jednej szklanki; zrozumiałe stały się teraz nocne hałasy, bo dla niej będą to trzy dni ścisłego więzienia, szalonej namiętności w tym zamkniętym pokoju. Widocznie, gdy ukończono sprzątanego, odważyła się otworzyć szafę od środka i wysunąć głowę, aby wyjrzeć na ulicę, czy nie wraca jej kochanek. Więc to dlatego nie widziano jej w szpitalu, gdzie mała pani Desagneaux wciąż się o nią dopytywała! Piotr stał bez ruchu, z sercem wzburzonym, i z niepokojem myślał o życiu tej kobiety, które było mu znane, o torturze pożycia małżeńskiego w Paryżu między okrutną świekrą a niegodnym mężem, i o tych jedynych w roku trzech dniach zupełnej wolności, o tym nagłym pożarze miłości, pod świętokradzkim pretekstem, że przy – jeżdża do Lourdes, aby służyć Bogu. Łzy, których sam nie rozumiał, łzy wzbierające z głębi jego istoty, z jego dobrowolnej czystości, podeszły mu do oczu, przepełniając go ogromnym smutkiem.

– No, jakże? Jesteśmy gotowi? – zawołał wesoło pan de Guersaint, który ukazał się w rękawiczkach, obciśnięty w marynarkę z szarego sukna.

– Tak, tak, idziemy – odpowiedział Piotr, który szukając kapelusza odwrócił się, aby obetrzeć oczy.

Gdy wychodzili, usłyszeli z lewej strony zaflegmiony głos pana Vigneron, który właśnie odmawiał poranne modlitwy. Ale jedno zwłaszcza spotkanie zainteresowało ich: idąc korytarzem minęli pana około czterdziestki, krzepkiego i krępego, z twarzą otoczoną starannie utrzymanymi faworytami. Na ich widok pochylił się i przeszedł tak szybko, że nie zdołali zobaczyć jego twarzy. W rękę niósł starannie obwiązany sznurkiem pakiet. Wsunął klucz, otworzył drzwi i zniknął jak cień, bez hałasu.

Pan de Guersaint obejrzał się.

– Patrz, to ten samotny pan... Pewnie wraca z miasta, przyniósł sobie te smakołyki.

Piotr udał, że nie słyszy, uważał bowiem swego towarzysza za zbyt lekkomyślnego, aby mógł go przypuścić do cudzej tajemnicy. A przy tym ogarnęło go zmieszanie, rodzaj wstydlivej grozy na myśl o tym odwiecie ciała, o którym dowiedział się teraz, wśród otaczającej go atmosfery mistycznego uniesienia.

Doszli do szpitala właśnie w chwili, gdy znoszono chore, aby je zawieźć do Groty. Marię zastali wesołą i wyspaną. Uściskała ojca, skarciła go dowiedziawszy się, że nie postanowił jeszcze nic w związku z wycieczką do Gavarnie. Bardzo by się zmartwiła, gdyby się tam nie wybrał. Powiedziała też z miną wypoczętą i uśmiechniętą, że dzisiaj nie zostanie uzdrowiona. Następnie ubłagała Piotra, aby jej przyrzekł, że dzisiejszą noc spędzą przed Grotą; była to łaska upragniona przez wszystkich, której – niezbyt chętnie – udzielano tylko uprzywilejowanym. Piotr

najpierw żywo odmówił, bojąc się, że noc pod gołym niebem mogłaby Marii zaszkodzić, ale potem, widząc ją nagle tak posmutniałą, obiecał, iż poczyni odpowiednie starania. Widocznie uważała, że Najświętsza Panna wysłucha ją tylko sam na sam, w absolutnym spokoju ciemności. Tego ranka w Grocie, gdy wszyscy troje słuchali mszy, czuła się tak zagubiona wśród chorych, że już o godzinie dziesiątej zapragnęła, aby ją odwieziono do szpitala, i skarżyła się, że, bola ją oczy zmęczone jaskrawym światłem dnia.

Gdy ojciec i Piotr znów umieścili ją na sali Świętej Honoryny, zwolniła ich na cały dzień.

– Nie, nie przychodźcie do mnie, nie pojedę dziś po południu do Groty, to byłoby bezcelowe... Ale wieczorem, o dziewiątej, przyjdiesz, aby mnie tam zawieźć, prawda, Piotrze? To rzecz ustalona, przyrzekłeś mi.

Powtórzył, że będzie się starał o pozwolenie, a w razie potrzeby zwróci się do ojca Fourcade.

– A więc, drogie dziecko, do wieczora – rzekł z kolei pan de Guersaint całując ją.

I zostawili ją całkiem spokojną w łóżku, pogrążoną w zamyśleniu: jej wielkie, utkwione w dali oczy były rozmarzone i uśmiechnięte.

Wrócili do hotelu „Objawień” przed wpół do jedenastej. Pan de Guersaint, zachwycony piękną pogodą, zaproponował, aby natychmiast zjeść śniadanie, bo pragnął jak najprędzej wybrać się na miasto. Chciał jednak przedtem wstąpić do swego pokoju; ponieważ Piotr poszedł za nim, obaj byli świadkami dramatycznej sceny. Drzwi pokoju państwa Vignerona stały otworem i widać było małego Gustawa leżącego na sofie, która służyła mu za łóżko. Był siny, zemdłał przed chwilą i rodzice sądzili, że to już koniec. Pani Vignerona, bezwładnie opadła na krzesło, wciąż jeszcze otepiała ze strachu, a tymczasem pan Vignerona miotał się po pokoju, potracając wszystko, i przyrządzał osłodzoną wodę, do której dolał parę kropli jakiegoś lekarstwa. Bo do czego to podobne, żeby chłopiec tak jeszcze silny nagle mdlał i bladł jak chusta! I patrzył na panią Chaise, ciotkę, stojącą koło kanapy, dziś właśnie bardzo rześką; i ręce drżały mu jeszcze bardziej na głuchą myśl, że jeżeli ten podły atak zabierze mu syna, spadek po ciotce przepadnie. Zupełnie stracił głowę; rozwarł szczęki chłopca i zmusił go do wypicia całej szklanki. Skoro jednak usłyszał jego westchnienie, odezwała się w nim jego ojcowska poczciwość i rozplakał się nazywając go swoim chłopczykiem. Zbliżyła się pani Chaise, ale Gustaw odepchnął ją ruchem gwałtownej nienawiści, jak gdyby zrozumiał podświadomą przewrotność, do której pieniądz tej kobiety doprowadził jego rodziców. Stara dama, urażona; siadła z boku, a tymczasem rodzice, już uspokojeni, dziękowali Najświętszej Pannie, że zachowała im ukochanego pieśczocho, który uśmiechał się do nich swoim subtelnym i smutnym uśmiechem: rozumiał wszystko i mimo że miał dopiero piętnaście lat, zdążył już stracić chęć do życia.

– Czy moglibyśmy w coś pomóc? – zapytał Piotr uprzejmie.

– Nie, nie, bardzo dziękujemy – odrzekł pan Vignerona, który na chwilę wyszedł na korytarz.

– Ach, przeżyliśmy ciężki moment! Proszę tylko pomyśleć, jednak, i taki ukochany!

Dokoła nich, pora śniadania wprawiała w ruch cały hotel. Wszystkie drzwi trzaskały, korytarze i klatka schodowa tętniły od ciągłej bieganiny. Trzy dorastające panienki przemknęły z rozwianymi spódnicami. Małe dzieci płakały w głębi sąsiedniego pokoju. Spieszyli wespół przytomni starzy ludzie, wystraszeni księża, którzy z uszczerbkiem dla swej powagi oburącz poddzierali sutanny, aby nie zawadzały w biegu. Od góry do dołu trzeszczały deski pod zbyt wielkim ciężarem tłoczących się ludzi. Pokojówka, niosąca śniadanie na wielkiej tacy, zapukała do drzwi samotnego pana, które długo się nie otwierały; wreszcie uchyliły się ukazując cichy pokój, gdzie siedział odwrócony plecami samotny pan; gdy służąca wyszła, drzwi dyskretnie się za nią zamknęły.

– O, mam nadzieję, że to się już skończyło i że Najświętsza Panna go uleczy – powtórzył pan Vigneron nie chcąc wypuścić swoich dwóch sąsiadów. – Idziemy na śniadanie, bo muszę się panom przyznać, że po tym wszystkim żołądek mam skurczony i jestem bardzo głodny.

Gdy Piotr i pan de Guersaint zeszli po schodach, zmartwili się nie widząc żadnego wolnego stolika w sali jadalnej. Tłoczyło się tam mnóstwo ludzi, a nieliczne wolne miejsca już były zarezerwowane. Kelner oznajmił im, że między dziesiątą a pierwszą na sali panuje ogromny ruch dzięki doskonałemu apetytowi przybyszów, zaostrzonemu pod wpływem górskiego powietrza. Musieli więc cierpliwie poczekać i prosili kelnera, aby ich zawiadomił, gdy znajdą się dwa wolne nakrycia. Nie wiedząc, co z sobą zrobić, poszli się przejść pod arkadami hotelu od strony ulicy, gdzie nieustannie defilowała cała wystrojona ludność.

Ale w tej chwili ukazał się na biało ubrany właściciel hotelu „Objawień”, imćpan Majeste we własnej osobie, i odezwał się nadzwyczaj uprzejmie:

– Może panowie chcieliby zaczekać w salonie?

Był to tęgi człowiek lat czterdziestu pięciu, który starał się po królewsku nosić swoje nazwisko. Łysy, bez zarostu, o niebieskich, okrągłych oczach w woskowej twarzy, z trzema podbródkami, zachowywał się z wielką godnością. Przybył tu z Nevers, z zakonnicami prowadzącymi sierociniec, i ożenił się z mieszkanką Lourdes, małą i czarną. We dwójkę, w niespełna dziesięć lat uczynili ze swego hotelu najbardziej okazały i wzięty zakład w mieście. Od paru lat dołączyli do niego sklep z dewocjonaliami, który mieścił się po lewej stronie w obszernym lokalu, a prowadziła go ich młoda siostrzenica pod nadzorem pani Majeste.

– Czy panowie chcieliby usiąść w salonie? – powtórzył hotelarz, pełen uszanowania dla duchownej szaty Piotra.

Ale oni obaj woleli wyjść i poczekać na świeżym powietrzu. Jednakże pan Majestè nie opuścił ich, postanowił bowiem pogawędzić z nimi, jak to miał w zwyczaju, gdy chodziło o klientów, którym chciał okazać szczególne względy. Rozmowa potoczyła się najpierw na temat wieczornej procesji z pochodniami, która zapowiadała się wspaniale wobec pięknej pogody. W Lourdes było ponad pięćdziesiąt tysięcy przybyszów, stawili się też kuracjusze ze wszystkich

pobliskich miejsc kąpielowych, wobec czego zrozumiwały był tłok przy stolikach hotelowych. Możliwe, że w mieście zabraknie wkrótce chleba, jak się to zdarzyło w zeszłym roku.

– Widzą panowie ten zjazd – zakończył Majestè – nie mamy już gdzie głowy skłonić. To doprawdy nie nasza wina, że muszą panowie trochę poczekać. W tej chwili wszedł listonosz z torbą pełną gazet i listów, które złożył w biurze na stole. Trzymając w ręku jeszcze jeden, ostatni list zapytał:

– Nie mieszka tu u was pani Maze?

– Pani Maze, pani Maze – powtórzył hotelarz. – Nie, nie, na pewno.

Usłyszał to Piotr, więc zbliżył się i rzekł:

– Pani Maze... zdaje się, że taka pani zajechała do sióstr Niepokalanego Poczęcia, Sióstr Błękitnych, jak je tutaj nazywają.

Listonosz podziękował i odszedł. Ale na ustach pana Majestè ukazał się gorzki uśmiech.

– Błękitne Siostry – mruknął – aha, Błękitne Siostry...

Rzucił ukośne spojrzenie na sutannę Piotra i przerwał nagle, bojąc się, że powie za dużo. Ale zbyt wiele miał na sercu, musiał sobie ulżyć, a ten młody ksiądz z Paryża był zapewne umysłem niezależnym i nie należał chyba do tej bandy, jak hotelarz nazywał wszystkich obsługujących Grotę, wszystkich, którzy zbijali pieniądze na Matce Boskiej z Lourdes. Po chwili zaryzykował:

– Proszę księdza, przysięgam, że jestem dobrym katolikiem. Jak zresztą my wszyscy tutaj. Jestem praktykujący, przystępuję do komunii... Ale doprawdy muszę powiedzieć, że to nie uchodzi, aby zakonnice utrzymywały hotel! Nie, nie, nie uchodzi!

I wyzionął z siebie urazę handlowca, który spotyka się z nieuczciwą konkurencją. Czy te Siostry Niepokalanego Poczęcia, te Siostry Błękitne, nie powinny by pilnować swoich spraw? Niech sporządzają hostie, niech utrzymują w porządku i czystości obrusy kościelne! A tymczasem przerobiły swój klasztor na ogromny hotel, gdzie samotne damy mogły otrzymać osobny pokój i jadać przy wspólnym stole, chyba że wołały, aby podawano im osobno. Wszystko to było bardzo czyste, doskonale zorganizowane i niedrogie, a to dzięki tysiącnym ułatwieniom, z jakich zakonnice korzystały. Żaden hotel w Lourdes nie pracował w takich warunkach.

– I czy to wypada? Zakonnice sprzedające zupę! Proszę jeszcze zważyć, że przełożona to osoba z głową na karku. Gdy zobaczyła, że tam można zrobić majątek, postanowiła wszystko zagarnąć dla swego klasztoru i odsunęła zupełnie zakonników z Groty, którzy również usiłowali położyć na tym rękę. Tak, proszę księdza, pojechała do Rzymu, wygrała sprawę i teraz chowa do kieszeni cały dochód. Boże, zakonnice, zakonnice wynajmują umeblowane pokoje i prowadzą restaurację! Podniósł ręce ku niebu, brakowało mu tchu.

– Ale – zauważył łagodnie Piotr – przecież pański hotel jest przepełniony, nie ma pan ani wolnego łóżka, ani zbywającego talerza, więc gdzie by pan pomieścił podróżnych, gdyby ich przyjechało jeszcze więcej?

Majestè żywo zakrzyknął:

– Ach, proszę księdza, zaraz widać, że ksiądz nie zna tych stron! Prawda, że podczas pielgrzymki narodowej pracujemy wszyscy i nie możemy się skarżyć... Ale to trwa cztery lub pięć dni; w zwykłym czasie ruch jest słabszy... O, co do mnie, dzięki Bogu, zawsze jestem zadowolony. Zakład jest znany, zalicza się do tej samej kategorii co hotel Groty, gdzie już zbito dwie fortuny... Nie o to chodzi, ale przykro patrzeć, jak te Siostry Błękitne zabierają najlepszą klientelę, panie z zamożnych sfer mieszczańskich, które spędzają w Lourdes po dwa, trzy tygodnie, i to w okresach ciszy, gdy nie przyjeżdża wiele ludzi. Ksiądz rozumie przecież: te dobrze wychowane osoby nie lubią zgiefku, chodzą modlić się do Groty samotnie, na całe dni, płacą hojnie i nigdy się nie targują.

Pani Majestè, której Piotr i pan de Guersaint dotąd nie zauważyli, bo schylona nad wykazami sumowała rachunki, wmszała się do rozmowy swoim ostrym, głosem:

– W zeszłym roku, proszę panów, mieliśmy taką klientkę przez dwa miesiące. Wychodziła do Groty, wracała, znowu tam szła, jadła i kładła się spać. Nigdy złego słowa, zawsze uśmiech zadowolenia. Zapłaciła rachunek i nawet do niego nie zajrzała! I jak tu nie żałować takich gości!

Wstała, niska, chuda, silna brunetka, cała ubrana czarno, w małym płaskim kołnierzyku. I ona nie zanieczywała interesów.

– Jeżeli panowie chcieliby nabyć jakieś drobne pamiątki z Lourdes, proszę o nas nie zapominać. Mamy tu obok sklep, gdzie panowie znajdą wielki wybór rzeczy najbardziej poszukiwanych. Osoby zajeżdżające do naszego hotelu wołają czynić zakupy u nas niż gdzie indziej.

Ale Majestè znowu potrząsnął głową z miną dobrego katolika, który boleje nad zepsuciem swojej epoki.

– Oczywiście, nie chciałbym uchybić szacunkowi należnemu czcigodnym zakonnikom, a jednak trzeba wyznać, że są zbyt zachłanni. Widzieli panowie sklep, który otworzyli obok Groty, ten sklep zawsze pełny, gdzie sprzedają dewocjonalia i świece? Wielu księży przyznaje, że to wstyd i że trzeba znowu wygnać przekupniów ze świątyni... Wedle tego, co ludzie mówią, zakonnicy są także cichymi współnikami wielkiego sklepu naprzeciwko nas, po drugiej stronie ulicy, który zaopatruje detalistów miejscowych. A wreszcie, jeśli wierzyć plotkom, mają udział w całym handlu przedmiotami kultu, pobierają z góry pewien procent od tych milionów różańców, figurek i medalików, które corocznie sprzedaje się w Lourdes.

Ściszył głos, gdyż jego oskarżenia stawały się coraz bardziej sprecyzowane, ale drżał z ochoty, aby zwierzyć się ze wszystkim tym przybyszom. Łagodna, skupiona twarz Piotra budziła w nim zaufanie; mówił więc dalej, z namiętnością zranionego konkurenta, zdecydowanego nic nie pominąć milczeniem.

– Bardzo bym sobie życzył, aby to wszystko okazało się przesadą. Niemniej jednak prawdą

jest, że to wielka ujma dla religii, kiedy ludzie widzą, że duchowne osoby prowadzą sklepy jak każdy z nas... Czy ja na przykład będę miał udział w dochodach za msze albo upomnę się o procent z podarków, jakie oni otrzymują? Więc czemu oni biorą się do handlu tym, czym ja handluję? Ostatni rok był nieszczęśliwy, właśnie przez nich. I tak jest nas za dużo, wszyscy handlują Panem Bogiem w Lourdes, tak że zabrakło już chleba do jedzenia i wody do picia... Ach, proszę księdza, mimo że mamy tutaj Najświętszą Pannę, czasami sprawy nasze idą bardzo źle!

Odwołał go jakiś podróżny, ale wrócił właśnie w chwili, gdy po panią Majestè przyszła jakaś młoda dziewczyna. Pochodziła z Lourdes, była bardzo ładna, drobna i pulchna, z pięknymi czarnymi oczyma, twarzą dość szeroką, o wyrazie pogodnym i wesołym. – To nasza siostrzenica Appolina – mówił dalej Majestè. – Jest córką ubogiego brata mojej żony, pasła owce w Bartres; gdy zobaczyliśmy, jaka z niej miła dziewczyna, postanowiliśmy wziąć ją tutaj; i nie żałujemy, bo to osóbką pełną zalet i wykształciła się na doskonałą sprzedawczynię.

Nie powiedział natomiast, że o Appolinie krążyły dość frywolne wieści. Widywano ją spacerującą wieczorami w towarzystwie młodych ludzi na brzegach Gave. Ale istotnie była cenną siłą, przyciągała klientelę, może sprawiały to jej duże czarne oczy, które tak chętnie się śmiały. W poprzednim roku Gerard de Peyrelongue całymi dniami przesiadywał w sklepie; w tym roku nie przyszedł, zapewne z powodu swoich małżeńskich planów. Zdawało się, że miejsce jego zajął szarmancki ksiądz Des Hermoises, który przyprowadzał wiele pań, aby tam czyniły zakupy.

– Ach, mówicie panowie o Appolinie – rzekła pani Majestè wróciwszy ze sklepu. – Panowie nie zauważyli, zdaje się, jej niezwykłego podobieństwa do Bernadety. Proszę, tam na ścianie wisi fotografia Bernadety, gdy miała osiemnaście lat.

Piotr i pan de Guersaint podeszli, a pan Majestè zawołał:

– Bernadeta była jak dwie krople wody podobna do Appoliny, ale brzydsza, a przy tym smutna i żalonna!

Wreszcie ukazał się kelner i oznajmił, że jeden mały stolik jest wolny. Pan de Guersaint już dwa razy zaglądał do sali jadalnej, bardzo bowiem chciał już zjeść śniadanie i znaleźć się na dworze w piękną niedzielę. Toteż pośpieszył się, nie słuchając już pana Majestè, który zauważył z miłym uśmiechem, że panowie nie czekali zbyt długo. Stolik stał w głębi, musieli przejść przez całą salę, z jednego końca na drugi.

Sala była długa, wyłożona jasnym dębem, wymalowana jasną olejną farbą, która już zaczynała się łuszczyć, i popryskana plamami. Widać było, że wszystko tutaj szybko się zużywa i brudzi, przy ustawicznym galopie żarłoków, którzy zasiadali przy tych stołach. Cały luksus reprezentowany był przez garnitur na kominku: połyskujący złotem zegar, obok którego stały dwa mizerne kandelabry. W pięciu oknach wychodzących na ulicę, na pełne słońce, wisiały

jeszcze gipiurkowe firanki. Spuszczone stopy przepuszczały jednak płomienne strzały. Pośrodku czterdziestu biesiadników tłoczyło się przy wspólnym stole, długim na osiem metrów, który z trudem mógł pomieścić trzydziestu; przy małych stolikach, po prawej i lewej stronie, pod ścianami, cisnęło się drugich czterdzieści osób, potrącanych w przejściu przez trzech kelnerów. Wchodzących od pierwszej chwili ogłaszał niezwykle hałas, gwar głosów, szczęk sztućców i talerzy; zdawało się im, że wchodzi w jakieś wilgotne światło, że twarze chłoszcze im gorąca para, obciążona duszącym zapachem potraw.

Piotr w pierwszej chwili był jak oślepiiony. Potem, gdy usadowił się przy małym, wniesionym tu chwilowo, ogrodowym stoliku, na którym dwa nakrycia stykały się z sobą, z przykrością, a nawet z pewnym obrzydzeniem popatrzał na stół ogólny, który objął jednym spojrzeniem. Pożywiano się już od godziny, przeszły tedy kolejno dwie partie podróżnych, nakrycia leżały w nieładzie, obrusy były poplamione winem i sosami. Nikt nie troszczył się już o symetrię kompotierek zdobiących stół. Ale najprzykrzejsze wrażenie wywierał sam tłum jedzących: grubych księży, wątych dziewcząt, wylewnych mam, samotnych, bardzo czerwonych panów, rzędem usadowionych rodzin, których kolejne generacje były coraz brzydsze i żałośniejsze. Wszyscy ci ludzie pocili się, głośno łykali i siedząc bokiem, z łokciami przyciśniętymi do ciała, z trudem poruszali rękoma. Wśród tych żarłocznych apetytów, udzięciokrotnionych przez zmęczenie, wśród pośpiechu, aby się napchać i jak najprędzej powrócić do Groty, siedział pośrodku stołu tęgi ksiądz, który się nie śpieszył, nabierał z każdego półmiska z roztropną powolnością, a szczęki jego pracowały godnie i bez przerwy.

– Do diabła! – rzekł pan de Guersaint. – Chłodno tu nie jest. Mimo to chętnie coś zjem; bo nie wiem dlaczego, ale odkąd znalazłem się w Lourdes, mam wilczy apetyt... A ty jesteś głodny?

– Tak, tak, zjem coś – odrzekł szczerze Piotr.

Menu było obfite: łosoś, omlet, kotlety z purée kartoflanym, cynaderki smażone, kalafior, zimne mięso i tort brzoskwiniowy; wszystko zbyt wypieczone, tonące w sosie, mdłe, zwłaszcza z powodu przypalonego tłuszczu. Ale w kompotierach były wcale ładne owoce, piękne brzoskwinie. Zresztą biesiadnicy nie wyglądali na wybrednych i wrażliwych na smaki i zapachy. Subtelna, urocza, młoda dziewczyna, o czułych oczach i jedwabistej cerze, wtłoczona między starego księdza i bardzo niechlujnego, brodatego pana, z błogą miną jadła cynaderki, pływające w szarej cieczy, która miała być sosem.

– Daję słowo – rzekł znowu pan de Guersaint – ten łosoś wcale niezły... Posól tylko trochę, a będzie wyborny!

I Piotr musiał jeść; bo należało się wzmocnić. Przy pobliskim stoliku zobaczył właśnie panie Vigneron i Chaise. Zeszły pierwsze i czekały siedząc naprzeciw siebie, wkrótce zaś ukazał się pan Vigneron z synem Gustawem, który był jeszcze blady i ciężiej niż zwykle opierał się na kuli.

– Usiądź koło cioci – rzekł pan Vigneron. – Ja usiądę koło mamy. – Po chwili, spostrzegłszy

sąsiadów, podszedł do nich. – O, zupełnie wrócił do siebie! Właśnie natarłem go wodą kolońską, będzie mógł zaraz wziąć kąpiel w sadzawce.

Zasiadł do stołu i zabrał się żarłocznie do jedzenia. Ale to była historia! Nie mógł się powstrzymać, aby wciąż, i to na głos, nie wracać do tego tematu, tak bardzo się przeraził, że Gustaw umrze przed ciotką. Tymczasem ciotka opowiadała, że wczoraj, klęcząc przed Grotą, uczyła nagle wielką ulgę; pochlebiała sobie, że jest wyleczona z choroby serca, podawała dokładne szczegóły, szwagier zaś słuchał tego z okrągłymi oczyma, w których mimo jego chęci malował się niepokój. Był niezłym człowiekiem, nikomu nigdy śmierci nie życzył, ale oburzeniem napełniała go myśl, że Najświętsza Panna miałaby uzdrowić leciwą kobietę, a zapomnieć o jego tak młodym synu. Był już przy kotletach, pożerał purée kartoflane, nabierając wielkie porcje na widelec, kiedy mu się wydało, że pani Chaise dąsa się na siostrzeńca.

– Gustawie – zapytał nagle – czy przeprosiłeś ciocię? Chłopiec, zdziwiony, szeroko otworzył wielkie jasne oczy

w wychudłej twarzy.

– Tak, byłeś niegrzeczny, odepchnąłeś ją na górze w pokoju, gdy się do ciebie zbliżyła.

Pani Chaise, bardzo godna, milczała i czekała; Gustaw, który bez apetytu kończył kotlet pokrajany na małe kawałki, wzrok miał wbity w talerz, buntując się tym razem przeciwko smutnemu obowiązкови okazywania narzuconej mu czułości.

– No, Gustawie, bądź grzeczny, wiesz przecież, jaka ciocia jest dobra i ile zamierza dla ciebie uczynić.

Me, nie, on nie ustąpi. Nie cierpiał tej kobiety, która nie umierała dość szybko i nie pozwalała mu cieszyć się miłością rodziców, bo widząc ich krzątających się przy nim nie wiedział już, co właściwie pragnęli ocalić: jego czy spadek, jaki zapewniało im utrzymanie go przy życiu. Ale pani Vignerona z wielką godnością stanęła po stronie męża.

– Doprawdy, Gustawie, sprawiasz mi ogromną przykrość. Przepróż ciocię, jeżeli nie chcesz, abym się całkiem na ciebie pogniewała.

I Gustaw ustąpił. Po cóż walczyć? Czyż nie lepiej, aby rodzice mieli te pieniądze? Czyż on sam z kolei potem nie umrze, co będzie pomyślne dla interesów rodziny? Wiedział, rozumiał wszystko, nawet to, co przemilczano, bowiem choroba tak bardzo wysubtelniła jego słuch, że chwycił nawet myśli,

– Ciociu, proszę o przebaczenie, że przed chwilą byłem wobec ciebie niegrzeczny.

Dwie duże łzy spłynęły z jego oczu, chociaż uśmiechał się jak dorosły człowiek, wrażliwy i pozbawiony złudzeń, który wiele już przeżył. Pani Chaise natychmiast go uściskała, zapewniając, że się nie gniewa; i niezmacona radość życia znów zakwitła w rodzinie Vignerona.

– O ile cynaderki nie są nadzwyczajne – rzekł pan de Guersaint do Piotra – za to kalafiory są doskonałe.

Na całej sali odbywało się hałaśliwe pochłanianie potraw. Piotr nigdy jeszcze nie widział ludzi jedzących tak dużo, w takim pocie, zaduchu i gorącu godnym pralni. Zapach jedzenia gęstniał jak dym. Aby się usłyszeć, trzeba było krzyczeć, gdyż biesiadnicy rozmawiali bardzo głośno, zagonieni kelnerzy szczękali talerzami, a ponadto wyraźnie rozlegał się odgłos żujących szczęk, które pracowały niby kamienie młyńskie. Coraz bardziej raził młodego księdza niezwykle zbity tłum ludzi przy tym hotelowym stole, gdzie mężczyźni, kobiety, młode dziewczęta, duchowni tłoczyli się jak popadło i zaspokajali głód jak spuszczone ze smyczy sfera, która szybko pochłania kawały stawy. Kosze z chlebem krążyły i pustoszały. Odbywała się masakra zimnych mięs, wszelkich resztek mięsa z dnia poprzedniego, baraniny, cielęciny, szynki, garniowanych zwałami przezrzystej galarety. Wiele już zjedzono, a jednak mięsa budziły nowy apetyt, bo wiadomo, że nie należy nic zostawiać. Ksiądz żarłok pośrodku stołu marudził przy owocach, jadł już trzecią brzoskwinie (a brzoskwinie były ogromne), pomału obdzierał ją ze skórki i w skupieniu łykał po małym kawałeczku.

Nagle całą salę ogarnęło podniecenie: kelner roznosił pocztę, którą posegregowała przedtem pani Majestè.

– Patrzcie – rzekł pan Vigneron – list do mnie. To dziwne. Nie podawałem adresu nikomu. – Potem przypomniał sobie: – Ach, tak, to zapewne od Sauvageota, który zastępuje mnie w Ministerstwie.

Gdy otworzył list, ręce mu zaczęły drżeć, zawołał:

– Szef umarł!

Wzburzona pani Vigneron nie umiała utrzymać języka na wodzy.

– Ach, więc zamianują ciebie!

Było to ich skryte marzenie, wypieszczone: śmierć szefa biura, aby on, jego zastępca od lat dziesięciu, mógł wreszcie uzyskać najwyższy stopień, swoją marszałkowską buławę. Radość pana Vigneron była tak wielka, że na nic już nie zważał.

– O moja droga, widocznie Najświętsza Panna czuwa nade mną... Jeszcze dzisiaj rano prosiłem ją o awans, i wysłuchała mnie!

Nagle uświadomił sobie, że nie powinien okazywać takiej radości, napotkał bowiem oczy pani Chaise utkwione w jego oczach i zobaczył uśmiech swego syna, Gustawa. Widocznie każdy członek rodziny dbał o swoje sprawy i prosił Marię Pannę o osobiste, potrzebne mu łaski. Toteż pan Vigneron dodał ze swą miną zacnego człowieka:

– Chcę powiedzieć, że Najświętsza Panna kocha nas wszystkich i że wszystkie nasze prośby będą wysłuchane... Ach, ten biedny szef... bardzo się zmartwiłem. Muszę napisać do wdowy.

Mimo iż usiłował się pohamować, nie wątpił już, że spełnią się wreszcie jego najskrytsze marzenia, nawet te, z którymi się nigdy nie zdradzał. Tort brzoskwinowy został uroczyście spożyty, nawet Gustawowi pozwolono zjeść mały kawałek.

– Bardzo mnie dziwi – rzekł do Piętra pan de Guersaint, który kazał sobie podać filiżankę kawy – bardzo mnie dziwi, że nie widać tutaj więcej chorych. Ten cały tłum zdaje się mieć znakomity apetyt.

Jednakże oprócz Gustawa, który żywił się okruszynami, jak ptaszek, zobaczył jeszcze jakiegoś człowieka z wolem, siedzącego przy wspólnym stole między dwiema kobietami, z których jedna na pewno miała raka. Dalej siedziała młoda dziewczyna, tak chuda i blada, że należało ją posądzać o suchoty, a naprzeciwko idiota, który wszedł prowadzony przez, dwie krewne, a teraz, z pustym wejrzeniem i martwą twarzą, pożerał strawę łyżkami, aż ślina kapiała na serwetę. Może byli tam inni jeszcze chorzy, zagubieni wśród tych hałaśliwych żarłoków, chorzy, których tak podnieciła podróż, że jedli, jak się im to już od dawna nie zdarzyło. Tort brzoskwiniowy, ser, owoce, wszystko zniknęło w otchłani, wśród rozrzuconego naczynia, i wkrótce miały pozostać już tylko plamy z sosu i wina rozlane na obrusach.

Zbliżało się południe.

– Zaraz wracamy do Groty, prawda? – rzekł pan Vigneron. Zresztą zewsząd słyhać było te słowa: „Do Groty! Do Groty!”

Pełne usta śpieszyły się, powracały do modlitw i nabożnych pieśni.

– Wiesz co? – oświadczył towarzyszowi pan de Guersaint. – Ponieważ mamy przed sobą wolne popołudnie, proponuję ci, abyśmy zwiedzili trochę miasto; ja spróbuję wynająć powóz na wycieczkę do Gavarnie, skoro życzy sobie tego moja córka.

Piotr, któremu już brakło tchu, szczęśliwy był, że wyszli z sali jadalnej. Pod arkadami odetchnął. Ale tutaj natknęli się na nową falę biesiadników, którzy czekali w kolejce na wolne miejsca; sprzeczano się o małe stoliki, zajmowano natychmiast najmniejszą szczelinę przy wspólnym stole. Atak trwał jeszcze przeszło godzinę, menu wędrowało i zniknęło w otchłani, szczyki pracowały, upał i zaduch wciąż rosły.

– Ach, przepraszam, ale muszę jeszcze pójść na górę – rzekł Piotr – zapomniałem pieniędzy.

Na górze, w ciszy schodów i pustych korytarzy, zbliżając się do drzwi swego pokoju, usłyszał lekki szmer. W głębi sąsiedniego pokoju rozległ się cichy śmiech, który nastąpił po zbyt głośnym dźwięku, jaki wydał widelec, a potem nieuchwytny, raczej odgadnięty niż usłyszany, dreszcz pocałunku, ust składanych na listach, aby nakazać im milczenie. Samotny pan również jadł śniadanie...

II

Piotr i pan de Guersaint szli powoli wśród stale gęstniejącej fali odświętnie wystrojonego tłumu. Niebo miało barwę czystego błękitu, słońce rozpalało ulice miasta; w powietrzu unosiła się świąteczna wesołość, żywa radość wielkich jarmarków, która w pełnym świetle ukazuje życie

danego ludu. Gdy zeszli na zatłoczony chodnik Alei Groty, musieli się zatrzymać na rogu terasy Merlasse, tyle tłoczyło się ludzi wśród nieprzerwanie toczących się pojazdów.

– Nie śpieszy się nam – powiedział pan de Guersaint. – Mam zamiar wspiąć się na plac Marcadal na starym mieście; służąca w hotelu wskazała mi bowiem fryzjera, którego brat wynajmuje niedrogo powozy... Czy mógłbyś pójść ze mną?

– Ja? – zawołał Piotr. – Ależ pójdę, dokądkolwiek pan sobie życzy!

– Doskonale, a przy okazji każę się ogolić.

Na placu Różańca Świętego, przed skwerami ciągnącymi się aż do rzeki, zatrzymało ich nowe spotkanie. Stały tam pani Desagneaux i Rajmunda de Jonquière i wesoło rozmawiały z Gerardem de Peyrelongue. Obie miały na sobie letnie jasne suknie, a ich białe jedwabne parasolki połyskiwały w jaskrawym słońcu. Te trochę światowej paplaniny i młodego, ożywczego śmiechu zabrzmiało jak melodia.

– Nie, nie – powtarzała pani Dètagneaux – na pewno nie pójdziemy zwiedzać pańskiej garkuchni teraz, kiedy wszyscy pańscy koledzy pożywiają się.

Gerard nalegał, bardzo szarmancki, zwracając się zwłaszcza do Rajmundy, której nieco za pełna twarz jaśniała dziś promiennym urokiem zdrowia. – Ależ zapewniam, że to bardzo interesujące i że spotkają się panie z najlepszym przyjęciem... Pani, panno Rajmundo, może oddać się pod moją opiekę; a zresztą na pewno zastaniemy tam mego kuzyna Berthaud, który będzie zachwycony mogąc czynić honory domu w naszej siedzibie.

Rajmunda uśmiechała się, jej żywe oczy wyrażały zgodę. Właśnie w tej chwili podeszli Piotr i pan de Guersaint, aby przywitać panie. Natychmiast objaśniono ich, o co rzecz idzie. Garkuchnią nazywano coś w rodzaju restauracji czy jadłodajni, którą zorganizowali członkowie Schroniska Matki Boskiej Wybawicielki, pielęgniarze Groty, łazienek i szpitali, aby jadać wspólnie i niedrogo. Ponieważ wielu z nich byli to ludzie niezamożni, jako że członkowie Schroniska rekrutowali się ze wszystkich warstw, zdołali, wpłacając po trzy franki, zapewnić sobie trzy solidne posiłki dziennie; pozostawało im nawet co dzień trochę jedzenia, które rozdawali biednym. Ale zarządzali wszystkim sami, sami kupowali artykuły żywnościowe, najmowali kucharza, pomocników, a w razie potrzeby nie odmawiali nawet własnej pracy, aby utrzymać lokal w przyzwoitym stanie.

– To musi być ogromnie interesujące – zawołał pan de Guersaint.

– Chodźmy więc to zobaczyć, o ile nie będziemy przeszkadzać.

Teraz i mała pani Desagneaux wyraziła zgodę.

– Jeżeli pójdziemy całym towarzystwem, to inna sprawa. Przedtem bałam się, że to może niestosowne.

A ponieważ śmiała się, zaczęli się śmiać wszyscy. Przyjęła ramię pana de Guersaint, a Piotr szedł po lewej stronie, pełen sympatii dla tej drobnej kobiety, tak żywotnej, tak uroczej

z rozrzuconymi blond włosami i mleczną cerą.

Za nimi szła Rajmunda pod rękę z Gerardem i rozmawiała z nim swoim dobrze postawionym głosem, jak panna bardzo rozsądna przy pozorach beztroskiej młodości. A ponieważ trafiał się jej wreszcie tak upragniony kandydat na męża, obiecywała sobie, że tym razem zdobędzie go na pewno. Toteż starała się zawrócić mu głowę świeżością ładnej dziewczyny, zadziwić go swoją praktycznością w dziedzinie spraw domowych, umiejętnością oszczędzania nawet na drobiazgach: kazała sobie opowie – dzieć, jak robili zakupy, i przekonywała go, że mogliby jeszcze ograniczyć wydatki.

– Na pewno jest pani ogromnie zmęczona? – zapytał panią Desagneaux pan de Guersaint.

Oburzyła się i zawołała z prawdziwą złością:

– Ależ nie! Proszę sobie wyobrazić, że nie umiałam zapanować nad zmęczeniem i zasnąłam wczoraj wieczór po północy na fotelu w naszym szpitalu! Moje panie pozwoliły mi spać!

Znowu wszyscy się roześmiali. Ale ona wciąż jeszcze nie mogła się uspokoić.

– I dzięki temu spałam jak suseł osiem godzin! Ja, która przysięgłam, że będę czuwać całą noc.

Wreszcie i ona poddała się, wybuchnęła śmiechem ukazując śliczne białe zęby.

– Ładna mi pielęgniarka, prawda?... I biedna pani de Jonquiè-re czuwała do rana. Na próżno chciałam ją skusić i namówić, aby wyszła z nami.

Rajmunda, która to słyszała, rzekła głośniejszym głosem:

– Och tak, biedna mama już nie mogła się utrzymać na nogach. Zmusiłam ją, aby położyła się do łóżka, przysięgłam jej, że może spać spokojnie, bo wszystko będzie w największym porządku.

I rzuciła Gerardowi jasne, roześmiane spojrzenie. Wydało mu się nawet, że czuje nieuchwytny nacisk jędrnego i okrągłego ramienia na jego ramię, jak gdyby ona chciała mu okazać, że jest szczęśliwa znalazłszy się sama z nim i że mogą razem, bez udziału osób trzecich, omawiać swoje drobne sprawy. Był tym zachwycony; dodał jeszcze, że nie jadł dziś z kolegami, ponieważ pewna zaprzyjaźniona rodzina, będąc już na wyjeździe, zaprosiła go do bufetu na dworcu, i że teraz, po odejściu pociągu o godzinie jedenastej trzydzieści, jest wolny.

– A to zuchy! – mówił dalej. – Słyszysz ich pani?

Byli już na miejscu i rzeczywiście słyszeli wielki gwar młodości unoszący się od grupy drzew, pod którymi mieścił się stary budynek o otynkowanych ścianach, kryty blachą cynkową; tu mieściła się „garkuchnia”. Naprzód musieli przejść przez kuchnię, wielką, bardzo praktycznie urządzonej izbę, z ogromnym paleniskiem – skiem, wielkimi kotłami i dużym stołem; Gerard zwrócił uwagę gości, że kucharz, gruby, wesoły mężczyzna, również nosi na białej bluzie czerwony krzyż, należy bowiem do pielgrzymki. Następnie otworzył jakieś drzwi i wprowadził ich do wspólnej sali.

Była to wielka izba, gdzie w dwóch rzędach stały zwykle sosnowe stoły. Poza tym był tylko jeszcze jeden stół, gdzie składano naczynia, i pospolite, wyplatane słomą krzesła. Ale bielone ściany, czerwona błyszcząca podłoga, wszystko wydawało się bardzo czyste w swej zamierzonej surowości klasztornej refektarza. A przede wszystkim, co kazało uśmiechać się już od progu, to dziecinna wesołość około stu pięćdziesięciu biesiadników w różnym wieku, którzy jedli z doskonałym apetytem, krzyczeli, śpiewali, klaskali w ręce. Niezwykle braterstwo łączyło tych ludzi, przybyłych z różnych stron, z różnych warstw społecznych, różnie sytuowanych, z wszystkich części kraju. Nie znali się poza tym, stykali się co roku przez trzy dni, żyli jak bracia, a potem rozjeżdżali się i nic już o sobie nie słyszeli. Pięknie było tak odnajdywać się w miłosierdziu, przeżyć trzy dni wspólnie w ogromnym trudzie i dziecinnej radości; pomалу zmieniało się to wszystko w zabawę dużych chłopców, którzy wymknęli się razem przy pięknej pogodzie, szczęśliwi, że im z sobą dobrze i wesoło. Do ogólnie dobrego humoru walenie przyczyniała się prostota wikt, duma z samodzielności, z tego, że się je to, co się samemu kupiło i kazało zgotować.

– Jak państwo widzą – wyjaśniał Gerard – nie jesteśmy wcale smutni mimo ciężkiej pracy... Schronisko liczy ponad trzystu członków, ale tutaj jest tylko stu pięćdziesięciu stołowników, gdyż dla ułatwienia obsługi w Grocie i szpitalach musiano podzielić wszystkich na dwie grupy.

Widok małej grupki gości stojącej w progu podwoił jeszcze, jak się zdawało, ogólną wesołość. I Berthaud, zwierzchnik pielęgniarzy, który jadł u końca stołu, wstał rycersko, aby powitać panie.

– Ale tu bardzo ładnie pachnie! – zawołała pani Desagneaux z zabawną miną. – Czy panowie nie zaprosiliby nas na jutro, abyśmy skosztowali waszej kuchni?

– O, nie, pań nie możemy zaprosić – odrzekł śmiejąc się Berthaud. – Gdyby natomiast panowie zechcieli być jutro naszymi gośćmi, sprawiliby nam wielką przyjemność.

Jednym rzutem oka ocenił porozumienie panujące pomiędzy Gerardem i Rajmunda i wydawał się zachwycony, gdyż gorąco pragnął tego małżeństwa dla swego kuzyna.

– Czy to nie jest margrabia de Salmon-Roquebert – zapytała dziewczyna – tam, między tymi dwoma młodymi ludźmi, którzy wyglądają jak chłopcy ze sklepu?

– Są to rzeczywiście – odrzekł Berthaud – synowie właściciela małej papierni z Tarbes... A to jest istotnie margrabia, pani sąsiad z ulicy de Lilie, właściciel tego wspaniałego pałacu, jeden z najbogatszych i najlepiej urodzonych ludzi we Francji... Proszę spojrzeć, jak zajada naszą potrawkę z baraniny!

Istotnie margrabia mimo swoich milionów zdawał się zupełnie zadowolony, że jada za trzy franki dziennie, demokratycznie, w towarzystwie drobnomieszczan, a nawet robotników, którzy nie ośmieliliby się mu ukłonić na ulicy. Czyż ci przypadkowi towarzysze przy stole nie tworzyli wspólnoty społecznej związanej wielkim miłosierdziem? Margrabia był tego ranka szczególnie

głodny, wykapał bowiem w sadzawce sześćdziesięciu chorych, mnóstwo wstrętnych chorób ludzkości. A dookoła niego, u tego stołu, urzeczywistniała się ewangeliczna wspólnota; ale może istniała ona tutaj, tak czarująca i wesoła, tylko dzięki temu, że miała trwać zaledwie trzy dni?

Pan de Guersaint, mimo że dopiero zjadł śniadanie, bardzo był ciekaw skosztować baraniej potrawki, po czym oświadczył, że jest znakomita. Tymczasem Piotr, który spostrzegł barona Suire, dyrektora Schroniska, przechadzającego się z pewną ostentacją, jak gdyby miał sobie za obowiązek czuwać nad wszystkim, nawet nad sposobem, w jaki posilali się jego podwładni, przypomniał sobie nagle o gorącym pragnieniu spędzenia nocy przed Grotą, z jakim zwierzyła mu się Maria; pomyślał, że baron mógłby wyjednać takie pozwolenie.

– Oczywiście – odrzekł z powagą baron – czasami zgadzamy się na to; ale to zawsze sprawa skomplikowana. Czy przynajmniej ksiądz może mnie zapewnić, że ta młoda osoba nie jest suchotnicą?... Dobrze, skoro ksiądz twierdzi, że ona tak tego pragnie, pomówię z ojcem Fourcade i uwiadomię panią de Jonquière, ażeby pozwoliła księdzu tam ją zawieźć.

W gruncie rzeczy był to pocziwiec, mimo swej miny człowieka niezastąpionego, uginającego się pod brzemieniem doniosłych spraw. I on z kolei zajął się gośćmi, podał im dokładne szczegóły dotyczące organizacji Schroniska: mówił o wspólnych modlitwach, o dwu naradach administracyjnych dziennie, w których uczestniczyli kierownicy personalni, a także ojcowie i niektórzy jałmużnicy. Do komunii przystępowano możliwie jak najczęściej. Poza tym było mnóstwo skomplikowanych spraw, jak ciągle luzowanie się personelu nadzwyczajnego, konieczność sprężystego kierowania mnóstwem ludzi. Mówił jak generał, który co roku odnosi wielkie zwycięstwa nad duchem epoki; polecił panu Berthaud, aby dokończył posiłku, a sam uparł się, że odprowadzi panie aż na małe, wysypane piaskiem podwórko, ocienione pięknymi drzewami.

– To bardzo ciekawe, bardzo ciekawe – powtarzała pani Desagneaux. – Och, serdecznie panu dziękujemy za tyle uprzejmości!

– Ależ nie ma za co, nie ma za co! To ja jestem zachwycony, że miałem sposobność pokazać państwu mój ludek.

Gerard nie opuszczał Rajmundy. Pan de Guersaint i Piotr porozumiewali się już wzrokiem, bo chcieli pójść nareszcie na plac Marcadal, gdy pani Desagneaux przypomniała sobie, że pewna przyjaciółka prosiła ją o przysłanie butelki wody z Lourdes. I zwróciła się do Gerarda z pytaniem, jak ma się do tego zabrać.

– Czy zechcą panie – rzekł – abym dalej był ich przewodnikiem? I jeżeli panowie zgodzą się pójść z nami, pokażę państwu najpierw magazyn, gdzie napełnia się butelki, korkuje, wkłada do skrzynek i wysyła. To bardzo interesujące.

Pan de Guersaint zgodził się od razu; i pięć osób poszło dalej, pani Desagneaux pomiędzy architektem i księdzem, a przed nimi Rajmunda i Gerard. Tłum gęstniał pod palącym słońcem na

placu Różańca Świętego, przelewał się niezdecydowany i ciekawy, jak w dzień publicznego święta.

Zresztą magazyn był blisko, po lewej stronie pod arkadami. Były to trzy kolejne pomieszczenia, bardzo zwyczajne. W pierw – szym napełniano butelki, i to w sposób najprostszy pod słońcem: mała cynkowa beczułka, pomalowana na zielono, ciągnięta przez jednego człowieka, dość podobna do beczek do podlewania trawników, przybywała pełna z Groty; przy jej kurku napełniano kolejno butelki z jasnego szkła, przy czym robotnik w ochronnej bluzie nie zawsze pilnował, aby woda nie przelewała się wierzchem. Na ziemi stale była kałuża. Butelki nie miały na sobie żadnej etykiety; jedynie ołowiana kapsła na pięknym korku miała napis wskazujący pochodzenie wody; pokrywano go czymś w rodzaju bieli ołowianej, zapewne dla konserwacji. Dwa pozostałe pomieszczenia służyły jako pakownie i miały odpowiednie urządzenia: były tam warsztaty, narzędzia, na ziemi stosy wiórów. Przede wszystkim sporządzano tam skrzynki na jedną lub dwie butelki, zgrabne skrzyneczki, w których butelki leżały na podściółce z cieniutkich wiórków. Przypominało to wysyłkowe kwaciarnie w Nicei lub magazyny kandyzowanych owoców w Grasse.

Gerard dawał wyjaśnienia z miną spokojną i zadowoloną.

– Jak państwo widzą, wodę przywozi się naprawdę z Groty, co zadaje oczywisty kłam niestosownym żartom krążącym na ten temat. I niczego się tu nie ukrywa, wszystko jest proste, odbywa się w biały dzień... Proszę też zwrócić uwagę, że zakonnicy nie sprzedają wody, jak im się to zarzuca. Pełna butelka wody, zakupiona tutaj, kosztuje dwadzieścia centymów, co stanowi cenę samego szkła. Jeżeli każecie ją państwo gdzieś wysłać, oczywiście dojdzie do tego koszt opakowania i wysyłki; będzie was wtedy kosztować franka i siedemdziesiąt centymów... Możecie zresztą dowolnie napełniać przy źródle manierki i naczynia, jakie się wam spodoba tam przynieść.

Piotr pomyślał, że w tym dziale dochody zakonników nie są wielkie; zarabiali oni bowiem jedynie na skrzynkach i butelkach, które kupowali hurtem, z pewnością nie płacąc po dwadzieścia centymów za sztukę. Ale Rajmunda, pani Desagneaux oraz pan de Guersaint, obdarzeni żywą wyobraźnią, byli bardzo rozczarowani widokiem małej zielonej beczki, kapsli powleczonych bielą ołowianą i wiórów piętujących się koło stołów. Widocznie wyobrażali sobie jakieś ceremonie, jakiś, rytuał przy butelkowaniu cudownej wody, księży w liturgicznych szatach, którzy błogosławili wodę przy wtórze dźwięcznych głosów małych ministrantów. Piotr na widok tego pospolitego napełniania butelek i ich pakowania pomyślał o aktywnej sile wiary. Gdy któraś z tych butelek dotrze wreszcie do pokoju chorego, gdy ją rozpakują, gdy chory pada na kolana, wpatrując się w nią z uniesieniem, i pije tę czystą wodę, a ona powraca mu zdrowie – jakże ogromna musi być wiara we wszechmocną iluzję, aby się dokonało!

– Ach – zawołał Gerard, gdy całe towarzystwo wychodziło – czy zanim pójdziemy do

administracji, zechcieliby państwo zwiedzić magazyn świec? To już bardzo blisko!

I nie czekając nawet na odpowiedź, pociągnął ich na drugą stronę placu Różańca Świętego, przy czym chodziło mu przede wszystkim o zabawienie Rajmundy. Co prawda, magazyn świec był jeszcze mniej zajmujący jak pakownia, z której właśnie wyszli. Pod arkadami, z prawej strony było podziemie, głęboka piwnica podzielona przegrodami z belek na obszerne klatki. W ich głębi piętrzył się dziwny zapas świec, posortowanych i ułożonych wedle wielkości. Drzemał tutaj nadmiar świec ofiarowanych w Grocie; a było ich co dnia takie mnóstwo, że specjalne wózki, na których składali je pielgrzymi przy kracie, wielokrotnie wyładowały je w przegrodach i wracały po nowy ciężar. Zasadą było, że każda ofiarowana świeczka musiała spłonąć u stóp Najświętszej Panny. Ale było ich za wiele i chociaż dwieście świec wszelkiej grubości paliło się dniem i nocą, nigdy nie udało się wyczerpać tego olbrzymiego zapasu, który wciąż się powiększał. I krążyły wieści, że zakonnicy zmuszeni byli odprzedawać воск. Niektórzy przyjaciele Groty sami przyznawali z pewną dumą, że już sam dochód ze świec wystarczyłby na prowadzenie całego przedsiębiorstwa.

Sama ich ilość zdumiewała Rajmunda i panią Desagneaux. Ile świec, ile świec! Zwłaszcza te małe, w cenie od dziesięciu su do franka, piętrzyły się w nieprawdopodobnych ilościach. Pan de Guersaint dopytywał się o cyfry i zapuściwszy się w statystykę zgubił się w niej. Piotr w milczeniu patrzył na ten stos wosku ofiarowanego na spalenie w pełnym słońcu, ku boskiej chwale; i chociaż nie był utylitarystą i rozumiał rozrzutność radości, iluzoryczne zadowolenie tak samo potrzebne człowiekowi jak chleb, nie mógł obronić się przed myślą o jałmużnach, jakie można by rozdać z pieniędzy uzyskanych za ten wszystek воск, który miał ulotnić się z dymem.

– No, dobrze, a co z tą butelką, którą mam wysłać? – zapytała pani Desagneaux.

– Pójdziemy do biura – odrzekł Gerard. – To sprawa pięciu minut.

Trzeba było raz jeszcze przejść przez plac Różańca Świętego i wejść po schodach prowadzących do Bazyliki. Biuro mieściło się na górze, po lewej stronie, u początku drogi na Kalwarię. Budynek był zupełnie lichy, otynkowana rudera, zniszczona przez wiatry i deszcze; na zwykłej desce wypisane były następujące słowa: „Tutaj należy kierować się w sprawach mszy, darów, bractw. Przyjmuje się intencje. Wysyłka wody z Lourdes. Abonament roczników Matki Boskiej z Lourdes.” Ileż milionów przepłynęło przez to nędzne biuro, które na pewno datowało się z okresu niewinności, gdy dopiero zakładano fundamenty pod sąsiednią Bazylikę.

Wszyscy weszli pełni zaciekawienia. Ale zobaczyli tylko okienko. Pani Desagneaux musiała się schylić, aby podać adres przyjaciółki; i kiedy wpłaciła franka siedemdziesiąt centymów, wręczono jej małe pokwitowanie, pasek papieru, jaki wydaje urzędnik przyjmujący bagaż na dworcu.

Gdy wyszli, Gerard wskazał obszerny budynek odległy o dwieście lub trzysta metrów i rzekł:

– Proszę popatrzeć, to siedziba ojców z Groty.

– Ale ich samych nigdy się nie widuje – zauważył Piotr. Młody człowiek, zdziwiony, przez chwilę nic nie odpowiedział.

– Oczywiście, nie widuje się ich nigdy, ponieważ na czas pielgrzymki narodowej przekazują wszystko, Grotę i całą resztę, ojcom od Wniebowzięcia.

Piotr przyglądał się budynkowi, który podobny był do warownego zamku. Okna były pozamykane, dom wyglądał jak nie zamieszkały. A jednak wszystko stamtąd się zaczynało i tam kończyło. I młodemu kapłanowi zdawało się, że słyszy głuchy i straszny szczeł grabi, które sięgają do wszystkich zakątków doliny, zagarniają przybywający lud i kierują ku klasztorowi złoto i krew tłumów. Gerard dalej mówił cichym głosem:

– A zresztą proszę spojrzeć, że się ukazują. Oto właśnie czcigodny ojciec dyrektor Capdebarthe. Istotnie mijał ich jakiś zakonnik, ledwie okrzęsany wieśniak,

o wężlistym ciele, z dużą, jak gdyby prymitywnie ociosaną głową. Nic niepodobna było wyczytać w jego matowych oczach, jego jakby zatarta, ziemistoblada twarz nosiła jeszcze na sobie czerwonawy posepny refleks gleby. Jego Eksceleńcja Laurence niegdyś dokonał prawdziwie politycznego wyboru, powierzając eksploatację Groty misjonarzom z Garaisont, tak upartym i chciwym, prawie bez wyjątku synom górali, namiętnie przywiązany do ziemi.

Pomału pięć osób zeszło przez terasę Merlasse, szeroki bulwar obiegający lewą terasę i dochodzący do Alei Groty. Było już po pierwszej, ale śniadanie wciąż jeszcze ciągnęło się w tym mieście przepelnionym ludźmi; pięćdziesiąt tysięcy pielgrzymów i gapiów nie zdążyło jeszcze zasiąść do jedzenia. Piotr, który w hotelu zostawił był stół zatłoczony, który przed chwilą widział pielęgniarzy tak dobrodusznie cisnących się przy stole „garkuchni”, miał przed oczami coraz to nowe stoły, wciąż tylko stoły. Wszędzie ludzie jedli i jedli. Ale tutaj, na wolnym powietrzu, po obu stronach szerokiej jezdni, drobny ludek zajmował stoły zastawione na chodnikach, zwyczajne długie deski oparte na dwóch kozłach, pod wąskim płóciennym daszkiem. Sprzedawano tam bulion, mleko, kawę po dwa su za filiżankę. Chleb, ułożony w wysokich koszach, również kosztował dwa su. Zawieszane na kijach, podtrzymujących daszek, kołysały się kielbasy, szynki

i kiszki. Kilku z tych restauratorów pod gołym niebem smażyło kartofle, inni przyrządzali podroby z cebulą. Ostry dym, mocne wonie unosiły się ku słońcu, zmieszane z kurzem, który wzbijał się wskutek nieustannego dreptania spacerowiczów. Kolejki czekały przed każdą kantyną, biesiadnicy na ławkach zmieniali się wzdłuż deski przykrytej ceratą, gdzie na szerokość zaledwie starczało miejsca na dwie miski zupy. Wszyscy się śpieszyli, jedli chciwie, pożerani wilczym głodem zmęczenia, z nienasyconym łaknieniem, jakie wywołują wielkie wstrząsy moralne. Zwierzę dochodziło do głosu, napychało się po mordędzie nie kończących się modlitw, po zatraceniu ciała w niebie legendy. I pod tym olśniewającym niebem pięknej niedzieli był to istotnie plac jarmarczny, pełen żarłocznego, podchmielonego ludu i radości życia mimo

obrzydłych chorób i zbyt rzadkich cudów.

– Cóż państwo chcecie, jedzą, bawią się – rzekł Gerard, który domyślał się refleksji sympatycznego towarzystwa, któremu służył za przewodnika.

– Ach – szepnął Piotr – słusznie postępują ci biedni ludzie!

Ten odwet natury głęboko go poruszył. Ale gdy znaleźli się u końca bulwaru na drodze do Groty, niesmakiem przejęła go natarczywość handlarek świec i bukietów, których wędrownie gromady opadały przechodniów z bezwzględnością zdobywców. Były to przeważnie młode kobiety, z głowami gołymi lub okrytymi chustkami, a zachowywały się z niezwykłą bezczelnością; stare wcale nie okazywały więcej powściągliwości. Wszystkie, z pakietem świec pod pachą, wymachując świecami, które właśnie oferowały, wciskały nawet swój towar przechodniom do rąk. „Proszę pana, proszę pani, proszę kupić u mnie świecę, to przyniesie państwu szczęście!” Jakiś pan otoczony, popychany przez trzy młodsze handlarki, o mało nie zostawił w ich rękach połę surduta. Ta sama historia powtarzała się przy bukietach, wielkich okrągłych bukietach, nieudolnie powiązanych, podobnych do główek kapusty. „Bukiet, proszę pani, bukiet dla Najświętszej Panienki!” Gdy dama wymykała się, słyszała za sobą stłumione obelgi. Handel, bezwstydnym handlem ścigał pielgrzymów aż do Groty. Nie tylko sadowił się tryumfalnie we wszystkich sklepach, przylepionych jedno do drugich, zamieniających ulice w bazar, ale zajmował chodniki, tarasował przejścia, obwoził w ręcznych wózkach różańce, medaliki, figurki, święte obrazki. Wszędzie kupowano, kupowano niemal tyle, ile zjadano, aby przywieźć pamiątkę ze świętego kiermaszu. Skoczną nutę i beztroskę wnosili w tę handlową zażartość i uwijanie się kramarzy mali, rozsiani w tłumie kolporterzy „Dziennika Groty”. Ich cienkie, ostre głosy wwierały się w uszy: „«Dziennik Groty»! Wydanie poranne! Dwa su! «Dziennik Groty»!»”

Gęsta ciżba i wir nieustannej fali rozdzielił towarzystwo. Rajmunda i Gerard zostali w tyle. Zaczęli rozmawiać cicho, z po – ufnymi, wesołymi minami. Pani Desagneaux musiała przystanąć i zawołała ich.

– Chodźcie, moi państwo, bo się zgubimy!

Gdy się zbliżali, Piotr usłyszał słowa dziewczyny:

– Mama jest tak zajęta! Proszę z nią pomówić przed naszym wyjazdem.

A Gerard odpowiedział:

– Oczywiście. Pani czyni mnie bardzo szczęśliwym, panno Rajmundo.

Małżeństwo zostało przesądzone i zadecydowane podczas tej uroczej przechadzki wśród cudów Lourdes. Ona sama odniosła to zwycięstwo, on powziął wreszcie decyzję, czując ją u swego ramienia, tak wesołą i tak rozsądną.

Nagle pan de Guersaint, wzniosłszy oczy do góry, zawołał:

– A czy tam, na balkonie, to nie ci bogacze, którzy, przypominają sobie państwo, przyjechali

z nami? Wiecie państwo, ta chora młoda dama, której towarzyszy mąż i siostra?

Miał na myśli państwa Dieulafay; istotnie oni to byli na balkonie apartamentu w nowym domu, z oknami wychodzącymi na trawniki placu Różańca Świętego. Zajmowali tam pierwsze piętro, umeblowane z całym przepychem, na jaki mogło się zdobyć Lourdes, z dywanami i firankami, nie mówiąc już o tym, że cały zastęp służby uprzednio już przysłali z Paryża. A ponieważ pogoda była piękna, wysunięto na świeże powietrze chorą, ułożoną w wielkim fotelu. Ubrana była w koronkowy peniuar. Mąż, zawsze w swym poprawnym surducie, stał po jej prawej stronie, siostra zaś, w różowawoliliowej cudownej toalecie, siedziała po lewej stronie, uśmiechając się i pochylając się czasem do chorej, aby przemówić do niej parę słów, na które zresztą nie otrzymywała odpowiedzi.

– Ach – opowiadała mała pani Desagneaux – słyszałam często o pani Jousseur, tej młodej damie w liliowej sukni. Jest żoną dyplomaty, który ją zaniedbuje mimo jej wielkiej urody, i wiele mówiono w zeszłym roku o jej wielkiej miłości dla pewnego młodego pułkownika, dobrze znanego w paryskim towarzystwie. Lecz salony katolickie utrzymują, że wyszła z tego zwycięsko, a to dzięki religii. Wszyscy zatrzymali się z głowami uniesionymi w górę i patrzyli.

– I pomyśleć – mówiła dalej pani Desagneaux – że jej siostra, ta chora, którą państwo widzicie, była jej żywym portretem. Twarz jej miała nawet znacznie słodszy wyraz dobroci i wesołości... A teraz, proszę spojrzeć! Jest trupem wystawionym na słońce, wyniszczonym, sinym ciałem bez kości, strach ją ruszyć z miejsca. Ach, jakaż ona nieszczęśliwa!

Rajmunda poinformowała towarzystwo, że pani Dieulafay, zameżna zaledwie od trzech lat, przywiozła wszystkie swoje wyprawne klejnoty, aby ofiarować je Matce Boskiej z Lourdes; Gerard potwierdził ten szczegół: mówiono mu z rana, że klejnoty złożono właśnie w skarbcu Bazyliki; nie mówiąc już o złotej lampie wysadzanej drogimi kamieniami i wielkiej sumie pieniędzy przeznaczonych na ubogich. Ale Najświętsza Panna widocznie jeszcze nie dała się wzruszyć, bo stan chorej zdawał się raczej pogarszać.

W tej chwili Piotr widział już *tylko* tę młodą kobietę na bogatym balkonie, tę istotę nieszczęsną mimo ogromnego majątku, wzniesioną nad wesołym tłumem, nad Lourdes, które ucztowało i śmiało się pod pięknym niedzielnym niebem. Dwoje bliskich, tak tkliwie nad nią czuwających, siostra, która wyrzekła się tryumfów kobiety uwielbianej, mąż, który zaniedbał swój bank, skąd miliony rozchodziły się na cztery strony świata, swoją nieposzlakowaną poprawnością podkreślało jeszcze smutek tej grupy, tam w górze ponad ludzkimi głowami, naprzeciw prześlicznej alei. Widział już tylko ich, ludzi bezmiernie bogatych i niezmiernie nieszczęśliwych.

Ale pięciorgu spacerowiczom, ociągającym się pośrodku alei, już groziło, że zostaną zmiążdżeni. Szerokimi jezdniami nieustannie jechały powozy, przede wszystkim okazałe czterokonne landa, wesoło brząkające dzwonekami. Byli to turyści, kuracjusze z Pau, z Bareses,

z Cauterets, a wiodła ich ciekawość, zachwycała piękna pogoda, rozweselała szybka jazda przez góry; mieli zabawić tylko parę godzin, biegli więc w swoich letnich strojach do Groty, do Bazyliki, po czym odjeżdżali wśród śmiechów, radzi, że wszystko obejrżeli. Jasno ubrane rodziny, gromady młodych kobiet z olśniewającymi parasolkami krążyły wśród szarego, nijakiego tłumu pielgrzymów, zmieniając go do reszty w ciżbę świątecznego jarmarku, gdzie raczyło przybyć wykwintne towarzystwo. Nagle pani Desagneaux wykrzyknęła:

– Co widzę! To ty, Berto?

I już ścisnęła wysoką prześliczną brunetkę wysiadającą właśnie z landa, a wraz z nią trzy inne młode damy, bardzo roześmiane i ożywione. Padały słowa, urywane okrzyki, wyrazy zachwyty ze spotkania.

– My, moja droga, jesteśmy w Cauterets. Więc we cztery wybrałyśmy się tutaj, jak robia wszyscy. Czy twój mąż jest z tobą?

Pani Desagneaux żywo odpowiedziała:

– Ach nie, on jest w Trouville, wiesz przecież! W czwartek jadę do niego.

– Tak, tak, prawda – odrzekła wysoka brunetka, która również wyglądała na miłą trzpiotkę – zapomniałam, że ty jesteś z pielgrzymką... Powiedz mi... – Zniżyła głos z uwagi na Rajmundę, która stała uśmiechnięta. – Powiedz mi, czy prosiłaś Najświętszą Pannę o dzieciątka, którego nie możesz się doczekać?

Lekko zarumieniona pani Dètagneaux przerwała szepnąwszy jej do ucha:

– Oczywiście, od dwóch lat modłę się i wierz mi, że bardzo się martwiłam, nie widząc żadnych zmian. Ale tym razem, zdaje mi się, że się to stanie. Ach, nie śmieć się, naprawdę poczułam coś dzisiaj rano modląc się w Grocie.

Ale i ją zagarnęła ogólna wesołość, wszystkie wołały, cieszyły się jak dzieci. Pani Dètagneaux natychmiast ofiarowała się przybyłym za przewodniczkę, przyrzekając, że pokaże im wszystko w niespełna dwie godziny.

– Proszę pójść z nami, panno Rajmundo. Matka pani na pewno nie będzie się niepokoić.

Wymieniono ukłony z Piotrem i panem de Guersaint. Gerard również się pożegnał, czule uścisnął rękę dziewczyny, z oczami w jej oczach, jak gdyby chciał zobowiązać się ostatecznie. Następnie panie odeszły w kierunku Groty: było ich teraz sześć, biła od nich radość życia i uroczy wdzięk młodości, Gdy z kolei odszedł Gerard, musiał bowiem wrócić do swoich zajęć, pan de Guersaint rzekł do Piotra:

– A co z naszym fryzjerem na placu Marcadal? Przecież powinienem jednak tam zajść... Czy i tam zechcesz mi towarzyszyć?

– Oczywiście, dokąd pan sobie życzy. Mogę iść z panem, gdyż teraz jeszcze nie jesteśmy potrzebni Marii.

Doszli do nowego mostu wśród obszernych trawników rozciągających się przed kościołem

Różańca Świętego. Tutaj znów spotkali znajomego, mianowicie księdza Des Hermoises, który oprowadzał właśnie dwie młode panie rankiem przybyłe z Tarbes. Szedł pomiędzy nimi, ze swą rycerską miną księdza-światowca, pokazywał im Lourdes, ukrywając przed nimi strony ujemne, ubogich chorych, całą woń wielkiej nędzy ludzkiej, która niemalże znikła w ten piękny, rozświetlony dzień.

Na pierwsze słowa pana de Guersaint, który powiedział mu, że chce wynająć powóz na wycieczkę do Gavarnie, przestraszył się widocznie, iż będzie musiał opuścić piękne podrózniczki.

– Jeżeli tylko dogadza to drogiemu panu! Proszę się łaskawie zająć tą sprawą; i ma pan zupełną słuszość, trzeba ustalić przystępną cenę, gdyż pojedą ze mną dwaj niezamożni księża... Proszę tylko dziś wieczorem powiadomić mnie o godzinie odjazdu.

I wrócił do pań, które poprowadził teraz do Groty cienistą aleją biegnącą brzegiem Gave, chłodną i dyskretną aleją zakochanych. ‘

Piotr, zmęczony, stał na uboczu, oparty o kamienny parapet nowego mostu. I po raz pierwszy uderzyła go ogromna ilość rojących się wśród tłumu księży. Zobaczył ich mnóstwo na moście. Przewijały się przed nim różne typy księży; byli tam księża bardzo poprawni, przybyli z pielgrzymką, których poznawało się po ich pewności siebie i porządnym sutannach; biedni proboszczowie wiejscy, onieśmieleni, źle ubrani, którzy musieli poczynić wielkie ofiary, aby tu przybyć, a teraz, oszołomieni, błakali się po ulicach; wreszcie mnóstwo księży niezależnych, nie wiadomo skąd przybyłych i korzystających w Lourdes z nieograniczonej swobody, nikt bowiem nie mógł sprawdzić nawet, czy codziennie odprawiali obowiązkową mszę. Ta swoboda była im zapewne tak miła, że większość ich, jak ksiądz Des Hermoises przebywała tu jak na wakacjach, wolna od wszelkich obowiązków, szczęśliwa, że żyje jak inni ludzie, w tłumie, gdzie można się było zgubić. I od młodego, wymuskanego, pięknie pachnącego wikarego aż do starego proboszcza, w brudnej sutannie, powłóczęgo buciskami, cały ów gatunek był tu reprezentowany: grubi, tłuści, chudzi, wysocy, niscy, tacy, których przywiodła wiara, płonący zapalem, ci, którzy tylko jako uczciwi ludzie pełnili swój zawód, a wreszcie tacy, którzy dbali o swoje interesy i przyjeżdżali wyłącznie przez mądrą politykę. Piotr nie przestawał się dziwić tej defilującej przed nim fali duchownych, z których każdy kierował się swoją odrębną namietnością, a wszyscy biegli do Groty, jak biegnie się do obowiązku, do wiary, do przyjemności lub do pańszczyzny. Jeden, bardzo niski, drobny i czarny, z silnym włoskim akcentem i błyszczącymi oczyma, które zdawały się zdejmować plan miasta, podobny był do szpiegów, przebiegających kraj przed wrogim najazdem; drugi, ogromny, z miną pocziwą, dyszał ciężko, bo się zanadto objadł; zatrzymał się przed starą chorą kobietą i wetknął jej w końcu pięć franków do ręki. Pan de Guersaint wrócił do Piotra.

– Mamy tylko przejść przez bulwar i przez ulicę Niską – powiedział.

Piotr poszedł za nim w milczeniu. Uświadomił sobie, że również nosi sutannę; i nigdy nie wydała mu się tak lekka jak wśród tej pielgrzymiej ciżby. Żył w jakimś oszołomieniu i nieświadomości, spodziewając się wciąż nagłego przypływu wiary, mimo głuchej rozterki, rosnącej w nim na widok rzeczy, które oglądał. I wzbierająca fala księży już go nie raziała, odnajdywał w stosunku do nich jakieś poczucie wspólnoty: ilu z nich, nie wierząc, wypełniało uczciwie jak on swoje posłannictwo przewodników i pocieszycieli?

Pan de Guersaint mówił teraz głośniej.

– Jak ci wiadomo, ten bulwar jest nowy. Trudno wprost uwierzyć, ile pobudowano tutaj domów od dwudziestu lat. Naprawdę, powstało całe nowe miasto.

Lapaca płynęła po prawej stronie, za domami.. Zaciekawieni, weszli w jedną z uliczek i natrafili na oryginalne stare budowle, stojące nad wąskim strumieniem. Wiele starych młynów w jednym szeregu ukazywało tam swoje koła. Pokazano im młyn, który Jego Ekscelencja Laurence podarował był rodzicom Bernadety, już po objawieniach, a także ruderą, podobno dom Bernadety, gdzie osiadła rodzina Soubirous, opuściwszy ulicę des Petits-Fossès, i gdzie dziewczyna, już umieszczona u zakonnicy z Nevers, niekiedy sypiała. Wreszcie przez ulicą Niską doszli na plac Marcadal.

Był to długi, trójkątny plac, najbardziej ożywiony i wspaniały na starym mieście, bo skupiały się tam kawiarnie, apteki, piękne sklepy. A wśród nich wyróżniał się sklep pomalowany na jasnozielone, z ogromnymi lustrami, uwieńczony okazałym szyldem, na którym złote litery głosiły:”Cazaban, fryzjer”.

Pan de Guersaint i Piotr weszli. Ale w salonie fryzjerskim nie było nikogo; musieli poczekać. Głośny szcęk widelców dochodził z sąsiedniego pokoju, zwyczajnej jadalni zamienionej w restaurację, w której jadło obiad z dziesięć osób, chociaż była już druga godzina. Zbliżało się popołudnie, a w całym Lourdes ludzie wciąż jedli i jedli. Jak wszyscy inni właściciele domów w mieście, bez względu na swoje poglądy religijne, Cazaban w okresie pielgrzymek wynajmował nawet własny pokój, odstępował jadalnię, sam przenosił się do piwnicy, gdzie jadł, sypiał, tłoczył się wraz z rodziną w dusznej norze o trzech metrach kwadratowych powierzchni. Było to szaleństwo handlu, ludzie znikali jak w zdobytym mieście, zostawiali pielgrzymom wszystko, nawet łóżka żon i dzieci, sadzali ich przy swoich stołach, podawali im jedzenie na własnych talerzach.

– Czy jest tu kto? – zawołał pan de Guersaint.

Wreszcie ukazał się drobny człowieczek, typ żwawego i krępego Pirenejczyka, z długą twarzą, wystającymi kośćmi policzkowymi, z opaloną cerą w czerwone plamy. Jego duże błyszczące oczy wciąż były w ruchu; w całej tej mizernej osobie spostrzegało się jakieś drzenie, jakąś wybujałość gestu i słowa.

– Szanowny pan życzy sobie ogolić się, prawda? Najmocniej przepraszam, ale mój pomocnik

wyszedł, a ja byłem u moich pensjonariuszy... Proszę łaskawie usiąść, a służę natychmiast.

I Cazaban raczył potrudzić się osobiście: rozrabiał mydło, ostrzył brzytwę. Rzucił niespokojne spojrzenie na sutannę Piotra, który w milczeniu usiadł, rozłożył gazetę i, jak się zdawało, zaczął pilnie czytać.

Zapanowało milczenie. Ale Cazaban niedługo mógł je wytrzymać; mydląc podbródek swego klienta rzekł:

– Niech sobie łaskawy pan wyobrazi, że moi pensjonariusze tak się zasiedzieli w Grocie, że dopiero teraz jedzą obiad! Słyszycie ich pan? Przez uprzejmość dotrzymywałem im towarzystwa... Ale oczywiście jestem również na usługi moich klientów, trzeba przecież zadowolić wszystkich.

Pan de Guersaint, który również lubił rozmawiać, zapytał:

– Wynajmuje pan pokoje pielgrzymom?

– Ach, proszę pana, wszyscy wynajmujemy – odrzekł po prostu fryzjer. – Tutaj musimy to robić!

– I towarzyszy im pan do Groty?

Cazaban nagle się oburzył; z brzytwą w powietrzu, zawołał pełen godności:

– Nigdy, proszę pana, nigdy! Od pięciu lat noga moja nie postąpiła w tym nowym mieście, które oni budują!

Hamował się jeszcze, znów spojrzął na sutannę Piotra, którego nie było widać zza gazety; również widok czerwonego krzyża przypiętego do marynarki pana de Guersaint czynił go ostrożnym, ale gadulstwo wzięło górę.

– Niech łaskawy pan posłucha, każdy może mieć swój pogląd, ja szanuję pański, ale nie wierzę w te fantasmagorie! I nigdy się z tym nie ukrywałem... Już za Cesarstwa, panie dobrodzieju, byłem republikaninem i wolnomyślicielem. W tych czasach było nas tutaj takich tylko czterech. O, jestem z tego dumny..

Zabrał się do lewego policzka, minę miał tryumfującą. Od tej chwili zaczął się nieprzerwany potop słów. Naprzód powtórzył oskarżanie pana Majestè przeciwko zakonnikom z Groty: handel dewocjonaliami, nielegalna konkurencja czyniona kupcom, hotelarzom i właścicielom różnych lokali. Ach, te Błękitne Siostry od Niepokalanego Poczęcia! On również nie cierpiał ich, gdyż zabrały mu dwie lokatorki, dwie starsze damy, które spędzały w Lourdes trzy tygodnie na rok. A przede wszystkim czuło się w nim powoli nagromadzoną, a dziś przelewającą się przez brzegi urazę starego miasta do nowego, do tego miasta wyrosłego tak szybko po drugiej stronie Zamku, do bogatego miasta z do – mami wielkimi jak pałace, gdzie przenosiło się całe życie, cały luksus, wszystek pieniądz, tak że powiększało się ono i bogaciło nieustannie, gdy tymczasem starsze, starożytne, biedne górskie miasto dogorywało ze swoimi pustymi ulicami porastającymi trawą. Jednakże walka trwała, stare miasto nie chciało umierać, próbowało zmusić do podziału młodszego a niewdzięcznego brata, udzielało pomieszczeń pielgrzymom, a także otwierało

sklepy; ale sklepy opłacały się tylko wówczas, gdy zakładano je w pobliżu Groty, bowiem tylko ubodzy pielgrzymi chcieli mieszkać tak daleko, i ta nierówna walka pogłębiała rozdźwięk, czyniąc z miasta górnego i dolnego dwa wrogie, nieprzejednane obozy, zwalczające się po cichu wśród nieustannych intryg.

– O, nie, szkoda mówić, mnie oni nie zobaczą w tej swojej Grocie – mówił dalej Cazaban z wściekłą miną. – Nadużywają tej swojej Groty, podają ją we wszystkich sosach! Takie bałwochwalstwo, taki gruby zabobon w XIX wieku!... Ale proszę ich zapytać, czy od dwudziestu lat uzdrowili choć jednego chorego z miasta? A mamy przecież na naszych ulicach dość kalek. Na początku, z pierwszych cudów korzystali tutejsi ludzie. Ale ta ich cudowna woda straciła jakby od dawna dla nas wszelką moc; jesteśmy za blisko, trzeba przyjechać z daleka, jeżeli chce się, aby działała... Proszę mi wierzyć, to nie ma sensu i ja nie poszedłbym tam, choćby mi pan łaskawy dawał sto franków!

Nieruchomość Piotra musiała go drażnić. Przeszedł do prawego policzka i teraz wypowiadał się z pasją przeciwko ojcom od Niepokalanego Poczęcia, których zachłanność była jedynym źródłem niezgody. Ojcowie, którzy byli u siebie, ponieważ kupili od gminy tereny, gdzie chcieli budować, nie szanowali nawet układu podpisanego z miastem; w układzie tym zaś wyrzekali się formalnie wszelkiego handlu, sprzedaży wody, dewocjonalii. W każdej chwili można by wytoczyć im proces. Ale oni kpili sobie z tego, czuli się tak silni, że nie pozwalali, aby cokolwiek dostawało się parafii, tak że wszystkie zebrane pieniądze gromadziły się i płynęły jak rzeka do Groty i do Bazyliki.

Cazaban wykrzyknął naiwnie:

– Gdyby chociaż okazali się na tyle przyzwoici, żeby zgodzili się na podział! Po chwili, gdy pan de Guersaint, który się umył, znów się usadowił w fotelu, Cazaban mówił dalej:

– A gdybym łaskawemu panu opowiedział, co zrobili z naszym biednym miastem! Dziewczęta były tutaj bardzo porządne, zapewniam, przed czterdziestu laty. Pamiętam za czasów mojej młodości, że gdy chłopak chciał się zabawić, było zaledwie parę rozpustnic, aby go zadowolić, tak że w dniu jarmarku widziałem mężczyzn stojących przy ich drzwiach w ogonku, słowo daję! Otóż czasy się zmieniły i obyczaje także. Teraz prawie wszystkie tutejsze dziewczęta wzięły się do handlu świecami i kwiatami; widział pan, jak zaczepiają przechodniów, jak przemocą wciskają im swój towar do ręki. Te bezczelne kobiety to prawdziwa hańba! Zarabiają dużo, przywykają do lenistwa, w zimie nic nie robią czekając na sezon wielkich pielgrzymek. I zapewniam łaskawego pana, że mężczyźni goniący za kobietami mają już dziś z kim rozmawiać... Proszę do tego dodać zmienną i podejrzaną ludność, która zalewa nas, gdy tylko zrobi się ładna pogoda: woźnice, tragarze, restauratorzy, cały wędrowny motłoch, od którego aż bije prostactwo i występki, a będzie pan miał to uczciwe nowe miasto, które nam zbudowali, i te tłumy, które cisną się do ich Groty i Bazyliki!

Piotr, bardzo zainteresowany, opuścił swój dziennik. Słuchał i po raz pierwszy uświadamiał sobie, że istnieją dwa miasta: dawne Lourdes, uczciwe, pobożne w swoim cichym osamotnieniu, i nowe Lourdes, zepsute, zdemoralizowane przez tyle napływających milionów, przez tyle bogactw przyniesionych i pomnożonych dzięki wzbierającej fali cudzoziemców, która coraz to zalewała miasto, przez nieuniknioną zgniliznę ludzkiego natłoku, przez zarazę złego przykładu. Dziwny to wynik, gdy pomyśleć o niewinnej Bernadecie klęczącej w dzikiej, prymitywnej wówczas grocie, o naiwnej wierze, o żarliwej czystości pierwszych twórców tego dzieła! Czy oni chcieli tego zatrucia kraju przez zysk i ludzkie śmieci? Wystarczyło, że przyszły narody, a wystąpiła zaraza.

Cazaban widząc, że Piotr słucha, zrobił ostatni groźny gest, jak gdyby chciał unicestwić cały ten szkodliwy zabobon, i w milczeniu skończył czesać pana de Guersaint.

– Gotowe, szanowny panie! Teraz dopiero architekt zaczął rozmowę o powozie. Fryzjer z początku dawał wymijające odpowiedzi, twierdził, że należałoby porozumieć się z jego bratem, który jest na gminnym pastwisku. Wreszcie zgodził się przyjąć zamówienie. Dwukonne lando do Gavarnie kosztowało pięćdziesiąt franków. Ale szczęśliwy, że mógł się wygadać, i mile połączony, że potraktowano go jak szanownego obywatela, obniżył cenę do czterdziestu franków. Było cztery osoby, co czyniło dziesięć franków na głowę. Ustalono, że wyjazd nastąpi w nocy, około trzeciej, tak aby można było wrócić nazajutrz, w poniedziałek wieczór, niezbyt późno.

– Powóz będzie czekał przed hotelem „Objawień” o umówionej godzinie – powtórzył Cazaban ze swoją uroczystą miną. – Niech szanowny pan liczy na mnie!

Nadstawił ucha. Szczęk naczyń nie ustawał w głębi przyległego pokoju. Ludzie jedli tam jeszcze, w napadzie żarłoczności, która owładnęła całym miastem. Właśnie rozległ się jakiś głos domagający się jeszcze chleba.

– Przepraszam – rzekł w pośpiechu Cazaban – moi pensjonariusze wzywają mnie.

Wybiegł z rękoma tłustymi od grzebienia. Ponieważ drzwi przez sekundę pozostały otwarte, Piotr ze zdziwieniem dostrzegł na ścianach jadalni święte obrazki, a przede wszystkim widok na Grotę. Zapewne fryzjer zawieszał je tylko na okres pielgrzymek, aby zadowolić swoich gości.

Było już około trzeciej. Piotr i pan de Guersaint wyszli i zdziwili się słysząc w powietrzu wielkie granie dzwonów. Pierwsze wezwanie do nieszporów dała Bazylika i właśnie odpowiedziała jej parafia, a teraz klasztory, jeden po drugim, przyłączały się do potężniejących dźwięków. Kryształowy dzwon Karmelitów mieszał się z poważnym dzwonem Niepokalanego Poczęcia, a potem jednocześnie zagrały wszystkie wesole dzwony u sióstr w Nevers i Dominikanek. W piękne świąteczne dni dźwięki te płynęły swobodnie od rana do wieczora nad dachami Lourdes. I trudno było o coś weselszego jak ten dźwięczny śpiew w rozległym błękitnym niebie, ponad łakomym miastem, które skończyło wreszcie obiad i obnosiło pomyślnie

swe trawienie w jasnych promieniach słońca. III

Gdy tylko zapadł wieczór, Marię ogarnęła w Szpitalu Matki Boskiej Bolesnej wielka niecierpliwość, wiedziała bowiem od pani de Jonquière, że baron Suire uzyskał dla niej od ojca Foureade pozwolenie, aby spędziła noc przy Grocie. Co chwila pytała siostry Hiacyntry:

– Siostrze, bardzo przepraszam, czy nie ma jeszcze dziewiątej?

– Ależ nie, moje dziecko, jest dopiero wpół do dziewiątej... I proszę, oto ciepły wełniany szal, aby się pani okryła nad ranem, bo Gawe płynie tuż i ranki bywają chłodne w tej górskiej okolicy.

– Och, siostrze, noce są tak piękne, a zresztą ja tak niewiele śpię w tej sali... Na dworze na pewno nie będzie mi gorzej... O Boże, jaka jestem szczęśliwa, jak to będzie cudownie spędzić całą noc przy Najświętszej Pannie!

Cała sala jej zazdrościła. Była to radość niewypowiedziana, szczęśliwość najwyższa: całą noc modlić się przed Grotą. Mówiono, że dusze wybrane widują w ogromnej nocnej ciszy Najświętszą Pannę. Ale trzeba było wysokich protekcji, aby uzyskać takie pozwolenie. Zakonnicy udzielali go niechętnie, ponieważ chorzy czasem umierali tam, jak gdyby usypiając w ekstazie.

– Moje dziecko – mówiła dalej siostra Hiacyntra – zapewne jutro rano przyjmie pani komunię w Grocie, zanim panią tu odwiozą.

Wybiła dziewiąta. Czyżby Piotr, tak punktualny, zapomniał o niej? Opowiadano jej teraz o procesji z pochodniami, którą zobaczyłaby całą od początku do końca, gdyby wyjechała zaraz. Co wieczora ceremonie religijne kończyły się taką procesją; w niedzielę była ona jeszcze piękniejsza, a – jak mówiono – tego wieczoru miała być szczególnie wspaniała. Przewidywano, że przedefiluje blisko trzydzieści tysięcy pielgrzymów ze świecami w rękach. Zapewne niebo objawi nocne swoje cuda, a gwiazdy zstąpią na ziemię. I chore żaliły się, jak smutno być przykutym do łóżka i nic nie widzieć z tych wspaniałości. – Moja droga! – przyszła jej oznajmić pani de Jonquière – jest pani ojciec i ksiądz Froment. Maria, rozpromieniona, zapomniała o udreć oczekiwania.

– Ach, Piotrze, błagam cię, śpieszmy się, śpieszmy! Znieśli ją na dół, ksiądz zaprzął się do małego wózka, który

cicho potoczył się pod usianym gwiazdami niebem; pan de Guersaint szedł obok. Noc była bezksiężycowa, cudownie piękna, istny ciemnoniebieski aksamit przetykany diamentami; powietrze było niezwykle łagodne, jak letnia kąpiel z czystego powietrza, przesyconego wonią gór. Wielu pielgrzymów spieszyło do Groty, ale był to tłum dyskretny, skupiona ludzka fala, bez jarmarcznego gapiostwa, jakim odznaczała się za dnia. Od terasy Merlasse rozpościerały się ciemności, wchodziło się pod ogromne sklepienie nieba, w jezioro cienia trawników i wysokich

drzew, gdzie widać było tylko wznoszącą się po lewej stronie drobną i bladą iglicę Bazyliki.

Piotra ogarnął niepokój na widok coraz gęstszy tłum, w miarę jak posuwali się naprzód. Na placu Różańca Świętego trudno już było iść..

– Niepodobna myśleć teraz o dojściu do Groty – rzekł zatrzymując się. – Lepiej będzie skręcić w aleję, za Schroniskiem Pielgrzymów, i tam poczekać.

Ale Maria bardzo chciała zobaczyć początek procesji.

– Mój drogi, błagam cię, spróbuj dotrzeć do Gave. Popatrz z daleka, nie muszę się tam zbliżać.

Pan de Guersaint, równie jak ona ciekawy, także nalegał.

– Nie obawiaj się, idę z tyłu i uważam, aby nikt jej nie potrafił.

Piotr znowu zaprzął się do wózka. Trzeba mu było kwadransa, aby przebrnąć pod jedną z arkad prawej terasy, tak mocno tłum na niego napierał. Następnie skręcił trochę w bok i wreszcie znalazł się na bulwarze, na brzegu Gave, gdzie zwyczajni widzowie zapełniali chodnik; udało mu się posunąć jeszcze z pięćdziesiąt metrów, po czym zatrzymał wózek przy samej barierze, skąd widać było Grotę.

– Czy będzie ci tutaj dobrze?

– Ależ tak, dziękuję. Tylko muszę usiąść, to więcej zobaczę. Pan de Guersaint posadził: ją, a sam wszedł na kamienną podmurówkę biegnącą wzdłuż całego bulwaru. Cisnęły się tam tłumy ciekawych, jak gdyby miano puszczać sztuczne ognie. Wszyscy prostowali się, wyciągali szyje. Piotr zainteresował się jak inni, chociaż na razie nie było widać nic szczególnego..

Było tam ze trzydzieści tysięcy ludzi; wciąż ich przybywało. Każdy niósł w ręku świecę, owiniętą w białą papierową tutkę, na której widniał wizerunek Matki Boskiej z Lourdes. Ale świece jeszcze nie płonęły. Nad wzburzonym morzem głów widać było rozjarzoną Grotę, rzucającą jaskrawy blask jak z kuźni. Podnosił się wielki szum i same już jego przepływające fale mówiły o tysiącach istot stłoczonych, zduszonych, zagubionych w głębokim cieniu, poruszających się jak żywa, coraz to rosnąca tkanina. Wielu stało pod drzewami, po drugiej stronie Groty, w zakamarkach cienia, tak że trudno było nawet domyślić się ich obecności. Wreszcie zaczęło się od paru świeczek, które tu i ówdzie zabłyśły; rzekłbyś, nagle iskry, na ślepo przebijające ciemność. Liczba ich szybko wzrosła; utworzyły się wysepki gwiazd; a tymczasem w innych punktach świetlne smugi i drogi mleczne biegły wśród konstelacji. Trzydzieści tysięcy świeczek zapalało się tak stopniowo, jedna po drugiej, przyćmiewając jaskrawy blask Groty, tocząc od końca do końca promenady drobne żółte promyki ogromnego paleniska.

– Och, Piotrze, jakie to piękne! – szepnęła Maria. – Zdawałoby się, że to zmartwychwstanie maluczkich, biednych, małych dusz, które budzą się i błyszczą!

– Wspaniale! Wspaniale! – powtarzał pan de Guersaint dając się ponieść pasji artysty. – Popatrzcie tam na te dwie linie, które przecinają się i tworzą krzyż.

Ale Piotra wzruszyło to, co przed chwilą powiedziała Maria. To było właśnie to, wątle płomyki, zaledwie punkty świetlne, skromne jak biedny lud, a którym wielkie mnóstwo dawało jasność, blask równy słońcu. Rodziły się coraz nowe, dalsze i jakby zabłąkane.

– Ach – szepnął – spójrz na ten, który ukazał: się, samotny, w dali, taki chwiejny... Popatrz, Mario, jak on drży na wietrze i pomału dąży, aby stopić się z wielkim jeziorem ognia.

Było teraz widno jak w dzień. Drzewa, oświetlone od dołu, miały intensywną zieleń drzew malowanych, jakie widuje się na dekoracjach teatralnych. Nad żywym paleniskiem stały nieruchome chorągwie, niezwykle wyraźne, z haftowanymi postaciami świętych i złotymi sznurami. Mocny blask piął się po skałach aż do Bazyliki, której iglica wydawała się teraz zupełnie biała pod czarnym niebem; na drugim brzegu Gawe wzgórza również pojaśniały ukazując białe fasady klasztorów na tle ciemnych drzew.

Nastąpiła jak gdyby chwila wahania. Rozjarzone jezioro, gdzie każdy płomień tworzył drobną falę, przetaczało swoje gwiazdne iskry, zdawało się, że pęknie, że rozleje się w rzekę. Chorągwie również zachwiały się, zaczynał się jakiś ruch.

– Patrzcie – zawołał pan de Guersaint – więc nie będą tędy przechodzić?!

Piotr, dobrze poinformowany, wyjaśnił, że procesja pójdzie naprzód serpentyną zbudowaną wielkim nakładem kosztów na zadrzewionym wzgórzu, potem skręci za Bazylikę, zejdzie prawą terasą i rozwinie się w ogrodach.

– Patrzcie, widać już, jak pierwsze świece pną się w górę wśród zieleni.

Widok był uroczy. Drobne, drzące światełka odrywały się od wielkiego ogniska, płynęły powoli subtelnym lotem i nie widziało się, co trzyma je przy ziemi. Poruszało się to jak słoneczny pył w ciemnościach. Wkrótce uformowała się ukośna smuga; po chwili ostro się załamała i wystąpiła druga smuga, która z kolei też się załamała. W końcu całe wzgórze poryte zostało zygzakiem płomienia, podobnym do błyskawic, jakie na obrazkach spadają z czarnego nieba. Ale tutaj świetlisty ślad nie zacierał się, małe światełka wciąż posuwały się tym samym łagodnym i zwolnionym ruchem. Czasem tylko następowało nagłe zaćmienie, widocznie procesja przechodziła poza kępą drzew. Dalej świeczki znów się zapalały, na nowo rozpoczynał się ich marsz ku niebu, w wymyślnych skrętach, nieustannie przerywany i podejmowany na nowo. Przyszła chwila, że przestały się wznosić, gdyż dotarły do szczytu wzgórza, i znikły za ostatnim zakrętem drogi. Wśród tłumu podniosły się głosy.

– Wchodzą poza Bazylikę!

– O, potrwa jeszcze ze dwadzieścia minut, zanim pokażą się po drugiej stronie.

– Tak, proszę pani, jest ich trzydzieści tysięcy i dopiero za godzinę ostatni dojdą do Groty.

Od chwili wyruszenia pieśń nabożna wzbiła się z głuchego pomruku tłumów. Była to skarga Bernadety, sześćdziesiąt zwrotek, w których *Pozdrowienie Anielskie* powracało jako refren w natrętnym rytmie... Gdy odśpiewano sześćdziesiąt zwrotek, intonowano je od początku.

I kołysanie zaczynało się na nowo, bez końca: „*Ave, ave, ave, Maria!*”, wprawiało umysł w osłupienie, obezwładniało członki, pogrążało tysiące ludzi w rodzaj snu na jawie, w pełną wizję raj. W nocy, gdy ułożyli się już do snu, łóżka zachowywały ten kołyszący ruch, ludzie wciąż bowiem jeszcze mieli ten śpiew w uszach.

– Czy tutaj zostaniemy? – zapytał pan de Guersaint, który szybko się nużył. – Teraz nie będzie już nic nowego.

Maria, która orientowała się wedle tego, co mówiono w tłumie, odezwała się również:

– Miałaś słusność, Piotrze, należało raczej wrócić tam, pod drzewa... Ja tak bardzo chciałabym wszystko widzieć!

– Ależ oczywiście – odrzekł ksiądz – poszukamy miejsca, skąd mogłabyś wszystko widzieć. Trudność w tym, aby się teraz stąd wydostać.

Istotnie, tłum zwyczajnych gapiów murem zastąpił im drogę. Piotr musiał torować sobie przejście z cierpliwym uporem, prosząc o trochę miejsca dla chorej; Maria oglądała się, chciała jeszcze zobaczyć płynną masę płomienia przed Grotą, to jezioro o drobnych połyskliwych falach, z którego bez końca – jak się zdawało – wyciekała procesja, a ono nigdy się nie wyczerpywało; pan de Guersaint zamykał pochód, chroniąc wózek od natłoku.

Wreszcie wszyscy troje znaleźli się na uboczu, poza tłumem, Było to przy jednej z arkad, w miejscu pustym, gdzie mogli przez chwilę odetchnąć. Słysząc było tylko daleką skargę z upartym refrenem i widać było odblask świeczek, jak promienny obłok, unoszący się od strony Bazyliki.

– Najlepiej – oświadczył pan de Guersaint – byłoby wejść na Kalwarię. Jeszcze ‘dziś rano mówiła mi o tym pokojowa w hotelu. Podobno tam z góry widok jest cudowny.

Ale o tym niepodobna było myśleć. Piotr zwrócił uwagę na liczne trudności.

– Jakżebyśmy się wspięli na taką wysokość z wózkiem? A potem trzeba by znów schodzić, co byłoby niebezpieczne po nocy, w takiej ciżbie.

Maria także wolała zostać w ogrodach, pod drzewami, gdzie powietrze było tak łagodne. Ruszyli więc dalej i wyszli na Esplanadę, naprzeciwko ogromnej ukoronowanej Matki Boskiej, w aureoli niebieskich i żółtych lampionów. Była oświetlona przy pomocy kolorowych szkieł, co nadawało jej glorię jarmarcznego święta. Mimo swej pobożności pan de Guersaint osądził, że jest to w okropnym guście.

– Popatrzcie – rzekła Maria – przy tej kępie zieleni będzie nam doskonale.

Wskazywała kępę zarośli obok Schroniska Pielgrzymów; miejsce rzeczywiście było wyborne, gdyż można było stamtąd widzieć zejście procesji w dół lewą terasą i śledzić, jak rozwija się aż do nowego mostu, wzdłuż trawników, w swym podwójnym równoległym ruchu tam i z powrotem. Poza tym bliskość Gave przepajała zielen uroczą świeżością i chłodem. Nikogo tam nie było, w gęstym cieniu wielkich platanów obrzeżających aleję panował bezmierny

spokój.

Pan de Guersaint w swej niecierpliwości podnosił się na palce, chcąc zobaczyć ukazujące się już pierwsze świece po drugiej stronie Bazyliki.

– Nie, nic jeszcze nie widać – mruknął. – Trudno, usiądę sobie trochę na ławce. Nogi bardzo mnie boją. – I zatroszczył się o córkę: – Czy chcesz, abym cię lepiej okrył? Jest tu bardzo chłodno.

– O nie, ojczy, nie jest mi zimno. Jestem tak szczęśliwa! Od dawna już nie oddychałam tak dobrym powietrzem... Muszą tu gdzieś być róże, nie czujesz ich prześlicznego zapachu? – A po – tem zwracając się do Piotra dodała: – Mój drogi, gdzie są te róże? Czy je może widzisz?..

Gdy pan de Guersaint usiadł koło wózka, Piotr postanowił przekonać się, czy gdzieś w pobliżu nie ma klombu z różami. Ale na próżno przeszukał ciemne trawniki; dojrzał tylko kępy zielonych roślin. A ponieważ wracając przechodził przed Schroniskiem Pielgrzymów, powodowany ciekawością wszedł.

Była to wielka sala, bardzo wysoka, oświetlona z dwu stron dużymi oknami, z kamienną posadzką, o ścianach nagich, umeblowana wyłącznie ławkami ustawionymi byle jak we wszystkich kierunkach. Nie było tam żadnych stołów, żadnych desek, toteż nie mający dachu nad głową pielgrzymi, zmuszeni tam szukać schronienia, spiętrzyli swoje koszyki, tłumoczki i walizki we wnękach okiennych zamienionych w ten sposób na skład bagażu. Poza tym sala była pusta, wszyscy gnieźdzący się w niej biedacy poszli zapewne na procesję. Mimo że drzwi były szeroko otwarte, nieznośny zapach panował wśród przesiąkniętych nędzą ścian, podłoga była zabłocona, wilgotna, mimo że dzień był piękny i słoneczny, mokra od plwocin, tłuszczu, rozlanego wina. Odbywano tam wszelkie czynności; ludzie jedli, spali na ławkach, w natłoku brudnych ciał i łachów.

Piotr pomyślał, że nie stąd płynął piękny zapach róż. Obszedł jednak całą salę, którą oświetlały cztery kopcające lampy i którą uważał za całkiem pustą, gdy nagle ze zdziwieniem zauważył pod ścianą z lewej strony jakiś niewyraźny kształt, czarno ubraną kobietę trzymającą na kolanach biały tłumoczek. Była sama w tej pustce, nieruchoma, oczy miała szeroko otwarte.

Podszedł i poznał panią Vincent, która odezwała się do niego cichym drżącym głosem:

– O tak, Róża dziś tyle się nacierpiała! Od świtu raz tylko zapłakała... A teraz śpi już dwie godziny, a ja nie mam odwagi ruszyć się, boję się, że się obudzi i znów będzie ją bołało.

I trwała w nieruchomości matki-męczennicy; już od miesiący tak trzymała w ramionach córeczkę, w upartej nadziei, że ją uzdrowi. Przywiozła ją na rękach do Lourdes, na rękach ją nosiła i usypiała, bo nie miała tu pokoju ani nawet szpitalnego łóżka! – Biedne maleństwo nie ma się więc lepiej? – zapytał Piotr ze ściśniętym sercem.

– Nie, zdaje mi się, że nie, proszę księdza.

– Ale – mówił dalej – pani jest bardzo niewygodnie na tej ławce. Należało jakoś się

zakrzętnąć, aby nie zostać tak na ulicy. Na pewno gdzieś by przyjęto pani córeczkę.

– Ale po co, proszę księdza? Jej jest dobrze na moich kolanach. A zresztą czyby mi pozwolono być tak wciąż przy niej? Nie, nie, wolę mieć ją przy sobie, bo zdaje mi się, że to ją wreszcie uleczy. – Dwie duże łzy spłynęły po jej nieruchomej twarzy. Mówiła dalej stłumionym głosem: – Nie jestem tak całkiem bez pieniędzy. Miałam trzydzieści su na wyjeździe z Paryża i zostało mi jeszcze dziesięć... Chleb mi wystarcza, a ona, biedactwo moje, nie może nawet wypić mleka... Mam za co przeżyć do wyjazdu, i jeżeli ona wyzdrowieje, ach, będziemy bogate, bogate, bogate!

Nachyliła się, popatrzyła w chwiejnym blasku sąsiedniej lampy na bladą twarzyczkę Róży, której krótki oddech lekko rozchyłał usta.

– Proszę spojrzeć, jak ona śpi!... Prawda, że Najświętsza Panna zlituje się i uleczy ją? Pozostał nam już tylko jeden dzień, ale ja nie chcę wątpić; chcę się modlić całą noc, nie ruszę się stąd... Bo ważne jest jutro, trzeba przeżyć do jutra.

Bezmierna litość ogarnęła Piotra; oszedł bojąc się, że sam się rozplacze.

– Tak, tak, moja biedna, ufaj!

I pozostawił ją w głębi pustej, ogromnej sali, wśród stłoczonych ławek, znieruchomiła w bolesnym zapamiętaniu matki, wstrzymując oddech w strachu, że szmer w jej piersi obudzi małą chorą. Umęczona, modliła się z zamkniętymi ustami, żarliwie.

Gdy Piotr wrócił do Marii, zapytała go z ożywieniem:

– No i co z tymi różami? Czy rosną gdzieś blisko?

Nie chciał jej zasmucić opowiadaniem, co widział przed chwilą.

– Nie, przeszukałem trawniki, róż nie ma.

– To dziwne – mówiła dalej, zamyślona. – Ten zapach jest równocześnie bardzo łagodny i bardzo przenikliwy... Czu – jesz go, prawda? Na przykład w tej chwili, jest nadzwyczaj mocny, jak gdyby wszystkie róże rajy zakwitły nocą w tej okolicy. Ale przerwał jej okrzyk pana de Guersaint, który wstał widząc, że świetlne punkty ukazują się na szczycie terasy, na lewo od Bazyliki.

– Nareszcie są!

Istotnie było to czoło ukazującej się procesji. Natychmiast świetliste, punkty zawirowały i wyciągnęły się w podwójny chwiejny szereg. Ciemności panowały dookoła, zdawało się, że wszystko to odbywa się na wielkiej wysokości, że wylania się z czarnych głębin nieznanego. Jednocześnie znów podnosił się śpiew, natrętna skarga, ale była jeszcze tak daleka, tak cicha, że wydawała się zaledwie drobnym szmerem nadchodzącej wśród drzew nawałnicy.

– Dobrze mówiłem – mruknął pan de Guersaint – trzeba było pójść na Kalwarię, stamtąd widać wszystko.

Wracał do swojej myśli z właściwym mu dziecinny uporem, uskarżając się, że wybrali

najgorsze miejsce, jakie można było wybrać.

– Ależ, ojczy – powiedziała w końcu Maria – dlaczego nie pójdziesz na Kalwarię? Jest jeszcze czas... Piotr zostanie ze mną. – I dodała ze smutnym uśmiechem: – Idź, przecież nikt mnie nie porwie!

Odmówił, ale potem nagle ustąpił, niezdolny oprzeć się pragnieniu. Musiał się śpieszyć, przejść jak najprędzej przez trawniki.

– Nie odchodźcie stąd, zaczekajcie na mnie pod tymi drzewami. Opowiem wam, co widziałem z góry.

Piotr i Maria zostali sami w tym zakątku mrocznej samotności, gdzie rozchodziła się woń róż, chociaż nigdzie w pobliżu nie było ani jednej róży. Nie mówili nic, patrzyli na schodzącą z góry procesję, która posuwała się ruchem łagodnym i stałym.

Wyglądało to jak podwójny żywoplot drżących gwiazd, który wylaniając się z lewego narożnika Bazyliki, szedł teraz wzdłuż monumentalnej terasy, zakreślając jej krągły kształt. Z tej odległości wciąż jeszcze nie było widać pielgrzymów niosących świece, lecz tylko wędrownie, posłuszne ognie, rysujące się w cieniu zdecydowanymi liniami. Same budynki pozostawały w niebieskiej nocy niewyraźne, ledwie zaznaczone w zagęszczonym mroku. Ale pomału, w miarę jak przybywało świateł, rysowały się linie architektoniczne, strzeliste sklepienia Bazyliki, cyklopiczne łuki terasy, ciężka i zgnieciona fasada kościoła Różańca Świętego. Wraz z nieprzerwanym strumieniem żywych iskier, toczącym się bez pośpiechu, z uporem wezbranej fali, której nic nie powstrzyma, zbliżał się, podobny do jutrzynki, rodzący się dopiero, ale zdobywczy świetlny obłok, który wreszcie w blasku swoim skąpał cały widnokrąg.

– Popatrz, popatrz, Piotrze! – powtarzała Maria, porwana dziecinną radością. – To nie ma końca, coraz tego więcej i więcej.

Istotnie, tam w górze nagle ukazywanie się świateł odbywało się wciąż z mechaniczną regularnością, jak gdyby jakieś niewyczerpane niebiańskie źródło tryskało złotym pyłem. Początek procesji sięgał właśnie ogrodów, na wysokości posągu ukoronowanej Świętej Pani, tak że podwójny szereg płomieni opisywał dopiero krzywą dachów kościoła Różańca Świętego i wielkiej terasy wejściowej. Ale zbliżanie się ogromnego tłumu odczuwało się w ruchu powietrza, w żywym, nadciągającym z dali powiewie; a przede wszystkim wzmacniały się głosy, nabrzmiwała skarga Bernadety, niczym łoskot morskiego przypływu, w którym coraz głośniejszy powtarzał się refren: „*Ave, ave, ave, Maria!*”, w rytmicznym rozkołysaniu.

– Ach, ten refren – szepnął Piotr – wgrzyza mi się w uszy. Zdaje mi się, że wkrótce całe moje ciało zacznie go śpiewać.

Maria znowu roześmiała się lekkim, dziecinnym śmiechem.

– To prawda, idzie za mną wszędzie, słyszałam go zeszłej nocy we śnie. A dziś wieczór powraca do mnie, kołysze mnie nad ziemią. – Przerwała sobie, aby powiedzieć: – Są już po

drugiej stronie trawnika, naprzeciwko nas.

Procesja szła długą prostą aleją, a potem, okrążywszy Krzyż Bretoński i trawnik, schodziła inną, podobną aleją. Trzeba było więcej niż kwadransa na przebycie tej drogi. A teraz podwójna linia rysowała dwa długie ślady równoległych płomieni, biegnących pod wizerunkiem tryumfującego słońca. Ale ciągłym cudem był nieprzerwany pochód ognistego węża, którego złote pierś – cienie wolno pełzały po czarnej ziemi, wydłużały się, wydłużały, tak że olbrzymie rozwinięte cielsko zdawało się nie mieć kresu. Często, widać, powstawały zatory, bo linie gięły się, jak gdyby bliskie załamania; ale wracał porządek, posuwisty ruch zaczynał się znowu z powolną regularnością. Zdawało się, że na niebie mniej jest gwiazd. Mleczna Droga spadła z wysokości, niosąc, z sobą sproszkowane światy, i nie przerywała na ziemi tańca gwiazd. Sączyła się niebieska jasność, było już tylko niebo, budowle i drzewa nabierały nierealnych zarysów w tajemniczym blasku tysięcy świeczek, których wciąż przybywało.

Maria wydała stłumione westchnienie podziwu; nie mogła znaleźć innych słów, powtarzała:

– Jakież to piękne, mój Boże, jakie piękne!... Spójrz, Piotrze, jakie to piękne!

Ale teraz procesja przechodziła o parę kroków od nich i przestała być już tylko rytmicznym pochodem gwiazd, których nie niosły żadne ręce. W błyszczącym obłoku rozróżniali postaci, dostrzegali chwilami, w przejściu, pielgrzymów ze świecami w rękach. Najpierw zobaczyli Grivotte, która uparła się wziąć udział w ceremonii mimo późnej godziny, przesadnie opowiadając o swoim wyzdrowieniu i powtarzając, że nigdy nie czuła się lepiej i teraz szła nienaturalnym skocznym krokiem w tę chłodną noc, która przyprawiała ją o dreszcze. Następnie ukazała się rodzina Vignerona: ojciec na czele, unosząc wysoko świecę, za nim pani Vignerona i pani Chaise wlokły zmęczone nogi, zaś mały Gustaw, wyczerpany, stukał po piasku swą kulą; prawą dłoń miał pokrytą zastygłymi kroplami wosku. Byli tam wszyscy chorzy mogący utrzymać się na nogach, a między nimi Eliza Rouquet, która przeszła jak potępieńcza zjawka ze swą odkrytą, czerwoną twarzą. Wiele osób śmiało się, jak na przykład mała, cudownie uzdrowiona w zeszłym roku Zofia Couteau, która zapominając o wszystkim bawiła się swoją świecą jak laleczką. Głowy, głowy, przede wszystkim kobiece, szkaradnie pospolite, ale często o wspaniałym wyrazie twarzy; widziało się je przez sekundę w fantastycznym świetle, po czym tonęły w cieniu. Nie było temu końca, wciąż nadchodzili nowi; Maria i Piotr ujrzeli jeszcze czarny, drobny, bardzo nikły cień, panią Maze, której byliby nie poznali, gdyby na moment nie podniosła bladej, zalanej łzami twarzy.

– Popatrz – wskazał Piotr Marii – pierwsze światła procesji już docierają do placu Różańca Świętego, a jestem pewny, że połowa pielgrzymów stoi jeszcze przy Grocie.

Maria podniosła wzrok. Tam w górze istotnie, u lewego narożnika Bazyliki, zobaczyła wyłaniające się inne światła, regularne i bez przerw, w tym mechanicznym ruchu, który – wydawało się – nigdy nie miał się skończyć.

– Ach – powiedziała – ile dusz bolejących! Bo przecież każdy z tych małych płomyków to dusza, która cierpi i pragnie wyzwolenia.

Piotr musiał się pochylić, aby słyszeć, co Maria mówi, bo pieśń nabożna, skarga Bernadety, ogłuszała ich, odkąd fala ludzka zaczęła przepływać tak blisko nich. Głosy wybuchały w rosnącym zapamiętaniu, zwrotki pomału mieszały się, każdy człon procesji śpiewał inną głosem opętańców, którzy nie słyszeli już samych siebie. Była to ogromna, niewyraźna wrzawa, uparta wrzawa tłumu, całkiem już niemal pijanego żarliwością swojej wiary. Poprzez wszystko jednak refren: „*Aves ave, ave, Maria!*”, powracał, zwycięski, ze swoim rytmem frenetycznej obsesji.

Nagle Piotr i Maria zdziwili się ujrawszy pana de Guersaint.

– Ach, moje dzieci, nie chciałem za długo być tam na górze, właśnie dwa razy przeciałem procesję, aby tu wrócić... Cóż za widok! Jest to niewątpliwie pierwsza naprawdę piękna rzecz, w której uczestniczę, odkąd jestem tutaj.

I zaczął opisywać im procesję, oglądaną z wysokości Kalwarii.

– Wyobraźcie sobie, moje dzieci, drugie niebo w dole, odbicie tego, które jest w górze, ale niebo pokryte w całości przez jedną jedyną olbrzymią konstelację. Jest to mrowienie się gwiazd jak okiem sięgnąć, w wielkiej dali, w ciemnych głębokościach; ten wędrujący płomień tworzy monstrancję, tak, prawdziwą monstrancję, której podstawę stanowią terasy, trzon – dwie równoległe aleje, hostię zaś wieńczący je okrągły trawnik. Jest to monstrancja z rozżarzonego złota, płonąca w sercu ciemności, z wiecznym iskrzeniem się gwiazd w ruchu. Istnieje już tylko ona, olbrzymia i władcza. Doprawdy, w życiu nie widziałem czegoś tak wspaniałego!

Machał rękami, nie panował nad sobą, porwany artystycznym przeżyciem.

– Tatusiu – serdecznie powiedziała Maria – skoro już tutaj wróciłeś, powinieneś pójść się położyć. Dochodzi jedenasta, a wiesz, że musisz wyjechać o trzeciej rano. – Chcąc go przekonać, dodała: – Tak się cieszę, że odbędziesz tę wycieczkę! Tylko wróć wczesnym wieczorem, bo zobaczysz, zobaczysz...

I nie śmiała wyrazić swej pewności, że zostanie uzdrowiona.

– Masz słuszność, pójde się położyć – odparł pan de Guersaint. – Nie będę się niepokoił, skoro Piotr jest przy tobie.

– Ależ – zawołała Maria – ja nie chcę, aby Piotr czuwał przez całą noc. Gdy za chwilę zawiezie mnie do Groty, przyjdzie do ciebie... Ja nie będę potrzebowała nikogo, pierwszy lepszy pielęgniarz odwiezie mnie jutro do szpitala.

Piotr milczał. Ale po chwili rzekł po prostu:

– Nie, nie, Mario, ja zostanę... Noc spędzę, tak jak ty, przy Grocie.

Otworzyła usta, aby zaprotestować, gniewać się. Ale powiedział to z taką łagodnością, wyczuła w jego słowach tak bolesne pragnienie szczęścia, że zamilkła, wzruszona. do głębi

duszy.

– No więc, moje dzieci – rzekł ojciec – ułóżcie to między sobą, wiem, że oboje jesteście bardzo rozsądni. Dobranoc, a nie troszczcie się o mnie.

Długim pocałunkiem pożegnał córkę, uściśnął obie ręce młodego księdza, po czym odszedł, znikając w gęstych szeregach procesji, której raz jeszcze musiał przeciąć drogę.

Zostali więc sami w zakątku cienia i samotności pod wysokimi drzewami, ona wciąż siedziała w swoim wózku, on klęczał w trawie, oparty łokciem o jedno z kół. Było im cudownie, a tymczasem pochód świc odbywał się dalej; gromadziły się one wszystkie i zakręcały na placu Różańca Świętego. Piotr był zachwycony, że w Lourdes nie widziało się teraz śladów dziennego ucztowania. Rzekłbyś, że z oczyszczającym wiatrem od gór uleciał zapach ciężkich potraw, sytych niedzielnych uciech, cały ten unoszący się nad miastem, pałacy i zapowietrzony pył jarmarcznego święta. Było już tylko bezkresne nie – bo z czystymi gwiazdami, uroczy chłód rzeki, a kapryśne powiewy przynosiły woń polnych kwiatów. Nieskończoność tajemnicy zatracala się we władczym spokoju nocy, z rzeczy” materialnych zostały już tylko małe płomyki świc, które towarzyszka Piotra porównała do cierpiących dusz, pragnących się wyzwolić. Był to cudowny wypoczynek i nie mająca granic nadzieja. Od kiedy Piotr znalazł się tutaj, przykre wspomnienie z przedpołudnia, ludzka żarłoczność, bezwstydna symonia, stare miasto, zepsute i sprostytuowane, znikaly mu powoli z pamięci – zostało tylko to boskie orzeźwienie, piękna noc, w której istota jego kąpała się jak w wodzie zmartwychwstania.

Maria, którą ogarnęła jakaś bezmierna słodycz, szepnęła:

– Ach, jaka szczęśliwa byłaby Blanka, gdyby mogła ujrzeć wszystkie te cuda!

Pomyślała o siostrze pozostałej w Paryżu, w kołowrocie ciężkiej pracy nauczycielskiej, biegającej po prywatnych lekcjach. I to zwykłe słowo, ta wzmianka o siostrze, o której nie mówiła od chwili przybycia do Lourdes, a która niespodzianie stanęła jej przed oczyma, wystarczyły, aby obudzić całą przeszłość.

Maria i Piotr w milczeniu przeżywali raz jeszcze swoje dzieciństwo, dawne zabawy w dwu sąsiednich ogrodach rozdzielonych jedynie żywopłotem. Potem przyszło rozstanie, dzień, w którym on wstąpił do seminarium i kiedy ona całowała go w policzki, płacząc gorącymi łzami i przysięgając, że nigdy go nie zapomni. Przemineły lata i odnaleźli się jako rozdzieleni na wieki: on był księdzem, ona zaś, zmiażdżona chorobą, nie miała już nadziei, że stanie się kobietą. To były całe ich dzieje: gorąca miłość, która długo nic o sobie nie wiedziała, potem tak zupełne zerwanie, jak gdyby oboje pomarli, mimo że żyli blisko siebie. Stało im teraz znowu przed oczyma ubogie mieszkanie, gdzie starsza siostra, udzielając lekcji, usiłowała wprowadzić trochę dobrobytu, ubogie mieszkanie, skąd wyjechali do Lourdes po tylu walkach i dyskusjach pomiędzy jego zwątpieniem a jej namiętną wiarą, która w końcu zwyciężyła. Jakże zachwycające było, że teraz znaleźli się sami w tym zakątku ciemności w tę cudowną noc, kiedy na ziemi

błyskało tyle gwiazd co na niebie. Maria aż dotąd zachowała duszę dziecka, białą duszę, jak mawiał jej ojciec, duszę doskonałą i Czystą. Dotknięta chorobą w trzynastym roku życia, nie podlegała dotąd prawom czasu, jak gdyby nie posuwała się w latach. Dzisiaj, w dwudziestym trzecim roku życia, miała wciąż trzynaście lat, pozostała dziecinna, zamknięta w sobie, cała owładnięta klęską, która ją unicestwiła. Widać to było po jej pustych, nieobecnych oczach, po jej wyrazie stałego zaprzątnięcia jedną myślą, po jej niezdolności, aby chcieć cokolwiek. I nie było na świecie kobiecej duszy naiwniejszej niż jej dusza, zatrzymana w rozwoju, dusza grzecznej dużej dziewczynki, w której obudzona namiętność zadawała się serdecznym pocałunkiem w policzek. Jedynym romanssem, jaki przeżyła, było łzawe pożegnanie z przyjacielem, i to od dziesięciu lat wystarczało, aby wypełnić jej serce. Podczas nie kończących się dni, spędzonych na łożu boleści, nie wyszła nigdy poza marzenie, że gdyby ona była zdrowa, on na pewno nie zostałby księdzem i żyłby dla niej. Nigdy nie czytywała romansów. Pobożne książki, na jakie jej pozwalano, podtrzymywały w niej egzaltację miłości nadludzkiej. Nawet głosy z zewnątrz zamierały u drzwi pokoju, w którym żyła jak w klasztorze; a niegdyś, gdy jeszcze wożono ją z jednego końca Francji na drugi, z uzdrowiska do uzdrowiska, krążyła wśród ludzi jak somnambuliczka, nic nie widząc i nie słysząc, opętana stałą myślą o swojej klęsce, o więzach, które krępowały jej kobiecość. Stąd zrodziły się ta czystość i dziecięctwo, owa urocza córka cierpienia, która wybujała w smutnym cichym sercu dziewczyny, gdzie pozostał tylko daleki zew, nieświadomiona miłość jej lat trzynastu.

Dłoń Marii w ciemnościach poszukała ręki Piotra; a gdy ją napotkała idącą naprzeciwko jej ręki, spoczęła na niej długim uściskiem. Ach, cóż za radość! Nigdy nie kosztowali radości tak czystej i tak doskonałej, nigdy tak z sobą nie byli, z dala od ludzi, w przemożnym uroku cienia i tajemnicy. Dokoła nich tańczyły tylko gwiazdy. Śpiewy podobne do kołysanek były jak ich własne uskrzydłone upojenie. Maria miała pewność, że jutro zostanie uzdrowiona, gdy spędzi noc ekstazy przed Grotą; było to absolutne przekonanie, że głos jej dotrze do Najświętszej Panny, że ją ubłaga, z chwilą gdy zostanie sama przed jej obliczem. I dobrze zrozumiała, co chciał przed chwilą powiedzieć Piotr, gdy oświadczył, że również pragnie spędzić całą noc przed Grotą. Czyż nie oznaczało to, że postanowił dokonać ostatniego wysiłku wiary, że miał uklęknąć jak małe dziecko, błagając Wszechmocną Matkę, aby zwróciła mu utraconą wiarę? I teraz nie musieli o tym mówić, bo powtarzały to sobie ich splecione ręce. Obiecywali sobie, że będą się wzajemnie za siebie modlić, zapamiętywali się w sobie aż do zraty, z tak płomiennym pragnieniem, aby oboje odzyskali zdrowie, aby oboje byli szczęśliwi, iż dosięgli na chwilę dna miłości, która oddaje się i składa w ofierze. Była to szczęśliwość boska.

– Ach – szepnął Piotr – ta błękitna noc, ten bezmiar cienia zakrywający brzydotę ludzi i rzeczy, ten ogromny i chłodny spokój, w którym pragnąłbym uśpić moje zwątpienie...

Głos jego ucichł. Z kolei Maria powiedziała bardzo cicho:

– I róże, ten zapach róż... Czy ty go nie czujesz, mój drogi? Gdzież one są, żeś ich nie mógł znaleźć?

– Tak, tak, czuję je, ale tutaj nie ma róż. Byłbym je na pewno znalazł, bo szukałem bardzo uważnie.

– Jak możesz mówić, że tu nie ma róż, kiedy przesycają zapachem powietrze dokoła nas i *my* skapani jesteśmy w ich woni? Przecież chwilami jest ona tak mocna, że omdleвам z radości, iż nią oddycham!... Róże są na pewno, mnóstwo róż, pod naszymi stopami.

– Nie, przysięgam ci, że zajrzałem wszędzie, nigdzie nie ma róż. Chyba że są niewidzialne, że są tą trawą, którą deptamy, tymi wysokimi drzewami, które nas otaczają, że ich zapach wydobywa się z ziemi, z pobliskiego strumienia, że są lasem i górami.

Milczeli przez chwilę, po czym ona rzekła tym samym, bardzo cichym głosem:

– Jak one pięknie pachną, Piotrze! Wydaje mi się, że nasze dwie złączone ręce są jak bukiet.

– Tak, pachną cudownie; a teraz, Mario, zapach płynie od ciebie, jak gdyby róże kwitły w twoich włosach.

Nie powiedzieli już nic więcej. Procesja szła ciągle, żywe iskry wciąż ukazywały się okrążając Bazylikę, wytryskiwały z ciemności jak z niewyczerpanego źródła. Ogromna płynna masa drobnych płomieni w swym podwójnym biegu dzieliła ciemność płomienną wstęgą żaru. Ale przede wszystkim patrzyli na plac Różańca Świętego, gdzie czoło procesji, wykonując swój powolny manewr, zataczało krąg coraz to mniejszy, wirując jakby uparcie, co oszołamiało w końcu przemęczonych pielgrzymów i brzmiało ostrą nutą w ich śpiewie. Wkrótce krąg gwiazdny był już tylko płonąca masa, mgławicowym jądrem; wokół niego rozwijała się rozżarzona wstęga, która zdawała się nieskończona; i jądro rozrastało się, było lustrem wody, później całym jeziorem. Ogromny plac Różańca Świętego zmieniał się w płomienne morze, toczące połyskliwe, drobne fale w zapamiętaniu tego bezmiernego wiru. Błysk jutrzeńki bielił Bazylikę. Reszta widnokregu tonęła w głębokiej ciemności. Widać było na uboczu już tylko parę zagubionych, samotnych świeczek, niczym robaczki świętojańskie szukające sobie drogi przy blasku swoich małych latarenek. Ostatni zagubiony ogon procesji musiał wspiać się na górę Kalwarii, gdyż teraz gwiazdy wędrowały i tam w górze, na wysokim niebie. Wreszcie przyszła chwila, gdy ukazały się ostatnie świece, okrążyły trawniki, stoczyły się i utonęły w morzu ognia. Płonęło trzydzieści tysięcy świec rojąc się wciąż, przegarniając swój żar pod ogromnym, spokojnym niebem, na którym bładły gwiazdy. Świetlista chmura ulatywała wraz z pieśnią nabożną, której obsesja trwała nieprzerwanie. I pomruk głosów, ciągle: „*Ave, ave, ave, Maria!*”, był jak trzeszczenie tych ognistych serc, które spalały się w modłach, aby ciała ich zostały uzdrowione, a dusze dostały zbawienia.

Jedna po drugiej gasły już świece, zapadała władcza noc, bardzo ciemna i bardzo łagodna, gdy Piotr i Maria uświadomili sobie, że są jeszcze tam, ukryci w tajemnicy drzew, z dłońią

w dłoni. W dali, ciemnymi ulicami Lourdes szli już tylko zbłąkani pielgrzymi, pytając o drogę, szukając swoich legowisk. Powiewy przenikały ciemność, ogarniały wszystko, co krąży i usypia pod koniec świątecznego dnia. A oni, w zapamiętaniu, wciąż jeszcze trwali nieruchomo, cudownie szczęśliwi, wśród woni niewidzialnych róż. **IV**

Piotr pociągnął wózek Marii przed Grotę i ustawił go jak mógł najbliżej kraty. Minęła już północ; znajdowało się tam około stu osób, parę z nich siedziało na ławkach, ale większość klęczała, głęboko zatopiona w modlitwie. Od zewnątrz Grota żarzyła się świecami, podobna do płonącej kaplicy, tak że nie widziało się nic poza tym pyłem gwiazd, z którego wychylała się w swej niszy zjawiskowo biała figura Świętej Panienki. Pnąca się zieleń nabierała wspaniałości szmaragdów, tysiące szczudeł, którymi zawieszono było sklepienie, przypominały zawikłaną siatkę uschłego drzewa, które wkrótce ma znowu zakwitnąć. I noc stawała się jeszcze czarniejsza od tego żywego blasku, wszystko dokoła tonęło w gęstym cieniu, nie było już nic, ani murów, ani drzew, nic poza szemrzącym głosem rzeki Gave, który wzbijał się pod ogromne ciemne niebo nabrzmiałe burzą.

– Czy dobrze ci tu, Mario? – zapytał cicho Piotr. – Nie jest ci zimno?

Marię przeszedł dreszcz. Ale był to tylko lekki powiew z zaświatów, który zdawał się ciągnąć od Groty.

– Nie, nie, jest mi bardzo dobrze! Tylko połóż mi szal na kolanach... I dziękuję, Piotrze, bądź o mnie spokojny, nie trzeba mi nikogo, bo oto jestem z Nią...

Głos jej słabnął, zapadała już w ekstazę, ręce miała złożone, oczy wzniesione ku białemu posagowi, a cała jej biedna, wynędzniała twarz uległa błogiej metamorfozie.

Jednakże Piotr został jeszcze przez parę minut. Chciał owinać ją szalem, bo widział, jak drżą jej małe wychudzone ręce, bał się jednak jej sprzeciwić, poprzestał więc na tym, że otulił jej nogi, jakby była małym dzieckiem, ale ona, z łokciami na brzegach wózka, na wpół uniesiona, już go nie widziała.

W pobliżu stała ławka; podszedł i usiadł, chcąc samemu się skupić, gdy wzrok jego padł na klęczącą w mroku kobietę. Ciemno ubrana, była tak skromna, o tak niewyraźnych kształtach, tak stopiona z ciemnością, że w pierwszej chwili jej nie dostrzegł. Potem odgadł, że to pani Maze. Pomyślał o liście, który otrzymała w ciągu dnia. I użalił się nad jej opuszczeniem, nad tą samotnicą, która nie przybyła tu z raną ciała, lecz prosiła Najświętszą Pannę, aby ulżyła, chorobie jej serca, aby nawróciła niewiernego małżonka. List był zapewne jakąś bezwzględną odpowiedzią, gdyż pani Maze, z pochyloną głową, zdawała się unicestwiona, miała w sobie pokorę nieszczęsnego, bitego stworzenia. Ztracała się w ciemnościach, szczęśliwa” że tu może się ukryć, płakać całymi godzinami, znosić mękę, błagać o odzyskanie utraconej miłości, i że nikt nie domyśla się jej bolesnej tajemnicy.. Nawet usta jej nie poruszały się, modliło się jej

udręczone serce, dopominało zapamiętałe swojej części miłości i szczęścia.

Ach, to nieugaszone pożądanie szczęścia, przywodzące tutaj wszystkich zranionych na duszy lub na ciele! Piotr także miał je w sobie, czuł, jak paliło go w gardle żarliwe pragnienie, aby zaspokoić swoją tęsknotę. Jakże chciałby, rzucić się na kolana, błagać o boską pomoc z pokorną wiarą tej kobiety! Ale członki jego były jak skrepowane, nie znajdował potrzebnych słów. Toteż odczuł ulgę, gdy czyjaś ręka lekko dotknęła jego ramienia..

– Proszę księdza ze mną, jeżeli ksiądz nie zna jeszcze Groty. Usadówię księdza, o tej porze jest tam tak dobrze!

Podniósł głowę, poznał barona Suire, prezesa Schroniska Matki Boskiej Wybawicielki. Widocznie ten życzliwy i pełen prostoty człowiek powziął do niego sympatię. Piotr przyjął zaproszenie i poszedł za baronem do Groty, teraz zupełnie pustej. Baron zamknął nawet za nimi kratę, od której klucz miał przy sobie.

– Widzi ksiądz, to jest pora, kiedy można się tutaj czuć naprawdę dobrze. Ja, gdy znajdę się przez tych. parę. dni w Lourdes, rzadko kiedy kładę się spać przed świtem, gdyż mam zwyczaj spędzać – tu ostatnie godziny nocne... Nie ma już nikogo, jest się samotnym i, prawda, jak to miło czuć się w gościnie u Najświętszej Panny?

Uśmiechał się dobrodusznie, czynił honory Groty jako stary jej bywalec, nieco już osłabiony wiekiem, pełen prawdziwego przywiązania do tego uroczonego zakątka. Zresztą, mimo. jego wielkiej pobożności, miejsce to nie krępowało go wcale, roz – mawiał, udzielał wyjaśnień ze swobodą człowieka, który czuje się przyjacielem niebios.

– Ach, przygląda się ksiądz tym świecom... Prawie dwieście pali się naraz, we dnie i w nocy, i stąd to gorąco!... Nawet w zimie jest tu ciepło.

Piotr istotnie dusił się trochę w zapachu rozgrzanego wosku. Oślepiony zrazu żywą jasnością, przypatrywał się teraz wielkiej środkowej kracie w formie piramidy, całej najeżonej małymi świeczkami, tworzącej jak gdyby trójkątną rozjarzoną ramę usianą gwiazdami. W głębi prosta krata, tuż przy ziemi, dźwigała wielkie świece, które, niejednakowej *wysokości*, wyglądały jak piszczalki organów, przy czym niektóre miały grubość ludzkiego uda. Inne jeszcze kraty, podobne do ciężkich kandelabrow, rozstawione były tu i ówdzie na skalnych występach. Sklepienie Groty opadało ku lewej stronie, kamień wyglądał tam jak wypalony i zadymiony od tych wiecznych płomieni nagrzewających go od lat. Wosk stale spływał, jak niepostrzeżenie padający śnieg; ściekał z poziomych części krat, białych od narastającego wciąż kroplistego pyłu, przesycał skałę, która była tłusta przy dotknięciu, ale przede wszystkim tak szczelnie pokrywał ziemię, że zdarzały się nieszczęśliwe wypadki i aby im zapobiec, trzeba było rozłożyć na ziemi coś w rodzaju słomianek.

– Proszę spojrzeć na te grube świece – ciągnął uprzejmie baron Suire – są najdroższe, kosztują po pięćdziesiąt franków i palą się przez miesiąc... Te małe, po trzy su, palą się tylko trzy

godziny... O, my ich nie oszczędzamy, bo nigdy ich nie brakuje. Proszę, oto jeszcze dwa kosze, których nie zdążono odnieść do magazynu.

Następnie pokazał mu całe urządzenie Groty: fisharmonię okrytą kapą, ogromną szafę z wielkimi szufladami, gdzie trzymano szaty liturgiczne, ławki i krzesła zastrzeżone dla publiczności uprzywilejowanej, którą dopuszczano tam w czasie ceremonii, a wreszcie bardzo piękny ruchomy ołtarz, pokryty srebrnymi rzeźbionymi płytami, dar pewnej wielkiej damy, którego używano zresztą jedynie podczas pielgrzymek ludzi bogatych, z obawy, aby go nie zniszczyła wilgoć.

Piotra raziła ta uprzejma gadanina. Jego przeżycie religijne traciło w ten sposób urok. Gdy tu wszedł, mimo że nie miał w sobie wiary, odczuł wzruszenie, rodzaj wstrząśnienia duszy, jak gdyby miała mu zostać objawiona jakaś tajemnica. Było to uczucie jednocześnie trwożne i pełne czaru. I widział tu rzeczy, które go niezmiernie wzruszały, stopy bukietów złożonych u stóp Marii, naiwne wota, małe spłowiałe trzewiczki, żelazny gorsecik, szrudła jak dla lalki, podobne do zabawek. U dołu naturalnego sklepienia, gdzie odbyło się objawienie, w miejscu, gdzie pielgrzymi pocierali różańce i medaliki, aby je poświęcić, skała była starta i wygładzona. Miliony żarliwych ust przywierały tam z taką siłą miłości, że kamień się wypalił, pożyłkował na czarno i lśnił jak marmur.

Zatrzymał się w głębi, przed wydrążeniem w skale, gdzie widniał ogromny stos listów i wszelkiego rodzaju papierów.

– Ach, zapomniałem – żywo podjął baron Suire – oto rzecz najbardziej interesująca. Są to listy, które wierni co dzień wrzucają do Groty poprzez kratę. Zbieramy je i składamy tutaj, a w zimie ja zabawiam się ich sortowaniem... Rozumie ksiądz, że trudno palić je, nie otworzywszy nawet, gdyż często zawierają pieniądze, monety po dziesięć su, franki, a przede wszystkim marki pocztowe.

Przerzucał listy, wybierał z nich niektóre na chybił trafił, pokazywał adresy, otwierał, aby je przeczytać. Prawie wszystkie były żalonymi listami prostych ludzi; adresy: „Do Matki Boskiej w Lourdes”, wypisane były dużymi, nieregularnymi literami. Wiele zawierało prośby lub podziękowania, wyrażone w zdaniach źle zbudowanych, pisane okropną ortografią; ale trudno było o coś bardziej wzruszającego niż niektóre z nich: proszono o uzdrowienie małego braciszka, o szczęśliwy wynik procesu, odzyskanie kochanka, dojście do skutku małżeństwa. Inne listy, gniewne, łajały Najświętszą Panne, że nie była na tyle uprzejma, aby odpowiedzieć na poprzedni list, wypełniając życzenie nadawców. Były jeszcze inne, pisane wykwintniej, poprawnym stylem, wyznania i gorące prośby dusz kobiecych, zwierżające Królowej Niebios to, czego nie śmiałyby wyznać kapłanowi w cieniu konfesjonału. Wreszcie jedna koperta, ostatnia, jaką otworzył, zawierała tylko fotografię: mała dziewczynka posyłała swoją podobiznę Matce Boskiej z Lourdes z następującą dedykacją: „Mojej dobrej Matce.” Była to, można powiedzieć, codzienna poczta

bardzo potężnej królowej, która otrzymywała supliki i wyznania i której obowiązkiem było odpowiadać łaskami i dobrodziejstwami wszelkiego rodzaju. Monety półfrankowe i franki były tylko naiwnymi dowodami miłości, aby ją sobie zjednać; co do marek pocztowych, miały one stanowić jedynie wygodę, ułatwić wysyłkę pieniędzy; chyba że były wynikiem zupełnej naiwności, jak w liście pewnej chłopki, która dodawała w przypisku, że załącza markę i czeka na odpowiedź.

– Zapewniam księdza – zakończył baron – że trafiają się listy bardzo miłe, mądrzejsze, niżby można oczekiwać... Przez trzy lata znajdowałem ogromnie interesujące listy pewnej damy, która o wszystkim; co czyniła, opowiadała Najświętszej Pannie. Była to dama zameźna i żywiła nadzwyczaj niebezpieczną namiętność dla przyjaciela swego męża... I oto, proszę księdza, odniosła tryumf, Święta Dziewica odpowiedziała, zsyłając jej zbroję swojej czystości, boską, zaiste, siłę przeciwstawienia się swojemu sercu... – Przerwał na chwilę, po czym rzekł znowu: – Ale niechże ksiądz łaskawie tutaj usiądzie. Zobaczysz ksiądz, jak tu wygodnie.

Piotr usiadł koło niego na ławce po lewej stronie, w miejscu gdzie kamienne sklepienie obniżało się. Istotnie uroczy spokój panował w tym zakątku. Milczeli teraz obaj, panowała głęboka cisza, gdy usłyszeli poza sobą niewyraźny szmer, lekki, krystaliczny odgłos, który płynął jakby w niewidzialności. Piotr drgnął, a baron to zauważył.

– To, co ksiądz słyszy, to źródło. Bije ono z ziemi za tą kratą... Chciałby je ksiądz zobaczyć?

I nie czekając na prośbę Piotra schylił się, aby otworzyć jedną z osłaniających je pokryw, wyjaśniając, że zamyka się je tak z obawy, aby nie dostali się do niego ludzie niewierzący i nie wrzucili jakiej trucizny. Ta niezwykła ostrożność zdumiała na chwilę młodego księdza; ale w końcu złożył to na karb barona, który w gruncie rzeczy był dość naiwny.

Baron tymczasem na próżno szamotał się przy kłódce z literami, która nie chciała ustąpić.

– To dziwne’ – mruknął – hasłem jest „Rzym” i jestem pewny, że go nie zmieniono... Wilgoć przeżera wszystko. Zmuszeni jesteśmy wymieniać po dwóch latach te szczudła u góry, bo się rozpadają... Proszę mi przynieść świecę!

Gdy mu Piotr poświecił świecą zdjętą z jednej z krat, baron zdołał w końcu otworzyć mosiężną kłódkę przeżartą grynszpanem. Okratowana powierzchnia obróciła się i ukazało się źródło. Na podłożu z błotnistego żwiru ze skalnej szczeliny wypływała i biła przezroczysta woda, nie burząc się; zdawała się wydobywać na dość dużej przestrzeni. Baron, wyjaśnił, że aby doprowadzić ją do zdrojów, ujęto ją w przewody pokryte cementem. Dodał jeszcze, że za sadzawkami musiano wykopać zbiornik, aby gromadzić wodę przez noc, gdyż słabo bijące źródło nie zaspokoiliby całodziennych potrzeb.

– Chciałby jej ksiądz skosztować? – zaproponował nagle. – Tutaj, przy wyjściu z ziemi, jest jeszcze lepsza..

Piotr nie odpowiedział, patrzył na tę wodę spokojną, wodę niewinną, która mieniła się

złotymi błyskami w migotliwym blasku. świec. Krople wosku spadały, ożywiały ją drzeniem. I myślał, ile niosła w sobie tajemnicy z dalekiego zbocza gór.

– Proszę wypić szklanę! Baron napełnił szklanę, która zawsze była tam pod ręką; i ksiądz musiał ją wypić. Była to. dobra, czysta, przejrzysta i chłodna woda, jaka sączy się ze wszystkich wyżyn pirenejskich.

Gdy kłódka została zamknięta, obaj wrócili na dawne miejsce na dębowej ławce. Za sobą Piotr chwilami słyszał jeszcze źródło z jego szczebiotem ukrytego ptaka. Teraz baron opowiadał mu o Grocie w różnych porach roku, przy różnej pogodzie; mówił o tym w słowach pełnych czułości, z mnóstwem naiwnych szczegółów.

Lato było hałaśliwą porą, kiedy przybywały jarmarczne tłumy wielkich pielgrzymek, objawiające głośno swoją żarliwość tysiące pielgrzymów, którzy modlili się i krzyczeli jednocześnie. Ale w jesieni zaczynają padać deszcze, deszcze dyluwialne, całymi dniami dudniące o próg Groty; a wtedy pojawiają się pielgrzymki z daleka, Hindusi, Malajczycy, nawet Chińczycy, małe, milczące i ekstatyczne grupy, które klękają, w błocie na znak dany przez misjonarzy. We Francji ze wszystkich starych prowincji najświętobliwszych pielgrzymów przysyła Bretania, są to całe parafie, mężczyźni przyjeżdża tyle co kobiety, a pobożne ich zachowanie, naiwna i skromna wiara mogą służyć za wzór dla całego świata. Potem przychodzi zima, grudzień z wielkim mrozem, gęste zawieje śnieżne w górach. Całe rodziny zjeżdżają wtedy do wyludnionych hoteli, wierni mimo wszystko udają się do Groty, wszyscy ci, co kochają milczenie, pragną przemawiać do Najświętszej Panny w tklivej intymnej samotności. Bywały tu osoby, których nikt nie znał, które zjawiały się dopiero wówczas, gdy mogły być same, paść na kolana i wielbić jak zazdrośni kochankowie, a potem uciekały spłoszone, na pierwszą groźbę spotkania się z tłumem. A jak błogo jest tutaj w jesienną szarugę! Mimo deszczu, mimo wiatru, mimo śniegu Grota jarzy się jak zawsze! Nawet w nocie rozszalałej burzy, choć nie bywało w niej żywej duszy, rozświetlała puste ciemności, płonęła jak ognisko miłości, której nic zgasić nie zdoła. Baron opowiadał, że w okresie zeszłorocznych wielkich śnieżyc przychodził tu i zasiadał na tej ławce na całe popołudnia. W Grocie panowało miłe ciepło, chociaż zwrócona jest na północ i słońce nigdy do niej nie zagląda. Widocznie skała nieustannie nagrzewana od świec dawała to łagodne ciepło; ale czyż nie należało sądzić, że była w tym również urocza dobroć Najświętszej Panny, która życzyła sobie, aby trwał tam wieczny kwiecień? Toteż nie doznawały zawodu drobne ptaszki, wszystkie zięby z sąsiedztwa, gdy ze zmarzniętymi od śniegu nóżkami chroniły się do Groty i polatywały wśród bluszczów dokoła świętego posągu. A wreszcie budziła się wiosna, rzeka Gave z hukiem toczyła stopione śniegi, drzewa zieleniły się na nowo pod naciskiem soków, mrowie ludzkie znów cisnęło się w roziskrzoną Grocie, wypędzając stamtąd drobne ptaki niebieskie.

– Tak, tak – powtarzał baron Suire powolnym głosem, – spędziłem tutaj samotnie wiele

pięknych zimowych dni... Widywałem tylko jedną kobietę, która klękała tuż przy kracie, ażeby nie dotykać kolanami śniegu. Była bardzo młoda, miała zapewne ze dwadzieścia pięć lat – bardzo ładna brunetka ze wspaniałymi niebieskimi oczyma. Nie mówiła nic, wydawało się nawet, że się nie modli, trwała tak godzinami, z twarzą nieskończenie smutną... Nie wiem, kim była, nigdy jej już potem nie widziałem.

Umilkł, a gdy po chwili Piotr spojrział na niego, zdziwiony jego milczeniem, zobaczył, że baron śpi. Z rękoma splecionymi na brzuchu, z brodą wspartą na piersi, spał z nikłym uśmiechem, mocno jak dziecko. Zapewne gdy opowiadał, że spędzał tutaj noce, oznaczało to, że przychodził odbywać w Grocie pierwsze drzemki szczęśliwego starego człowieka nawiedzanego przez aniołów.

Teraz Piotr zakosztował wreszcie uroczej samotności. Prawdą było, że w tym skalnym zakątku słodycz przenikała duszę. Składał się na nią nieco dławiący zapach wosku, ekstatyczne olśnienie, w które zapadało się pośród przepychu świec. Piotr nie widział już ani szczudeł na sklepieniu, ani wotów rozwieszonych po ścianach, ani rzeźbionego w srebrze ołtarza, ani okrytej kapą fisharmonii. Ogarniało go powolne upojenie, coraz zupełniejsza zatrała własnej istoty, a przede wszystkim boskie uczucie, że jest daleko od świata żywych, w sercu tego, co niepojęte i nadludzkie, jak gdyby zwykła żelazna krata stała się barierą nieskończoności.

Lekki szmer po lewej stronie zaniepokoił Piotra. To źródło, które płynęło z ptaszęcym szczebiotem. Ach, jakżeby pragnął paść na kolana, uwierzyć w cud i zdobyć niezłomną pewność, że ta boska woda trysnęła ze skały po to tylko, aby uzdrowić cierpiącą ludzkość! Czy nie przybył tutaj, aby paść na kolana i błagać Marię Pannę, żeby powróciła mu wiarę dziecka? Dlaczego więc nie modlił się, nie błagał jej, aby mu uczyniła królewski dar łaski? Czuł coraz większą duszność, świece oślepiały go do szaleństwa. Nagle przemknęło mu przez myśl, że od dwóch dni, korzystając z wielkiej swobody, jakiej księża zażywali w Lourdes, nie odprawiał mszy. Był w stanie grzechu; może to był ów ciężar, który przytłaczał mu serce? Przeszył go taki ból, że wstał i wyszedł. Pchnął lekko kratę, zostawiając barona Suire śpiącego na ławce.

Maria wpółuniesiona na łokciach, z twarzą ekstatyczną, podniesioną ku Świętej Panience, nie poruszyła się nawet w swoim wózku.

– Mario, dobrze ci tu? Nie zimno? Nie odpowiedziała. Dotknął jej ręk, były ciepłe i łagodne, ale wstrząsało nimi lekkie drżenie.

– Nie z zimna drżysz, prawda, Mario? Odpowiedziała teraz głosem cichym jak tchnienie:

– Nie, nie, zostaw mnie, jestem taka szczęśliwa! Zobaczają ją, czuję to!... Ach, cóż za rozkosz!

Podciągnął szal trochę wyżej i oddalił się w ciemną noc, niewypowiedzianie wzruszony. Po jaskrawej jasności Groty noc wydawała się czarna jak atrament, była to nicość ciemności, w której posuwał się na oślep. Potem oczy jego przywykły, znalazł się nad Gave, szedł brzegiem, aleją ocienioną wysokimi drzewami, gdzie znów zaczynała się chłodna ciemność. Ten cień

i chłód, tak uspokajające, przynosiły mu teraz ulgę. I doznawał już tylko zdziwienia, że nie klęczy, że się nie modli jak Maria, w zupełnym unicestwieniu swej duszy. Jaką czuł w sobie przeszkodę? Skąd ten przemożny bunt, który nie pozwalał poddać się wierze, chociaż jego udęczone, opętana istota pragnęła poddania? Jasno zdawał sobie sprawę, że protestował tylko jego umysł; i przyszła godzina, że chciał zabić ten nienasycony umysł, który pożerał jego życie, przeszkadzał mu być szczęśliwym szczęściem ignorantów i prostaczków. Może gdyby ujrzał cud, znalazłby w sobie wolę wiary. Gdyby na przykład Maria wstała nagle i zaczęła iść, czyż nie padłby na kolana, pokonany wreszcie? Obraz, który w sobie wywołał, obraz Marii uratowanej, uzdrowionej, wzruszył go tak bardzo, że stanął z drżącymi ramionami, wyciągniętymi ku niebu usianemu gwiazdami. O Boże, jak piękna jest ta głęboka i tajemnicza noc, wonna i lekka, i jaką radość rodzi pełna nadziei myśl o na zawsze odzyskanym zdrowiu, o wiecznej miłości odradzającej się jak wiosna! Po chwili poszedł dalej aż do końca alei. Ale wątpliwości opadły go znowu: kto – aby wierzyć – żąda cudu, niezdolny jest wierzyć! Bóg nie jest obowiązany dawać dowody swego istnienia. I teraz ogarnął go znowu lęk na myśl, że dopóki nie wypełni swoich obowiązków kapłańskich i nie odprawi mszy, Bóg go nie wysłucha. Czemuż nie pójść natychmiast do kościoła Różańca Świętego, gdzie ołtarze od północy do południa były do dyspozycji przyjezdnych księży? Zawrócił więc w inną aleję, znów znalazł się pod drzewami, w zakątku zieleni, skąd wraz z Marią oglądał był procesję z pochodniami. Teraz nie błyskało już ani jedno światło, wszystko tonęło w bezgranicznym morzu cienia.

Znowu przyszła na Piotra chwila słabości; wszedł machinalnie do Schroniska Pielgrzymów, jak gdyby pragnął zyskać na czasie. Drzwi, wciąż szeroko otwarte, nie przepuszczały jednak dość powietrza do wielkiej sali zatłoczonej ludźmi. Od pierwszej chwili buchnęło mu w twarz ciężkie gorąco nagromadzonych ciał, gęsta zepsuta woń oddechów i potu. Kopcące lampy świeciły tak lichy, że Piotr musiał uważać, aby nie deptać po rękach i nogach, tłok bowiem był taki, że wiele osób, nie znalazłszy miejsca na ławkach, wyciągnęło się na wilgotnej posadzce, zanieczyszczonej od rana plwociną i odpadkami. W tym niewiarygodnym chaosie mężczyźni i kobiety, księża, wszyscy leżeli jak popadło, powaleni obuchem zmęczenia, osłabli, z otwartymi ustami. Niektórzy chrapali na siedząco, oparci plecami o ścianę, z głową opadłą na piersi. Inni leżeli na ziemi, nogi się plątały, młoda dziewczyna leżała w poprzek starego wiejskiego proboszcza, który spał spokojnie, z błogim uśmiechem na ustach. Do tej szopy, radzi z przypadkowego schronienia, weszli biedacy z gościńca, wszyscy, co nie mieli dachu nad głową w ten piękny letni wieczór; weszli, aby wypocząć, usnąć w braterskim uścisku. Byli i tacy, których trawił niepokój; w gorączkowym podnieceniu przewracali się na posłaniu, wstawali, aby dokończyć zapasów, jakie mieli w koszykach. Widać było ludzi nieruchomych, z szeroko otwartymi oczyma, utkwionymi w mroku. Wśród chrapania rozlegały się krzyki wydawane przez sen i skargi cierpiących. I wielka, tajemna, pełna trwogi litość rodziła się na widok tej stłoczonej, leżącej

wśród szkaradnych łachmanów trzody biedaków, których małe białe duszyczki na pewno błądziły daleko, w błękitnym kraju mistycznych marzeń.

Piotr już miał wyjść, bo chwytały go mdłości, gdy zatrzymał go jakiś słaby a nieprzerwany jęk. Ujrzał na tym samym miejscu, w tej samej postawie panią Vincent, która kołysała na kolanach małą Różę.

– Ach, proszę księdza – szepnęła – słyszy ksiądz, zbudziła się mniej więcej przed godziną i od tej chwili płacze... Przysię – gam jednak, że ani drgnęłam, i taka byłam uradowana, że ją widzę śpiącą!

Ksiądz pochylił się, spojrzął na dziewczynkę, która nie miała już nawet siły otworzyć oczu. Skarga – wychodziła z jej ust wraz z oddechem; dziecko było tak blade, że Piotr zadrżał czując blisko krążącą śmierć.

– Mój Boże, co ja mam zrobić? – mówiła dalej umęczona matka, u kresu sił. – Tak dalej trwać nie może, ja nie mogę słuchać jej płaczu... Gdyby ksiądz słyszał, jak ja do niej mówię: „Mój klejnocie, mój skarbie, mój aniele, błagam cię, nie płacz, bądź grzeczna, Najświętsza Panna wyleczy cię!” A ona nie może się uspokoić...

Łkała głośno, grube łzy padały na twarz dziecka, które wciąż płakało.

– Gdyby to był dzień, już byłabym wyszła z tej sali, zwłaszcza że ona przeszkadza ludziom. Jest tu jedna starsza pani, co się już gniewała. Ale boję się, że będzie zimno, a zresztą, gdzie iść po nocy?... Ach, Panno Najświętsza, zlituj się, zlituj nad nami!

Piotr ze łzami w oczach ucałował jasne włoski Róży i uciekł, aby nie wybuchnąć płaczem wraz z tą matką bolesną; i jak gdyby postanowił zwyciężyć śmierć, poszedł prosto do kościoła Różańca Świętego.

Widział go już za dnia i nie podobał mu się ten kościół; architekt, skrepowany miejscem ograniczonym przez skałę, uczynił go okrągłym, a zbyt niskim, i uwieńczył wielką kopułą podtrzymywaną przez kwadratowe pilastry. Najgorsze, iż mimo starobizantyjskiego stylu kościołowi brakowało nastroju religijnego, wszelkiej tajemniczości i skupienia; w ostrym świetle padającym od kopuły i wielkich szklanych drzwi przypominał nowiutką halę zbożową. Nie był zresztą ukończony, brakło mu ozdób, nagie połacie ścian, o które wspierały się ołtarze, miały za całą dekorację tylko kolorowe róże z papieru i ubogie wota; to ostatecznie nadawało temu przybytkowi wygląd wielkiego pasażu z wykładaną płytami posadzką, która w czasie deszczu była mokra jak podłoga w poczekalni kolejowej. Prowizoryczny wielki ołtarz zrobiony był z malowanego drzewa. Niezliczone rzędy ławek wypełniały rotundę środkową, jak ławki w schro – nisku publicznym, gdzie można było w każdej chwili wejść i usiąść, ponieważ kościół Różańca Świętego otwarty był dniem i nocą dla licznej cizby pielgrzymów. Tak jak Schronisko, była to szopa, gdzie Bóg przyjmował swoich ubogich.

Piotr wszedł, i jemu także kościół ten wydał się publiczną halą, przez którą przebiega ulica.

Ale zbyt ostre światło nie zalewało teraz bladych ścian, świece płonące na wszystkich ołtarzach rozgwieżdżały tylko niepewne cienie usłone pod sklepieniami. O północy odbyła się uroczysta msza, odprawiona z niezwykłą wspaniałością, w przepychu światła, śpiewów, złotych szat, rozkołysanych i dymiących kadzielnic; po tym zwycięskim blasku zostały tylko przy piętnastu bocznych ołtarzach świece przewidziane rytuałem, niezbędne przy mszach, które odprawiano nieustannie od północy do popołudnia. W samym tylko kościele Różańca Świętego odprawiano ich około czterystu w ciągu tych dwunastu godzin. W całym Lourdes, przy jego pięćdziesięciu ołtarzach, ilość odprawianych mszy wynosiła ponad dwa tysiące dziennie. Napływ księży był tak ogromny, że wielu z trudem dopełniało tego obowiązku; musieli stać w kolejce godzinami, aby znaleźć wolny ołtarz. Tej nocy Piotr zdumiał się widząc w półmroku obleşone ołtarze, szeregi księży czekających cierpliwie przy stopniach na swoją kolej, gdy tymczasem oficjant pośpiesznie recytował łacińskie zdania, czynił wielkie znaki krzyża; zmęczenie było tak przytłaczające, że większość siadała na ziemi, a niektórzy zasypiali na stopniach, stłoczeni i zmordowani, licząc na to, że kościelny ich zbudzi.

Piotr przez chwilę chodził niezdecydowany. Czy miał czekać jak inni? Ale to, co widział, przykuwało go do miejsca. Przy wszystkich ołtarzach, podczas wszystkich mszy tłoczyły się gromady pielgrzymów i w pośpiechu, z jakąś żarłoczną gorliwością przystępowały do komunii. Cyboria napełniały się i opróżniały, ręce kapłanów trzymały się rozdając chleb żywota; Piotr zdziwił się, bo nigdy nie widział miejsca na ziemi tak zroszonego boską krwią, gdzie by wiara wyrażała się w takim uniesieniu dusz. Było to niby powrót do heroicznej epoki Kościoła, gdy ludy klękały pod tym samym naporem łatwowierności, przejęte trwogą swej niewiedzy, która – ku ich szczęściu – oddawała ich w ręce Boga wszechmocnego. Wydawało mu się, że przeniesiono go o osiem czy dziewięć wieków wstecz, w czasy wielkiej powszechnej pobożności, gdy sądzono, że zbliża się koniec świata. Tłumy prostaczków, cała rzesza, która asystowała przy uroczystej mszy, została w ławkach, swobodna w domu Bożym jak u siebie. Wielu z nich nie miało zresztą innego schronienia. Czyż kościół nie był ich domem, przytuliskiem, gdzie dniem i nocą czekało pocieszenie? Ci, którzy nie wiedzieli, gdzie będą nocować, którzy nie znaleźli wolnego miejsca nawet w Schronisku, wchodzili do kościoła Różańca Świętego, układali się na ławkach lub wyciągali na płytach posadzki. Inni zaś, choć mieli zapewnione legowisko, wyrzekali się go dla radości spędzenia całej nocy w tym Boskim przybytku, tak wypełnionym pięknymi marzeniami. Aż do rana panował niesłychany tłok i zamieszanie: wszystkie rzędy ławek były wypełnione, we wszystkich kątach, za każdym filarem spali ludzie; mężczyźni, kobiety, dzieci, oparci wzajemnie o siebie, z głowami opadłymi na ramię sąsiada, mieszały swoje oddechy w spokojnej beztrójce; była to klęska świętego audytorium porażonego snem, kościół zamieniony w przypadkowe schronisko, do którego wielkie drzwi, otwarte na piękną sierpniową noc, pozwalały wchodzić wszystkim przechodniom,

złym i dobrym, zmęczonym i zbłąkanym. I zewsząd, przy każdym z piętnastu ołtarzy, nieustannie dźwięczały dzwonki na Podniesienie, a z bezładnej gromady śpiących co chwila podnosiły się grupy wiernych, którzy śpieszyli do komunii, po czym wracali, aby zgubić się wśród stada bez imienia i bez stróża, stada otulonego w półmrok, jak w woal skromności.

Piotr, niespokojny i niezdecydowany, dalej błądził wśród tonących w półmroku grup ludzi, gdy jakiś stary ksiądz, siedzący na stopniach ołtarza, przywołał go skinieniem. Czekał już dwie godziny i w chwili gdy miała nadejść wreszcie jego kolej, poczuł się tak osłabiony, że w obawie, iż nie zdoła odprawić mszy do końca, wołał zrezygnować ze swego miejsca. Widocznie wzruszył się „widokiem Piotra, który pełen udręki błądził w ciemności. Wskazał mu zakrystię, poczekał jeszcze, aż Piotr wróci w ornacie i z kielichem, po czym zapadł w głęboki sen na jednej z pobliskich ławek. Wówczas Piotr odprawił mszę, jak to czynił w Paryżu, sumiennie wypełniając zawodowy obowiązek. Zachowywał wszystkie pozory szczerzej wiary. Ale nic z tego, czego – jak mu się zdawało – mógł się spodziewać po przebytych ostatnio dwóch dniach gorączki, po niezwykle i denerwującym środowisku, w jakim żył od wczoraj, nic z tego nie wstrząsnęło nim, nie poruszyło jego serca. W chwili komunii, gdy spełniała się boska tajemnica, oczekiwał, że zmiarzą go wielkie wzruszenie, że spłynie na niego łaska, gdy otworzą się niebiosy i znajdzie się twarzą w twarz z Bogiem; ale nic się nie wydarzyło, jego zlodowaciałe serce nawet nie zabiło mocniej, wypowiedział do końca zwykle słowa, uczynił przepisane gesty z machinalną zawodową poprawnością. Mimo że chciał zdobyć się na żarliwość, jedna tylko myśl uparcie do niego powracała: że zakrystia jest o wiele za mała wobec tak wielkiej ilości mszy. Jak zakrystianie mogli nastarczyć z podawaniem kościelnych szat i obrusów? To przeszkadzało mu się skupić, zajmowało jego umysł z idiotyczną uporczywością.

Następnie oszołomiony Piotr ujrzał się już poza kościołem. Znowu poszedł w noc, która wydawała mu się czarniejsza, jeszcze cichsza, bezgranicznie pusta. Miasto było martwe, nie błyskało ani jedno światełko. Pozostały tylko pomruki Gave, których przyzwyczajone uszy już nie słyszały. I nagle Grota zabłysła przed nim, zapaliła ciemności swoim nieustannym żarem, płonącym jak niewygasła miłość. Wrócił tam bezwiednie, prowadzony zapewne myślą o Marii. Miała właśnie wybić trzecia godzina, ławki pustoszały, siedziało już w nich tylko ze dwadzieścia osób – zatarte, czarne postaci; widział jakieś niewyraźne przykłęknięcia, senne ekstazy, zapadanie w boską odrętwiałość. Rzekłby kto, że mijająca noc zagaściła ciemności, cofnęła Groteę w dalekość snu. Wszystko pogrążyło się w słodkim zmęczeniu, z ogromnej czarnej przestrzeni przybywał tylko sen; a głos niewidzialnych wód był jak samo tchnienie tego czystego snu, w którym uśmiechała się Matka Boska, śnieżnobiała, w aureoli świec. Wśród paru na w pół omdlałych kobiet pani Maze wciąż klęczała ze złożonymi rękoma, opuszczoną głową, tak nieuchwytna, że zdawała się roztapiać w gorących błaganiach. Piotr szybko podszedł do Marii. Drżał z zimna, więc wyobrażał sobie, że i ona skostniała przy nadchodzącym ranku.

– Zaklinam cię, Mario, okryj się. Czy chcesz jeszcze bardziej cierpieć?

Podniósł szal, który się zsunął, i usiłował okręcić go wokół jej szyi.

– Zimno ci, Mario! Ręce masz lodowate!

Nie odpowiedziała; trwała wciąż jeszcze w tej samej pozycji, w jakiej zostawił ją przed dwiema godzinami. Łokcie miała oparte na krawędziach wózka, na wpół podniesiona w tym samym porywie ku Najświętszej Pannie, a twarz jej była przemieniona, promieniejąca niebiańską radością. Wargi poruszały się, ale nie dobywał się z nich żaden dźwięk. Może wciąż jeszcze prowadziła tajemną rozmowę w czarodziejskiej krainie, we śnie na jawie, jaki śniła, odkąd ją tu przywiózł. Znowu do niej przemówił, ale i tym razem nie odpowiedziała. Wreszcie sama szepnęła dalekim głosem:

– Ach, Piotrze, jaka jestem szczęśliwa!... Widziałam Ją, modliłam się do Niej za ciebie, a Ona uśmiechała się do mnie, skinęła mi lekko głową na znak, że mnie słyszy i wysłucha... I chociaż nie przemówiła do mnie, Piotrze, ja zrozumiałam, co mi powiedziała: że dziś o czwartej po południu, gdy będą koło mnie nieść Najświętszy Sakrament, zostanę uzdrowiona.

Słuchał jej, głęboko wzruszony. Czy spała z otwartymi oczyma? Czy we śnie zobaczyła Najświętszą Pannę z marmuru, jak skłaniała głowę i uśmiechała się? Przeniknął go mocny dreszcz na myśl, że to niewinne dziecko modliło się za niego. Podeszedł aż do kraty, upadł na kolana i wyjąkał: „O Mario! O Mario!”, i sam nie wiedział, czy ów krzyk jego serca zwrócony jest do Najświętszej Pani, czy do ukochanej przyjaciółki z lat dziecięcych. I pozostał tam pokonany, oczekując łaski.

Płynęły długie minuty. Tym razem był to wysiłek nadludzki, oczekiwanie cudu, o który błagał dla siebie, oczekiwanie nagłego objawienia, gromu, który unicestwiłby jego zwątpienie i przywiódł go, na nowo odmłodzonego i zwycięskiego, do wiary prostaczków. Poddawał się, pragnął, aby jakaś siła wyższa spustoszyła jego istotę i przeobraziła ją. Ale – jak przed chwilą, gdy odprawiał mszę świętą – słyszał w sobie tylko bezgra – niczne milczenie, czuł tylko bezdenną pustkę. Nic się nie działo jego zrozpaczone serce zdawało się już ustawać. Na próżno zmuszał się do modlitwy, rozpaczliwie usiłował zatrzymać myśl przy potężnej Świętej Pani, tak łagodnej dla biednych ludzi, wbrew wszystkiemu myśl jego wymykała się, wracała do świata zewnętrznego, zajmowała się dziecinnymi drobiazgami. Właśnie po drugiej stronie kraty, w Grocie, znowu zobaczył barona Suire śpiącego, pogrążonego nadal w szczęśliwej drzemce, z rękoma splecionymi na brzuchu. Widział inne jeszcze szczegóły, bukiety u stóp Matki Boskiej, listy rzucone tam jak poczta do nieba, subtelną woskową koronkę wokół płomieni grubych świec, otaczającą je jak bogata dekoracja z rzeźbionego srebra. Następnie, na pozór bez związku, wrócił myślą do czasów dzieciństwa, bardzo wyraźnie stanęła mu przed oczyma twarz starszego brata, Wilhelma. Nie widział go od śmierci matki. Wiedział tylko, że żyje bardzo samotnie, zajęty badaniami naukowymi, w małym domku, gdzie zamknął się z przyjaciółką i dwoma

dużymi psami; i Piotr nie miał o nim żadnych wiadomości, wyczytał tylko niedawno w jednej z gazet jego nazwisko w związku z jakimś zamachem rewolucyjnym. Mówiono, że namiętnie studiuje fabrykację materiałów wybuchowych, że styka się z przywódcami partii najbardziej postępowych. Dlaczego więc ukazywał mu się tutaj, w tym przybytku ekstazy, wśród mistycznego blasku świec, taki, jakim znał go dawniej, dobry, czuły brat, pełen buntowniczego współczucia dla wszelkich cierpień?! Myśl ta opanowała go przez chwilę, czuł bolesny żal za tą utraconą, dobrą braterską miłością. Następnie, znowu bez związku, powrócił myślą do siebie samego, uświadomił sobie, że choćby dręczył się tu całymi godzinami, wiary nie odzyska. Mimo to czuł rosnące w nim jakieś drzenie, ostatnią nadzieję, myśl, że jeżeli Matka Boska uczyni ten ogromny cud i uzdrowi Marię, on uwierzy na pewno. Był to ostatni termin, jakiego sobie udzielał: spotkanie z wiarą o godzinie czwartej, podczas procesji z Najświętszym Sakramentem. Natychmiast lęk jego ustąpił; klęczał dalej; straszliwie zmęczony, ogarnięty przemożną sennością.

Godziny płynęły, Grota nieustannie słała w noc swój blask rozjarzonej od świateł kaplicy, którego refleks biegł aż na pobliskie wzgórza i bielił tam fasady klasztorów. Po chwili Piotr zauważył, że jasność Groty blednie powoli, i zdziwiony ocknął się z drobnym, lodowatym dreszczem; to dzień wstawał na niebie zmaconym, zaciemnionym wielkimi, sinymi obłokami. Zorientował się, że od południa szybko nadciąga jedna z burz tak nagłych w tym górskim kraju. Już huczał daleki piorun, a podmuchy wiatru zamiatały drogi. Może on także był zasnął, nie widział już bowiem barona Suire, a nie pamiętał jego odejścia. Przed Grotą pozostało zaledwie dziesięć osób, a wśród nich pani Maze z twarzą ukrytą w dłoniach. Gdy zobaczyła, że robi się dzień i że ludzie ją widzą, wstała i znikła na wąskiej ścieżce prowadzącej do klasztoru Sióstr Błękitnych.

Zaniepokojony Piotr podszedł do Marii i powiedział, że nie powinna zostawać tutaj dłużej, jeżeli nie chce narażać się na zmoknięcie.

– Odwiozę cię do szpitala.

Zaprotestowała, zaczęła go błagać.

– Nie, nie, zaczekam na mszę, przyrzekłam, że tu przystąpię do komunii... Nie martw się o mnie, wracaj szybko do hotelu i połóż się, zaklinam cię! Wiesz przecież, że gdy pada deszcz, po chorych przyjeżdżają tutaj kryte powozy.

Upierała się, on zaś także powtarzał, że się nie położy. W Grocie istotnie o bardzo wczesnej godzinie odprawiano pierwszą mszę i dla pielgrzymów niebiańską radością było móc wtedy przyjąć komunię, – po długiej nocy ekstazy, w chwale wschodzącego słońca. A ponieważ zaczęły padać grube krople deszczu, ukazał się ksiądz w ornacie, z dwoma klerykami, z których jeden, chroniąc kielich, otworzył nad oficjantem. biały jedwabny parasol, haftowany złotem.

Piotr, który pchnął wózek ku kracie, aby ukryć Marię pod skalnym występem, gdzie

schroniło się jeszcze parę osób, przyglądał się, jak dziewczyna z ogromną żarliwością przyjmowała hostię, gdy uwagę jego zwrócił żalony widok, który wzburzył go do głębi.

Pod ulewnym deszczem, gęstym i ciężkim, zobaczył panią Vincent, która na wyciągniętych rękach, wciąż dźwigając swój drogi i bolesny ciężar, ofiarowywała Najświętszej Pannie małą Różę. Nie mogąc zostać w Schronisku, gdzie podnosiły się narzekania na nieustanny płacz dziewczynki, wyszła z nią w ciemną noc, błądziła w ciemnościach przeszło dwie godziny, nieprzytomna, szalona, z tym smutnym ciałem swego ciała, które tuliła do piersi, nie mogąc przynieść mu ulgi. Nie – wiedziała, którędy idzie, pod jakimi błąka się drzewami, całą duszą zbuntowana przeciwko niesprawiedliwemu cierpieniu okrutnie nękającemu drobną istotkę, tak słabą, tak czystą, niezdolną jeszcze grzeszyć. Czyż nie ohydne były kleszcze choroby, od tygodni bez ustanku szarpiące biedne dziecko, którego krzyków matka nie umiała uciszyć! Niosła ją, kołysała, w szalonym pędzie przebiegała różne drogi, w upartej nadziei, że wreszcie uciszy ów krzyk rozdzierający jej serce. I nagle, wyczerpana, konająca konaniem córki, stanęła przed Grota, u stóp cudownej Marii Panny, która przebaczała i uzdrawiała.

– O Panno święta, Matko przedziwna, uzdrów ją!... O Panno święta, Matko łaski bożej, uzdrów ją!

Padła na kolana, wciąż unosząc umierającą córkę na drżących ramionach, w egzaltacji pragnienia i nadziei, wypełniającej całą jej istotę. Deszcz, którego nie czuła za sobą szumiał jej za plecami jak wezbrany potok; góry drżały od potężnych grzmotów. Przez chwilę zdawało się jej, iż została wysłuchana, Różę przebiegło lekkie drżenie, jak gdyby nawiedził ją archanioł, miała oczy i usta otwarte, twarz bardzo bladą; wydała ostatni słaby oddech i już nie płakała.

– O Panno święta, Matko Odkupiciela, uzdrów ją!... O Panno, Matko wszechmocna, uzdrów ją!

Ale uczuła, że dziecko w jej wyciągniętych ramionach stało się jeszcze lżejsze. I teraz przeraziła się, że już nie słyszy jej płaczu, że widzi ją tak bladą, z ustami i oczyma otwartymi, bez tchu. Dlaczego nie uśmiechała się, skoro została uzdrowiona? Nagle rozległ się głośny, rozdzierający krzyk, krzyk matki, zagłuszający grzmoty nasilającej się burzy. Róża była martwa. Matka podniosła się sztywno, odwróciła plecami do głuchej Matki Boskiej, która pozwalała, aby dzieci umierały, i odeszła jak oszalała, pośród ulewy, idąc przed siebie bez celu, niosąc i wciąż kołysząc biedne drobne ciało, które trzymała w ramionach od tyłu dni i nocy. Grom, niby topór olbrzyma, ugodził zapewne w jedno z pobliskich drzew, bo rozległ się głośny trzask wykręcanych i łamanych gałęzi.

Piotr pobiegł za panią Vincent, aby ją poprowadzić, udzielić jakiejś pomocy. Ale nie mógł jej dopędzić, natychmiast znikła mu z oczu za nieprzejrzystą zasłoną ulewy; a gdy wracał, msza się kończyła, deszcz padał mniej ulewny, oficjant odszedł pod białym jedwabnym, złoto haftowanym parasolem, a coś w rodzaju omnibusu czekało na paru chorych, aby przewieźć ich

do szpitala.

Maria uścisnęła obie ręce Piotra.

– Och, jąkam ja szczęśliwa!... Nie przychodź po mnie przed godziną trzecią po południu!

Gdy Piotr został sam na deszczu, drobnym teraz i uporczywym, wszedł do Groty i usiadł na ławce koło źródła. Nie chciał kłaść się do łóżka, mimo zmęczenia bał się snu w nerwowym podnieceniu, w jakim żył od wczoraj. Śmierć małej Róży jeszcze wzmogła jego gorączkę; nie mógł obronić się myśli

o udręczonej matce błędzącej po błotnistych drogach z ciałem zmarłego dziecka. Jakimi więc motywami kierowała się Matka Boska? Zdumiewało go, że ona wybiera, chciałby wiedzieć, jak jej macierzyńskie serce mogło postanawiać, że uleczy tylko dziesięciu chorych na stu, że będzie dziesięć procent cudów, jak głosiła statystyka doktora Bonamy. Piotr już wczoraj zastanawiał się, kogo wybrałby, gdyby posiadał moc uzdrowienia dziesięciu ludzi. Straszliwa moc, okropny wybór, który przekraczałby jego siły! Dlaczego ten, dlaczego nie tamten? Gdzie była sprawiedliwość, gdzie dobroć? Być nieskończoną potęgą

i uzdrowić wszystkich – czyż nie taki krzyk wydzierał się ze wszystkich serc? I wydało mu się, że Najświętsza Panna jest okrutna, nieświadoma, równie bezwzględna i nieczuła jak natura, że rozdziela życie i śmierć jak gdyby na ślepo, wedle praw człowiekowi nie znanych.

Deszcz ustawał, Piotr spędził już w Grocie dwie godziny, gdy uczył, że stopy ma przemoczone. Spojrzał i bardzo się zdziwił. Źródło występowało z brzegów, poprzez okratowanie. Już grunt był zalany, woda wyciekała na zewnątrz, pod ławkami, aż do bariery nad Gawe. Ostatnie burze spowodowały przybór wszystkich wód w okolicy. Piotr pomyślał, że źródło, przy całej swojej cudowności, podlega tym samym prawom co inne źródła, gdyż na pewno łączyło się z innymi naturalnymi zbiornikami, gdzie docierały i gromadziły się wody deszczowe. Odszedł, aby nie zamoczyć nóg aż po kostki.

V

Piotr wyszedł, spragniony świeżego powietrza, z głową tak ciężką, że zdjął kapelusz, aby ochłodzić płonące czoło. Mimo zmęczenia, jakie czuł po tej strasznej nocy czuwania, nie chciało mu się wcale spać, gdyż trzymał go na nogach nieustający bunt całej istoty. Wybiła ósma; Piotr szedł na oślep przed siebie, w rannym słońcu jaśniejącym na bezchmurnym już niebie, które burza, zdawało się, obmyła z niedzielnego kurzu.

Lecz nagle podniósł głowę, zaniepokojony, gdzie się znajduje; i zdziwił się, bo przeszedł już kawał drogi i był przy dworcu, niedaleko miejskiego szpitala. Wahał się na rozwidleniu dróg, nie wiedział, którą wybrać, gdy jakaś przyjazna dłoń spoczęła na jego ramieniu.

– Dokąd idziesz o tej godzinie?

Był to doktor Chassaigne, ubrany cały na czarno, prostujący swoją wysoką postać w obcisłym surducie.

– Zbłądziłeś? Mam ci wskazać drogę?

– Nie, nie, dziękuję – odrzekł Piotr zmieszany. – Spędziłem noc w Grocie, przy tej młodej chorej, która jest mi tak bliska, było mi tak ciężko na sercu, że przechadzam się, aby się uspokoić, zanim wrócę do hotelu i położę się na chwilę.

Doktor wciąż mu się przyglądał, widział jego straszliwą rozterkę, jego rozpacz, że nie może usnąć w wierze, cały ból bezowocnego wysiłku.

– Ach, mój biedny chłopcze! – szepnął. I dodał ojcowiskim tonem: – No, skoro się przechadzasz, to może zgodzisz się, abym ci towarzyszył? Szedłem właśnie tędy, brzegiem Gave... Chodź więc, a w powrotnej drodze zobaczysz cudowny widok!

Doktor co rano wędrował tak przez dwie godziny, zawsze sam, pragnąc znużyć swą żalobę. Gdy tylko wstał rano, szedł na cmentarz uklęknąć przy grobie żony i córki, który stroił kwiatami w każdej porze roku. A potem przebiegał drogi, aby osuszyć swoje łzy. Na śniadanie wracał dopiero, gdy się bardzo zmęczył.

Piotr gestem wyraził zgodę. Obaj zeszli stromą drogą, idąc tuż przy sobie. Długo nic nie mówili. Tego ranka doktor wydawał się bardziej przygnębiony niż zwykle, jak gdyby rozmowa z drogimi zmarłymi mocniej rozkrwawiła mu serce. W bladej twarzy okolonej siwymi włosami orli nos zdawał się bardziej wydłużony, oczy wciąż jeszcze miał pełne łez. A było tak dobrze, tak cicho w jasnym słońcu w ten cudowny poranek! Droga biegła teraz prawym brzegiem Gave, naprzeciw nowego miasta. Widać było ogrody, terasy, Bazylikę. Następnie ukazała się naprzeciw Grota z nieustannie żarzącymi się świecami, bledsza przy jasnym dniu.

Doktor Chassaigne, który odwrócił głowę w tę stronę, uczynił znak krzyża. Piotr najpierw nie zrozumiał, dlaczego doktor się przeżegnał. Potem, gdy i on zobaczył Grotę, popatrzył zaskoczony na starego przyjaciela i – jak dnia poprzedniego – zdziwił go ten człowiek nauki, ateusz i materialista, w którego ból uderzył jak piorun i który teraz wierzył, aby dostąpić jedynej radości – ujrzenia w przyszłym życiu tak gorąco opłakiwanych, drogich zmarłych. Serce zwyciężyło rozsądek, stary i samotny człowiek żył tylko złudzeniem, że dostąpi raj, gdzie dusze będą mogły się odnaleźć. I przygnębienie młodego księdza jeszcze wzrosło. Trzeba więc było czekać starości i takiego samego cierpienia, aby trafić wreszcie do przystani wiary?!

Szli wciąż, oddalali się od miasta z biegiem Gave. Przejrzyste wody zdawały się ich kołysać, tocząc się po kamieniach wśród brzegów porośniętych drzewami. I wciąż milczeli idąc równym krokiem, każdy pogrążony w swoim smutku.

– A Bernadeta – zapytał nagle Piotr – czy pan ją znał? Doktor podniósł głowę.

– Czy znałem Bernadetę? Tak, tak, widziałem ją raz, ale już później. – Na chwilę zamilkł, po czym mówił dalej: – Jak wiesz, w roku 1858, w okresie objawień, miałem trzydzieści lat,

mieszkałem w Paryżu jako młody lekarz, wróg wszystkiego, co nadprzyrodzone, i wcale nie myślałem o powrocie w moje góry, aby zobaczyć wizjonerkę. Ale w pięć czy sześć lat póź – niej, około 1864 roku, przejeżdżałem tędy i powodowany ciekawością odwiedziłem Bernadetę, która była jeszcze w szpitalu u zakonnice z Nevers.

Piotr przypomniał sobie, że pragnienie, aby dokończyć studiów nad Bernadetą, było jedną z przyczyn jego podróży do Lourdes. I nie wiadomo, czy łaska nie spłynęłaby na niego za pośrednictwem pokornej i uroczej dziewczyny w dniu, w którym uwierzyłby w jej misję boskiego przebaczenia, jaką wypełniała na ziemi? Może wystarczyłoby mu lepiej ją poznać, przekonać się, że naprawdę jest święta i wybrana.

– Proszę mi opowiedzieć o niej. Proszę powiedzieć mi wszystko, co panu wiadomo.

Słaby uśmiech ukazał się na ustach doktora. Rozumiał, pragnął wnieść spokój do duszy kapłana, udręczonej zwątpieniem.

– O, bardzo chętnie, biedny mój chłopcze. Byłbym tak szczęśliwy, gdybym mógł ci pomóc, aby zapanowało w tobie światło! Słusznie kochasz Bernadetę, to cię może uratować; gdyż rozważyłem te dawne sprawy i twierdzę, że nigdy nie spotkałem istoty tak dobrej i tak uroczej.

I teraz, w rytm ich powolnych kroków, na pięknej rozświetlonej drodze, w miłym chłodzie poranka doktor opowieział o odwiedzinach u Bernadety w roku 1864. Skończyła właśnie dwudziesty rok życia i sześć lat minęło od czasu, jak miewała widzenia; zdziwiła go swoim zwyczajnym, rozsądnym wyrazem twarzy, doskonałą skromnością. Zakonnice z Nevers, które nauczyły ją czytać, zatrzymały ją u siebie w szpitalu, aby ją bronić przed ludzką ciekawością. Miała tam zajęcie, pomagała w najpospolitszych pracach, a poza tym chorowała tak często, że całymi tygodniami leżała w łóżku. Przede wszystkim uderzyły go jej wspaniałe oczy o dziecięcej czystości, niewinne i szczere. Reszta twarzy była już trochę zeszpecona, cera zmatowiała, rysy zgrubiały; na pozór była służebną dziewczyną jak inne, drobną, niepozorną i wątłą. Pobożność jej pozostała żywa, ale nie wydała mu się ekstatyczką, osobą egzaltowaną, jakby można było przypuszczać; przeciwnie, zdradzała umysł raczej konkretny, bez wzlotów; zawsze z jakąś robótką w ręku, drutami lub haftem. Słowem, szła pospolitą drogą, w niczym niepodobna do wielkich wybranek rozmiłowanych w Chrystusie. Nigdy już nie miewała wizji i nigdy z własnej ochoty nie opowiadała o osiemnastu objawieniach, które zadecydowały o jej życiu. Trzeba ją było o to zagadnąć, stawiać jasno sprecyzowane pytania. Odpowiadała krótko, a potem starała się przerwać rozmowę, nie lubiła bowiem mówić o tych sprawach. Gdy chciano posunąć się dalej, gdy wypytywano, jakie były trzy tajemnice, zawarte w boskim zwierzeniu, milkła odwracając wzrok. I niepodobieństwem było dokazać, aby przeczyła samej sobie, zawsze bowiem podawane przez nią szczegóły pozostawały w zgodzie z pierwszą wersją; zdawało się, że doszła do tego, iż powtarza ściśle te same wyrazy, z tą samą intonacją.

– Wytrzymałem ją przez całe popołudnie – mówił dalej doktor – a nie zmieniała ani sylaby...

To było dziwne... Przysięgam jednak, że nie kłamała, że nigdy nie skłamała, bo była do tego niezdolna.

Piotr ośmielił się wyrazić wątpliwość.

– Ale czy pan, doktorze, nie dostrzega w tym jakiejś choroby woli? Czy nie ustalono dziś, że pewne istoty zdegenerowane, niedorozwinięte, prześladowane jakimś urojeniem, halucynacją, wizją, nie mogą się od nich uwolnić, zwłaszcza gdy pozostają w środowisku, gdzie dane zjawisko zaszło?... Jest rzeczą naturalną, że Bernadeta w klasztorze, Bernadeta żyjąca wyłącznie ze swoją myślą prześladowczą, trwała przy niej tak uparcie.

Doktor znów uśmiechnął się blado i rzekł z niewyraźnym gestem:

– Ach, moje dziecko, za wiele ode mnie wymagasz! Wiesz, że jestem tylko biednym, starym człowiekiem, niezbyt dumnym ze swojej wiedzy, nie mającym pretensji, aby coś wyjaśniać... Tak, znałem ów słynny przypadek kliniczny, młodą dziewczynę, która umierała z głodu w rodzicielskim domu, wierząc, że jest dotknięta ciężką chorobą żołądka, a która zaczęła jeść, gdy ją przeniesiono gdzie indziej... Ale cóż chcesz, to jest tylko jeden fakt, a tyle faktów mu zaprzecza!

Milczeli przez chwilę. Na drodze słychać było rytmiczny odgłos ich kroków. Po chwili doktor mówił dalej: – Zresztą prawdą jest, że Bernadeta uciekała od ludzi, że czuła się szczęśliwa tylko w swoim samotnym kąciku. Nigdy nie widziano, aby miała serdeczną przyjaciółkę, aby żywiła do kogoś jakieś szczególne przywiązanie. Była jednakowo łagodna i dobra dla wszystkich, żywsze uczucie przejawiała tylko w stosunku do dzieci... A ponieważ mimo wszystko lekarz nie całkiem we mnie umarł, wyznam ci, że często zastanawiałem się, czy pozostała ona tak samo dziewicza umysłem, jak była bez wątpienia czysta ciałem. To bardzo możliwe, bo zauważ, że była powolna, miała temperament flegmatyczny, że prawie stale chorowała, nie mówiąc już o pobożnym środowisku, w jakim wyrosła, najpierw w Bartres, a potem w klasztorze. Jednakże powziąłem pewną wątpliwość, gdy dowiedziałem się

o serdecznym zainteresowaniu, jakim otaczała sierociniec zbudowany przez zakonnice z Nevers na tej właśnie drodze. Przyjmuje się tam ubogie dziewczynki i ratuje się je od niebezpieczeństw ulicy. I jeżeli ona pragnęła, aby przytułek był jak największy i mógł pomieścić wszystkie zagrożone owieczki, czy powodem tego nie było, że ona pamiętała czasy, kiedy sama boso chodziła po gościńcach, i drżała jeszcze na myśl, co mogło ją spotkać, gdyby nie opieka Najświętszej Paniienki?

Mówił dalej o tłumach, które przybywały, aby podziwiać

i czcić Bernadetę. Bardzo ją to męczyło. Nie było dnia, aby nie zjawiała się fala odwiedzających. Ściągali ze wszystkich stron Francji, a nawet z zagranicy; i trzeba było zatrzymywać zwykłych gapiów, a dopuszczać do niej tylko naprawdę wierzących oraz duchowieństwo i osobistości wybitne, którym niepodobna „było po prostu zamknąć drzwi przed

nosem. Zawsze towarzyszyła jej jedna zakonnica, aby chronić ją przed zbyt natrączywą ciekawością, ponieważ przybysze zasypywali ją pytaniami i prosili, aby opowiadała swoje dzieje. Wielkie damy padały jej do stóp, całowały jej suknię, prosiły o skrawek materii jako relikwię. Musiała bronić swego różańca, bo wszystkie te rozegzaltowane istoty błagały, aby go im sprzedała za ogromną sumę. Pewna margrabina próbowała go zdobyć ofiarowując Berna dęcie inny różaniec, który z sobą przywiozła, ze złotym krzyżem i pięknymi perłami zamiast paciorków. Wiele z nich miało nadzieję, że ona da się uprosić i w ich obecności dokona cudu; przyprowadzano dzieci, aby wkładała na nie race, radzono się jej w chorobach, usiłowano kupić jej niewątpliwe wpływy u Najświętszej Panny. Ludzie ofiarowywali jej wielkie sumy, zasypaliby ją królewskimi darami na najmniejsze skinienie, choćby chciała była zostać królową, strojną w drogie kamienie, ze złotą koroną na głowie. Maluczcy pozostawali klęcząc na progu, możni tego świata cisnęli się w jej pobliże i byliby się czuli zaszczytzeni, gdyby mogli jej służyć za świętę. Mówiono nawet, że jakiś książę, najpiękniejszy i najbogatszy z książąt, przybył w jasny kwietniowy poranek prosić o jej rękę.

– Ale – przerwał Piotr – co mnie zawsze dziwiło i wydawało mi się niewłaściwe, to jej wyjazd z Lourdes w dwudziestym drugim roku życia, to nagłe zniknięcie, uwięzienie jej w klasztorze Saint-Gildard w Nevers, z którego nigdy już nie wyszła... Dało to powód do kłamliwych pogłosek, że oszalała. Sądzono nawet, iż zamknięto ją, aby ją usunąć, w obawie, że popełni nieostrożność, że powie coś naiwnego, co zdradzi tajemnicę długiego oszukaństwa... I aby powiedzieć całą brutalną prawdę, wyznam panu, że ja sam myślę, że chciano się jej pozbyć.

Doktor Chassaigne łagodnie potrząsnął głową.

– Me, nie, w całej tej sprawie nigdy nie było z góry ułożonej gry, wielkiego melodramatu skomponowanego w mroku i odgrywanego potem przez mniej lub więcej świadomych aktorów. Rzecz rozwijała się sama przez się, samą siłą faktów; a była ona zawsze bardzo skomplikowana, niezmiernie trudna do przeanalizowania... Tak na przykład pewne jest, że to sama Bernadeta zapragnęła opuścić Lourdes. Nieustanne wizyty męczyły ją, źle się czuła pośród głośnego uwielbienia. Pragnęła tylko samotnego kąta, gdzie mogłaby żyć w spokoju, i jej bezinteresowność stawała się czasem tak gwałtowna, że dziewczyna rzucała na ziemię pieniądze, które dawano w pobożnej intencji zamówienia mszy lub zapalenia świecy. Nigdy nie przyjęła nic dla siebie ani dla swojej rodziny, która pozostała uboga. Zrozumiałe jest, że przy takiej dumie, przy takiej wrodzonej prostocie, przy takim pragnieniu usuwania się w cień chciała ona zniknąć, zamknąć się w ciszy, aby się przygotować do dobrej śmierci... Dzieło jej zostało wypełnione, spowodowała ten niezwykle ruch, nie wiadomo jak i dlaczego; i doprawdy ona nie była już potrzebna, inni mieli ująć ster sprawy i zapewnić zwycięstwo Grocie.

– Przyjmijmy, że wyjechała z własnej woli – rzekł Piotr, — Ale jakąż to było ulgą dla ludzi, o których pan wspominał, dla tych, którzy odtąd sami sprawowali władzę w powodzi milionów

napływających z całego świata!

– Ach, zapewne, nie twierdzą, że ją zatrzymywali! – zawołał doktor. – Prawdę mówiąc, sądzę nawet, że trochę ją do tego nakłaniano. Stała się w końcu kłopotliwa; nie dlatego aby obawiano się z jej strony niepożądanych wyznań; ale pomyśl, że wcale nie była reprezentacyjna, lecz do przesady lekliwa, często nie opuszczała łóżka. A poza tym, mimo iż zajmowała tak mało miejsca w Lourdes, mimo że okazywała tyle posłuszeństwa, stanowiła potęgę, przyciągała tłumy, co niejako czyniło z niej konkurencję dla Groty. Aby Grota sama jedna mogła jaśnieć w swej chwale, pożądane było, aby znikła Bernadeta, stała się już tylko legendą... Takie zapewne racje skłoniły biskupa z Tarbes, Jego Ekscelencję Laurence'a, do przyśpieszenia jej wyjazdu. Błędne tylko było twierdzenie, jakoby chciano oderwać ją od spraw świata w obawie, że zgrzeszy pychą, że ulegnie próżności i rozsmakuje się w sławie świętej, którą rozbrzmiewało całe chrześcijaństwo. Znaczyłoby to wyrządzić jej ciężką krzywdę, gdyż ona niezdolna była do pychy jak i do kłamstwa, nigdy bowiem nie istniało na świecie dziecko o większej prostocie i skromności.

Zapałał się, unosił. Nagle uspokoił się, odzyskał swój blady uśmiech.

– Kocham ją, to prawda; im więcej o niej myślałem, tym więcej czułem dla niej miłości. Ale widzisz, Piotrze, nie sądzę, że wiara zupełnie mnie zaślepiła. Chociaż należę dziś do innego świata, chociaż niezbędną mi jest wiara w inne życie, lepsze i sprawiedliwsze, wiem, że tutaj na ziemi ludzie pozostają ludźmi; i nawet gdy noszą habit lub sutannę, czyny ich bywają czasami obrzydliwe.

Znowu zapanowało milczenie. Każdy snuł swoją myśl. Po czym doktor ciągnął dalej: – Chcę ci powiedzieć, jaka myśl często mnie nawiedza... Przypuśćmy, że Bernadeta nie byłaby tą prostą i nieśmiałą dziewczyną, że miała w sobie ducha intrygi i żądzę władzy, że byłaby zdobywczynią i przewodniczką ludów; i wyobraźmy sobie, co by się wówczas stało... Oczywiście Grota należałaby do niej, Bazylika również. Ujrzelibyśmy ją na tronie podczas ceremonii kościelnych, pod baldachimem, w złotej mitrze na głowie. Ona szafowałaby cudami, jej mała ręka władczyni gestem prowadziłyby tłumy do nieba. Ona błyszczałaby jako święta, wybranka, bo ona tylko wielbiła boskość twarzą w twarz. W sumie wszystko mogłoby wydawać się jak najprostsze, byłaby szczęśliwa, zaznawszy wprzód cierpienia, korzystałaby w chwale ze swego dzieła... A tymczasem, jak widzisz, została ona ze wszystkiego ogołocona, obrabowana. Cudowne plony, jakie posiadała, zbierają inni. W ciągu dwunastu lat, jakie przeżyła w Saint-Gildard, klęcząc w cieniu, tutaj tryumfowali księża w złotych ornatach, zanosili dzięki Panu, poświęcali kościoły i pomniki, wybudowane kosztem milionowych sum. Ona tylko nie miała udziału w zwycięstwie nowej wiary, które było jej dziełem... Powiadasz, że żyła we śnie? Ach, piękny to sen, co poruszył cały świat i z którego ona, biedactwo, nigdy się nie ocknęła!

Przystanęli, usiedli na chwilę na skale u skraju drogi, a potem zawrócili ku miastu. Przed

nimi Gave, głęboka w tym miejscu, toczyła błękitne wody, mieniające się ciemnymi refleksami, dalej zaś szeroko rozlewała się w łożysku z dużych kamieni i była już tylko białą pianą, lekką jak śnieg. Chłodne powietrze płynęło od gór w złotej ulewie słońca.

Piotr słuchając dziejów wykorzystanej i zgnębionej Bernadety, znalazł nowy. powód do buntu; i ze wzrokiem utkwionym w ziemię myślał o niesprawiedliwości natury, o prawie, na mocy którego silny pożera słabego.

Podniósłszy głowę rzekł:

– A znał pan także księdza Peyramale? Oczy doktora zabłysły, odpowiedział żywo:

– Oczywiście, to człowiek prawy i silny, to święty, apostoł! Był on, wraz z Bernadeta, wielkim robotnikiem Matki Bożej z Lourdes. Jak Bernadeta cierpiał straszliwie i jak ona... umarł z tego... Nic się nie wie, nic się nie rozumie z dramatu, który się tu rozegrał, jeżeli nie zna się tej historii.

I obszernie ją opowiedział. Ksiądz Peyramale w okresie objawień był proboszczem w Lourdes. Był to człowiek wysoki, o szerokich barkach, o potężnej lwiej głowie, syn tej ziemi, o inteligencji, żywej, niezmiernie uczciwy, bardzo dobry, ale czasem gwałtowny i władczy. Zdawał się stworzony do walki, był wrogiem wszelkiej przesadnej pobożności, wypełniał swoje kapłaństwo jak człowiek o szerszych horyzontach. Toteż zrazu okazał nieufność; nie chciał wierzyć w opowiadania Bernadety, wypytywał ją, zażądał dowodów. Dopiero później, gdy wichur wiary nabrał mocy, zachwiał najoporniejszymi, porwał tłumy, on również dał mu się ponieść; nawet wówczas uczynił to przede wszystkim kierując się miłością do pokornych i prześladowanych; gdy okazało się, że Bernadecie grozi więzienie, że władze świeckie prześladowają jedną z jego owieczek, obudziło się jego serce pasterskie, począł ją bronić z właściwą sobie namiętną pasją sprawiedliwości. Potem oddziaływał na niego urok dziewczynki, czuł w niej taką niewinność, prawdomówność, że zaczął ślepo w nią wierzyć, kochać ją, jak kochali ją wszyscy. Dlaczego odrzucać cud, skoro spotykamy go we wszystkich świętych księgach? Nie przystało kapłanowi, choćby najbardziej ostrożnemu, okazywać się niedowiarkiem, skoro całe rzesze padały na kolana i cały Kościół zdawał się bliski nowego i wielkiego tryumfu. Nie mówiąc już, że tkwiący w nim przewodnik ludu, instygator tłumów i budowniczy znalazł wreszcie właściwą drogę, obszerne pole, gdzie mógł działać, wielką sprawę, której mógł się oddać cały ze swym zapałem i wolą zwycięstwa.

Od tej chwili ksiądz Peyramale żyje już tylko jedną myślą: aby wykonać rozkazy, które na polecenie Najświętszej Panny przekazała mu Bernadeta. Przypilnował, aby urządzono Grotę, aby wprowadzono tam kratę, uregulowano odpływ wody ze źródła, wykonano roboty ziemne, ułatwiające dostęp. Ale Święta Pani prosiła przede wszystkim o zbudowanie kaplicy; on zapragnął kościoła, wielkiej tryumfalnej Bazyliki. Chciał rzeczy na wielką skalę, popędzał budowniczych żądając od nich pałaców godnych Królowej Niebios, pełen pogodnej ufności w en

– tuzjastyczną pomoc całego chrześcijaństwa. Zresztą datki napływały, złoto spadało jak deszcz z najdalszych diecezji, złota ulewa, która miała się nasilać i nigdy nie ustać. Były to szczęśliwe lata księdza Peyramale; widziano go stale wśród robotników, których zachęcał do pracy; był energicznym człowiekiem lubiącym się śmiać, zawsze gotowym ująć za kielnię lub kilof, aby jak najszybciej ujrzyć urzeczywistnienie swoich marzeń. Ale miał nastać nowy czas próby; zachorował i był bliski śmierci owego 4 kwietnia 1864, gdy pierwsza procesja wyszła z jego kościoła parafialnego, aby udać się do Groty, procesja złożona z sześćdziesięciu tysięcy pielgrzymów, która uformowała się z ogromnych tłumów, jakie się tam zbiegły.

W dniu, w którym ksiądz Peyramale po raz pierwszy, wyrwany śmierci, podniósł się z łoża boleści, miejsce jego było zajęte. Już wcześniej, aby mu ulżyć w jego ciężkim zadaniu, biskup Laurence przydał mu pomocnika, jednego ze swoich dawnych sekretarzy, ojca Sempe, którego uczynił kierownikiem misjonarzy w Garaison w założonym przez siebie klasztorze. Ojciec Sempe był to niski, chudy i drobny człowiek, na pozór bezinteresowny, bardzo pokorny, ale duszę jego trawiła ogromna ambicja. Zrazu trzymał się zakreślonych granic, służąc proboszczowi z Lourdes jako wierny podwładny, brał na siebie wszystko, aby go odciążyć, i zapoznawał się ze wszystkim, gdyż chciał stać się nieodzowny. Z pewnością natychmiast ocenił, jak bogatym folwarkiem miała stać się Grota, jakie olbrzymie dochody można było z niej wydobyć przy pewnej zręczności. Nie wychodził z biskupstwa i omotał biskupa, człowieka bardzo oschłego i praktycznego, któremu ogromnie potrzebne były jałmużny. I tak to udało mu się, gdy ksiądz Peyramale zachorował, doprowadzić do ostatecznego wydzielenia z parafii Lourdes całego obszaru Groty, którego administrację powierzono jemu, stawiając go na czele paru ojców od Niepokalanego Poczęcia, których przełożonym biskup go zamianował.

Wkrótce zaczęła się wałka, jedna z tych głuchych walk, zażartych i śmiertelnych, jakie toczą się niekiedy pod osłoną kościelnej dyscypliny. Chodziło o budowę nowego kościoła parafialnego, większego i okazalszego niż stary kościół, który okazał się niewystarczający, odkąd przybywały coraz liczniejsze rzesze wiernych: tam tkwiła przyczyna zerwania, tam było pole bitwy, gdzie miano walczyć na miliony. Była to zresztą dawna myśl księdza Peyramale, który chciał być ścisłym wykonawcą rozkazów Świętej Pani. Powiedziała ona mówiąc o Grocie: „Przybywać tam będą w procesjach.” I zawsze widział pielgrzymów wychodzących procesją z miasta i wracających tak samo wieczorem, jak to zresztą zrazu się odbywało. Potrzebny był ośrodek, punkt zborny, toteż wymarzył sobie wspaniały kościół, katedrę o gigantycznych proporcjach mogącą pomieścić cały naród. Przy swoim temperamentem budowniczego, zapamiętałego wyrobnika niebios, widział już budynek wyrastający z gruntu, wznoszący w jasnym słońcu swoją wieżę huczącą dzwonami. A poza tym chciał zbudować swój dom, swój akt wiary i uwielbienia, świątynię, której byłby najwyższym kapłanem, gdzie tryumfowałby ze słodkim wspomnieniem Bernadety, naprzeciwno dzieła, z którego go wyzuto. Oczywiście, w głębokiej goryczy, jaką go

napojono, nowy kościół parafialny był pewnym odwetem, jego własnym udziałem chwały, jeszcze jednym sposobem zatrudnienia własnej wojującej energii, gorączki trawiącej go od czasu, gdy ugodzony w serce przestał nawet schodzić do Groty.

Na początku rozgorzała raz jeszcze żagiew entuzjazmu. Stare miasto, czując się odsunięte w cień, zjednoczyło się ze swoim proboszczem w obliczu groźby, że wszystek pieniądz, całe życie przejdzie do nowego miasta wyrastającego z ziemi dokoła Bazyliki. Rada miejska uchwaliła sumę stu tysięcy franków, która niestety miała być wypłacona dopiero, gdy kościół stanie pod dachem. Ksiądz Peyramale przyjął już plany budowniczego, projekt, który chciał widzieć wspaniałym, i zawarł układ z pewnym przedsiębiorcą z Chartres, który zobowiązał się ukończyć budowę w trzy lub cztery lata, jeśli przyręczone wpłaty uiszczane będą regularnie. Dary, jak sądzono, miały dalej napływać obficie ze wszystkich stron, ksiądz rzucał się w to wielkie przedsięwzięcie spokojnie, tryskając niezmaconą odwagą, licząc, że Niebo nie opuści go w drodze. Był nawet pewien poparcia nowego biskupa, Jego Ekscelencji Jourdanai, który poświęciwszy kamień węgielny, wygłosił mowę, stwierdzając konieczność i zbożność dzieła. Zdawało się też, że ojciec Sempè, ze zwykłą sobie pokorą, pogodził się z katastrofalną konkurencją, która miała go zmusić do podziału; podkreślił, że poświęci się bez reszty administracji Groty, i nawet pozwolił umieścić w Bazylice skarboneę na datki dla nowego kościoła parafialnego... będącego już w budowie.

Po pewnym czasie głucha, zacięta walka rozgorzała na nowo. Ksiądz Peyramale, który był bardzo złym administratorem, radował się widząc, jak jego kościół szybko wzrasta. Prace postępowały w dobrym tempie, on zaś tego tylko pragnął, stale przekonany, że Najświętsza Panna zapłaci. Oślupiał, gdy wreszcie spostrzegł, że jałmużny topnieją, że pieniądz od wiernych przestaje napływać, jak gdyby ktoś, ukryty w cieniu, odwrócił jego bieg. I przyszedł dzień, kiedy nie mógł dokonać przyrzeczonych wypłat. Był to cały, mądrze obmyślany proces zdławienia dzieła, z którego dopiero później zdał sobie sprawę. Ojciec Sempè znów zyskał dla Groty wyłączne względy biskupa. Krążyły nawet wieści o poufnych okólnikach rozesłanych diecezjom, aby wysyłanych pieniędzy nie kierować do parafii. Żarłoczna, nienasycona Grota pragnęła wszystkiego, pochłaniała wszystko; i rzeczy zaszły tak daleko, że pięciusetfrankowe banknoty, włożone do skarboney w Bazylice, zatrzymywano tam; opróżniano skarboneę, okradano parafię. Ale proboszcz, w namiętnej miłości do rosnącej świątyni, która była jego córką, bronił się gwałtownie, byłby sobie dał utoczyć krwi. Zrazu występował w imieniu budowy; potem, kiedy nie miał z czego płacić, działał we własnym imieniu. W tym było już teraz całe jego życie, wyczerpywał się w heroicznych wysiłkach. Na obiecanych czterysta tysięcy franków mógł wypłacić tylko dwieście tysięcy; a rada miejska upierała się, że nie da uchwalonych stu tysięcy franków, dopóki kościół nie stanie pod dachem. Było to postępowanie sprzeczne z oczywistymi interesami miasta. Ojciec Sempè, jak mówiono, działał po kryjomu, piętrzył przeszkody. Nagle

zatrzymfował, budowa została wstrzymana.

Odtąd zaczęła się agonia. Proboszcz Peyramale, ów barczysty góral z lwią twarzą, ugodzony w serce, zachwiał się i runął jak dąb trafiony piorunem. Położył się do łóżka i już nie wstał. Krążyły różne pogłoski, mówiono, że ojciec Sempè pod zbożnym pozorem usiłował wkraść się na plebanię, aby mieć pewność, że jego znenawidzony wróg jest naprawdę śmiertelnie ranny; i dodawano, że trzeba go było wygnać od łoża boleści, gdzie obecność jego była skandalem. Później, gdy proboszcz umarł, napojony goryczą i pokonany, ujrzano ojca Sempè tryumfującego podczas ceremonii pogrzebowych, skąd nikt się nie ośmielił go usunąć. Utrzymywano, iż okazywał ohydłą radość, że twarz jego promieniała zwycięstwem. Pozbył się w końcu człowieka, który stał mu na zawadzie i którego prawowita władza budziła w nim lęk. Nie musiał już teraz z nikim się dzielić, kiedy już nie stało dwojga robotników Matki Boskiej z Lourdes: Bernadeta w klasztorze, ksiądz Peyramale w ziemi! Teraz Grota należała tylko do niego, jałmużny miały napływać tylko do niego, wedle własnej woli mógł teraz układać budżet w wysokości około ośmiuset tysięcy franków, którymi corocznie dysponował. Mógł dokonać gigantycznych prac, które miały uczynić z Bazyliki cały zamknięty w sobie świat, przyczynić się do rozkwitu nowego miasta, izolując coraz bardziej stare miasto i zamykając je za skałą jako mizerne probostwo ginące przy wspaniałościach wszechpotężnej sąsiadki. Była to królewskość zupełna, wszystkie pieniądze i cała władza!

Jednakże nowy kościół parafialny, mimo że prace przy nim przerwano i że drzemał za drewnianym ogrodzeniem, był już więcej niż w połowie ukończony, aż po sklepienia naw bocznych. I stanowił groźbę, gdyby miasto kiedyś próbowało doprowadzić budowę do końca. Trzeba go było także zabić, uczynić z niego ruinę nie do uratowania. Poprowadzono więc dalej tajemną pracę – istne arcydzieło okrucieństwa – nad jego powolnym burzeniem. Naprzód więc zjednano sobie nowego proboszcza, zwyczajnego prostaczka, tak skutecznie, że nie odpięczętowywał nawet przesyłek pieniężnych kierowanych do parafii: wszystkie listy pieniężne odnoszono wprost do zakonników. Następnie skrytykowano umiejscowienie nowego kościoła, kazano budowniczemu diecezji sporządzić raport orzekający, iż stary kościół jest bardzo solidny i wystarcza na potrzeby kultu. Ale przede wszystkim wywarto nacisk na biskupa, przed – stawiono mu w ujemnym świetle trudności pieniężne z przedsiębiorcą. Peyramale był to człowiek uparty, gwałtowny, rodzaj szaleńca, którego nieposkromiona gorliwość o mało niewystawiła religii na szwank. Biskup zapomniał, że sam poświęcił był kamień węgielny, i ogłosił list pasterski, w którym rzucił interdikt na kościół i zakazał odprawiania tam wszelkich nabożeństw, co stanowiło cios ostateczny. Rozpoczęły się długie procesy; przedsiębiorca, który otrzymał tylko dwieście tysięcy franków na pięćset tysięcy należnych za wykonane już prace, zaatakował spadkobiercę proboszcza, budowę i miasto, przy czym to ostatnie wciąż odmawiało wypłaty uchwalonych przez siebie stu tysięcy franków. Zrazu Rada Prefektury ogłosiła się za

niekompetentną, ale – gdy Rada Stanu odesłała jej sprawę – skazała miasto na zapłacenie stu tysięcy franków, spadkobiercę zaś na ukończenie kościoła, zrzucając wszelką odpowiedzialność z budowy; wniesiona została nowa apelacja przed Radą Stanu, która wyrok cofnęła i tym razem rozpatrzyła sprawę, skazując przedstawiciela budowy, a w braku tegoż – spadkobiercę na zapłacenie sumy należnej przedsiębiorcy. I budowa, i spadkobierca byli niewypłacalni, i tak zostało. Procesy ciągnęły się piętnaście lat. Miasto zdecydowało się zapłacić swoje sto tysięcy franków, dług wobec przedsiębiorcy wynosił już tylko dwieście tysięcy franków. Jednakże koszty wszelkiego rodzaju, składane procenty powiększyły tę sumę, tak że sięgała teraz sześciuset tysięcy franków; a ponieważ, z drugiej strony, sumę niezbędną do ukończenia budowy kościoła oceniano na czterysta tysięcy franków, potrzebny był milion, aby uratować młodą ruinę od zupełnego zniszczenia. Od tego dnia zakonnicy z Groty mogli spać spokojnie: zamordowali z kolei i kościół.

Dzwony Bazyliki rozdzwoniły się z całej siły; ojciec Sempè zakręlował zwycięsko po tej gigantycznej walce, po tej wojnie na noże, gdzie zamordowano kamienie, zabiwszy w pierw człowieka w dyskretnym mroku zakrystii. A stare Lourdes, uparte i nierozumne, poniosło ciężką karę za to, że nie poparło silniej swego proboszcza, który umarł przy pracy, z miłości do swojej parafii; gdyż odtąd nowe miasto wciąż rosło i bogaciło się kosztem starego. Wszystek pieniądz płynął do nowego miasta, za – konnicy z Groty zbijali majątek, byli cichymi współnikami hoteli i sklepów ze świecami, sprzedawali wodę ze źródła, mimo że surowo im było wzbronione zajmować się jakimkolwiek handlem, jak głosiła urzędowa klauzula w kontrakcie z gminą. Cały kraj demoralizował się, tryumf Groty obudził taką żądzę zysku, taką palącą gorączkę posiadania i używania, że w rzesistej ulewie milionów niezwykle zepsucie wzmagało się z dnia na dzień, zamieniając Betlejem Bernadety w Sodomę i Gomorę. Ojciec Sempè święcił ostateczny tryumf Boga wśród ludzkiego upodlenia, wśród klęski dusz. Z ziemi wyłaniały się olbrzymie konstrukcje, wydano już pięć czy sześć milionów, wszystko złożono w ofierze tej absolutnej woli, aby utrzymać parafię na uboczu, aby sobie zapewnić cały łup. Kolosalne terasy, tak kosztowne, były chyba tylko urąganiem życzeniu Najświętszej Panny, aby przybywano do Groty z procesjami. Trudno było bowiem nazwać procesją to schodzenie od Bazyliki rampą lewą i powrót prawą; oznaczało to tylko kręcenie się w miejscu. Ale zakonnicy uzyskali to, że wychodziło się od nich, aby do nich powrócić, tak aby oni byli jedynymi właścicielami, potężnymi dzierżawcami zbierającymi całe żniwo. Proboszcz Peyramale pogrzebany był w krypcie swego kościoła, nie dokończonego, w ruinie; Bernadeta zaś długo konała w murach dalekiego klasztoru, gdzie” teraz również już spała pod posadzką kaplicy.

Zapanowało głębokie milczenie, gdy doktor „Chassaigne skończył swoje długie opowiadanie. Później z trudem dźwignął się.

– Mój drogi, niedługo wybije dziesiąta, a ja chcę, abyś trochę wypoczął... Wracajmy.

Piotr w milczeniu poszedł za nim. Zawrócili ku miastu szybszym krokiem.

– Ach, tak – znowu odezwał się doktor – były tu wielkie krzywdy i wielkie cierpienia. Ale trudno, człowiek psuje najpiękniejsze dzieła!... I nie możesz sobie nawet wyobrazić straszliwego smutku rzeczy, które ci opowiedziałem. To trzeba widzieć, dotknąć ręką... Czy chciałbyś, abym dziś po południu pokazał ci pokój Bernadety i nie dokończony kościół proboszcza Peyramale? – Oczywiście, bardzo proszę!

– Więc dobrze, po procesji, o czwartej godzinie, będę na ciebie czekał przed Bazyliką i pójdziemy tam.

I nic już więcej nie mówili, zatopieni w swoich myślach.

Gave, którą mieli teraz po prawej stronie, płynęła tutaj głębokim wąwozem, w wąskiej skalnej szczelinie, gdzie znikła wśród zarośli. Ale miejscami widać było jej przejrzysty nurt, niczym matowe złoto. Dalej, po gwałtownym zakręcie, odnajdywało się ją rozlaną na równinie, w jeziorkach o bieżącej wodzie, które często musiały zmieniać łóżysko, gdyż usiane piaskami i kamieniami podłoże poryte było we wszystkich kierunkach. Słońce zaczynało palić, stojąc już wysoko na rozległym niebie, którego przejrzysty błękit ciemniał z jednego do drugiego krańca olbrzymiej górskiej kotliny.

Od tego zakrętu drogi pojawiło się znowu oczom Piotra i doktora Chassaigne dalekie jeszcze Lourdes. We wspaniałym świetle poranka miasto bieleło na horyzoncie w wirującym pyłe złota i purpury, ze swoimi domami i pomnikami, za każdym krokiem wyraźniejszymi. I doktor bez słowa wskazał wreszcie towarzyszowi to rosnące miasto, ruchem szerokim a smutnym, jak gdyby biorąc je na świadka dziejów, które niedawno opowiadał. Oto był przykład ukazujący się w promiennym świetle dnia.

Wśród zieleni widać już było jarzenie się Groty, słabsze o tej porze. Następnie ciągnęły się gigantyczne budowle, bulwar z ciosowych kamieni wzdłuż rzeki, której bieg trzeba było zmienić, nowy most łączący nowe ogrody ze świeżo otwartym bulwarem, kolosalne terasy i masywny kościół Różańca Świętego, i strzelistą Bazylikę, wdzięczną i dumną, górującą nad wszystkim. Nowe miasto z tej odległości wyglądało jak rojowisko białych fasad, migocących nowych dachów, wielkich klasztorów i hoteli, jak bogate miasto cudem wyrosłe ze starożytnego ubożego gruntu; a tymczasem, za skalnym masywem, gdzie rysowały się ruiny Zamku, widniały bezbarwne i niewyraźne, ubogie dachy starego miasta, zbite w gromadę, zżarte przez czas i trwożnie do siebie przytulone. I jako tło do tego obrazu życia wczorajszego i dzisiejszego, w glorii wiekuistego słońca wznosiły się i tarasowały drogę nagie zbocza Ma – łęgo i Wielkiego Gers, gdzie skośne promienie kreśliły żółte i różowe linie.

Doktor Chassaigne zapragnął odprowadzić Piotra aż do hotelu „Objawień” i tam dopiero opuścił go przypominając o wyznaczonym na wieczór spotkaniu. Nie było jeszcze jedenastej. Piotr, którego nagle obezwładniło zmęczenie, zmusił się do zjedzenia czegoś przed położeniem

się do łóżka; czuł bowiem, że głód był jedną z przyczyn jego osłabienia. Na szczęście znalazł wolne miejsce przy wspólnym stole, zjadł coś, już drzemiąc z otwartymi oczyma, nie wiedząc, co mu podają, następnie poszedł na górę i rzucił się na łóżko, poleciwszy wprzód pokojówce, aby obudziła go o trzeciej.

Ale gdy się położył, trawiąca go gorączka nie pozwalała mu zasnąć. Para rękawiczek, zapomniana w sąsiednim pokoju, przypominała mu pana de Guersaint, który wyjechał przed świtem do Gavarnie i wrócić miał dopiero wieczorem. Cóż to za wspaniały dar taka bez troska! On w tej chwili, na wpół martwy ze zmęczenia, z chaosem w myślach, czuł się śmiertelnie smutny. Wszystko zdawało się zwracać przeciwko jego szczerzej chęci odzyskania wiary dzieciństwa. Tragiczne przejścia proboszcza Peyramale pogłębiły jeszcze bunt, jaki zrodziła w nim historia Bernadety, wybranki i męczennicy. Prawda, której przyjechał szukać do Lourdes, zamiast powrócić mu wiarę, miała więc doprowadzić go do jeszcze większej nienawiści ku ciemnościom i zabobonowi, do gorzkiej pewności, że człowiek jest na ziemi samotny ze swoim rozumem.

Wreszcie zasnął. Ale obrazy dalej kłębiły się w jego męczącym śnie. Widział Lourdes zdemoralizowane przez pieniądz, zmienione w miejsce ohydy i zatracenia, w ogromne targowisko, gdzie handlowało się wszystkim, mszami i duszami. Widział proboszcza Peyramale umarłego i leżącego wśród ruin kościoła, wśród pokrzywy zasianej przez niewdzięczność. I uspokoił się, zakosztował rozkoszy unicestwienia dopiero wtedy gdy ostatnia wizja, błada i żałosna, znikła, wizja Bernadety w Nevers, klęczącej w mrocznym kącie, zadumanej o swoim dziele, którego nigdy nie miała zobaczyć.

DZIEŃ CZWARTY

I

Rankiem tego dnia w Szpitalu Matki Boskiej Bolesnej Maria siedziała na swoim łóżku, wsparta o poduszki. Spędziwszy całą noc przy Grocie, nie pozwoliła się teraz tam zawieźć. I gdy pani de Jonquière podeszła do niej, aby poprawić wysuwającą się poduszkę, Maria spytała:

– Jaki dziś dzień, proszę pani?

– Poniedziałek, moja droga.

– Ach, tak!, Tutaj zatracą się wszelkie poczucie czasu, prawda?... A przy tym jestem taka szczęśliwa! Dzisiaj Najświętsza Panna uzdrowi mnie.

Uśmiechnęła się błogo, z twarzą obudzonej marzycielki, z oczyma zagubionymi w przestrzeni, tak nieobecna, tak pochłonięta upartą myślą, że w dali widziała tylko swoją

niezlomną nadzieję. Sala Świętej Honoryny opustoszała dokoła niej, wszystkie bowiem chore wyruszyły do Groty, pozostała tylko na sąsiednim łóżku umierająca pani Vêtu. Ale Maria prawie jej nie widziała, zachwycona spokojem, jaki nagle zapanował. Otwarto jedno z okien na dziedziniec, słońce pięknego poranka padało wielkim snopem, którego złoty pył tańczył właśnie po jej prześcieradle, kąpiąc w blasku jej blade ręce. Jak dobrze było w tej sali, która w nocy tak pępna, pełna stłoczonych barłogów boleści, smrodu, jęków, koszmaru, teraz nagle rozblęśla słońcem, odświeżyła się porannym powietrzem, zapadła w słodczy milczenia!

– Dlaczego nie próbuje pani trochę zasnąć? – mówiła z macierzyńską troskliwością pani de Jonquière. – Musi pani być strasznie zmęczona całonocnym czuwaniem. Marię zdziwiły te słowa: była tak lekka, tak lotna, że nie czuła własnego ciała.

– Ależ ja wcale nie jestem zmęczona ani śpiąca... Spać, ach, to byłoby zbyt smutne, nie wiedziałabym wtedy, że mam być uzdrowiona!

Rozśmieszyło to kierowniczkę sali.

– Więc dlaczego nie chciała pani dać się zawieźć do Groty? Będzie się pani nudzić tutaj w łóżku, sama.

– Nie jestem sama, Ona jest ze mną. – Splotła ręce w ekstazie, przed oczyma znów miała swą wizję. – Wie pani, tej nocy widziałam, jak z uśmiechem skinęła mi głową... Zrozumiałam doskonale, wyraźnie usłyszałam jej głos, mimo że nie otwierała ust. O godzinie czwartej, gdy będą nieść Najświętszy Sakrament, zostanę uzdrowiona.

Pani de Jonquiere chciała, aby Maria się opanowała, gdyż niepokoił ją somnambulizm, w którym dziewczyna się pograżała. Ale Maria powtarzała:

– Nie, nie, nie jest mi gorzej, ja czekam... Tylko rozumie pani, nie mam po co jechać teraz do Groty, skoro Ona wyznaczyła mi spotkanie na czwartą. – I dodała ciszej: – O wpół do czwartej Piotr przyjdzie po mnie... O czwartej zostanę uzdrowiona.

Słońce powoli wznosiło się wzdłuż jej obnażonych rąk, przejrzystych, chorobliwie delikatnych, a wspaniałe złote włosy opadające na ramiona zdawały się słoneczną ulewą, obejmującą całą jej postać. Śpiew ptaka doleciał z dziedzińca, wnosząc wesołą nutę w drżące milczenie sali. Jakies dzieci, których nie było widać, musiały się tam bawić, gdyż chwilami w ciepłym, uroczym spokojnym powietrzu rozlegały się śmiechy.

– A więc – zakończyła pani de Jonquiere – jeżeli nie jest pani śpiąca, niech pani nie śpi. Proszę tylko leżeć spokojnie, a to na pewno dobrze pani zrobi.

Tymczasem na sąsiednim łóżku umierała pani Vetu. Nie odważono się zabrać jej do Groty w obawie, że umrze w drodze. Od pewnej chwili oczy miała zamknięte i siostra Hiacynta, przyjrzawszy się jej, gestem wezwała panią Desagneaux, aby się z nią podzielić swoim niepokojem. Obie teraz, pochylone nad umierającą, patrzyły na nią ze wzrastającym lękiem. Twarz chorej zżółkła jeszcze bardziej, nabrała barwy błota; oczodoły pogłębiły się, wargi

wydawały się zwężone; a przede wszystkim zaczynało się rżenie, oddech utrudniony i siejący zarazę, zatruty przez raka, który kończył już pożerać żołądek. Nagle chora podniosła powieki, przeraziła się na widok dwóch pochylonych nad nią twarzy. Czy śmierć już blisko, że się jej tak przyglądają? Niezmierny smutek ukazał się w jej oczach, rozpaczliwy żal za życiem. Nie przechodził on już w gwałtowny bunt, bo nie miała sił do walki; ale cóż za los straszliwy: opuścić sklep, obowiązki, męża, aby wyjechać i umrzeć tak daleko; narażać się na ohydny mękę takiej podróży, modlić się w dzień i w nocy i nie zostać wysłuchaną, i umierać, gdy inne odzyskiwały zdrowie!

Zdołała tylko wyjąkać:

. – Ach, jak cierpię, ach, jak cierpię... Błagam, zróbcie coś, zróbcie coś, abym tak nie cierpiała!

Mała pani Desagneaux o ładnej młeczej twarzy, tonącej w burzliwej masie blond włosów, czuła się wstrząśnięta. Nie była oswojona z widokiem ludzkiej agonii; oddałaby pół życia, jak mówiła, aby uratować tę biedną kobietę. Wstała, odprowadziła na bok siostrę Hiacyntę, także wzruszoną do łez, ale pogodzoną z myślą, że pobożna śmierć jest wybawieniem. Czy istotnie nic już nie można było poradzić? Może by czegoś jeszcze spróbować, jak prosiła umierająca? Tego ranka, przed dwiema godzinami, ksiądz Judaine dysponował ją na śmierć i udzielił jej komunii. Miała pomoc z Niebios, jedyną, na jaką mogła liczyć, ponieważ od dawna nie oczekiwała już niczego od ludzi.

– Nie, nie, trzeba coś zrobić – zawołała pani Desagneaux. – I poszła po panią de Jonquière, która stała przy łóżku Marii. – Słyszysz pani, jak ta nieszczęsna cierpi? Siostra Hiacynta twierdzi, że pozostało jej zaledwie parę godzin życia. Ale nie możemy pozwolić, aby tak jęczała... Są środki uspokajające. A może wezwać tego młodego lekarza, którego tutaj mamy?

– Oczywiście – odparła kierowniczką. – Zaraz!

W salach nie myślano nigdy o lekarzu. Panie pielęgniarki przypominały sobie o nim dopiero w chwilach strasznych ataków, gdy któraś z chorych krzyczała z bólu. Siostra Hiacynta, zdziwiona, że nie pomyślała o Ferranckie, który, jak wiedziała, był w sąsiedniej sali, spytała:

– Czy chce pani, abym poszła po pana Ferrand?

– Ależ tak, proszę go szybko sprowadzić!

Gdy zakonnica wyszła, pani de Jonquière wezwała na pomoc panią Desagneaux, aby unieść trochę głowę umierającej, sądząc, że przyniesie jej to ulgę. Panie de Jonquière i Desagneaux zostały tego ranka same, wszystkie inne pielęgniarki zajęte były swoimi sprawami lub pełnieniem pobożnych praktyk. W głębi wielkiej pustej sali, pełnej łagodnego spokoju, przenikniętej ciepłym dreszczem słońca, wciąż słychać było ciche śmiechy niewidzialnego dziecka.

– Czy to Zofia tak hałasuje? – zapytała nagle kierowniczką, zdenerwowana i bardzo zatroskana przewidywaną katastrofą.

Szybko poszła na koniec sali; istotnie Zofia Couteau, dziewczynka cudownie uzdrowiona zeszłego roku, siedziała na ziemi za łóżkiem i mimo że miała już czternaście lat, bawiła się sporządzaniem lalki z gałganków. Przemawiała do niej, była tak szczęśliwa, tak zatopiona w zabawie, że śmiała się z uciechy.

– Proszę się trzymać prosto, moja panno! Zatańcz no polkę! Raz! Dwa! tańcz, kręć się, pocałuj tę dziewczynkę, którą wolisz!

Ale stanęła przy niej pani de Jonquière.

– Moje dziecko, mamy tu jedną z naszych chorych, która bardzo cierpi i jest w wielkim niebezpieczeństwie... Nie trzeba śmiać się tak głośno.

– Ach, proszę pani, nie wiedziałam.

Wstała, z lalką w ręce, bardzo poważna.

– Proszę pani, czy ona umrze?

– Obawiam się, że tak, moje dziecko.

Zofia nic już nie powiedziała. Poszła za kierowniczką, usiadła na sąsiednim łóżku i szeroko otwartymi oczyma, z zachłanną ciekawością, bez cienia strachu, patrzyła na umierającą panią Vetu. Ztroskana pani Desagneaux niecierpliwiła się, że lekarz nie przychodziła tymczasem Maria, w ekstazie, w sło – necznym blasku, zdawała się obca wszystkiemu, co działo się dokoła, w pełnym zachwyty oczekiwaniu na cud.

Siostra Hiacynta nie znalazła Ferranda w małym pokoju, koło składu bielizny, gdzie przesiadywał, więc szukała go po całym budynku. Od dwóch dni młody lekarz coraz bardziej się gubił w tym dziwnym szpitalu, gdzie wzywano jego pomocy tylko wówczas, gdy przychodziła agonia. Nawet mała apteczka, którą przywiózł z sobą, okazała się zupełnie niepotrzebna; nie było co nawet myśleć o jakimkolwiek leczeniu, ponieważ chorzy nie przybyli tutaj na kurację, lecz po prostu, aby wyzdrowieć dzięki nagłemu cudowi; toteż rozdawał tylko pigułki z opium, które uśmierzały zbyt silne cierpienia. Ze zdumieniem uczestniczył w obchodzie doktora Bonamy poprzez sale. Była to zwykła s,obie przechadzka, doktor zjawiał się jak człowiek po prostu ciekawy, nie zajmował się chorymi, nie badał ich i o nic nie pytał. Interesowały go jedynie rzekome uzdrowienia, stawał przy łózkach kobiet, które poznawał, gdyż były u niego w biurze, gdzie stwierdzano cuda. Jedna z nich cierpiała na trzy choroby i Najświętsza Panna, jak dotąd, raczyła uleczyć ją tylko z jednej; ale istniała nadzieja i co do dwóch innych. Czasem któraś nieszczęśliwa, uzdrowiona w przeddzień, zapytana o stan zdrowia, odpowiadała, że bóle wróciły, co jednak wcale nie mąciło pogody lekarza, zawsze usposobionego pojednawczo; uważał, iż Niebo winno dokończyć tego, co Niebo zaczęło. Skoro zaznaczała się poprawa w stanie zdrowia, sam ten fakt był już czymś bardzo ważnym. Toteż stale powtarzał: „Mamy dobry początek, teraz cierpliwości!” Ale nade wszystko bał się uporu kierowniczek sal, z których każda chciała go zatrzymać, aby mu pokazać niezwykle jakieś przypadki. Każda miała ambicję, że właśnie pod jej

opieką znajdują się najcięższe choroby, wypadki wyjątkowe, straszliwe, i płonęła chęcią, aby on je stwierdził i aby ona mogła potem tryumfować. Jedna chwyciła go za ramię utrzymując, że jej zdaniem ma u siebie trąd. Druga błagała go, mówiła o młodej dziewczynie, której uda pokryte były rybimi łuskami. Trzecia szeptała mu do ucha, podając straszliwe szczegóły o pewnej damie zamężnej z najlepszego towarzystwa. Doktor wymykał się, odmawiał obejrzenia choćby jednej pacjentki, w końcu przyrzekał, że przyjdzie później, gdy będzie miał trochę czasu. Twierdził, że gdyby ustąpił którejs z tych pań, całe dni upływałyby mu na bezowocnych konsultacjach. Czasem zatrzymywał się nagle przy którejs z cudownie uzdrowionych, wzywał gestem Ferranda i wołał: „Oto interesujący przypadek wyzdrowienia!” I Ferrand, oszołomiony, musiał wysłuchiwać, jak doktor opisuje początkowe stadium choroby, która całkowicie znikła przy pierwszym zanurzeniu w sadzawce.

Wreszcie siostra Hiacynta spotkała księdza Judaine i ten powiedział jej, że młodego lekarza wezwano właśnie do sali małżeństw. Zeszedł tam już po raz czwarty do brata Izydora, którego męki nie ustawały ani na chwilę. Ferrand mógł mu tylko nie szczędzić opium. Brat Izydor wśród męczarni prosił jedynie o trochę ulgi, aby zdołał jeszcze po południu udać się do Groty, gdzie nie mógł być rankiem. Lecz ból wzmagił się, chory stracił przytomność.

Gdy zakonnica weszła, zastała doktora siedzącego u wezłowania misjonarza.

– Panie Ferrand, proszę szybko ze mną na górę, do sali Świętej Honoryny, bo jedna z chorych kona.

Uśmiechnął się do niej, gdyż widok jej zawsze radował go i wzmacniał.

– Idę, siostrze! Ale jeszcze chwila, dobrze? Chciałbym dać coś na wzmocnienie temu biedakowi.

Cierpliwie czekała, pomogła mu nawet. Sala małżeństw, położona na parterze, również tonała w słońcu, pełna świeżego powietrza, które wpływało przez trzy duże okna wychodzące na niewielki ogród. Tylko pan Sabatier i brat Izydor pozostali tego ranka w łóżku; pan Sabatier chciał trochę wypocząć, a tymczasem pani Sabatier, korzystając ze sposobności, poszła na zakupy, po medaliki i obrazki, przeznaczone na prezenty. Wygodnie usadowiony na łóżku, plecami wsparty o poduszki, przesuwając w palcach paciorki różańca, ale nie modlił się już, odmawiał modlitwy jakby machinalnie, ze wzrokiem zwróconym na sąsiada, i przyglądał się jego atakowi z bolesnym zainteresowaniem.

– Ach, siostrze – rzekł do zakonnicy, która do niego podeszła – ten biedny brat Izydor budzi we mnie podziw. Wczo – raj zwątpiłem na chwilę w Najświętszą Pannę widząc, że znów nie raczyła mnie wysłuchać, chociaż od siedmiu lat tutaj przyjeżdżam; ale przykład tego męczennika, tak pełnego poddania w cierpieniu, sprawił, że zawstydziłem się mojej małej wiary... Nie wyobraża sobie siostrze, jak on cierpi, a trzeba go zobaczyć przed Grotą, z oczyma błyszczącymi wniosłą nadzieją... To naprawdę bardzo piękne. Tylko obraz nieznanego mistrza włoskiego,

który widziałem w Luwrze, przedstawiający głowę mnicha, tchnie podobnie boską wiarą.

Odzywał się jeszcze intelektualista, wychowanek uniwersytetu, wykarmiony na literaturze i sztuce, w tym człowieku zdruzgotanym przez życie, który zgłosił się do Schroniska, został jednym z ubogich, aby dostąpić Nieba. Wrócił myślą do swojej sprawy i dodał niezachwiany w swoich nadziejach, których nie zdołało zniweczyć siedem bezowocnych podróży do Lourdes:

– Co prawda, pozostaje mi jeszcze popołudnie, wyjeżdżamy bowiem dopiero jutro. Woda jest bardzo zimna, ale dam się jeszcze ostatni raz zanurzyć; i od rana dziś modłę się, błagam

o wybaczenie wczorajszego buntu... Prawda, siostrze, że Najświętszej Pannie wystarczy sekunda, jeżeli zapagnie uzdrowić któreś ze swoich dzieci... Niech dzieje się jej wola i niech jej imię będzie pochwalone!

Znów zaczął odmawiać *Zdrowaś Mario* i *Ojcze nasz*, przesuając wolniej ziarnka różańca, przy czym powieki jego na wpół się zamykały w zwiotczalej twarzy, która odzyskiwała wyraz dziecinny, gdyż od tylu lat był odcięty od świata!

Ferrand gestem przywołał Martę, siostrę Izydora. Stała tam, w nogach łóżka, z bezwładnie opadłymi ramionami, wpatrzona w umierającego, którego uwielbiała, bez jednej łzy, z rezygnacją biednej, ograniczonej dziewczyny. Jak wierny pies towarzyszyła bratu wydając nędzne swoje oszczędności, przydatna tylko na to, aby patrzeć na jego cierpienia. Toteż gdy lekarz kazał jej wziąć chorego w ramiona i trochę go podnieść, uczuła się szczęśliwa, że wreszcie może się na coś przydać. Jej tępa

i mroczna twarz, usiana piegami, rozjaśniła się.

– Proszę go tak potrzymać, a ja spróbuję wlać mu to do gardła. Podniosła go i Ferrandowi udało się wlać choremu małą łyżeczką płynu między zaciśnięte zęby. Prawie natychmiast otworzył oczy, głęboko odetchnął. Stał się spokojniejszy, opium skutkowało, uśmierzało ból świdrujący w prawym boku, niby rozpalone żelazo. Ale wciąż był tak osłabiony, że gdy chciał przemówić, trzeba było przyłożyć ucho do jego ust, aby coś usłyszeć.

Nieznacznym ruchem ręki poprosił Ferranda, aby się nad nim pochylił.

– Pan jest lekarzem, prawda? Proszę mi dać tyle sił, abym mógł jeszcze po południu być w Grocie... Jestem pewny, że jeśli się na to zdobędę, Najświętsza Panna uleczy mnie.

– Ależ oczywiście, że tak – odrzekł młodzieniec. – Czy ksiądz nie czuje się już znacznie lepiej?

– O, znacznie lepiej, nie!... Dobrze wiem, co mi jest, bo widziałem wielu naszych braci, jak umierali tam, w Senegal. Gdy choroba zaatakuje wątrobę i gdy wrzód się przebije, sprawa jest przesądzona... Zaczynają się poty, gorączka, maligna... Ale Najświętsza Panna dotknie chorego małym palcem i chory zostanie uzdrowiony. Och, błagam was wszystkich, zanieście mnie do Groty, gdybym nawet stracił przytomność!

Siostra Hiacynta również zbliżyła się i nachyliła nad nim.

– Proszę się nie obawiać, kochany bracie, zawiozą brata do Groty po śniadaniu, a my wszyscy będziemy się za brata modlili.

Wreszcie mogła zabrać Ferranda, zrozpaczona tą zwłoką i bardzo niespokojna o panią Vetu. Ogromnie współczuła jednak zakonnikowi; idąc po schodach wypytywała lekarza, czy naprawdę nie ma już nadziei. Ferrand odpowiedział gestem nieodwołalnie skazującym. Szaleństwem było w tym stanie przyjeżdżać do Lourdes!

Pohamował się i dodał z uśmiechem:

– Przepraszam, siostrze... Wie siostra, że ja, niestety, jestem niewierzący.

Teraz z kolei ona uśmiechnęła się, wyrozumiała, jak przyjaciółka tolerująca niedoskonałość tych, których kocha.

– Och, nie szkodzi, znam pana, mimo wszystko zacny z pa – na człowiek... A poza tym widzimy tylu ludzi, chodzimy do tyłu pogan, że zbyt często musiałybyśmy się gorszyć!

Na górze, w sali Świętej Honoryny, pani Vetu, nękana nieznośnymi cierpieniami, nie przestawała jęczeć. Przy łóżku stały panie de Jonquière i Desagneaux, blade, zdenerwowane słuchaniem śmiertelnego krzyku, który nie milkł ani na chwilę. Gdy zwróciły się po cichu z pytaniami do Ferranda, odpowiedział im tylko lekkim wzruszeniem ramion; kobieta była stracona, wszystko było już wyłącznie sprawą godzin, a może i minut. Jedno mógł tylko zrobić: i jej również dać odurzający środek, aby złagodzić okrutną agonię, jaką przewidywał. Ona patrzyła na niego, była jeszcze przytomna, a przy tym bardzo uległa, nie protestowała przeciw żadnemu lekarstwu. Jak wszyscy” i ona jedno tylko żywiła gorące pragnienie: wrócić jeszcze do Groty.

Wyjąkała to głosem dziecka, drżącego, że go nie wysłuchają.

– Do Groty, prawda? Do Groty...

– Zaraz tam panią zawieziemy, obiecuję na pewno – odrzekła siostra Hiacynta. – Trzeba tylko być rozsądną. Proszę spróbować trochę zasnąć, aby nabrać sił.

Chora zdawała się drzemać i pani de Jonquière osądziła, że może zabrać panią Desagneaux na drugi koniec sali, gdzie poczęły sortować bieliznę i przeprowadzać całe obliczenia, z którymi nie bardzo mogły sobie poradzić, gdyż gdzieś się podziały ręczniki. Zofia nie ruszyła się z miejsca, siedziała naprzeciwko chorej na łóżku. Właśnie położyła lalkę na kolanach, czekając, aby ta pani umarła, gdyż powiedziano jej, że zaraz skończy życie.

Siostra Hiacynta pozostała przy umierającej; a nie chcąc tracić czasu, wzięła igłę i nitkę, aby połatać kaftanik jednej z chorych, który przetaił się na łokciach.

– Zostanie pan chwilę z nami, prawda? – spytała Ferranda. Ten wciąż przyglądał się pani Vetu.

– Tak, tak... Może skończyć lada chwila. Obawiam się krwotoku. – Potem, zobaczywszy na sąsiednim łóżku Marię, spytał ciszej: – Jak się ona ma? Czy odczuła jakąś ulgę?

– Nie, jeszcze nie. Ach, kochane dziecko, wszystkie szczerze się za nią modlimy!... Taka młoda, taka urocza i tak ciężko doświadczona!... Proszę spojrzeć na nią teraz. Jajka śliczna! Wygląda jak święta w tym słonecznym blasku, z tymi dużymi oczyma w ekstazie i złotymi włosami, lśniącymi jak aureola. Ferrand, zaciekawiony, patrzył przez chwilę na Marię. Zdziwił go jej wyraz oderwania, zobojętnienie na wszystko, co ją otaczało, jej gorąca wiara i żarliwa radość wewnętrzną, która czyniła ją zamkniętą w sobie.

– Ona wyzdrowieje – szepnął, jak gdyby po cichu wypowiadał wróżbę. – Ona wyzdrowieje.

Potem zbliżył – się do siostry Hiacynthy, która siedziała we framudze wysokiego okna, szeroko otwartego na ciepłe powietrze dziedzińca. Słońce zaczynało znikać z sali, ślizgając się już tylko wąską złotą smugą po białym czepcu i barbecie. I stał. tak przy niej patrząc, jak szyje, oparta o parapet.

– Czy siostra wie, że ta podróż do Lourdes, którą traktowałem jak pańszczyznę, chcąc po prostu oddać przysługę przyjacielowi, stanie się jedną z rzadkich chwil szczęścia w moim życiu?

Nie zrozumiała, spytała więc naiwnie:

– A to jakim sposobem?

– Ależ dlatego, że odnalazłem tutaj siostrę, że jestem tutaj z siostrą i mogę się na coś jej przydać w jej pięknym dziele. I gdyby siostra wiedziała, jak bardzo jestem jej wdzięczny, jak ją kocham i czczę!

Uniosła głowę, aby mu spojrzeć w oczy, i bez najmniejszego zmieszania zaczęła żartować. Była urocza, z cerą niepokalanej lilii, drobnymi wesołymi ustami, ślicznymi, zawsze roześmianymi oczyma. Wyglądała na tak drobną, smukłą, ze swą piersią młodzietkiej dziewczyny; czuło się, że cała. jest niewinnością i poświęceniem.

– Więc mnie pan tak kocha?... A to dlaczego?

– Dlaczego siostrę kocham?... Siostra jest najlepszą, naj-bardziej dobroczynną i serdeczną istotą na świecie. Jak dotąd, jest siostra w moim życiu najgłębszym, najśłodszym wspomnieniem, do którego wracam, gdy trzeba mi podpory i otuchy... Czy siostra nie pamięta tego miesiąca, który spędziliśmy razem w moim ubogim pokoju, kiedy byłem taki chory, a siostra pielęgnowała mnie z takim poświęceniem? – Ależ pamiętam, pamiętam... Nie miałam nigdy tak miłego pacjenta jak pan. Zażywał pan wszystko, co podawałam; a gdy prześcielałam łóżko i zmieniałam bieliznę, leżał pan spokojnie jak dziecko.

Patrzyła na niego z niewinnym uśmiechem. Był bardzo piękny, w pełnym rozkwicie męskiej młodości, bardzo krzepki, z dość wydatnym nosem, wspaniałymi oczyma, z czerwonymi ustami pod ciemnym wąsem. Ale ona zdawała się wzruszona po prostu tym, że widzi go przed sobą ze łzami w oczach.

– Ach, siostró, umarłbym, gdyby nie siostra. Tylko dzięki temu żyję!

I gdy tak na siebie patrzyli z tkliwą wesołością, stanął im przed oczyma ów uroczy miesiąc.

Nie słyszeli już rżenia pani Vetu, nie widzieli zastawionej łózkami sali, podobnej w swym nieładzie do ambulansu zaimprovizowanego naprędce po jakiejś publicznej katastrofie. Odnaleźli się na poddaszu czarnego domu, w ciasnej mansardzie starego Paryża, gdzie powietrze i światło przedostawało się jedynie przez małe okienko wychodzące na morze dachów. Jakież to było urocze: byli sami, on z wysoką gorączką, ona zjawiała się tam jak anioł, przysłała cicho ze swego klasztoru, jak dobry towarzysz, który niczego się nie lęka. Pielęgnowała tak kobiety, dzieci, mężczyzn, jak się zdarzyło, doskonale szczęśliwa, byle mogła się krzątać i nieść ulgę cierpieniu, i nigdy nie powstała w niej myśl, że jest przecież kobietą. On również zdawał się o tym nie pamiętać, czuł tylko jej ręce łagodne, dobroczynną bliskość, słyszał pieszczotliwy głos; a przy tym promieniowała z niej wielka czułość matki, przywiązanie siostry. Przez trzy tygodnie, jak mówiła, pielęgnowała go jak dziecko, podnosiła i kładła, oddawała intymne posługi bez zawstydzenia, bez wstrętu, gdyż ich oboje chroniła od złego święta niewinność cierpienia i miłosierdzia. Wszystko to odbywało się ponad życiem. Później, gdy przyszedł czas rekonwalescencji, jakaż zapanowała bliskość, jaka przyjacielska wesołość! Doglądała go jeszcze, strofowała, dawała klapsy po rękach, gdy uparcie chciał trzymać je na kołdrze. Patrzył, jak urządzała małe pranie w miednicy, jak prała mu koszulę, ażeby mógł zaoszczędzić pięć su na praczce. Nikt do nich nie zachodził, byli sami, z dala od świata, zachwyceni swą samotnością, w której tak po bratersku weseliła się ich młodość..

– Pamięta siostra ten ranek, gdy wstałem po raz pierwszy? Siostra mnie podniosła, podparła, a ja ślaniałem się niezgrabnie, nie umiałem zrobić kroku... Śmiałyśmy się z tego oboje!

– Tak, tak, był pan uatowany, cieszyło mnie to bardzo.

– A ten dzień, kiedy mi siostra przyniosła czereśnie... Widzę nas jeszcze: ja wsparty na poduszkach, siostra na brzegu łóżka, a między nami czereśnie w dużej torbie z białego papieru. Nie chciałem ich jeść, dopóki siostra nie skosztuje wraz ze mną... A wtedy każde z nas kolejno brało po jednej; i torba została pusta, bo czereśnie okazały się bardzo dobre.

– Tak, tak, bardzo dobre... To było tak jak z tym sokiem porzeczkowym: nie chciał go pan wypić, dopóki ja trochę nie nadpiłam.

Zaśmiali się głośniejsz pod urokiem wspomnień. Ale bolesny oddech pani Vetu przywołał ich do rzeczywistości. Pochylił się, spojrzął na chorą leżącą bez ruchu. W sali ciągle panował wielki, przejmujący dreszczem spokój, macony tylko dźwięcznym głosem pani Desagneaux liczącej bieliznę.

Pełen wzruszenia, cicho mówił dalej:

– Ach, siostrze, mogę żyć sto lat, mogę zaznać wszelkich radości, wszelkich uczuć, ale nigdy nie pokocham żadnej kobiety tak jak Kocham siostrę!

Wtedy siostra Hiacynta, choć nie zmieszana, spuściła głowę i znów wzięła się do szycia. Nieuchwytny rumieniec zabarwił jej różowobiałą cerę.

– Ja także, panie Ferrand, bardzo pana lubię... Ale nie trzeba wbijać mnie w pychę. Zrobiłam dla pana to, co dla wielu innych. To mój zawód, jak panu wiadomo. A w tym wszystkim jedno jest na pewno dobre: że Bóg wrócił panu zdrowie.

Znów im przerwano. Grivotte i Eliza Rouquet wróciły z Groty wcześniej od innych. Grivotte natychmiast przysiadła na ziemi na swoim materacu, w nogach łóżka pani Vêtu, wyjęła z kieszeni kawałek chleba i zaczęła go chciwie zajadać. Ferrand od wczoraj już interesował się tą suchotnicą, która przechodziła ciekawy okres podniecenia i odczuwała niezwykle apetyt oraz gorączkową potrzebę ruchu. Ale w tej chwili jesz – cze bardziej uderzający wydał mu się przypadek Elizy Rouquet; nabierał teraz pewności, że toceń zżerający jej twarz przygasł. Nie przestawała robić przemywań przy cudownym źródłu, przed chwilą była w biurze badania cudów, gdzie doktor Bonamy obejrzał ją z tryumfem. Zdziwiony Ferrand podszedł do niej, przyjrzał się ranie, już zbladłej, podeschłej, wprawdzie dalekiej jeszcze od wyleczenia, ale zdradzającej już ukryty proces regeneracji. Przypadek wydał mu się tak ciekawy, że obiecał sobie poczynić notatki dla jednego ze swoich byłych profesorów z uniwersytetu, który studiował nerwowe pochodzenie pewnych chorób skórnych, spowodowanych zaburzeniami w odżywianiu.:

-> Gzy nie czuje pani mrowienia? – zapytał.

– Nie, panie doktorze. Obmywam się, z całego serca odmawiam różaniec, i to wszystko!

Grivotte, dumna i zazdrosna, od wczoraj obnosząca swój tryumf wśród tłumów, zwróciła się do lekarza:

– Ja, panie doktorze, jestem uzdrowiona, uzdrowiona, uzdrowiona gruntownie!

Wykonał przyjazny gest, ale nie chciał jej badać.

– Wiem, moje dziecko. Jest pani już całkiem zdrowa.

W tej chwili wezwała go znowu siostra Hiacynta. Porzuciła szycie widząc, że pani Vêtu podnosi się w ataku okrutnych mdłości. Mimo pośpiechu nie zdążyła na czas z podaniem miski; chora bluznęła znowu falą czarnych jak sadza wymiotów, tym razem była w nich krew, nitki sinawej krwi. Przyszedł krwotok oznaczający bliski koniec, jak obawiał się Ferrand.

– Proszę zawiadomić panią kierowniczkę – rzekł półgłosem i sam usiadł przy łóżku.

Siostra Hiacynta pobiegła szukać pani de Jonquière. Bielizna była policzona; zakonnica znalazła kierowniczkę pogrążoną na uboczu w rozmowie z córką Rajmundą; pani Dètagneaux myła tymczasem ręce.

Rajmunda wymknęła się na chwilę z refektarza, gdzie miała dyżur. Była to dla niej najcięższa pańszczyzna: długa wąska sala, z dwoma rzędami stołów lepiących się od tłuszczu; obrzydła woń przypalonego tłuszczu i nędzy przyprawiała o mdłości. Szybko przybiegła na górę, korzystając z półgodziny, jaka pozostawała jej do powrotu chorych. Zdyszana, mocno zaróżowiona, z błyszczącymi oczyma, rzuciła się matce na szyję.

– Ach, mamó, co za szczęście!... Stało się! Zdziwiona, z głową zaprzątniętą i skłopotaną

obowiązkami kierowniczką sali, pani de Jonquière nie od razu zrozumiała. – Ale co się stało, moje dziecko?

Rajmunda ściszyła głos i rumieniąc się trochę odrzekła;

– Wychodzę za mąż!

Z kolei ucieszyła się matka. Żywe zadowolenie odbiło się na jej pulchnej twarzy kobiety dojrzałej, urodziwej i. jeszcze pełnej wdzięku. Natychmiast stanęło jej przed oczyma ich małe mieszkanie przy ulicy Vanneau, gdzie od śmierci męża w tak skromnych warunkach wychowywała córkę, przy paru tysiącach franków, jakie jej pozostawił. Małżeństwo oznaczało nowe życie, otwarcie salonów, odzyskanie dawnej świetnej sytuacji w świecie.

– Ach, córeczko, jakże się cieszę!

Ale nagle uczuła pewne zmieszanie. Bóg świadkiem, że od trzech lat przyjeżdżała do Lourdes powodowana miłosierdziem chrześcijańskim, dla samej wielkiej radości pielęgnowania drogich chorych. Może, gdyby uczyniła rachunek sumienia, w swoim poświęceniu doszukałaby się nieco swej władczej natury, lubującej się w rządzeniu drugimi. Ale nadzieję znalezienia dla córki męża wśród młodych ludzi z towarzystwa, kręcących się wokół Groty, odsuwała na ostatni plan. Oczywiście, myślała o tym jako o rzeczy możliwej, ale nie wspominała o niej ani słowem.

Jednakże teraz radość wydobyła z niej wyznanie.

– Ach, moje dziecko, to szczęście nie dziwi mnie, modliłam się dziś rano do Najświętszej Panny.

Chciała się jeszcze upewnić, kazała sobie wszystko dokładnie opowiedzieć. Rajmunda nie zdała jej jeszcze sprawy z wczorajszej długiej przechadzki, kiedy szli pod rękę z Gerardem; bo chciała mówić o tych sprawach już po zwycięstwie, mając pewność, że zdobyła męża. I stało się! – jak radośnie opowiadała: tego ranka znowu zobaczyła się przy Grocie z młodym człowiekiem, który oświadczył się formalnie. Pan Berthaud poprosił na pewno o jej rękę w imieniu kuzyna, jeszcze zanim opuszczą Lourdes.

– No – oświadczyła pani de Jonquière, wolna już od skrupułów, uśmiechnięta, do głębi uradowana – mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa, jesteś bowiem tak rozsądna, że i beze mnie dobrze pokierujesz swoimi sprawami. Pocałuj mnie!

W tej chwili weszła siostra Hiacynta z wiadomością, że pani Vêtu zapewne lada chwila skończy. Rajmunda szybko wybiegła, a pani Desagneaux, wycierając ręce, gniewała się na panie pomocnice, które znikły wszystkie właśnie rankiem, kiedy są najpotrzebniejsze.

– Na przykład pani Volmar... Pytam się, gdzie też się podziewa? Od kiedy przyjechałyśmy, nie widziałyśmy jej dłużej niż godzinę.

– Dajmy spokój pani Volmar – odrzekła z pewnym zniecierpliwieniem pani de Jonquière. – Przecież mówiłam, że jest chora.

Obie zaraz pobiegły do pani Vêtu. Ferrand stał tam w oczekiwaniu; gdy siostra Hiacynta

zapytała, czy można by jeszcze coś zrobić, odpowiedział przeczącym ruchem głowy. Umierająca, jak gdyby ulżyło jej po pierwszych wymiotach, leżała bezwładnie, z zamkniętymi oczyma. Ale powróciły straszliwe nudności, znowu zwymiotowała ogromnym czarnym strumieniem, zmieszonym z siną krwią. Później nastąpiła chwila spokoju, chora otworzyła oczy, dostrzegła Grivotte, która, siedząc na ziemi na materacu, łakomie jadła swój chleb; czując nadchodzącą śmierć, pani Vêtu zapytała jeszcze:

– Ona została uzdrowiona, prawda? Grivotte usłyszała ją i radośnie odrzekła:

– Ach, tak, proszę pani, uzdrowiona, uzdrowiona, zupełnie uzdrowiona!

Przez chwilę zdawało się, że panią Vêtu dręczy ogromny smutek, bunt istoty, która nie chce umierać, gdy inne pozostają przy życiu. Ale zaraz przyszła rezygnacja. Usłyszano, jak dodała bardzo cicho:

– Młodzi powinni żyć.

I oczy jej, szeroko otwarte, zatoczyły krąg, jak gdyby żegnały tych wszystkich ludzi, których ze zdziwieniem tutaj widziała. Usiłowała uśmiechnąć się spotka wszy pełen zachłannej ciekawości wzrok małej Zofii Couteau, nieustannie w nią utkwiony: ta miła dziewczynka jeszcze dziś rano podeszła do jej łóżka, aby ją uścisnąć. Eliza Rouquet, na nikogo nie zwracając uwagi, wzięła lustro i zagłębiła się w kontemplacji swojej twarzy, która, jak się jej zdawało, piękniała w oczach od chwili, gdy rana zaczęła wysychać. Ale najbardziej zdawał się zachwycać umierającą widok Marii, tak czarującej w swojej ekstazie. Patrzała na nią długo, wracała ku niej jak do wizji światła i radości. Może zdawało się jej, że już widzi raj, a w nim świętych w słonecznej aureoli.

Nagle wymioty zaczęły się na nowo; teraz była już w nich tylko krew, zepsuta krew o barwie wina. Strumień był tak silny, że opryskał prześcieradło, poplamiał całe łóżko. Na próżno pani de Jonquièere i pani Desagneaux, obie bardzo blade, chwając się na nogach, przynosiły ręczniki. Ferrand w swej bezsilności odsunął się aż do okna, w miejsce, gdzie przed chwilą przeżył tak uroczyste wzruszenie; a siostra Hiacynta instynktownym ruchem, z którego na pewno nie zdawała sobie sprawy, także powróciła do tego radosnego okna jakby chcąc się do niego przytulić.

– O Boże, więc pan nie może nic poradzić? – powtarzała. – Nic, nic! Zagaśnie jak lampa, w której wypaliła się oliwa. Pani Vetu, wyczerpana, z czerwoną smużką krwi płynącą

jeszcze z ust, uparcie wpatrywała się w panią de Jonquièere, poruszając wargami. Kierowniczką nachyliła się i usłyszała powolne zdania:

– Chodzi mi o mojego męża... Sklep jest przy ulicy Mouffetard, och, mały sklepik, niedaleko Gobelins... Jest zegarmistrzem i dlatego nie mógł jechać ze mną... z powodu klienteli; będzie w wielkim kłopotcie, gdy ja nie wrócę... Tak, ja czyściłam klejnoty, załatwiałam sprawy na mieście... – Głos zanikał, słowa ginęły w rżeniu. – Toteż chcę prosić, aby pani do niego napisała... ja tego nie zrobiłam, a tu wszystko się kończy... Proszę mu napisać, aby pozostawił

moje ciało w Lourdes, to byłyby za wielkie koszta... I żeby się znów ożenił, w handlu to konieczne... Kuzynka, proszę mu napisać, że kuzynka... Był to już tylko niewyraźny szept. Przyszło ostateczne osłabienie, oddech rwał się. Ale oczy pozostały jeszcze otwarte i żywe w żółtej twarzy, bladej jak wosk. I te oczy zdawały się rozpaczliwie chwytac przeszłości, wszystkiego, czego już nie będzie, małej pracowni zegarmistrzowskiej w głębi rojnej dzielnicy, monotonnego i cichego pożycia z mężem oddanym pracy, stale pochylonym nad zegarkami, wielkich przyjemności niedzielnych, jakimi było przyglądanie się na wałach miejskich chłopcom puszczającym latawce. Potem rozszerzone źrenice na próżno wpatrywały się w straszną, gęstniejącą noc.

Pani. de Jonquière po raz ostatni schyliła się widząc, że wargi umierającej znów się poruszają. Było to już tylko lekkie drganie powietrza, daleki, pełen niezmiernej rozpaczyny głos z zaświata, który wyjąkał:

– Nie uleczyła mnie!

I pani Vêtu cicho wyzionęła ducha.

Jak gdyby na to tylko czekała, Zofia Couteau, zaspokoiwszy ciekawość, zeskoczyła z łóżka i wróciła na koniec sali, do zabawy lalką. Ani Grivotte, zajęta łakomie dojadaniem resztek chleba, ani Eliza Rouquet, zapatrzona w lustro, nie zauważyły katastrofy. W zimnym podmuchu, jaki przeszedł salę, wśród przerażonych szeptów pani de Jonquière i pani Desagneaux, która nie była otrzaskana ze śmiercią, Maria zdawała się budzić, otrząsać z ekstazy oczekiwania, w jaką wprawiała ją nieustanna modlitwa zanoszona z całej duszy, modlitwa bez słów, z zamkniętymi ustami. A gdy pojęła, co zaszło, siostrzana litość towarzyszyki niedoli, pewnej własnego uzdrowienia, wycisnęła jej łzy z oczu.

– Ach, biedna kobieta, umierać tak daleko, tak samotnie, w godzinie odrodzenia!

Ferrand, głęboko wzruszony mimo zawodowej rutyny, podszedł, aby stwierdzić zgon; na jego znak siostra Hiacynta narzuciła prześcieradło na twarz zmarłej, gdyż nie można było zabierać jej ciała w takiej chwili. Chore całymi gromadami wracały z Groty; spokojna, rozświetlona sala napełniała się zwykłym gwarem nędzy i cierpienia, głuchym kaszlem, ciężkimi krokami, mdłą wonią, żalonym korowodem wszelkich ludzkich chorób. **II**

Tego dnia, w poniedziałek, do Groty napłynęło mnóstwo ludzi. Był to ostatni dzień, jaki pielgrzymka narodowa miała spędzić w Lourdes; ojciec Fourcade w swej porannej instrukcji ogłosił, iż należy dokonać największego wysiłku miłości i wiary, aby uzyskać od Nieba wszystkie łaski i cudowne uzdrowienia, jakimi pragnie ono obdarzyć wiernych. Toteż około drugiej godziny po południu stawiło się przy Grocie dwadzieścia tysięcy pielgrzymów, rozgorączkowanych, podnieconych nadzieją. Tłum gęstniał z każdą chwilą, tak iż baron Suire, przerażony, wyszedł z Groty i coraz to powtarzał Berthaudowi:

– Mój drogi, ten tłum zaleje nas jak powódź, to rzecz, pewna... Musisz podwoić swoje oddziały i gęściej ustawić ludzi.

Schronisko Matki Boskiej Wybawicielki samo musiało dbać o należyty porządek, gdyż nie było tam ani strażników, ani żadnych władz porządkowych; dlatego prezes Stowarzyszenia był tak niespokojny. Ale Berthaud, jako zwierzchnik, w ważnych okolicznościach umiał zyskiwać sobie posłuch i okazywał budzącą zaufanie energię.

– Proszę być spokojnym... ja odpowiadam za wszystko... Nie ruszę się stąd, póki nie przejdzie procesja o godzinie czwartej. – Przywołał ruchem ręki Gerarda. – Wydaj swoim ludziom surowe rozkazy. Niech przepuszczają tylko osoby zaopatrzone w karty... I przysuń ich bliżej, powiedz im, niech mocno trzymają kordon.

Pod bluszczami dekorującymi skałę widniało wejście do Groty wieczyście jarzącej się od płonących świec. Z daleka robiła wrażenie jakby splaszczonej, nieregularnej, ciasnej i za ubogiej na owo tchnienie nieskończoności, które z niej płynęło, sprawiając, iż wszystkie głowy się pochylały, a twarze bladły. Posąg Najświętszej Panny był już tylko białą plamą, która wydawała się ruchoma w drgającym powietrzu, nagrzanym od drobnych żółtych płomieni. Wspiąwszy się trochę na palce, widziało się niewyraźnie za kratą srebrny ołtarz, fisharmonię, z której zdjęto kapę, zrzucone na stos wieńce, wota przesłaniające zadymione ściany. A dzień był wspaniały, nigdy jeszcze czystsze niebo nie rozciągało się nad olbrzymim tłumem; zwłaszcza – cza łagodność powiewu wydawała się urocza po nocnej burzy, która położyła kres zbyt dokuczliwemu upałowi dwóch pierwszych dni.

Gerard musiał przepychać się łokciami, aby powtórzyć rozkazy. Tłok już się zaczynał.

– Jeszcze dwu ludzi tutaj! Stańcie tu we czterech, w razie potrzeby, i mocno trzymajcie kordon.

Ale nacisk tłumy był instynktowny, nie do przewyciężenia: Grota zdawała się pociągać tych dwadzieścia tysięcy ludzi, którzy dążyli ku niej ulegając nieodpartej sile przyciągania, palącej ciekawości pomieszanej z tęsknotą do tajemnicy. Wszystkie oczy biegły ku jednemu punktowi, wszystkie ręce, usta, ciała zwracały się ku blademu jarzeniu świec, ku białej, ruchomej plamie, ku marmurowej Najświętszej Paniencie. Aby rosnący tłum nie zalał sporej przestrzeni przed kratą, przeznaczoną dla chorych, trzeba było otoczyć ją grubym sznurem, który oburącz trzymali pielęgniarze, rozstawieni w odległości dwóch do trzech metrów. Mieli surowy rozkaz, aby przepuszczać tylko chorych zaopatrzonych w kartę, świadczącą o przynależności do Schroniska, oraz nieliczne osoby z zezwoleniami specjalnymi. Unosili sznur na chwilę, a potem znów opuszczali go za wybrańcami, niewrażliwi na żadne błagania. Okazywali nawet pewną szorstkość, ulegając przyjemności korzystania z władzy, w jaką wyposażono ich na jeden dzień. Co prawda, mocno poszturchiwani przez tłum, musieli się wzajemnie podtrzymywać, co sił zapierać w miejscu, aby skutecznie stawić opór.

Ławki przed Grotą i przestrzeń pozostawiona dla chorych wypełniały się chorymi, wózkami, noszami, a tymczasem tłumy, bezmierne tłumy przelewały się dokoła. Wychodziły one z placu Różańca Świętego, znikwały w głębi promenady, wzdłuż brzegów Gave; chodnik na całej swej długości czarny był od ludzi, od ludzkiej fali tak gęstej, że wszelki ruch musiał tutaj ustać. Na parapecie nie kończącym się szeregiem siedziało lub stało, aby lepiej widzieć, mnóstwo kobiet, a ich jedwabne parasolki migotały w słońcu odświętną wesołością. Chciano pozostawić jedną aleję pustą, aby nią przeprowadzać chorych, ale coraz to zalewał i tarasował ją tłum, tak że wózki i nosze grzęzły w drodze, tonęły w masie ludzkiej, póki nie wyzwolili ich pielęgnia – rze. Ale w gruncie rzeczy było to drepczące w miejscu, uległe stado, gromada niewinnych i łagodnych owieczek, u których zwalczać trzeba było jedynie instynktowny pęd, ślepa masa tocząca się ku płonącym świecom. Nigdy nie zdarzały się tu wypadki, mimo podniecenia, które stopniowo doprowadzało tę masę do szaleństwa wiary. Baron Suire znowu przebił się przez tłum.

– Berthaud, Berthaud, czuwaj, aby pochód odbywał się wolniej! Kobiety i dzieci duszą się po prostu!

Tym razem Berthaud niecierpliwie machnął ręką.

– Przecież, do licha, nie mogę być wszędzie naraz... Proszę zamknąć na chwilę kratę, jeżeli to konieczne.

Mieli na myśli procesję, która formowała się w Grocie przez całe popołudnie. Wpuszczano wiernych przez drzwi po lewej, a wychodzili drzwiami po prawej.

– Zamknąć kratę! – zawołał baron. – Ależ to byłoby jeszcze gorzej, ludzie się poduszają!

Gerard był w pobliżu, zatopiony właśnie w rozmowie z Rajmunda, stojącą po drugiej stronie sznura, z czarką mleka w ręce, którą niosła dla jakiejś paralityczki. Berthaud polecił młodzieńcowi postawić dwóch ludzi przy furtce u kraty i rozkazać im, aby wpuszczali pielgrzymów tylko po dziesięciu. Gdy Gerard wypełnił rozkaz i wrócił, zastał Berthauda śmiejącego się i żartującego z Rajmundą. Odeszła po chwili, a dwaj. kuzyni patrzyli, jak poila paralityczkę.

– Jest uroczą; to rzecz postanowiona, żenisz się z nią, prawda?

. – Dziś oświadczę się matce. Mam nadzieję, że pójdziesz ze mną.

– Ależ oczywiście... Pamiętasz, co ci powiedziałem. Trudno o coś rozsądniejszego. Wuj znajdzie coś dla ciebie, nim upłynie pół roku.

Napór tłumy rozdzielił ich. Berthaud poszedł do Groty, aby osobiście przekonać się, czy procesja przesuwa się teraz porządnie, bez popychania. Była to godzinami napływająca, nieprzerwana fala przybyłych z całego świata kobiet, mężczyzn

i dzieci; kto chciał, dążył do Groty. Klasy społeczne były najdziwaczniej pomieszane, żebracy w łachmanach obok wystrój – nych mieszczan, chłopki, eleganckie kobiety, służące z gołymi głowami, bosc dziewczynki, dziewczynki wypomadowane, ze wstążkami na czole.

Wstęp był wolny, tajemnica stała otworem dla wszystkich, zarówno dla niedowiarków, jak wierzących; dla tych, których popychała ciekawość, jak dla tych, którzy wchodzili tam z sercem omdlewającym z miłości. I trzeba ich było widzieć, jak niemal wszyscy jednakowo wzruszeni, owiani zapachem wosku, lekko dusząc się w ciężkim powietrzu świętego przybytku wtłoczonego pod skałę, patrzyli pod nogi w obawie, że poślizną się na kracie z lanego żelaza. Niektórzy byli tak oszołomieni, że nie schylali nawet głowy, lecz przypatrywali się wszystkiemu z tajemnym niepokojem ludzi niewierzących, zabłąkanych w groźnym, nieznanym sanktuarium. Ale pobożni żegnali się, rzucali czasem listy, składali świece i bukiety, całowali skałę pod posągiem Najświętszej Panny albo pocierali o skałę różaniec, medaliki, drobne przedmioty kultu, którym to zetknięcie wystarczyło, aby zostały poświęcone. I pochód trwał dalej, bez końca, całymi dniami, miesiącami, od lat; wydawało się, że cały świat przedefiluje przez ten skalny zakątek w poszukiwaniu szczęścia, wszystkie nędze i wszystkie cierpienia ludzkie przewiną się tam długim szeregiem w jakimś hipnotycznym i zaraźliwym tańcu.

Gdy Berthaud stwierdził, że wszystko odbywa się w największym porządku, zaczął się przechadzać jak zwyczajny widz, nadzorując jednocześnie swoich ludzi. Jedyłą jego troską pozostała już tylko procesja z Najświętszym Sakramentem, podczas której dochodziło do takiego podniecenia, że stale należało obawiać się wypadku. Ten ostatni dzień zapowiadał się gorąco, czuło się już dreszcz egzaltowanej wiary, wzbierający w tłumie. Do szczytu dochodziło uniesienie, gorączka podróży, obsesja wciąż tych samych, bez końca powtarzanych pieśni i ćwiczeń pobożnych, a przy tym wciąż te rozmowy o cudach i myśl skupiona nieustannie na boskim blasku Groty. Dużo było ludzi, którzy nie spali już trzy noce, dochodzili do stanu halucynacji na jawie, szli jak we śnie, w którym brnęli coraz głębiej. Nie dano im żadnego spoczynku, ciągle modlitwy niby bat zacinały ich dusze. Nie ustawały wezwania do Najświętszej Panny, księża zmieniali się na kazalnicy, wykrzykiwali po – wszechny ból, kierowali rozpaczliwymi błaganiami ludu, a chorzy leżeli u stóp bladego marmurowego posągu, który uśmiechał się, ze złożonymi rękoma, z oczyma utkwionymi w niebo.

W tej chwili kazalnicę z białego marmuru, po prawej stronie od Groty, przy skałe, zajmował ksiądz z Tuluzy, którego Berthaud znał i którego słowom przysłuchiwał się chwilę z miną pełną aprobaty. Był to otyły człowiek, o gardłowej wymowie, słynący jako znakomity mówca. Co prawda, cała elokwencja polegała tu na mocnych płucach; ksiądz gwałtownie wyrzucał z siebie jedno zdanie, okrzyk, który powtarzał za nim cały zebrany tłum; był to bowiem ciągły krzyk, przerywany odmawianiem *Zdrowaś Mario, i Ojcze nasz*.

Ksiądz, który ukończył właśnie różaniec, wspiął się na krótkich nogach i rzucił pierwsze słowa litanii, którą sam układał, zmieniał wedle własnej woli, zależnie od natchnienia.

– Mario, miłości nasza!

A tłum powtórzył ciszej, niewyraźnym, łamiącym się głosem: – Mario, miłości nasza!

Ciągnęło się to bez końca. Głos księdza dźwięczał pełnią, a tłum powtarzał w bolesnym pomruku:

– Mario, jedyna nadziejo nasza!

– Mario, jedyna nadziejo nasza!

– Panno czysta, uczyni nas czystymi wśród czystych! – Panno czysta, uczyni nas czystymi wśród czystych!

– Panno można, zbaw naszych chorych!

– Panno można, zbaw naszych chorych!

Kiedy zabrakło mu pomysłu albo gdy chciał położyć mocniejszy akcent na jakimś okrzyku, powtarzał go trzykrotnie nawet; tłum zaś, posłuszny, powtarzał go za nim, drżał od tego upartego lamentu, który wzmagał jego gorączkę.

Litania ciągnęła się dalej i Berthaud wrócił do Groty. Ci, którzy defilowali wewnątrz, gdy zwracali się twarzami do chorych, oglądali niezwykły obraz. Cała rozległa przestrzeń między sznurami wypełniona była przez tysiąc do tysiąca dwustu chorych przybyłych z pielgrzymką narodową; stanowiło to, pod wysokim czystym niebem, w promienny dzień, najbardziej rozpaczliwy chaos, jaki sobie można wyobrazić. Trzy szpitale wysłały tu swoje sale okropności. Na najdalszym planie, w ławkach, stłoczono zdrowszych, tych, co mogli się jeszcze utrzymać w pozycji siedzącej. Wielu jednak podpartych było poduszkami; inni wspierali się o siebie ramionami, silniejsi podtrzymywali słabszych. Następnie, ku przodowi, przed samą Grotą, leżeli ciężko chorzy; kamienne płyty niknęły pod tą żalną falą, pod tą okropną, rozlaną i martwą kałużą. Wytworzyła się nieprawdopodobna płatanina wózków, noszy, materaców. Niektórzy w wózkach, w skrzyniach, w jakichś trumnach podnosili się, górowali nad resztą, ale najliczniejsi, tuż przy ziemi, zdawali się leżeć wprost na niej. Inni, ubrani, leżeli wprost na kraciastym płótnie materaców. Jeszcze innych przyniesiono wraz z posłaniem, toteż spod prześcieradeł widać było tylko ich głowy i blade ręce. Mało który z tych barłogów był czysty. Nieliczne tylko poduszki olśniewały białością, żałośnie kokietowały jeszcze i błyszczały wśród brudnej nędzy, wśród tego nagromadzenia łachów, podartych koców, ochlapanej nieczystościami bielizny. Wszystko to, stłoczone, ściśnięte, spiętrzone na chybił trafił, w miarę jak przybywali: kobiety, mężczyźni, dzieci, księża, ludzie nieubrani i ubrani, w pełnym, olśniewającym świetle.

Były tam wszelkie choroby, straszliwy orszak, który dwa razy dziennie opuszczał szpitale, aby defilować przez przerażone Lourdes. Głowy zżarte egzemą, czoła uwieńczone różyczką, nosy i usta, z których słoniowacizna poczyniła bezkształtne ryje, 'dalej chore na wodną puchlinę, wzdęte jak bukłaki, reumatyczki z wykręconymi rękoma, z obrzmiałymi nogami, podobne wypchanym szmatami workom, jakaś kobieta cierpiąca na wodogłowie, której ogromna, zbyt ciężka czaszka opadała do tyłu. I suchotnice drżące w gorączce, osłabione biegunką, sine, chude jak szkielety. I zniekształcone na skutek przykurczu, z wykręconymi kręgosłupami,

wykrzywionymi ramionami i szyjami, nieszczęsne istoty potrzaskane i pomiażdżone, unieruchomione w postawie tragicznych pajaców. Dalej smutne rachityczne dziewczęta o woskowej cerze, wątych szyjach, trawione zimnymi wrzodami; pożółkłe kobiety, pogrążone w bolesnym osłupieniu nieszczęśnic żartych przez raka; inne pobladłe ze strachu, aby nie urazić guzów, których nacisk dławił je lękiem. Na ławkach siedziały przerażone głuche i śpiewały, chociaż nic nie słyszały; niewidome, z głową podniesioną i sztywną, godzinami trwały zwrócone twarzą ku posagowi Najświętszej Panny, której nie mogły zobaczyć. I jeszcze wariatka niedorozwinięta, z naroślą na nosie, która przerażająco śmiała się pustymi, czarnymi ustami; i epileptyczka, śmiertelnie blada po niedawnym ataku, z pianą w kątach ust.

Ale cierpienia, choroby nic nie znaczyły, odkąd wszyscy byli 'już tutaj, skoro siedzieli lub leżeli, z oczyma utkwionymi W Grotę. Biedne wychudzone twarze ziemistej barwy przeistaczały się, zaczynały płonąć nadzieją. Zeszywniałe ręce splatały się, ciężkie powieki znajdowały siłę, aby się podnieść, tłumione głosy ożywały na wezwanie księdza. Z początku był to tylko wstający nad tłumem gdzieniegdzie niewyraźny pomruk, podobny do słabego podmuchu wiatru. Potem krzyk się wzbijał, ogarniał tłum od krańca do krańca ogromnego placu.

– Mario, bez grzechu poczęta, módl się za nami!—wołał grzmiącym głosem ksiądz.

Chorzy i pielgrzymi powtarzali coraz głośniejsze:

– Mario, bez grzechu poczęta, módl się za nami! Głosy nabierały rozpędu, wzbijały się coraz szybciej:

– Matko najczystsza, Matko niepokalana, twe dzieci są u twoich stóp!

– Matko najczystsza, Matko niepokalana, twe dzieci są u twoich stóp!

– Królowo Anielska, rzeknij tylko słowo, a uzdrowieni będą nasi chorzy!

– Królowo Anielska, rzeknij tylko słowo, a uzdrowieni będą nasi chorzy!

Pan Sabatier znajdował się w drugim rzędzie od strony ambony. Kazał się wcześniej przywieźć, aby wybrać sobie miejsce, gdyż jako stary bywalec znał dogodne kąciaki. Potem doszedł do wniosku, że zasadniczą dla niego sprawą jest znaleźć się jak najbliżej, tuż przed oczyma Marii Panny, jak gdyby musiała widzieć swoich wiernych po to, żeby o nich pamiętać. Od siedmiu lat, od kiedy tu przyjeżdżał, żywił zresztą tylko to Jedno pragnienie: zwrócić na siebie jej uwagę, wzruszyć ją Wreszcie, uzyskać uzdrowienie, jeśli nie dzięki jej wyborowi, to chociaż na mocy prawa starszeństwa. Wymagało to wiele cierpliwości, ale wiara pana Sabatier wciąż była niezachwiana. Biedny, zrezygnowany człowiek, trochę już zmęczony ciągłym odraczaniem swojej sprawy, pozwalał sobie tylko czasem na krótkie chwile roztargnienia. Uzyskał pozwolenie, aby żonie wolno było zostać przy nim; siedziała na składanym krzeselku, a on chętnie rozmawiał, dzieląc się z nią refleksjami.

– Moja droga, podnieś mnie trochę... Osuwam się, jest mi bardzo niewygodnie.

Miał na sobie spodnie i grubą wełnianą marynarkę, siedział na materacu, plecami oparty o odwrócone krzesło.

– Wygodniej ci teraz? – spytała pani Sabatier. – Tak, owszem...

Następnie zainteresował się bratem Izydorem, którego w końcu przyniesiono do Groty i który leżał na sąsiednim materacu, z prześcieradłem podciągniętym pod brodę, tak że tylko widać było ręce splecione na kocu.

– Ach, biedny człowiek... To wielka nieostrożność, ale Najświętsza Panna może wszystko, jeśli tylko zechce!

Wrócił do różańca, ale znów go przerwał zobaczywszy panią Mażę, jak wsuwała się w zarezerwowany krąg, tak drobna i skromna, że zapewne niepostrzeżenie prześliznęła się przez kordon. Usiadła na końcu ławki, gdzie zajmowała nie więcej miejsca niż dziewczynka, wciąż bardzo grzeczna, nieruchoma. Jej podłużna twarz o zmęczonych rysach, jej trzydzieści dwa lata zwiędłej przedwcześnie blondynki tchnęły bezgranicznym smutkiem i nieskończonym opuszczeniem.

– A więc – rzekł znów pan Sabatier zwracając się do żony i lekko wskazując na panią Maze ruchem głowy – ta pani modli się o nawrócenie męża... Spotkałaś się z nią dziś rano w sklepie?

– Tak, tak – odrzekła pani Sabatier. – A później rozmawiałam o niej z inną panią, która ją zna... Jej mąż jest komiwojażerem... Opuszcza ją na pół roku, wyjeżdża z dziewczkami. O, to wesoły człowiek, bardzo sympatyczny, nie zostawia jej bez grosza. Ale ona go uwielbia, nie może pogodzić się z tym, że on ją opuszcza, i przyjechała tutaj prosić Najświętszą Panne, aby go jej powróciła. Zdaje się, że w tej chwili bawi on właśnie w Luchon z dwiema damami, dwiema siostrami... Pan Sabatier gestem przerwał żonie. Patrzył na Groteę, stawał się znów intelektualistą, eks-profesorem, którego niegdyś pasjonowały zagadnienia sztuki.

– Patrz, oni popsuli Groteę chcąc ją uczynić zbyt piękną. Jestem pewien, że była znacznie ładniejsza w swej dawnej dzikości. Straciła cały charakter... I jaki obrzydliwy kramik przylepili jej tam, z lewej strony!

Ale nagle poczuł wyrzuty sumienia, że pozwala swoim myślom tak bujać. A może tymczasem Najświętsza Panna wyróżniła kogoś z jego sąsiadów, żarliwszego, wykazującego większe skupienie? Zaniepokojony trwał znów w pokornej i cierplivej postawie, oczy nabrały tępego i bezmyślnego wyrazu; czekał na chwilę łaski.

Tymczasem zabrzmiał nowy głos i zepchnął go z powrotem w tę nicość, w tę śmierć człowieka wykształconego i myślącego, jakim był niegdyś. Właśnie nowy kaznodzieja wszedł na ambonę, tym razem kapucyn, którego gardłowy krzyk, uparcie powtarzany, budził dreszcz w tłumach.

– Święta Panno nad pannami, bądź błogosławiona!

– Święta Panno nad pannami, bądź błogosławiona!

- Święta Panno nad pannami, nie odwracaj oblicza od swych dzieci!
- Święta Panno nad pannami, nie odwracaj oblicza od swych dzieci!
- Święta Panno nad pannami, tchnij na rany nasze, a zagoją się!
- Święta Panno nad pannami, tchnij na rany nasze, a zagoją się!

Rodzina Vigneron, zajmująca część pierwszej ławki na skraju środkowej alei, gdzie stawało się coraz tłoczniej, zdołała się już usadowić. Byli w komplecie: mały Gustaw siedział zakłopotany, z kulą między kolanami, obok matka, modląca się jak ‘przystało damie z klasy średniej, po drugiej stronie ciotka, pani Chaise, która źle czuła się w tłumie i miała duszności, wreszcie milczący pan Vigneron, który od pewnej chwili z uwagą przyglądał się szwagierce.

– Go ci jest, moja droga? Czy źle się czujesz?

Pani Chaise oddychała z trudem. – Sama nie wiem... Rąk i nóg nie czuję i nie mogę tchu złapać!

Przez chwilę pomyślał, że podniecenie i tłok pielgrzymki nie były wskazane dla osób chorych na serce. Oczywiście, że nikomu nie życzył śmierci, nigdy o coś podobnego nie prosił, Najświętszej Pani. Jeżeli wysłuchała jego modlitwy o awans, który otworzył się przed nim dzięki nagłej śmierci szefa, stało się tak na pewno dlatego, że szef już był wyrokiem boskim skazany. I tak samo, gdyby pani Chaise umarła pierwsza, zostawiając majątek Gustawowi, on, pan Vigneron, mógłby tylko ugiąć się przed wolą Najwyższego, który na ogół życzy sobie, aby ludzie starsi odchodzili przed młodymi. Niemniej żywił podświadomie tak gorącą nadzieję, że nie mógł sobie odmówić wymiany spojrzeń z żoną, która mimo woli również o tym samym pomyślała.

– Gustawie, posuń się – zawołał. – Cioci jest niewygodnie. – A widząc przechodzącą Rajmundę zapytał: – Czy nie miałaby pani szklanki wody? Naszej krewnej zrobiło się słabo.

Ale pani Chaise odmówiła gestem. Z trudem odzyskiwała oddech, opanowała się.

– Nie, to nic, dziękuję... Jest mi lepiej... A już myślałam, że tym razem uduszę się!

Drżała ze strachu, w bladej twarzy oczy jej były błędne. Znów splotła ręce i błagała Najświętszą Pannę, aby uchroniła ją od dalszych ataków, aby ją uleczyła, zaś oboje zaci państwo Vigneron dalej pieścili tajemne marzenia o szczęściu, dla którego przyjechali do Lourdes: pogodna starość po dwudziestu latach uczciwej pracy, solidny majątek, który pod koniec życia przejechać będą na wsi hodując kwiaty. Mały Gustaw, który Wszystko widział swoimi bystrymi oczyma i pojmował inteligencją wyostrzoną przez cierpienia, nie modlił się; patrzył w pustkę z niewyraźnym, zagadkowym uśmiechem. Po co się modlić? Wiedział, że Najświętsza Panna nie uzdrowi go, że on umrze.

Ale pan Vigneron nie mógł długo wysiedzieć spokojnie i nie zajmować się sąsiadami. Pośrodku alei centralnej, zatłoczonej ludźmi, w ostatniej chwili złożono panią Dieulafay; zadziwił go ten zbytek, ta jak gdyby trumna wybita białym jedwabiem, gdzie młoda kobieta

leżała w różowym peniuarze przybranym walansjenkami. Mąż w surducie i siostra w czarnej toalecie, odznaczającej się prostą a wyrafinowaną elegancją, stali obok, zaś ksiądz Judaine, klęcząc obok chorej, kończył żarliwą modlitwę.

Gdy ksiądz podniósł się, pan Vigneron zrobił mu koło siebie trochę miejsca na ławce. Następnie zwrócił się do niego z pytaniem:

– I jakże, księże proboszczu, czy ta biedna młoda pani czuje się trochę lepiej?

Ksiądz Judaine uczynił gest bezgranicznego smutku.

– Niestety, nie... Miałem tak wielką nadzieję! To ja skłoniłem tę rodzinę do przyjazdu tutaj. Najświętsza Panna przed dwoma laty wyświadczyła mi tak niezwykłą łaskę ratując moje biedne, stracone oczy, że oczekiwałem od niej jeszcze tego dobrodziejstwa... Nie chcę tracić nadziei. Mamy jeszcze przed sobą dzień jutrzejszy.

Pan Vigneron przyglądał się kobiecej twarzy, w której można się było jeszcze dopatrzeć pięknego owalu i wspaniałych oczu, ale która teraz była tak zniszczona, barwy ołowiu, podobna do maski pośmiertnej wśród koronek.

– To naprawdę bardzo smutne – szepnął.

– A gdyby ją pan widział zeszłego lata! – mówił dalej ksiądz. – Mają pałac w Saligny, w mojej parafii, często jadałem u nich obiady... Nie mogę patrzeć bez smutku na jej starszą siostrę, panią Jousseur, tę panią obok, w czarnej sukni; bo między nimi było ogromne podobieństwo, ale chora była jeszcze

ładniejsza; to jedna z paryskich piękności. Proszę porównać ten blask, ten królewski wdzięk z nędzą tej żalostnej istoty... Serce się ściska, to przerażająca lekcja!

Zamilkł na chwilę. Ten święty, pełen prostoty człowiek, wolny od wszelkich namiętności, pozbawiony żywszej inteligencji, która mąciłaby jego wiarę, okazywał naiwny podziw wobec urody, bogactwa, władzy, których nigdy nikomu nie zazdrościł. Jednakże ośmielił się wyrazić pewną wątpliwość, skrupuł, który zakłócał zwykłą jego pogodę.

– Ja wolałbym, aby przyjechała tutaj skromniej, bez tego całego przepychu, Najświętsza Panna bowiem woli pokornych... Ale rozumiem doskonale, że istnieją konieczności natury spo – łecznej. A przy tym mąż i siostra tak ją kochają! Proszą pomyśleć, że on zdecydował się porzucić interesy, ona zaś swoje przyjemności; tak przeraża ich myśl, że mogliby ją utracić, iż stale mają łzy w oczach i ten zalekniiony wyraz twarzy. Toteż należy im wybaczyć, że dają jej tę radość, aby czuła się piękną do ostatniej chwili.

Pan Vigneron potakująco skinął głową. O, to wcale nie bogacze mieli największe szansę w Grocie!. Służące, chłopki, biedacy odzyskiwali zdrowie, a wielkie damy wracały stąd ze swoimi chorobami, nie doznawały ulgi mimo ofiarowywanych podarków i grubych świec, które kazały tam spalać w swoim imieniu. I mimo woli spojrział na panią Chaise, która czując się lepiej wypoczywała teraz z błogą miną.

Wtem jakiś szept przebiegł w tłumie, a ksiądz Judaine dodał jeszcze:

– Ojciec Massias wchodzi na kazalnicę. To człowiek święty, warto go posłuchać.

Wszyscy go znali; gdy tylko się ukazywał, wszystkie dusze ogarniała nowa nadzieja, opowiadano bowiem, że wielka jego żarliwość sprzyjała cudom. Uważano, że głos jego, pełen uczucia i mocy, miły jest Najświętszej Pannie.

Wszystkie głowy podniosły się, a napięcie wzmoгло się jeszcze, gdy ujrzano ojca Fourcade, który podszedł aż do samej kazalnicy, wspierając się na ramieniu umiłowanego brata, wybranego spośród wielu; i został tam, aby również go słuchać. Podagra w nodze już od rana dawała mu się we znaki, toteż niemało wysiłku kosztowało go, aby stać tak i uśmiechać się. Rosnąca egzaltacja tłumu radowała go, przeczuwał cuda, wspaniałe uzdrowienia ku większej chwale Marii i Jezusa.

Znalazłszy się na kazalnicy, ojciec Massias przez chwilę milczał. Wydawał się bardzo wysoki, chudy i blady, z twarzą ascety, którą podłużała jeszcze spłowiała broda. Oczy mu płonęły, duże, wymowne usta nabrzmiewały od gwałtownych uczuć.

– Panie, ratuj nas, bo giniemy!

A tłum, porwany, powtarzał w gorączce rosnącej z minuty na minutę:

– Panie, ratuj nas, bo giniemy! Ojciec Massias wyciągał ramiona, rzucał płomienny okrzyk, jak gdyby wydzierał go sobie z płonącego serca.

– Panie, jeżeli chcesz, możesz mnie uzdrowić!

– Panie, jeżeli chcesz, możesz mnie uzdrowić!

– Panie, nie jestem godzien, abyś wszedł do przybytku serca mego, ale rzeknij tylko słowo, a będę uzdrowiony!

– Panie, nie jestem godzien, abyś wszedł do przybytku serca mego, ale rzeknij tylko słowo, a będę uzdrowiony!

Marta, siostra misjonarza Izydora, wszczęła rozmowę z panią Sabatier, przy której wreszcie usiadła. Poznały się w szpitalu i dzięki bliskości, jaką wytwarza wielkie cierpienie, służąca poufale opowiadała pani, jak bardzo niepokoi się o brata, bo dobrze widzi, że to już jego ostatnie chwile. Najświętsza Panna winna by się pospieszyć, jeżeli chce go uzdrowić. Cudem było już to, że go żywego przyniesiono aż do Groty.

W swej rezygnacji prostej, biednej dziewczyny nie płakała. Ale było jej tak ciężko na sercu, że skąpe słowa więzły jej w gardle. A potem przyplęnęła fala przeszłości i usta ociężałe od długiego milczenia dały folgę sercu.

– Było nas czternaścioro w domu, w Saint-Jacut, koło Van-nes. On zawsze był taki wyrośnięty i słabowity; i dlatego został przy naszym proboszczu, który wreszcie oddał go na naukę do księży... Starsi zabrali majątek, a ja wolałam pójść na służbę. Tak, jedna pani wzięła mnie ze sobą do Paryża, pięć lat temu... Ach, jakie życie jest ciężkie! Wszyscy tak się męczą!

– Ma pani słuszność, moje dziecko – odparła pani Sabatier patrząc na męża, który pobożnie

powtarzał każde zdanie za ojcem Massias.

– No i – mówiła dalej Marta – miesiąc temu dowiedziałam się, że Izydor wrócił z ciepłych krajów, gdzie był jako misjonarz, i przywiózł stamtąd ciężką chorobę... No i pobiegłam zobaczyć się z nim, a on powiedział, że niedługo umrze, jeżeli nie wyjedzie do Lourdes, ale że nie może wybrać się w podróż, bo nie ma nikogo, kto by się nim opiekował... No, a że ja miałam zaoszczędzonych osiemdziesiąt franków, porzuciłam służbę i pojechaliśmy razem... Widzi pani, ja go bardzo lubię, bo gdy byłam mała, przynosił mi porzeczeki z plebanii, a inni bracia bili mnie. Zapadła znowu w milczenie, z twarzą napuchłą od zmartwienia, a łzy nie mogły już płynąć z jej smutnych oczu, wypalonych od czuwania. Bąkała już tylko wyrazy bez związku.

– Niech pani popatrzy na niego... Litość bierze... O Boże, te jego biedne policzki, biedna broda, biedna twarz...

Widok był naprawdę żalony. Pani Sabatier serce się ścisnęło, gdy spojrzała na brata Izydora, tak był żółty, ziemisty, zlodowaciały od śmiertelnego potu. Spod prześcieradła wciąż widać było tylko złożone ręce i twarz otoczoną rzadkimi włosami; ale chociaż woskowe ręce zdawały się martwe i w długiej bolesnej twarzy wszystko już skamieniało, to jednak żyły jeszcze oczy, oczy pełne niewygasłej miłości, której płomień wystarczył, aby rozjaśnić całe to oblicze Chrystusa umierającego na krzyżu. I nigdy nie występował wyraźniej kontrast między niskim czołem, ograniczoną, tępą twarzą chłopca a boską wspaniałością tryskającą z tej zniszczonej maski ludzkiej, uświęconej cierpieniem, którą w ostatniej godzinie życia namiętny płomień wiary uczynił wzniosłą. Ciało jak gdyby się stopiło, był już niemal tylko oddechem, spojrzeniem, światłem.

Od chwili gdy go złożono przed Grotą, brat Izydor nie odrywał oczu od posągu Najświętszej Panny. Nic więcej dokoła nie istniało. Nie widział ogromnego tłumu, nie słyszał nawet fanatycznych okrzyków księży, nieustannych okrzyków, które wstrząsały tym drżącym tłumem. Oczy, w których skupiła się resztką życia, oczy płonące bezbrzeżną tkliwością utkwione były w Marię, aby już nigdy od niej się nie odwrócić. Chłoneły ją aż do śmierci, wyrażając ostatnią wolę, żeby się w niej zatracić, zagasnąć. Po chwili usta się rozchyliły, wyraz boskiej szczęśliwości odprężył twarz. Potem wszystko znieruchomiało, oczy zaś pozostały szeroko otwarte, uparcie utkwione w białym posągu.

Upłynęło parę chwil. Martę owionęło zimne tchnienie aż po korzonki włosów.

– Niech pani popatrzy, niech pani popatrzy!

Pani Sabatier, przestraszona, udawała, że nie rozumie.

– Co się stało, moje dziecko?

– Proszę popatrzeć na mojego brata... Nie rusza się. Otworzył usta i odtąd już się nie rusza. Wówczas obie zadrżały, pewne, że brat Izydor nie żyje. Umarł nie rżąc, nie oddychając, jak gdyby życie uszło przez jego oczy, wielkie, pełne miłości oczy, trawione namiętnością. Umarł

wpatrzony w Najświętszą Pannę, nic nie mogło równać się z tą szczęśliwością, więc wciąż z niewymowną rozkoszą patrzył na nią martwymi oczyma.

– Niech pani spróbuje zamknąć mu oczy – szepnęła pani Sabatier. – Będziemy mieć pewność...

Marta wstała; schyliła się tak, aby nikt nie zauważył, i spróbowała drżącym palcem zamknąć bratu oczy. Ale oczy za każdym razem otwierały się na nowo i znów uparcie patrzyły na Najświętszą Panią. Nie żył; Marta musiała je zostawić szeroko otwarte, wypełnione niezmierną ekstazą.

– Ach, to koniec, na pewno koniec, proszę pani – wyjąkała. Dwie łzy wypłynęły spod jej ciężkich powiek i stoczyły się

po twarzy, a pani Sabatier chwyciła Martę za rękę, aby nakazać jej milczenie. Rozległy się szepty, szerzył się niepokój. Co tu robić? W takiej ciżbie, podczas modlitwy niepodobna było wynieść tego ciała nie wywołując ogólnego przerażenia. Najlepiej było zostawić go tam, czekając na sprzyjający moment. Nie raził nikogo, nie zdawał się bardziej martwy niż przed dziesięcioma minutami i wszyscy mogli sądzić, że jego płomienne oczy żyją jeszcze i żarliwie odwołują się do boskiej tkliwości Najświętszej Panny.

Tylko parę najbliższych stojących osób domyśliło się, co zaszło. Przestraszony pan Sabatier zwrócił się pytająco do żony, a gdy potwierdziła jego obawy niemym, długim skinieniem, bez buntu powrócił do modlitwy, poblady w obliczu tajemniczej wszechmocy, która zsyłała śmierć, gdy ją błagano o życie. Państwo Vigneron, nadzwyczaj zaciekawieni, pochylali się, szepotali, jak gdyby chodziło o uliczny wypadek, jedno ze zdarzeń z kroniki codziennej, które ojciec rodziny przynosił z biura i o których rozmawiano potem przez cały wieczór. Pani Jousseur obejrzała się, szepnęła coś do ucha panu Dieulafay, po czym oboje powrócili do rozpaczliwej kontemplacji swej ukochanej chorej; ksiądz Judaine, powiadomiony przez pana Vigneron, ukląkł i bardzo wzruszony odmawiał po cichu modlitwy za zmarłych. Czyż nie był świętym ten misjonarz, który powrócił z morderczych krajów ze śmiertelną raną w boku, aby umrzeć tutaj, pod uśmiechniętym wejrzeniem Najświętszej Panny? Panią Maze ogarnęło pragnienie śmierci, chciała błagać Niebo, aby ją zabrało tak samo dyskretnie, skoro nie chciało wysłuchać jej prośb, zwrócić jej męża.

Tymczasem okrzyki ojca Massias stały się jeszcze głośniejsze, buchnęły z siłą strasznej rozpacz, rozzwierającego łkania:

– Jezusie, Synu Dawida, ginę, ratuj mnie! A tłum załkał tuż za nim:

– Jezusie, Synu Dawida, ginę, ratuj mnie!

Wezwania posypały się teraz, coraz głośniej wołały o rozpaczliwej nędzy świata.

– Jezusie, Synu Dawida, ulituj się nad swoimi chorymi dziećmi!

– Jezusie, Synu Dawida, ulituj się nad swoimi chorymi dziećmi!

– Jezusie, Synu Dawidowy, przybądź, ulecz je, aby ożyły!

– Jezusie, Synu Dawidowy, przybądź, ulecz je, aby ożyły! Było to istne szaleństwo. Ojciec Fourcade, u stóp kazalnicy,

porwany niezwykłym uniesieniem, które wzbierało w sercach, wznosił ramiona i również krzyczał swoim grzmiącym głosem, chcąc gwałt zadać Niebu. Egzaltacja rosła z każdą chwilą, wzmagająca się obudzona wichrem pragnienia, pod którego podmuchem szeregi ludzkie ugięły się stopniowo, coraz dalej, aż do młodych, z ciekawości tylko przybyłych pań, siedzących na parapecie nad Gave, blednących teraz pod parasolkami. Nieszczęsna ludzkość wołała z otchłani cierpienia i okrzyk przebiegał jak dreszcz po wszystkich karkach; był tam już tylko lud w agonii, broniący się przed śmiercią, chcący wymusić na Bogu życie bez kresu. Ach, życie! Życie! Wszyscy ci nieszczęśnicy, wszyscy umierający, przybyli z daleka, mimo tylu przeszkód, chcieli tylko życia, jego się domagali, zachłannie pragnęli żyć jeszcze, żyć wiecznie! O Panie, jakąkolwiek byłaby nasza nędza i udręka życia, ulecz nas, uczyni, abyśmy na nowo żyć poczęli, abyśmy znów mogli cierpieć to, cośmy już wycierpieli. Mimo że tak nieszczęśliwi, chcemy trwać. Nie błagamy cię o niebo, lecz o ziemię, lecz o łaskę rozstania się z nią jak najpóźniej, chcielibyśmy nie opuścić jej nigdy, gdyby moc twoja raczyła to sprawić. I nawet gdy prosimy nie o uzdrowienie fizyczne, lecz, o łaskę dla duszy, i wtedy nawet błagamy o szczęście, o szczęście, bo to jedyne pragnienie, jakie nas przepala. O Panie, spraw, abyśmy byli szczęśliwi i zdrowi, pozwól nam żyć, pozwól nam żyć!

Ten szalony krzyk, krzyk wściekłej *żądzy* istnienia, rzucany przez ojca Massias, rwał się, wybuchał łzami ze wszystkich piersi.

– O Panie, Synu Dawidowy, racz uzdrowić naszych chorych!

– O Panie, Synu Dawidowy, racz uzdrowić naszych chorych!

Dwa razy Berthaud zmuszony był biec, aby nie dopuścić do przerwania sznurów, na które tłum nieświadomie napierał. Zrozpaczony, znękany baron Suire gestami błagał o pomoc. Grota była bowiem szczelnie zatłoczona, pochód był tylko dreptaniem stada ulegającego swojej namiętności. Na próżno Gerard znowu opuścił Rajmundę i sam stanął przy furtce w kracie, aby dopilnować wykonania rozkazów i puszczać tylko po dziesięć osób. Cały lud, podniecony, rozgorączkowany, wchodził, płynął jak strumień ku rozjarzonym świecom, rzucał bukiety i listy do Najświętszej Panny, całował skałę, którą wyszlifowały tysiące rozpalonych ust. Była to wiara uwolniona z pęt, moc, której nic już zatrzymać nie mogło.

Gerard, przyciśnięty do kraty, usłyszał, jak dwie chłopki, porwane nurtem procesji, głośno dziwiły się na widok chorych, którzy tam leżeli. Jedną zastanowiło blade oblicze brata Izydora, jego wielkie, otwarte szeroko oczy, utkwione w posąg Marii Panny. Przeżegnała się i szepnęła w zbożnym zachwycie:

– O, patrz na tamtego, jak to się modli z całego serca i jak patrzy na Matkę Boską z Lourdes!

Druga wieśniaczka odrzekła:

– Na pewno go uzdrowi, on taki piękny!

Odmawiając z głębi swojego unicestwienia akt miłości i wiary, umarły niezłomnym uporem swego wejrzenia wzruszał wszystkie serca, był źródłem głębokiego zbudowania dla ludu, który wciąż posuwał się w procesji. **III**

Na procesji o godzinie czwartej Najświętszy Sakrament miał nieść zacny ksiądz Judaine. Od kiedy Najświętsza Panna uleczyła go z choroby oczu, o którym to cudzie dotąd jeszcze rozpisywały się dzienniki katolickie, Lourdes chępiło się nim, wysuwało go na pierwsze miejsce i obsypywało wszelkiego rodzaju względami.

O w pół do czwartej ksiądz Judaine podniósł się chcąc wyjść z Groty, ale przeraził się na widok zbitego tłumu; bał się, że się spóźni, jeżeli się jakoś stąd nie zdoła wydostać. Na szczęście pośpieszono mu z pomocą.

– Księżu proboszczu – powiedział mu Berthaud – proszę nie myśleć nawet o przejściu przez plac Różańca Świętego, bo utknie ksiądz w drodze. Lepiej będzie pójść serpentynami... O, proszę za mną, ja idę przodem!

Puścił w ruch łokcie, rozłamał zwartą falę, torując drogę księdzu, który rozplýwał się w podziękowaniach.

– Jest pan niezwykle uprzejmy... To moja wina. Zagapiłem się... O dobry Boże, jak my tędy za chwilę przejdziemy z procesją?

Myśl o procesji nie przestawała trapić Berthauda. W zwykłe dni nawet wywoływała na swej drodze ogromne wybuchy egzaltacji, tak że Berthaud musiał przedsięwziąć specjalne środki bezpieczeństwa. Co będzie się działo dzisiaj wśród tego zbitego trzydziestotysięcznego tłumu, który w gorączce wiary już bliski był boskiego szaleństwa? Przewidujący Berthaud skorzystał ze sposobności, aby zalecić księdzu jak największą ostrożność.

– Ach, księżu proboszczu, bardzo proszę powiedzieć osobom duchownym, aby nie zostawiały pomiędzy sobą wolnej przestrzeni i szły powoli, jedno przy drugim... A zwłaszcza niech mocno trzymają chorągwie, bo mogą je wytrącić im z rąk... Co do księdza proboszcza, proszę dopilnować, aby ludzie niosący baldachim byli silni, i niech ksiądz mocno owinie płótnem nasadę monstrancji, niesie ją oburącz i trzyma z całej siły.

Nieco przestraszony tymi zaleceniami, ksiądz wciąż zapewniał o swojej wdzięczności. – Bez wątplenia, oczywiście... jest pan nadzwyczaj uprzejmy... Ach, panie, jakże jestem wdzięczny, że mi pan pomógł wydostać się stąd.

I wreszcie wolny pośpieszył do Bazyliki wąską dróżką w za. Kosy, przecinającą wzgórze, a tymczasem jego towarzysz znowu zanurzył się w tłum, aby zająć swój posterunek.

W tej samej chwili Piotr, który wioził Marię na wózk, natknął się z drugiej strony, od placu Różańca Świętego, na nieprzeniknioną ścianę tłumu. Obudziła go o trzeciej pokojówka w hotelu,

bo miał wstąpić po Marię do szpitala. Nie musieli się śpieszyć, mieli jeszcze sporo czasu, aby zdążyć do Groty przed procesją. Ale ten bezmierny tłum, ten wyrosły na drodze mur, który wydawał się nie do przebycia, obudził w Piotrze niepokój. Nigdy nie przedostanie się z tym małym wózkiem, jeżeli ludzie nie okażą mu choć trochę życzliwości. – Moje panie, proszę bardzo... Proszę o trochę miejsca dla chorej!

Panie ani drgnęły, zahipnotyzowane widokiem jarzącej się w dali Groty, wspinały się na palce, aby nic nie stracić z widowiska. Zresztą litanię wykrzykiwano w tej chwili tak głośno, że nikt nie słyszał nawet pro”y młodego kapłana. – Panowie, odsuńcie się, pozwólcie mi przejść... Trochę ‘miejsca dla chorej, proszę, słuchajcie, panowie!

Mężczyźni, tak jak kobiety, nie chcieli się ruszyć, podniecili, w ślepym i głuchym urzeczeniu.

Maria zresztą uśmiechała się błogo, jak gdyby nie widziała piętrzącej się przeszkody, pewna, że nic jej nie powstrzyma w drodze ku wyzdrowieniu. Ale gdy Piotr znalazł jakąś szczelinę i zanurzył się w ruchomą falę, położenie stało się groźniejsze. Ze wszystkich stron rozkołysane morze napierało na wąły wózek, jak gdyby miało go pochłonać. Co krok musiał Piotr stawać, czekać, znowu błagać ludzi. Nigdy jeszcze nie czuł takiej obawy przed tłumem. Nie był to tłum groźny, przeciwnie, nieszkodliwy i bierny jak stado; ale Piotr wyczuwał w nim niepokojący dreszcz, osobliwe tchnienie, które budziło lęk. Toteż pomimo iż kochał maluczkich, brzydota tych twarzy, pospolitych i spoconych, zepsute oddechy, stara odzież z odorem nędzy – wszystko to sprawiło, że poczuł się źle, bliski mdłości. – Przepraszam, moje panie, przepraszam, panowie, miejcie wzgląd na chorą... Proszę o trochę miejsca.

Wózek, tonący, miotany falą na tym ogromnym morzu, posuwał się z przerwami, zużywając długie minuty, aby przebyć parę metrów przestrzeni. Przez chwilę wydawało się, że zatonał, że nie wypłynie na powierzchnię. Później ukazał się znowu, dobrnął na wysokość sadzawek. W końcu ludzi ogarnęło współczucie dla tej młodej dziewczyny, tak spustoszonej cierpieniem, a tak jeszcze pięknej; gdy musieli ustępować pod upartym naciskiem księdza, odwracali się, ale nie śmieli się gniewać, rozczułało ich to blade oblicze, jaśniejące w aureoli ślicznych blond włosów. Rozlegały się wokół słowa litości i podziwu. „Ach, biedne dziecko! Czyż to nie okropne być kaleką w tym wieku? Oby Najświętsza Panna okazała się dla niej łaskawa!” Inni dziwili się ekstazie, w której była pogrążona, jej jasnym oczom, otwartym na zaświaty nadziei. Widziała Niebo, więc na pewno zostanie uzdrowiona. Mały wózek zdawał się pozostawiać za sobą na fali, którą przecinał z takim trudem, bruzdę podziwu i braterskiego współczucia.

Piotr był bliski rozpaczony i czuł się u kresu sił, gdy z pomocą przyszli mu pielęgniarze, usiłując otworzyć dla bliskiej już procesji przejście, które, zgodnie z rozkazem wydanym przez Berthauda, mieli utrzymać za pomocą sznurów, rozstawieni co dwa metry. Od tej chwili wiozł Marię dość swobodnie, w końcu znaleźli się na przestrzeni zarezerwowanej, gdzie stanęli

naprzeciw Groty, z lewej strony. Niepodobna się tam już było ruszać, tłok zdawał się wzrastać z każdą chwilą. Po świeżo odbytej drodze, tak uciążliwej, czuł się jak pogruchotany, a w pamięci pozostało mu wrażenie zetknięcia się z tak olbrzymim ludzkim zbiegowiskiem, jak gdyby znalazł się pośrodku oceanu i słyszał dokoła nieustannie huk jego spieniojonych fal.

Od chwili opuszczenia szpitala Maria nie odezwała się ani słowem. Spostrzegł, że teraz chce mu coś powiedzieć, więc nachylił się.

– A czy mój ojciec – zapytała – jest tam? Nie wrócił z wycieczki? Musiał jej odpowiedzieć, że pan de Guersaint jeszcze nie wrócił, ale że na pewno spóźnił się nie z własnej winy. Wtedy dodała tylko, z tym swoim uśmiechem:

– Ach, biedny ojciec! Jaki on będzie uradowany, gdy zastanie mnie uleczoną!

Piotr patrzył na nią z pełnym wzruszenia podziwem. Nie pamiętał, aby widział ją kiedy, wśród powolnych postępów choroby, tak urocą. Włosy jej, jedyne, co w niej pozostało nietknięte, stroiły ją w złoto. Jej zmaląła, wysubtelniona twarz nabrała marzycielskiego wyrazu, oczy utonęły w upartej myśli o chorobie, rysy znieruchomiały, jak gdyby zasnęła pogrążona w jakiejś obsesji, w nadziei, że obudzi ją wstrząs wyczekiwanego szczęścia. Zatraciła poczucie samej siebie, które miało jej powrócić, gdy Bóg tego zechce.. I to urocze dziecko, dziewczynka mająca już dwadzieścia trzy lata, wciąż tkwiąca w tej minucie, kiedy nieszczęśliwy przypadek zabił w niej życie płci i wzbroniał stać się kobietą, była wreszcie gotowa na przyjęcie anioła, na” cudowny wstrząs, który miał ją wyrwać z odrętwienia i postawić na nogi. Jej poranna ekstaza trwała dalej, ręce spłotły się, uniesienie całej istoty oderwało ją od ziemi, od chwili gdy ujrzała posąg Najświętszej Panny. Modliła się, składała siebie Bogu w ofierze.

Dla Piotra była to chwila wielkiej rozterki. Czuł, że dramat jego kapłańskiego życia teraz się rozegra, że jeśli w tym przełomie nie odzyska wiary, nigdy jej już nie odnajdzie. I nie było w nim złych myśli, nie było oporu, tylko, zarówno jak w niej, żarliwe pragnienie, aby oboje zostali uzdrowieni. Ach, znów uwierzyć dzięki jej uzdrowieniu, wierzyć razem, razem dostąpić zbawienia! Chciał się modlić, jak ona, gorąco. Ale wbrew jego woli tłum przyciągał jego uwagę, niezmierny tłum, w którym niedawno z takim trudem zanurzał się, znikał, stawał się tylko liściem w lesie, zgubionym w drzeniu wszystkich liści. Nie mógł zabronić sobie analizowania go, sądzenia. Wiedział, że od czterech dni ci ludzie są opętani, zasugerowani, że trawiła ich gorączka długiej podróży, podniecał nowy krajobraz, dni przeżyte w pobliżu wspaniałości Groty, bezsenne noce, rozpaczliwy ból spragniony ułudy. Przyłączyła się do tego obsesja modlitwy, nabożne pieśni, litanie, które wstrząsały nimi nieustannie. Po ojcu Massias wstąpił na kazalnicę inny ksiądz, chudy i czarny, i Piotr słyszał, jak rzuca on wezwanie do Matki Boskiej i Jezusa głosem ostrym, podobnym do smagania biczem; ojciec Massias i ojciec Fourcade, którzy zostali pod kazalnicą, dyrygowali okrzykami tłumu, którego lamenty brzmiały coraz przenikliwiej pod przeczystym słońcem. Egzaltacja jeszcze się wzmogła, była to chwila, kiedy gwałty zadawane

Niebu sprowadzały na ziemię cuda.

Nagle jakaś paralytyczka wstała i poszła ku Grocie, podniósłszy wysoko swą kulę; wierni okrzykami witali tę kulę, sterczącą pionowo nad wzburzonym morzem głów, potrząsaną jak sztandar. Czyhano na cuda, wyczekiwano ich, w przekonaniu, że będą się działy, niezliczone, olśniewające. Oczy wierzyły, że je widzą, podniecone głosy obwoływały je. Znowu jakaś kobieta została uzdrowiona. I ta, i tamta! Głucha słyszała, niema przemówiła, suchotnica odzyskała siły. Jak to, suchotnica? Ależ tak, to rzecz zwyczajna. Ludzie nie byli zdolni niczemu się już dziwić, byliby stwierdzili bez sprzeciwu, że odcięta noga odrasta. Cud stawał się zwykłym stanem natury, rzeczą codzienną, tak częstą, że niemal pospolitą. Podnieconym wyobraźniom niewiarygodne historie wydawały się zupełnie zwyczajne, zgodne z tym, czego oczekiwały one od Najświętszej Panny. Trzeba było słyszeć krążące opowiadania, spokojne stwierdzenia, absolutną pewność, gdy któraś rozgorączkowana chora wołała, że jest uzdrowiona. I jeszcze jedna, i znowu jedna! Czasem tylko rozlegał się rozpaczliwy głos: „Ach, została uzdrowiona, ta ma szczęście!”

Już w biurze lekarskim Piotr cierpiał z powodu tej łatwowierności otoczenia. Ale tutaj przekraczała ona wszelkie granice; drażniły go niedorzeczności, które słyszał wypowiedane spokojnie, z pogodnym dziecinnym uśmiechem. Próbował skupić się w sobie, nie słuchać. „Boże mój, uczyni, aby umysł mój unicestwił się, abym nie chciał już nic rozumieć, abym pogodził się z tym, co nierealne i niemożliwe.” Przez chwilę czuł się zobojętniały na dociekania, dał się ponosić błagalnemu okrzykowi: „Panie, racz uzdrowić naszych chorych!” Powtarzał go z największym współczuciem, składał ręce, wpatrywał się uporczywie w posąg Matki Boskiej, aż do zawrotu głowy, aż do złudzenia, że posąg się porusza. Dlaczego nie miałyby się stać znowu dzieckiem jak inni, skoro szczęście było w niewiedzy i kłamstwie? Ten nastrój udzielił się chyba i jemu, będzie już tylko ziarnem piasku wśród mnóstwa ziaren, pokornym wśród pokornych, ugiętych pod ciężarem młyńskiego kamienia, nie troszczących się o to, jakie siły ich miażdżą. I właśnie w tej chwili, gdy miał nadzieję, że zabił w sobie starego człowieka, że unicestwił się wraz ze swą wolą i inteligencją, tajemna praca myśli rozpoczęła się na nowo w Jego mózgu, praca nieustanna, niepokonana. Powoli, mimo starań, wracał do swoich poszukiwań, wąpił, badał. Czymże więc była moc wyzwalająca się z tego tłumu, fluid życia tak potężny, że istotnie dokonywał uzdrowień? Było to zjawisko, którego jeszcze żaden uczony fizjolog nie zbadał. Czy należy uważać, że tłum jest po prostu jedną istotą, mogącą zdziesięciokrotnić na sobie samej potęgę autosugestii? Czy można by przyjąć, że w pewnych chwilach najwyższej egzaltacji tłum staje się czynnikiem władczej woli, zmuszającej materię do posłuszeństwa? To byłoby wyjaśnieniem, dlaczego nagle wypadki ozdrowień w obrębie tegoż tłumu spadały na jednostki najszczerzej podniecone. Wszystkie tchnienia łączyły się w jedno tchnienie, a działającą tam mocą była siła pocieszenia, nadziei i życia.

Ta myśl o ludzkim miłosierdziu wzruszyła Piotra. Jeszcze chwila, a zdołał się opanować i błagał o uzdrowienie wszystkich, ogromnie przejęty myślą, że w ten sposób i on, w pewnej mierze, przyczynia się do uzdrowienia Marii. Nagle, choć sam nie wiedział, dzięki jakiemu skojarzeniu myśli nawiedziło go pewne wspomnienie; przypomniał sobie konsultację, jakiej zażąda co do stanu dziewczyny przed ich wyjazdem do Lourdes. Scena rysowała się coraz dokładniej, z zadziwiającą precyzją widział pokój obity szarą tapetą w niebieskie kwiatki, słyszał, jak trzej lekarze dyskutują i formułują wnioski. Dwaj, którzy wystawili świadectwa, stwierdzili porażenie rdzenia kręgowego, mówili z mądrą powolnością wziętych, cenionych specjalistów o nieposzlakowanej opinii; ale Piotrowi brzmiał jeszcze w uszach żywy, pełen zapału głos jego kuzyna Beauclaira, trzeciego z lekarzy, młodego człowieka, obdarzonego wielką śmiałą inteligencją, którego obaj koledzy traktowali oziębło, jako ducha awanturniczego. I Piotr zdziwił się odnajdując w pamięci – w tej chwili ostatecznej – szczegóły, o których sam nie wiedział, że tam tkwią dzięki szczególnemu zjawisku sprawiającemu, że niekiedy słowa, zaledwie usłyszane, zamagazynowane jak gdyby mimo naszej woli, budzą się, eksplodują, narzucają się po długim okresie zapomnienia. Wydało mu się, że samo oczekiwanie cudu stworzyło warunki, w jakich – zdaniem Beauclaira – mógł się on spełnić.

Na próżno starał się Piotr odpędzić to wspomnienie, modląc się ze zdwojoną zarliwością. Obrazy odradzały się, dawne słowa dźwięczały mu w uszach jak granie trąbki. Działo się to teraz w jadalni, gdzie zamknął się z Beauclairem po odejściu dwu pozostałych lekarzy. Beauclair przedstawił historię choroby: upadek z konia na nogi w czternastym roku życia; zwichnięcie macicy, która wygięła się, przesunęła na bok; na pewno wiązadła były zerwane i stąd uczucie ciężaru w podbrzuszu i w udach, osłabienie nóg, przechodzące aż w bezwład; następnie powolne zanikanie uszkodzeń, narząd sam przez się wrócił na miejsce, wiązadła wygoiły się, ale bolesne objawy nie ustały u tego nerwowego dużego dziecka, którego umysł, wstrząśnięty upadkiem, nie mógł się od niego oderwać; chora skupiła uwagę na miejscu, gdzie czuła ból, unieruchomiona, niezdolna przyswajać sobie nowych pojęć; w ten sposób już nawet po wyzdrowieniu pozostało cierpienie, stan neuropatyczny, stałe wyczerpanie nerwowe, na pewno zaostrzone przez błędy w odżywianiu, o którym wciąż jeszcze mało wiemy. Beauclair łatwo tłumaczył sobie sprzeczne i fałszywe diagnozy licznych lekarzy, którzy ją leczyli, nie przeprowadzając niezbędnego badania, krocząc po omacku, przy czym jedni uważali, iż mają do czynienia z guzem, inni, liczniejsi, twierdzili, że to uszkodzenie rdzenia. On jeden, po wypytaniu o cechy dziedziczne chorej, zaczął podejrzewać, iż jest to zwyczajny stan autosugestii, którego uparcie się trzymała, pozostając pod władzą wstrząsu i gwałtowności pierwszego bólu; i przytaczał argumenty: zacieśnione pole widzenia, oczy patrzące w jeden punkt, wyraz twarzy zaabsorbowany, roztargniony, a przede wszystkim natura cierpienia, które opuściło narząd i przeniosło się na lewy jajnik; przejawiało się tam cierpieniem przytłaczającym, nie do zniesienia, które czasem

podchodziło aż do gardła, w straszliwych atakach duszności. Nagły poryw, wola, aby oswobodzić się od fałszywego pojęcia o swej chorobie, aby wstać i odetchnąć swobodnie, aby już nie cierpieć, tylko ta wola mogła znów postawić ją na nogi, uleczyć, przetworzyć pod obuchem ogromnego podniecenia.

Po raz ostatni Piotr spróbował nie widzieć, nie słyszeć, czuł bowiem, że w nim samym tkwi ruina cudu, na którą nie ma rady. Ale mimo wysiłków, mimo zapału, z jakim wołał: „Jezusie, Synu Dawidowy, racz uzdrowić naszych chorych!”, wciąż widział i słyszał Beauclaira, jak mówi mu z miną spokojną i uśmiechniętą, w jaki sposób odbędzie się cud; nagle, w momencie najwyższego uniesienia, w jakichś decydujących okolicznościach, które ostatecznie oswobodzą jej mięśnie. W szalonym porywie radości chora podniesie się i zacznie iść, nogi jej nagle staną się lekkie, wolne od ciężaru, który od dawna czynił je ciężkimi jak ołów, jak gdyby ciężar ów stopniał, spłynął w ziemię. Ale przede wszystkim zniknie ciężar uciska jący brzuch, ucisk, który podnosił się; gnębił pierś, ścisnął za gardło, jak cudem uleci w jednym tchnieniu burzy, zabierając z sobą całą chorobę. Czyż nie tak działo się w wiekach średnich, kiedy to opętane przez usta oddawały diabła, który długo torturował ich dziewicze ciała? Beauclair dodał jeszcze, że Maria stanie się kobietą, że krew tryśnie przy tym radosnym wstrząsie, przy tym obudzeniu się ciała aż dotąd dziecinnego, opóźnionego w rozwoju i złamanego tak długim snem cierpienia, że dziewczyna nagle odzyska wspaniałe zdrowie, oczy jej będą błyszczeć, twarz się rozpromieni.

Piotr spojrział na Marię i jego wzburzenie jeszcze wzrosło, gdy zobaczył ją tak nieszczęsną w wózku, tak szaleńczo błagającą, całą wzniesioną ku Matce Boskiej z Lourdes, która miała ją obdarzyć życiem. Ach, gdybyż została uratowana, choćby za cenę potępienia jego, Piotra! Ale ona jest zbyt ciężko chora, wiedza kłamie, tak jak wiara, on nie wierzy, że dziewczyna

o nogach martwych od tylu lat miałyby wrócić do życia

I w niepomowanym zwątpieniu, jakie go ogarnęło, jego krwawiące serce wołało głośniejsz i powtarzało bez końca z szalejącym tłumem: – Panie, Synu Dawidowy, racz uzdrowić naszych chorych!... Panie, Synu Dawidowy, racz uzdrowić naszych chorych!

W tej chwili powiał przez tłum jakiś niepokój, zakołysał głowami. Ludzie drżeli, twarze odwracały się, podnosiły w górę. Zaczynała się procesja o godzinie czwartej, tego dnia trochę spóźniona, krzyż jej wyłaniał się pod łukiem monumentalnej terasy. Rozległ się taki krzyk, powstał tak gwałtowny, instynktowny napór, że Berthaud zamaszystymi gestami nakazał pielęgniarkom mocno naciągnąć sznury, aby odeprzeć tłum. Pielęgniarki, zepchnięci na chwilę, musieli cofnąć się z pokaleczonymi dłońmi, ale wreszcie udało się im rozszerzyć trochę pozostawione przejście, gdzie mogła teraz powoli wkroczyć procesja. Na przedzie szedł wspaniały szwajcar, niebieski i srebrny, za nim niesiono krzyż procesyjny, wysoki krzyż błyszczący jak słońce. Dalej postępowały delegacje różnych pielgrzymek, niosące chorągwie i sztandary z aksamitu i atłasu, haftowane metalową nicią i kolorowym jedwabiem, ozdobione

malowidłami i noszące nazwy miast: Wersal, Reims, Orlean, Poitiers, Tuluza. Jedna chorągiew, całkiem biała, niezwykle kosztowna, nosiła napis wyszyty czerwonymi literami: „Organizacja Katolickich Kółek Robotniczych”. Potem szło duchowieństwo, dwustu do trzystu księży w zwykłych sutannach, stu w komżach, pięćdziesięciu w złotych ornatach błyszczących jak gwiazdy. Wszyscy nieśli płonące świece, wszyscy pełnym głosem śpiewali *Laudate Sion Salvatorem*. Potem nadpłynął majestatycznie baldachim z purpurowego jedwabiu, obszuty złotym galonem, niesiony przez czterech księży, których najoczywiściej wybrano spośród najsilniejszych. Pod baldachimem, między dwoma asystującymi mu kapłanami, ksiądz Judaine niósł Najświętszy Sakrament, mocno zaciskając wszystkie dziesięć palców, jak mu był poradził Berthaud; trochę niespokojne wejrzenia, jakie rzucał w prawo i w lewo na cisnący się tłum, świadczyły, z jaką troską prowadził do bezpiecznego portu ciężką boską monstrancję, od której już ręce mu omdlewały. Gdy ukośne słońce padło na monstrancję, rzekłbyś, że to błyszczy drugie słońce. Ministranci kołysali kadzielnicami w oślepiającym pyłe jasności, która nadawała blasku całej procesji. Wreszcie płynął różnorodny strumień pielgrzymów, w zapamiętaniu dreptało stado wiernych i ciekawych, którzy tłoczyli się, wypełniając przejście toczącą się falą.

Od pewnej chwili ojciec Massias stanął na kazalnicy; tym razem przygotował inne ćwiczenia pobożne. Po płomiennych okrzykach wiary, nadziei i miłości nakazywał teraz nagle absolutne milczenie, aby każdy z zamkniętymi ustami mógł poufnie rozmawiać z Bogiem. Ta cisza wśród ogromnego tłumu, te minuty niemego błagania, kiedy dusze wyznawały swoje tajemnice, miały w sobie dziwną, przejmującą wielkość. Uroczysta ceremonia nabierała grozy, słyhać było przelot pragnienia, ogromnej żądzы życia. Następnie ojciec Massias poprosił, aby przemówili tylko chorzy, aby błagali Boga o danie im tego, czego spodziewają się od jego wszechmocy. Wtedy zaczął się żalony lament, podniosły się setki głosów drżących i ochrypłych, którym wtórowały łkania. „Panie Jezu, jeśli zechcesz, możesz mnie uzdrowić! Panie Jezu, ulituj się nad twym dziecięciem, które umiera z miłości! Panie Jezu, uczyn, abym widział, uczyn, abym słyszał, uczyn, abym chodził!” Wysoki głos jakiejś dziewczynki, lekki i żywy jak głos fletu, panujący nad ogólnym szlochaniem, powtarzał w dali: „Zbaw innych, zbaw innych, Jezu!” Łzy płynęły ze wszystkich oczu, błagania wstrząsały sercami, wprawiały najzatwardziały w szal miłosierdzia, we wzniosły zamęt, pod którego wpływem ludzie gotowi byli własnymi rękoma rozdzierać sobie piersi i dzielić się z bliźnim własnym zdrowiem i własną młodością. Ojciec Massias, nie pozwalając opaść entuzjazmowi, powtarzał swoje okrzyki, coraz bardziej podniecając szalejący tłum, zaś ojciec Fourcade, stojąc na jednym ze stopni wiodących na kazalnicę, płakał również, wznosząc ku niebu zroszoną łzami twarz, i nakazywał Bogu, aby zeszedł na ziemię.

Ale procesja przybywała, delegacje i księża ustawili się po prawej i lewej stronie, a gdy baldachim znalazł się na przestrzeni zarezerwowanej przed Grotą dla chorych i gdy ci zobaczyli

Jezusa-Hostię, Najświętszy Sakrament błyszczący jak słońce w rękach księdza Judaine, jakiegokolwiek kierowanie stało się niemożliwe, głosy się mieszały, wybuch unicestwił wszelką wolę. Krzyki, wezwania; modlitwy ginęły w jękach. Ciała podnosiły się z barłogów, wyciągały się drżące ramiona, pokur – czone ręce zdawały się zatrzymywać ten cud w miejscu. „Panie Jezu, zbaw nas, bo giniemy!... Panie Jezu, wielbimy cię, uzdrów nas!... Panie Jezu, tyś jest Chrystus, Syn Boga Żywego, uzdrów nas!” Zrozpaczone, rozszalałe głosy trzykrotnie rzuciły najwyższą skargę w okrzyku, który przeszył niebo; łzy popłynęły obficie, zalewały rozpalone twarze przeistoczone oczekiwaniem. Po chwili uniesienie stało się tak wielkie, instynktowny pęd ku Najświętszemu Sakramentowi wydawał się tak nieodparty, że Berthaud kazał znajdującym się na miejscu pielęgniarzom utworzyć łańcuch. Był to ostateczny manewr obronny; mur pielęgniarzy wyrósł na prawo i na lewo od baldachimu, gdy każdy z nich mocno uchwycił ramieniem sąsiada za szyję, tworząc jak gdyby żywą ścianę. Nie było już żadnej szczeliny, nikt nie mógł przejść. Ale nawet te ludzkie bariery ugięły się pod naciskiem nieszczęśników spragnionych życia, chcących dotknąć, ucałować Jezusa; toteż chwiała się, padały aż na baldachim, którego miały bronić i który pod ciągłą groźbą, że zostanie porwany, wirował wśród tłumu jak święta łódź, bliska zatonięcia.

Wówczas, w kulminacyjnej chwili świętego szaleństwa, wśród suplikacji i szlochu – jak podczas burzy, gdy niebo otwiera się i pada grom – tak teraz posypały się cuda. Wstała jakaś paralityczka i odrzuciła kule. Rozległ się przeraźliwy krzyk i ukazała się kobieta stojąca na materacu, owinięta białym kocem niby całunem; mówiono, że to ozdrowiała na wpół już martwa suchotnica. Dwukrotnie jeszcze rozległ się krzyk o cudzie: ślepa kobieta ujrzała nagle Grote w blasku, a jakaś niema upadła na kolana, głośno i wyraźnie składając dzięki Najświętszej Pannie. I wszystkie zaraz padały do stóp Matki Boskiej z Lourdes, nieprzytomne z radości i wdzięczności.

Ale Piotr nie spuszczał oczu z Marii i to, co widział, obudziło w nim niezmiernie wzruszenie. Oczy chorej, puste jeszcze, rozszerzały się, a jej blada, żalosna twarz o zakrzepłych rysach ściągnęła się, jak gdyby chora straszliwie cierpiała. Nie mówiła nic, zapewne w rozpacz, że choroba chwyta ją znowu. Potem, nagle, gdy przeniesiono obok niej Najświętszy Sakrament i gdy ujrzała jego płonąca w słońcu gwiazdę, doznała olśnienia, zdawało się jej, że ugodziła w nią błyskawica. Oczy jej zapaliły się od tego blasku, odzyskały wreszcie płomień życia, zaśniły jak gwiazdy. Twarz jej pod falą soków żywotnych ożyła, nabrała kolorów, rozpromieniła się śmiechem radości i zdrowia. I zobaczył, że ona podnosi się nagle, prostuje się w swoim wózku, potem chwieje się, coś mówi, znajdując tylko te czułe słowa:

– Ach, mój drogi!... Ach, mój drogi!...

Podbiegł, aby ją podtrzymać. Ale odsunęła go jednym ruchem, coraz mocniejsza i tak wzruszająca, tak piękna w sukni z czarnej wełnki, w rannych pantoflach, które wciąż miała na

nogach, smukła i drobna, ze złotą aureolą wspaniałych blond włosów, przesłoniętych skromną koronką. Całym jej dziewiczym ciałem wstrząsały silne dreszcze, jak gdyby regenerowała je jakaś mocna fermentacja. Najprzód nogi uwolniły się z krępujących je łańcuchów. Potem, czując, że tryska z niej strumień krwi, życie kobiety, żony i matki, doznała ostatniej trwogi: ogromny ciężar podchodził od brzucha do gardła. Ale tym razem nie zatrzymał się, nie zdławił jej, **lecz** wytrysnął. Z otwartych ust, uleciał w okrzyku najwyższej radości.

– Jestem uzdrowiona!... Jestem uzdrowiona!...

Był to niezwykle widok. Koc leżał u jej stóp, a ona stała zwycięska, z twarzą promienną i wspaniałą. Jej krzyk, kiedy poczuła się uzdrowiona, zabrzmiał takim upojeniem, że cały tłum się zdumiał. Istniała już tylko ona, widziano ją tylko, gdy tak trwała, wyższa jakaś, promienna, boska.

– Jestem uzdrowiona!... Jestem uzdrowiona!...

Piotr przeżywając gwałtowny wstrząs, jaki targnął jego sercem, zaczął płakać. I znowu łzy popłynęły ze wszystkich oczu. Wśród okrzyków, wyrazów wdzięczności i uwielbienia frenetyczny entuzjizm ciągle się wzmacniał, ogarniał narastającym wzruszeniem tysiące pielgrzymów, którzy tłoczyli się, aby ją widzieć. Rozpętały się oklaski, burza oklasków, których grzmot przetaczał się od krańca do krańca doliny.

Ojciec Fourcade machał rękami, ojciec Massias zdołał wreszcie zabrać głos z wyżyn kazalnicy.

– Bóg nas nawiedził, drodzy bracia i drogie siostry...*Magnificat anima mea Dominum...*

I wszystkie głosy, tysiące głosów zaintonowały śpiew uwielbienia i wdzięczności. Procesja zatrzymała się, ksiądz Judaine dotarł z monstancją do Groty i stał tam cierpliwie, aby udzielić błogosławieństwa. Poza kratą czekano na niego z baldachimem, otoczonym przez księży w komzach i ornatach, olśniewających w promieniach zachodu śnieżną bielą i złotem.

Maria tymczasem, we łzach, uklękła; podczas gdy rozlegał się śpiew, z duszy jej unosił się płomienny akt wiary i miłości. Ale tłum chciał zobaczyć ją idącą, uszczęśliwione kobiety wołały do niej, jakaś grupa otoczyła ją, niemal porwała z sobą, pchnęła w stronę biura lekarskiego, aby cud został stwierdzony, aby bił w oczy jak światło słoneczne. Wózek jej, zapomniany, stał pusty, Piotr pośpieszył za Marią, ona zaś szepcząc coś i chwiejąc się z uroczą niezręcznością, gdyż od siedmiu lat nie władała nogami, szła z niespokojną i zachwyconą miną małego dziecka stawiającego pierwsze kroki; było to tak wzruszające i tak śliczne, że myślał już tylko o wielkim szczęściu, iż widzi ją odradzającą się w jej młodości. Ach, ta ukochana przyjaciółka młodych lat, dawna jego miłość, stanie się więc wreszcie kobietą piękną i uroczą, jaką zapowiadała niegdyś młodzianka dziewczyna, która w małym ogródku w Neuilly tak czarująco wyglądała w cieniu wysokich drzew przesianych promieniami słońca?

Tłum wciąż zapamiętale wiwatował na jej cześć, olbrzymia jego fala odpływała wraz z nią;

wszyscy czekali niecierpliwie pod drzwiami, gdy weszła do biura, gdzie wraz z nią wpuszczono tylko Piotra.

Tego popołudnia niewiele osób znajdowało się w biurze stwierdzania uzdrowień. W małej, kwadratowej salce o rozpalonych ścianach, prymitywnie umeblowanej, na wyplatanych słomą krzesłach, przy dwóch stołach nierównej wysokości, siedziało w milczeniu, poza stałym personelem, tylko pięciu czy sześciu lekarzy. Zarządzający personelem łazienek i dwaj młodzi księża mieli przed sobą rozłożone rejestry i przerzucali akta, zaś siedzący przy końcu stołu ojciec Dargeles pisał artykuł dla swego dziennika. Doktor Bonamy właśnie badał toczeń Elizy Rouquet, która przyszła po raz trzeci, aby stwierdzono wciąż postępujące zabliznianie się jej rany.

– No, panowie, czy widzieliście kiedy – zawołał lekarz – aby toczeń zniknął w ten sposób, tak szybko?... Wiem, że ukazało się nowe dzieło o wierze, która uzdrawia, i że tam piszą, iż pewne rany mogą być pochodzenia nerwowego. Ale trudno

o coś mniej dowiedzionego w wypadku tocznia i nie wierzę, aby komisja lekarska mogła wyjaśnić w sposób naturalny wyzdrowienie tej pani... – Przerwał i zwrócił się do ojca Dargeles: – Ojciec zanotował dokładnie, że ropienie ustąpiło bez śladu i że skóra odzyskuje barwę naturalną?

Ale nie usłyszał odpowiedzi. Weszła Maria, a za nią Piotr; lekarz po rozpromienieniu cudownie uzdrowionej natychmiast odgadł gratkę, jaką mu los nastreczał. Maria była czarująca, stworzona, aby porywać za sobą i nawracać tłumy. Szybko odprawił Elizę Rouquet, zapytał o nazwisko nowo przybyłej, zażądał teki z dokumentami od jednego z młodych księży. Ponieważ Maria chwiała się na nogach, chciał ją posadzić w fotelu.

– Ach, nie, nie! – zawołała. – Jestem tak szczęśliwa, że” mogę utrzymać się na własnych nogach! Piotr jednym spojrzeniem poszukał doktora Chassaigne

i zmartwił się, że go tu nie widzi. Trzymał się na uboczu, czekał, podczas gdy niespokojnie szukano w szufladach nie mogąc natrafić na właściwy plik aktów.

– Proszę – powtarzał doktor Bonamy – Maria de Guersaint, Maria de Guersaint... Na pewno widziałem to nazwisko.

Wreszcie Raboin znalazł akta, umieszczone pod niewłaściwą literą alfabetu; gdy lekarz zapoznał się z załączonymi tam świadectwami, ogarnął go wielki zapał.

– Oto sprawa, ogromnie interesująca, panowie. Proszę, abyście słuchali uważnie... Młoda osoba, którą tu widzicie, stojąca o własnych siłach, cierpiała na ciężkie uszkodzenie rdzenia kręgowego. Gdyby ktoś miał najmniejsze choćby wątpliwości, te dwa zaświadczenia wystarczyłyby, aby przekonać największych niedowiarków, gdyż podpisali je dwaj lekarze z uniwersytetu paryskiego, o nazwiskach doskonale znanych wszystkim naszym kolegom.

Podał świadectwa obecnym na sali lekarzom, którzy przeczytali je, lekko kiwając głowami. Było to niezaprzeczalne; ci, co je podpisali, mieli opinię specjalistów uczciwych i zdolnych. – A zatem, panowie, jeżeli diagnoza nie nasuwa żadnych wątpliwości, bo nasuwać ich nie może,

skoro pacjentka przynosi dokumenty podobnej wartości, zbadamy teraz zmiany, jakie zaszły w stanie jej zdrowia. – Ale nim zaczął indagować Marię, zwrócił się do Piotra: – Ksiądz przybył z Paryża wraz z panną de Guersaint, jak sądzę. Czy przed wyjazdem zasięgnął ksiądz opinii lekarzy?

Piotr mimo ogromnej radości uczuł lekki dreszcz.

– Byłem obecny przy konsultacji, panie doktorze.

I znowu tamta scena odżyła mu w pamięci. Zobaczył dwóch poważnych i statecznych lekarzy oraz Beauclaira, który uśmiechał się, gdy jego koledzy redagowali swe zgodne opinie. Czyż ma unieważnić te świadectwa i dać poznać inną diagnozę, która pozwoliłaby naukowo wyjaśnić uzdrowienie? Cud był przepowiedziany, z góry już unicestwiony.

– Zauważcie, panowie – mówił dalej doktor Bonamy – że obecność księdza dodaje nowej wymowy tym świadectwom... A teraz pani zechce nam dokładnie opowiedzieć, co czuła.

Schylił się nad ramieniem ojca Dargelès i polecił mu, aby w swej relacji nie zapomniał podkreślić roli Piotra jako świadka.

– Mój Boże!... Jak to opowiedzieć, panowie – zawołała Maria zdyszonym głosem, wciąż ogłuszona radością. – Od wczoraj miałam pewność, że zostanę uzdrowiona. A jednak przed chwilą jeszcze, gdy uczułam mrowienie w nogach, bałam się, aby nie był to nowy atak, zwątpiłam na chwilę... Wtedy mrowienie ustało, ale po chwili znowu się zaczęło, gdy tylko na nowo pogrążyłam się w modlitwie... Ach, modliłam się, modliłam z całej duszy! A wreszcie poddałam się jak dziecko. „Święta Panno, Matko Boża z Lourdes, uczyni ze mną, co zechcesz.” Mrowienie trwało wciąż, zdawało mi się, że krew moja wrze, jakiś głos wołał do mnie: „Wstań! „Wstań!” I uczułam, że to cud, zdawało mi się, że pękają wszystkie moje kości i całe ciało, jak gdyby uderzył we mnie piorun.

Piotr słuchał jej bardzo blady. Przecież Beauclair powiedział mu, że uzdrowienie przyjdzie jak grom, gdy pod wpływem potężnie podnieconej wyobraźni dokona się w niej nagłe przebudzenie woli, od tak dawna uspionej. – Najpierw Najświętsza Panna oswobodziła mi nogi – mówiła Maria. – Miałam bardzo wyraźne wrażenie, że stalowe pęta, które je kępowały, osuwają mi się po skórze, jak zerwane łańcuchy... Następnie ciężar, który zawsze uciskał mi lewy bok, podniósł się ku górze i wydawało mi się, że zaraz umrę, tak strasznie to bolało. Ale przeszedł mi przez pierś, przez gardło, poczułam go w ustach i z całej siły odplułam. Wszystko było skończone, moja choroba opuściła mnie, uleciała.

Zatrzepotała się niby nocny ptak bijący ciężko skrzydłami i umilkła uśmiechając się do wzburzonego Piotra. Wszystko to Beauclair przepowiedział, w tych samych niemal słowach, w tych samych obrazach. Punkt za punktem przepowiednia spełniała się, wszystko to były zjawiska przewidziane i naturalne. Raboin słuchał opowiadania z szeroko otwartymi oczyma, z pasją ograniczonego dewota, prześladowanego myślą o piekle.

– To diabeł – wykrzyknął. – Ona wypłula diabła!

Ale rozsądniejszy od niego doktor Bonamy kazał mu zamilknąć, po czym zwrócił się do lekarzy.

– Panowie, jak wiecie, unikamy tutaj wypowiedzienia wielkiego słowa: cud. Ale oto fakt, i jestem ciekawy, jak moglibyście go wyjaśnić na drodze naturalnej... Pani od siedmiu lat cierpiała na ciężki paraliż, spowodowany oczywiście urazem rdzenia kręgowego. I temu niepodobna zaprzeczyć, mamy świadectwa nie podlegające dyskusji. Chora nie chodziła wcale, nie mogła uczynić jednego ruchu, który by jej nie sprawiał bólu, doszła do zupełnego wyczerpania, które zdawało się zapowiadać smutny koniec choroby... Nagle wstaje, zaczyna chodzić, śmieje się i promienieje cała. Paraliż ustępuje bez śladu, znika ból, pacjentka ma się równie dobrze jak wy i ja... A teraz zbadajcie ją, panowie, i powiedzcie mi, co tu zaszło.

Tryumfował. Żaden z lekarzy nie zabrał głosu. Dwaj, na pewno praktykujący katolicy, przytaknęli energicznie głowami. Inni siedzieli bez ruchu, z miną zakłopotaną, niezbyt starając się wniknąć w sprawę. Wreszcie mały chudy lekarz, którego oczy błyskały spoza binokli, wstał, aby bliżej przyjrzeć się Marii. Wziął ją za rękę, popatrzył na jej źrenice, zdawał się interesować tylko zewnętrzną przemianą, w jakiej pławiła się dziewczyna. Następnie, w sposób nadzwyczaj kurtuazyjny, nie próbując nawet dyskutować, wrócił na miejsce.

– Przypadek ten wymyka się wiedzy; oto wszystko, co mogę stwierdzić – zwycięsko zakonkludował doktor Bonamy. – Dodam, że nie mamy tutaj rekonwalescencji, zdrowie wraca od razu, całkowicie... Proszę spojrzeć na pannę de Guersaint... Oczy błyszczą, cera jest różowa, fizjonomia odzyskała żywotną radość. Niewątpliwie, regeneracja tkanki będzie postępować z pewną powolnością, ale już teraz można powiedzieć, że pacjentka odrodziła się. Prawda, księżo, że ksiądz, który widywał ją często, teraz niemal jej nie poznaje?

Piotr wyjąkał:

– To prawda, to prawda...

Istotnie wydawała mu się już silna, policzki miała pełne i świeże, tryskała, kwitła wesołością. Ale wszak i to Beauclair przepowiedział: ten wybuch radości, przyływ sił, rozpromienienie i całą tę przemianę ciała, gdy powróci do niego życie wraz z pragnieniem aby wyzdrowieć i zaznać szczęścia.

Doktor Bonamy znowu pochylił się nad ramieniem ojca Dargeles, który kończył pisać swoją notę, rodzaj krótkiego, ale wyczerpującego protokołu. Wymienili półgłosem parę zdań., Naradzili się, po czym doktor powiedział głośniejszym głosem:

– Ksiądz był obecny przy tych cudach, więc nie odmówi zapewne podpisania niniejszego wiernego sprawozdania, które zredagował właśnie wielebny ojciec dla „Dziennika Groty”.

On miał podpisać tę kartkę papieru zawierającą mnóstwo omyłek i kłamstw! Ogarnął go bunt; już miał wykrzyknąć całą prawdę. Ale poczuł ciężar sutanny na ramionach, a przede

wszystkim boską radość Marii, która wypełniała i jego serce. Przenikało go tak ogromne szczęście, że widzi ją ocaloną! Od chwili gdy przestano ją wypytywać, przysłała wesprzeć się na jego ramieniu i wciąż uśmiechała się do niego oczyma pełnymi upojenia.

– Drogi mój – powiedziała cichutko – podziękuj Najświętszej Pannie. Ona była dla mnie taka dobra, i oto jestem zdrowa, ładna, młoda!... A jaki szczęśliwy będzie mój ojciec, mój biedny ojciec!

I Piotr podpisał. W nim wszystko obracało się w ruinę, ale wystarczy, że ona jest uratowana, uważalby się za świętokradcę, gdyby nie oszczędził wiary tego dziecka, wielkiej czystej wiary, która je uzdrowiła.

Gdy Maria wyszła z biura, okrzyki rozległy się znowu, tłum bił oklaski. Zdawało się teraz, że cud stał się czymś publicznym. Tymczasem miłosierne osoby bojąc się, aby się nie zmęczyła wracając po wózek porzucony przed Grotą, przyciągnęły go przed biuro stwierżeń. Na jego widok ogarnęło Marię głębokie wzruszenie. Ach, ten wózek, w którym przeżyła tyle lat, ta ruchoma trumna, w której czasami wydawała się sobie żywcem pogrzebaną, ileż widział łez, rozpacz, tragicznych dni! I nagle *przyszło* jej na myśl, że skoro tak długo uczestniczył w smutku, powinien teraz także zaznać tryumfu. Nagłe natchnienie, niby święte szaleństwo, kazało jej chwycić za dyszel.

W tej chwili przechodziła procesja, która wracała z Groty, gdzie ksiądz Judaine udzielił błogosławieństwa. Maria, ciągnąc swój wózek, szła teraz za baldachimem. W rannych pantoflach, z głową okrytą koronką, dążyła tak z wezbraną piersią, z twarzą uniesioną w górę, natchniona i wspaniała, wciąż ciągnąc wózek swej nędzy, ruchomą trumnę, gdzie tak długo żyła konając. A tłum krzyczący na jej cześć, frenetyczny tłum podążył za nią.

IV

Piotr, idąc za Marią, znalazł się wraz z nią za baldachimem, jak gdyby porwany wichrem chwały, który kazał Marii ciągnąć w tryumfie swój wózek. Ale co chwila tłum napierał burzliwą falą, tak że Piotr byłby na pewno upadł, gdyby nie podtrzymała go mocna ręka.

– Proszę się nie obawiać i podać mi rękę. Inaczej ksiądz nie utrzyma się na nogach.

Odwrócił się i ze zdziwieniem poznał ojca Massias, który zostawił ojca Fourcade na kazalnicy, aby iść przy baldachimie. Niezwykła gorączka podtrzymywała go, pchała naprzód, czyniąc go mocnym niby sikała, oczy błyszczały mu jak żagwie, twarz miał pełną uniesienia, zroszoną potem.

– Proszę uważać i podać mi ramię! Nowa fala ludzka o mało ich nie zmiotła. I Piotr zawierzył się temu straszному człowiekowi, którego pamiętał jako współuczniaka z seminarium. Jakie dziwne spotkanie i jakby on pragnął mieć tę gwałtowną wiarę, czuć w sobie to szaleństwo

wiary, które sprawiało, że ojciec Massias dyszał z gardłem pełnym szlochu i nie przestawał wykrzykiwać płomiennego błagania:

– Panie Jezu, racz uzdrowić naszych chorych!... Panie Jezu, racz uzdrowić naszych chorych!

Za baldachimem krzyk nie ustawał, zawsze znalazł się tam jakiś gorliwiec, którego obowiązkiem było nie dawać spokoju zbyt opieszalej dobroci boskiej. Raz był to głos gruby, zapłakany, to znów ostry, rozdzierający. Władczy głos zakonnika załamywał się już ze wzruszenia..

– Panie Jezu, racz uzdrowić naszych chorych!... Panie Jezu, racz uzdrowić naszych chorych!

Wieść o błyskawicznym uzdrowieniu Marii, o cudzie, którego wspañałość miała zachwycić całe chrześcijaństwo, rozeszła się już po Lourdes; i tym tłumaczyło się coraz większe uniesienie, atak zaraźliwego szaleństwa, który rozpetaną falą ogromnego przypływu rzucał rozfalowany tłum ku Najświętszemu Sakramentowi. Każdy nieświadomie ulegał pożądaniu, aby go widzieć, dotknąć, zostać uzdrowionym, zyskać szczęście. Bóg przechodził mimo i dokoła byli już tylko chorzy płonący żądzą życia, wszystkich ogarnęło pragnienie szczęścia i ono to podrywało ich, z krwawiącym sercem, z chciwymi, rękoma.

Berthaud, który obawiał się wybuchów tej miłości, postanowił iść razem ze swoimi ludźmi. Prowadził ich, czuwał, aby podwójny łańcuch pielęgniarzy po obu stronach baldachimu nie został zerwany.

– Zacieśnić szeregi, jeszcze, jeszcze, i mocno spleść ramiona! Młodzi ludzie, wybrani spośród najsilniejszych, ciężką mieli

przeprawę. Mur, jaki z siebie czynili stojąc tuż przy sobie i obejmując się wpół i za szyję, ugiął się co chwila pod mimowolnymi atakami. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że się tłoczy, a tymczasem tworzyły się nieustanne wiry, głębokie fale napływające z daleka i grożące zatopieniem wszystkiego. Gdy baldachim znalazł się pośrodku placu Różańca Świętego, księdzu Judaine wydawało się, że już dalej nie pójdzie. Na ogromnej przestrzeni uformowało się mnóstwo przeciwnych prądów, które osaczały go ze wszystkich stron. Musiał się zatrzymać pod baldachimem kołysanym i szarpanym niby żagiel na morzu podczas gwałtownego sztormu. Trzymał Najświętszy Sakrament bardzo wysoko, obiema zeszywniałymi rękoma, w strachu, że ostatecznie któraś fala obali go na ziemię; czuł, że złota monstrancja, błyszcząca jak słońce, stała się przedmiotem namiętnego pożądania tego ludu, stała się Bogiem, którego wszyscy chcieli całować, aby się w nim zagubić, nawet za cenę unicestwienia tego Boga. Stojąc nieruchomo, zwrócił niespokojny wzrok na Berthauda.

– Nie przepuszczać nikogo! – zawołał Berthaud do swoich podwładnych. – Nikogo! Słyszycie? Rozkaz jest wyraźny!

Ale podniosły się błagalne głosy, nieszczęśnicy łkali, wyciągali ramiona i wysuwali wargi w szalonym pragnieniu, aby pozwolono im zbliżyć się i ukłęknać u stóp kapłana. Jakim

szczęściem byłoby zostać rzuconym na ziemię, zgniecionym i zdeptanym przez całą procesję! Jakiś kaleka pokazywał uschniętą dłoń, z wiarą, że odżyje mu ona u ramienia, jeśli pozwoli mu dotknąć monstrancji. Niema kobieta wściekle rozpychała się mocnymi ramionami, pragnąc, aby język jej rozwiązał się w pocałunku. Inni i jeszcze inni również krzyczeli, błagali, nawet zaciskali pięści na okrutników, którzy nie chcieli dopuścić, aby uleczone zostało cierpienie ich ciała i nędza ich duszy. Rozkaz był bezwzględny, obawiano się groźnych wypadków.

– Nikogo, nikogo! – powtarzał Berthaud. – Nie przepuszczać nikogo!

Ale była tam kobieta, której widok poruszył wszystkie serca. Nędznie ubrana, z gołą głową, z twarzą we łzach, trzymała na rękach małego, może dziesięcioletniego chłopca, którego obie nogi, sparaliżowane i wiotkie, zwisały bezwładnie. Był to ciężar zbyt wielki na jej siły, ale kobieta zdawała się go nie odczuwać. Przyniosła tu synka i błagała młodzieńców z głuchym uporem, na który nie działały ani perswazje, ani popychanie.

Wreszcie ksiądz Judaine, bardzo wzruszony, przywołał ją. Posłuszni odruchowi litości celebranta, mimo niebezpieczeństwa, jakim groziła szczyba w tym murze, dwaj pielęgniarze usunęli się, a kobieta rzuciła się ze swoim brzemieniem i padła na kolana przed kapłanem. Ten na chwilę oparł podstawę monstrancji na głowie chłopczyka, kobieta przytknęła tam chciwe usta. Gdy po chwili orszak znowu ruszył, została przy baldachimie i szła za nim z procesją, z rozwianymi włosami, dysząc i chwiejąc się pod nadmiernym ciężarem obrywającym jej ramiona.

Z wielkim trudem przebrnięto wreszcie przez plac Różańca Świętego, po czym zaczęło się wspinanie, tryumfalne wchodzenie na górę przez monumentalną terasę; wysoko w górze, na skraju nieba, Bazylika wznosiła smukłą iglicę, skąd rozchodziło się granie dzwonów głoszących chwałę Matki Boskiej z Lourdes. Baldachim piął się teraz powoli ku tej apoteozie, ku wzniosłym wrotom sanktuarium, które zdawały się otwierać na nieskończoność, ponad ogromnym tłumem szumiącym nieustannie w dole, na placach i ulicach. Wspaniały niebiesko-biały szwajcar już docierał z procesjonalnym krzyżem do wysokości kopuły kościoła Różańca Świętego, nad obszerną esplanadą dachów. Za nim szły delegacje pielgrzymów, a barwne jedwabne i aksamitne chorągwie trzepotały w pożarze zachodzącego słońca. A potem ukazał się imponujący kler, księża w śnieżnobiałych komżach, księża w złotych ornatach, podobni orszakowi gwiazd. Kadzielnice kołysały się, baldachim wciąż się wznosił, choć nie było Widać niosących go ludzi, jak gdyby dźwigała go tajemnicza moc, niewidzialne anioły, w chwalebnej wędrówce ku szeroko otwartym wrotom niebios.

Gdy tylko procesja wydostała się z tłoku, buchnęły śpiewy, ale głosy nie domagały się już uzdrowienia chorych. Cud się spełnił, sławiono go na całe gardło, wśród bicia dzwonów i drżącej w powietrzu wesołości.

– *Magnificat anima mea Dominum...*

Były to pienia wdzięczności, śpiewane już w Grocie, a teraz znowu dobywające się z przepelnionych serc.

– *Et exsultavit spiritus meus in Deo salutari meo...* Maria z coraz większym rozradowaniem odbywała promienną

wędrówkę, wspinała się przez gigantyczne terasy ku jaśniejącej Bazylice. W miarę jak szła, zdawało się jej, że jest coraz silniejsza, że coraz mocniej trzyma się na zmartwychwstałych nogach, tak długo bezwładnych. Wózek, który tryumfalnie za sobą ciągnęła, był jak gdyby zewłokiem jej choroby, piekłem, z którego wyzwoliła ją Najświętsza Panna; i chociaż ręce mdlały jej od ciężaru dyszła, chciała dociągnąć go aż na górę, aby rzucić go do stóp Boga. Nic nie mogło jej wstrzymać, śmiała ‘się wśród rześzystych łez, z podaną naprzód pierśią, w wojowniczej postawie. W biegu zesunął się jej z nogi pantofelka koronka opadła z włosów na ramiona. Ale szła mimo wszystko wciąż naprzód, w hełmie wspaniałych blond włosów, z olśniewającą twarzą, w takim przyplwywie woli i siły, że słyszało się za nią łomot wózka ciągniętego po stromej, wyłożonej płytami pochyłości, jak gdyby to był mały dziecinny wózek.

Piotr, niedaleko za Marią, szedł u boku ojca Massias, który nie puścił go od siebie. Nie mógł zebrać myśli, zatracił się w potężnym wzruszeniu. Ogłuszał go dźwięczny głos towarzysza.

– *Deposuit potentes de sede et exsultavit humiles...*

Z drugiej strony, po prawej, szedł za baldachimem Berthaud, już teraz spokojny. Pozwolił pielęgniarzom zejść ze stanowisk i z zachwytem przyglądał się ludzkiemu morzu, które niedawno przecięła procesja. Im wyżej wspinali się po terasach, tym bardziej plac Różańca Świętego, ścieżki i aleje parków wychylały się z dołu, czarne od ludzi. Był to cały naród widziany z lotu ptaka, mrowisko coraz rozleglejsze i dalsze.

– Proszę spojrzeć – rzekł wreszcie Berthaud do Piotra. – Jakie to wielkie, jakie piękne!... Na pewno rok nie będzie zły! ‘ Dla niego Lourdes było przede wszystkim ogniskiem propagandy, gdzie zaspokajał swoje urazy polityczne; radował się licznymi pielgrzymkami, bo uważał, że są przykre dla rządu. Ach, gdyby można sprowadzić robotników miejskich, stworzyć ‘demokrację katolicką!

– W zeszłym roku – mówił dalej – zaledwie dociągnęliśmy do dwustu tysięcy pielgrzymów. W tym roku chyba znacznie przekroczymy tę cyfrę. – I dodał z wesołą miną człowieka lubiącego życie, mimo nurtującej go pasji sekciarza: – Słowo daję, że przed chwilą, gdy tłum tak nacierał, cieszyłem się... Mówiłem sobie: „Sprawy układają się dobrze, bardzo dobrze!”

Ale Piotr nie słuchał, był pod wrażeniem wielkości wido – wiska. Z pełnym drżenia podziwem patrzył na tłum rosnący, w miarę jak wznosił się ponad nim, na wspaniałą dolinę, która kłębiła się i powiększała u jego stóp, ukazując coraz rozleglejszy, majestatyczny, górski krajobraz. Rozterka jego jeszcze wzrosła, poszukał wzroku Marii i szerokim gestem wskazał jej olbrzymi widnokrąg. Ten gest wprowadził ją w błąd. Pod wpływem czysto duchowej egzaltacji

nie dostrzegła materialności widoku i wyobraziła sobie, że Piotr bierze ziemię za świadka cudownych łask, jakimi właśnie ich oboje obdarzyła Najświętsza Panna; pomyślała, że i on dostąpił swojej części cudu, że gdy padł piorun łaski, który ją postawił na nogi, lecząc jej ciało, on, tak jej bliski, z sercem przy jej sercu, uczył, że ogarnia go ta sama boska siła i podnosi, z duszą wybawioną od wątpienia, odzyskaną dla wiary. Czyż mógł patrzeć na jej cudowne uzdrowienie i nie uwierzyć? Ona zresztą tak długo modliła się ubiegłej nocy przed Grotą! Poprzez nadmiar swej radości widziała go również przemienionego, płaczącego i śmiejącego się, powróconego Bogu. I to wzmagalo jeszcze jej gorączkę szczęścia; ciągnęła swój wózek ręką, która nie czuła zmęczenia, pragnęłaby ciągnąć go milami, coraz wyżej, aż na niedosięgte szczyty, aż do olśnienia rajem niebieskim, jak gdyby dźwigała na tę rozbrzmiewającą od głosów górę ich podwójny krzyż, własne odkupienie i odkupienie najdroższego przyjaciela.

– Och, Piotrze, Piotrze – jąkała – jak pięknie jest, że przeżywamy to wielkie szczęście razem, wspólnie! Prosiłam ją o to tak gorąco, a ona zgodziła się i, uzdrawiając mnie, uzdrowiła i ciebie! Tak, czułam, jak twoja dusza jednoczyła się z moją. Powiedz, że nasze wzajemne modlitwy zostały wysłuchane, że wyblagałam twoje zbawienie, jak ty wyblagałeś moje!

Zadrzał, gdy zrozumiał jej omyłkę.

– Gdybyś wiedział – ciągnęła dalej – jakim śmiertelnym zmartwieniem byłoby dla mnie tak samotnie wstąpić w tę jasność. Och, zostać wybraną, ale bez ciebie, wznosić się w górę bez ciebie! Dopiero z tobą, Piotrze, to jest cudowne... Razem zbawieni, szczęśliwi po wieki wieków! Czuję siły, aby być szczęśliwą, aby poruszyć świat w posiadach!

Musiał jej w końcu odpowiedzieć i skłamał, buntując się przeciw myśli, że miałby zepsuć, przyćmić tę ogromną czystą radość.

– Ach, tak, tak, bądź szczęśliwa, Mario, bo i ja jestem. bardzo szczęśliwy i wszystkie moje utrapienia znikły.

Ale w duszy jego powstało głębokie rozdarcie, jak gdyby nagle odczuł brutalny cios siekiery, który rozbijał ich spójnię. Do tej chwili, we wspólnych cierpieniach, ona zawsze była małą przyjaciółką lat dziecinnych, pierwszą kobietą niewinnie pożądaną, którą zawsze uważał za swoją, ponieważ nie mogła należeć do nikogo. Teraz była uleczona, on został samotny w swoim piekle, z myślą, że ją na zawsze już utracił. Ta nagła myśl tak go wzburzyła, że odwrócił wzrok, zrozpaczony, że tak cierpi w obliczu cudownego szczęścia, którym ona promienieje. Śpiew nie ustawał, ojciec Massias, nic nie słysząc, nic nie widząc, cały przejęty, pochłonięty płomienną wdzięcznością dla Boga, grzmiącym głosem zaśpiewał ostatni werset: – *Sicut locutus est ad patres nostros, Abraham et sarnim ejus in saecula.*

Jeszcze jedna terasa do przebycia, jeszcze jeden wysiłek na stromej drodze, po usuwających się spod nóg wielkich płytach. Procesja wznosiła się jeszcze, wchodzenie na górę kończyło się w pełnym, żywym świetle. Przyszedł ostatni zakręt, koła wózka zadzwieczyły o granitowy

krawężnik. Coraz wyżej, coraz wyżej! Wózek potoczył się jeszcze wyżej, sięgał już skraju nieba.

Wtedy nagle baldachim ukazał się na szczycie gigantycznych teras, przed wrotami Bazyliki, na kamiennym ganku panującym nad całym tym przestworem. Ksiądz Judaine postąpił naprzód trzymając oburącz w górze Najświętszy Sakrament. Koło niego Maria, z sercem bijącym od biegu, z płonąca twarzą, w złocie rozpuszczonych włosów, wtoczyła swój wózek. Dalej ustawiło się całe duchowieństwo, olśniewające ornaty; chorągwie i sztandary powiewały barwiąc biel balustrad. Nastąpiła chwila uroczysta.

Trudno było wyobrazić sobie coś potężniejszego niż ten widok z góry. Na pierwszym planie, w dole, roili się ciemną falą tłumy, morze ludzkie, poruszane ciągłym przyływem, a teraz na chwilę znieruchomiało, tłumy, gdzie rozróżniało się jedynie białe plamki jasnych twarzy wzniesionych ku Bazylice w oczę – kiwaniu na błogosławieństwo; i jak sięgnąć okiem, na placu Różańca Świętego, nad Gave, w alejach, ulicach, skrzyżowaniach, aż do dalekiego starego miasta, drobne blade oblicza mnożyły się bez końca, wszystkie z półotwartymi ustami, z oczyma utkwionymi w czcigodny próg, gdzie miało się rozewrzeć Niebo. Dalej piętrzył się olbrzymi amfiteatr pagórków, wzgórz i gór, o szczytach gubiących się w nieskończoności, w błękitnym powietrzu. W stronie północnej, na drugim brzegu rzeki, na pierwszych zboczach, wśród drzew, liczne klasztory – karmelitanki, siostry od Wniebowzięcia, dominikanki, siostry z Nevers – złociły się różowawym blaskiem w pożarach zachodu. Dalej wznosiły się zadrzewione masywy, sięgające wyżyny Buala, nad którymi górował szpon Julos, mając nad sobą z kolei Miramont. Na południu otwierały się inne głębokie doliny, ciasne wąwozy między spiętrzonymi olbrzymich skał, których podnóża nurzały się w plamach niebieskawego cienia, gdy wierzchołki rozblyskiwały w roześmianym pożegnaniu słońca. Z tej strony pagórki Visens były purpurowe, jak koralowy przyładek odgradzający uśpione jezioro eteru, przejrzyste jak szafir. Ale na zachodzie, naprzeciw, horyzont jeszcze bardziej się rozszerzał, w miejscu, gdzie się zbiegało siedem dolin. Zamek, czarny zarys starej, dzikiej fortecy, z wieżyczką i wysokimi murami, która niegdyś stała na ich straży, wznosił się na skale, obmywanej przez wody Gave. W tej stronie nowe miasto uśmiechało się wesoło wśród ogrodów rojem białych fasad, – wielkich hoteli, dostatnich domów, pięknych sklepów, których szyby płonęły żarem; natomiast za Zamkiem stare Lourdes ukazywało swoje zatarte, bezbarwne dachy w mżeniu rudawego światła. O tej późnej godzinie Małe Gers i Wielkie Gers, dwa ogromne grzbiety nagiej skały, porośnięte gdzieś tam niską trawą, za które schodziło w królewskim majestacie zmierzchające słońce, stanowiły jedynie obojętne, liliowawe tło, dwie surowe zasłony zaciągnięte na skraju widnokregu.

Ksiądz Judaine, w obliczu tego ogromu, oburącz podniósł wyżej, jeszcze wyżej Najświętszy Sakrament. I przesunął go powoli z jednego krańca horyzontu na drugi, kreślił nim wielki znak. krzyża po całym niebie. Po lewej pozdrowił klasztory, wyżyny Buala, szpon Julos, Miramont; na prawo pozdrowił wielkie zmiążdżone bloki skalne w ciemnych dolinach, oblane purpurą wzgórze

Visens; na wprost pozdrowił oba miasta, Zamek obmywany przez wody Gave, Małe Gers i Wielkie Gers, już uśpione; i pozdrowił lasy, strumienie, góry, niewyraźne łańcuchy dalekich szczytów, całą ziemię, cały widzialny horyzont. Pokój światu, nadzieja i pocieszenie ludziom! W dole tłumy zadrżały pod tym ogromnym znakiem krzyża, który objął je całe. Wydawało się, że przepływa boski oddech, kołysząc morzem drobnych bezbarwnych twarzy, tak licznych jak fale oceanu. Podniósł się rumor uwielbienia, wszystkie otwarte usta wydały okrzyk sławiący boską chwałę, gdy monstrancja, w którą zachodzące słońce uderzyło pełnym blaskiem, ukazała się znowu, jako drugie słońce, szczerozłote słońce kreślące znak krzyża płomiennym śladem u progu nieskończoności.

Już chorągwie, duchowieństwo, ksiądz Judaine pod baldachimem kierowali się ku Bazylice, gdy Marię, która także tam dążyła, wciąż ciągnąc za dyszel swego wózka, zatrzymały na chwilę dwie panie, rzuciwszy się jej na szyję ze łzami w oczach. Była to pani de Jonquière i jej córka Rajmunda, które przyszły na górę, aby także otrzymać błogosławieństwo, i dowiedziały się o cudzie.

– Ach, drogie dziecko, cóż za radość – powtarzała kierowniczką sali – i jaka jestem dumna, że była pani na mojej sali! Wielki to dla nas wszystkich zaszczyt i łaska, że Najświętsza Panna wybrała właśnie panią.

Rajmunda zatrzymała oburącz dłoń cudownie uzdrowionej.

– Czy pozwoli pani, że będą ją nazywać drogą przyjaciółką? Tak głęboko pani współczułam i tak bardzo raduję się widząc panią stojącą o własnych siłach, tak krzepką, tak już piękną... (Proszę pozwolić, że raz jeszcze panią ucałuję. To przyniesie mi szczęście.

Maria wyjąkała w zachwyceniu:

– Dziękuję, dziękuję z całego serca... Jestem taka szczęśliwa, taka szczęśliwa!

– Och, nie opuścimy pani! – mówiła pani de Jonquière. – Słyszysz, Rajmundo? Pójdziemy z panią, razem uklękniemy do modlitwy. I odprowadzimy panią po zakończeniu procesji. Istotnie obie panie przyłączyły się do pochodu i poszły obok Piotra i ojca Massias, za baldachimem, aż do środka nawy, między rzędy krzesel, już zajętych przez delegacje. Po obu stronach wielkiego ołtarza pozwolono stanąć tylko tym, co nieśli chorągwie. Również Maria podeszła i zatrzymała się dopiero przy stopniach, ze swoim wózkiem, którego masywne koła. dźwięczały na kamiennej posadzce. Przyciągnęła go aż tam – gdzie wymarzyła w swoim świętym szaleństwie – ten wózek żałosny i biedny wśród wspaniałości przybytku Bożego, żeby świadczył o cudzie. Gdy tylko weszli, organy rozbrzmiały tryumfalnym śpiewem, grzmiącym okrzykiem szczęśliwego ludu, z którego wnet wyłonił się boski głos anioła, przenikliwa radość, czysta jak kryształ. Ksiądz Judaine złożył Najświętszy Sakrament na ołtarzu, lud wypełnił do reszty nawę, każdy szukał sobie miejsca, tłoczył się w oczekiwaniu na początek ceremonii. Maria od razu padła na kolana pomiędzy panią de Jonquière i Rajmunda, której oczy wciąż były wilgotne ze wzruszenia; ojciec

Massias, u kresu sił, po załamaniu się nerwowego napięcia, w którym trwał od opuszczenia Groty, szlochał teraz, leżąc na ziemi, z twarzą ukrytą w dłoniach. Za nim stali Piotr i Berthaud; ten ostatni wciąż w pogotowiu, z badawczym wzrokiem, czuwał nad porządkiem nawet wśród najmocniejszych uniesień.

Piotr, w zamęcie, ogłuszony śpiewem organów, podniósł głowę i rozejrzał się po wnętrzu Bazyliki. Była to wąska nawa, wysoka, upstrzona żywymi barwami, a liczne okna zalewały ją światłem. Nawy boczne prawie nie istniały, były to zaledwie ciasne korytarze biegnące pomiędzy wiązkami filarów i bocznymi kaplicami; zdawało się to jeszcze podnosić strzelistość głównej nawy, lotność tego kamienia o liniach misternych,

o dziecinnym wdzięku. Krata, cała złocona, przejrzysta jak koronka, zamykała prezbiterium, gdzie główny ołtarz, z białego marmuru, bogato rzeźbiony, ukazywał przepych o dziewiczej czystości. Patrzącego zadziwiała niezwykła ilość ozdób, których obfitość zmieniała kościół w przeładowaną wystawę haftów

i klejnotów, chorągwi, nieprzeliczonych wotów, całego mnóstwa darów, upominków, które spływały tutaj i stłoczyły się na ścianach; tworząc istny strumień złota, srebra, aksamitu, jedwabiu, pokrywając je od dołu do góry. Było to stale rozżarzone san – ktuarium wdzięczności, które głosem tysiącznych bogactw wyśpiewywało nieustanny hymn wiary i dziękczynienia.

Zwłaszcza chorągwi było niezliczone mnóstwo, jak liści w lesie. Ze trzydzieści wisiało pod sklepieniem. W górze, obiegając cały obwód tryforium, inne chorągwie tworzyły obraz ujęty w ramę kolumniek. Biegły wzdłuż ścian, powiewały w kaplicach, otaczały nawę główną niebem z jedwabiu, atłasu i aksamitów. Liczono je na setki, oko nużyło się ich podziwianiem. Liczne wśród nich stały się już słynne, bo wykonane były tak kunsztownie, że wielkie hafciarki przybywały tu umyślnie, aby im się przyjrzeć; na przykład chorągiew Matki Boskiej z Fourvières, z herbem miasta Lyonu, chorągiew Alzacji, z czarnego aksamitu, haftowana złotem; chorągiew Lotaryngii, na której Najświętsza Panna osłaniała płaszczem dwoje dzieci; chorągiew Bretanii, biało-niebieska, gdzie w aureoli krwawiło Najświętsze Serce. Wszystkie państwa, wszystkie królestwa ziemi były tutaj reprezentowane. Najdalsze kraje, jak: Kanada, Brazylia, Chile, Haiti, miały tutaj swoje sztandary złożone pobożnie w hołdzie Królowej Niebios.

Oprócz chorągwi innym dziwem były tysiące i tysiące serc ze złota i srebra porozwieszane wszędzie, lśniące na ścianach jak gwiazdy na firmamencie. Kreśliły one mistyczne róże, tworzyły festony, girlandy, które pełzały po filarach, obiegały okna, stroiły gwiazdami głębokie kaplice. Komuś przyszło na myśl, aby pod tryforium wypisać ogromnymi literami, używając do tego serc, różne słowa, jakie Najświętsza Panna wyrzekła do Bernadety; i w ten sposób wokół nawy wił się długi fryz, a naiwne dusze radowały się mozolnym odcyfrowywaniem tych wyrazów. To mnóstwo wirujących i rozżarzonych serc sprawiało przytłaczające wrażenie, gdy pomyślało się o tych wszystkich drżących z wdzięczności rękach, które je ofiarowa ły. Było zresztą wiele

innych wotów, i to bardzo zaskakujących; one również stanowiły dekorację. Widziało się oprawione za szkłem ślubne bukiety, krzyże zasługi, klejnoty, fotografie, różańce, nawet ostrogi. Trafiały się oficerskie epolety oraz szable, a wśród nich wspaniały pałasz ofiarowany na pamiątkę cudownego nawrócenia.

Ale nie dosyć na tym, bo inne bogactwa, bogactwa wszelkie – go rodzaju, lśniły dokoła: marmurowe posągi, diademy wysadzone diamentami, wspaniały dywan projektowany w Blois, haftowany przez damy z całej Francji, złota palma zdobiona emalią – dar papieża. Zwisające u sklepień lampy były również podarunkami, niektóre z masywnego złota, bardzo kunsztownej roboty. Trudno je było zliczyć, błyszczały w całej nawie jak drogocenne gwiazdy. Przed tabernakulum wisiała lampa ofiarowana przez Irlandię, istne arcydzieło. Inne dary, z Walencji, z Lilie, lampa z Makao, przysłana aż z głębi Chin, były to prawdziwe klejnoty, rozbłyskujące drogimi kamieniami. A cóż za wspaniały widok, gdy dwadzieścia świeczników w prezbiterium, gdy setki lamp i świec paliły się jednocześnie podczas wieczornych nabożeństw! Wówczas cały kościół płonął, wszystkie te drobne płomyki rozjarzonej świątyni odbijały się tysiącem ogników w tysiącach złotych i srebrnych serc. Był to żar niepojęty, ściany ociekały żywymi iskrami, ludzie wstępowali w oślepiającą chwałę raj, a niezliczone chorągwie rozwijały dokoła swój jedwab, atlas i aksamity, na których wyhaftowane były krwawiące serca, święci w tryumfie, Najświętsze Panny o uśmiechu rodzającym cuda.

Ach, ta Bazylika, jakie ceremonie religijne roztaczały już tam swoje przepychy! Nieustannie odbywały się nabożeństwa, odmawiano modlitwy, rozlegał się śpiew. Przez cały rok dymiły kadzidła, huczały organy, tłumy na klęczkach modliły się z całej duszy. Ciągłe odprawiały się msze, nieszpory, wygłaszano kazania, udzielano błogosławieństwa, codziennie odbywały się pobożne ćwiczenia, a święta obchodzono z nieporównanym przepychem. Najbliższe rocznice stawały się pretekstem do wspaniałych uroczystości. Każda pielgrzymka winna była otrzymać swoją część olśnienia. Ludzie cierpiący i pokorni, przybyli z daleka, musieli odejść pocieszeni, zachwyceni, unosząc z sobą wizję wpółotwartego raj. Ujrzeni przepych Boga i zabierali w sobie wiekuiszą ekstazę tego widoku. W nędznych, nagich izbach, na barłogach boleści, w całym chrześcijaństwie wspominano Bazylikę z jej jarzącym się bogactwem, jak sen obietnicy i zadośćuczynienia, jako największe bogactwo, skarb życia przyszłego, raj, gdzie ubodzy na pewno kiedyś wejdą po długim okresie nędzy na tym padole. Piotr nie doznawał żadnej radości, patrzył na te splendory nie czując pociechy ani nadziei. Jego straszliwa rozterka wzrastała, ciemność panowała w jego duszy, a była to ciemność burzy, kiedy myśli i uczucia huczą i łkają. Od chwili gdy Maria wstała ze swego wózka, wołając, że jest uzdrowiona, odkąd stanęła na nogach, tak silna i żywotna, czuł, jak narasta w nim ogromna rozpacz. Kochał ją namiętą miłością braterską, odczuł bezgraniczne szczęście widząc, że przestała cierpieć. Dlaczego więc umierał od jej szczęścia? Nie mógł już teraz spojrzeć na nią, klęczącą, rozpromienioną wśród łez,

na jej piękność odzyskaną i rozkwitłą, aby nie krwawiło jego biedne, śmiertelnie zranione serce. Chciał jednak tu zostać, odwracał oczy, usiłował skierować uwagę na ojca Massias, wciąż łkającego na płytach posadzki, i zazdrościł mu zatracenia się w pochłaniającej go ułudzie bożej miłości. Zwrócił się nawet z pytaniem do Berthauda, udał, że podziwia jakąś chorągiew, i poprosił o jakieś objaśnienia na ten temat.

– Która? Ta koronkowa, tam dalej?

– Tak, na lewo.

– To chorągiew ofiarowana przez miasto Puy. Są tam herby Puy i Lourdes, połączone różańcem... Koronka jest tak cienka, że zmieściłaby się w zaciśniętej dłoni.

Ale ksiądz Judaine już nadchodził, nabożeństwo miało się zacząć. Organy znowu zabrzmiały, odśpiewano hymn, a Najświętszy Sakrament stał na głównym ołtarzu jak gwiazda-królowa wśród iskrzenia się innych gwiazd, złotych i srebrnych serc. Piotr nie miał już siły zostać dłużej. Ponieważ Marii towarzyszyły teraz pani de Jonquière i Rajmunda, mógł odejść, ukryć się w ciemnym kącie, gdzie wolno by mu było wreszcie zapłakać. Krótco się usprawiedliwił, tłumacząc się umówionym spotkaniem z doktorem Chassaigne. Bał się jeszcze, że nie potrafi się wydostać, bowiem zwarty tłum tarasował przejście. Wówczas wpadł na szczęśliwy pomysł: minął zakrystię i zszedł do Krypty wąskimi wewnętrznymi schodami.

Nagle, po wesołych głosach, po rozrzuconym blasku ogarnęło go głębokie milczenie i grobowy cień. Krypta, wykuta w skale, składała się z dwóch wąskich korytarzy, oddzielonych przez kamienny masyw dźwigający na sobie główną nawę, a prowa – dążących pod absydą do podziemnej kaplicy, w dzień i w nocy oświetlonej małymi lampkami. Krzyżowały się tu ciemne szeregi filarów, panowała mistyczna groza, półmrok, w którym trzepotała się tajemnica. Ściany pozostały nie wyprawione, był to kamień grobowca, w którym wszyscy ludzie ułożą się na wieczny sen. Wzdłuż korytarzy, przy ścianach pokrytych od góry do dołu płytami z marmuru, gdzie wieszano wota, stały tylko dwa rzędy konfesjonałów; gdyż w tym martwym spokoju ziemi odbywała się spowiedź, księża przemawiali wszystkimi językami, aby odpuszczać winy grzesznikom schodzącym się tutaj z czterech stron świata.

W tej chwili, gdy na górze tłum się cisnął, w Krypcie było zupełnie pusto, żadna żywa dusza nie drżała tam z lęku. Piotr w tej ogromnej ciszy, w cieniu, w chłodzie grobowym upadł na kolana. Nie czuł w sobie pragnienia, aby modlić się i wielbić; cała jego istota omdlewała pod ciężarem męki, która go przytłaczała. Trawiło go palące pragnienie, aby jasno spojrzeć w siebie. Ach, czemuż nie mógł jeszcze głębiej zanurzyć się w nicości, rozważyć, zrozumieć, wreszcie odzyskać spokój!

Przeżył straszną mękę. Próbował odtworzyć każdą minutę, od kiedy Marią wstała nagle z łoża boleści, wydając swój okrzyk zmartwychwstania. Dlaczego mimo braterskiej radości, że widzi ją znowu na nogach, czuł od tej chwili okrutny smutek, jak gdyby spotkało go śmiertelne

nieszczęście? Czyż zazdrościł jej boskiej łaski? Czy bolał nad tym, że Najświętsza Panna, wracając jej zdrowie, zapomniała o nim, który duszę miał tak chorą? Wspominał ostateczny termin, jaki sobie był postawił, ostatnie spotkanie, jakie wyznaczył swojej wierze na godzinę procesji z Najświętszym Sakramentem, gdyby Maria została uzdrowiona; oto była uzdrowiona, ale on wciąż nie wierzył i teraz nie miał już nadziei, bo wiedział, że nigdy wiary już nie odzyska. Tutaj krwawiła żywa rana. Myśl ta wybuchała z okrucieństwem, z oślepiającą pewnością: ona była uratowana, on zgubiony. Rzekomy cud, który budził ją do życia, zniweczył w nim ostatecznie wszelką wiarę w nadprzyrodzoność. To, czego – jak marzył przez chwilę – mógł jeszcze szukać i spodziewać się w Lourdes, naiwna wiara, szczęśliwa wiara małego dziecka, nie było już możliwe i nie zakwitnie nigdy po tej ka – katastrofie cudu, po tym uzdrowieniu, które przepowiedział Beauclair i które wypełniło się punkt za punktem. Zazdrościł? O nie! Ale był zdruzgotany, śmiertelnie smutny, gdyż został samotny w mroźnej pustyni swojej inteligencji, w żalu za uludą, kłamstwem, za boską miłością ubogich duchem, do której jego serce nie było już zdolne.

Fala goryczy ścisnęła Piotra za krtań, łzy trysnęły mu z oczu. Osunął się na kamienną posadzkę, unieczystwiony męką. Wspominał ich piękną historię od dnia, gdy Maria, która odgadła dręczące go wątpliwości, namiętnie przejęła się sprawą jego nawrócenia, ujęła w ciemności jego rękę, zatrzymała ją w swoich dłoniach i szeptała, że będzie się za niego modlić, ach, modlić z całej duszy! Zapomniała o sobie, błagała Najświętszą Pannę, aby ocaliła raczej jego niż ją, jeśli tylko jedną łaskę uzyska u swego boskiego Syna. Potem przyszło inne wspomnienie, cudowne godziny, jakie spędzili pod czarnym sklepieniem drzew, gdy odbywała się procesja z pochodniami. I wtedy jeszcze modlili się wzajemnie za siebie, – zatopili się w sobie z tak płomiennym pragnieniem wzajemnego szczęścia, że na chwilę dotknęli dna miłości, która daje się i składa w ofierze. Okrutne rozłączenie kładło kres ich długiemu, zroszonemu łzami uczuciu, czystej sielance ich cierpienia: ona – uratowana, promieniała wśród radosnych pień w tryumfalnej Bazylice, on – zgnębiony, zdruzgotany, oplakiwał swą nędzę w ciemnościach Krypty, w lodowatej samotni grobu. Jak gdyby stracił ją powtórnie, tym razem już na zawsze.

Piotr uczył nagle cios noża, jaki ta myśl zadała mu w samo serce. Zrozumiał wreszcie swoje nieszczęście, nagle jasność oświeciła straszny kryzys, z jakim się zmagił. Po raz pierwszy stracił Marię w dniu, kiedy został księdzem, gdy powiedział sobie, że może nie być mężczyzną, skoro ona na skutek nieuleczalnej choroby nigdy nie stanie się kobietą. I oto była uleczona, stawała się znowu kobietą, oto zobaczył ją znowu nagle silną, piękną, pełną życia, ponętną, płodną! Ale on był martwy, nigdy już nie mógł być mężczyzną. Nigdy nie podniesie grobowego kamienia, który miażdżył, zamurowywał jego ciało. Maria wymykała się sama, zostawiała go w chłodnej ziemi. Szeroki świat znowu otwierał się przed nią, śmiało się do niej szczęście, miłość na skąpanych w słońcu drogach, mogła wyjść za mąż, mieć dzieci. On zaś, po szyję zakopany w ziemi, wolny

miał tylko mózg, aby cierpieć tym dotkliwiej. Należała do niego, dopóki nie była jeszcze własnością innego mężczyzny, i Piotr od godziny cierpiał z powodu ostatecznego zerwania, które tym razem dokonywało się na wieki.

Gniew zatargał Piotrem. Miał pokusę, aby wrócić na górę i wykrzyknąć Marii całą prawdę. Cud to kłamstwo, dobroć wszechmogącego Boga to złudzenie! Działała sama natura, życie raz jeszcze odniosło zwycięstwo. Mógłby dostarczyć dowodów, ukazałby jej władcze życie, które wracało jej zdrowie, z wszelkimi ziemskimi cierpieniami. Później wyjechaliby razem bardzo, bardzo daleko, aby tam zakosztować szczęścia. Lecz nagle opadł go lęk. Jak to? Dotknąć tej białej duszyczki, zabić w niej wiarę, sprawić, aby ją wypełniły te ruiny wiary, które czuł w sobie? Wydało mu się to naraz ohydny świętokradztwem! Czułby później wstręt do samego siebie, miałby wrażenie, że ją zamordował, gdyby pewnego dnia okazało się, że nie umie obdarzyć jej równym szczęściem. Może by mu zresztą nie uwierzyła? I czy poślubiłaby wiarołomnego księdza, ona, która zachowa w sobie niezapomnianą słodycz, że uzdrowioną została w ekstazie? Wszystko wydało mu się szalone, potworne, brudne. Już bunt jego przycichał, pozostawało ogromne zmęczenie, palący ból nieuleczalnej rany, serce zabite i wydarte z piersi.

Później, w swym opuszczeniu, w pustce, w której się błąkał, przeszedł udrękę ostatecznej walki. Co ma uczynić? Pragnąłby uciec, nigdy już nie ujrzeć Marii, ze strachu przed cierpieniem. Rozumiał jasno, że teraz musiałby kłamać, ponieważ ona sądziła, że został wraz z nią uratowany, że się nawrócił, że jest uzdrowiony na duszy, jak Maria na ciele. Powiedziała mu już, jak ją to raduje, gdy przez gigantyczne terasy ciągnęła swój wózek. Ach, doznać tego ogromnego szczęścia razem, wspólnie czuć, jak ich dusze jednoczą się z sobą! On już skłamał i będzie musiał odtąd zawsze kłamać, aby nie zburzyć jej pięknej, czystej iluzji. Pozwolił zamilknąć ostatnim uderzeniom krwi w żyłach, przysiągł sobie, że zdobędzie się na wzniosłe miłosierdzie, aby udawać spokój i zachwyty zbawionego. Chciał, aby ona zaznała doskonałego szczęścia, aby nie nawiedził jej żaden żal, żadna wątpliwość, aby cieszyła się pełnią wiary, w przekonaniu, że Najświętsza Panna zgodziła się na ten czysty, mistyczny ich związek. Cóż znaczyła jego męka? Może z czasem opanuje się. W rozpaczliwej samotności, jaką stworzyła wokół niego jego inteligencja, podtrzymywała go jedna myśl, że pozostawi jej całą radość pocieszycielskiego kłamstwa.

Czas mijał, a Piotr zdruzgotany klęczał na zimnych płytach, chcąc, aby opadła jego gorączka. Me myślał już, nie istniał, całą jego istotą owładnęło przygnębienie, jakie następuje po wielkich przesileniach. Wydało mu się, że słyszy jakieś kroki, więc podniósł się z trudem i udał, że odczytuje wota, napisy wyryte na marmurowych płytach wzdłuż ścian. Omylił się, nikt nie nadchodził, mimo to dalej odczytywał owe napisy, zrazu machinalnie, chcąc czymś zająć myśli, a potem z wolna ogarnięty nowym wzruszeniem.

Było to coś niepojętego! Wiara, uwielbienie, wdzięczność przemawiały z tych marmurowych

tablic, wyryte złotymi literami w setkach, tysiącach egzemplarzy. Były wśród nich napisy naiwne, wywołujące uśmiech. Jakiś pułkownik kazał wyryć swoją nogę i napis: „Zachowałeś mi ją, uczyni, aby ci służyła.” Dalej przeczytał: „Racz mieć w opiece hutę szkła.” W dziecinnej szczerości podziękowań wyczuwało się osobliwość zanoszonych poprzednio próśb: „Niepokalanie Poczętej Marii Pannie – ojciec rodziny za odzyskane zdrowie, wygrany proces, otrzymaną podwyżkę pensji.” Ale gubiło się to w chórze płomiennych okrzyków. Głos kochanków: „Paweł i Anna proszą Matkę Bożą z Lourdes o błogosławieństwo dla swego związku.” Wołanie matek: „Dzięki Marii, trzykrotnie uleczyła moje dziecko.” „Dzięki za szczęśliwe urodzenie Marii Antoniny, którą jej polecam, tak jak wszystkich moich bliskich i siebie.” „P. D., lat trzy, uratowany dla miłości swoich najbliższych.” Wołanie małżonek, okrzyk chorych, którzy powrócili do zdrowia, wołanie dusz, które odzyskały szczęście: „Racz chronić mego męża, spraw, aby był zdrow.” „Byłam kaleką na obie nogi, zostałam uzdrowiona.” „Przybyliśmy i mamy nadzieję.” „Modliłam się, płakałam i ona wysłuchała mnie.” I znów wołanie pełne żarliwej dyskrecji, poza którą czuło się długie romantyczne dzieje: „Połączyłaś nas, chroń nas.” „Marii – za największe dobrodziejstwo.” I wciąż powtarzało się to samo wołanie, te same nawet słowa, z namiętym uniesieniem: „dzięki, wdzięczność, hołd, wyrazy wdzięczności, podziękowania”. Ach, te setki, tysiące okrzyków, na wieki utrwalone w marmurze. W głębi Krypty wołały do Marii o wiecznej miłości nieszczęsnych ludzi, którym przyszła z pomocą!

Piotr czytał niezmordowanie, z goryczą w ustach, z rosnącą rozpaczą w duszy. Czyż więc on jeden tylko nie może się spodziewać żadnej pomocy? Tyle cierpiących istot wysłuchano, a tylko on nie umiał uzyskać spełnienia swoich błagań? Pomyślał o tym mnóstwie modlitw, jakie odmawiano w Lourdes przez cały rok. Próbował ustalić ich liczbę: dni przeżyte przed Grotą, noce spędzone w kościele Różańca Świętego, obrzędy w Bazylice, procesje w świetle słońca i pod gwiazdami. Nie do obliczenia było to nieustanne błaganie zanoszone w każdej sekundzie. Wołą tłumów było znużyć w ten sposób uszy Boga, wydrzeć mu łaski, odpusty za pomocą tego mnóstwa, niezmiernego mnóstwa modlitw. Księża nawoływali, aby czynić przed Bogiem pokutę za grzechy Francji, a gdy zadośćuczynienie zrównoważy winy, gniew boży przestanie nękać kraj. Cóż za sroga wiara głosząca konieczność kary! Co za dzika wyobraźnia pełna najczarniejszego pesymizmu! Jakże złe musiało być życie, aby podobne błaganie, taki krzyk rozpaczyci cielesnej i duchowej wzniósł się do nieba!

Ale wśród bezgranicznego smutku: Piotr uczył budzącą się w nim głęboką litość. Ach, dręczyła go myśl o znękanej ludzkości, wystawionej na wszelkie ciosy, tak nagiej, słabej, opuszczonej, że wyrzekła się rozumu jedyne szczęście widziała w złudnych upojeniach snu! Łzy raz jeszcze wypełniły mu oczy, płakał nad samym sobą, nad innymi, nad wszystkimi udreńczonymi istotami, które muszą zagłuszać, usypiać swój ból, aby uciec od rzeczywistości.

Wydawało mu się, że słyszy jeszcze, jak zwarty tłum klęcząc przed Grotą śle ku Niebu płomienne, błagalne modlitwy, tłum dwudziestu, trzydziestu tysięcy istot, od których było płomienne pragnienie, dymiące w słońcu jak kadzidło. Później, pod Kryptą, w kościele Różańca Świętego, rozplómięniało się nowe uniesienie wiary, całe noce spędzone w raju ekstazy, milczące rozkosze komunii, żarliwe wezwania bez słów, w których zatracala się cała istota, spalała się i ulatywała pod niebiosy. A potem, jak gdyby nie wystarczały okrzyki wydawane przed Grotą i nieustająca adoracja w kościele Różańca Świętego, żarliwe, błagalne wołanie brzmiało również dokoła niego, na ścianach Krypty; tutaj uwieczniło się ono w marmurze i po wsze czasy miało krzyczeć

o ludzkim cierpieniu; tutaj modlił się marmur, modliły się mury, ogarnięte dreszczem powszechnej litości, która przenikała aż do kamieni. A wreszcie modlitwy wznosiły się jeszcze wyżej i wystrzelały z promiennej Bazyliki, szumiącej mu nad głową, pełnej w tej chwili fanatycznego tłumu; i zdawało się Piotrowi, że poprzez kamienne płyty posadzki nawy słyszy olbrzymi oddech ludu, wybuchający w hymnie nadziei. Wreszcie porwało to i jego, jak gdyby znalazł się w samym środku drżącej, olbrzymiej fali modlitw, która, wyłaniając się z kurzu ziemi, wspinała się po piętrach kościołów położonych jeden nad drugim, płynęła od tabernakulum do tabernakulum, budząc litość nawet w murach, tak że i one łkały, po czym ten ostateczny krzyk nędzy biegł dalej i przebijał niebo białą iglicą

i wysokim złożonym krzyżem, zatkniętym na jej szczycie. O Panie Wszechmogący, o Boże, Siło opiekuńcze, kimkolwiek jesteś, ulituj się nad biednymi ludźmi, połóż kres ludzkim cierpieniom!

Nagle Piotra olśniło światło. Poszedł lewym korytarzem, który nad terasami wychodził na jasny dzień. I wtedy ktoś pochwycił go w czułe ramiona i uścisnął. Był to doktor Chassaing; Piotr zapomniał o spotkaniu z nim, więc doktor tu czekał, aby zaprowadzić go do domu Bernadety i kościoła proboszcza Peyramale.

– Ach, mój drogi, jakże ty się musisz cieszyć... Właśnie usłyszałem o wielkiej nowinie, o nadzwyczajnej łasce, jakiej udzieliła Matka Boska z Lourdes twojej przyjaciółce z lat dzieciennych... Czy pamiętasz, co mówiłem ci przedwczoraj! Teraz jestem spokojny, bo ty również jesteś ocalony!

Ksiądz, bardzo blady, zaznał ostatniej goryczy. Ale zdołał uśmiechnąć się i odpowiedział łagodnie:

– Tak, jesteśmy ocaleni, jestem bardzo szczęśliwy. Zaczynało się kłamstwo, boska złuda, którą powodowany litością, chciał obdarzyć bliźnich.

Piotr zobaczył jeszcze, że wielkie wrota Bazyliki otwierają się na oścież, a czerwona płachta słońca powleka nawę od końca do końca. Wszystko tonęło w przepychu pożogi, złożona krata prezbiterium, złote i srebrne wota, lampy wysadzone drogimi kamieniami, chorągwie lśniące od

haftów, rozkołysane kadzielnice podobne do fruujących klejnotów. W sercu tej płonącej wspaniałości, wśród srebrnych i złotych ornatów, śnieżnych komzy dostrzegł Marię z rozplecionymi włosami, okrywającymi ją jak złoty płaszcz. Organy zagrzały królewskim śpiewem, rozplomieniony lud wzywał Boga, a ksiądz Judaine, który znów zdjął z ołtarza Najświętszy Sakrament, ukazywał po raz ostatni monstrancję wielką, wysoką, górującą nad wszystkim, lśniącą jak w aureoli na tle roziskrzanej od złota Bazyliki, której wszystkie mocno rozkołysane dzwony głosiły cudowne zwycięstwo.

V

Gdy schodzili terasami, doktor Chassaigne rzekł do Piotra:

– Widziałeś tryumf, a teraz ja pokażę ci dwie wielkie krzywdy.

I poprowadził go ulicą Petits-Fossès, do izby Bernadety, izby niskiej i ciemnej, z której wyszła tego dnia, gdy ukazała się jej Najświętsza Panna.

Ulica Petits-Fossès biegnie od dawnej ulicy Leśnej, dziś ulicy Groty, i przecina ulicę Trybunalską. Jest to uliczka kręta, lekko spadzista, ogromnie smutna. Przechodniów tam niewiele. Wzdłuż niej biegną długie mury i nędzne domy o posępnych fasadach, gdzie nie otwiera się żadne okno. Całe urozmaicenie stanowi drzewo rosnące na podwórku.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł doktor.

Ulica mocno się tu zwiężała i dom stał naprzeciwko wysokiej, szarej ściany, nagiej ściany jakiejś szopy. Obaj unieśli głowy i przypatrywali się małemu domkowi, który wydawał się martwy ze swoimi wąskimi oknami, prostackim sinawym otynko – waniem, w swej haniebnej, ubogiej brzydocie. W dole ziała czarna sień, zamknięta tylko wątlą starą kratą; trzeba było wejść po stopniu, który w czasie burzy zalewała woda z rynsztoka. Doktor odezwał się znowu:

– Wejdz, mój drogi, wejdz. Wystarczy pchnąć kratę.

Sień była długa, Piotr przesunął ręką po wilgotnej ścianie, bojąc się, że się potknie. Miał wrażenie, że schodzi do piwnicy w tej zupełnej ciemności, – i zdawało mu się, że wiecznie mokry grunt usuwa mu się spod nóg. Na końcu sieni, kierując się wskazówką doktora, skręcił w prawo.

– Schyl głowę, bo się uderzysz, drzwi są niskie... Jesteśmy na miejscu.

Jak drzwi od ulicy, drzwi izby były szeroko otwarte w beztrójce opuszczenia. Piotr, który zatrzymał się na środku, wahał się, bo mając jeszcze w oczach żywą jasność dnia, nic nie widział w panujących tu ciemnościach. Lodowaty chłód jak mokre prześcieradło spadł mu na ramiona.

Pomału oczy jego oswoiły „się z ciemnością. Dwa okna nierównej wielkości wychodziły na ciasne wewnętrzne podwórko, gdzie docierało tylko zielonkawe światło, jak na dnie studni; kto chciałby tutaj w samo południe czytać, musiałby zapalić świecę. Izba ta, o wymiarach mniej więcej trzech metrów na cztery, wykładana była wielkimi chropowatymi kamieniami; siostrzan

i belki sufitu poczerniały z czasem i nabrały brudnego koloru sadzy. Naprzeciwko drzwi był kominek, ubogi gipsowy kominek, u którego stara spróchniała deska tworzyła półkę. Między kominkiem a jednym z okien mieścił się zlew. Ściany, z których łuszczył się stary tynk, poplamione wilgocią, porysowane, nabrały, jak sufit, brudnoszarej barwy. Sprzętów nie było, pokój zdawał się nie zamieszkały, dostrzec można było tylko jakieś niewyraźne i dziwaczne przedmioty, trudne do rozpoznania w gęstym cieniu zalewającym kąty.

Po chwili milczenia przemówił doktor:

– Tak, to jest ten pokój, wszystko się stąd zaczęło... Nic się tutaj nie zmieniło, brak tylko sprzętów. Próbowałem odtworzyć sobie ich rozmieszczenie; łóżka zapewne stały pod tą ścianą, naprzeciw okien; co najmniej trzy łóżka, ponieważ rodzina Soubirous liczyła siedem osób, ojciec, matka, dwóch synów, trzy córki... Pomyśl tylko, trzy *łóżka* wypełniały pokój i siedem osób żyło na tych paru metrach kwadratowych, tyle osób żywcem pogrzebanych, bez powietrza, bez światła, prawie bez chleba! Cóż za skrajna nędza, coś za poniżenie ubogich, żalonych istot!

Przerwano mu. Wszedł jakiś cień, który Piotr wziął za starą kobietę. Był to ksiądz, wikary parafii, który mieszkał w tym domu. Znali się z doktorem.

– Usłyszałem pański głos, doktorze, i zszedłem z góry... Znowu pokazuje pan ten pokój?

– Istotnie, księżę dobrodzieju, pozwoliłem sobie... Czy księdzu to nie przeszkadza?

– Ależ nie, wcale nie! Proszę przychodzić tu do woli i przyprowadzać gości.

Śmiał się z uprzejmą miną, skłonił się Piotrowi, który zdziwiony jego spokojną beztróską zapytał:

– Jednakże przychodzący tutaj ludzie na pewno czasem księdzu przeszkadzają?

Z kolei wikary okazał zdziwienie.

– Doprawdy, że nie, bo właściwie nikt tutaj nie przychodzi... Nikt nie wie o tym domu. Wszyscy idą tam, do Groty... Zostawiam drzwi otwarte, dla świętego spokoju. Ale mijają długie dni, a ja słyszę tu jedynie chrobotanie myszy.

Oczy Piotra coraz bardziej oswajały się z ciemnością; w niewyraźnych, niepokojących przedmiotach, zapełniających kąty, rozpoznał wreszcie stare beczki, szczątki kojców na kury, połamane narzędzia, wszelkie rupiecie, które wrzuca się do piwnicy. Następnie zobaczył zawieszony u belek zapasy *żywności*, koszyk na sałatę pełen jaj, wianki dużej, różowej cebuli.

– Jak widzę – dodał z lekkim drżeniem – ksiądz uważał za stosowne zużytkować ten pokój?

Wikary poczuł się nieswojo.

– Oczywiście, właśnie... Ale trudno, dom jest ciasny, mam tak mało miejsca! A poza tym trudno sobie wyobrazić, jaki ten pokój jest wilgotny! Mieszkać tu niepodobna... I tak, mój Boże, pomału wszystko to jakoś samo się tu nagromadziło, trudno nawet powiedzieć, kiedy i jak... – Rupieciarnia – powiedział Piotr.

– Ach, nie... Po prostu nie zamieszkały pokój, ale skoro już ksiądz tak się upiera, niechże

będzie i rupieciarnia.

Zmieszanie jego rosło, dołączył się do niego i lekki wstyd. Doktor Chassaigne milczał, nie biorąc udziału w rozmowie; ale uśmiechał się, podobał mu się bunt Piotra wobec ludzkiej niewdzięczności.

Piotr nie mógł się opanować; ciągnął dalej:

– Niech mi ksiądz wikary przebaczy, że wciąż do tego powracam. Ale proszę pomyśleć, że wszystko zawdzięczacie Bernadecie, że bez niej Lourdes byłoby jednym z najmniej znanych miast we Francji... I doprawdy zdaje mi się, że wdzięczność parafii powinna była przetrworzyć tę nędzną izbę w kaplicę...

– Och, zaraz w kaplicę! – przerwał wikary. – Przecież chodzi o zwykłą dziewczynę i Kościół nie może czynić jej przedmiotem kultu.

– A więc nie mówmy o kaplicy, powiedzmy, że mogłoby tu być jasno, dużo kwiatów, snopy róż, zawsze świeżych dzięki staraniom mieszkańców i pielgrzymów... Po prostu chciałbym – tu widzieć trochę uczucia, rzewne wspomnienie, podobiznę Bernadety, coś, co delikatnie wskazywałoby, jakie miejsce jej się należy we wszystkich sercach... Okrutna jest ta niepamięć, opuszczenie, brud, którym pozwolono rozpanoszyć się w tym pokoju..

Nagle wikary, biedak nieświadomy i niespokojny, stanął po stronie Piotra.

– Właściwie ma ksiądz zupełną słuszność. Ale ja nie posiadam żadnej władzy, ja nic nie mogę!... W dniu, gdy ktoś zażąda ode mnie tego pokoju, aby go inaczej urządzić, oddam go chętnie, zabiorę te beczki, choć doprawdy nie wiem, co z nimi zrobić... Ale powtarzam, że to nie zależy ode mnie, że ja nic tu nie poradzę! – I pod pozorem, że właśnie miał wyjść z domu, szybko pożegnał się i uciekł, wprzód zwróciwszy się jeszcze do doktora Chassaigne: – Proszę zostać, jak długo pan tylko zechce. Nigdy mi pan nie przeszkadza.

Gdy znaleźli się sami, doktor w porywie serdecznej radości ścisnął Piotra za rękę.

– Mój drogi, sprawiłeś mi wielką radość. Powiedziałeś mi to, co już dawno kipi w moim sercu!... Mnie też przychodziło na myśl, że mógłbym codziennie rano przynosić tutaj róże. Ja kazałbym tylko wysprzątać pokój, zadowolilibym się postawieniem na kominku dwu wielkich wiązanek róż; jak wiesz, mam dla Bernadety ogromnie dużo uczucia i wydawało mi się, że te róże byłyby tutaj jak kwitnienie, jak blask i zapach jej pamięci... Tylko, tylko że... – Uczynił gest zniechęcenia. – Zawsze brakowało mi odwagi... Tak, odwagi, powiadam, bo nikt jeszcze nie ośmielił się otwarcie wystąpić przeciwko zakonnikom z Groty... Ludzie wahają się, nie chcą skandalu religijnego. Pomyśl o godnym pożałowania rozgłosie, jaki by powstał; więc ci, którzy oburzają się tak jak ja, skazani są na milczenie, po prostu wolą milczeć. – I dodał na zakończenie: – Mój drogi, niewdzięczność i drapieżność ludzka to rzeczy ogromnie smutne. Ilekroć tu zachodzę i patrzę na tę czarną nędzę, jest mi tak ciężko na sercu, że nie mogę powstrzymać łez.

Umilkł; żaden z nich nie wyrzekł już słowa, obu przygnębił dojmujący smutek, jakim tchnął

ten pokój. Tonęli w ciemności, wilgoć przenikała ich dreszczem wśród obdrapanych ścian, kurzu, nagromadzonych tu rupieci. I przyszło mu na myśl, że gdyby nie Bernadeta, nie zdarzyłyby się żaden z cudów, które uczyniły z Lourdes miasto jedyne w świecie. Na jej to głos wytrysnęło cudowne źródło, otwarła się Grota płonąca od świateł. Dokonano ogromnych prac, nowe kościoły wyrastały z ziemi, gigantyczne terasy wiodły aż do Boga, całe nowe miasto pobudowało się jak gdyby cudem, pełne ogrodów, promenad, skwerów, sklepów i hoteli. Zbiegły się tutaj tłumy z najdalszych zakątków ziemi, a deszcz milionów padał tak rześisty, tak obfity, że młode miasto zdawało się rosnąć w nieskończoność, wypełniać całą dolinę od jednego krańca gór do drugiego. Gdyby wykreślić z tego Bernadetę, nie istniałoby nic, całe niezwykle zdarzenie obróciłoby się w nicość, stare nieznane Lourdes dalej spałoby wiekowym snem u podnóży Zamku. Jedna Bernadeta to sprawiła, jedna Bernadeta to stworzyła, ale ta izba, z której wyszła w dniu, gdy ukazała się jej Najświętsza Panna, ta właściwa kolebka cudu, przyszłej wspaniałej fortuny, niszczała we wzgardzie, pozostawiona na łup robactwu, była składem starzyzny, gdzie trzymano stare beczki i cebulę. I wtedy Piotr, prawem kontrastu, zobaczył, jak żywy, tryumf, którego niedawno był świadkiem, uniesienie panujące w Grocie i w Bazylice, kiedy Maria, ciągnąc swój wózek, szła w górę za Najświętszym Sakramentem, wśród okrzyków tłumu. Przede wszystkim zajaśniała przed nim Grota; nie dawna, dzika, skalna szczelina, przed którą niegdyś dziewczynka uklękała na odludnym brzegu strumienia, lecz starannie urządzona, bogata i płonąca od świateł kaplica, przed którą defilowały tłumy. Cały zgiełk, cała jasność, całe uwielbienie i wszystkie pieniądze skupiły się tam w przepychu nieustającego tryumfu. Tutaj, w tej kolebce, w zimnej i ciemnej norze, nie było żywej duszy, nie było śpiewu ani świeczki, ani kwiatka. Nikt nie zachodził, nikt nie klękał ani się nie modlił. Za ledwie parę osób, chcąc unieść stąd wspomnienie, tkliwie przesunęło palcami po na wpół zbutwiałej desce, która służyła za półkę przy kominku; Duchowieństwo nie знаło tego przybytku nędzy, gdzie winny były udawać się procesje, jak do miejsca chwały. Bo tutaj uboga dziewczynka zaczęła śnić swój sen, w zimną noc, leżąc pomiędzy dwiema siostrami, nękana atakiem choroby, gdy reszta rodziny pogrążona była w ciężkim śnie; stamtąd wyszła unosząc swój zapomniany sen, który miał odrodzić się w niej w pełnym świetle dnia i tak pięknie rozkwitnąć w fantastycznej wizji. Ale nikt nie odbywał na nowo tej drogi, zapomniany żłóbek pozostawiono na pastwę, ciemności, chociaż tam zakiełkowało drobne i tak pokorne ziarno, które teraz gdzie indziej wydawało bujne plony, zbierane z wielką pompą uroczystych ceremonii przez robotników, co przybyli ostatni.

Piotr, któremu ogromna, ludzka rzewność tych dziejów wyciskała łzy z oczu, odezwał się wreszcie z cicha, wyrażając swoją myśl w jednym słowie: – To Betlejem!

– Tak – rzekł z kolei doktor Chassaigne – oto przypadkom. we pomieszczenie, nędzny przytułek, w jakim z cierpienia i litości rodzą się nowe religie... I często zastanawiam się, czy tak nie jest lepiej, czy nie lepiej, aby ta izba pozostała tak uboga i opuszczona... Wydaje mi się, że

Bernadeta nic na tym nie straci, bo kocham ją bardziej, gdy przyjdę tutaj spędzić godzinę. Umilkł znowu, potem zrobił ruch oznaczający bunt.

– Nie, nie, nie mogę przebaczyć, ta niewdzięczność wyprowadza mnie z równowagi... Mówiłem ci, jestem pewien, że Bernadeta dobrowolnie zamknęła się w klasztorze w Nevers. Ale choć nikt nie przyczynił się do jej zniknięcia, jakąż było ono ulgą dla tych, którym zaczynała ciążyć!... A są to ci sami ludzie, tak spragnieni wyłącznej władzy, co dzisiaj na wszystkie sposoby chcą zatrzeć pamięć o niej... Ach, mój drogi, gdybym ci wszystko opowiedział!

I pomału zaczął mówić, ulżył swemu sercu. Bernadeta, której dzieło tak chciwie eksploatowali ojcowie z Groty, budziła w nich jeszcze większy lęk po śmierci niż za życia. Dopóki żyła, bali się oczywiście, aby nie wróciła do Lourdes i nie zażądała swojej części łupu; uspokajała ich tylko jej pokora, gdyż nie miała w sobie nic władczego; z własnej woli wybrała cień i wyrzeczenie, w którym miała zgasnąć. Ale teraz drżeli, że jakaś inna, obca im wola mogła sprowadzić zwłoki jasnowidzącej. Już nazajutrz po jej śmierci myśl ta zaświtała Radzie Miejskiej; miasto chciało wznieść grobowiec, chodziły wieści o ogłoszeniu subskrypcji. Zakonnice z Nevers stanowczo odmówiły wydania ciała, które – jak utrzymywały – stanowiło ich własność. Wszyscy ujrzeni wówczas poza zakonnice owych ojców, wielce zaniepokojonych, którzy rozwinęli żywą działalność i potajemnie sprzeciwili się powrotowi czcigodnych szczątków, w których weszli ewentualną konkurencję dla samej Groty! Wyobrażacie sobie tę groźną konkurencję? Monumentalny grobowiec na cmentarzu, ciągnące tam procesje pielgrzymów, chorzy całujący marmur w gorączkowym uniesieniu, cuda, które się działy wśród tej świętej egzaltacji! Konkurencja była pewna, katastrofalna, przeniesienie nabożeństw i cudów w inne miejsce! I stale powracała ta wielka, jedyna trwoga, że trzeba się będzie dzielić, patrzeć, jak pieniądź powędruje gdzie indziej, jeżeli miasto, teraz już mając doświadczenie, potrafi wyciągnąć korzyści z grobowca.

Przypisywano nawet zakonnikom myśl pełną głębokiej przewrotności. Zamierzali jakby zastrzec sobie po cichu ciało Bernadety, które siostry z Nevers miały im po prostu przechować w ciszy swojej kaplicy. Czekali tylko, pragnęli je sprowadzić dopiero wtedy, gdy napływ pielgrzymów zacznie słabnąć. Po co im teraz ów uroczysty powrót, skoro tłumy schodziły się stale, coraz liczniejsze; gdyby natomiast niezwykła sława Matki Boskiej z Lourdes miała przeminąć jak wszystko na tym świecie, jakim odrodzeniem wiary mogłaby się stać uroczysta i głośna ceremonia, w której świat chrześcijański ujrzałby, jak relikwie Bożej Wybranki biorą znów w posiadanie świętą ziemię, gdzie za jej sprawą tyle dokonało się cudów. I cuda zaczęłyby się na nowo, u marmurów jej grobowca, przed Grotą lub w nawie Bazyliki.

– Choćbyś nie wiadomo jak szukał – mówił dalej doktor Chassaigne – nie znajdziesz w Lourdes, oficjalnie, żadnej podobizny Bernadety. Sprzedaje się jej portret, ale nie umieszczono go nigdzie, w żadnym świętym przybytku... Jest to zapomnienie systematyczne, ten sam głuchy

niepokój, który sprawił, że w tym smutnym pokoju, gdzie jesteśmy, zapanowała cisza i opuszczenie. Jak boją się ewentualnego kultu na jej grobie, tak samo strach ich bierze, że tłumy zbiegną się i uklękną tutaj w dniu, kiedy zapłoną tu choćby dwie świece lub dwie wiązanki róż ozdobią ten kominek. I gdyby podniosła się paralytyczka z krzykiem, że jest uzdrowiona, cóż za oburzenie, cóż za trwoga ogarnęłyby zręcznych handlowców z Groty, których monopol zostałby tak poważnie zagrożony!... Oni są panami i zamierzają nimi zostać, nie chcą oddać ani cząstki wspaniałego folwarku, który sobie zdobyli i który eksploatują. Ale drżą ze strachu, tak! drżą na wspomnienie o pracownikach pierwszego okresu, na wspomnienie małej dziewczynki, która jest teraz wielką zmarłą, której olbrzymia spuścizna budzi ich pożądanie, tak że wysławszy ją niegdyś do Nevers, nie mają odwagi nawet sprowadzić jej zwłok pozostawionych jak w więzieniu, pod klasztorną posadzką!

Ach, ten żaloszny los biednej istoty wykluczonej spośród żyjących, której nawet trup skazany był na wygnanie! Jakże Piotr współczuł temu dziecku nędzy, które, zdawało się, wybrane zostało tylko po to, aby cierpieć w życiu i w śmierci. Nawet przyjąwszy, że to nie jakaś wola jedyna, uparta spowodowała jej zniknięcie, a potem dozorowała ją nawet w grobie, jakież dziwny zbieg okoliczności: wyglądało to, jak gdyby ktoś zaniepokojony myślą o władzy, jaką mogłaby zyskać Bernadeta, stale usiłował trzymać ją na uboczu! W jego oczach była ona wybranką, męczennicą, i chociaż nie wierzył już, chociaż historia tej nieszczęśliwej wystarczała, aby zniweczyć w nim ostatecznie wiarę, niemniej sprawiała ona, że burzyło się w nim poczucie ludzkiego braterstwa, objawiała mu nową religię, jedyną, której jego serce było jeszcze pełne, religię życia, religię ludzkiego bólu.

Zanim wyszli, doktor Chassaigne zawołał jeszcze:

– I tu właśnie trzeba wierzyć, mój drogi! Patrz na tę ciemną norę, pomyśl o wspaniałej Grocie, o tryumfalnej Bazylice, o całym nowo zbudowanym mieście, o całym stworzonym Świecie, o zbiegających się rzeszach ludzi. A jeżeli Bernadeta była tylko wizjonerką, szaloną, czyż cała sprawa nie byłaby jeszcze bardziej zadziwiająca, trudniejsza do wyjaśnienia? Jak to? Majaczenia wariatki miałyby tyle mocy, aby poruszyć wszystkie narody? Nie, nie, to było boskie tchnienie, bo tylko tak można wyjaśnić ten cud!

Piotr żywo gotował się mu odpowiedzieć. Tak, to prawda, przeszło tędy boskie tchnienie, szloch cierpienia, niewygasła tęsknota do bezkresnej nadziei. Jeżeli marzenia chorej dziewczynki wystarczyły, aby ściągnąć tłumy, aby wywołać dreszcz milionów i zbudować nowe miasto, czyż nie stało się tak dlatego, że owo marzenie zaspokajało choć w części głód biednych ludzi, ich nienasycone pragnienie, aby ich oszukiwano i pocieszano? Bernadeta na nowo otwarła wrota nieznanego, i to w sprzyjającym momencie społecznym i historycznym; więc tłumy zbiegły się. Ach, schronić się w tajemniczość, gdy rzeczywistość jest tak bezlitosna, odwołać się do cudu, skoro okrutna natura wydaje się samą niesprawiedliwością! I na próżno organizowano nieznanego,

ujmowano je w dogmaty, czyniono zeń religie objawione, u podstawy zawsze leżał zew cierpienia, krzyk życia domagający się zdrowia, radości, braterskiego szczęścia, osiągalnego choćby na tamtym świecie, jeśli już niemożliwe jest na ziemi. Po co wierzyć w dogmaty? Czy nie wystarczy płakać i kochać?

Ale Piotr nie wdał się w dyskusję. Stłumił odpowiedź, która cisnęła mu się na wargi, przekonany zresztą, że wieczyste pragnienie tego, co nadprzyrodzone, podtrzymywało w cierpiącym człowieku wieczystą wiarą. Cud, którego niepodobna stwierdzić, był niezbędnym pokarmem dla ludzkiej rozpacz. A zresztą czy on nie przysiągł sobie, powodowany miłosierdziem, że 'nikogo już nie zasmuci swoimi wątpliwościami?

– To cud, nieprawdaż? – nastawał doktor.

– Na pewno – odrzekł wreszcie Piotr. – Rozegrał się cały ludzki dramat, wszystkie siły nieznanego wywarły swój wpływ w tym ubogim, czarnym i wilgotnym pokoju.

W milczeniu pozostali tam jeszcze parę minut. Obeszli raz jeszcze pokój dokoła, podnieśli oczy na okopcony sufit, rzucili ostatnie. spojrzenie na ciasne, zielonawe podwórko. Doprawdy, bolesna była ta nędza zasnuta pajęczyną, brudne stare beczki, bezużyteczne narzędzia, różnego rodzaju szczątki, które gniły spiętrzone po kątach. Bez słowa wyszli wreszcie powoli, z gardłem ściśniętym od smutku.

Dopiero na ulicy doktor Chassaigne jak gdyby się obudził. Przebiegł go lekki dreszcz; przyspieszył kroku mówiąc: – To nie koniec, mój drogi, chodźmy dalej. Ujrzymy teraz drugą wielką niesprawiedliwość.

Miał na myśli księdza Peyramale i jego kościół. Przeszli plac du Porche, skręcili w ulicę Świętego Piotra; wymagało to zaledwie paru minut. I znowu wspomnieli zakonników z Groty, straszną wojnę bez pardonu, jaką ojciec Sempè wydał był dawnemu proboszczowi Lourdes, który, pokonany, umarł w strasliwym rozgoryczeniu; zadreczyli go na śmierć troskami, a (potem dobili w jego kościele, który musiał pozostawić nie dokończony, bez dachu, na pastwę wiatru i ulewy. Ten monumentalny kościół był tryumfalnym marzeniem ostatnich lat jego życia. Od kiedy wyzuto go z Groty, wypędzono z tego dzieła Matki Boskiej z Lourdes, którego wraz z Bernadetą był pierwszym wyrobnikiem, ten kościół stał się jego odwetem, protestem, jego własną częścią chwały, domem Bożym, gdzie miał tryumfować w świętych szatach, skąd on wyprowadzać miał nie kończące się procesje, aby zadość uczynić wyraźnemu życzeniu Najświętszej Panny. Tkwiący w nim człowiek władczy, autorytatywny, pasterz tłumów, budowniczy świątyń zażywał niecierplivej radości w popędzaniu prac; czynił to z nieostrożnością natury namiętnej, nie zaprzatając się myślą o długach, wydawał pieniądze garściami, nie licząc, byle na rusztowaniach zawsze roiło się od robotników. I widział swój rosnący kościół, widział go już gotowym w piękny letni poranek, nowy i świeży we wschodzącym słońcu.

Ach, ta nieustannie przywoływana wizja dodawała mu odwagi w walce, pośród głuchego zagrożenia, jakim czuł się otoczony. Jego kościół, panujący nad ogromnym placem, wznosił się wreszcie w gigantycznym majestacie. Chciał go mieć w stylu romańskim, chciał go mieć bardzo wielkim, bardzo prostym; nawa miała mieć dziewięćdziesiąt metrów długości, iglica, o stu czterdziestu metrach wysokości, miała zabłysnąć w pogodnym słońcu, wyswobodzona już w przeddzień z ostatnich ruszowań, jeszcze świeża swą młodością, wsparta na ogromnych kamiennych podmurówkach biegnących równymi rzędami. I już w myśli krążył wokół niej, już zachwycała go swoją nagością, dziewiczą czystością dziecka, ogromna, prosta, wolna od rzeźb i ornamentów, które by ją niepotrzebnie obciążały. Dachy nawy głównej, nawy poprzecznej i absydy królowały na tej samej wysokości, ponad głównym gzymsem zrobionym z surowej gzymsowiny. Również okna bocznych naw i nawy głównej za jedyną ozdobę miały gzymsowane archiwolty, stanowiące przedłużenie węgarów bocznych. Stawał przed ogromnymi witrażami nawy poprzecznej, przed jej błyszczącymi rozetami; obchodził kragłą absydę, do której przytykał budynek zakrystii z dwiema kondygnacjami małych okien, i wracał, i nie nużył się widokiem boskiego porządku, monumentalnych zarysów odcinających się na błękitnie od spiętrzonych dachów, widokiem ogromnej bryły, której trwałość urągała wiekom. Ale gdy zamknął oczy, widział najczęściej, pełen dumnego zachwytu, fasadę, dzwonnice, u dołu portyk o trzech napiętrzach: napiętrze prawe i lewe, których kamienne dachy tworzyły terasę, zaś z napiętrza środkowego wyrastała dzwonnica i potężnym zrywem strzelała w górę. Tam również kolumny, wpuszczone w węgary, dźwigały skromnie gzymsowane archiwolty. U szczytu, pomiędzy dwoma wysokimi oknami nawy głównej, stała pod baldachimem figura Matki Boskiej z Lourdes. Wyżej otwierały się jeszcze inne okna, otaczające świeżo malowane odgłosie dzwonnicy. Przypory wylaniały się wprost z ziemi, na czterech rogach, i zwężały się ku górze z krzepką lekkością, aż do iglicy, zuchwałej kamiennej iglicy, obwarowanej czterema dzwoniczkami i również zdobnej w pinakle, polotnej, zagubionej w przestworzu. Wydawało mu się, że to jego „kapłańska, żarliwa dusza rozrosła się i poleciała wraz z iglicą, aby poprzez wieki głosić wyznanie wiary, tam. hen, w pobliżu Pana.

Kiedy indziej jawiły mu się obrazy budzące jeszcze większy zachwyt. Roił, że widzi wewnątrz swego kościoła w dniu, kiedy odprawi tam pierwszą uroczystą mszę. Witraże lśniły jak drogie kamienie, dwanaście kaplic bocznych jarzyło się od płonących świec. On stał przy głównym ołtarzu, całym ze złota i marmuru, a czternaście kolumn nawy głównej z marmuru pirenejskiego, każda z jednej bryły, wspaniałe dary, przybyłe z czterech stron chrześcijańskiego świata, wznosiło się podtrzymując sklepienie wypełnione wesołym pieniem huczących organów. Cisnęły się tam tłumy wiernych, klęcząc na kamiennych płytach przed prezbiterium, zagrodzonym kratą lekką jak koronka, oprawną w cudownie rzeźbione boazerie. Kazalnica, królewski dar pewnej wielkiej damy, rzeźbiona w dębie, była wspaniałym dziełem sztuki. Chrzcielnicę wykuł

w twardym kamieniu wielce utalentowany artysta. Mistrzowskie obrazy zdobiły ściany, a w szafach zakrystii ciasno było od krzyży, cyboriów, kosztownych monstrancji, szat kapłańskich, błyszczących jak słońce. Jak pięknie było marzyć, że jest się wielkim kapłanem takiej świątyni, panować w niej, gdy się ją wprzód zbudowało, błogosławić tłumy przybyłe z całego świata, gdy donośne głosy z dzwonnicy miały obwieszczać Grocie i Bazylice, że tam, w starym Lourdes, mają rywalkę, zwycięską siostrzycę, że tam Bóg również odnosi tryumfy.

Doktor Chassaigne i jego towarzysz szli przez chwilę ulicą Świętego Piotra, a potem skręcili w uliczkę Langelle.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł doktor.

Piotr patrzył, ale kościoła nie widział. Były tylko nędzne rudery, całe ubogie przedmieście zatłoczone trędowatymi budowlami. Wreszcie dostrzegł w głębi ślepej uliczki kawał stare – go, na wpół zbutwiałego ogrodzenia, które otaczało, spory kwadratowy plac, zamknięty między ulicami Świętego Piotra, Bagnères, Langelle i Ogrodową.

– Trzeba pójść w lewo – mówił doktor, który zapuścił się w wąskie przejście wśród ruin. – To tutaj!

I nagle ruiny świątyni ukazały się wśród ukrywającej je nędzy i brzydoty.

Cały potężny szkielet nawy głównej, nawy poprzecznej, naw bocznych i absydy stał jeszcze. Wchodziło się tam jak do prawdziwego kościoła, można było przechadzać się do woli, rozpoznawać zwykłe części budowli. Ale gdy podniosło się oczy, widać było niebo; brakowało dachu, deszcz padał, wiatr świszczał.

Od blisko piętnastu lat przerwano pracę, Wszystko wyglądało tak jak w dniu, gdy odszedł stąd ostatni murarz. W pierwszej chwili zwracało uwagę przede wszystkim dziesięć filarów nawy głównej i cztery filary prezbiterium, wspaniałe filary z pirenejskiego marmuru, wycięte każdy z jednego bloku; osłonięto je deskami, aby ustrzec od zniszczenia. Podstawy i kapitele, jeszcze surowe, czekały na rzeźbiarzy. I te samotne kolumny okryte deskami tchnęły wielkim smutkiem. Potem melancholia ogarniała na widok ziejącej pustki murów, na widok trawy porastającej zniszczony, wyboisty grunt w nawach bocznych i w nawie głównej, gęstej cmentarnej trawy, w której kobiety z sąsiedztwa wydeptały z czasem ścieżynki. Przychodziły tutaj suszyć wypraną bieliznę. Całe pranie ubogiej rodziny, grube prześcieradła, podarte koszule, dziecinne pieluchy właśnie wysychały w ostatnich promieniach słońca, które wślizgiwało się przez wielkie puste okna.

Piotr i doktor Chassaigne powoli, w milczeniu obeszlili całe wnętrze. Dwanaście bocznych kaplic tworzyło jak gdyby komory pełne gruzu i szczątków. W absydzie wylano grunt cementem, zapewne aby woda nie przeciekała do krypty; niestety, widocznie sklepienia osiadły i powstało tam zagłębienie, które burza nocy poprzedniej zmieniła w małe jezioro. Zresztą te części nawy poprzecznej i absydy najmniej ucierpiały. Nie ochwiały się kamienie, wielkie rozety centralne,

ponad tryforium, zdawały się tylko czekać na oszklenie; a tarcice, za – pomniane u szczytu murów absydy, czyniły takie wrażenie, jak gdyby nazajutrz miano rozpocząć układanie dachu. Ale gdy doktor i Piotr zawrócili i wyszli, chcąc obejrzeć fasadę, świeże ruiny ukazały im się w całej rozpaczy. Od tej strony prace były znacznie mniej posunięte, gotów był tylko portyk o trzech napiętrzach; piętnaście lat zapomnienia wystarczyło, aby zimy strawiły rzeźby, kolumnienki, archiwolty – w swojej dziwnej, niszczycielskiej pracy, jak gdyby kamień, głęboko przeżarty, zniszczony, stopił się we łzach. Serce się ścisnęło na widok spustoszenia, jakie dotknęło budowlę, zanim jeszcze została ukończona. Nie istnieć jeszcze, a już rozpadać się w pył pod niebieskim sklepieniem, znieruchomieć, gdy wyrastało się na olbrzyma, pokryć się trawą ruin!

Wrócili do nawy głównej i tutaj także przywitał ich straszliwy smutek morderstwa popełnionego na budowlu. Duży pusty obszar wnętrza zagracony był resztkami rusztowań, które, jako na wpył zbutwiały, trzeba było zwalić, z obawy, aby kogo nie przygniotły; wśród wysokiej trawy poniewierały się poręcze, belki rusztowania, części sklepienia i zwoje starych sznurów, niemal zupełnie strawionych przez wilgoć. Był również wy. chudły szkielet kraty sterczący jak szubienica. Trzony od łopat, połamane taczki leżały jeszcze wśród zapomnianych materiałów budowlanych, stosów zielonkawej cegły, upstrzonej mchem, wśród którego kwitł powój. Spod płacht pokrzywy przeglądały miejscami szyny kolejki, którą założono tutaj, aby ułatwić transport, i której jeden wywrócony wagonik leżał w kącie. Ale najsmutniejszym obrazem śmierci był silnik parowy porzucony pod dachem osłaniającej go szopy. Od piętnastu lat stał tutaj wyiębły, martwy. Szopa wreszcie zwała się na niego, przez wielkie dziury deszcz zlewał go często. Kawał pasa transmisyjnego, który wprawiał w ruch koło, zwiślał, podobny do gigantycznej pajęczyny. Stalowe i mosiężne części gniły na swój sposób, jak gdyby toczony liszajem, pokryte roślinnością starości, której żółtawe plamy czyniły z silnika maszynę bardzo starą, omszałą, odartą z ciała przez tyle zim. Ta martwa, z wygasłym ogniskiem maszyna, z milczącym kotłem, była właśnie duszą pracy, która stąd uleciała w próżnym oczekiwaniu na wielkie miłosierne serce, które miało się prze – drzeć przez krzewy głogu i osty i obudzić uspijony kościół z ciężkiego snu zniszczenia.

Doktor Chassaigne odezwał się wreszcie.

– Ach – powiedział – pomyśleć, że pięćdziesiąt tysięcy franków wystarczyłoby, aby zapobiec tej klęsce! Mając pięćdziesiąt tysięcy franków, można by pokryć dach, ocalić wielkie dzieło i spokojnie czekać... Ale oni chcieli zabić dzieło, jak wprzód zabili człowieka. – Ręką wskazał w dali siedzibę ojców z Groty, nie chcąc wymawiać ich imienia. – I pomyśleć, że oni mają rocznie dziewięćset tysięcy franków dochodu! Ale wołają wysyłać podarki do Rzymu, aby podtrzymać potężne stosunki!

Mimo woli wytaczał oskarżenia przeciwko wrogom proboszcza Peyramale. Cała ta sprawa

budziła w nim święty gniew sprawiedliwego. Na widok żalonych ruin wspominał fakty: pełen entuzjazmu proboszcz zaczynając budowę kościoła popadł w długi, nie myślał o rachunkach, a tymczasem ojciec Sempè czyhał i korzystał z każdego jego błędu, urabiał mu złą opinię u biskupa, postarał się, aby wyschły źródła jałmużny i aby wstrzymano pracę. Później, po śmierci zwycięzonego, zaczęły się długie procesy, piętnaście lat procesów, aż wreszcie zimy pochłonęły to dzieło. Teraz było ono w tak żalonym stanie, długi tak wzrosły, że wszystko zdawało się na zawsze skończone. Śmierć powolna, śmierć kamienia dokonywała się. Pod walącą się szopą, parowy silnik rozpadł się na kawałki, sieczony ulewą, zżerany przez mchy.

– Wiem, że teraz oni święcą tryumf, bo zostali sami na placu. Tego właśnie pragnęli: być absolutnymi panami, zachować dla siebie całą potęgę, wszystek pieniądz... Mogę ci powiedzieć, że ich lęk przed konkurencją poszedł tak daleko, iż usunęli z Lourdes te zakony, które próbowały się tutaj osiedlić. Jezuici, dominikanie, benedyktyni, kapucyni, karmelici czynili starania; zawsze ojcowie z Groty umieli ich utracić. Tolerują tylko zakony żeńskie, życzą tu sobie jedynie uległego stada... I miasto należy do nich, kupczą tam, sprzedają Boga hurtem i, detalicznie!

Powoli wrócili na środek nawy głównej, pomiędzy różne szczątki. Doktor szerokim gestem wskazał otaczające ich spustoszenie.

– Co za smutek, jaka straszliwa nędza!... A kościół Różańca Świętego i Bazylika kosztowały ponad trzy miliony.

Piotr, podobnie jak w czarnej i zimnej izbie Bernadety, ujrzał strzelającą w niebo Bazylikę, promienną w swoim tryumfie. Nie tutaj urzeczywistniało się marzenie proboszcza Peyramale, że będzie odprawiał nabożeństwa, błogosławił klęczące tłumy, przy wtórze wesoło huczących organów. Tam pięła się ku górze Bazylika, brzmiała od rozkołysanych dzwonów, rozbrzmiewał w niej krzyk nadludzkiej radości wywołany cudem, jarzyła się płomieniami, pełna chorągwi, lamp, serc srebrnych i złotych, kleru odzianego w złoto, a monstrancja jaśniała niby złota gwiazda. Płonęła w zachodzącym słońcu, sięgała nieba iglicą w locie miliarda modlitw, od których drżały mury. Tutaj kościół zmarły, zanim się narodził, kościół wyklęty listem pasterskim, rozpadał się w proch, wichry w nim hulały. Każda burza zagarniała trochę kamienia; tylko wielkie muchy brzęczały w pokrzywach zarastających nawę; jedynymi parafianami były kobiety z sąsiedztwa, które przychodziły odwracać ubogą bieliznę rozłożoną na trawie. W ponurym milczeniu zdawał się łkać jakiś głuchy głos, może głos marmurowych kolumn, oplakujących swój bezużyteczny przepych ukryty pod powłoką z desek. Czasem przez pustą absydę przelatywały ptaki z cichym świergotaniem. Gromady ogromnych szczurów, które chroniły się pod zwalone części rusztowań, gryzły się, wyskakiwały z dziur w pełnym przerażenia galopie. Trudno było o rozpaczliwszy widok jak te zamierzone ruiny w zestawieniu ze zwycięską rywalką – błyszczącą od złota Bazyliką.

Doktor Chassaigne rzekł teraz krótko:

– Chodźmy!

Wyszli z kościoła, okrążyli lewą nawę boczną, dotarli do drzwi niezgrabnie skleconych z paru zbitych gwoździami desek; a gdy zeszli z drewnianych, na pół rozpadających się schodów, których stopnie chwiały się pod stopami, znaleźli się w krypcie. Była to niska sala o płaskim, porysowanym sklepieniu, stanowiąca dokładny odpowiednik prezbiterium. Krepie kolumny, pozostawione w stanie surowym, również czekały na rzeźby. Materiały budowlane wały się wszędzie, drzewo, prawie zupełnie już zgniłe, leżało na ubitej ziemi; cała obszerna sala, biało wytynkowana, tchnęła pustką i opuszczeniem budowli, których nikt nie doprowadza do końca. W głębi trzy duże okna, niegdyś oszklone, obecnie bez jednej szyby, zimnym światłem rozjaśniały rozpaczliwą nagość murów.

I tu, na środku, spoczywały zwłoki proboszcza Peyramale. Bliscy przyjaciele powzięli wzruszającą myśl, aby pochować go w krypcie jego nie dokończonego kościoła. Na szerokim stopniu stał grobowiec cały z marmuru. Złote napisy głosiły myśl fundatorów, krzyk prawdy i zadośćuczynienia dobywający się z tego pomnika. Na przodzie widniało: „Z pobożnych datków, nadesłanych ze wszystkich stron świata, wzniesiono ten grobowiec ku błogosławionej pamięci wielkiego sługi Matki Boskiej z Lourdes.” Po prawej stronie wypisano słowa z brewi Piusa IX: „Oddałeś się cały dziełu budowy świątyni Matki Bożej”, po lewej cytat z Ewangelii: „Błogosławieni, którzy prześladowanie cierpią dla sprawiedliwości.” Czyż nie była to prawdomówna skarga, uprawniona nadzieja pokonanego, który tak długo walczył, jedno tylko żywiąc pragnienie: aby dokładnie wypełnić przekazane mu przez Bernadetę rozkazy Najświętszej Panny. I ona była tutaj, Matka Boska z Lourdes, drobna figurka, umieszczona pod żalobnym napisem, przy wielkiej nagiej ścianie, ozdobionej tylko paroma wieńcami z pereł, zawieszonymi na gwoździach. Przed grobowcem stało kilka ławek, jak przed Grotą, dla wiernych, którzy zechcieliby tutaj usiąść.

Doktor Chassaigne gestem wielkiego współczucia pokazał Piotrowi w milczeniu ogromną plamę wilgoci zieleniejącą na suficie. Piotr przypomniał sobie małe jezioro, które zauważył był na górze, na potłuczonym cemencie prezbiterium, sporą ilość wody pozostałą po nocnej ulewie. Oczywiście woda wsiąkała, tworzyła pod powierzchnią *istne źródło* i gdy padały większe deszcze, przesiąkała do krypty. Obaj z przykrością stwierdzili, że woda spływa po sklepieniu w drobnych strużkach i rytmicznie spada regularnymi, dużymi kroplami na grobowiec.

Doktor nie zdołał powstrzymać jęku:

– I teraz pada, pada na niego deszcz! Piotr stał nieruchomo, ogarnięty jakąś świętą grozą. Pod tą kapiącą wodą, pod atakami wiatru, który na pewno hulał tutaj zimą, wciskając się przez wytłuczone szyby, zmarły proboszcz ukazywał mu się żalorny i tragiczny. Nabierał jakiejś dzikiej wielkości, samotny w bogatym, marmurowym grobowcu, wśród gruzu, pod walącymi się ruinami swojego kościoła. Był jego jedynym strażnikiem, ten zmarły, uśpiony i marzący, strzegł

pustych przestrzeni, otwartych wszystkim ptakom nocy. Był w tym niemy, uparty, wieczysty protest i była nadzieja. Leżąc w swej trumnie, mając całą wieczność na cierpliwe czekanie, niestrudzenie wyglądał robotników, którzy może powrócą w jakiś piękny kwietniowy poranek. Zastaną go, choćby zwlekali dziesięć lat, zastaną go nawet i po stu latach. Czekał, aby zbutwiałe rusztowania, jak zmarli, cudem zostały przywrócone do życia tam w górze, wśród trawy porastającej nawę główną, i znów stanęły wzdłuż murów. Czekał, aby omszony silnik parowy znów zapłonął, odzyskał oddech i zaczął podciągać w górę belkowanie dachu. Jego ukochane dzieło – olbrzymia budowa, waliło mu się na głowę, a on ze złożonymi rękoma, z zamkniętymi oczyma, strzegł ruin i czekał.

Doktor półgłosem dokończył okrutnej opowieści o tym, jak doprowadziwszy do klęski proboszcza Peyramale i do ruiny jego dzieło, prześladowano z kolei jego grób. Dawniej było tutaj popiersie proboszcza, pobożne ręce utrzymywały przed nim nikły płomyk lampki. Ale zdarzyło się, że jakaś kobieta upadła twarzą do ziemi mówiąc, że widzi duszę zmarłego, i ojcowie z Groty zaniepokoiли się. Czy zaczną się dziać cuda? Już chorzy spędzali całe dnie na ławkach przy grobowcu. Inni klękali, całowali marmur, błagali o uzdrowienie. Kryła się w tym groźba; co będzie, jeżeli ktoś z tych ludzi wyzdrowieje, jeżeli Grota znajdzie konkurenta w tym męczenniku, leżącym ‘tutaj samotnie wśród starych narzędzi porzuconych przez murarzy! Biskup z Tarbes, uprzedzony, pod naciskiem ogłosił list pasterski, w którym obłożył kościół interdyktem, zabraniał odprawiania w nim obrządków, wszelkich pielgrzymek i procesji do grobu dawnego proboszcza Lourdes. Jak w wypadku Bernadety, pamięć o nim miała zagać, zewsząd znikły jego podobizny. Ojcowie z Groty, którzy prześladowali go za życia, teraz równie zaciekle tępił pamięć wielkiego zmarłego. Nie dawali mu spokoju nawet w grobie. Dziś jeszcze nie dopuszczali do podjęcia prac przy kościele, stwarzali coraz nowe przeszkody, odmawiali podziału żniwa swoich ogromnych bogactw. I czekali, aby jesienne deszcze dokończyły dzieła zniszczenia, aby sklepienie, mury, cała olbrzymia budowa runęła na marmurowy grobowiec, na ciało pokonanego, i aby go pogrzebała, zmiażdżyła.

– Ach – szepnęła doktor – znałem go jako człowieka dzielnego, rozkochanego w szlachetnych przedsięwzięciach! A teraz, popatrz, deszcz pada, deszcz pada na niego!

Przejęty bólem, ukląkł i szukał uspokojenia w długiej modlitwie.

Piotr, który nie mógł się modlić, stał obok. Serce jego pełne było tkliwego współczucia. Słyszał, jak ciężkie krople spadające ze sklepienia rozbijały się na grobie w powolnym rytmie, zdającym się wybijać sekundy wieczności w tej głębokiej ciszy. I myślał o wiecznej nędzy świata tego, o wyborze cierpienia, który pada zawsze na najlepszych. Dwoje wielkich pracowników Matki Bożej z Lourdes, Bernadeta i proboszcz Peyramale, stawali przed nim jako dwie żalodne ofiary, torturowane za życia, wygnane po śmierci. Myśli te zabiły w nim ostatecznie wiarę; gdyż Bernadeta, którą teraz odnalazł na zakończenie swoich studiów, była tylko siostrą-człowiekiem,

nękaną wszelakimi cierpieniami. Ale zachował dla niej kult braterskiej miłości – i dwie powolne łzy spłynęły mu po twarzy.

DZIEŃ PIĄTY

I

Tej nocy w hotelu „Objawień” Piotr znowu nie zmrzył oka, Wstąpił był do szpitala i dowiedział się, że Maria od powrotu z procesji spała głębokim dzieciennym snem, rozkosznym i wzmacniającym, więc położył się także, chociaż niepokoił się o pana de Guersaint, który jeszcze nie wrócił. Oczekiwał go najpóźniej w porze obiadu; widocznie jakiś wypadek zatrzymał go w Ga-varnie; myślał, jak zdenerwuje się Maria, gdy nazajutrz ojciec nie przyjdzie ucałować jej na dzień dobry. Gdy chodziło o tego człowieka, tak miło roztargnionego, o ptasim mózgu, wszystkie przypuszczenia, wszystkie obawy były usprawiedliwione.

Zapewne zrazu sama już ta myśl wystarczyła, aby Piotr mimo ogromnego zmęczenia wybił się ze snu. Ale potem nocny hałas w hotelu przybrał nieznosne wprost rozmiary. Następnego dnia, wtorek, był dniem odjazdu, ostatnim, jaki pielgrzymka narodowa miała spędzić w Lourdes, i oczywiście pielgrzymi chciwie korzystali z każdej godziny, wracali do Groty po nocy, usiłowali zadać Niebu gwałt własnym niepokojem, nie czując potrzeby wypoczynku. Drzwi trzaskały, podłoga skrzypiała, cały dom drżał jak pod wpływem nierytmicznego biegu tłumu. Nigdy jeszcze ściany nie brzmiały tak uporczywym kaszlem, tak donośnymi a niewyraźnymi głosami. Piotr, wybity ze snu, gwałtownie rzucał się na łóżku, podnosił się myśląc, że to wraca pan de Guersaint. Przez parę minut nasłuchiwał gorączkowo, ale usłyszał tylko dziwaczne hałasy z korytarza, w których trudno mu się było rozeznąć. Czy to na lewo ksiądz, matka z trzema córkami lub leciwe małżeństwo tak rzucali jakimiś sprzętami? Albo może na prawo, inna rodzina, bardzo liczna, czy też samotny pan lub młoda samotna dama mieli jakieś niepojęte przygody? W pewnej chwili wyskoczył z łóżka, chciał wejść do pustego pokoju swego nieobecnego towarzysza, pewien, że dzieje się tam coś strasznego. Ale próżno nasłuchiwał, zza cienkiej ściany dochodził tylko czuły szept dwóch głosów, cichych jak pieszczota.” Wówczas przypomniał sobie o pani Volmar i drżący powrócił do łóżka.

Wreszcie o jasnym dniu miał już usnąć, gdy usłyszał mocne pukanie do drzwi, które znowu poderwało go z posłania. Tym razem nie mylił się, ktoś krzyczał głosem zdławionym od trwogi:

– Proszę księdza, proszę księdza, na Boga, proszę się obudzić!

To na pewno przyniesiono pana de Guersaint, może już martwego! Piotr, przerażony, w samej koszuli, pobiegł otworzyć drzwi i zobaczył przed sobą sąsiada, pana Vigneron.

– Ach, na Boga, księżo, proszę się szybko ubrać! Potrzeba tu kapłańskiej pomocy.

I opowiedział, że właśnie miał wstać i sprawdzić godzinę na zegarku leżącym na kominku, gdy usłyszał ciężkie westchnienia w przyległym pokoju, gdzie spała pani Chaise. Zostawiła drzwi między pokojami otwarte – z uprzejmości, aby czuć się bliżej nich. Oczywiście pobiegł tam, pchnął okiennice i wpuścił do pokoju światło i powietrze.

– I cóż za widok! Nasza biedna ciocia na łóżku, już sina, z otwartymi ustami, które nie mogły złapać oddechu, ręce rozrzucone, zaciśnięte na prześcieradle... Rozumie ksiądz, to jej chore serce... Proszę przyjąć prędko, błagam księdza, i pozostać przy niej!

Piotr, oszołomiony, nie mógł znaleźć spodni ani sutanny.

– Oczywiście, oczywiście, idę z panem. Ale nie mogę przygotować jej na śmierć, bo nie mam tu nic pod ręką.

Pan Vigneron pomógł mu się ubierać, przykucnął szukając trzewików.

– To nic nie szkodzi, sam widok księdza sprawi, że łatwiej jej będzie odejść, skoro już Bóg chce nas tak ciężko doświadczyć... O, proszę włożyć trzewiki i pójść za mną, ale zaraz, zaraz!

Wpadł jak burza i zniknął w sąsiednim pokoju. Wszystkie drzwi były szeroko otwarte. Młody ksiądz poszedł za nim i w pierwszym pokoju, gdzie panował niewiarygodny nieład, zobaczył tylko małego Gustawa, który półnagi siedział na kanapce służącej mu za łóżko, bardzo blady, zapomniany i drżący z zimna, podczas gdy odgrywał się ten okrutny dramat nagłej śmierci. Otwarte walizki tarasowały przejście, resztki wędliny leżały na stole, łóżka państwa Vigneron wyglądały jak po katastrofie, odrzucone kołdry wały się na podłodze. W drugim pokoju zobaczył przede wszystkim panią Vigneron w starym, żółtym, pośpiesznie narzuconym szlafroku; stała tam z miną przerażoną.

– No i co, moja kochana, no i jak?— pytał jękając się pan Vigneron.

Jednym ruchem, bez słowa, pani Vigneron ukazała panią Chaise: nie poruszała się już, głowa opadła na poduszki, ręce były wykręcone i sztywne, twarz sina, usta otwarte jak gdyby w ostatnim ogromnym oddechu, który z nich uleciał.

Piotr – nachylił się. Potem rzekł półgłosem:

– Nie żyje.

Nie żyje! Słowa Piotra rozbrzmiały w tym pokoju, lepiej utrzymanym niż pierwszy i pogrążonym w ciężkim milczeniu. Dwoje małżonków spojrzęło na siebie ze zdumieniem i lękiem. A więc stało się? Ciotka umiera przed Gustawem, mały dziedziczy pięćset tysięcy franków. Ile razy marzyli o tym, co teraz nagle przekształcało się w rzeczywistość, która ich ogłuszała. Ileż razy rozpaczali, w strachu, że biedne dziecko wyprzedzi ciotkę! Umarła, mój Boże, czyż oni tu coś zawinili? Czy naprawdę modlili się o jej śmierć do Najświętszej Panny? Matka Boża z Lourdes okazała się dla nich tak dobra, że teraz baliby się wyrazić jakiegokolwiek życzenie, w strachu, że zostałyby zaraz wysłuchane. Już w śmierci szefa biura, który nagle

przeniósł się na tamten świat, aby im zrobić miejsce, ujrzeni potężny palec Matki Bożej. Czyż znowu miała obdarzyć ich swoją łaską wysłuchując nawet podświadomych marzeń i pragnień? A przecież nigdy nie chcieli niczyjej śmierci, byli zacnymi ludźmi, niezdolnymi do złych uczynków, kochali rodzinę, praktykowali, chodzili do spowiedzi i do komunii jak wszyscy, bez ostentacji. Jeżeli nawet myśleli o tych pięciuset tysiącach franków dla swego syna, który mógł umrzeć pierwszy, o przykrości, jaką by czuli, gdyby inny siostrzeniec, mniej godny, miał odziedziczyć taką fortuną, wszystko to było tak dyskretnie ukryte w głębi ich dusz, aż po prostu nieświadome! Oczywiście, że myśleli o tym przed Grotą, ale czyż Najświętsza Panna w swej najwyższej mądrości nie wie lepiej od nich, co ma czynić dla dobra zarówno żywych, jak umarłych?

Toteż pani Vigneron z całą szczerością rozpląnęła się we łzach, oplakując ukochaną siostrę.

– Ach, widziałam, jak gasła, umarła na moich oczach. Co za nieszczęście, że ksiądz nie przyszedł wcześniej, aby przyjąć jej ulatującą duszę... Umarła bez kapłana, obecność księdza byłaby dla niej taką pociechą!

Również rozczulony pan Vigneron, z oczyma nabrzmiałymi od łez, pocieszał żonę.

– Twoja siostra była osobą świętą, dziś rano jeszcze przyjęła komunię, więc możesz być spokojna, dusza jej podążyła prosto do nieba. Oczywiście, gdyby ksiądz był zdążył jeszcze, uradowałaby się na jego widok... Ale cóż robić! Śmierć okazała się szybsza. Pobiegłem natychmiast, nie możemy sobie robić żadnych wyrzutów... – Zwracając się do Piotra dodał: – Zapewne ta jej właśnie zbyt gorąca pobożność przyspieszyła katastrofę. Wczoraj w Grocie miała już duszności, które zastanowiły mnie... Mimo zmęczenia upierała się, że weźmie udział w procesji... Myślałem, że nie pójdzie daleko. Ale była tak wrażliwa, że człowiek bał się coś powiedzieć, żeby jej czymś nie urazić.

Piotr cicho ukląkł, odmówił zwykłe modlitwy z tym ludzkim, wzruszeniem, które zastępowało mu wiarę, wzruszeniem w obliczu wiecznego życia i wiecznej śmierci, tak bardzo żalonych. Pozostał jeszcze chwilę na klęczkach, a za sobą słyszał szepty małżonków.

Mały Gustaw, zapomniany na posłaniu, wśród nieładu przyległego pokoju, zniecierpliwiał się widocznie. Zaczął płakać i krzyczeć:

– Mamo! Mamo! Mamo!

Wreszcie pani Vigneron poszła go uspokoić. Postanowiła wziąć go na ręce i zanieść, aby po raz ostatni ucałował biedną ciocię. Z początku wzbraniał się, protestował, płakał jeszcze głośniejsze tak że musiał wdać się w to pan Vigneron i przemówić mu do ambicji. Jak to, on, który się niczego nie boi, który w chorobie, wykazywał prawdziwie męską odwagę! A biedna ciocia była zawsze taka dobra i na pewno ostatnią myśl jemu poświęciła!

– Daj mi go – rzekł do żony – na pewno okaże się rozsądny.

Gustaw przywarł wreszcie do ojcowskiej szyi. Drżał, w samej koszuli, ukazując nagość

swego małego, nędznego ciała trawionego skrofulami. Rana w biodrze nie tylko nie była uleczona, ale nawet wydawało się, że cudowna woda z sadzawki rozjątrzyła ją, a chuda noga opadała bezwładnie jak suchy patyk.

– Pocałuj ją – powtórzył pan Vignerón.

Chłopiec, pochylił się, pocałował ciotkę w czoło. Nie śmierć budziła w nim strach i bunt. Od kiedy znalazł się w tym pokoju, patrzył na umarłą ze spokojnym zainteresowaniem. Nie lubił jej, zbyt długo musiał przez nią cierpieć. Były to myśli i uczucia dorosłego człowieka, a ciężar ich przygniatał go, w miarę jak rozwijały się i zaostrzały wraz z jego chorobą. Rozumiał, że jest jeszcze za mały, że dzieci nie mogą pojąć tego, co dzieje się w duszach ludzkich.

Ojciec usiadł na uboczu, trzymając go na kolanach, matka zamknęła okno i zapaliła świece w dwóch lichtarzach na kominku.

– Ach, moje małe biedactwo – mówił pan Vignerón, któremu ciążyło milczenie – to okrutna strata dla nas wszystkich. Cała nasza podróż na nic, bo to jest ostatni dzień, wyjeżdżamy po południu... I właśnie gdy Najświętsza Panna okazała się tak łaskawa... – Pod zdziwionym spojrzeniem syna, spojrzeniem, w którym był bezmierny smutek i wyrzut, szybko się poprawił: – Tak, oczywiście, wiem, że cię jeszcze całkiem nie uzdrowiła, ale nigdy nie wolno wątpić w jej dobroć... Zbyt nas kocha, darzy nas zbyt wieloma łaskami, aby w końcu cię nie uzdrowiła, bo teraz już tylko tę wielką łaskę pozostaje jej nam wyświadczyć.

Pani Vignerón, słysząc to, podeszła do nich.

– Jakże bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy wracali do Paryża zdrowi wszyscy troje! Na świecie nic nie jest nigdy doskonałe! – Ale czekaj no – zauważył nagle pan Vignerón – ja zapewne nie będę mógł wyjechać z wami dziś po południu, bo będą formalności do załatwienia. Żeby tylko mój bilet powrotny ważny był do jutra.

Oboje uspökajali się już po strasznym wstrząsie, mimo przywiązania, jakie żywili do pani Chaise; zapominali już o niej, chcieli tylko jak najprędzej opuścić Lourdes, jak gdyby główny cel podróży został już osiągnięty. Opanowywała ich wielka, tajona radość.

– Potem, w Paryżu, będę miał tyle bieżączki – mówił dalej pan Vignerón. – Ja, który pragnę już tylko wypoczynku... To nic, pozostanę jeszcze te trzy lata w Ministerstwie, aż do emerytury, zwłaszcza teraz, kiedy mam zapewnioną emeryturę naczelnika biura... Za to potem, ach, potem, mam nadzieję, że użyję trochę życia. Ponieważ otrzymamy te pieniądze, kupię w moich stronach dobra des Billottes, wspaniałą posiadłość, o której zawsze marzyłem. I zapewniam cię, że będę się czuł doskonale wśród moich koni, moich psów i moich kwiatów!

Mały Gustaw siedział wciąż na ojcowskich kolanach, drżąc całym żałosnym ciałem poronionego owada, w podartej koszuli ukazującej chudość umierającego dziecka. Gdy chłopiec spostrzegł, że ojciec, pogrążony w marzeniu o czekającym go wreszcie dostatnim życiu, zapomniał w ogóle o jego obecności, na jego twarzy ukazał się jeden z tych zagadkowych

uśmiechów, których melancholię zaostrzała złośliwość.

– No tak, tatusiu, a co ze mną?

Pan Vigneron, jak gdyby gwałtownie obudzony, drgnął, zdawał się nie rozumieć go.

– Ty, mój mały!... No, przecież będziesz z nami!

Ale Gustaw wciąż patrzył uparcie na ojca, przenikliwie, nie przestając się uśmiechać subtelny, cierpiącymi wargami. – Ach, tak myślisz?

– Oczywiście, że tak myślę!... Będziesz z nami... Jak to będzie przyjemnie, tak razem...

Pan Vigneron jękał się, zmieszany, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów; zimny dreszcz go przebiegł, gdy syn wzruszył chudymi ramionami, z miną wzgardliwego filozofa.

– Och, nie! Mnie już wtedy nie będzie. Ojciec, przerażony, zdał sobie nagle sprawę, że to głębokie spojrzenie dziecka jest spojrzeniem człowieka bardzo starego, mądrego, znającego wszystkie sprawy i wszystkie ohydy życia, bo je sam przecierpiał. Zwłaszcza przeraziła go nagła pewność, że to dziecko zawsze przenikało go na wylot, że rozumiało nawet to, do czego sam przed sobą się nie przyznawał. Przypomniawszy sobie, że od kolebki mały chory wlepił wzrok w jego oczy, wzrok, który choroba czyniła tak bystrym, że na pewno posiadał niezwykłą siłę przenikania przyszłości, docierał do nieświadomych myśli drzemających w ludzkich czaszkach. I mocą szczególnego oddziaływania, rzeczy, których nigdy nawet sam sobie nie mówił, odnajdywał teraz w oczach swego syna. Widział w nich dzieje swojej długotrwałej pożądlivosti, swoją złość, że ma tak wątłego syna, strach na myśl, że majątek pani Chaise zależał od tak kruchego istnienia, mocne pragnienie, aby ciotka prędzej umarła, póki mały jest jeszcze na świecie i może zapewnić mu spadek. Była to niemal kwestia dni, pojedynków o to, kto odejdzie pierwszy. Potem, u kresu, zawsze była śmierć, mały też musiał umrzeć, on sam zagarniał pieniądze, dożywał długiej, radosnej starości. Te straszliwe rzeczy tak jasno wyzierały z inteligentnych, smutnych i uśmiechających się oczu nieszczęsnego skazańca, że ojcu i synowi wydało się przez chwilę, iż głośno do siebie krzyczą.

Ale pan Vigneron otrząsnął się, odwrócił głowę, gwałtownie zaprotestował:

– Co ty mówisz? Ciebie nie będzie? Co ci się roi? Ależ to zupełny absurd!

Pani Vigneron zaczęła znowu płakać.

– Niedobre dziecko, jak możesz martwić nas w podobnym smutku, w chwili gdy oplakujemy taką stratę!

Gustaw musiał ich oboje ucałować, przyrzekając, że będzie żył, że zrobi to dla nich. Jednakże nie przestał się uśmiechać, bo rozumiał, że kłamstwo jest konieczne, jeżeli ludzie nie chcą się zbyt nawzajem zasmucać, a poza tym pogodził się już z myślą, że po jego śmierci rodzice będą szczęśliwi, ponieważ nawet sama Najświętsza Panna nie mogła obdarzyć go na tym świecie małą cząstką szczęścia, która przecież należy się wszelkiemu stworzeniu. Matka wstała, aby położyć go do łóżka, Piotr wreszcie także się podniósł; pan Vigneron właśnie doprowadził

już pokój do przyzwoitego wyglądu.

– Ksiądz wybaczy, nieprawdaż? – rzekł odprowadzając młodego kapłana do drzwi. – Trudno mi zebrać myśli... To była doprawdy ciężka chwila. Ale muszę jakoś dać sobie radę.

W korytarzu Piotr zatrzymał się nasłuchując hałasów z klatki schodowej. Znowu pomyślał o panu de Guersaint, zdawało mu się, że słyszy jego głos. Gdy tak stał nieruchomo, zaszedł wypadek, który go niewymownie zmieszał. Z ostrożną powolnością otworzyły się drzwi pokoju zajętego przez samotnego pana; czarno ubrana dama wyszła z nich tak lekko, że w na wpół uchylonych drzwiach zaledwie był czas rozróżnić pana stojącego z palcem na ustach. Gdy dama odwróciła się, znalazła się nagle twarzą w twarz z Piotrem. Było to tak bezpośrednie i nagłe, że nie mogli się odwrócić i udać, że się nie znają.

Była to pani Volmar. Po trzech dniach i trzech nocach, które spędziła w tym pokoju miłości, w absolutnym zamknięciu, wymykała się wczesnym rankiem, z rozpaczą w duszy. Nie było jeszcze szóstej, myślała, że nikt jej nie zobaczy, że przemknie się przez korytarze i puste schody lekko niby cień; chciała jeszcze pokazać się w szpitalu, przebyć tam ostatni poranek, aby usprawiedliwić swoją obecność w Lourdes. Gdy zobaczyła Piotra, chwyciło ją drżenie, zdołała tylko wyjąkać:

– Och, księżę, księżę...

Potem, gdy zauważyła, że ksiądz zostawił drzwi od swego pokoju otwarte szeroko, uległa trawiącej ją gorączce, potrzebie mówienia o swojej miłości, aby wytłumaczyć się i usprawiedliwić. Z twarzą w ogniu, pierwsza weszła do pokoju, a Piotr musiał pójść za nią, bardzo wzburzony tą przygodą. Ponieważ znowu zostawił za sobą drzwi otwarte, ona skinieniem poprosiła go, aby je zamknął, bo chciała z nim pomówić.

– Ach, księżę, błagam, proszę mnie nie sądzić zbyt surowo!

Podniósł rękę na znak, że nie pozwala sobie wydawać o niej wyroków.

– Tak, tak, wiem, że ksiądz zna moje nieszczęście... W Paryżu widział mnie ksiądz raz za kościołem Trinitè, z pewnym człowiekiem. A tutaj znowu poznał mnie ksiądz na balkonie. Prawda? Ksiądz domyślał się, że przebywam tutaj blisko, schowana z tym kimś, w tamtym pokoju... Ale gdyby ksiądz wiedział, gdyby wiedział!

Wargi jej drżały, łzy napływały do oczu. Patrzył na nią zdziwiony niezwykłą pięknnością, która przeobrażała jej twarz. Ta zawsze czarno, skromnie ubrana kobieta, bez jednego klejnotu, ukazywała mu się w blasku namiętności, poza kręgiem cienia, w którym zazwyczaj kryła się i gasła. Na pierwszy rzut oka nieładna, zbyt ciemna brunetka, za chuda, o rysach wydłużonych, dużych ustach, długim nosie, nabierała, w miarę jak na nią patrzył, niepokojącego uroku, nieodpartej, zdobywczej siły. Zwłaszcza oczy, ogromne, wspaniałe oczy, których żar ukrywała zwykle pod woalem obojętności, płonęły jak świece, w chwilach gdy dawała się ponieść uczuciu. Zrozumiał, że ją uwielbiano, że można jej było śmiertelnie pożądać.

– Ach, gdyby ksiądz. wiedział, gdybym opowiedziała moje cierpienia!... Ksiądz pewnie domyślał się wiele, znając moją teściową i mojego męża. Ksiądz, mimo że bywa u nas bardzo rzadko, podejrzewał, że dzieją się tam rzeczy ohydne, mimo że udaję zawsze zadowoloną w moim ustronnym cichym kącie... Ale istnieć tak przez dziesięć lat, a nie żyć, nigdy nie kochać, nigdy nie być kochaną, nie, nie, dłużej tego znieść nie mogłam!

I opowiedziała swoją bolesną historię małżeństwa z kupcem diamentów, małżeństwa katastrofalnego, mimo że na pozór była to doskonała partia; mówiła o teściowej, mającej srogą duszę kata i dozorczy więzienia, o mężu potwornie brzydkim i wyzutym z wszelkiej moralności. Więzili ją, nie pozwalali nawet samej podejść do okna. Bili ją, okrutnie tępil jej zamięłowania, chęci, kobiece słabostki. Wiedziała, że poza domem jej mąż utrzymywał dziewczki; ale gdy ona uśmiechnęła się do kuzyna, przypięła kwiatek do sukni w jakimś dniu rzadkiej wesołości, on wydzierał jej kwiat, szalał z zazdrości, miażdżył jej ręce, rzucał straszne pogroźki. Całe lata przeżyła w takim piekle, nie tracąc wszakże nadziei, mając w sobie tyle żywotności i tak płomienną potrzebę kochania, że czekała na szczęście, przy najlżejszym tchnieniu skłonna sądzić, że to już ono nadchodzi.

– Księżu, przysięgam, że nie mogłam nie zrobić tego, co zrobiłam. Byłam zbyt nieszczęśliwa, cała moja istota płonęła chęcią kochania... Gdy mój przyjaciel po raz pierwszy powiedział mi, że mnie kocha, skłoniłam głowę na jego ramię; wszystko się skończyło, zostałam na zawsze jego własnością. Trzeba zrozumieć, jaka to rozkosz być kochaną, znajdować u ukochanego tylko odruchy pełne czułości, słodkie słowa, ciągłą chęć, aby wydać się ujmującym i miłym; i wiedzieć, że on myśli o mnie, że istnieje gdzieś serce, w którym ja żyję; i być tylko we dwoje, być już tylko jednym, zapomnieć się w uścisku, w którym wszystko się stapia, ciała i dusze! Ach, jeżeli to jest zbrodnia, nie mogę jej sobie wyrzucać! Nie mogę nawet twierdzić, że mnie do niej popchnięto, wyznaję, że popełniłam ją tak naturalnie, jak oddycham, gdyż była mi konieczna do życia.

Podniosła rękę do warg, jak gdyby chciała przesłać światu pocałunek. Piotr wzburzony patrzył na tę miłośnicę, która była samą namiętnością, wieczystym pożądaniem. Potem zrodziła się w nim ogromna litość.

– Biedna! – szepnął.

– Nie spowiadam się księdzu – ciągnęła dalej – lecz mówię do człowieka, i byłabym szczęśliwa, gdyby mnie zrozumiał... Nie, nie jestem wierząca, religia mi nie wystarczała. Ludzie sądzą, że kobiety zadowolają się nią, że znajdują w niej mocną

. ostoję przeciw grzechowi. Mnie zawsze było zimno w kościołach, umieram w ich pustce. Wiem, że to źle udawać pobożność, mieszać religię do spraw serca. Ale trudno, zmuszono mnie do tego. Ksiądz zobaczył mnie w Paryżu, za kościołem Trinitè dlatego, że kościół ten jest jedynym miejscem, gdzie wolno mi chodzić samej; a do Lourdes przyjechałam, bo w całym roku

mam tylko te trzy dni zupełnej wolności, doskonałego szczęścia. Znowu przebiegł ją dreszcz, gorące łzy spływały po twarzy.

– Ach, te trzy dni, te trzy dni! Trudno pojąć, z jakim żarem ich oczekuję, jak płomiennie je przeżywam, ile pasji wkładam w ich rozpamiętywanie!

Wszystko, o czym mówiła, stawało jak żywe przed oczyma Piotra, który od tak dawna żył w czystości. Wyobrażał sobie te trzy dni i trzy noce chciwie oczekiwane, żarłocznie przeżyte w hotelowym pokoju, przy zamkniętych drzwiach i oknach, tak że nawet pokojówki nie wiedziały, że tam uwięziona jest kobieta. Jeden nieprzerwany uścisk, nie kończący się pocałunek, dar całej istoty, zapomnienie o świecie, unicestwienie w niewygasającej miłości! Nie istniało już miejsce, nie istniał czas, był tylko pośpiech, aby należeć do siebie, i jeszcze należeć! I cóż za ból w chwili rozłąki! To ta okrutna konieczność przejmowała ją drzeniem, była zrozpaczona, że opuściła raj, i ona, taka milcząca, zapamiętywała się tak, że krzyczała o swoim nieszczęściu. Po raz ostatni paść sobie w ramiona, złączyć się tak, aby pozostać jedno w drugim, i odrywać się, jak gdybyś tracił połowę własnego ciała, i mówić sobie, że minie wiele dni i wiele nocy, kiedy nie będzie się można choćby zobaczyć!

Piotr, z sercem ściśniętym na myśl o takim udręczeniu ciała, powtórzył:

– Biedna!

– Ach, księżo – mówiła dalej – proszę pomyśleć o piekle, do którego wracam. Na całe tygodnie, miesiące niebo moje zamyka się; bez skargi znosić będę męczeństwo... Raz jeszcze skończyło się szczęście, znikło na cały rok. O Boże, krótkie trzy dni, krótkie trzy noce na cały rok – na tę myśl można stracić zmysły, zarówno wtedy, gdy szaleńczo je przeżywam, jak gdy cierpliwie czekam, aby powróciły!... Jestem tak nieszczęśliwa; ale czy ksiądz mimo wszystko nie sądzi, że jestem kobietą uczciwą?

Głęboko wzruszyło go to ogromne uniesienie, ten wybuch szczerzej namiętności i cierpienia. Czuł w tym tchnienie powszechnego pożądania, władczy płomień, który oczyszcza wszystko. Przemogła w nim litość, przebaczył jej.

– Współczuję pani i głęboko ją szanuję.

Milczała teraz patrząc na niego ogromnymi oczyma, przyćmionymi przez łzy. Potem nagłym ruchem pochwyciła obie jego ręce i ścisnęła w swoich rozpalonych dłoniach. I wyszła, znikła w korytarzu, lekko jak cień.

Ale Piotr, kiedy został sam, tym boleśniej czuł jej obecność. Szeroko otworzył okno, aby wygnać woń miłości, jaką ona po sobie zostawiła. Już w niedzielę, gdy zauważył, że w sąsiednim pokoju ukrywa się kobieta, uczuł wstydliwą grozę i osądził, że była ona odwetem, jaki brała cielesność na mistycznym mieście Niepokalanej. Teraz trwoga wracała, pojmował wszechpotęgę, niezłomną wolę życia, które chce trwać. Miłość była silniejsza od wiary, może poza posiadaniem nie istniało nic boskiego. Kochać się, należeć do siebie mimo wszystko, żyć, kontynuować życie

– czyż nie taki jest jedyny cel natury, niezależnie od rygorów społecznych i religijnych? Przez chwilę uświadomił sobie tą otchłan: czystość była jego ostatnią podporą, całą godnością zmarnowanej egzystencji niewierzącego kapłana. Pojął, że gdyby poddał się ciału, jak wprzód poddawał się inteligencji, byłby stracony. Powróciła mu cała jego duma czystości, cała siła, którą ugruntował na uczciwości, zawodowej; przysiągł sobie na nowo, że nigdy *nie* będzie żył jak mężczyzna, gdyż dobrowolnie wykreślił się spośród mężczyzn.

Wybiła siódma. Piotr nie wrócił do łóżka, umył się pod bieżącym strumieniem, rad, że zimna woda do reszty ochłodzi jego gorączkę. Gdy był już prawie ubrany, usłyszał jakieś kroki na korytarzu i znowu z niepokojem pomyślał o panu de Guersaint. Ktoś stanął przed jego drzwiami, zapukał; Piotr z ulgą poszedł otworzyć.

Bardzo zdziwiony zawołał:

– To ty? Już wstałaś, biegasz po mieście i składasz wizyty? Na progu stała uśmiechnięta Maria. Za nią towarzysząca jej

siostra Hiacynta również uśmiechała się pięknymi, niewinnymi oczyma.

– Mój drogi – rzekła dziewczyna – nie mogłam już dłużej wyleżeć! Gdy zobaczyłam słońce, wyskoczyłam z łóżka, zapragnęłam chodzić, biegać, skakać jak dziecko... Tak się napierałam, tak prosiłam, aż siostra łaskawie zgodziła się mi towarzyszyć. Gdyby mi zamknięto drzwi, chyba byłabym uciekła przez okno.

Piotr wprowadził je do pokoju; niewypowiedziane wzruszenie ścisnęło go za gardło, gdy usłyszał, jak ona wesoło żartuje, gdy zobaczył, jak swobodnie się rusza, pełna życia i wdzięku. Ona, mój Boże, ona, którą całe lata widział z martwymi nogami, z poszarzałą twarzą! Od chwili gdy się rozstali wczoraj w Bazylice, rozkwitła młodością i urodą. Jedna noc wystarczyła, aby odnalazł, dojrzałą teraz, tę cudowną, zachwycającą dziewczynę, którą niegdyś tak szaleńczo całował za kwitającymi żywopłotami, pod prześwieconymi słońcem drzewami.

– Jakaś ty duża, jaka piękna, Mario! – nie mógł powstrzymać tych słów. Siostra Hiacynta włączyła się do rozmowy.

– Trzeba przyznać, że Najświętsza Panna umie wziąć się do rzeczy! Widzi ksiądz, gdy wda się w jakąś sprawę, człowiek wychodzi z jej rąk świeży i pachnący jak róża.

– Ach – przemówiła znowu Maria – jestem tak szczęśliwa, czuję się bardzo silna i zdrowa, biała, jak gdybym się dopiero narodziła.

Piotr był zachwycony. Wydało mu się, że to niespokojne tchnienie, jakie zostało tu jeszcze po pani Volmar, rozproszyło się i oczyściło. Maria wypełniła pokój swoją prostotą, zapachem i blaskiem czystej młodości. A jednocześnie ta radość niewinnej piękności i zakwitającego na nowo życia napełniła go wielkim smutkiem. Bunt, który ogarnął go w krypcie, rana zmarnowanego życia miała odtąd zawsze, już krwawić w jego sercu. Tyle zmartwychwstałych wdzięków, cała uwielbiana kobieta rozkwitała jak kwiat, a on nigdy nie zaznał posiadania, bo nie

należy już do świata, złożony w grobie. Ale nie płakał już, pławił się w bezmiernym smutku, w ogromnej nicości, powtarzając sobie, że jest martwy, że ta jutrzienka kobiecości wschodzi nad jego grobem jako mężczyzny. Było to wyrzeczenie, z którym się pogodził, którego pragnął w zrozpaczonej wielkości istot żyjących poza naturą.

Jak tamta, szalona z namiętności, Maria ujęła rękę Piotra. Ale jej małe ręce były tak łagodne, tak chłodne, uspokajające! Patrzyła na niego trochę zmieszana, z wielką, jakąś prośbą, której nie śmiała wyrazić.

Potem rzekła odważnie:

– Piotrze, czy nie chciałbyś mnie ucałować? Sprawiłoby to mi wielką radość.

Zadrzał, z sercem miażdżonym ostatnią torturą. Ach, te dawne pocałunki, których smak na zawsze zachował na wargach! Nigdy potem już jej nie całował, a dziś już tylko siostra rzucała mu się na szyję. Złożyła głośny pocałunek na jego lewym policzku, potem na prawym i nadstawiła mu twarz do pocałunku żądając, by się jej odwzajemnił. Z kolei on dwukrotnie ją pocałował.

– Ja też, przysięgam ci, Mario” jestem szczęśliwy, ogromnie szczęśliwy.

I udreńczony wrażeniami, u kresu sił, pełen równocześnie sło – dyczy i rozgoryczenia, zapłakał, osłoniwszy twarz rękoma, jak dziecko, które chce ukryć swoje łzy.

– No, no, nie rozczulajmy się zbytnio – rzekła siostra Hiacynta. – Ksiądz mógłby nadmiernie wbić się w dumę sądząc, że przyszliśmy tylko dla niego... Pan de Guersaint jest u siebie, prawda?

Maria zawołała z głęboką czułością:

– Ach, kochany ojciec! On się dopiero ucieszy!

Piotr musiał teraz wyznać, że pan de Guersaint nie wrócił jeszcze z wycieczki do Gavarnie. Zdradzał się ze swoim niepokojem, chociaż usiłował wytłumaczyć to spóźnienie, wymyślał przeszkody, nieprzewidziane komplikacje. Dziewczyna zresztą wcale się nie przejęła, roześmiała się mówiąc, że ojciec jej nigdy nie grzeszył punktualnością. Była jednak tak niecierpliwa, aby zobaczyć ją na nogach chodzącą, zmartwychwstałą do życia, w rozkwicie młodości!

Siostra Hiacynta, która wyjrzała przez balkon, wróciła do pokoju.

– Otóż i on!... Jest na dole, wysiada z powozu.

– Ach, wiecie – zawołała Maria z figlarną żywością uczennicy – trzeba mu zrobić niespodziankę... Tak, musimy się schować, a gdy wejdzie, nagle się pokażemy.

Już wciągała siostrę Hiacyntę do przyległego pokoju.

Pan de Guersaint prawie natychmiast wpadł jak wicher drzwiami od korytarza, które Piotr pośpieszył otworzyć. Ściskając mu rękę zawołał:

– Nareszcie jestem!... A co, mój drogi?! Zapewne nie wiedziałeś, co myśleć wczoraj od

godziny czwartej, od kiedy zapewne oczekiwałeś mnie! Ale nie wyobrażasz sobie, co za przygody: najpierw, gdy dojeżdżaliśmy do Gavarnie, złamało się koło u naszego powozu, następnie wczoraj wieczór, kiedy mimo wszystko wyjechaliśmy, nastąpiła straszna burza, która przez całą noc trzymała nas w Saint-Sauveur... Oka nie zmrużyłem... – [Tu przerwał: – A czy tutaj wszystko w porządku?

– Ja również nie spałem – odrzekł ksiądz – taki zgiełk panował w hotelu.

Pan de Guersaint już wrócił do swoich spraw.

– Ale i tak było uroczo. Trudno sobie wyobrazić... Muszę ci opowiedzieć... Byłem z trzema nadzwyczajnie sympatycznymi księżmi. Ksiądz Des Hermoises to z pewnością najmilszy człowiek, jakiego spotkałem... Och, śmialiśmy się, śmiali... – Znowu sam sobie przerwał: – A moja córka?

Wtedy za nim rozległ się jasny śmiech. Odwrócił „się i stanął zdumiony. Była to Maria, chodziła, miała na twarzy pełną zachwyty radość, tryskała zdrowiem. Pan de Guersaint nigdy nie wątpił w cud, nie był nim właściwie zaskoczony, bo wracał przekonany, że wszystko zakończy się jak najlepiej, że na pewno zastanie ją uzdrowioną. Ale do głębi przejął się widokiem, którego nie przewidział: widokiem córki tak pięknej, tak uroczej w skromnej czarnej sukience; nie miała nawet kapelusza na głowie, lecz zwyczajnie związaną koronkę na cudownych blond włosach, była żywa, kwitnąca, zwycięska, podobna do innych córek innych ojców, którym zazdrościł od tylu lat!

– Moje dziecko, o moje dziecko!

A gdy rzuciła się w jego ramiona, przytulił ją i oboje padli na kolana. I wszystko znikło, wszystko zabłysło w wybuchu wiary i miłości. Ten roztargniony człowiek o ptasim mózgu, który położył się spać zamiast towarzyszyć córce do Groty, który pojechał do Gavarnie w dniu, kiedy Najświętsza Panna mogła ją uzdrowić, tyle miał teraz w sobie ojcowskiej czułości, tyle chrześcijańskiej wiary płonącej wdzięcznością, że na chwilę stał się wzniosły.

– O Jezusie i Mario, dzięki wam za to, żeście oddali mi moje dziecko!... Córko, nigdy nie stanie nam tchu, duszy, aby należycie podziękować Jezusowi i Marii za to ogromne szczęście!... O moje dziecko, które oni podnieśli z martwych, o moje dziecko, które znowu uczynili tak pięknym, weź moje serce, aby im je ofiarować wraz z twoim sercem!... Jestem twój... Należę do nich na wieki, córko moja ukochana, córko moja uwielbiana!...

Oboje klęczeli przed otwartym oknem, wzniesionymi oczyma żarliwie spoglądali w niebo. Córka oparła głowę o ramię ojca, on ręką objął ją w pół. Tworzyli jedną istotę, powolne łzy zaczęły spływać po ich zachwyconych twarzach, uśmiechali się z nadludzkim szczęściem, oboje już tylko jękali urywane słowa wdzięczności.

– O Jezu, dzięki, o Święta Matko Jezusowa, dzięki ci!... Kochamy cię, uwielbiamy. Odmłodziłaś najlepszą krew naszych żył, ona do was należy, dla was płonie!... O Matko

wszechmocna, o Boski jej Synu ukochany, córka i ojciec błogosławią was, giną z radości u waszych stóp!...

Uścisk tych dwojga, szczęśliwych po tylu tragicznych dniach, to jękanie się ich szczęścia, jak gdyby jeszcze skapanego w cierpieniu, cała ta scena była tak wzruszająca, że oczy Piotra znów zaćmiły się łzami. Ale teraz były to łzy słodkie, kojące dla serca. Ach, jakże smutni są ludzie! Jak dobrze było widzieć ich trochę pocieszonych, zachwyconych! I cóż znaczyło, że to wielkie szczęście, trwające parę sekund, było dziełem wieczystej ułudy? Cała ludzkość, ludzkość żalosa, zbawiona przez miłość, czyż nie skupiła się w tym biednym człowieku, który nagle stał się wzniosły, gdyż odnalazł córkę wskrzeszoną do życia?

Siostra Hiacynta, stojąc trochę na uboczu, również płakała, z sercem bardzo ciężkim od ludzkiego wzruszenia, jakiego nigdy nie doznała, ona, nie mająca innej rodziny jak Bóg i Najświętsza Panna. Milczenie zapanowało w pokoju drżącym od serdecznych uczuć zroszonych łzami. I właśnie zakonnica przemówiła pierwsza, gdy ojciec i córka, pokonani wzruszeniem, powstali wreszcie z kolan.

– A teraz, panno Mario, musimy bardzo się pośpieszyć i wracać do szpitala.

W odpowiedzi odezwały się protesty. Pan de Guersaint chciał zatrzymać córkę przy sobie, Maria miała oczy pełne pragnień, płonące, chciała żyć, chodzić, biegać po świecie!

– Och, nie, nie! – rzekł ojciec. – Nie oddam jej siostrze... Naprzód wypijemy po kubku mleka, bo umieram z głodu; potem wyjdziemy, będziemy spacerować, tak, tak, we dwoje! Ona pod rękę ze mną, jak przystało małej kobiecie!

Siostra Hiacynta znów się zaśmiała.

– Dobrze, zostawiam ją panu, powiem naszym paniom, że mi ją pan porwał. Ale ja uciekam. Nie wyobrażacie sobie państwo, ile będziemy się jeszcze musieli napracować w szpitalu, aby się przygotować do wyjazdu: tyle chorych, cały sprzęt, toż to będzie rozgardiasz!

– A więc – zapytał pan de Guersaint, znowu roztargniony po swojemu – to dziś wtorek, wyjeżdżamy wieczorem? – Oczywiście, proszę nie zapomnieć... Biały pociąg odjeżdża o trzeciej czterdzieści... Proszę być rozsądnym i odprowadzić do nas pannę Marię wcześniej, aby jeszcze mogła odpocząć.

Maria poszła z zakonnica aż do drzwi.

— Proszę, niech siostra idzie spokojnie, będę bardzo rozsądna.

Chcę tylko pójść do Groty i raz jeszcze podziękować Najświętszej Pannie.

Jak cudownie poczuli się, gdy zostali we troje w małym pokoju, pełnym słońca. Piotr zawołał pokojową, aby przyniosła, mleko, czekoladę, ciastka, wszelkie możliwe przysmaki. I chociaż Maria była po śniadaniu, jadła znowu, tak wielki miała od wczoraj apetyt. Przysunęli stolik do okna, urządzili sobie święto, w ożywczym górskim powietrzu, a tymczasem setki dzwonów w Lourdes pełnym głosem obwieszczało chwałę promiennego dnia Mówili głośno, śmiali się,

dziewczyna opowiadała ojcu o cudzie, powtarzając po sto razy te same szczegóły: jak to zostawiła wózek w Bazylice, jak kamiennym snem przespała dwanaście godzin. Z kolei pan de Guersaint zapragnął opowiedzieć o swojej Wycieczce, ale wciąż się gubił, wracał do cudownego uzdrowienia. Kotlina Gavarnie było to, krótko mówiąc, coś zdumiewającego. Tylko że z daleka zatracalo się poczucie proporcji, wydawało się to małe. Trzy gigantyczne stopnie pokryte, śniegiem” najwyższy grzbiet zarysowujący na niebie sylwetkę cyklopiej twierdzy ze zburzoną wieżą, z pogruchotanymi murami obronnymi, ogromny wodospad, którego nie kończący się strumień wody zdawał się bardzo powolny, gdy tymczasem spadał z gwałtownością piorunu, cały ten ogrom, lasy po prawej i lewej stronie, potoki, całe to górskie zwalisko oglądane z wiejskich opłotków wydawało się tak małe, że zmieściłoby się w ludzkiej dłoni. Najbardziej zdumiały pana de Guersaint – toteż wracał do tego nieustannie – dziwaczne figury, jakie wypisywał śnieg leżący wśród skał, między innymi olbrzymi krucyfiks, biały krzyż liczący wiele tysięcy metrów, rzucony jak gdyby w poprzek kotliny, od końca do końca.

Przerwał opowiadanie, aby zapytać:

– Ale co słyhać u naszych sąsiadów? Wracając spotkałem pana Vigneron, biegł jak szalony; a przez uchylone drzwi widzia – łem panią Vigneron, jak mi się zdaje, z wypiekami na twarzy... Czy ich synek Gustaw znowu ma atak?

Piotr zapomniał był o pani Chaise, o zmarłej, która spoczywała za cienką ścianą. Zdawało mu się, że poczuł lekkie, zimne tchnienie.

– Me, nie, chłopiec czuje się dobrze...

Urwał, wolał milczeć. Po co psuć tę szczęśliwą godzinę zmartwychwstania, młodości odzyskanej, po co mieszać do niej obraz śmierci? Ale on od tej chwili nie przestał myśleć o sąsiedztwie nicości; myślał też o innym pokoju, tym, gdzie samotny pan tłumiał łkanie, przyciskając do ust parę rękawiczek skradzionych przyjaciółce. Powracał mu na pamięć cały hotel, rozlegający się w nim kaszel, westchnienia, niewyraźne głosy, ciągłe trzaskanie drzwiami, pokoje pękające od nadmiaru podróżnych, korytarze zamiatane lotem spódnic, galopem rodzin przerażonych teraz bliskim wyjazdem.

– Słowo daję, ty sobie jeszcze zaszkożisz – zawołał pan de Guersaint ze śmiechem, widząc, że córka sięga po jeszcze jedną brioszkę.

Maria także zaśmiała się. Ale po chwili, z nagłymi łzami w oczach, rzekła:

– Ach, jaka ja jestem szczęśliwa i jak mi smutno, że nie wszyscy są równie szczęśliwi!

II

Była ósma, Maria nie mogła już usiedzieć w pokoju i wciąż zwracała się do okna, jak gdyby w jednym oddechu chciała wypić całą wolną przestrzeń, całe ogromne niebo. Ach, biegać po

ulicach, placach, pójść wszędzie i jeszcze dalej, tam gdzie zaprowadzi ochota, dać dowód, jaka jest silna, z dumą przejść na ludzkich oczach całe mile, bo Najświętsza Panna ją uleczyła! Był to impuls, poryw całej istoty, wszystkiej krwi, całego serca. Ale ponieważ odjazd był bliski, postanowiła, że w pierwsze odwiedziny pójdą wraz z ojcem do Groty i oboje złożą dzięki Matce Bożej z Lourdes. Potem mieli swobodę, dwie bite godziny czasu, więc wybiorą się na spacer, dokąd będą chcieli, po czym ona wróci do szpitala, aby zjeść śniadanie i zapakować niewielki bagaż.

– A więc jak? – powtórzył pan de Guersaint. – Idziemy?

Piotr wziął kapelusz i wszyscy troje zeszli po schodach, mówiąc głośno i śmiejąc się wesoło jak uczniowie na wakacjach. Byli już prawie na ulicy, gdy pod arkadami podbiegła do nich pani Majestè. Widocznie czatowała na ich wyjście.

– Ach, pozwólcie państwo, abym złożyła gratulacje... Wiemy już o nadzwyczajnej łasce, jaka państwa spotkała, jesteście zawsze tak szczęśliwi, tak zaszczyceni, ilekroć Najświętsza Panna raczy wyróżnić kogoś z naszej klienteli!

Jej wyschła, surowa twarz tajała w uprzejmości; patrzyła na cudownie uzdrowioną czułym okiem. Potem żywo przywołała męża, który właśnie nadszedł.

– Patrz, mój drogi, to pani, właśnie pani...

Gładka twarz pana Majestè, nalana żółtym tłuszczem, przybrała wyraz uradowania i wdzięczności.

– Doprawdy, nie umiem pani wyrazić, jak jesteście zaszczyceni... Nigdy nie zapomnimy, że szanowny ojciec pani zatrzymał się u nas. I tak już ludzie nam zazdroszczą.

Tymczasem pani Majestè zatrzymywała innych wychodzących z hotelu podróżnych, wzywała skinieniem rodziny usadowione już w jadalni, gdyby mogła, zwołałaby wszystkich z ulicy, aby im pokazać, że ma u siebie cud, którym od wczoraj zdumiewało się całe Lourdes. Wreszcie ludzie zaczęli się gromadzić, robiło się zbiegowisko, ona zaś szeptała każdemu do olcha:

– Proszę spojrzeć, to ona, ta młoda panna, widzą państwo, ta młoda osoba... – Nagle zawołała głośno: – Idę do sklepu po Appolinę, Appolina musi panią zobaczyć!

Ale Majeste powstrzymał ją z godną miną.:

– Nie, zostaw Appolinę w spokoju, ma tam trzy damy do obsłużenia... Państwo na pewno nie opuszczają Lourdes, nie poczyniwszy wprzód jakichś zakupów. Drobne, zakupione tu pamiątki sprawiają potem tyle uciechy! A nasi klienci są tak łaskawi, że wszystko kupują tylko u nas, w sklepie, który otworzyliśmy przy hotelu. – Proponowałam już nasze usługi – podkreśliła pani Ma-jestè. — Obecnie czynię to jeszcze raz. Appolina będzie szczęśliwa mogąc pani pokazać, co mamy najładniejszego, i to po cenach doprawdy niewiarygodnie przystępnych. Och, mamy rzeczy prześliczne, prześliczne!

Maria zaczęła się niecierpliwić, że ją tak zatrzymują, a Piotrowi przykrość sprawiała ogólna ciekawość, narastająca wokół nich. Co. do pana de Guersaint, rozkoszował się popularnością córki i jej tryumfem. Obiecał, że tu jeszcze powróci.

– Oczywiście, zakupimy trochę drobiazgów. Pamiątki dla siebie, jakieś podarki... Ale to później, gdy wrócimy.

Wreszcie wymknęli się, poszli w dół Aleją Groty. Pogoda znowu była cudowna po burzy dwóch poprzednich nocy. Odświeżone poranne powietrze pachniało w wesołych promieniach, jakie rozsiewało jasne słońce. Tłum śpieszył już chodnikami, zaaferowany, zadowolony z życia. Maria była zachwycona; jej wszystko wydawało się nowe, urocze, bezcenne! Rano musiała się zgodzić, aby Rajmunda pożyczyła jej obuwia, ona sama bowiem, kierując się przesądem, nie odważyła się zapakować trzewików do walizki, bojąc się, że mogłyby nie przynieść jej szczęścia. Trzewiki pasowały na nią znakomicie; z dziecinną radością słuchała zuchwałego stukotu obcasów po bruku. Nie pamiętała, aby widziała kiedy domy tak białe, drzewa tak zielone, przechodniów tak wesołych. Wszystkie jej zmysły wydawały się jak gdyby odświeżone, cudownie wysubtelnione: słyszała muzykę, czuła dalekie zapachy, łakomie wachała powietrze, jak słodki owoc. Ale przede wszystkim było jej przyjemnie, uroczo iść pod rękę z ojcem. Nigdy jeszcze tego nie zeznała, marzyła o tym od lat, jako o jednej z niemożliwych radości, którymi pocieszała się w cierpieniu. Sen się spełniał, serce jej biło ze szczęścia. Tuliła się do ojca, starała się iść prosto i wyglądać pięknie, aby przynieść mu zaszczyt. I rzeczywiście, pan de Guersaint czuł się bardzo dumny, równie szczęśliwy jak ona, prowadził ją, pokazywał, przepelniony radością, że czuje ją przy sobie, swoją krew, swoje ciało, córkę, promieniejącą teraz młodością i zdrowiem.

Gdy we troje przechodzili przez terasę Merlasse, gdzie już tłoczyły się, w pogoni za pielgrzymami, kobiety sprzedające świeczki i bukiety, pan de Guersaint zawołał:

– Przecież nie pójdziemy do Groty z próżnymi rękoma!

Piotr, który szedł obok Marii z drugiej strony, porwany jej roześmianą wesołością, przystanął. Natychmiast zostali otoczeni, oblężeni przez gromadę handlarek, których drapieżne ręce podsuwały im towar aż pod oczy. „Śliczna panienko, zacni panowie, kupcie u mnie, kupcie u mnie, u mnie, u mnie!”. I trzeba było walczyć, uwalniać się przemocą. Pan de Guersaint kupił wreszcie największy bukiet, bukiet białych rumianków, okrągły i twardy jak głowa kapusty, od bardzo ładnej, pulchnej, jasnowłosej dziewczyny, najwyżej, dwudziestoletniej, w swej bezczelności ubranej tak skąpo, że czuło się niemal swobodną krągłość jej piersi pod rozpiętą bluzką. Bukiet zresztą kosztował tylko franka, ale pan de Guersaint niechętnie zapłacił ze swojej skromnej sakiewki; zbity z tropu manierami rosłej dziewczyny, pomyślał, że na pewno uprawiała inny zawód w porze roku, kiedy Najświętsza Panna wypoczywała. Piotr tymczasem zapłacił za trzy świece, które Maria wzięła od starej kobiety, dwufrankowe świece, bardzo porządne, jak mówiła. Stara kobieta, z twarzą o ostrych rysach i drapieżnym nosie, z chciwymi rękoma,

rozpływała się w miodowych podziękowaniach. „Niech Matka Boża pobłogosławi panią, śliczna panienko, niech panią uleczy z chorób, panią i pani bliskich!” To ich znowu rozweseliło, odeszli śmiejąc się wszyscy troje, rozbawieni jak dzieci na myśl, że to życzenie zacnej kobieciny już się spełniło.

Gdy znaleźli się przy Grocie, Maria zapragnęła przedefilować natychmiast i sama podać bukiet i świece, zanim jeszcze uklęknie. Ludzi było chwilowo niewiele, stanęli więc w szeregu i po paru minutach byli już przed Grotą. Jakim zachwyconym spojrzeniem ogarnęła Maria wszystko; rzeźbiony w srebrze ołtarz, fisharmonię, wota, kratę ociekającą woskiem, płonąca w biały dzień! Widziała dotąd Grotę tylko z daleka, z wózka swojej nędzy, więc wchodziła tam, oddychała jak w raj, bosko skąpana w świetle i zapachu, który przyprawiał ją o lekką duszność. Gdy włożyła świece do wielkiego kosza i stanęła na palcach, aby ucześcić bukiet do kraty, złożyła długi pocałunek na skale, pod posągiem Najświętszej Panny, w miejscu wygładzonym przez miliony warg. Był to dany skale miłosny pocałunek, w który włożyła płomień wdzięczności, pocałunek, w którym topniało jej serce. Potem, na zewnątrz, Maria padła na kolana i utonąła w nie kończącej się modlitwie dziękczynnej. Ojciec ukląkł obok niej, dołączając żarliwość swoich podziękowań. Ale nie był zdolny długo zajmować się jedną rzeczą, stawał się coraz bardziej niespokojny, a wreszcie nachylił się do ucha córki i szepnął, że ma do załatwienia sprawę, o której dopiero teraz sobie przypomniał. Najlepiej, jeśli ona zostanie tutaj na modlitwie i poczeka na niego. Ona dokończy modlitwy, on zaś pośpieszy się, pozbędzie się tej pańszczyzny, a później będą spacerować do woli, pójdą, gdzie przyjdzie im ochota. Nie zrozumiała go, nie słuchała nawet. Odpowiedziała tylko skinieniem, przyrzekając, że nigdzie nie odejdzie; znowu było w niej tyle tliwości i wiary, że oczy jej zwilgotniały od łez, utkwione w białą figurę Najświętszej Pani.

Pan de Guersaint podszedł do Piotra, który zatrzymał się trochę na uboczu, i wytłumaczył mu, o co chodzi.

– Mój drogi, to sprawa sumienia, obiecałem uroczyście naszemu woźnicy z Gavarnie, że pójdę do właściciela powozu i powiem, jakie były prawdziwe przyczyny opóźnienia. Wiesz, ten fryzjer z placu Marcadal... A przy okazji każę się ogolić!

Piotr, zaniepokojony, musiał jednak ustąpić, wobec przysięgi, że powrócą za kwadrans. Ponieważ droga wydała mu się daleka, uparł się on z kolei, żeby wziąć powóz, który miał postój na skraju terasy Merlasse. Był to zielonawy kabriolet, którego woźnica, tęgi chłopak około trzydziestki, w berecie na głowie, palił papierosa. Siedząc bokiem, z rozsuniętymi kolanami, powoził ze spokojną niedbałością człowieka dobrze odżywionego, pana ulicy.

– Proszę na nas zaczekać – rzekł Piotr wysiadając, gdy przybyli na plac Marcadal.

– Dobrze, dobrze, proszę księdza! Zaczekam.

I zostawiwszy chudą szkapę w pełnym słońcu, poszedł żartować z grubą, rozczochraną

służącą, która kąpała psa pod pobliską studnią. Cazaban stał właśnie na progu zakładu, którego wielkie szyby i jasna zieleń rozweselały ponury plac, pusty w zwykłe dni tygodnia. Gdy nie było pilnej roboty, lubił tak tryumfalnie stawać pomiędzy dwiema wystawami, które były barwnie udekorowane słoikami pomady i flakonikami perfum. Natychmiast poznał przybyłych.

– Wielki to dla mnie zaszczyt, wielki honor! Proszę łaskawie wejść!

Na pierwsze słowa pana de Guersaint, wypowiedziane w obronie człowieka, który wioził go do Gavarnie, Cazaban okazał się pełnym zrozumienia. Oczywiście, człowiek ów nie był temu winien, nie mógł zapobiec ani pęknięciu koła, ani nadciągającej burzy. Jeśli tylko podróżni nie uskarżali się, wszystko było w porządku.

– Ach – zawołał pan de Guersaint – to kraj cudowny, niezapomniany!

– Jeżeli kraj nasz podoba się szanownemu panu, proszę przyjechać znowu, a będziemy bardzo radzi.

Następnie zabrał się szybko do roboty, gdy tylko architekt usiadł w jednym z foteli, prosząc Cazabana, aby go ogolił. Pomocnik wciąż był nieobecny, biegał w sprawach pielgrzymów, którzy tu mieszkali; była to liczna rodzina, która wywoziła całą skrzynię różańców, gipsowych Najświętszych Panierek, oszklonych rycin. Słychać było z piętra szybką bieżącą, zdenerwowane głosy, uwijanie się ludzi przerażonych bliskością wyjazdu i mnóstwem zakupów, które trzeba było jeszcze zapakować. W sąsiedniej jadalni, której drzwi pozostały otwarte, dwoje dzieci wysączało resztki czekolady z filiżanek stojących wśród rozrzuconej zastawy. Cały dom był wynajęty, oddany na pastwę, mijały ostatnie godziny tego najazdu obcych, który zmuszał fryzjera i jego żonę, aby przenosili się do suterenu, do ciasnej piwnicy, gdzie sypiali na połowym łóżku.

Podczas gdy Cazaban pokrywał mu policzki mydlaną pianą, pan de Guersaint zapytał:

– I jakże, zadowolony pan z sezonu?

– Owszem, łaskawy panie, nie mogę się, skarżyć. Widzi pan dobrodziej, moi podróżni wyjeżdżają dzisiaj, ale jutro rano oczekuję następnych, zaledwie będzie czas trochę zamieść... I tak będzie do października. Potem, ponieważ Piotr nie usiadł, lecz przechadzał się po zakładzie, patrząc z niecierpliwością po ścianach, fryzjer zwrócił się uprzejmie do niego:

– Proszę łaskawie usiąść, przejrzeć gazetę... To nie potrwa długo.

Ksiądz podziękował odmownym gestem, a fryzjer ciągnął dalej, owładnięty nieposkromioną chętką mówienia:

– Och, u mnie zawsze ruch, dom mój znany jest z czystości łóżek i z dobrej kuchni... Ale miasto nie jest zadowolone, o nie! Mogę nawet powiedzieć, że nigdy nie widziałem podobnego rozgoryczenia.

Zamilkł na chwilę, ogolił lewy policzek, po czym znów przerwał pracę, a w okrzyku jego zabrzmiała tłumiona dotąd prawda.

– Szanowny panie, ojcowie z Groty igrają z ogniem, oto co mogę powiedzieć!

I popłynęły potoki wymowy; Cazaban mówił, mówił i mówił. Przewracał dużymi oczyma w długiej twarzy o wystających kościach policzkowych, ogorzałej, upstrzonej czerwonymi plamami, a cała drobna, żylasta postać drgała, wstrząsana nadmiarem słów i gestów. Powracał do swego aktu oskarżenia, wyliczał litanię uraz, jakie stare miasto żywiło do zakonników. Skarżyli się na nich hotelarze; sprzedawcy dewocjonalii nie osiągali nawet połowy zysków, jakie mogłyby stać się ich udziałem; a wreszcie nowe miasto zagarniało pielgrzymów i pieniądze, można już było zarobić tylko na umeblowanych pokojach, hotelach i sklepach mieszczących się w pobliżu Groty. Była to mordercza wrogość rosnąca z każdym dniem, walka na śmierć i życie, w której stare miasto z każdym sezonem traciło trochę życia i wreszcie musiało zniknąć, zostać zduszone, zamordowane przez miasto młode. Ach, ta wstrętna Grota! Prędzej kazałby sobie nogi uciąć, niżby tam poszedł! Czyż nie obrzydliwy był ten sklep z dewocjonaliami, jaki tam przylepili na boku? Prawdziwy skandal, który tak oburzył biskupa, że – jak mówią – napisał do samego papieża! On, który chlubi się, że jest wolnomyślicielem i starym republikaninem i jeszcze za Cesarstwa głosował na kandydatów opozycji, miał chyba prawo oświadczyć, że w tę ich wstrętą Grotę nie wierzy i że kpi z niej sobie!

– Opowiem szanownemu panu pewien fakt. Mój brat jest w Radzie Miejskiej, od niego wiem o tym... Trzeba szanownemu panu przede wszystkim wiedzieć, że mamy teraz radę miejską republikańską, która bardzo martwi się demoralizacją w mieście. Wieczorem niepodobna wyjść, żeby, nie natknąć się na ulicach na dziewczki, wie pan, te, co sprzedają świece. Gubią swoje dusze w towarzystwie woźniców, którzy zjawiają się tutaj w sezonie; to element podejrzany i niepewny, przybyły nie wiadomo skąd... Muszę też panu dobrodziejowi naświetlić stosunek ojców z Groty do miasta. Gdy kupili teren Groty, podpisali akt, w którym urzędowo stwierdzali, że nie wolno im prowadzić żadnego handlu. Otóż otworzyli ten sklep wbrew własnemu podpisowi. Czy to nie jest podła konkurencja, niegodna uczciwych ludzi?... Toteż nowa Rada postanowiła wysłać do nich delegację z żądaniem, aby uszanowali układ i natychmiast zlikwidowali ten sklep. Czy pan dobrodziej wie, co odpowiedzieli? To samo, co odpowiedzieli już dwadzieścia razy, co odpowiadają zawsze, gdy się im przypomni własne ich zobowiązania. „Dobrze, będziemy się do nich stosować, ale jesteśmy panami u siebie i zamkniemy Grotę.”

Wyprostował się z brzytwą w ręce i powtórzył dobitnie, z oczyma rozszerzonymi na tę potworną myśl:

– „Zamkniemy Grotę.

Piotr, który wciąż wolno się przechadzał, stanął nagle i rzekł mu prosto w twarz:

– A Rada Miejska powinna była odpowiedzieć: „Zamknijcie!”

Cazabanowi tchu zabrakło, krew uderzyła mu do twarzy, stracił panowanie nad sobą; bełkotał:

– Zamknąć Grote!... Zamknąć Grote!

– Oczywiście! Ponieważ Grota drażni was i budzi w was obrzydzenie! Ponieważ jest stałą przyczyną wojny, niesprawiedliwości, zepsucia! Skończyłoby się wszystko, nikt by już o tym nie wspominał... Doprawdy, byłoby to rozwiązanie znakomite i ktoś, kto miałby odpowiednią władzę, oddałby wam wielką usługę zmuszając ojców do spełnienia tych pogroźek. W miarę jak Piotr mówił, gniew Cazabana opadał. Uspokoił się zupełnie, trochę przybladł. W głębi jego wielkich oczu ksiądz widział wzrastający lęk. Czy złość na zakonników nie poniosła go zbyt daleko? Wielu duchownych nie lubiło ich, może ten młody ksiądz przyjechał tu właśnie, aby poprowadzić przeciwko nim kampanię? Kto wie? Oznaczałoby to ewentualne zamknięcie Groty. A żyło się tylko z niej. Stare miasto wściekało się wprawdzie, że zbiera tylko okruchy, ale było szczęśliwe i z takiej gratki; nawet wolnomyśliciele, którzy, jak wszyscy, nabijali kabzę dzięki pielgrzymom, milczeli zakłopotani, przerażeni, kiedy zbyt gorliwie zgadzano się z nimi co do ujemnych stron nowego Lourdes. Należało być ostrożnym.

Cazaban znowu zajął się panem de Guersaint. Zabrał się do drugiego policzka, mrużąc z obojętną miną:

– Och, to, co mówię o tej ich Grocie, to nie dlatego, aby mi w gruncie rzeczy przeszkadzała. A poza tym, każdy musi jakoś żyć.

W jadalni, wśród ogłuszających krzyków, dzieci właśnie zbiły jedną z filiżanek. Piotr znowu zwrócił uwagę na pobożne ryciny, na gipsową Matkę Boską, którymi fryzjer ozdobił pokój, aby przypodobać się lokatorom. Jakiś głos zawołał z pierwszego piętra, że walizka jest już zamknięta i że byłoby bardzo dobrze, gdyby pomocnik, kiedy wróci, przyszedł obwiązać ją sznurkiem.

Ale Cazaban nie ufał już tym dwóm klientom, o których właściwie nic nie wiedział, był skrepowany, przez głowę przebiegały mu niepokojące hipotezy. Był zrozpaczony, że sam się skompromitował, a ich musi oto wypuścić, nie dowiedziawszy się niczego. Gdyby chociaż mógł cofnąć zbyt ostre słowa przeciw zakonnikom! Toteż gdy pan de Guersaint wstał, aby obmyć podbródek, nie oparł się pokusie nawiązania znów rozmowy.

– Słyszeli panowie o wczorajszym cudzie? Miasto jest poruszone, że dwadzieścia osób już mi o tym mówiło... I zdaje się, że trafił im się cud niezwykle: młoda panna, paralityczka, wstała i zaciągnęła swój wózek aż do samej Bazyliki.

Pan de Guersaint, który właśnie wytarł się i miał znowu usiąść, uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Ta młoda panna jest moją córką! Wtedy nagle oświecony Cazaban rozpromienił się. Uspokojony, uczynił ostatnie mistrzowskie pociągnięcie grzebienia, odzyskując właściwą sobie żywość gestykulacji i mowy.

– Gratuluję szanownemu panu, jestem zaszczycony, że powierzył się pan moim rękom... Skoro szanowna córka pańska została uzdrowiona, ojcowskie serce pana dobrodzieja niczego już chyba nie pragnie!

Zwrócił się również do Piotra z uprzejmym słowem. Gdy zdecydował się w końcu ich wypuścić, spojrzął na księdza przenikliwie i rzekł tonem człowieka rozsądnego, który wypowiada swoją opinię o cudach:

– Bywają, proszę księdza, ludzie szczęśliwi za cały świat. Od czasu do czasu trzeba nam kogoś takiego..

Gdy wyszli, pan de Guersaint musiał poszukać woźnicy, który wciąż jeszcze, baraszkował ze służącą, a pies, cały mokry, otrząsał się na słońcu. W pięć minut kabriolet dowiózł ich do terasy Merlasse. Wyprawa zajęła im dobre pół godziny; Piotr zatrzymał więc powóz, bo, chciał pokazać Marii miasto, nie męcząc jej zbytnio. Pan de Guersaint pobiegł po córkę do Groty, a Piotr miał czekać tutaj pod drzewami.

Woźnica natychmiast wdał się z nim w rozmowę. Zapalił następnego papierosa i w ogóle był bardzo poufaty. Pochodził ze wsi, z okolic Tuluzy, i nie skarżył się: dniówki w Lourdes były wysokie, jadło się tutaj dobrze, było się gdzie zabawić, był to – co się nazywa – dobry kraj. Mówił to wszystko z niedbałością człowieka, którego nie trapią skrupuły religijne, który jednakże nie zapomina o szacunku należnym osobie duchownej.

W końcu, z wyżyny kozła, na wpół leżąc i kołysząc jedną nogą, wyrzekł następujące zdanie:

– O tak, proszę księdza, Lourdes robi dobre interesy, ale cała rzecz w tym, aby wiedzieć, jak to długo potrwa.

Piotr, uderzony tymi słowami, zastanawiał się nad ich mimowolną głębią, gdy ukazał się pan de Guersaint z Marią. Znalazł ją klęczącą w tym samym miejscu, powtarzającą wciąż akt wiary i wdzięczności u stóp Najświętszej Panny; zdawało się, że zabrała w oczach cały blask Groty, tak lśniły one boską radością wyzdrowienia. W żaden sposób nie chciała się zgodzić na zatrzymanie powozu. Nie, nie, wołała iść, nie zależało jej na zobaczeniu miasta, byleby jeszcze godzinę mogła iść przy boku ojca, przez ogrody, ulice, place, gdzie im przyjdzie ochota. Gdy Piotr zapłacił woźnicy, weszła w aleję na Esplanadzie, zachwycona, że tak sobie idzie lekkim krokiem, wzdłuż gazonów ozdobionych grzędami kwiatów, pod wysokimi drzewami. Jakie śliczne i świeże były trawy, liście, cieniste samotne aleje, gdzie słychać było słaby szum Gave! Potem zapragnęła wrócić na ulice, w tłum, aby odnaleźć tam ożywienie, gwar, życie, do którego rwała się całą duszą..

Na ulicy Świętego Józefa, ujrawszy Panorameę, gdzie można było oglądać dawną Groteę z klęczącą Bernadetą, w dniu, kiedy zdarzył się cud świecy, Piotr postanowił tam wejść. Maria ucieszyła się jak dziecko, a nawet pan de Guersaint okazał naiwną radość, zwłaszcza gdy zauważył, że wśród gromady pielgrzymów, którzy wraz z innymi pograżyli się w ciemnym korytarzu, wielu poznało w jego córce młodą osobę cudownie wczoraj uzdrowioną, sławną już; imię jej było na ustach wszystkich. W górze, na okrągłej estradzie, gdy stanęli w rozproszonym świetle, przesączonym przez *velum*, zerwała się istna owacja na cześć Marii: czułe szepty, błogie

spojrzenia, ekstatyczny zachwyty, że ją widzą, idą za nią, dotykają. Teraz, sławna, będzie spotykać się z ludzką miłością, gdziekolwiek się uda. Zapomniano o niej trochę dopiero wtedy, gdy urzędnik mający udzielać wyjaśnień stanął na czele gromadki zwiedzających i zaczął ich oprowadzać, opowiadając zdarzenie przedstawione na ogromnym kolistym płótnie długości stu dwudziestu sześciu metrów. Było to siedemnaste zjawienie się Najświętszej Panny, w dniu, kiedy Bernadeta, podczas wizji, klęcząc przed Grota, przez nieuwagę przytrzymała rękę nad płomieniem świecy i nie sparzyła się; odtworzono tam cały dawny pejzaż pierwotnej Groty, zrekonstruowano całą scenę, wraz z osobami historycznymi, jak lekarz z zegarkiem w ręku stwierdzający cud, mer, komisarz policji, prokurator królewski; urzędnik wymieniał ich nazwiska wśród zdumienia kroczącej za nim publiczności.

Wówczas przez podświadome skojarzenie myśli Piotr przypomniał sobie słowa wypowiedziane niedawno przez woźnicę: „*Lourdes* robi dobre interesy, ale cała rzecz w tym, aby wiedzieć, jak to długo potrwa.” Istotnie, to było pytanie. Ile czczonych przybytków już zbudowano na głos niewinnych, wybranych dzieci, którym ukazała się Najświętsza Panna! Zawsze początek był jednaki: objawienie, pasterka, którą prześladowają, traktują jak oszustkę, potem głuchy nacisk nędzy ludzkiej spragnionej iluzji, a wtedy propaganda, tryumf przybytku jaśniejącego niczym latarnia morska, a wreszcie zmierzch, zapomnienie, gdy inne sanktuarium narodzi się z ekstatycznego marzenia innej jasnovidzącej. Mogłoby się zdawać, że władza ułudy wyczerpywała się, że trzeba ją było na przestrzeni wieków przenosić, umieszczać wśród innej, nowej scenarii, w ramach nowej przygody, aby odrodzić jej potęgę. *La Salette* zdetronizowała dawne drewniane i kamienne Święte Dziewice, które uzdrowiały; *Lourdes* straciło z piedestału *La Salette*, do czasu, gdy samo zostanie z kolei zepchnięte przez Matkę Bożą jutrzejszą, której łagodne, darzące pociechą oblicze ukaże się niewinnemu dziecku, co się dopiero ma narodzić. Ale jeżeli *Lourdes* zrobiło tak szybko, tak zdumiewającą karierę, zawdzięcza to małej, naiwnej duszy Bernadety, jej słodkiemu czarowi. Tutaj nie było żadnego oszukaństwa, żadnego kłamstwa, jedynie żniwo cierpienia, wąta, chora dziewczynka, która obdarzyła masy cierpiących własnym snem o sprawiedliwości i równości w obliczu cudu. Była tylko wieczystą nadzieją, wiecznym pocieszeniem. A przy tym wszystkie okoliczności historyczne i społeczne zdawały się zaostrzać pragnienie tego mistycznego wlotu pod koniec straszego wieku pozytywnych badań naukowych; oto dlaczego *Lourdes* bez wątpienia trwać będzie jeszcze długo w swoim tryumfie, zanim stanie się już tylko legendą, jedną z martwych religii, której potężna woń ulotniła się. Ach, to stare *Lourdes*, to miasto ciszy i wiary, jedyna kolebka, w której legenda mogła się narodzić, jak to z łatwością pojmował Piotr, obchodząc ogromne płótno Panoramy! Płótno to mówiło wszystko, stanowiło najlepszą lekcję poglądową, jaką można było sobie wyobrazić. Nie słuchał monotonnych objaśnień urzędnika, pejzaż mówił sam za siebie. Przede wszystkim była tam Grota, szczelina skalna nad brzegiem Gave, dzikie siedlisko dla marzeń, porośnięte stoki,

kamienne usypiska, przez które nie wiodła żadna droga; i nic więcej, żadnych upiększeń, nie było monumentalnego bulwaru, alei angielskiego ogrodu wijących się wśród przyciętych nożycami ogrodnika krzewów, Groty urządzonej, zdeformowanej, zamkniętej kratą, a przede wszystkim nie było sklepu z dewocjonaliami, sklepu symonii, którym gorszyły się dusze pobożne. Najświętsza Panna nie mogła znaleźć w pustce zakątka piękniejszego, aby ukazać się wybrance swego serca, biednej dziewczynce, która zbierając suche gałęzie, tam śniła dalej swój sen smutnych nocy. Dalej widać było, na drugim brzegu Gave, za skałą Zamku, stare Lourdes, ufne i uśpione. Stawała przed oczyma inna epoka, małe miasteczko o wąskich ulicach, wybrukowanych kamieniami, czarne domy z marmurowymi wykładzinami, dawny, na wpół hiszpański kościół pełen starych rzeźb, zamieszkały przez złote sny i malowane postaci. Dwa razy dziennie przejeżdżały tylko dylizanse do Bagnères i Cauterets, przebywały w bród rzekę Lapaca, a następnie pięły się w górę stronią ulicą Niską. Duch wieku nie tknął jeszcze tych cichych domów, dających schronienie ludności zacofanej, trwającej w stanie dzieciństwa, stłoczonej na małym obszarze, żyjącej w wiekowej dyscyplinie religijnej. Żadnej rozpusty, słaby handel świecki wystarczający na potrzeby życia codziennego, życia ubogiego, którego surowość była rękojmią czystości obyczajów. Nigdy jeszcze Piotr tak jasno nie pojmował, dlaczego Bernadeta, zrodzona z tej ziemi wiary i uczciwości, zakwitła właśnie tutaj, jak skromna róża na przydrożnym krzewie.

– To jednak jest interesujące – oświadczył pan de Guersaint, gdy znaleźli się znowu na ulicy.

– Jestem zadowolony, że to widział. Maria była również rada i uśmiechała się.

– Prawda, ojczu, jak gdyby się tam było?! Chwilami Wydaje się, że osoby zaraz zaczną się ruszać... I jaka urocza ta Bernadeta, klęcząca w ekstazie, gdy tymczasem płomień świecy liże jej palce, nie parząc ich.

– Słuchajcie – rzekł architekt – mamy już tylko godzinę czasu, trzeba by jednak pomyśleć o sprawunkach, jeżeli chcemy coś kupić... Czy zgadzacie się, abyśmy pochodzili po sklepach? A przy tym obiecaliśmy panu Majeste, że zakupy zrobi – my w jego sklepie. Nie zaszkodzi jednak, jeżeli wprzód sami się trochę zorientujemy... Co myślisz o tym, Piotrze?

– Ależ oczywiście, jak pan sobie życzy – odpowiedział ksiądz. – Zresztą dzięki temu jeszcze się trochę przejdziemy.

I pośpieszył za dziewczyną i jej ojcem, którzy skręcili ku terasie Merlasse. Odkąd wyszedł z Panoramy, doznawał szczególnego wrażenia obcości. Czuł się, jak gdyby nagle przeniesiono go do innego miasta, w inną epokę. Opuszczał samotność, senny spokój starego Lourdes, pogłębiony jeszcze martwym światłem sączonym przez *velum*, i nagle odnajdował się w Lourdes nowym, pełnym światła, gwarnym od tłumów. Wybiła właśnie dziesiąta, na ulicach panował niezwykle ruch, ludzie śpieszyli się, aby poczynić zakupy przed śniadaniem i potem myśleć już tylko o wyjeździe. Tysiące uczestników pielgrzymki narodowej, tłocząc się po raz ostatni,

pływały przez ulice i oblegały sklepy. Krzyki, popychanie się i bieganina przypominały kończący się jarmark; w dodatku nieprzerwanie jechało mnóstwo pojazdów. Wielu podróżnych zaopatrywało się w żywność na drogę, opróżniało kramy ustawione na wolnym powietrzu, gdzie sprzedawano chleb, kiełbasę, szynkę. Kupowano owoce, wino, koszyki szczelnie wypełniały się butelkami, pergaminowym papierem. Jakiemuś ulicznemu sprzedawcy, obwozącemu różne gatunki sera na małym wózku, porwano towar, jakby zmiotł go wicher. Ale przede wszystkim tłum kupował przedmioty kultu religijnego; wędrowni handlarze, z wózkami, pełnymi figurek i świętych obrazków, robili złote interesy. Nabywcy tworzyli kolejki przy kramach, kobiety obwieszały się ogromnymi różańcami, dźwigały figury Matki Boskiej pod pachą, niosły blaszanki, aby napełnić je u świętego źródła. Blaszanki te, pojemności od jednego do dziesięciu litrów, jedne bez ozdób, inne z nieudolnie wymalowaną na niebiesko Matką Boską z Lourdes, niesione w rękach lub przewieszane w poprzek, dodawały tłumowi wesołości swoim blaskiem nowej blachy. Gorączka handlu, przyjemność wydawania pieniędzy, napychania kieszeni fotografiami i medalikami, nadawały twarzom ‘wygląd odświętny, zmieniały ten rozradowany tłum w jarmarczną cizbę o apetytach ogromnych i zaspokojonych.

Na terasie Merlasse pan de Guersaint uległ pokusie i wstąpił na chwilę do jednego z najładniejszych i najtłumniej odwiedzanych sklepów, na którym złotymi literami wypisane były słowa: „Soubirous, brat Bernadety.”

– No, może byśmy tutaj coś kupili? Byłoby to oryginalne, nasze pamiątki zyskałyby w ten sposób jeden powab więcej.

Ale po chwili poszedł dalej, mówiąc, że najpierw trzeba wszystko obejrzeć.

Piotr ze ściśniętym sercem patrzył na sklep brata Bernadety. Przykra była dla niego myśl, że brat sprzedawał Matkę Boską, która ukazała się jego siostrze. Ale trzeba było żyć, i Piotr domyślał się, że rodzina wizjonerki, w sąsiedztwie tryumfalnej w swym blasku Bazyliki, nie zbija fortuny wobec tak groźnej konkurencji. Pielgrzymi zostawiali w Lourdes miliony, ale handlarze dewocjonaliami było tam ponad dwustu, nie licząc hotelarzy i właścicieli pokoi do wynajęcia, którzy zagarniali znaczną część dochodów, tak że zyski, o które tak zawzięcie walczone, w rezultacie były niewielkie. Wzdłuż terasy, na prawo i na lewo od sklepu brata Bernadety, ciągnęły się nieprzerwanym szeregiem inne sklepy, jeden tuż przy drugim, zajmując lokale w drewnianych barakach, pewnego rodzaju galerii zbudowanej przez miasto, które ciągnęło z niej około sześćdziesięciu tysięcy franków dochodu. Był to istny bazar, nie oszklone wystawy sterczały aż na chodnik, tak że piesi objali się o nie w przejściu. Na przestrzeni blisko trzystu metrów nie handlowano innym towarem: strumień różańców, medalików, figurek płynął nieustannie poprzez witryny. Napisy głośiły olbrzymimi literami święte imiona: święty Roch, święty Józef, Jerozolima, Najświętsza Panna Niepokalanie Poczęta, Święte Serce Marii, Wszystko, co niebo miało najlepszego, byle wzruszyć i przyciągnąć klientelę.

– Doprawdy – rzekł pan de Guersaint – wydaje mi się, że wszędzie jest to samo. Wejdźmy gdziekolwiek.

Miał już tego dość, bolały go nogi od obchodzenia nie kończącego się szeregu sklepów.

– Ale ponieważ obiecałeś kupić tam – rzekła Maria, która była niestrudzona – najlepiej będzie, gdy wrócimy.

– Dobrze, wracajmy do pana Majeste. Ale sklepy ciągnęły się dalej przy Alei Groty, jeden za drugim, po obu stronach; trafiali się tu jubilerzy, sprzedawcy galanterii i parasoli, którzy prowadzili też dział dewocjonalii; był nawet cukiernik, który sprzedawał pudełka z cukierkami wypełnionymi wodą z Lourdes, ozdobione na pokrywce wizerunkiem Najświętszej Panny. Wystawa u jakiegoś fotografa zarzucona była widokami z Groty i Bazyliki, portretami biskupów, czcigodnych ojców wszelkich zakonów oraz fotografiami słynnych klasztorów położonych w pobliskich górach. Jedna z księgarń wystawiała najświeższe publikacje katolickie, książki o pobożnych tytułach, a także liczne dzieła wydawane na temat Lourdes od lat dwudziestu; parę z nich odniosło wspaniały, wciąż jeszcze trwający sukces. W tej ogromnej, ludnej alei tłum płynął szerszą falą, blaszanki dźwięczały, była to radość krzepkiego życia w słonecznym świetle, w którym tonęła cała droga. A figurki, medaliki, różańce ciągnęły się w nieskończoność, wystawa za wystawą, całymi kilometrami, przewijając się przez ulice całego miasta, tworzącego jeden wielki bazar, w którym sprzedawano ten sam towar.

Przed hotelem „Objawień” pan de Guersaint raz jeszcze się zawahał.

– A zatem rzecz postanowiona, tutaj poczynimy zakupy?

– Ależ oczywiście – odrzekła Maria. – Popatrz, jaki to ładny sklep!

I weszła pierwsza do sklepu, istotnie jednego z największych przy tej ulicy, zajmującego lewy parter hotelu. Pan de Guersaint i Piotr poszli za nią.

Appolina, bratanica pana Majestè, sprzedawczyni, stała na krześle i wyjmowała z wysokiej witryny kropielnice, aby pokazać, je młodemu człowiekowi, eleganckiemu pielęgniarzowi, w przepięknych żółtych getrach. Śmiała się gruchaniem turkawki, urocza, z czarnymi gęstymi włosami, ze wspaniałymi oczyma w twarzy nieco kanciastej, z prostym czołem, pociągłymi policzkami, wydatnymi czerwonymi ustami. Piotr wyraźnie zobaczył rękę młodzieńca u skraju spódnicy, pieszczącą nóżkę, która zapewne poddawała się temu z ochotą. Scena ta trwała zaledwie sekundę. Dziewczyna już pośpiesznie zeskoczyła na ziemię i zapytała: – A zatem nie uważa pan, że ten model kropielnicy może spodobać się szanownej ciotce pana?

– Nie, nie – odpowiedział młodzieniec wychodząc. – Proszę się postarać o inny model. Wyjeżdżam dopiero jutro, wstąpię jeszcze.

Gdy Appolina dowiedziała się, że Maria jest tą cudownie uzdrowioną, o której pani Majestè od wczoraj nieustannie mówiła, zakrzętała się z wielką gorliwością. Patrzyła na nią ze swoim wesołym uśmiechem, w którym było trochę zdziwienia, dyskretniej niewiary, jakby ukrytego

szyderstwa urodziwej dziewczyny, upojonej swoim ciałem, na widok dziewiczości, tak niewinnej i spóźnionej w rozwoju. Ale jako zręczna sprzedawczyni rozplynęła się w uprzejmościach.

– Ach, jakże jestem szczęśliwa mogąc panią obsłużyć. Cud działy dla pani jest tak piękny!... Proszę, cały sklep jest do pani rozporządzenia. Mamy ogromny wybór.

Maria była zażenowana.

– Dziękuję, to bardzo miło z pani strony... Chcemy kupić zaledwie parę drobiazgów.

– Jeżeli pani pozwoli – odezwał się pan de Guersaint – sami dokonamy wyboru.

– Oczywiście, proszę, niech pan wybiera. A potem zobaczymy. Ponieważ weszli nowi klienci, Appolina zapomniała o nich,

powróciła do swoich zawodowych zajęć ładnej sprzedawczyni, nie szczędząc piśszcztliwych słówek i uwodzicielskich gestów, zwłaszcza wobec mężczyzn, których nie wypuszczała inaczej jak z kieszeniami pełnymi zakupów.

Panu de Guersaint zostały dwa franki z ludwika, który wsunęła mu na wyjeźdnym, jako kieszonkowe, starsza córka, Blanka, toteż nie bardzo mógł wybierać. Ale Piotr oświadczył, że zmartwiłby się bardzo, gdyby nie było mu wolno ofiarować drogim przyjaciołom paru drobiazgów na pamiątkę pobytu w Lourdes... Wobec tego postanowili, że najpierw wybiorą podarek dla Blanki, po czym Maria i jej ojciec wybiorą sobie pamiątki, które najbardziej im się spodobają.

– Nie śpieszmy się – powtarzał pan de Guersaint, w doskonałym humorze. – Mario, szukaj dobrze... Co by sprawiło Blance największą przyjemność? Wszyscy troje rozglądali się, szukali, myszkowali. Ale w miarę jak przechodzili od przedmiotu do przedmiotu, niezdecydowanie ich rosło. Ogromny sklep z licznymi kontuarami, witrynami, przegródkami, które zajmowały go od dołu do góry, był jak morze o niezliczonych falach, wezbrane obfityością wszelkich możliwych artykułów religijnych. Były tam różańce, całe pęki różańców zawieszane na ścianach, stopy różańców w szufladach, od skromnych po dwadzieścia su za tuzin aż do różańców z wonnego drzewa, a także z agatu, z lapis lazuli, spajanych złotem lub srebrem; niektóre z nich ogromne, przeznaczone, aby podwójnie owinąć nimi szyję i talię, miały ziarnka cierpliwie wypracowane, wielkości orzecha, przedzielone trupimi główkami. Były też medaliki, istna powódź medalików, pełne pudła medalików, wszelkich wielkości, z przeróżnych surowców, od najskromniejszych do najcenniejszych, opatrzone różnymi napisami, przedstawiające Bazylikę, Grotę, Niepokalane Poczęcie, grawerowane, trybowane, emaliowane, wykończone starannie lub fabrykowane masowo, stosownie do sakiewki nabywców. Były Najświętsze Panny, małe, wielkie, z cynku, z drzewa, z kości słoniowej, a przede wszystkim z gipsu, jedne w nagiej bieli, inne jaskrawo pomalowane, reprodukujące w nieskończoność opis podany przez Bernadetę: miła, uśmiechnięta twarz, bardzo długi woal, niebieska szarfa, złote róże na stopach, ale z małymi zmianami dla każdego modelu, tak aby zagwarantować wytwórcy prawo własności. Następna fala artykułów

religijnych to wielka, ilość szkaplerzy, tysiąc szablonów świętych obrazków, delikatne ryciny, jaskrawe chromolitografie, tonące pod mnóstwem małych obrazków kolorowanych, złożonych, lakierowanych, usianych kwiatami, zdobionych koronką. Nie brakło też biżuterii, pierścionków, broszek, bransolet, obciążonych gwiazdami i krzyżami, dekorowanych figurkami świętych. A wreszcie galanteria paryska dominowała nad resztą towaru, zalewała wszystko: obsadki do ołówków, portmonetki, papierośnice, przyciski, noże do papieru, nawet tabakierki, niezliczone przedmioty, na których nieustannie powtarzała się Bazylika, Grota, Najświętsza Panna, reprodukowane na wszelkie sposoby, wszelkimi znanymi metodami. W jednej przegródce, z przedmiotami po pięćdziesiąt centymów za sztukę, piętrzyły się bezładnie kółka na serwety, kieliszki do jajek i drewniane fajki, na których było wyrzeźbione promienne zjawienie się Matki Boskiej z Lourdes.

Pan de Guersaint pomału zniechęcił się i posmutniał; był rozdrażniony jako człowiek, który pozował na artystę.

– Ależ to szkaradne, szkaradne to wszystko – powtarzał przy każdym nowym dziale.

Wyładował rozdrażnienie przypominając Piotrowi swoją rujną próbę odrodzenia produkcji obrazków religijnych. Utopił w tym resztki fortuny, co czyniło go jeszcze surowszym sędzią marnych towarów, jakimi przepelniony był sklep. Czy widział kto kiedy rzeczy o brzydocie tak głupiej, pretensjonalnej, wymyślnej? Pospolitość myśli i głupota wyrazu szły o lepsze z banalną zręcznością faktury. Przypominało to żurnale mód, obrazki na pudełkach z cukierkami, woskowe lalki na fryzjerskich wystawach: sztuka fałszywie ładna, naiwna w sposób przykry, pozbawiona prawdziwej kultury, wyrazu, szczerości. Architekta poniosło; nie mogąc się pohamować, skrytykował przy okazji budownictwo nowego Lourdes, potworną wielkość teras, katastrofalne dysproporcje kościoła Różańca Świętego i Bazyliki, z których pierwszy jest za ciężki, podobny do hali zbożowej, a druga – zbyt szczupłym, anemicznym budynkiem, bez stylu i charakteru.

– Doprawdy – zakończył – trzeba bardzo kochać Boga, aby zdobyć się na odwagę i wielbić go wśród podobnych szkaradzeństw! Wszystko zepsuli, wszystko zmarnowali, nikt z nich nie miał chwili wzruszenia, szczerzej naiwności i wiary, która rodzi arcydzieła. Wszystko filuty, naśladowcy, żaden nie włożył w to własnego ducha i ciała. Czegóż więc trzeba im było, aby poczuli natchnienie, jeśli nie potrafili zbudować nic wielkiego na tej ziemi cudów?

Piotr nie odpowiedział. Ale głęboko poruszyły go te refleksje, zrozumiał wreszcie, dlaczego czuł się tak nieswojo od chwili przybycia do Lourdes. Powodem była niezgodność między zupełnie nowoczesnym otoczeniem a wiarą minionych wieków, którą usiłowano wskrzesić. Wspominał stare katedry, gdzie pulsowała wiara ludów, przypominał sobie dawne przedmioty kultu, malarstwo, złotnictwo, świętych z kamienia i z drzewa, o cudownej sile i pięknie wyrazu. Bo w tych odległych czasach robotnicy wierzyli, wkładali w pracę ducha i ciało. z całą

naiwnością wzruszenia, jak powiedział pan de Guersaint. A teraz architekci budowali kościoły z tą samą chłodną wiedzą, z jaką przystępowali do budowy pięciopiętrowych domów, zaś przedmioty kultu – różańce, medaliki, figurki.– fabrykowali hurtowo w ludowych dzielnicach Paryża rozpustni robotnicy, którzy nie byli nawet praktykujący. Toteż powstały cacka, wyroby z metalu, tandeta taka, że się chciało płakać, tak głupio czułościowo, że aż mdliło! Wszystko to zalało, spustoszyło i zeszpeciło Lourdes, zasmucało ludzi o trochę wybredniejszym smaku, błądzących po ulicach miasta, i brutalnie klóciło się z zamierzonym wskrzeszeniem przeszłości, z legendami ceremoniami i procesjami umarłych stuleci. Piotr uświadomił sobie nagle, w czym zawiera się historyczny i społeczny wyrok na Lourdes: w tym, że wiara na zawsze umarła wśród ludu, toteż nie wkłada on jej w budowane przez siebie kościoły i sporządzane przez siebie różańce.

Maria wciąż z dziecinną niecierpliwością, z wahaniem przeszukiwała gabloty, nie mogąc znaleźć nic, co wydawałoby się jej godne wielkiego snu ekstazy, który wciąż jeszcze śniła.

– Ojczy, czas mija, musisz mnie odprowadzić do szpitala... Żeby raz już z tym skończyć, patrz, wzięłabym dla Blanki ten medalion ze srebrnym łańcuszkiem. Jest on jeszcze najprostszy i najładniejszy. Będzie go nosiła, będzie miała taki jak gdyby klejnocik... Dla siebie biorę ten posążek Matki Boskiej z Lourdes, niewielki, dość ładnie pomalowany. Umieszczę go w moim pokoju, obstawię kwiatami... Prawda, że tak będzie dobrze?

Pan de Guersaint wyraził aprobatę, a potem, sam z kolei przystępując do wyboru, rzekł:

– Mój Boże! Mój Boże! Jakże to trudne!

Oglądał obsadki do piór z kości słoniowej, zakończone kulkami wielkości ziarnka grochu, w których umieszczone były mikroskopijne fotografie. Gdy przytknął oko do jednego z małych otwórków, wykrzyknął ze zdziwienia:

– Patrzcie! Kotlina Gavarnie!... Ależ to zdumiewające, jakby się tam było! Jakże taki kolos może się zmieścić w środku?... Wobec tego biorę tę obsadkę. Jest zabawna, przypomina mi moją wycieczkę.

Piotr wybrał po prostu portret Bernadety, dużą fotografię, gdzie widać ją było klęczącą w czarnej sukni, w chustce na głowie, samotną i jak gdyby zrobioną z natury. Szybko zapłacił i już mieli wyjść, gdy weszła pani Majestè wołając, że musi podarować Marii jakąś drobnostkę, gdyż przyniesie to szczęście jej domowi.

– Proszę, aby pani wybrała sobie szkaplerz, o, spośród tych. Najświętsza Panna, której pani jest wybranką, zapłaci mi za to powodzeniem.

Mówiła głośno, tak że kupujący, których w sklepie było dużo, zainteresowali się i spojrzeli na dziewczynę zachłannym wzrokiem. Tak oto powstawała wokół niej popularność, która ogarnęła nawet ulicę, gdyż hotelarka wyszła na próg sklepu, dając znaki kupcom z przeciwka, zwołując sąsiadów.

– Idziemy? – zapytała coraz bardziej zażenowana Maria. Ale ojciec zatrzymał się jeszcze na widok wchodzącego do sklepu księdza.

– Ach, to ksiądz Des Hermoises!

Był to istotnie piękny ksiądz, w eleganckiej sutannie, mile pachnący, z wypoczętą twarzą, pełen serdecznej wesołości. Nie spostrzegłszy towarzysza wczorajszej wycieczki, szybko podszedł do Appoliny i odprowadził ją na bok. ‘ Piotr usłyszał, jak zapytał ją półgłosem:

– Dlaczego nie przyniosła mi pani rano tych trzech tuzinów różańców?

Appolina znów zaśmiała się swoim gruchającym śmiechem, patrząc na niego złośliwie, z ukosa, i nic nie odrzekła.

– Potrzebuję ich dla moich małych penitentek z Tuluzy, chciałem włożyć je na spód walizy, a pani obiecała mi pomóc zapakować moje rzeczy.

Śmiała się ciągle, kokietując go spod oka.

– Wobec tego wyjadę dopiero jutro. Proszę przynieść je dziś wieczór, dobrze? Gdy będzie pani wolna... To jest na końcu tej ulicy, u pani Duchêne, umeblowany pokój na półpiętrze... Proszę być tak miłą i przynieść je osobiście...

Kącikami czerwonych warg rzekła wreszcie żartobliwie, tak że nie wiedział, czy dotrzyma obietnicy:

– Oczywiście, proszę księdza, przyjdę.

Przerwano im. Pan de Guersaint podszedł, aby przywitać się z księdzem. Natychmiast zaczęli rozmowę o kotlinie, Gavarnie: zachwycająca wycieczka, przemile, niezapomniane chwile. Potem zabawili się kosztem dwóch towarzyszy, niezasobnych zacnych księżulów, których naiwność rozweselała ich ogromnie. Architekt napomknął wreszcie nowemu przyjacielowi, że był łaskaw obiecać mu, iż zainteresuje jego studiami nad sterowaniem balonów pewną wybitną osobistość z Tuluzy, dziesięciokrotnego milionera.

– Jako pierwsza zaliczka wystarczyłoby sto tysięcy franków – powiedział.

– Proszę na mnie liczyć – oświadczył ksiądz Des Hermoises. – Nie na próżno modlił się pan do Najświętszej Panny.

Tymczasem Piotr, który wciąż trzymał w ręku portret Bernadety, zauważył nagle uderzające podobieństwo między jasnowidzącą a Appoliną. Była to ta sama twarz, o ciężkim trochę owalu, te same zbyt pełne wargi, te same wspaniałe oczy; i przypomniał sobie, że pani Majestè już podkreślała to szczególne podobieństwo, zwłaszcza że Appoliną również spędziła ubogie dzieciństwo w Bartrès, zanim ciotka wzięła ją do siebie jako pomocnicę w sklepie. Bernadeta! Appoliną! Co za dziwne zestawienie, jaka osobliwa reinkarnacja na przestrzeni trzydziestu lat! I nagle wraz z tą Appoliną, tak zalotnie uśmiechniętą, umawiającą się na spotkania, Appoliną, o której krążyły bardz pikantne plotki, znów stało Piotrowi przed oczyma nowe Lourdes:

woźnice, sprzedawcy świec, kobiety oferujące pokoje do wynajęcia, zaczepiające klientów przed dworcem, moc umeblowanych domów z dyskretnymi pokojami, tłum korzystających z zupełnej swobody księży, targane namiętnością panie pielęgniarki i zwyczajni przechodnie pragnący zaspokoić swoje apetyty. Widział też żądzę zarobku rozpiętą przez deszcz milionów, całe miasto w pogoni za zyskiem, sklepy, które zmieniały ulice w bazary i zjadały się wzajemnie, hotele, które obdzierały pielgrzymów, nie wyłączając Błękitnych Sióstr, utrzymujących restaurację, i ojców z Groty, zbijających fortunę na Bogu. Jakże smutna i straszna jest wizja niewinnej Bernadety, która roznamiętnia tłumy, każe im gonić za mirażem szczęścia, kieruje ku nim rzekę złota i doprowadza wszystko do zgnilizny! Wystarczyło, aby wionęło tędy przesądem, aby ludzie się zbiegli, aby przyplął pieniądz, a ten uczciwy zakątek ziemi zdemoralizował się na zawsze. Tam gdzie wprzód kwitła czysta lilia, rozwijała się teraz róża cielesna na nowej glebie pożądliwości i użycia. Z Betlejemu zrodziła się Sodoma, odkąd niewinna dziewczyna ujrzała Matkę Bożą.

– No, i co ja mówiłam? – zawołała pani Majestè, która zauważyła, iż Piotr porównuje jej bratanicę z portretem. – Appolina to wykapana Bernadeta!

Appolina podeszła ze swoim miłym uśmiechem, zadowolona, że podkreślano zaszczytne dla niej podobieństwo.

– Proszę mi pokazać – rzekł ksiądz Des Hermoises, ogromnie zainteresowany.

Wziął fotografię, porównał ją z Appolina, zadziwił się.

– Zdumiewające, te same rysy... Nie spostrzegłem dotąd, naprawdę jestem zachwycony...

– Ale mnie się wydaje – oświadczyła na zakończenie Appolina – że ona miała grubszy nos.

Ksiądz odpowiedział pełnym zachwytem okrzykiem:

– Ach, pani jest ładniejsza, znacznie ładniejsza, oczywiście. Mimo to jednak można was wziąć za rodzone siostry.

Piotr nie mógł powstrzymać się od śmiechu, tak słowa te wydały mu się dziwaczne. Ach, biedna Bernadeta nie żyła i nie miała siostry! Nie mogła się odrodzić, była już nie do pomyślenia w tym ludnym i trawionym namiętnościami kraju, który sama stworzyła.

Maria wyszła wreszcie, wsparta na ramieniu ojca; postanowili, że oni obaj przyjdą po nią do szpitala, aby razem udać się na dworzec. Na ulicy czekało na nią z pięćdziesiąt osób, niby w ekstazie. Witwały ją, szły za nią, jakaś kobieta kazała dotknąć sukni cudownie uzdrowionej swemu choremu dziecku, które raz jeszcze niosła do Groty.

III

Od godziny wpół do trzeciej biały pociąg, który miał odjechać z Lourdes o trzeciej czterdzieści, stał na peronie, na torze drugim. Czekał przez trzy dni w zajezdni, w pełnym

składzie, tak jak przybył z Paryża; od kiedy wprowadzono go na peron, białe chorągwie powiewały na pierwszym i ostatnim wagonie, jako wskazówka dla pielgrzymów, których załadowanie trwało zazwyczaj długo i było ogromnie uciążliwe. Czternaście pociągów pielgrzymki narodowej miało wyjechać tego dnia. O dziesiątej rano odszedł pociąg zielony, potem różowy, potem żółty; po białym zaś miały wyruszyć jeszcze inne, pomarańczowy, popielaty, niebieski. Był to znowu ciężki dzień dla personelu kolejowego, panował tłok, tumult budzący lęk w urzędnikach.

Odjazd białego pociągu stanowił zawsze przedmiot żywego zainteresowania, ogromną sensację dnia, ponieważ zabierał ciężko chorych, których był tu przywiózł, a wśród nich trafiały się oczywiście ukochane dzieci Marii Panny, dla których poczyniła cuda. Toteż tłum cisnął się pod daszkiem, tarasując obszerny, kryty deptak długości około stu metrów. Wszystkie ławki były zajęte, tłoczyli się tam pielgrzymi z bagażem, już gotowi do drogi. Na jednym końcu deptaku wzięto szturmem małe stoliki bufetowe, mężczyźni pili piwo, kobiety zamawiały musującą lemoniadę, a przed drzwiami poczty towarowej, na drugim końcu, pielęgniarze utrzymywali wolne przejście, aby zapewnić szybki transport chorych, których miano za chwilę przewieźć. Wzdłuż szerokiego chodnika nieustannie snuli się biedni, spłoszeni ludzie, biegali księża, panowie w surdutach, ciekawi i spokojni, przewalał się tłum najbardziej mieszany i pstrokaty, jaki kiedykolwiek cisnął się na dworcu.

O godzinie trzeciej zaniepokojony baron Suire wpadł w rozpacz, gdyż zabrakło koni, a to skutkiem nieprzewidzianego napływu turystów, którzy wynajęli powozy do Barèges, Cauterets i Gavar-nie. Wreszcie rzucił się ku Berthaudowi i Gerardowi, którzy właśnie przebiegli całe miasto; zapewnili go, że wszystko układa się doskonale: wynajęli potrzebne konie, transport chorych odbędzie się w jak najlepszych warunkach. Już przed dworcem ekipy pielęgniarzy z noszami i ręcznymi wózkami oczekiwały furgonów, omnibusów i wszelkiego rodzaju wehikułów, zmobilizowanych do wyprowadzki szpitali. Zapas materaców i poduszek piętrzył się pod gazową latarnią. A ponieważ pojawiali się pierwsi chorzy, baron Suire znowu stracił głowę, zaś Berthaud i Gerard pośpieszyli na peron. Czuwali nad wszystkim, wydawali rozkazy w rosnącym zamieszaniu.

Na tymże peronie ojciec Fourcade, który przechadzał się wzdłuż pociągu, wsparty na ramieniu ojca Massias, zatrzymał się na widok zbliżającego się doktora Bonamy.

– Ach, doktorze, jestem taki szczęśliwy... Ojciec Massias, który właśnie wyjeżdża, powiedział mi o nadzwyczajnej łasce, jaką Najświętsza Panna obdarzyła tę niezwykle młodą osobę, pannę Marię de Guersaint. Od lat już nie zdarzył się cud tak wspaniały! Jest to dobry znak dla nas wszystkich, jest to błogosławieństwo, które pomnoży owoce naszych wysiłków... Uświetni ono, wzmocni i wzbogaci całe chrześcijaństwo.

Radość biła od niego, więc doktor, ze swą wygoloną twarzą, grubymi, spokojnymi rysami

i zmęczonymi oczyma, natychmiast również się rozpromienił.

– To wspaniałe, wspaniałe, wielbny ojcze! Napiszę o tym broszurkę, bo nigdy jeszcze uzdrowienie nie dokonało się na drodze nadnaturalnej w sposób bardziej wiarogodny... Och, rozgłos będzie ogromny!

Gdy wszyscy trzej zaczęli się znów przechadzać, doktor spostrzegł, że ojciec Fourcade bardziej niż zwykle powłóczy nogą i mocno opiera się na ramieniu towarzysza.

– Czy atak podagry silniej daje sięwe znaki, wielbny ojcze? – zapytał. – Musi to bardzo boleć?

– Ach, lepiej o tym nie wspominać; nie mogłem w nocy oka zmrużyć. Ze też atak musiał wypaść właśnie w dzień mego przyjazdu tutaj! Mógł przecież poczekać... Ale trudno, nie ma o czym mówić. Zbyt cieszą mnie nasze tegoroczne wyniki.

– O tak, tak – odezwał się z kolei ojciec Massias głosem drżącym od zapалу – możemy być dumni, możemy odejść stąd z sercem przepelnionym entuzjazmem i wdzięcznością. Oprócz uzdrowienia tej młodej osoby ileż innych cudów! Trudno je zliczyć: głusi słyszą, niemi mówią, przeżarte ranami twarze wygładzają się, na wpół martwi suchotnicy odzyskują siły, jedzą z apetytem, tańczą! Zabieram stąd nie pociąg ciężko chorych, lecz pociąg zmartwychwstania i chwały!

Nie widział już chorych dokoła, kroczył w pełnym boskim tryumfie, w zaślepieniu wiary. Wszyscy trzej nadal powoli spacerowali wzdłuż wagonów, których przedziały poczęły się zapełniać, uśmiechali się do kłaniających się im pielgrzymów, czasem stawali, aby rzucić krzepiące słowo, na przykład smut – nej kobiecie, którą bladą i drżącą z zimna niesiono na noszach. Stwierdzili, że wygląda znacznie lepiej i że na pewno odzyska zdrowie.

Naczelnik stacji, bardzo zatroskany, przeszedł wołając ostrym głosem:

– Proszę nie tarasować peronu! Nie tarasować peronu!

Gdy Berthaud zwrócił mu uwagę, że trzeba gdzieś składać nosze, nim załaduje się chorych, urzędnik rozgniewał się.

– Ależ to bardzo nierozsądnie! Proszę spojrzeć tam na ten mały wózek zostawiony w poprzek toru... Za parę minut oczekuję pociągu z Tuluzy. Chce pan, aby kogoś przejechał?

I pobiegł dalej, aby rozstawić swoich ludzi, którzy mieli odsunąć od szyn drepące na ośle, przerażone stado pielgrzymów. Byli wśród nich ludzie starzy, prości, nie umiejący nawet rozróżnić barwy swego pociągu; dlatego wszyscy mieli na szyi kartę odpowiedniego koloru, dzięki czemu można było kierować nimi i ładować ich jak naznaczoną i zamkniętą w przegrodzie trzodę. Ale czternaście odjazdów nadprogramowych pociągów, obok zwykłego ruchu kolejowego, powodowały stały alarm.

Piotr, który przyszedł z walizką w ręce, z trudem już przedostał się na peron. Był sam. Maria gorąco pragnęła raz jeszcze uklęknąć przed Grotą, aby do ostatniej chwili dusza jej mogła płonąć

wdzięcznością dla Najświętszej Panny; zgodził się, aby pan de Guersaint tam ją zaprowadził, a sam uregulował rachunek w hotelu. Przedtem wymógł na obojgu obietnicę, że wezmą powóz i będą na dworcu za kwadrans. Czekając na nich, postanowił przede wszystkim wyszukać wagon i pozbyć się walizki. Ale nie było to rzeczą łatwą, poznał wagon dopiero po wywieszce kołyszącej się na nim już od trzech dni, na słońcu i burzach, po kawałku tektury noszącym nazwiska pani de Jonquière, siostry Hiacynty i siostry Klary od Aniołów. Tak, to był ich wagon: Piotr przypomniał sobie przedział pełen towarzyszy podróży; poduszki wskazywały kącik pana Sabatier; na ławce, gdzie Maria tyle się naciępiła, znalazł nawet bruzdę pozostawioną w drzewie przez żelazne okucie wózka. Gdy umieścił walizkę, stanął na peronie, czekając i wyglądając, nieco zdziwiony, że nie widać doktora Chassaigne, który przyrzekł, że przyjdzie uściskać go na pożegnanie. Teraz, gdy Maria już mogła się poruszać, Piotr zdjął szelki pielęgniarza i miał~na sutannie tylko czerwony pielgrzymi krzyż. Dworzec, który poprzednio widział przelotnie w słabym, sinym świetle, znękany strasznym przyjazdem o świcie, dziwił go teraz szerokim chodnikiem, wielkimi wyjściami bocznymi, pogodną wesołością. Gór nie było widać, ale po drugiej stronie, naprzeciwko poczekalni, piętrzyły się urocze, zielonawe wzgórza. Tego popołudnia powietrze było niewypowiedzianie łagodne, delikatny puch obłoków osnuwał słońce na mlecznobiałym niebie, z którego padało mocne, rozproszone światło, podobne do pyłu perłowej macicy.

Właśnie wybiła trzecia i Piotr patrzył na ogromny zegar, kiedy zobaczył, że nadchodzi pani Dètagneaux i pani Volmar, a za nimi pani de Jonquière z córką. Panie przyjechały ze szpitala powozem i teraz chciały jak najprędzej znaleźć swój wagon. Rajmunda poznała przedział pierwszej klasy, w którym tu przybyły.

– Mamo, mam, tędy, tutaj!... Zostań trochę z nami, nie musisz zaraz siadać wśród swoich chorych, bo jeszcze nie przyjechali.

Piotr znalazł się twarzą w twarz z panią Volmar. Spojrzenia ich spotkały się. Z trudem ją poznał, ona zaledwie lekko zatrzepotała rzęsami. Była to znowu osoba ubrana na czarno, powolna, ospała, szara i niepozorna, szczęśliwa, gdy mogła usunąć się w cień. Ogień w jej dużych oczach wygasł i tylko chwilami ożywał iskrą, błyskał pod zasłoną obojętności, pod czarną morą, która zdawała się je przyćmiewać.

– Ach, ta straszna migrena – powtarzała zwracając się do pani Dètagneaux. – Widzi pani, jeszcze teraz mąci mi się w tej biednej głowie. To podróż tak mi szkodzi. Co roku z góry już wiem, co będzie.

Pani Dètagneaux, jeszcze żywsza, bardziej różowa i z włosami w jeszcze większym nieładzie niż kiedykolwiek, była ogromnie podniecona. – Droga pani, w tej chwili i ja mam również migrenę. Tak, chwyciło mnie to dziś rano... okropna newralgia... Ale... – Nachyliła się i mówiła dalej po cichu: – Ale wydaje mi się, że stało się! Tak, że dziecko, którego tak pragnęłam, które

nie chciało się zjawić... Błagałam Najświętszą Pannę i obudziłam się chora, bardzo chora! Poza tym wszelkie oznaki!... Wyobraża sobie pani minę mego męża, który oczekuje mnie w Trouville! Ależ będzie szczęśliwy! Pani Volmar słuchała poważnie, po czym rzekła spokojnie:

– A ja, droga pani, znam osobę, która nie chciała mieć więcej dzieci... Przyjechała tutaj i rzeczywiście już ich więcej nie miała.

Gerard i Berthaud, dostrzegłszy panie, szybko nadbiegli. Rankiem obaj byli w Szpitalu Matki Boskiej Bolesnej i pani de Jonquièrre przyjęła ich w małym biurze, przylegającym do składu bielizny. Tam, w sposób nadzwyczaj poprawny, tłumacząc się z wesołą dobroduszością z tego nieco zbyt pośpiesznego postępowania, Berthaud poprosił o rękę panny Rajmundy dla swego kuzyna Gerarda. Natychmiast zapanował miły nastrój, matka wzruszyła się, wyrażając nadzieję, że Lourdes przyniesie szczęście młodej parze. Tak więc szybko ułożono małżeństwo, ku ogólnemu zadowoleniu. Ustalili nawet datę spotkania, piętnasty września, w zamku Berneville koło Caen, w dobrach owego wuja dyplomaty, którego Berthaud znał i do którego obiecywał zawieźć Gerarda. Następnie przywołano Rajmundę, która weszła zarumieniona z radości i podała narzeczonemu obie drobne ręce.

Gerard w pośpiechu zwrócił się teraz do dziewczyny z zapytaniem:

– Czy ma pani poduszki na noc? Proszę się nie kępować, mogę przynieść je dla pani i tamtych pań.

Rajmunda wesoło odmówiła:

– Nie, nie! Nie jesteście takie delikatne, zostawmy to dla biednych chorych.

Zresztą panie mówiły wszystkie jednocześnie. Pani de Jonquièrre zwierzała się, że jest zmęczona, ogromnie zmęczona, ledwie żywą; a jednak wyglądała na szczęśliwą, oczy jej się śmiały, gdy patrzyła na córkę i na młodego człowieka, którzy rozmawiali z sobą. Ale Bertfauud nie mógł zostać dłużej; i jego, i Gerarda wzywały obowiązki. Obaj się pożegnali, raz jeszcze przypominając o umówionym spotkaniu. A więc piętnastego września w zamku Berneville? Tak, tak, oczywiście! Nastąpiły jeszcze śmiechy, uściski rąk, a tymczasem oczy, pełne czułości i zachwytu, dopowiadały to, czego nie śmiano wyrzec głośno w takim tłumie.

– Co słyszę! – zawołała pani D'ssagneaux. – Jadą państwo piętnastego do Berneville? Jeżeli zostaniemy w Trouville do dwudziestego, jak życzy sobie mój mąż, wpadniemy państwa odwiedzić! – I zwróciła się do milczącej pani Volmar: – Niech pani również się wybierze! Zabawnie będzie, gdy się wszyscy tam spotkamy!

Młoda kobieta z powolnym gestem, z miną znużonej obojętności odpowiedziała:

– O, dla mnie przyjemności skończyły się. Wracam.

Oczy jej znowu spotkały się z oczyma Piotra, który został przy paniach; wydawało mu się, że ona mieszała się na chwilę i wyraz niewypowiedzianego cierpienia przemknął po jej martwej twarzy.

Nadjechały siostry od Wniebowzięcia, więc panie przyłączyły się do nich koło wagonu-kantyny. Ferrand, który przyjechał powozem z zakonnicami, wsiadł pierwszy, pomógł siostrze od Świętego Franciszka wspiąć się na wysoki stopień, po czym stanął na progu wagonu zamienionego na kuchnię, gdzie złożono zapasy na drogę, chleb, bulion, mleko, czekoladę, a siostra Hiacynta i siostra Klara od Aniołów, stojąc na peronie, podały mu podręczną apteczkę i inne małe bagaże.

– Czy ma pan już wszystko? – zapytała siostra Hiacynta. – Doskonale, teraz niech pan ułoży się w swoim kąciku i śpi, bo skarży się pan, że nie jest nikomu potrzebny!

Ferrand roześmiał się łagodnie.

– Siostro, idę pomóc siostrze od Świętego Franciszka... Rozpalę naftową kuchnię, umyję filiżanki i będę roznosił porcje w godzinach postoju zaznaczonych na tej tablicy... A jeżeli mimo wszystko będzie siostrze potrzebny lekarz, przyjdzie siostra po mnie.

Siostra Hiacynta również się zaśmiała.

– Nie potrzeba nam już lekarza, bo wszystkie nasze chore zostały uzdrowione. – I z oczyma utkwionymi w jego oczach powiedziała spokojnie i po bratersku:

– Do widzenia, panie Ferrand. Uśmiechał się wciąż, choć ogromne wzruszenie zaćmiło łzami jego oczy. Drżącym głosem mówił o niezapomnianej podróży, o radości, że ją znów zobaczył, o wiecznej pamięci i boskim uczuciu, które stąd unosił.

– Do widzenia, siostro.

Pani de Jonquière oświadczyła, że pójdzie już do swego wagonu wraz z siostrą Klarą od Aniołów i siostrą Hiacyntą. Ale ta ostatnia zapewniła ją, że to nic pilnego, bo dopiero przywieszono chore; odeszła wraz z drugą zakonnicą obiecując, że dopilnuje wszystkiego; uparła się nawet, że uwolni panią de Jonquière od małej walizeczki, zapewniając, że kierowniczka znajdzie ją na swoim miejscu w wagonie. Tak więc panie dalej gawędziły, przechadzały się po szerokim chodniku, na którym było tak przyjemnie.

Tymczasem Piotr, który ze wzrokiem, utkwionym w wielki zegar patrzył, jak mijają minuty, zaczął się niepokoić, że Maria z ojcem wciąż jeszcze nie nadchodzą. Byle pan de Guersaint nie zabłądził! Wypatrując ich zobaczył pana Vigneron, który – wściekle zirytowany – popychał przed sobą żonę i małego Gustawa.

– Księżę, błagam, proszę mi wskazać nasz wagon i pomóc załadować bagaże i to dziecko... Tracę głowę, ci ludzie zupełnie wyprowadzili mnie z równowagi...

Znalazłszy się przy swoim przedziale drugiej klasy, wybuchnął, chwytając za ręce księdza, który właśnie miał wnieść małego kalekę.

– To nie do wiary! Oni chcą, abym wyjechał, odpowiedzieli mi, że jeśli zostanę do jutra, mój bilet powrotny straci ważność... Na próżno opowiadałem im o wypadku. Przecież to żadna przyjemność zostawać tutaj z nieboszczką, czuć przy niej, włożyć ją do trumny i zabrać jutro,

w oznaczonym terminie... Otóż oni twierdzą, że to ich nie obchodzi, że i tak dają dość duże zniżki na bilety dla pielgrzymów, ale nie interesują się sprawami nieboszczyków.

Pani Vigneron, i drżąca, przysłuchiwała się słowom męża, a Gustaw, zapomniany, chwiał się ze zmęczenia na swojej kuli, a na jego biednej twarzy istoty konającej malowała się ciekawość.

– Próbowałem z nimi na różne tony, że przecież to siła wyż – sza... Co ja mam począć z tymi zwłokami? Nie mogę przecież wziąć ich pod pachę i przynieść tutaj jako bagaż. Muszę więc zostać... No, jacy ci ludzie są źli i głupi!

– Czy zwracał się pan do naczelnika stacji? – zapytał Piotr.

– Właśnie, naczelnik stacji! Jest gdzieś tutaj w tym tłumie. Ale nikt nie mógł go znaleźć. I jak wszystko ma się odbywać w porządku, skoro dokoła panuje taki rozgardiasz? Ale muszę go wyszukać za wszelką cenę i powiedzieć, co o tym myślę!

Wzrok jego padł na nieruchomo stojącą żonę.

– A ty jeszcze tutaj? Wsiadaj, to ci podamy bagaże i małego. Powstało zamieszanie, pan Vigneron popchnął żonę, rzucił jej

pakunki, a ksiądz wziął na ręce małego Gustawa. Biedny chłopak był lekki jak ptaszek, zdawało się, że jeszcze schudł, trawiony ranami tak bolesnymi, że aż wydał słaby okrzyk.

– Moje kochanie, uraziłem cię?

– Nie, nie, proszę księdza, dzisiaj dużo mnie ruszali, więc jestem bardzo zmęczony.

Uśmiechał się subtelnie i smutno. Zaszył się w kącik, przymknął oczy, wyczerpany tą morderczą podróżą.

– Rozumie ksiądz – mówił dalej pan Vigneron – że wcale mi się nie uśmiecha ta mordęga tutaj, kiedy żona i syn wracają sobie do Paryża. To konieczne, życie w hotelu jest już niemożliwe, zresztą zmuszony będę raz jeszcze zapłacić za trzy miejsca, jeżeli nie zdołam przemówić im do rozsądku... Przy tym moja żona nie jest zbyt obrotna. Nigdy nie umie sobie poradzić.

I dysząc ze zmęczenia, zarzucił panią Vigneron drobiazgowymi poleceniami: co ma robić w czasie podróży, jak dostanie się do domu i jak ma ratować Gustawa, w razie gdyby nastąpił atak. Trochę zastraszona, łagodnie odpowiadała na wszystko:

– Tak, tak, mój drogi... Oczywiście, mój drogi... Ale jego nagle znowu porwała złość.

– No, czy ostatecznie mój bilet powrotny będzie ważny, czy nie? Chcę się wreszcie dowiedzieć... Muszą mi znaleźć tego naczelnika stacji!

I już miał rzucić się w tłum, kiedy dostrzegł na peronie, pozostawioną na ziemi, kulę Gustawa. Była to klęska, na której widok podniósł obie ręce do góry, wzywając Boga na świadka, że nigdy nie da sobie rady z tyloma trudnościami. Wreszcie rzucił kulę pani Vigneron i pobiegł nieprzytomnie, wołając:

– Patrz, ty o wszystkim zapominasz!

Teraz napływali chorzy; i tak jak w chwili przyjazdu, wózki krążyły w tłoku wzdłuż chodników i w poprzek szyn. Wszelkie obrzydliwe choroby, rany i kalectwa raz jeszcze defilowały i nie wydawały się ani mniej ciężkie, ani mniej liczne, jak gdyby parę uzdrowień stanowiło drobną, jasną plamę, niedostrzegalną na tle ogromnej żałoby. Odnoszono ich w takim samym stanie, jak zabrano. Małe wózki, obciążone starymi, bezsilnymi kobietami, które u nóg trzymały swoje koszyki, dźwięczały na szynach. Nosze, gdzie leżały wzdęte ciała z bladymi twarzami i błyszczącymi oczyma, chwiały się pod naporem ciżby. Zaczynał się pośpiech szalony, bezrozumny, zamieszanie wprost niewiarygodne; krzyżowały się pytania, okrzyki, ludzie biegali, kręcili się w miejscu, jak stado nie mogące trafić do wrót owczarni. Pielęgniarze potracili wreszcie głowy, nie wiedzieli, którądy iść, wśród alarmujących okrzyków ludzi ze służby dworcowej, którzy coraz to przerażali tłum i wzniecali popłoch.

– Uwaga, uwaga! Proszę się pośpieszyć!... Nie, nie, proszę już nie przechodzić! Pociąg z Tuluzy! Pociąg z Tuluzy!

Piotr zawrócił na peron i znowu spotkał panią de Jonquièrę oraz inne panie, które dalej wesoło rozmawiały. Niedaleko od nich usłyszał, jak ojciec Fourcade zatrzymał Berthauda, aby mu gratulować wzorowego porządku podczas całej pielgrzymki. Były sadownik skłonił się, pochlebilo mu to.

– Jest to lekcja dana tej ich republice, nieprawdaż, wielbny ojcze? W Paryżu odchodzą od zmysłów, gdy podobne tłumy świętują jakąś krwawą datę tej ich ohydnej historii... Niech, tu przyjadą się uczyć!

Zachwycała go myśl, że sprawia przykrość rządowi, który zmusił go do podania się do dymisji. Nigdy nie czuł się w Lourdes tak szczęśliwy, jak w chwilach wielkiego napływu wiernych, gdy w tłumie omal na śmierć nie duszono kobiet. Jednakże nie wydawał się zadowolony z wyników propagandy politycznej, którą uprawiał co roku przez trzy dni. Brała go niecierpliwość, to postępowało zbyt powoli. Kiedyż wreszcie Matka Boska z Lourdes pomyśli o przywróceniu monarchii? – Jedynym sposobem, aby odnieść prawdziwy tryumf, wielbny ojcze, byłoby sprowadzić tutaj masowo robotników miejskich. Będę już tylko myślał i zajmował się tą jedną sprawą. Ach, gdyby można utworzyć demokrację katolicką!

Ojciec Fourcade ogromnie spoważniał. Jego piękne, mądre oczy nabrały marzycielskiego wyrazu, pobiegły w dal. Ileż razy stawiał za cel swoich wysiłków utworzenie tego nowego ludu! Ale czy może się to dokonać bez nowego Mesjasza?

– Tak, tak – szepnął – demokracja katolicka, ach, dzieje ludzkości zaczęłyby się na nowo!

Ojciec Massias przerwał mu wołając w zapale, że wszystkie narody ziemi w końcu tutaj przyjdą; natomiast doktor Bonamy, który już odczuwał lekkie ochłodzenie żarliwości pielgrzymów, kiwał głową, uważał bowiem, że czciciele Groty powinni zdwoić gotowość. On uzależniał powodzenie od jak największej reklamy wokoło cudów. Dlatego okazywał przesadny

entuzjizm i śmiał się pobłaźliwie, wskazując tłumny orszak chorych.

– Proszę spojrzeć! Czy nie przedstawiają się znacznie lepiej? Wielu z nich nie wygląda na uzdrowionych, ale, proszę mi wierzyć, uwozi w sobie ziarno uzdrowienia!... Ach, ci zacni ludzie czynią więcej niż my wszyscy ku chwale Matki Bożej z Lourdes.

Ale musiał zamilknąć. Mijała ich właśnie pani Dieulafay w swej wybitej jedwabiem skrzyni. Złożono ją przed drzwiami wagonu pierwszej klasy, gdzie już pokojówka układała bagaże. Wszystkich brała litość, bo nieszczęsna kobieta nie zdawała się obudzona ze swego unicestwienia przez te trzy dni pobytu w Lourdes. Taką, jak wyładowano ją wśród przepychów w dzień przybycia, mieli ją teraz pielęgniarze załadować, ubraną w koronki, strojną w klejnoty, z martwą i tępą twarzą mumii, której ciało topiło się; wydawało się nawet, że jeszcze bardziej się skurczyła, że odniesiono ją tu pomniejszoną, coraz bardziej malejącą do rozmiarów dziecka, na skutek choroby, która zniszczyła najpierw jej kości, a teraz rozpuszczała miękki łachman mięśni. Mąż i siostra, którzy nie doznali pociechy, z oczyma zaczerwienionymi, złamani utratą ostatniej nadziei, szli za nią z księdzem Judaine, jak towarzyszy się zwłokom niesionym na cmentarz. – Nie, nie, za chwilę – rzekł ksiądz do tragarzy, nie pozwalając im wejść do wagonu. – Jeszcze czas ją tam ładować. Niech przynajmniej do ostatniej chwili poi się słodyczą tego pięknego nieba! – Zobaczywszy w pobliżu Piotra, odprowadził go parę kroków na bok i rzekł głosem łamiącym się z żalu: – Jestem zrozpaczony... Jeszcze dziś rano miałem nadzieję. Kazałem zanieść ją do Groty, odprawiłem mszę na jej intencję i wróciłem, aby modlić się do godziny jedenastej. I nic! Najświętsza Panna nie wysłuchała mnie... Ja, uzdrowiony przez nią, ja, biedny, stary, niepotrzebny człowiek, nie zdołałem wyprosić u niej uzdrowienia tej kobiety tak pięknej, młodej, bogatej, której życie powinno by być stałym świętem!... Oczywiście, Najświętsza Panna sama wie najlepiej, co ma czynić, i ja korzę się, błogosławię jej imię. Ale doprawdy duszę mam pełną straszego smutku.

Nie mówił wszystkiego, nie wyjawiał myśli, która dręczyła tego pełnego prostoty, zacnego, naiwnego człowieka, nie znającego, co to namiętność lub wątpienie. Mianowicie, że ci biedni płaczący ludzie, mąż, siostra, mieli za dużo milionów, że przywieźli zbyt piękne dary, że zbyt dużo pieniędzy ofiarowali w Bazylice. Cudu się nie kupuje, bogactwa świata tego szkodzą raczej w obliczu Boga. Na pewno Najświętsza Panna pozostała głucha na ich prośby, okazała serce zimne i surowe dlatego tylko, aby tym snadniej wysłuchać słabego głosu biedaków, którzy przyszli do niej z pustymi rękoma, bogaci tylko samą miłością, i których obficie darzyła łaską i gorącą miłością Bożej Matki. I ci biedni bogacze, nie wysłuchani, ta siostra, ten mąż, tak nieszczęśliwi przy żalonym ciebie, które stąd zabierali, sami czuli się pariasami w tłumie biedaków pocieszonych lub uzdrowionych, wydawali się zakłopotani swoim zbytkiem, usuwali się w cień zażenowani i skępowani, ze wstydem widząc, że Matka Boska z Lourdes udzieliła pociechy żebrakom, a pozostała wzdargliwa, nie spójrzała nawet na piękną, ustosunkowaną

dame, konającą wśród koronek.

Piotrowi nagle przyszło na myśl, że mógł nie zauważyć, kiedy przyszli pan de Guersaint i Maria, i że może są oni już w wagonie. Wrócił tam, ale zobaczył, jak poprzednio, tylko swoją walizkę na ławeczce. Siostra Hiacynta i siostra Klara od Anio – łów zaczynały się instalować w oczekiwaniu na swoje chore; a ponieważ Gerard przywiózł właśnie na małym wózku pana Sabatier, Piotr pomógł go wnieść. Była to ciężka praca, przy której obaj się spocili. Były profesor, przygnębiony, ale bardzo spokojny i zrezygnowany, usadowił się natychmiast, biorąc znowu w posiadanie swój ką.

– Dziękuję panom... W końcu udało się nie najgorzej! Teraz pozostaje już tylko wyładować mnie stąd w Paryżu.

Pani Sabatier owinęła mu nogi kocem, po czym wyszła na peron i stanęła przy otwartych drzwiach wagonu. Zaczęła rozmowę z Piotrem, lecz nagle przerwała sobie i rzekła:

– O, proszę, pani Maze wraca na swoje miejsce... Wczoraj zwierzała mi się. To bardzo nieszczęśliwa kobieta!

Uprzejmie ją zag?dnęła, ofiarowała się czuwać nad jej bagażem. Ale nowo przybyła, podniecona, nieprzytomna, zawołała śmiejąc się:

– Nie, nie, ja nie wyjeżdżam!

– Jak to, pani nie wyjeżdża?

– Nie, nie, nie wyjeżdżam... To znaczy wyjeżdżam, ale nie z państwem!

Wyglądała tak dziwnie, była tak radosna, że oboje patrzyli, jak gdyby ją widzieli po raz pierwszy. Jej twarz zwiędłej przedwcześnie blondynki promieniała, wydawała się o dziesięć lat młodsza, nagle wyrwana z niezmiernego smutku swego opusz:-czenia. Wydała okrzyk przepelniającej ją radości.

– Jadę z nim... Tak, przyjechał po mnie, zabiera mnie... Tak, tak, jedziemy do Luchon, razem, razem! – Po czym wskazując zachwyconym spojrzeniem tęgiego, młodego mężczyznę, bruneta o wesołej minie i czerwonych ustach, który właśnie kupował gazetę, dodała: – Proszę, to on, mój mąż, ten piękny mężczyzna, który tam żartuje z kupcową... Wpadł do mnie dziś rano, zabiera mnie, za dwie minuty wsiadamy do pociągu, który przychodzi z Tuluzy... Ach, pani, której opowiadałam moje troski, pani rozumie, jaka jestem szczęśliwa, prawda?

Ale nie mogła milczeć, raz jeszcze wróciła do strasznego listu, jaki otrzymała w niedzielę, listu, w którym pisał, że jeżeli skorzysta z pobytu w Lourdes, aby go niepokoić w Luchon, zamknie jej drzwi przed nosem. Mężczyzna poślubiony z miłości, mąż, który zaniedbywał ją od dziesięciu lat i korzystał z ciągłych wędrowek agenta handlowego, aby wlec z sobą różne kreatury z jednego końca Francji w drugi! Tym razem wszystko było skończone, błagała Niebo, aby zesłało jej śmierć, wiedziała bowiem, że wiarołomca bawi w Luchon w towarzystwie dwu dam, dwu sióstr, swoich kochanek. A więc cóż zaszło, o Boże?! Grom z jasnego nieba,

doprawdy! Dwie damy otrzymały chyba ostrzeżenie od Boga, nagle uświadomiły sobie swój grzech, może przyśniło im. się, że są w piekle! Nic nie mówiąc, wieczorem uciekły z hotelu, zostawiając go samego; on zaś, nie umiając żyć samotnie, poczuł się tak nieszczęśliwy, że postanowił nagle pojechać do żony, przywieźć ją i zatrzymać na tydzień. Nie powiedział tego, ale na pewno nawiedziła go łaska; był dla niej zbyt miły, aby nie dopatrzyła się w tym początków nawrócenia.

– Jakże wdzięczna jestem Najświętszej Pannie! – mówiła dalej. – Tylko ona mogła to zdziałać, zrozumiałam znak, jaki dała mi wczoraj wieczór. Wydało mi się, że skinęła do mnie leciutko, właśnie w chwili gdy mój mąż powziął decyzję, że przyjedzie po mnie. Zapytałam go o godzinę, wszystko zgadza się idealnie... Wie pani, nie było jeszcze takiego cudu, inne budzą we mnie śmiech, te uzdrowione nogi, zagojone rany.. Ach, pochwalona niech będzie Matka Boża z Lourdes, która uzdrowiła moje serce!

Tęgi brunet obejrzał się, ona podbiegła ku niemu, zapomniała nawet pożegnać się. Ten niespodziany dar miłości, ten spóźniony, drugi miodowy miesiąc, cały tydzień w Luchon z człowiekiem tak już oplakany, wszystko to czyniło ją naprawdę szaloną z radości. On, łaskawy książę, który zakosztował godziny zawodu i samotności, rozczulił się wreszcie, rozbawiony przygodą, stwierdzał nawet, że żona jest znacznie ładniejsza, niż mu się wydawało.

W tej chwili – podczas gdy fala chorych, których przynoszono na peron, nieustannie wzbierała – zajechał wreszcie pociąg z Tuluzy. Tumult podwoił się, zamieszanie było niesłychane. Rozległy się dzwonki, zabłyśły sygnały. Ujrzano nadbiegającego naczelnika stacji, który wołał na całe gardło:

– Uwaga!... Odejść z szyn! Jeden z urzędników musiał podbiec i zepchnąć z toru zapomniany wózek, w którym siedziała stara kobieta. Przerazona gromada pielgrzymów przeszła jeszcze na trzydzieści metrów przed lokomotywą, która zbliżała się z pomrukiem, powolna i dymiąca. Inni tak stracili głowy, że byliby wpadli pod koła, gdyby ludzie ze służby dworcowej nie przepchnęli ich brutalnie za ramiona. Wreszcie pociąg stanął, nie zmiażdżywszy nikogo, pośrodku rozrzuconych materaców, poduszek, jaśków i przerażonej, rojącej się gromady ludzkiej. Otwierały się drzwi, wysiadała jedna fala podróżnych, a jednocześnie wsiadała druga, co spowodowało podwójny prąd o sprzecznych kierunkach, tak uporczywy, że doprowadził zamieszanie do ostateczności. Przy szybach zamkniętych drzwi ukazały się twarze, najpierw zdziwione, potem osłupiałe wobec tak osobliwego widoku, a na pierwszym planie twarze dwu młodych, prześlicznych dziewcząt, których wielkie niewinne oczy napełniły się w końcu wyrazem bolesnej litości.

Pani Maze, za którą postępował mąż, wsiadła do wagonu tak szczęśliwa i lekka, jak gdyby miała dwadzieścia lat, jak w czasie odległego już wieczoru swej podróży poślubnej. Drzwi zamknięto, lokomotywa głośno gwizdnęła, po czym drgnęła i ruszyła powoli, ciężko między

tłumem, który, znowu zaborczy, wpłynął za pociągiem na tory, jak gdyby ktoś otworzył zatrzymującą go śluzę.

– Zagrozić peron! – krzyknął naczelnik stacji do obsługi. – I uważać, gdy będzie wjeżdżać maszyna!

Wśród tego zamieszania napływali spóźnieni pielgrzymi i chorzy. Przyszła Grivotte z rozgorączkowanymi oczyma, w tanecznym podnieceniu, za nią Eliza Rouquet oraz Zofia Couteau, szczęśliwe, zadyszane od biegu. Wszystkie trzy pośpieszyły do wagonu, gdzie zbурczała je siostra Hiacynta. O mało nie zostały w Grocie, co czasem zdarzało się pielgrzymom, którym trudno się było od niej oderwać; błagali Najświętszą Pannę i dziękowali jej, gdy pociąg czekał już na dworcu.

Nagle Piotr, również niespokojny, nie wiedząc już, co myśleć, ujrzał pana de Guersaint i Marię, którzy spokojnie stali pod daszkiem i rozmawiali z księdzem Judaine. Podbiegł do nich nie kryjąc swej niecierpliwości. – Coście robili dotąd? Zacząłem już tracić nadzieję!

– Jak to, cośmy robili? – odrzekł pan de Guersaint. – Byliśmy w Grocie, wiesz przecież... Jakiś ksiądz wygłosił piękne kazanie. Bylibyśmy tam jeszcze dotąd, gdybym nie przypomniał sobie, że wyjeżdżamy... Wzięliśmy nawet powóz, zgodnie z przyrzeczeniem. – Przerwał, aby popatrzeć na wielki zegar. – Do licha, nie jest jeszcze tak późno! Pociąg nie odjedzie wcześniej jak za kwadras.

Była to prawda i Maria uśmiechnęła się promiennie.

– Ach, Piotrze, gdybyś wiedział, ile szczęścia dały mi te ostatnie odwiedziny u Najświętszej Panny! Widziałam, jak uśmiechała się do mnie, czułam, że daje mi siły do życia... Doprawdy, było to uroczne pożegnanie, więc nie gniewaj się na nas!

Piotr sam się uśmiechnął, zawstydzony, że tak dał się ponieść nerwom. Czy więc tak bardzo chciał już wyjechać z Lourdes? Czy bał się, że Maria, pod urokiem Groty, nigdy już nie wróci? Teraz, gdy już tu była, dziwił się sam sobie, czuł w duszy wielki

Spokój.

Radził im jednak, aby poszli ulokować się w wagonie, gdy nagle zobaczył, że biegnie ku nim doktor Chassaigne.

– Drogi doktorze, czekałem na pana! Byłbym bardzo zmartwiony, gdybym nie mógł uściskać pana na pożegnanie.

Ale stary lekarz, drżąc z emocji, przerwał mu:

– Tak, tak, spóźniłem się... Wyobraźcie sobie, że przed dziesięcioma minutami, śpiesząc tutaj, rozmawiałem z Komandorem, wiecie, tym dziwakiem. Drwił z chorych, że wsiadają znowu do pociągu i wracają, aby umrzeć w domu, od czego powinni byli zacząć. I oto pada nagle przede mną jak ugodzony piorunem... Przyszedł trzeci atak paraliżu, którego on się zresztą spodziewał...

– O Boże – szepnęła ksiądz Judaine, gdy to usłyszał – on bluźnił, Niebiosa ukarały go!

Pan de Guersaint i Maria słuchali bardzo przejęci.

– Kazałem zanieść go tam, do magazynu – mówił doktor – I to koniec, jestem bezradny, na pewno nie pożyje dłużej jak kwadrans... Pomyślałem więc o księdzu, pobiegłem... – I zwrócił się do księdza Judaine: – Ksiądz proboszcz zna go, więc proszę pójść ze mną. Może wzruszy się, pozna swój błąd, pojedna się z Bogiem.

Ksiądz Judaine spiesznie poszedł za doktorem, za nim zaś pan de Guersaint, którego nadzwyczaj zainteresował ten dramat, pociągnął Marię i Piotra. W pięcioro weszli do magazynu poczty dworcowej, oddalonego o dwadzieścia kroków od huczącego tłumu, nikt nie domyślał się, że tuż obok kona człowiek.

Tam, w samotnym kącie, między dwiema stertami worków z owsem, na zapasowym szpitalnym materacu leżał Komandor. Jak zawsze, miał na sobie stary surdut z szeroką czerwoną wstążką w butonierce; ktoś przezornie podniósł jego łaskę o złotej gałce i starannie położył ją na ziemi przy materacu.

Ksiądz Judaine szybko nachylił się nad nim.

– Biedaku, poznaje nas pan i słyszy, prawda?

W Komandorze już tylko oczy wydawały się żywe; żyły, błyszcząły jeszcze płomieniem upartej energii. Atak poraził zapewne prawą połowę ciała i tym razem odjął mu mowę. Mimo to belkotał jakieś słowa i zdołał wreszcie dać im do zrozumienia, że chce skończyć tutaj, więc niech go nie ruszają i nie nudzą więcej. Nie mając krewnych w Lourdes, gdzie nikt nic nie wiedział ani o jego przeszłości, ani o rodzinie, żył tam od trzech lat ze skromnej posady przy kolei, wyglądał na zupełnie szczęśliwego, a teraz urzeczywistniało się wreszcie jego gorące, jedyne pragnienie: aby odejść, zapaść w sen wieczny, w zbawczą nicość. Istotnie oczy jego wyrażały tę wielką radość.

– Czy ma pan jakieś życzenie? – mówił dalej ksiądz Judaine. – Czy moglibyśmy być panu w czymś pomocni?

Nie, nie, oczy jego odpowiadały, że jest mu dobrze, że jest zadowolony. Od trzech lat każdego ranka wstawał z nadzieją, że wieczorem położy się na cmentarzu. Gdy świeciło słońce, mawiał z zazdrością: „Ach, cóż za piękny dzień do odejścia!” Toteż życzliwie przyjmował śmierć, która miała go wyzwolić od obmierzłego życia.

Doktor Chassaigne z goryczą powtórzył po cichu staremu księdzu, który błagał go, aby coś przedsięwziął:

– Nic nie poradzę, wiedza jest bezsilna... On jest skazany. W tej chwili weszła do sali jakaś stara osiemdziesięcioletnia

kobieta, pątniczka, która zabłąkała się, nie wiedząc, gdzie się zwrócić. Wlokła się o lasce, kulawa i garbata, skurczona, wzrostu małej dziewczynki, nękana wszelkimi chorobami sędziwego wieku; niosła przewieszoną na szyi blaszankę wody z Lourdes, bo mimo strasznej

ruiny swojego organizmu chciała jeszcze przedłużyć sobie starość. Na chwilę jej starcza tępota zaniepokoiła się. Spojrzała na leżącego sztywnego Człowieka, który umierał. Następnie dobroć prababki ukazała się znowu w jej zmęczonych oczach; powodowana jakimś uczuciem braterstwa, ta bardzo stara i bardzo cierpiąca istota podeszła bliżej. Rękoma, którymi wstrząsało nieustanne drżenie, ujęła blaszankę i podała ją leżącemu.

Na księdza Judaine podziałało to jak nagły promień jasności,; jak natchnienie z Niebios. On, który tyle modlił się o uzdrowienie pani Dieulafay i którego Najświętsza Panna nie wysłuchała, uczył nowy przypływ żarliwości, pewien, że gdyby Komandor napił się, byłby uzdrowiony. Padł na kolana przy materacu.

– O bracie mój, to Bóg przysłała tę kobietę... Pojednaj się z Bogiem, napij się tej wody i módl się, a my również z całej duszy będziemy błagać o boskie zmiłowanie... Bóg zechce przekonać cię o swej potędze, Bóg dokona dla ciebie wielkiego cudu, postawi cię na nogi, abyś przeżył jeszcze długie lata na tej: ziemi, kochał go i chwalił!

Nie! Me! Błyszczące oczy Komandora krzyczały: nie! Czyż ma okazać się takim tchórzem jak to stado pielgrzymów, którzy przywędrowali z daleka, pokonując tyle trudów, by czołgać się po ziemi i błagać Niebo jeszcze o miesiąc, rok, dziesięć lat życia! Tak dobrze, tak łatwo było umierać spokojnie w swoim łóżku. Człowiek odwraca się do ściany i umiera.

– Pij, bracie, zaklinam cię... Napijesz się życia, siły, zdrowia; a także radości życia... Pij, abyś stał się znowu młody, abyś rozpoczął życie pobożne! Pij, abyś mógł śpiewać chwałę Matki Bożej, która ocaliła ci duszę i ciało! Ona mówi do mnie, zmartwychwstanie jest pewne!

Nie, nie, oczy protestowały, odpychały życie ze wzrastającym uporem; mieszała się do tego teraz głucha obawa przed cudem. Komandor nie wierzył, od trzech lat wzruszał ramionami na te rzekome cuda. Ale co kto może wiedzieć na tym dziwnym świecie? Zdarzały się czasem rzeczy tak nadzwyczajne! A jeżeli przypadkiem ta ich woda naprawdę posiada siłę nadprzyrodzoną i jeżeli przemocą go napoją? Jak strasznie byłoby odżyć, na nowo zaczynać katorgę, ohydę, którą Łazarz, żalony wybraniec wielkiego cudu, przeżył dwukrotnie! Nie, nie, nie chciał pić, nie chciał próbować straszego szczęścia zmartwychwstania.

– Wypij, wypij, bracie mój – powtarzał stary ksiądz ze łzami – nie bądź taki zatwardziały i nie odpychaj łaski Niebios!

I wtedy ujrzano tę rzecz straszną: półmartwy człowiek podniósł się, zrzucił dławiące go więzy paraliżu, odplątał swój skrepowany język i wybełkotał, zawarczał ochryple:

– Nie, nie, nie!

Piotr musiał wskazać drogę starej, ogłupiałej pątniczce i wyprowadzić ją. Nie zrozumiała tego wzgardzenia wodą, którą niosła jak nieoceniony skarb, jak dar Wiekuistego dla biednych ludzi, którzy nie chcieli umierać. Kulawa, garbata, wlokąc o lasce smutne szczątki swoich lat osiemdziesięciu, znikła wśród pędzącego tłumu, pożerana namiętnością, aby istnieć, chciwa

powietrza, słońca i gwaru.

Maria i jej ojciec zadrżeli wobec tego pragnienia śmierci, tego głodu nicości, jakie objawił Komandor. Ach, spać, spać bez snów w bezkresnych ciemnościach, wiecznie – czyż może istnieć większa rozkosz? Nie była to nadzieja innego, lepszego życia, pragnienie, aby wreszcie zaznać szczęścia w rajach równości i sprawiedliwości; była to jedynie tęsknota do czarnej nocy, do snu bez kresu, do radości wiecznego niebytu. I doktor Chassaigne zadrżał, bo on również żywił jedną tylko myśl, o szczęściu chwili, w której odejdzie. Ale poza: doczesnym życiem jego drogie zmarłe, żona i córka, oczekiwały go na progu wieczności i jakież ogarnęłyby go przerażenie, gdyby choć przez chwilę pomyślał, że ich tam nie odnajdzie!

Ksiądz Judaine powstał z trudem. Wydało mu się teraz, że Komandor utkwiał swoje żywe oczy w Marii. Zrozpaczony bezowocnym błaganiem, chciał mu teraz ukazać przykład tej Bożej dobroci, którą umierający odtrącał.

– Poznaje ją pan, nieprawdaż? Tak, to jest ta młoda osoba, która przyjechała tu w sobotę tak chora, z paraliżem obu nóg. I teraz widzi ją pan zdrową, silną, piękną... Niebo obdarzyło ją łaską, odradza się w swej młodości do długiego życia, dla jakiego została stworzona... Nie czuje pan żalu patrząc na nią? Czy chciałby pan, aby i to dziecko umarło, czy i jej radziłby pan nie pić tej wody?

Komandor nie mógł odpowiedzieć, ale oczy utkwione miał w młodej twarzy Marii, na której widniało ogromne szczęście zmartwychwstania, niezmierna nadzieja nowych, niezliczonych dni; łzy wezbrały mu pod powiekami i stoczyły się po zimnych już policzkach. Na pewno płakał nad nią, myślał

o innym cudzie, którego pragnął być dla niej, w razie gdyby wyzdrowiała, o cudzie, aby była szczęśliwa. To roztkliwienie starego człowieka mówiło, że zna nędzę świata i lituje się nad wszystkimi cierpieniami, jakie dziewczynę czekały. Ach, ileż razy przyjdzie smutnej kobiecie żałować, że nie umarła w dwudziestym roku życia!

Potem oczy Komandora zmętniały, jak gdyby rozplynęły się we łzach ostatniego odruchu litości. Był to koniec, nadchodził sen, myśl ulatniała się wraz z oddechem. Odwrócił się i skonał.

Doktor Chassaigne szybko odprawił Marię.

– Pociąg odchodzi, proszę się śpieszyć!

Istotnie głos dzwonu doszedł ich wyraźnie spośród wzmożonego hałasu. Doktor, poleciwszy dwóm pielęgniarkom, aby czuwały nad ciałem, które miano zabrać później, po odejściu pociągu, postanowił odprowadzić przyjaciół aż do wagonu.

Wszyscy musieli się śpieszyć. Ksiądz Judaine, zrozpaczony, odmówił krótką modlitwę za spokój tej zbuntowanej duszy

i przyłączył się do nich. Ale gdy Maria, a za nią Piotr i pan de Guersaint biegli wzdłuż peronu, zatrzymał ją jeszcze doktor Bonamy, który z tryumfem przedstawił ją ojcu Fourcade.

– Wielebny ojczy, oto panna de Guersaint, która wczoraj, w poniedziałek, została tak cudownie uzdrowiona.

Zakonnik uśmiechnął się radośnie, jak generał, któremu przypomniano jego najświetniejsze zwycięstwo.

– Wiem, wiem, byłem przy tym... Droga córko, Bóg pobłogosławił cię wśród wszystkich... Idź i głoś chwałę jego imienia.

Z kolei pogratulował panu de Guersaint, którego rozsadzała ojcowska duma. Teraz, w ‘chwili wyjazdu, powtarzały się takie same owacje, takie same serdeczne słowa i pełne zachwyty spojrzenia, jakie towarzyszyły dziewczynie rano na ulicach Lourdes. Na próżno dzwon raz jeszcze zabrzmiał; utworzył się krąg zachwyconych pielgrzymów, tryumf religii, która odtąd zaślynie we wszystkich zakątkach świata.

Piotr wzruszył się widokiem bolesnej grupy, jaką nie opodał tworzyli pan Dieulafay i pani Jousseur. Utkwili wzrok w Marii, jak wszyscy – dziwili się cudownemu powstaniu z martwych tej młodej dziewczyny, tak pięknej, którą poprzednio widzieli bezwładną, wychudzoną, z ziemistą twarzą. Dlaczego wybór padł właśnie na nią? Dlaczego nie na młodą kobietę, ukochaną żonę, którą wywozili stąd umierającą? Ich zmieszanie, ich zawstydzenie zdawało się jeszcze wzrastać, więc odsunęli się, przejęci smutkiem zbyt bogatych pariasów; odczuli ulgę, gdy trzej pielęgniarze z wielkim trudem załadowali panią Dieulafay do przedziału pierwszej klasy, tak że mogli wsiąść i oni, wraz z księdzem Judaine.

Funkcjonariusze wołali już: „Wsiadać! Wsiadać!” Ojciec Massias, do którego należała duchowna opieka nad pociągiem, poszedł zająć swoje miejsce, zostawiając na peronie ojca Fourcade, wspartego na ramieniu doktora Bonamy. Gerard i Berthaud w pośpiechu skłonili się damom; Rajmunda wsiadła za paniami Desagneaux i Volmar, które już zajęły swoje miejsca; wreszcie pobiegła do swego wagonu i pani de Jonquière, gdzie weszła jednocześnie z Marią i jej ojcem. Popychano się, słychać było krzyki, ludzie w popłochu biegali wzdłuż nie kończącego się pociągu, do którego właśnie doczepiano lokomotywę, całą z miedzi, lśniąca niby słońce.

Piotr przepuścił Marię pierwszą i w tej chwili wracający pędem pan Vigneron zawołał do niego:

– Jest ważny! Ważny!

Czerwony jak burak, pokazywał swój bilet, machał nim w powietrzu. I pognał do przedziału, gdzie siedzieli jego żona i syn, aby oznajmić im dobrą nowinę.

Gdy Maria z ojcem usadowili się, Piotr został jeszcze przez chwilę na peronie z doktorem Chassaigne, który po ojcowsku go ucałował. Piotr chciał wymóc na nim obietnicę, że wróci do Paryża, do dawnego życia. Ale stary lekarz potrząsnął głową.

– Nie, nie, mój drogi, zostanę tutaj... One są tutaj, one mnie tu trzymają. – Mówił o swoich drogich zmarłych. A potem dodał cicho, bardzo wzruszony:

– Żegnaj!

– Nie: żegnaj, drogi doktorze, lecz: do widzenia.

– A właśnie: żegnaj... Widzisz, Komandor miał słuszność. Nie ma nic lepszego jak umrzeć, ale po to, aby wrócić do życia.

Baron Suire wydał rozkaz, aby zdjąć białe chorągwie umieszczone na początku i na końcu pociągu. Funkcjonariusze wołali teraz jeszcze energiczniej: „Wsiadać! Wsiadać!” Zamieszanie doszło do szczytu, cisnął się tłum ludzi przerażonych, ociekających potem, bez tchu. W wagonie pani de Jonquièrre i siostra Hiacynta liczyły swoją gromadkę. Grivotte, Eliza Rouquet, Zofia Couteau były już w wagonie. Pani Sabatier zajęła dawne miejsce, naprzeciwko męża, który z na wpół przymkniętymi oczyma czekał na chwilę odjazdu.

jakiś głos spytał:

– A czy pani Vincent nie wyjeżdża z nami?

Siostra Hiacynta, która wychyliła się, aby wymienić jeszcze jeden uśmiech z Ferrandem, stojącym na progu wagonu-kantyny, zawołała:

– Otóż i ona!

Pani Vincent biegła przez tory ostatnia, zadyszana, jak błędna. Piotr rzucił szybkie, mimowolne spojrzenie na jej ręce. Były puste.

Teraz zamykały się już wszystkie drzwi, trzaskały jedne po drugich. Wagony były pełne, pozostawało już tylko dać sygnał. Dysząca, dymiąca maszyna wydała pierwszy gwizd, pełen przeraźliwej wesołości, i w tejże chwili słońce, dotąd przysłonięte, przebiło lekką chmurkę i rozświetliło pociąg i jego skąpaną w złocie lokomotywę, która ruszała jakby do raj, o jakim mówią legendy. Ten odjazd miał w sobie jakąś wesołość dziecinna, boską, wolną od wszelkiej goryczy. Wszyscy chorzy zdawali się uleczeni. Mimo że odwożono ich takimi, jak ich przywieziono, opuszczali Lourdes z uczuciem ulgi, szczęśliwi, choćby na godzinę. I najlżejsza zazdrość nie mąciła ich braterstwa; ci, którzy nie zostali uzdrowieni, tryumfowali na myśl o uleczeniu innych. I na nich z pewnością przyjdzie kolej, wczorajszy cud stanowił formalną obietnicę jutrzejszego cudu. Pod koniec trzeciego dnia żarliwych błagań gorączka pożądania trwała, wiara zapomnianych pozostała żywa, gdyż mieli pewność, że Najświętsza Panna tylko odroczyła ich sprawę, dla dobra ich dusz. W sercach wszystkich tych nieszczęśników głodnych życia płonąła niewygasła miłość, niemożona nadzieja. Toteż nastąpił, przelewający się z pełnych wagonów, ostatni wybuch radości, rozgwar niezwykłego szczęścia, śmiechów, okrzyków: „Do przyszłego roku, wrócimy tu, wrócimy!” A siostrzyczki od Wniebowzięcia, tak wesołe, zaklaskały w ręce i śpiew wdzięczności, *Magnificat*, zaintonowany przez ośmiuset pielgrzymów, wznosił się do nieba.

Magnificat anima mea Dominum...

Wtedy naczelnik stacji, wreszcie uspokojony, machając rękoma, dał sygnał. Lokomotywa

znowu gwizdnęła, potem drgnęła i potoczyła się w olśniewającym słońcu, jak w aureoli. Na peronie został ojciec Fourcade, wsparty na ramieniu doktora Bonamy; noga bardzo go bolała, ale mimo to z uśmiechem żegnał swe ukochane dzieci; Berthaud, Gerard i baron Suire tworzyli osobną grupę, a obok nich doktor Chassaigne i pan Vigneron machali chusteczkami. Z drzwi uciekających wagonów wychylały się roześmiane twarze, powiewały chustki. Pani Vigneron zmusiła Gustawa, by ukazał bladą twarzyczkę. Długo widać było pulchną rękę Rajmundy przesyłającą pożegnania. Najdłużej wyglądała przez okno Maria, patrząc na niknące wśród zieleni Lourdes.

Tryumfalny pociąg zniknął w jasnym krajobrazie, lśniący, huczący od donośnego śpiewu:

Et exsultavit spiritus meus in Deo salutari meo.

IV

I znowu biały pociąg jechał, tym razem z powrotem do Paryża. W wagonie trzeciej klasy, gdzie *Magnificat*, śpiewany z całej mocy piskliwych głosów, zagłuszał turkotanie kół, znaleźli się ci sami podróżni, była to znowu ruchoma wspólna sala szpitalna, którą można było objąć jednym spojrzeniem ponad niskimi przegrodami, z jej nieładem, i chaosem naprędce zaimprovizowanego ambulansu. Pod ławkami, na wpół ukryte, leżały nocniki, miski, miotły, gąbki... Wszędzie po trosze piętrzyły się paczki, żałosne zbiorowisko ubogich, zniszczonych przedmiotów, których zator powtarzał się wyżej: pakiety, koszyki, worki, zawieszane na mosiężnych wieszakach, kołysały się nieustannie. Te same siostry od Wniebowzięcia, te same panie pielęgniarki jechały znowu z tymi samymi chorymi, wśród tłoczących się zdrowych pielgrzymów, i znów cierpiały już od nieznośnego gorąca, od wstrętnych woni. I znów w głębi siedziało w ciasnocie dziesięć kobiet, dziesięć pątniczek, młodych i starych; wszystkie były tak samo smutno brzydkie i śpiewały z zapalem, głosami żałosnymi i fałszywymi.

– A zatem o której godzinie będziemy w Paryżu? – zwrócił się pan de Guersaint do Piotra.

– Jutro około drugiej po południu, zdaje mi się – odrzekł ksiądz.

Od chwili wyjazdu Maria patrzyła na Piotra z niepokojem, jak gdyby dręczyła ją jakaś nagła troska, o której nie chciała mówić. Zdobyła się jednak na uśmiech świadczący o jej odzyskanym pięknym zdrowiu.

– Dwadzieścia dwie godziny jazdy, ach, to będzie krótsze i łatwiejsze do zniesienia niż podróż w tamtą stronę.

– A przy tym – rzekł jej ojciec – zostawiliśmy tam parę osób i jest nam teraz luźniej.

Istotnie wolne było miejsce zajęte wprzód przez panią Maze na końcu ławki, nie zatarasowanej obecnie przez wózek Marii, która teraz siedziała; małej Zofii kazano przejść do sąsiedniego przedziału, gdzie nie było już brata Izidora ani Marty, jego siostry, która, jak

mówiono, została na służbie w Lourdes u pewnej pobożnej damy. Po drugiej stronie pani de Jonquièrre i siostra Hiacynta również zyskały jedno miejsce, po pani Vetu. Przyszło im na myśl, aby przenieść jeszcze Elizę Rou-quet, sadowiąc ją z *Zofią*, a zatrzymać przy sobie tylko państwa Sabatier i Grivotte. Dzięki temu nowemu rozdziałowi miejsc stało się mniej duszno i była nawet nadzieja, że uda się im trochę przespać. Odśpiewano już ostatni werset *Magnificat*, panie rozlokowały się wreszcie, jak mogły najwygodniej, i zajęły swoim małym gospodarstwem. Trzeba było przede wszystkim usunąć cynowe konwie pełne wody, które zawadzały pod nogami. Opuszczono wszystkie story z lewej strony, bo ukośne promienie słońca padały na pociąg i przenikały do niego gorejącymi plamami. Ale po ostatnich burzach mniej również unosiło się kurzu w powietrzu i noc zapowiadała się chłodna. Mniej też było cierpienia, śmierć bowiem zabrała najciężej chorych, pozostali tylko odrętwiali od chorób, sztywni ze zmęczenia, przechodzącego w bierną martwość. Nadchodziła reakcja, unicestwienie, jak zawsze po wielkich wstrząsach moralnych. Dusze zdobyły się na wysiłek, cuda zostały dokonane, zaczynało się odprężenie wraz z otępiałością głębokiej ulgi.

Aż do Tarbes wszyscy byli jeszcze bardzo zajęci, każdy urządzał się, obejmował w posiadanie dawne miejsce. Ale kiedy pociąg wyjechał z tej stacji, siostra Hiacynta wstała i zaklaskała w ręce.

– Moje dziatki, nie wolno nam zapominać o Najświętszej Pannie, która okazała nam tyle dobroci... Zaczynamy różaniec.

Wszyscy w wagonie wraz z nią odmówili pierwszą część różańca, pięć tajemnic radosnych: Zwiastowanie, Nawiedzenie, Narodzenie, Ofiarowanie i Odnalezienie Jezusa w świątyni. Następnie zaintonowano *Hymn do aniołów stróżów* głosami tak silnymi, że pracujący w polu chłopcy podnosili głowy i spoglądali za rozśpiewanym pociągiem.

Maria z zachwytem patrzyła przez okno na rozległe pola, na ogromne niebo, powoli wylaniające się w całej krasie z mgielki upału i nabierające olśniewającej błękitnej barwy. Był to prześliczny kres pięknego dnia. Oczy Marii powróciły i spoczęły na Piotrze z tym niemym smutkiem, który raz już je był zasnuł, gdy nagle tuż przed nią wybuchł straszliwy szloch. Hymn dobiegał końca; to płakała pani Vincent, jękając urywane słowa, przerywane łzami:

– Ach, moje biedne maleństwo... O mój klejnocie, mój skarbie, moje życie...

Aż do tej chwili siedziała wciśnięta w swój ką, unikając ludzkich spojrzeń. Chmurna, spłoszona, nie odzywała się ani słowem, wargi miała zaciśnięte, powieki opuszczone, jak gdyby chciała jeszcze bardziej odizolować się w głębinach swego ohydneho bólu. Ale gdy otworzyła oczy, widok skórzanych pasów, których dotykała jej córeczka, którymi bawiła się, przyprawił ją o rozpacz, której gwałtowność złamała w niej wolę milczenia.

– Ach, moja biedna Różyczka... Jej rączka dotykała tych rzemieni, chwyciła je, przyglądała się, one były jej ostatnią zabawką... Siedziałyśmy tu jeszcze obie, ona żyła, miałam ją jeszcze na

kolanach, trzymałam w ramionach... Było jeszcze tak dobrze, tak dobrze! I już jej nie ma, już jej nigdy mieć nie będę, mojej Różyczki, mojej biednej, malutkiej Różyczki!

Jak obłąkana patrzyła, łkając, na swoje puste kolana i ręce, z którymi nie wiedziała, co począć. Tak długo kołysała, tak długo nosiła córeczkę, że teraz czuła się, jak gdyby dokonano amputacji części jej istoty, jak gdyby organizm jej pozbawiono jakiejś funkcji, tak że pozostała umniejszona, bezczynna, przerażona. własną nieprzydatnością. Jej własne ramiona i kolana krępowały ją.

Piotr i Maria, głęboko przejęci, natychmiast przysunęli się i zwrócili do niej z serdecznymi słowami, próbując pocieszyć nieszczęsną matkę. Pomału, poprzez urywane słowa, jakimi przeplatała łzy, poznali kalwarię, którą przeszła od śmierci córki. Wczesnym rankiem, gdy podczas burzy wyszła z martwym dzieckiem w ramionach, musiała długo tak iść, ślepa, głucha, pod ciosami gwałtownej ulewy. Nie pamiętała, któredy, jakimi ulicami szła poprzez to ohydne Lourdes, to Lourdes, które zamordowało jej dziecko, Lourdes, które przeklinała.

– Ach, nie wiem już nic, nie wiem... Tak, jacyś ludzie przygarnęli mnie, ulitowali się, nieznajomi ludzie, którzy gdzieś tam mieszkają... Och, nie wiem, gdzieś tam w górze, bardzo daleko, na drugim końcu miasta... Ale na pewno byli to bardzo ubodzy ludzie, bo majaczy mi się, że jestem w jakiejś biednej izbie, z moim ukochanym maleństwem, całkiem już zimnym... i oni położyli je na swoim łóżku...

Na to wspomnienie wstrząsnął nią nowy atak płaczu, łzy ją dławiły.

– Nie, nie, za nic nie chciałam rozstać się z jej drogiem, małym ciałkiem, zostawić ją w tym ohydny mieście... I nie pa – miętam dokładnie, ale to chyba ci biedni ludzie mnie zaprowadzili. Chodziliśmy długo, bardzo długo, byliśmy u wszystkich tych panów od pielgrzymki i od kolei... Powtarzałam im: „Co wam to szkodzi? Pozwólcie, abym ją na własnych rękach zawiozła do Paryża. Wiozłam ją tak żywą, mogę odwieźć umarłą. Nikt się nie spostrzeże, każdy pomyśli, że ona śpi...” A wszyscy ci ludzie, urzędnicy, zaczęli krzyżeć, odprawiali mnie, jak gdybym żądała jakiejś nikczemności. Wreszcie zaczęłam im mówić głupstwa. Że kiedy wyprawia się takie historie, kiedy sprowadza się tyle chorych bliskich śmierci, trzeba się też podjąć odwożenia zmarłych. I wiedzą państwo, ile ode mnie w końcu zażądali na dworcu? Trzysta franków, tak, podobno taka jest opłata. Boże, trzysta franków ode mnie, która przyjechałam z trzydziestoma su w kieszeni, a teraz mam wszystkiego pięć! Nie zarobiłabym tyle szyciem nawet przez pół roku. Gdyby zażądali mego życia, chętnie bym je im oddała... Trzysta franków, trzysta franków za to ciałko wróbelka, które, taka pocieszona, wiozłabym na własnych kolanach! Potem jąkała już tylko głuche skargi:

– Ach, gdyby państwo wiedzieli, ile ci biedni ludzie powiedzieli mi rozumnych rzeczy, aby skłonić mnie do wyjazdu!... Taka robotnica jak ja, na którą czeka praca, musi wracać do Paryża; a poza tym nie mogłam stracić biletu powrotnego, trzeba zdążyć na pociąg o trzeciej

czterdzieści... Powiedzieli mi także, że jeśli nie jest się bogatym, trzeba się ze wszystkim pogodzić. Tylko ludzie bogaci, prawda, nie rozłączają się ze swymi zmarłymi, robią z nimi, co chcą... Nie pamiętam już, nic już nie pamiętam. Nie przypominałam sobie nawet godziny odjazdu i nigdy bym nie trafiła na dworzec. Po pogrzebie, tam, w tym miejscu, gdzie rosły dwa drzewa, ci ubodzy ludzie zaprowadzili mnie i wepchnęli do wagonu w ostatniej chwili, gdy już pociąg ruszał... Ale cóż to za rozdzierający ból, jak gdyby serce moje zostało w ziemi, ach, to straszne, straszne... O Boże!

– Biedaczka – szepnęła Maria. – Niech pani nie traci odwagi, niech pani prosi o pomoc Najświętszą Pannę, która nigdy nie odpycha cierpiących.

Na te słowa wściekły gniew porwał panią Vincent. – To nieprawda, Najświętsza Panna kpi sobie ze mnie, Najświętsza Panna kłamie... Dlaczego mnie oszukała? Nigdy bym się nie wybrała do Lourdes, gdybym nie usłyszała tego głosu w kościele. Moja córeczka żyłaby dziś, może doktorzy potrafiliby mi ją uratować... Ja, co za nic w świecie nie chciałam zadawać się z księżmi! Ach, dobrze wiedziałam, co robię! Nie ma żadnej Najświętszej Panny, nie ma Boga!

I zbuntowana, bez złudzeń i nadziei, dalej bluźniła z grubiańską wściekłością ludu, wykrzykując ból swego ciała tak brutalnie, że musiała się w to wdać siostra Hiacynta.

– Nieszczęsna, proszę zamilknąć! To Bóg karze panią, rozkrwawiając pani ranę.

Scena trwała długo, a gdy w szybkim pędzie mijano Riscle, zakonnica znowu zaklaskała w ręce, dając znak, aby zaśpiewano *Laudate, laudate Mariam*.

– No, moje dzieci, wszyscy razem i z całego serca.

Na ziemi i niebie Niech wszystkie głosy Sławią Cię, Matko Boga, Aż pod niebiosy.

Kiedy głos jej utonął w hymnie miłości, pani Vincent łkała już tylko z twazą ukrytą w dłoniach, u kresu buntu, bezsilna, bełkocząca coś w swej słabości ubogiej kobiety, otepiałej z bólu i zmęczenia.

W wagonie po odśpiewaniu pieśni nabożnej wszyscy również odczuli znużenie. Tylko siostra Hiacynta, pełna energii, i siostra Klara od Aniołów, łagodna, poważna i drobna, wyglądały tak jak w chwili wyjazdu z Paryża, jak w czasie pobytu w Lourdes, miały w sobie zawodową pogodę umysłu, odporną na wszystko, zwycięską wobec wszystkiego, i jaśniały wesołością w swoich białych barbetach i kwefach. Pani de Jonquière, która prawie wcale nie sypiała od pięciu dni, i teraz czyniła ogromne wysiłki, aby trzymać otwarte swoje znużone oczy, mimo to zachwycona była podróżą, gdyż wracała z ogromną radością w sercu: na pewno wyda córkę za mąż, a prócz tego wywozi z Lourdes najpiękniejszy cud, cudownie uzdrowioną, o której wszyscy mówili. Obiecywała sobie, że prześpi tę noc, mimo ciężkich wstrząsów, mimo że czuła tajony niepokój o Grivotte, która wydawała się jej jakaś dziwna, podniecona, nieprzytomna, gdyż wzrok miała mętny, policzki rozpalone i pokryte sinawymi plamami. Wiele razy pani de Jonquière próbowała ją utrzymać w spokoju, ale udało jej się tylko skłonić dziewczynę, aby nie kręciła się, złożyła

ręce i zamknęła oczy. Na szczęście Inne chore nie budziły żadnych obaw; albo stan ich się poprawił, albo były tak zmęczone, że już drzemały. Eliza Rouquet kupiła sobie kieszonkowe lusterko, spore okrągłe lustro, w którym nieustannie się przeglądała, stwierdzając, że jest ładna, że uzdrowienie postępuje z każdą chwilą, a czyniła to teraz z zalotnością, która kazała jej sznurować usta, próbować uśmiechu, gdyż jej twarz potwora znowu stawała się ludzka. Co do Zofii Couteau, bawiła się grzecznie; z własnej ochoty zdjęła obuwie a widząc, że nikt nie ma ochoty badać jej nogi, powtarzała, że na pewno przedostał się jej za pończochę jakiś kamyczek, ale ponieważ dalej nikt nie zwracał uwagi na nóżkę, na którą wejrzała Najświętsza Panna, Zofia ujęła stopę w ręce, gładziła ją i zdawała się z ogromną przyjemnością dotykać jej i bawić się nią.

Pan de Guersaint stanął oparty łokciami o przegrodę i patrzył na pana Sabatier.

– Ach, ojcze, ojcze – powiedziała nagle Maria — spójrz na tę ryse w drzewie. Wyżłobiły ją okucia mojego wózka!

Ten odnaleziony ślad uczynił ją tak szczęśliwą, że na chwilę zapomniała o tajemnej trosce, którą – jak się zdawało – postanowiła przemilczeć. Tak jak pani Vincent rozplakała się na widok skórzanych pasów, których dotykała jej córeczka, tak Maria nagle uczuła radość spostrzegłszy te zadrapania, które przypominały jej długie męczarnie na tym miejscu, całą tę minioną ohydę, co rozwiąła się jak koszmarny sen.

– I pomyśleć, że to było zaledwie przed czterema dniami! Leżałam tutaj, nie mogłam się ruszać, a teraz, teraz chodzę, jest mi tak lekko, o Boże!

Piotr i pan de Guersaint uśmiechali się do niej. Pan Sabatier, który usłyszał jej słowa, rzekł powoli:

– To prawda, człowiek pozostawia coś ze siebie w martwych przedmiotach, coś ze swoich cierpień, nadziei, a gdy te przed – mioty odnajduje, przemawiają do niego, powtarzają mu rzeczy, które go smućą lub radują.

Ze zrezygnowaną miną siedział w milczeniu w swoim kącie od wyjazdu z Lourdes; nawet żonie, gdy otulając mu nogi zapytała, czy go boli, odpowiedział tylko przeczącym ruchem głowy. Nie czuł bólu, ale opanowało go ogromne przygnębienie.

– Otóż ja – mówił dalej – podczas długiej podróży w tamtą stronę zabawiałem się liczeniem ozdób tu, w górze, na suficie. Jest ich trzysta od lampy do drzwi. Przed chwilą przeliczyłem je, oczywiście jest ich dalej trzysta... Tak samo mosiężna gałka obok mnie. Nie macie państwo wyobrażenia, ile marzeń snułem patrząc, jak błyszczała ona w tę noc, kiedy ksiądz czytał nam dzieje Bernadety. Tak, widziałem siebie zdrowym, odbywałem podróż do Rzymu, o której mówię już od dwudziestu lat, chodziłem, zwiedzałem świat, po prostu szalone, urocze marzenia... A teraz wracamy do' Paryża, tam, w górze, jest trzysta ozdób, gałka błyszczy i wszystko to uświadamia mi, że znowu znalazłem się na tej ławce, że nogi moje pozostały martwe... Wiadomo już, że jestem i będę tylko starym biednym bydlęciem, którego nic już nie

czeka.

Dwie duże łzy ukazały mu się w oczach, widocznie przyszła na niego chwila rozgoryczenia. Ale podniósł dużą, kwadratową głowę, o szczęce znamionującej cierpliwy upór.

– Po raz siódmy wybrałem się do Lourdes, ale Najświętsza Panna mnie nie wysłuchała. Trudno, nie powstrzyma to mnie od pielgrzymki w przyszłym roku. Może wreszcie raczy wejrzeć na mnie...

On się nie buntował. Piotr, który także brał udział w rozmowie, zdumiony był upartą, żywotną, odrzucającą wszystko łatwowiernością tego wykształconego intelektualisty. Z jak gorącego pragnienia zdrowia i życia zrodziło się to zaprzeczenie oczywistości, ta wola zaślepienia? Upierał się, że będzie uzdrowiony, niezależnie od wszelkich możliwości naturalnych, mimo że próba cudu zawiodła go tyle razy; i tłumaczył już sobie tę nową klęskę roztargnieniem, jakiemu pozwolił opanować się przy Grocie, niedostateczną widocznie skruchą, wszelkiego rodzaju drobnymi grzechami, które zapewne nieprzychylnie, uspo – sobiły Najświętszą Pannę. Obiecywał sobie, że w roku przyszłym odprawi nowennę, zanim wybierze się do Lourdes.

– Ale, właśnie... – mówił dalej. – Wiedzą państwo, jakie szczęście miał mój zastępca, ten suchotnik, przypominają sobie państwo, za którego dałem pięćdziesiąt franków – jakie miała kosztować podróż – zgłaszając się do szpitala. Otóż został on całkowicie uzdrowiony.

– Doprawdy? Suchotnik?! – zawołał pan de Guersaint.

– Całkowicie, drogi panie, jak ręką odjął! Widziałem go tak wynędzniałym, żółtym, chudym, a teraz przyszedł odwiedzić mnie w szpitalu, zuch aż miło!. Nawet dałem mu jeszcze pięć franków.

Piotr powstrzymał uśmiech, bo znał ten przypadek dzięki doktorowi Chassaigne; ów cudownie uzdrowiony był symulantem, co ustalono wreszcie w lekarskim biurze badania uzdrowień. Zjawiał się tam już co najmniej trzeci raz; w pierwszym roku – paralityk, później z guzem, w obu wypadkach całkowicie uzdrowiony. Za każdym razem kazał się wozić, dostawał pomieszczenie, wikt i odjeżdżał sownie obdarowany jałmużną. Był to dawny pielęgniarz szpitalny; charakteryzował się, zmieniał, udawał chorobę tak doskonale, że trzeba było przypadku, aby doktor Bonamy odkrył oszustwo. Zresztą zakonnicy natychmiast zażądali, aby całe zajście utrzymać w tajemnicy. Po co czynić z tego skandalu żer dla dzienników? Gdy wykrywali tego rodzaju szachrajstwo z cudami, zadowalali się usunięciem winowajców z widowni. Symulanci bywali zresztą dość rzadcy, mimo że umysły wolteriańskie rozpowszechniały o Lourdes wielce ucieszne historyjki. Niestety, obok wiary sporo było głupoty i ciemnoty.

Pan Sabatier był ogromnie poruszony myślą, że Niebo uzdrowiło człowieka, który przyjechał na jego koszt, gdy on wracał bezwładny, w tym samym oplakany stanie. Westchnął i nie mógł

powstrzymać się od uwagi, która w swej rezygnacji zawierała również szczyptę zazdrości:

– Właściwie czego chcieć więcej? Najświętsza Panna wie najlepiej, co robi. Przecież ani pan, ani ja nie będziemy żądać od niej, aby się tłumaczyła ze swego postępowania... Gdy spodoba się jej wejrzeć na mnie, zawsze znajdzie mnie u swoich stóp. W Mont-de-Marsan, gdy odmówiono *Anioł Pański*, siostra Hiacynta zaczęła drugą część różańca, pięć tajemnic bolesnych: Konanie w Ogrójcu, Biczowanie, Cierniem ukoronowanie, Niesienie krzyża, Ukrzyżowanie. Następnie zjedli obiad w wagonie, ponieważ postój wypadał dopiero w Bordeaux, gdzie mieli przyjechać o jedenastej wieczór. Wszystkie koszyki pielgrzymów wypchane były żywnością, nie licząc już mleka, bulionu, czekolady i owoców, które przysłała z kantyny siostra od Świętego Franciszka. Podróżni dzielili się po bratersku, jedzenie rozkładali na kolanach, wytwarzały się serdeczne sąsiedzkie stosunki, każdy przedział stawał się okolicznościowym gronem biesiadników przy składkowym posiłku, gdzie każdy wnosił swój udział. Gdy pociąg mijał Morcenx, obiad był skończony, pielgrzymi chowali resztki chleba i zatłuszczone papiery.

– Moje dzieci – rzekła wstając siostra Hiacynta – teraz odmówimy modlitwę wieczorną!

Wówczas podniósł się niewyraźny pomruk: *Ojcze nasz, Zdrowaś*, rachunek sumienia, akt skruchy, ofiarowanie się Bogu, Najświętszej Pannie i wszystkim świętym oraz dzięki za szczęśliwie przeżyty dzień, a na koniec modlitwa za wszystkich wiernych, żywych i umarłych.

– O dziesiątej, gdy będziemy w Lamothe – powiedziała znów zakonnica – uprzedzam, iż zarządzę milczenie. Ale mam nadzieję, że okażecie się bardzo grzeczni i nie będę musiała nikogo strofować.

Słowa te wywołały ogólną wesołość. Było wpół do dziewiątej, powolna noc zatapiała krajobraz. Tylko na wzgórzach pozostało jeszcze blade pożegnanie zmierzchu, gdy niżej położone tereny tonęły już w grubej tkaninie ciemności. Pociąg całą parą wjechał na ogromną równinę i było już tylko to morze cienia, przez które pędził bez końca, pod czarnobłękitnym niebem usianym gwiazdami.

Od pewnej chwili Piotra zastanowiło zachowanie Grivotte. Podczas gdy chore i pielgrzymi zapadali już w sen, ściśnięci wśród nieustannie kołyszących się bagaży, ona stanęła sztywno i uchwyciła się przegrody w nagłym lęku. W bladym, żółtym, kołyszącym się świetle lampy wydawała się jakby znowu wychudła, twarz miała siną i udreżoną. – Proszę uważać, ona upadnie – zawołał ksiądz do pani de Jonquière, która, z zamkniętymi oczyma, już poddawała się senności.

Pani de Jonquière zerwała się. Ale siostra Hiacynta odwróciła się jeszcze szybciej, chwyciła w ramiona Grivotte, którą wściekły napad kaszlu obalił na ławkę. Przez pięć minut nieszczęsna dusiła się w takim ataku, że biedne jej ciało zdawało się pękać. Potem z warg popłynęły czerwone strużki, a wreszcie usta jej wypełniły się krwią.

– O Boże, Boże! To jej znów powraca! – powtarzała pani de Jonquière zrozpaczona. – Ja coś

podejrzewałam, byłam niespokojna widząc, że ona jest taka dziwaa... Zaraz usiądę koło niej.

Zakonnica nie zgodziła się.

– Nie, nie, pani powinna trochę się przespać, ja będę czuwać... Pani nie jest przyzwyczajona, w końcu pani sama się rozchoruje.

Usiadła obok Grivotte, oparła o swoje ramię jej głowę, otarłszy jej wprzód zakrwawione wargi. Atak minął, ale wracało osłabienie tak wielkie, że nieszczęsna miała zaledwie siłę wyjąkać:

– Ach, to nic, to naprawdę nic!... Jestem uzdrowiona, jestem uzdrowiona, zupełnie uzdrowiona!

Piotr był głęboko poruszony. To piorunujące pogorszenie przejęło dreszczem wszystkich w wagonie. Wiele osób podniosło się, patrzyło z przerażeniem. Później wszyscy zaszyli się w swoje kąty, nikt nie przemówił, nikt się nie ruszył. Piotr myślał o zadziwiającym przypadku, jaki stanowiła dla medycyny ta dziewczyna; odzyskała w Lourdes siły i ogromny apetyt, dużo chodziła z rozpromienioną twarzą, roztańczona, a teraz pluje krwią, kaszle, twarz ma ołowianą jak w agonii; nastąpił brutalny nawrót choroby, która mimo wszystko odniosła zwycięstwo. Czy więc był to jakiś szczególny przypadek suchot, powikłany przez neurozę? A może jakaś inna choroba, nieznana, która spokojnie czyniła postępy wśród sprzecznych diagnoz? Otwierało się morze ignorancji i omyłek, ciemności, w których szamoce się jeszcze ludzka wiedza. I znów stanął mu przed oczyma doktor Chassaigne wzruszający z pogardą ramionami, gdy tymczasem doktor Bonami, pełen pogody, spokojnie prowadził swoje dzieło stwierdzania uzdrowień, przejęty niezachwianą pewnością, że nikt mu nie dowiedzie niemożliwości tych jego cudów, tak samo jak znowu on nie mógłby dowieść ich możliwości.

– Ach, ja się wcale nie boję – bełkotała wciąż Grivotte – bo tam przecież oni wszyscy mi to powiedzieli, jestem uzdrowiona, kompletnie uzdrowiona.

Wagon toczył się w czarnej nocy. Każdy mościł się na swój sposób, wyciągał się, aby spać jak najwygodniej. Zmuszono panią Vincent, aby położyła się na ławce, dano jej poduszkę, na której mogła oprzeć swą biedną, zbolałą głowę: łagodna teraz jak dziecko, apatyczna, drzemała w martwocie koszmaru, a ciche, grube łzy spływały ciągle z jej zamkniętych oczu. Eliza Rouquet również miała dla siebie całą ławkę i przygotowywała się do spania, ale przedtem, coraz to przyglądając się swej twarzy w lustrze, zrobiła gruntowną toaletę na noc, zawiązała na głowie czarną chustkę, pod którą ukrywała ranę, patrzyła, czy ładnie teraz wygląda, gdy z wargi znikła opuchlizna. I znów Piotr dziwił się tej gojącej się, jeśli nie zagojonej ranie, tej twarzy potwora, na którą teraz można było spoglądać bez zgrozy. I tutaj rozpościerało się przed nim morze niepewności. A może nie był to prawdziwy toczeń? Może to jakaś nie znana dotąd odmiana wrzodu na tle histerycznym? A może trzeba przyjąć, że pewne mało znane tocznie, na tle złego odżywiania skóry, mogły ulegać poprawie wskutek silnych wstrząsów moralnych? Był to cud,

o ile po trzech tygodniach, trzech miesiącach lub trzech latach toczeń nie powróci, jak suchoty u Grivotte.

Była dziesiąta, gdy wyjechano z Lamothe; wszyscy w wagonie już drzemali. Siostra Hiacynta, która wciąż trzymała na kolanach głowę śpiącej Grivotte, nie mogła wstać, więc tylko dla formy rzekła cichym głosem, który zginął w stukocie kół:

– Cisza, cisza, moje dzieci!

Ale wciąż coś się ruszało w głębi sąsiedniego przedziału, dochodził stamtąd stukot, który ją drażnił i który wreszcie sobie wytłumaczyła.

– Zofio, dlaczego kopiesz stopami o ławkę? Trzeba spać, moje dziecko.

– Ja nie kopię, proszę siostry. To klucz, który potoczył się pod moje nogi. – Co mówisz, klucz? Podaj mi go!

Przyjrzała mu się: bardzo marny, bardzo stary klucz, czarny, starty i wygładzony od użytku, którego ucho, złamane i ponownie zalutowane, zachowało bliznę. Każdy pogrzebał w swoich rzeczach, nikomu nie brakowało klucza.

– Znalazłam go w kącie – mówiła Zofia. – To pewnie własność tego człowieka.

– Jakiego człowieka? – zapytała zakonnica.

– No, tego, co umarł.

Wszyscy już o nim zapomnieli. Siostra Hiacynta zastanowiła się: tak, tak, to na pewno własność tego człowieka, bo gdy ocierała mu czoło, usłyszała, że coś upadło na ziemię. Obracała klucz w ręce, przyglądała się brzydocie biednego, żalosego klucza, odtąd już zbytecznego, który nigdy już nie otworzy nieznanego ‘zamka gdzieś w dalekim świecie. Przez chwilę chciała włożyć go do kieszeni, jak gdyby powodowana litością dla tego kawałka *żelaza*., tak nędznego, tak tajemniczego, który był wszystkim, co pozostało po człowieku. Ale potem pomyślała pobożnie, iż nie należy się przywiązywać do niczego na tej ziemi, i przez na wpół opuszczoną szybę wyrzuciła klucz, który utonął w czarnej nocy.

– Zofio, nie baw się już, śpij – powtórzyła. – No, moje dzieci, teraz już proszę o ciszę.

Dopiero po krótkim postoju w Bordeaux, około wpół do dwunastej, sen wrócił i zawładnął całym wagonem. Pani de Jonquière nie mogła już dłużej z sobą walczyć; głowę oparła o drewnianą ściankę, twarz jej miała wyraz szczęśliwy. Państwo Sabatier również cicho spali; żaden hałas nie dolatywał z drugiego przedziału, zajętego przez Zofię Couteau i Elizę Rouquet, które wyciągnęły się na przeciwległych ławkach. Czasem słyhać było głuchą skargę, zdławiony krzyk bólu albo trwogi, który wymykał się z ust śpiącej pani Vincent, nękanej złymi snami. I tylko siostra Hiacynta siedziała z oczyma szeroko rozwartymi, bardzo zaniepokojona stanem Grivotte, która, nieruchoma teraz i prawie martwa, oddychała z trudem, rżąc nieustannie. Od krańca do krańca tej ruchomej sypialni, wstrząsanej drganiem pędzącego pociągu, chorzy i pielgrzymi zmorzeni byli snem, ręce i nogi zwisały bezsilnie, głowy osuwały się w bładym,

tańczącym świetle lamp. W głębi, w przedziale dziesięciu pątniczek, bezładnie tłoczyły się biedne, brzydkie twarze, stare i młode, na które sen, jak się zdawało, spadł, gdy kończyły hymn, bo usta miały jeszcze otwarte. Niezmiernie żaloszny był widok tych smutnych ludzi, zmęczonych, zdruzgotanych pięcioma dniami szaleńczych nadziei, nie kończącej się ekstazy, ludzi, którzy nazajutrz mieli się obudzić do twardej rzeczywistości.

I wtedy Piotr poczuł się jakby sam na sam z Marią. Nie chciała się położyć na ławce, mówiąc, że za długo już leżała – siedem lat; on zaś, chcąc zapewnić większą wygodę panu de Guersaint, który po wyjeździe z Bordeaux zapadł w swój głęboki dziecienny sen, usiadł koło Marii. Raziło ją światło lampy, więc opuścił zasłonę, tak że znaleźli się w przeźroczystym, niezmiernie łagodnym cieniu. W tej chwili pociąg widocznie wjechał na równinę, prześlizgiwał się przez noc jak w bezkresnym locie, z ogromnym i rytmicznym szumem skrzydeł. Przez szybę, którą opuścili, rozkoszny chłód szedł od pól czarnych, niezgłębionych, gdzie nie błyskało choćby drobne zagubione światło miasteczka. W pewnej chwili zwrócił się do niej i zobaczył, że oczy ma zamknięte. Ale wiedział, że nie śpi, lecz rozkoszuje się ogromnym spokojem w tym pomruku burzy, w pędzie tej ucieczki poprzez ciemności; on również zamknął oczy i długo, głęboko się zamyślił.

I znowu stanęła przed nim przeszłość, mały domek w Neuilly, pocałunek, jaki wymienili przy kwitnącym żywopłocie, pod zatopionymi w słońcu drzewami. Jakie to już było dalekie i jakąż wonią przesyciło całe jego życie! Potem powróciła gorycz dnia, gdy wyświęcono go na księdza. Ona nigdy nie miała być kobietą, on zgodził się nie być mężczyzną, i to miało stać się źródłem wieczystego nieszczęścia, ponieważ przewrotna natura odrodziła w niej teraz żonę i matkę. Gdyby zachował wiarę, znalazłby wieczną pociechę. Ale na próżno starał się ją odzyskać, na próżno pojechał do Lourdes, dręczył się przed Grotą, na próżno mamlił się chwilową nadzieją, że wreszcie uwierzy, gdy Maria zostanie uzdrowiona; nastąpiła zupełna utrata wierzeń, bez ratunku, gdy zapowiedziane uzdrowienie odbyło się w sposób zgodny z nauką. Przesunęła mu się przed oczyma ich czysta i bolesna idylla, długie dzieje skapaniej we łzach miłości. Maria przenikała jego smutną tajemnicę, przyjechała do Lourdes po to tylko, aby błagać Niebiosa o cud jego nawrócenia. Podczas procesji z pochodniami, gdy zostali we dwoje w cieniu drzew, skapani w zapachu niewidzialnych róż, modlili się wzajemnie za siebie, utonęli w sobie, gorąco pragnąc wzajemnego szczęścia. Jeszcze przed Grotą ona błagała Najświętszą Pannę, aby pominęła ją, aby uzdrowiła jego, jeśli może, uzyskać u swego Boskiego Syna tylko jedną łaskę. Potem, uzdrowiona, gnana miłością i wdzięcznością, biegnąc przez terasy ze swoim wózkiem aż do Bazyliki, myślała, że ją wysłuchano, wołała do niego o swojej 'radości, że zostali uzdrowieni, oboje, oboje! Ach, to kłamstwo z miłości i litości, złudzenie, w którym pozwolił jej tkwić od tej chwili, jakimż ciężarem leżały mu na sercu! Była to ciężka płyta, która zamknęła go w dobrowolnym grobie. Przypomniał sobie straszliwy kryzys, który o mało nie zabił go w mroku

Krypty, swój płacz, gwałtowny bunt, aby zachować ją tylko dla siebie, aby ją posiadać – bo czuł, że ona należy do niego – całą tę huczącą namiętność obudzonej męskości, która później pomału zapadła znowu w sen, utonęła w strumieniu jego łez; i aby nie burzyć złudzenia Marii, ulegając braterskiej litości, złożył heroiczną przysięgę, od której teraz umierał.

I oto pogrążony w rozmyślaniach Piotr zadrzał. Czy wystarczy mu sił, aby przysięgi dotrzymać? Na dworcu, gdy na nią czekał, czyż nie czuł w sercu niecierpliwości, zazdrosnego pragnienia, aby już opuścić to zbyt przez nią ukochane Lourdes, niejasnej nadziei, że ona do niego powróci, gdy będą z dala od tego miasta? Gdyby nie został był księdzem, mógłby się z nią ożenić. Cóż by to było za piękne, cudowne, szczęśliwe życie: oddać się jej bez reszty, wziąć ją sobie całą, odrodzić się w ukochanym dziecku! Nie istnieje przecież nic równie boskiego, jak posiadanie, jak życie, które dopełnia się i płodzi. I myśl jego pobiegła inną drogą, ujrzał się żonatym i napełniło go to radością tak żywą, że zastanowił się, dlaczego właściwie marzenie to jest nie do spełnienia. Ona jest naiwna jak dziesięcioletnia dziewczynka, on pouczałby ją, na nowo kształtowałby jej duszę. Maria zrozumie, że uzdrowienie, które przypisuje Najświętszej Pannie, zawdzięcza jedynej Matce, obojętnej i pogod – nej Naturze. Ale w miarę jak śnił te marzenia, rosła w nim jakaś święta bojaźń, biorąca początek w jego religijnym ‘wychowaniu. Wielki Boże! Czy to ludzkie szczęście, którym on pragnął ją obdarzyć, dorównywało wartością świętej ignorancji, dziecinnej naiwności, w jakiej ona żyła? Jakież dręczyłyby go później wyrzuty, gdyby nie czuła się szczęśliwą! A poza tym, jaki dramat sumienia: zrzucić sutannę, poślubić tę wczoraj uzdrowioną, tak zniweczyć jej wiarę, aby doprowadzić ją do zgody na podobne świętokradztwo! A jednak to była odwaga, rozum, życie, to znaczyło być prawdziwym mężczyzną, prawdziwą kobietą, zawrzeć związek konieczny i wielki. Dlaczego by więc nie miał się odważyć? Straszliwy smutek zamącił jego rojenia, czuł tylko, jak cierpi biedne jego serce.

Pociąg jechał z ogromnym trzepotem skrzydeł, w wagonie opanowanym ciężką sennością czuwała tylko siostra Hiacynta; nagle Maria pochyliła się ku Piotrowi i cicho powiedziała:

– To dziwne, mój drogi, jestem bardzo senna, ale nie mogę zasnąć. – Z lekkim uśmiechem dodała: – Myślę o Paryżu!

– Jak mówisz, o Paryżu?

– Tak, tak, myślę, że czeka na mnie, że tam wracam... Ach, ten Paryż, którego nie znam wcale i w którym będę musiała żyć!

Piotr przeląkł się. Słusznie przewidział, że ona nie mogła już należeć do niego, że będzie należeć do innych. Lourdes mu ją oddało, ale zabierze Paryż. I wyobrażał sobie, jak ta nieświadoma istota będzie teraz zdobywać wykształcenie kobiety. Dorosła, dwudziestotrzyletnia dziewczyna o niewinnej, białej jak śnieg duszyczce, dziewczyna, którą choroba odsunęła, odcięła od życia, która nawet nie czytywała powieści, teraz gdy odzyskała wolny lot, na pewno szybko dojrzeje. Widział ją roześmianą, zdrową, jak biega po świecie, patrzy, uczy się, a wreszcie

znajduje męża, który dokończy tej edukacji.

– A więc obiecujesz sobie, że w Paryżu będziesz się dobrze bawiła?

– Ja? Mój drogi, co też ty mówisz?... Czy jesteśmy tacy bogaci, aby się bawić?... Nie, myślę o mojej biednej siostrze, Blance, zastanawiam się, co mogłabym robić w Paryżu; aby jej trochę ulżyć. Jest taka dobra, zadaje sobie tyle trudu; nie chcę, aby ona dalej pracowała sama na wszystkich. – Po nowej chwili milczenia, ponieważ on, bardzo wzruszony, nic nie odpowiedział, ciągnęła dalej: – Kiedyś, mim zaczęłam tak cierpieć, dość dobrze malowałam miniatury. Pamiętasz, zrobiłam portret ojca, ogromnie podobny, i wszyscy uważali, że był bardzo ładny... Pomożesz mi, prawda? Wyszukasz mi pracę.

Potem opowiedziała mu, jak chce sobie ułożyć to nowe życie. Urządzi swój pokój za pierwsze zaoszczędzone pieniądze, każe go obić kretonem w niebieskie kwiatki. Blanka wspominała jej nieraz o wielkich sklepach, gdzie wszystko można było tanio kupić. Jak to będzie wesoło: wyjdzie z Blanką, pobiega trochę Dna, która nic nie widziała, od dzieciństwa przykuta do łóżka. Piotr, uspokojony na chwilę, odczuł znowu ból, widząc w niej tę płomienną chęć życia, ten zapał, aby wszystko zobaczyć, Wszystko poznać, wszystkiego zakosztować. Było to wreszcie przebudzenie kobiety, jaką miała się stać, jaką w niej niegdyś odgadywał, kobiety uwielbianej już w dziecku, w kochanym stworzeniu, wesołym i namiętym, z kwitnącymi ustami, z oczyma jak gwiazdy, mleczną cerą, złotymi włosami, tryskającym radością życia.

– O, będę pracowała, będę pracowała, a potem, dobrze mówisz, Piotrze, będę się też bawiła, bo przecież to nic złego, prawda, być wesołą?

– Oczywiście, Mario, że to nic złego!

– W niedzielę wybierzemy się na wieś, o, bardzo daleko, do lasu, gdzie rosną piękne drzewa... Będziemy też chodzić do teatru, jeżeli tatuś zechce pójść z nami. Mówiono, że jest wiele sztuk, które można by obejrzeć... Ale to jeszcze nie koniec. Ponieważ mogę chodzić, będę przebiegać ulice, oglądać wszystko, będę taka szczęśliwa, taka wesoła po powrocie!... Och, jak to dobrze żyć, prawda, Piotrze?

– Tak, tak, Mario, to bardzo dobrze.

Opanował go lekki chłód śmierci, konał z żalu, iż nie jest już mężczyzną. Dlaczego więc, skoro kusila go tak swoją drażniącą niewinnością, nie powiedzieć jej prawdy, która tak go dręczy? Wziąłby ją, zdobył. Nigdy straszniejsza walka nie toczyła się między jego sercem a wolą. Jeszcze chwila, a wyrzekłby słowa, których nie zdołałby wymazać. Ale ona mówiła dalej głosem rozbawionego dziecka:

– Ach, popatrz na biednego papę, jak on sobie smacznie śpi! Istotnie na ławce naprzeciw nich pan de Guersaint spał

z błogą miną, jak we własnym łóżku, jak gdyby nie odczuwał nieustannych wstrząsów. Zresztą te wstrząsy we wszystkich kierunkach były już tylko kołysaniem, które tym głębiej

usypiało wszystkich podróżnych. Było to zupełne poddanie się, unicestwienie ciał leżących wśród rozrzuconych bagaży, które także zdawały się drzemać w niepewnym świetle kopających lamp. Rytmiczny pomruk kół rozlegał się nieustannie w nieznanych ciemnościach, które pociąg przebywał bez odpoczynku. Czasem tylko przed jakimś dworcem lub pod mostem wicher pędu jakby się zapadał, huczała burza, a po chwili kołyszący zgiełk powracał, jednostajny, nieskończony.

Maria delikatnie ujęła rękę Piotra. Byli tak zagubieni, samotni wśród unicestwionych ludzi, w wielkim szumiącym spokoju pociągu prującego ciemną noc. Smutek, smutek, który aż dotąd skrywała, opanował ją znowu napełniając cieniem jej duże, niebieskie oczy.

– Mój kochany, będziesz u nas często bywał, prawda?

Zadrżał, czując jej małą rękę na swojej dłoni. Słowa cisnęły mu się na usta, chciał już mówić. Ale pohamował się jeszcze, szepnął z trudem:

– Mario, nie zawsze jestem wolny... Ksiądz nie wszędzie może bywać.

– Ksiądz – powtórzyła – tak, tak, ksiądz, rozumiem...

I teraz ona zaczęła mówić, wyznała śmiertelną tajemnicę, która nękała jej serce od chwili wyjazdu. Pochyliła się jeszcze bliżej ku niemu i ciszej dodała:

– Posłuchaj, drogi mój, jestem strasznie smutna. Wyglądam na uradowaną, ale śmierć mam w duszy... Ty mi wczoraj skłamałeś.

Zmieszał się, w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Ja ci skłamałem? O czym mówisz?

Jakiś wstyd powstrzymywał ją, wahała się jeszcze w chwili, gdy miała się zagłębić w tajniki cudzego sumienia. Potem rzekła jak przyjaciółka, jak siostra:

– Tak, pozwoliłeś mi wierzyć, że zostałeś zbawiony wraz ze mną, ale to nie była prawda, Piotrze, tyś nie odzyskał utraconej wiary.

Wielki Boże, a więc wiedziała! Była to dla niego taka rozpacz, taka klęska, że zapomniał o własnym utrapieniu.

Zrazu chciał się upierać przy swoim kłamstwie, które podyktowało mu braterskie współczucie.

– Zapewniam cię, Mario, że tak jest! Skąd przyszła ci myśl tak szkaradna?

– Ach, mój drogi, milcz, przez litość! Zbyt cierpiałabym, gdybyś przede mną dalej kłamał... Wiesz, tam na dworcu, tuż przed wyjazdem, gdy umarł ów nieszczęsny człowiek... Zacny ksiądz Judaine ukląkł, odmówił modlitwy za jego zbuntowaną duszę. Wszystko odczułam, wszystko zrozumiałam, gdy zobaczyłam, że ty nie klękasz i że z twoich ust nie płynie modlitwa.

– Ależ, Mario, zapewniam cię...

– Nie, nie, nie modliłeś się za zmarłego, ty już nie wierzysz! A poza tym są inne rzeczy, jest to wszystko, co odgaduję, co przenika od ciebie do mnie, rozpacz, której nie możesz ukryć,

smutek twoich biednych oczu, gdy napotykają mój wzrok... Najświętsza Panna nie wysłuchała mnie, nie zwróciła ci wiary i dlatego jestem bardzo nieszczęśliwa.

Rozplakała się; gorąca łza spadła na dłoń księdza, którą ona wciąż trzymała w swojej ręce. Wzburzony, przestał walczyć, poddał się, pozwolił z kolei płynąć swoim łzom i bardzo cichym, urywanym głosem mówił:

– Ach, Mario, ja także jestem bardzo nieszczęśliwy, bardzo nieszczęśliwy!

Na chwilę umilkli w okrutnym bólu, że otwarła się między nimi przepaść ich wierzeń. Nigdy nie byli bliźsi sobie, a rozpaczali przede wszystkim nad niemożliwością zbliżenia się na zawsze, gdyż samo Niebo odmówiło zgody na ich związek. Siedząc ramię w ramię, płakali nad rozłąką.

– A ja — zaczęła z bólem — tyle modliłam się o twoje nawrócenie i byłam taka szczęśliwa... Wydawało mi się, że twoja dusza stopiła się z moją duszą, tak słodko było zostać zbawioną z tobą razem! Czulałam siły do życia, ach, siły, aby dźwignąć cały świat!

Nie odpowiadał; łzy wciąż płynęły mu z oczu. – I pomyśleć – mówiła dalej – że zostałam uzdrowiona tylko ja, że doznałam tego wielkiego szczęścia bez ciebie! Serce mi pęka, gdy widzę cię w takim opuszczeniu i rozpacz, podczas gdy na mnie spłynęło tyle łaski i radości... Ach, jakże surową okazała się Najświętsza Panna! Dlaczego nie. uzdrowiła twojej duszy w tej samej chwili, gdy uzdrawiała moje ciało?

Była to ostatnia sposobność, powinien był przemówić, ukazać wreszcie światło rozsądku tej naiwnej istocie, wyjaśnić jej cud, aby życie, które dokonało w niej dzieła uzdrowienia, osiągnęło pełny tryumf, rzucając ich sobie w ramiona. On także był uzdrowiony, umysł jego był odtąd zdrowy i Piotr płakał nie dlatego, że utracił wiarę, lecz że utracił Marię. Ale przemożna litość opanowała go w jego cierpieniu. Nie, nie, nie zmać tej duszy, nie odbierze jej wiary, która może stanie się dla niej kiedyś jedyną podporą w cierpieniach tego świata! Nie można jeszcze żądać od dzieci i od kobiet gorzkiego heroizmu, rozsądnego myślenia. Nie mógł się na to zdobyć, uważał, że nie ma prawa tak postąpić. Wydało mu się to gwałtem, ohydny morderstwem. I nie powiedział nic, jego palące łzy popłynęły jeszcze obficie, gdy tak poświęcał swoją miłość, składał rozpaczliwą ofiarę, z własnego szczęścia, byle Maria pozostała czysta, nieświadoma i radosna.

– Ach, Mario, jestem tak nieszczęśliwy! Nie ma na świecie, nie ma wśród galerników człowieka bardziej ode mnie nieszczęsnego! Ach, Mario, gdybyś wiedziała, gdybyś ty wiedziała, jaki jestem nieszczęśliwy!

Przeraziła się, chwyciła go w drżące ramiona, chcąc go pocieszyć w siostrzanym uścisku. Budząca się w niej kobieta odgadła w tej chwili wszystko, a wtedy i ona zapłakała nad wolą boską i ludzką, która ich rozłączyła. Nigdy jeszcze o tych sprawach nie myślała, a nagle zrozumiała życie, wszystkie jego namiętności, walki, cierpienia; szukała słów, którymi mogłaby ukoić trochę to krwawiące serce, i szepnęła cicho, zrozpaczona, że nie znajduje słów dość

subtelnych:

– Ja wiem, wiem...

Wreszcie znalazła te słowa i jak gdyby to, co chciała powiedzieć, mogło zostać usłyszane tylko przez anioły, zaniepokoiła się, spojrzała wokoło po wagonie. Ale wydawało się, że jeszcze głębszy sen zawładnął dokoła. Jej ojciec spał niewinnie jak duże dziecko. Nie poruszył się nikt z pielgrzymów, żadna z chorych, ukołyszanych dygotaniem pociągu. Nawet siostra Hiacynta poddała się przytłaczającemu. znużeniu i przymknęła powieki, zasłoniwszy najpierw lampę w swoim przedziale. Był już tylko niepewny cień, niewyraźne ludzkie kształty, wśród trudnych do określenia przedmiotów, zaledwie jakieś zarysy, które bez końca, w szaleńczej ucieczce, pośród głębokich ciemności unosił podmuch burzy. Maria także poczuła nieufność do tego czarnego, obcego krajobrazu, który ciągnął się po obu stronach wagonu, tak że nie było nawet widać mijanych rzek, wzgórz i lasów. Niedawno ukazały się żywe iskry, może jakieś dalekie fabryki, smutne lampy robotników albo chorych; ale po chwili znowu płynęła głęboka noc, morze ciemne, nieskończone, bezimienne, na którym było się coraz dalej, wciąż gdzie indziej i nigdzie.

Wtedy Maria, zawstydzona i zarumieniona od łez, zbliżyła usta do ucha Piotra.

– Posłuchaj, mój drogi... Mamy z Najświętszą Panną wielką tajemnicę. Przysięgam jej, że nikomu o tym nie powiem. Ale ty jesteś zbyt nieszczęśliwy, zbyt mocno cierpisz, więc ona wybaczy mi, że ci tę tajemnicę zdradzę.

I powiedziała jednym tchnieniem:

– W tę noc miłości, pamiętasz, noc płomiennej ekstazy, jaką spędziłam przed Grotą, złożyłam ślub; przyrzekłam Najświętszej Pannie, że uczynię jej dar z mojego dziewictwa, jeśli mnie uzdrowi... Uzdrowiła mnie, a więc nigdy, słyszysz, Piotrze, nigdy nie będę niczyją żoną.

Cóż za nagła słodycz! Wydało mu się, że rosa spływa na jego biedne, udęczone serce. Był to boski czar, rozkoszna ulga. Jeżeli ona nie będzie nigdy należała do innego, będzie zawsze trochę należała do niego. Jak dobrze rozumiała jego ból, jak wiedziała, co należało powiedzieć, aby jego życie stało się jeszcze możliwe!

Zapragnął i on z kolei znaleźć właściwe słowa, podziękować jej, przyrzec, że on także zawsze będzie tylko do niej należał, kochał ją bezgranicznie, tak jak kochał ją od dzieciństwa, jako najmiłszą istotę, której jeden pocałunek, dany niegdyś, wystarczył, aby przepoić zapachem całe jego życie. Ale ona nakazała mu ciszę, już niespokojna, że zamąci tę chwilę, tak czystą.

– Nie nie, mój drogi, nie mówmy już nic więcej. Może to będzie źle... Jestem bardzo zmęczona, teraz zasnę spokojnie.

Pozostała z głową przy jego ramieniu i natychmiast zasnęła, jak ufna siostra. On przez chwilę jeszcze bronił się przed snem w bolesnym szczęściu wyrzeczenia, którego wspólnie zakosztowali. Tym razem wszystko było skończone, ofiara spełniona. Będzie żył samotnie, poza

kręgiem innych ludzi. Nigdy nie pozna kobiety, nigdy nie spłodzi żywej istoty. Pozostała, mu tylko pocieszycielska duma z przyjętego dobrowolnego samobójstwa, zrozpaczona wielkość istot żyjących poza naturą.

Ale i jego przytłaczało zmęczenie, powieki opadały, z kolei i on zasnął. Po chwili głowa mu się osunęła, dotknął policzkiem twarzy przyjaciółki, która spała słodko, z czołem opartym na jego ramieniu. Włosy ich mieszały się z sobą. Złote, królewskie włosy Marii na wpół się rozplotły; on, ze skapaną w nich twarzą, śnił wśród ich zapachu. Na pewno ten sam błogi sen nawiedził ich oboje, bo ich wrażliwe twarze nabrały jednakowego wyrazu zachwycenia, oboje uśmiechali się do aniołów. Było to oddanie czyste i namiętne, niewinność przypadkowego snu, który rzucił ich sobie wzajemnie w ramiona, trzymających się za ręce; zbliżone ku sobie wargi były gorące, oddechy łączyły się, byli jak nagie dzieci leżące w jednej kołysce. I to była noc. Ich zaślubin, dopełnienie duchowego związku, w jakim mieli odtąd żyć, rozkoszne unicestwienie w zmęczeniu, ulotny sen mistycznego posiadania w tym wagonie nędzy i cierpienia, który wciąż jechał, jechał poprzez czarną noc. Płynęły godziny, koła stukotały, bagaże kołysały się na wieszakach; ze stłoczonych, pokonanych ciał parowało ogromne zmęczenie, wielkie znużenie fizyczne kraju cudów, następstwo przemęczenia dusz.

Wreszcie o godzinie piątej, gdy wzeszło słońce, nastąpiło gwałtowne przebudzenie, wjechali na obszerny dworzec, rozległy się wołania urzędników, drzwi się otwierały, ludzie tłoczyli się. Stanęli w Poitiers, nikt już nie spał, rozlegał się gwar głosów, nawoływania i śmiechy.

To mała Zofia Couteau wysiadła i zęgnąła się ze wszystkimi. Ucałowała panie, przelazła nawet przez ściankę, aby pożegnać siostrę Klarę od Aniołów, której od poprzedniego wieczoru nikt nie widział, bo zaszyła się w kącie, drobna i cicha, ze swoimi tajemniczymi oczyma. Następnie dziewczynka wróciła, wzięła tłumoczek; najserdeczniej pożegnała siostrę Hiacyntę i panią, de Jonquière.

– Do widzenia, siostro! Do widzenia pani!... Dziękuję za okazaną mi dobroć.

– Powinnaś znowu wybrać się w następnym roku, moje dziecko.

– O tak, siostro, wybiorę się na pewno! To mój obowiązek.

– Kochane maleństwo, bądź dobra i zdrowa, tak aby Najświętsza Panna mogła być dumna z ciebie.

– Tak, proszę pani, Najświętsza Panna była dla mnie tak dobra, że bardzo lubię jeździć do Lourdes, aby ją zobaczyć.

Gdy stała już na peronie, wszyscy pielgrzymi wychylili się z wagonu i patrzyli na nią z rozradowanymi twarzami, zegnali ją i wołali do niej:

– Do przyszłego roku! Do przyszłego roku!

– Tak, tak, bardzo dziękuję za wszystko! Do przyszłego roku!

Modlitwę poranną mieli odmówić dopiero w Châtellerault. Gdy po chwili postoju w Poitiers

pociąg potoczył się dalej w drobnym, chłodnym dreszczu poranka, pan de Guersaint oświadczył z wesołą miną, że spał doskonale, mimo że ławka była twarda. Pani de Jonquièrę również wieszowała sobie dobrego wypoczynku, który był jej tak potrzebny, trochę jednak czuła się zawstydzona, że pozwoliła siostrze Hiacyncie samotnie czuwać przy Grivotte, która teraz drżała w wysokiej gorączce, znów nękana strasznym kaszlem. Inne pątniczki zajęły się trochę swoją toaletą: dziesięć kobiet w głębi wagonu – brzydkich ubogą i smutną brzydota – poprawiało chustki, zawiązywało wstążki u czepków z jakimś wstydlwym niepokojem. Eliza Rouquet, skupiona, przyglądając się swojej twarzy w lustrze, nieustannie badała nos, usta, policzki i podziwiała się, chłoneła wzrokiem, znajdując, że stanowczo wygląda coraz ładniej.

Piotr i Maria z wielkim współczuciem spojrzeli na panią Vincent, której nic nie zdołało wyrwać z odrętwienia: ani hałaśliwy postój w Poitiers, ani gwar głosów, który podniósł się, gdy pociąg ruszył dalej. Apatycznie siedziała na ławce, nie otworzyła oczu, wciąż drzemała, nękana okrutnymi snami. I grube łzy spływały jej z oczu, gdy chwyciła poduszkę, którą – ulegając namowom – wsunęła sobie pod głowę; tuliła ją mocno do piersi w jakimś koszmarze swego udęczonego macierzyństwa. Biedne ramiona matki, tak długo obciążone ciałem umierającego dziecka, jej bezczynne, puste na zawsze ramiona znalazły we śnie poduszkę i objęły ją, jak zjawę, ślepym uściskiem.

Pan Sabatier obudził się wesoły. Podczas gdy pani Sabatier starannie okrywała jego martwe nogi, zaczął rozmawiać, oczy mu błyszczały, odzyskał łaskę iluzji. Opowiadał, że śniło mu się Lourdes, że Najświętsza Panna pochyliła się ku niemu z uśmiechem życzliwej obietnicy. W obliczu pani Vincent, matki, której dziecku Matka Boska z Lourdes pozwoliła umrzeć, w obliczu Grivotte, nieszczęsnej istoty, którą uzdrowiła, ale która znów zapadła okrutnie na swą śmiertelną chorobę, mówił z niezachwianą pewnością:

– O, proszę pana, wracam do domu zupełnie spokojny... W następnym roku zostanę uzdrowiony... Tak, tak... Jak wołała przed chwilą ta kochana, miła dziewczynka: do przyszłego roku, do przyszłego roku!

Było to złudzenie, którego nic nie mogło zachwiać, zwyciężające nawet pewność, była to wieczysta nadzieja, która nie chciała umierać i odradzała się z jeszcze większą siłą po każdej klęsce, na ruinach wszystkiego.

W Châtellerault siostra Hiacynta kazała odmówić modlitwę poranną, *Ojcze nasz*, *Zdrowaś Mario* i *Wierzą* oraz prośbę ‘do Boga, aby dał dzień pełen zwycięskiej chwały. „O Boże mój, daj mi dość siły, abym uniknął wszelkiego zła, abym czynił wszelkie dobro, abym mógł znieść wszelkie utrapienia!”

I podróż trwała dalej, pociąg jechał wciąż naprzód. W SaintMaure odmówiono modlitwy mszalnej, w Saint-Pierre-desCorps odśpiewano *Credo*. Ale ćwiczeń pobożnych nie odprawa – wiano już tak chętnie, gorliwość nieco osłabła w narastającym zmęczeniu powrotną drogą, po tak długotrwałej egzaltacji. Toteż siostra Hiacynta zorientowała się, że bardzo pożądanym urozmaiceniem dla tych wszystkich wyczerpanych ludzi byłaby lektura; obiecała więc, że zgodzi się, aby ksiądz Froment przeczytał im dzieje ostatnich lat życia Bernadety, którego tak piękne fragmenty już dwukrotnie im opowiadał. Ale muszą poczekać do Aubrais; z Aubrais do Étampes jedzie się dwie godziny, więc będzie dość czasu, aby spokojnie dokończyć opowiadania.

Stacje następowały po sobie, jako monotonne powtórzenie tego, co mijali jadąc do Lourdes przez te same równiny. W Amboise odmówili różaniec, pierwszą część, pięć tajemnic radosnych; w Blois odśpiewali hymn *Błogosław, Matko*, a w Beaugency odmówili drugą część różańca, pięć tajemnic bolesnych. Słońce od rana otoczyło się puszystym woalem chmur, uciekający za oknami krajobraz był ogromnie łagodny i trochę smutny w swym jednostajnym ruchu otwartego wachlarza. Po obu stronach drogi, w szarawym świetle, drzewa i domy znikwały z lekkością snu; w dali natomiast pagórki, skąpane w mgle, przesuwały się wolniej, w spokojnym kołysaniu morskiego przypływu. Między Beaugency i Aubrais pociąg zdawał się zwalniać, ale jechał bezustannie, z rytmicznym, upartym stukotem kół, którego oszołomieni pielgrzymi już nawet nie słyszeli. Wreszcie, kiedy ruszyli z Aubrais, zaczęło się w wagonie śniadanie. Była za kwadrans dwunasta. Gdy odmówili *Anioł Pański*, trzy *Zdrowaś* po trzykroć powtarzane, Piotr Wyjął z walizki Marii małą książeczkę, której niebieską okładkę zdobił naiwny obrazek przedstawiający Matkę Boską z Lourdes. Siostra Hiacynta zaklaskała w ręce, nakazując milczenie. Ksiądz zaczął więc czytać swoim pięknym, przejmującym głosem, a towarzyszyło temu ogólne ożywienie, ciekawość dużych dzieci, zachwyconych cudowną baśnią. Była teraz mowa o pobycie w Nevers i o śmierci Bernadety. Ale Piotr, jak w obu poprzednich razach, wnet przestał się trzymać tekstu książeczki i przeplatał go pełnymi uroku opowiadaniem o tym, co wiedział i co odgadł; i znowu stawały przed nim te praw – dziwne, ludzkie, żalosne dzieje, których nikt jeszcze nie opowiadał, a które go wzruszały do głębi.

Bernadeta opuściła Lourdes 8 lipca 1866 roku. Wyjechała, aby zamknąć się w klasztorze Saint-Gildard w Nevers, macierzystym domu zakonnic obsługujących szpital, gdzie ona nauczyła się czytać, gdzie przebywała od ośmiu lat. Miała wtedy dwadzieścia dwa lata, osiem zaś minęło od czasu, gdy ukazała się jej Najświętsza Panna. Rozstanie z Grotą, z Bazyliką, z całym ukochanym miastem oblała łzami. Ale nie mogła tam dłużej pozostać wobec stałej udręki powszechnej ciekawości, odwiedzin, hołdów, adoracji. Jej wątłe zdrowie okrutnie na tym cierpiało. Szczera pokora, trwożna miłość do cienia i ciszy zrodziły w niej wreszcie pragnienie, aby zniknąć, aby w nie znanych nikomu ciemnościach ukryć swą głośną sławę wybranki, której świat nie chciał już zostawić w spokoju; więc marzyła tylko o życiu w prostocie ducha, o cichej

zwyczajnej egzystencji, poświęconej modlitwie i zwykłym codziennym pracom. Dlatego wyjazd był ulgą dla niej i dla Groty, której przeszkadzała jej zbyt wielka niewinność i zbyt ciężkie choroby.

Nevers, Saint-Gildard musiały się jej wydać rajem. Znalazła tam słońce, powietrze, duże sale, wielki ogród z pięknymi drzewami. A jednak nie zaznała odpoczynku, całkowitego zapomnienia o świecie w dalekiej samotni. W trzy tygodnie mniej więcej po przybyciu oblekła święty habit, pod imieniem siostry Marii Bernardy, składając na razie tylko śluby czasowe. Mimo to świat nie zostawił jej w spokoju, prześladowania tłumu wokoło niej zaczęły się na nowo. Ludzie ścigali ją nawet w klasztorze, przejawiając niewygasłą chęć czerpania łask z jej świętej osoby. Ach, zobaczyć ją, dotknąć jej, mieć szczęście podziwiania jej, korzystając z chwili nieuwagi potrzeć o jej suknię medalik! Była to przesądna namiętność dla fetysza, wierni tłoczyli się, dręczyli to biedne stworzenie, które stało się dla nich Bogiem, więc każdy chciał uszczknąć swoją cząstkę nadziei i boskiej ułudy. Ona płakała ze znużenia, z bezsilnego buntu, i powtarzała: „Dlaczego oni tak mnie dręczą? Czyż ja posiadam coś więcej niż inni?” Z czasem ogarniał ją prawdziwy ból, że jest niby „osobliwe zwierzę”, jak się wresz – cie sama nazwała ze smutnym, cierpiącym uśmiechem. Broniła się ze wszystkich sił, nie chciała nikogo widzieć. Bronili jej także inni, i to niekiedy bardzo gorliwie, dopuszczając do niej tylko osoby upoważnione przez biskupa. Bramy klasztoru były zamknięte, niemal sami tylko duchowni nie stosowali się do zakazu. Ale i tego było za wiele dla jej pragnienia samotności; musiała nieraz upierać się, żądała, aby odprowadzono księży, z góry już udęczona tym, że będzie znów musiała opowiadać to samo, poddawać się stale tym samym indagacjom. Obrażało ją to i raniło z uwagi na Najświętszą Pannę. Ale czasami musiała ustąpić, Jego Ekscelencja osobiście przyprowadzał ważne osobistości, dygnitarzy, prałatów; ukazywała się wtedy z poważnym wyrazem twarzy, odpowiadała uprzejmie, możliwie jak najzwięźlejš; swobodnie czuła się tylko wtedy, gdy mogła wrócić do swego ciemnego zakątka. Nigdy bóstwo nie zaciążyło bardziej na stworzeniu. Pewnego dnia, gdy ją spytano, czy nie jest dumna z ciągłych wizyt biskupich, łagodnie odrzekła: „Jego Ekscelencja nie przychodzi, aby mnie zobaczyć, lecz aby mnie pokazywać.” Książęta Kościoła, wielcy wojujący katolicy pragnęli ją ujrzeć, roztkliwiali się, płakali w jej obecności; ale ona odczuwając wstręt do dawania z siebie widowiska, wobec przykrości, jakiej doznawała jej prostota, rozstawiała się z nimi nie zrozumiawszy ich, bardzo zmęczona i bardzo smutna.

Z czasem urządziła sobie egzystencję w Saint-Gildard, prowadziła tam życie monotonne, wrosła stopniowo w nawyki, które stały się jej drogą. Była tak wątła, tak często zapadała na zdrowiu, że zatrudniono ją w infirmerii. Spełniała tam nieliczne posługi, a prócz tego pracowała i stała się nawet zręczną robotnicą, haftując misterne alby i antepedia ołtarzy. Ale nieraz opuszczały ją wszelkie siły, nie mogła się zająć nawet tymi lekkimi pracami. Gdy nie leżała w łóżku, spędzała długie dni w fotelu odmawiając różaniec lub oddając się pobożnej lekturze, co

było dla niej jedynym urozmaiceniem. Od kiedy nauczyła się czytać, książki interesowały ją bardzo, piękne historie nawróceń, piękne legendy, gdzie występowali święci i święte, a także piękne i przerażające dramaty, gdzie diabeł bywał wyszydzany i musiał jak niepyszny wracać do piekła. Ale największą miłością, największym cudem pozostała dla niej Biblia, ten zadziwiający Nowy Testament, którego stały cud nigdy jej nie powszedniał. Przypominała sobie Biblię z Bartrès, starą, pozółkłą księgę, od stu lat przechowywaną w rodzinie; widziała męża swojej Opiekunki, jak na każdej wieczornicy na chybił trafił wbijał szpilkę między kartki, a potem zaczynał czytać od góry na prawej stronie. W tym czasie tak już dobrze знаła te wspaniałe opowieści, że mogła recytować je na pamięć, od któregośkolwiek zdania począwszy. Teraz, gdy mogła sama je czytać, odczuwała wieczne zdziwienie i coraz nowy zachwyt. Zwłaszcza głęboko nią wstrząsało opowiadanie o Męce Pańskiej, jak niezwykle i tragiczne wydarzenie, które rozegrało się zaledwie wczoraj. Płakała ze współczucia, całe jej biedne, zbolące ciało drżało wówczas przez długie godziny. Może w jej łzach wyrażał się nieświadomy ból własnej męki, rozpaczliwa kalwaria, na którą i ona wspinała się od wczesnej młodości. Gdy nie chorowała i mogła pracować w infirmerii, krzątała się, wypełniając klasztor swoją żywą wesołością dziecka. Aż do śmierci pozostała naiwna, niewinna, lubiła się śmiać, skakać, bawić. Była bardzo drobna, najmniejsza w tym zgromadzeniu, co sprawiało, że towarzyszki zawsze traktowały ją trochę jak dziewczynkę. Twarz jej wydłużała się, zapadała, traciła blask młodości, tylko oczy zachowywały boską czystość, jasność, piękne oczy wizjonerki, gdzie jak po przeźroczystym niebie przelatowały marzenia. Postępując w latach i cierpiąc, stawała się nieco szorstka i gwałtowna, charakter jej psuł się, była nerwowa, czasem twarda; były to drobne niedoskonałości, z których po kryzysie robiła sobie śmiertelne wyrzuty. Kajała się, uważała się za potępioną, błagała wszystkich o przebaczenie. Ale przeważnie było to dobre boże dziecię. Żywa, zwinna, cięta w odpowiedziach, umiała rozśmieszyć otoczenie i odznaczała się wdziękiem, który sprawiał, że ją uwielbiano. Mimo ogromnej pobożności, mimo że całe dni spędzała na modlitwie, religijność jej nie była surowa, Bernadeta nie objawiała jej przesadnie wobec otoczenia, była wyrozumiała i pełna współczucia. Żadna ze świętych dziewic nie była bardziej kobietą, istotą o cechach tak indywidualnych, o tak wyraźnym charakterze, uroczą nawet w swej niedojrzałości. I ten dar dziecięstwa, jaki zachowała, ta prostoduszna niewinność dziecka, jakim pozostała, sprawiały jeszcze, że kochały ją dzieci widząc w niej duszę pokrewną: wszystkie biegły ku niej, skakały po jej kolanach, otaczały jej szyję drobnymi ramionami; i ogród tętnił wtedy od szalonych zabaw, gonitwy, okrzyków, przy czym wcale nie ona najmniej biegała, nie ona najmniej krzyczała, szczęśliwa, że znów staje się ubogą, nieznaną dziewczynką, jak w dalekich dniach w Bartrès! Opowiadano później, że jakaś matka przyniosła, do klasztoru sparaliżowane dziecko, aby święta dotknęła go i uzdrowiła. Matka płakała tak serdecznie, że przełożona zgodziła się wreszcie na próbę. Ale ponieważ Bernadeta buntowała się i oburzała, gdy domagano się od niej cudów, nie

uprzedzono jej o niczym, przywołano ją tylko, aby zaniósła chore dziecko do infirmerii. Zaniósła je, a gdy postawiła je na ziemi, dziecko było uzdrowione. Ach, ileż razy Bartres i jej swobodne dzieciństwo pasterki owiec, i lata przeżyte wśród wzgórz, wśród wysokich traw i gęstych lasów, musiały stawać jej przed oczyma w godzinach, gdy marzyła, zmęczona modlitwami za grzeszników. Nikt nie mógł wtedy wejrzeć w jej duszę, nikt nie wie, czy mimowolne żale nie krwawiły jej udreżonego serca. Pewnego dnia wyrzekła słowa, które historycy przekazali, aby tym bardziej wzruszającą uczynić jej mękę. Zamknięta w klasztorze daleko od swoich gór, przykuta do łoża boleści, zawołała „Wydaje mi się, że zostałam stworzona, aby żyć, działać, stale być w ruchu, a tymczasem Bóg chce, abym była przykuta do miejsca.” Cóż za odkrywczyste słowa, coś za straszliwe świadectwo, ile w nim bezbrzeżnego smutku! Dlaczego więc Bóg zechciał, aby to urocze stworzenie, tak wdzięczne i wesołe, żyło przykute do miejsca? Czyż nie czułaby go tak samo, gdyby żyła życiem swobodnym, zdrowym, do jakiego się urodziła? Zamiast modlić się za grzeszników, co było jej stałym i próżnym zajęciem, czy nie mogłaby skuteczniej pracować dla szczęścia świata i własnego, gdyby oddała swą cząstkę miłości małżonkowi, który ją czekał, dzieciom, które by z jej ciała się narodziły? Jak powiadają, w pewne wieczory ona, która była tak wesoła, tak czynna, wpadała w ogromne przygnębienie. Stawała się ponura, zamykała się w sobie, jak gdyby unicestwiona przez atak cierpienia. Widocznie kielich stawał się zbyt gorzki, ból „zbyt dojmujący na myśl o stałych wyrzeczeniach jej życia.

Czy w Saint-Gildard Bernadeta często myślała o Lourdes? Co wiedziała o tryumfie Groty, o cudach, które codziennie przetwarzały tę ziemię cudu? Sprawa ta nigdy nie została ostatecznie wyjaśniona. Zabroniono jej towarzyszkom mówić z nią na ów temat, otoczono ją absolutnym, stałym milczeniem. Ona sama wcale nie lubiła do tego wracać, pomijała jakby tajemniczą przeszłość i nie pragnęła, jak się zdawało, poznać teraźniejszości, choćby najbardziej zwycięskiej. Ale czy jej serce, jej wyobraźnia nie wrywały się do zaczarowanego kraju dzieciństwa, gdzie żyli jej bliscy, gdzie zawiązały się wszystkie węzły jej życia, gdzie zostawiła najdziwniejsze marzenia, jakie śnić może ludzka, istota? Na pewno często odbywała w myśli piękną podróż swoich wspomnień i musiała w ogólnych zarysach wiedzieć o wszystkich ważniejszych zdarzeniach w Lourdes. Ale przerażała ją myśl, że miałyby się sama tam wybrać, od tego zawsze się wymawiała wiedząc, że tam nie mogłaby przemknąć się niepostrzeżenie, uniknąć tłumów, których uwielbienie tam na nią czekało. Jaka chwała stałaby się jej udziałem, gdyby tkwiła w niej istota własnowolna, ambitna, władcza! Powróciłaby na święte miejsce swoich wizji, czyniłaby tam cuda, byłaby kapłanką, papieżycą, obdarzona władzą nieomylną i potężną wybranki i przyjaciółki Najświętszej Panny. Ojcowie nigdy naprawdę się tego nie obawiali, mimo to rozkaz brzmiał jasno, aby odciąć ją od świata, a to dla dobra jej duszy. Byli spokojni, znali ją, łagodną i pokorną, jej trwogę, aby nie uchodzić za świętą, jej nieświadomość co do rozmiarów machiny, jaką wprawiała w ruch i której eksploatacja napęłniłaby ją

przerażeniem, gdyby ją zrozumiała. Nie, nie, ten kraj tłumów, przemocy i handlu nie był już jej krajem. Znadto by tam cierpiała, wydziedziczona, zahukana, zawstydzona. A gdy wybierający się do Lourdes pielgrzymi pytali z uśmiechem: „Czy chciałaby siostra pojechać z nami?”, ją przebiegał lekki dreszcz, po czym szybko odpowiada – dała: „Nie, nie, ale jakże pragnęłabym tego, gdybym była małym ptaszkiem!”

Jej marzenia stawały się tym małym, wędrownym ptaszkiem, który nieustannie odbywał pielgrzymkę do Groty. Ona, która nie pojechała do Lourdes ani gdy umarł jej ojciec, ani gdy umarła matka, przebywała tam nieustannie w marzeniach. A przecież kochała swoich bliskich, troszczyła się o zapewnienie pracy rodzinie, która pozostała uboga, zgodziła się zobaczyć ze starszym bratem, który przybył do Nevers, aby się pożalić, i którego pozostawiono u furty klasztoru. Ale ujrzał ją znużoną i zrezygnowaną, nie spytał go nawet o nowe Lourdes, jak gdyby to wzrastające miasto napełniało ją lękiem. W roku koronacji Najświętszej Marii Panny pewien ksiądz, którego prosiła, aby pomodlił się na jej intencję przed Grotą, wrócił i opowiedział jej o niezapomnianym przepychu ceremonii: że sto tysięcy pielgrzymów, trzydziestu pięciu biskupów, całych w złocie, zeszło się w promiennej Bazylice. Bernadeta drżała, przebiegał ją dreszcz pragnienia i niepokoju. I gdy ów ‘ksiądz zawołał: „Ach, gdyby siostra widziała te wspaniałości!”, ona odrzekła: „Mnie było znacznie lepiej tutaj w infirmerii, w moim kąciku.” Ukradziono jej sławę, jej dzieło pyszniło się wśród nieustannego hosanna, ale ona doznawała radości tylko w zapomnieniu, w cieniu klasztoru, gdzie trzymali ją bogaci dzierżawcy Groty. Nie huczne uroczystości były celem jej tajemnych podróży, mały ptaszek jej duszy latał do Lourdes samotnie w dni ciszy, w godzinach spokoju, gdy nikt nie mógł zamącić jej pobożnego skupienia. Wracała, aby uklęknąć przed dawną, prymitywną Grotą zarosłą krzakami głogu, w czasie, gdy strumień Gave nie był jeszcze obmurowany monumentalnym bulwarem. Odwiedzała także o zmierzchu, w pachnącym chłodzie gór, stare miasto, stary kościół malowany i złocony, na wpół hiszpański, gdzie przystąpiła do pierwszej komunii, stary szpital, pełen łagodnego cierpienia, gdzie przez osiem lat przywykała do samotności, całe to ubogie i niewinne stare miasto, gdzie każdy kamień brukowy wskrzeszał w jej pamięci dawne uczucia.

Czy Bernadeta w pielgrzymce marzeń nigdy nie zapuszczała się do Bartres? Można przypuszczać, że czasem, gdy siedziała w fotelu chorej, gdy upuszczała ze zmęczonych rąk pobożną książkę, gdy przymykała powieki, zjawiało się Bartrès i rozjaśniało noc jej oczu. Starożytny romański kościółek, z nawą w kolorze nieba, z krwawiącymi obrazami, stał tam wśród grobów małego cmentarza. Potem widziała się w domu rodziny Lagèües, w dużej izbie po lewej stronie, gdzie był kominek i gdzie w zimie opowiadano tak piękne historie, a wielki zegar poważnie wybijał godziny... Wreszcie rozciągał się przed nią cały krajobraz, bezkresne łąki, olbrzymie kasztanowce, pod którymi można było zniknąć, odludne wyżyny, skąd otwierał się widok na dalekie góry, Pic du Midi, Pic de Viscos, lekkie i różowe jak sen, ulatujące prosto do

raju legend. A potem, potem widziała swoje swobodne dzieciństwo, biegła, gdzie oczy poniosą, w pola, przeżywała trzynaście lat samotnych i rozmarzonych, obnosiła wśród wielkich obszarów natury swoją radość życia. I w takiej godzinie może widziała się znowu biegnącą wzdłuż strumieni, poprzez krzaki głogu, w wysokiej trawie, w gorącym czerwcowym słońcu. A może widziała się dorosłą przy młodym narzeczonym, którego kochałaby z całą prostotą i czułością swego serca? Ach, stać się znowu młodą, być jeszcze wolną, nieznaną i znowu kochać, kochać inaczej! Przesuwała się mglista wizja, mąż, który by ją uwielbiał, dzieci, które tuliłyby się do niej, zwykłe życie, radości i smutki, jakich zakosztowali jej rodzice i jakich winny by zakosztować z kolei jej dzieci. I wszystko powoli się zacierało, znowu siedziała w swoim fotelu boleści, zamknięta w czterech zimnych ścianach, pragnąc gorąco jednego tylko: rychłej śmierci, gdyż nie było dla niej miejsca w ubogim zwykłym szczęściu na tej ziemi.

Choroby Bernadety gnębiły ją z każdym rokiem więcej. A wreszcie zaczęło się męczeństwo, męka nowego Mesjaszadziecięcia, który przybył, aby ulżyć nieszczęśliwym, aby głosić ludziom boską religię sprawiedliwości, równości wobec cudów, na przekór obojętnej przyrodzie. Wstawała już po to tylko, aby przez parę dni snuć się od krzesła do krzesła; potem stan jej się pogarszał i zmuszona była znów kłaść się do łóżka. Cierpienia jej stały się straszne. Wrodzona nerwowość, astma, która zaostrzyła się w klasztorze, przerodziła się w suchoty. Kaszlała okropnie, po ataku kaszlu, który rozdzierał jej płonąca pierś, leżała na wpół martwa. Na domiar nędzy wywiązała się próch – nica kości w prawym kolanie, połączona z tak rwącym bólem, ię krzyczała. Biedne jej ciało, stale w bandażach, wyglądało wreszcie jak jedna żywa rana, nieustannie drażniona ciepłem pościeli, ciągłym przebywaniem wśród prześcieradeł, których tarcie zniszczyły jej wreszcie skórę. Wszyscy jej współczuli, świadkowie jej męczeństwa mówili, że niepodobna cierpieć więcej i piękniej. Próbowwała wody z Lourdes, ale nie doznała żadnej ulgi. O Boże, władco wszechpotężny, dlaczego uzdrowiłeś innych, a ją nie? Aby zbawić jej duszę? A zatem nie zbawiłeś dusz tamtych innych? Cóż za niepojęty wybór, jakaż niedorzeczna potrzeba torturowania tej biednej istoty wobec wieczystej ewolucji światów! Bernadeta płakała; aby podnieść się na duchu powtarzała: „Niebo jest na końcu, ale koniec jest daleko.” Zawsze wierzone, że cierpienie jest próbą, którą trzeba przejść na ziemi, aby zatryumfować w niebie, że ból jest konieczny, pożądany i błogosławiony. Czy to nie bluźnierstwo, o Panie, czyś nie ty dał młodość i szczęście? Chcesz więc, aby stworzenia twoje nie radowały się ani twoim słońcem, ani twoją przyrodą ustrojoną na święto, ani uczuciami ludzkimi, którym kazałeś kwitnąć w ich ciałach? Bała się ducha buntu, który czasem ją opanowywał, chciała znieczulić się na chorobę, która wydzieraa jej okrzyki bólu, i w myśli krzyżowała się, wyciągała ramiona, aby zjednoczyć się z Chrystusem, ręce przy rękach, usta przy ustach, ociekająca krwią jak Dn, jak On napojona żółcią. Jezus umarł po trzech godzinach, ją czekało jeszcze dłuższe konanie, ją, która miała odnowić odkupienie przez mękę i także umrzeć, aby dać życie innym. Gdy kości jej trzeszczały

z lęku, często skarżyła się, a zaraz potem wyrzucała to sobie: „Ach, jakże cierpię, jak cierpię, ale jestem tak szczęśliwa, że cierpię!” Trudno o straszliwsze słowa, o czarniejszy pesymizm. Szczęśliwa, że cierpi, dlaczego, w jakim nieznanym, bezrozumnym celu? Po co to bezużyteczne okrucieństwo, ta oburzająca gloryfikacja cierpienia, gdy cała ludzkość tchnie jednym tylko szaleńczym pragnieniem: zdrowia i szczęścia?

Wśród okropnych mąk siostra Maria Bernarda złożyła wieczyste śluby 22 września 1878 roku. Upłynęło dwadzieścia lat od czasu, kiedy objawiła jej się Najświętsza Panna, nawiedzając ją, jak anioł nawiedził ją samą, wybierając ją, jak sama została wybrana, wśród najpokorniejszych i najczystszych, aby w niej ukryć tajemnicę Jezusa Króla. Takie było mistyczne wyjaśnienie wyboru cierpienia, sens życia tej istoty tak brutalnie odgradzonej od innych, przytłoczonej nieszczęściami, która stała się żalonym polem wszystkich ludzkich utrapień. Była zamkniętym ogrodem, który spodobał się wejrzeniu oblubieńca; wybrał ją, a potem pogrzebał w śmierci życia ukrytego. Toteż gdy nieszczęsna ugięła się pod ciężarem krzyża, towarzyszki jej mówiły: „Czyż już Zapomniała? Najświętsza Panna przyrzekła ci, że będziesz szczęśliwa nie na tym, lecz na tamym świecie!” Bernadeta ożywała się i mówiła, stukając się w czoło: „Zapomniałam? Nie, nie, to jest tutaj.” Odnajdywała siły tylko w tym złudnym marzeniu o chwalebny raj, gdzie miała wejść w otoczeniu serafinów, na wieki błogosławiona. Trzy osobiste tajemnice, jakie zawierzyła jej Najświętsza Panna, aby uzbroić ją przeciwko złu, były zapewne obietnicami piękności, szczęścia, nieśmiertelności w niebie. Cóż za potworne oszustwo, jeżeli poza grobem była tylko ziemską noc, jeżeli Najświętsza Panna z jej marzeń nie stawiała się na spotkanie, nie ziściła cudownych, przyobiecanych nagród! Ale Bernadeta nie żywiła żadnych podejrzeń, przyjmowała chętnie wszelkie drobne zlecenia, jakie jej towarzyszki w swej naiwności dawały jej do nieba: „Siostrze Mario Bernardo, powiedz Panu Bogu to... powiedz mu tamto... Siostrze Mario Bernardo, ucałuj mego brata, jeżeli spotkasz go w niebie... Siostrze Mario Bernardo, zachowaj trochę miejsca koło siebie, gdy umrę.” Ona cierpliwie odpowiadała każdej: „Nie bójcie się, zlecenia zawsze zostaną wypełnione.” Ach, wszechmocna złuda, urocze ukojenie, wciąż odradzająca się pocieszycielska moc!

Była to już agonia, była to śmierć. W piątek 28 marca 1879 roku myślano, że już nie przeżyje nocy. Trawiła ją rozpaczliwa tęsknota do grobu, aby już nie cierpieć, aby zmartwychwstać w niebie. Toteż stanowczo nie chciała przyjąć ostatniego namaszczenia mówiąc, że już dwukrotnie ostatnie namaszczenie uzdrowiło ją. Chciała, aby Bóg wreszcie pozwolił jej umrzeć, już jej było tego za wiele. Bóg nie byłby mądrością, gdyby żądał od niej jeszcze więcej cierpienia. Zgodziła się jednak, aby przygotowano ją na śmierć, i agonia przedłużyła się o jeszcze trzy tygodnie. Obecny przy niej ksiądz powtarzał jej często: „Córko, trzeba, abyś uczyniła ofiarę z życia.” Pewnego dnia, zniecierpliwiona, odrzekła mu z żywością: „Ależ, ojcze, to nie jest ofiara.” I to były słowa straszne, ogromne zniechęcenie, wściekła pogarda życia, natychmiastowy

kres ludzkości, gdyby miała ona moc unicestwienia się jednym gestem. Prawda, że biedna dziewczyna nie miała czego żałować, kazano jej pomieścić wszystko poza życiem: zdrowie, radość, miłość, miała je porzucić niby kawał postrzępionego płótna, wytartego i brudnego. I słusznie potępiała swoje życie bezużyteczne, życie okrutne, mówiąc: „Męka moja skończy się dopiero ze śmiercią i trwać będzie aż do chwili, gdy wstąpię w wieczność.” I ta myśl o męce prześladowała ją, łączyła ją jeszcze ściślej na krzyżu z boskim Mistrzem. Kazała sobie przynieść wielki krucyfiks; przyciskała go namiętnie do smutnej, dziewiczej piersi, wołając, że chciałaby wbić go sobie w szyję, aby tak pozostał. Pod koniec, gdy siły ją opuszczały, nie mogła już utrzymać go w drżących rękach. „Niech mi go przywiążą, niech mocno ścisną, abym go czuła aż do ostatniego tchu!” Był to jedyny oblubieniec, jakiego miała poznać jej dziewiczość, jedyny krwawy pocałunek dany jej bezpłodnemu macierzyństwu, wypaczonemu i wykolejonemu. Zakonnice wzięły sznurki, przeciągnęły pod jej obolałe lędźwie, okręciły nimi nieszczęsne, bezpłodne łono, przytoczyły krucyfiks do piersi tak mocno, aż do niej przylgnął.

Wreszcie śmierć się zlitowała. W Wielki Poniedziałek opanowały ją silne dreszcze. Nawiedziły ją majaki, drżała ze strachu, widziała złego ducha, który szydząc krążył dokoła niej. „Odejdź, odejdź, szatanie! Nie dotykaj mnie, nie zabieraj!” Opowiedziała potem w malignie, że szatan chciał się na nią rzucić, że czuła, jak jego usta ziały na nią wszystkimi płomieniami piekieł. Dia’beł w życiu tak czystym, w tej bezgrzesznej duszy, o Panie, jeszcze i ten cios; po co ta męczarnia bezlitosna, rozpaczliwa aż do końca, dlaczego taki koszmar kres, śmierć zmacona przeraźliwą zjawą, po życiu tak pięknym, czystym i niewinnym! Czyż nie mogła zasnąć pogodna w spokoju swej czystej duszy? Widocznie, dopóki oddychała, trzeba jej było zostawić nienawiść i lęk przed życiem, które jest diabłem. Życie bowiem zagrażało jej, życie odpędzała od siebie, tak jak wprzód wyparła się go oddając niebiańskiemu oblubieńcowi swą udręczoną dziewiczość przybitą do krzyża. Dogmat Niepokalanego Poczęcia, utwierdzony jej wizjami chorego dziewczątka, policzkował kobietę, żonę i matkę. Ogłosić, że kobieta tylko wówczas godna jest kultu, gdy jest dziewicą, wymyślić taką, która zostając matką pozostała dziewicą, która sama narodziła się bez zrazy, czyż nie znaczyło to wyszydzić naturę, potępić życie, zaprzeczyć się – kobiety, na przewrotność skazać tę, która wielka staje się tylko wtedy, gdy jest zapłodniona, gdy utrwała życie? „Odejdź, odejdź, szatanie, daj mi umrzeć bezpłodną.” I wypędzała z sali słońce, wypędzała powietrze wciskające się przez okno, powietrze nasycone wonią kwiatów, ciężkie od lotnych zarodków, które roznosiły miłość po całym ogromnym świecie.

W Wielką Środę, 16 kwietnia, zaczęła się ostateczna agonia. Mówią, że rankiem tego dnia jedna z towarzyszek Bernadety, zakonnica śmiertelnie chora, leżąca w infirmerii na sąsiednim łóżku, została nagle uzdrowiona po wypiciu szklanki wody z Lourdes. Ale ona, uprzywilejowana, wypijała ją na próżno. Bóg udzielił jej wreszcie wielkiej łaski spełnienia jej pragnień, usypiając ją dobrym ziemskim snem, w którym nie czuje się cierpienie. Prosiła wszystkich o przebaczenie.

Męka jej była wypełniona, miała, jak Zbawiciel, gwoździe i cierniową koronę, wychłostane ciało, zraniony bok. Jak On, wzniosła oczy ku niebu, rozkrzyżowała ramiona, głośno wołając: „Boże mój!” I jak On, około godziny trzeciej powiedziała: „Pragnę.” Umoczyła usta w podanej jej szklance wody, zwiesiła głowę, skonała.

Tak umarła chwalebna i święta, jasnowidząca z Lourdes, Bernadeta Soubirous, siostra Maria Bernarda ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia z Nevers. Ciało jej zostało wystawione na – widok publiczny i przez trzy dni defilowały przed nim tłumy, zbiegł się cały lud, nieprzerwana procesja ludzi pobożnych, spragnionych nadziei, którzy pocierali o habit zmarłej medaliki, różańce, obrazki i książeczki do nabożeństwa, aby wymusić na niej jeszcze jedną łaskę, jeszcze jeden fetysz przynoszący szczęście. Nawet w śmierci nie chcieli jej pozostawić w wymarzonej samotności, tłum nieszczęsnych świata tego cisnął się i poił złudzeniami dokoła trumny. I zauważono, że jej lewe oko pozostało uparcie otwarte, oko, które podczas objawień znajdowało się bliżej Najświętszej Panny. I jeszcze ostatni cud zdumiał cały klasztor: ciało nie psuło się, pochowano ją na trzeci dzień, giętką, ciepłą, z różowymi ustami, z bardzo bladą twarzą, z ciałem jak gdyby odmłodzonym, tchnącym miłą wonią. Dziś Bernadeta Soubirous, wielka wygnanka z Lourdes, z dala od Groty promiennej w swoim tryumfie, śpi w ukryciu ostatnim snem w Saint-Gildard, pod płytą małej kapliczki, w cieniu i milczeniu starych drzew ogrodu.

Piotr przerwał opowiadanie, piękna bajka skończyła się. Wszyscy w wagonie słuchali go jeszcze, głęboko przejęci zakończeniem tak tragicznym i wzruszającym. Gorące łzy płynęły z oczu Marii, a inne pątniczki, Eliza Rouquet, a nawet Grivotte, trochę spokojniejsza, składały ręce i prosiły tę, która już była u Boga, aby wyjednała im szczęśliwy koniec cudownej kuracji. Pan Sabatier nakreślił wielki znak krzyża, a potem zjadł ciastko, które żona kupiła mu w Poitiers. Pan de Guersaint, który nie lubił rzeczy smutnych, usnął był w połowie opowiadania. I tylko pani Vincent, z twarzą ukrytą w poduszce, nie ruszyła się, głucha i ślepa, nie chcąc nic widzieć, nie słyszeć.

A pociąg wciąż jechał, jechał. Pani de Jonquièrre, wychyliwszy głowę przez okno, oznajmiła, że dojeżdżają do Étampes. Gdy przejechali tę stację, siostra Hiacynta dała znak i odmówiono trzecią część różańca, pięć tajemnic chwalebnych: Zmartwychwstanie, Wniebowstąpienie, Zesłanie Ducha Świętego, Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny, Ukoronowanie Najświętszej Marii Panny. Następnie odśpiewano pieśń: *Ufność swoją, o Matko, kładą w Twoje ręce...*

Piotr zamyślił się głęboko. Wzrok jego pobiegł ku słonecznemu teraz krajobrazowi, którego ciągle umykanie zdawało się kołysać jego myśli. Stukot kół oszołamiał go, tak że nie bardzo orientował się wśród dobrze mu kiedyś znanych horyzontów tej rozległej podmiejskiej okolicy. Jeszcze Brétigny, jeszcze Juvisy i w końcu, za jakie półtorej godziny, Paryż. A zatem kończyła się wielka podróż. Przeprowadził więc tak upragnione badania, dociekania, w które włożył tyle

namiętnego zapachu. Chciał zdobyć pewność, przestudiować na miejscu przypadek Bernadety, spróbować, czy łaska, nagła jak piorun, nie przywróci mu wiary. Teraz wiedział na pewno, że Bernadeta snuła swoje marzenia nieustannie nękana cierpieniami ciała i że on sam nigdy już wiary nie odzyska. Narzucał się fakt niezbity: naiwna wiara dziecka, które klęka i modli się, prymitywna wiara młodych ludów – uginających się pod świętą grozą własnej ignorancji – umarła na zawsze. Na próżno tysiące pielgrzymów udają się corocznie do Lourdes, ludy nie są już z nimi, próba wskrzeszenia pełnej wiary, wiary wieków umarłych” wiary bez buntu i badania, musi zakończyć się klęską. Historia nie może się cofnąć. Ludzkość nie powróci do wieku dzieciństwa, czasy zbyt się zmieniły, zbyt wiele nowych wichrów zasiało nowe ziarna, aby dzisiejsi ludzie mogli stać się podobni dawnym. Lourdes było niewątpliwie tylko zjawiskiem dającym się wyjaśnić, a gwałtowność wywołanej przez to zjawisko reakcji stanowiła jeden dowód więcej, że wiara, pod starą formą katolicyzmu, szamocze się w ostatecznej agonii. Nigdy już cały naród nie padnie na twarz, jak czyniły dawne ludy w katedrach XII wieku, podobne do uległego stada pod ręką Pana. Upierać się przy tym ślepo znaczyłoby rozbić się o niemożliwość i może wyzywać wielkie klęski moralne.

Z wielkiej podróży została Piotrowi już tylko ogromna litość. Serce jego było przepełnione współczuciem; to biedne serce wracało udręczone. Pamiętał słowa zacnego księdza Judaine; widział te tysiące nieszczęsnych, jak modliły się, łkały, błagały Boga, aby ulitował się nad ich męką; on, Piotr, płakał z nimi, zachował w sobie niby nie zasklepioną ranę, żalosne poczucie braterstwa wobec ich wielkich nieszczęść. Toteż nie mógł myśleć o tych biednych ludziach, aby nie płonać chęcią niesienia im ulgi. Czy wobec tego, że wiara prostaczków nie wystarczała już i że zawrócenie wstecz groziło zabłąkaniem się, należało zamknąć Grotę, głosić inne trudy, inną cierpliwość? Współczucie, jakie żywił dla ludzi, buntowało się przeciw tej myśli. Nie, nie, zbrodnią byłoby zamknąć sen o Niebie przed cierpiącymi na duszy i na ciele, dla których jedynym ukojeniem było klęknąć tam we wspaniałym blasku świec, w usypiającej obsesji nabożnych śpiewów! On sam nie dokonał zbrodni wyprowadzenia Marii z błędu, poświęcił siebie, aby jej zostawić radość ułudy, boską podporę, przekonanie, że uzdrowiła ją Najświętsza Panna. Czy znalazłby się człowiek tak twardy, mający w sobie tyle okrucieństwa, aby wzbronić maluczkim tej wiary, aby zabić po – ciechę, jaką czerpali z rzeczy nadprzyrodzonych, nadzieję, że Bóg wejrzy na nich, że przygotuje im lepszy żywot w swoim raju? Cała ludzkość płakała w przerażeniu, podobna do istoty chorej, skazanej, którą tylko cud mógł ocalić. Pojmował, jak jest nieszczęśliwa, drżał od braterskiej miłości w obliczu tego żalosego chrystianizmu, tej pokory, ciemnoty, biedy w łachmanach, tej choroby z cuchnącymi ranami, w obliczu tego ubogiego ludu cierpiącego w szpitalu, w klasztorze, w nędznych norach, drżał na widok robactwa, brudu, brzydoty, tępych twarzy, tego wielkiego zaprzeczenia zdrowia, życia, natury w imię zwycięskiej sprawiedliwości, równości i dobroci. Nie, nie, nie wolno nikogo przywozić

do rozpacz, trzeba tolerować Lourdes, jak toleruje się kłamstwo, które pomaga żyć. I jak powiedział w izbie Bernadety, ona pozostawała męczennicą, ona objawiała mu jedyną religię, która ostała się jeszcze w jego sercu, religię ludzkiego cierpienia. Ach, być dobrym, opatrywać wszelkie rany, koić ból marzeniem, a nawet kłamać, byle już nikt nie cierpiał!

W pędzie mijali jakąś wieś; Piotr przelotnie dostrzegł kościół wśród wysokich jabłoni. Wszyscy pielgrzymi w wagonis przeżegnali się. Ale jego nawiedził teraz niepokój, skrupuły przepoiły trwogą jego rozmyślania. Czy ta religia ludzkiego cierpienia, to odkupienie przez ból nie było również przynętą, ciągłym pogłębianiem bólu i nędzy? Tchórzliwie i niebezpiecznie jest godzić się na istnienie przesądu. Tolerować go, akceptować znaczyłoby wiecznie zaczynać złe wieki ludzkości. Przesąd osłabia, i ogłupia, pobożne błędy, przekazane prawem dziedziczności, wydają pokolenia ludzkie pokorne i trwożliwe, ludy zdegenerowane i uległe, łatwy łup dla możnych tego świata. Łatwo ludy wykorzystywać, okradać je i pożerać, gdy one cały wysiłek wkładają w zapewnienie sobie przyszłego życia. Czy wobec tego nie lepiej byłoby poddać ludzkość śmiałej radykalnej operacji, zamykając cudowne Groty, gdzie chodzi ona płakać, i w ten sposób natchnąć ją odwagą, aby żyła tym, co realne, choćby we łzach? Było tak, jak gdyby modlitwa, fala nieprzerwanych modlitw, która wzbierała w Lourdes, jak gdyby te nie kończące się błagania skąpały go i roztkliwiły; a przecież było to tylko dziecinne kołysanie, zwyrodnienie wszelkiej energii. Zasypiała od tego wola, człowiek rozkładał się, nabierał niechęci do życia, do działania. Po co chcieć, po co działać, skoro zdajemy się w zupełności na kaprys nieznaney wszechmocy? A jednocześnie, jakie dziwne jest to szalone pożądanie cudów, ta potrzeba zmuszania Boga, aby gwałcił prawa naturalne, które sam w swej bezgranicznej mądrości ustanowił! Tutaj tkwi oczywiste niebezpieczeństwo i bezsens, bo w człowieku, a przede wszystkim w dziecku należy rozwijać nawyk indywidualnego wysiłku i odwagę prawdy, choćby miało to pociągnąć za sobą utratę iluzji, tej boskiej pocieszycielki.

I wtedy rozbłysła wielka jasność i olśniła Piotra. On kierował się rozumem, protestował przeciwko gloryfikacji absurdu i potępieniu rozsądku. Ach, rozum! Cierpiał przezeń tyle i przezeń był szczęśliwy. Jak powiedział doktorowi Chassaigne, jednego tylko pragnął: aby zadowalać go coraz bardziej, choćby działa się to kosztem szczęścia. Jasno teraz pojmował, że to stały bunt rozumu – w Grocie, w Bazylice, w całym Lourdes – przeszkadzał mu wierzyć. Nie zdołał go zabić, upokorzyć i unicestwić, jak to uczynił jego sędziwy przyjaciel, wielki i zdruzgotany w swej bolesnej starości, który po klęsce serca stał się znowu dzieckiem. Rozum był jego wszechwładnym panem, on go podtrzymywał nawet wśród ciemności i klęsk wiedzy. Gdy nie mógł sobie czegoś wyjaśnić, on mu szeptał: „Na pewno istnieje jakieś naturalne wyjaśnienie, którego na razie nie dostrzegam.” Powtarzał sobie, że nie istnieje zdrowy ideał poza dążeniem ku nieznanemu, aby je poznać, poza zwycięstwem rozumu, wbrew nędzom ciała i umysłu ludzkiego. On, Piotr, jako kapłan, zdolny był zmarnować życie, aby dotrzymać

przysięgi w walce swego dwojakiego dziedzictwa, po ojcu, który cały był rozumem, i po matce, która cała była wiarą. Znalazł siłę, aby ujarzmić ciało, wyrzec się kobiety, ale wiedział, że ojciec odniesie w nim zdecydowane zwycięstwo, gdyż ofiara z rozumu stawała się dla niego odtąd niemożliwa. Jego się nie wyrzeknie; jego nie ujarzmi. Nie, Nie! Nawet ludzkie cierpienie, święte cierpienie ubogich, nie może stanowić zapory, zmusić go do zgody na ciemnotę i szaleństwo. Rozum przede wszystkim, tylko w nim jest zbawienie. Gdy z oczyma pełnymi łez, przytłoczony tylu nieszczęściami, powiedział sobie w Lourdes, że wystarczy płakać i kochać, popełnił niebezpieczny błąd. Litość była tylko dogodnym wybiegiem. Trzeba żyć, trzeba działać, trzeba, aby rozum pokonał cierpienie, jeśli nie chcemy, aby ono zapanowało na wieki.

Pośród szybko umykającego krajobrazu znowu ukazał się kościół, tym razem na skraju widnokregu, na wzgórku, zapewne jakaś wotywna kaplica, uwieńczona wysoką figurą Matki Boskiej. I znowu wszyscy pielgrzymi przeżegnali się. Myśl Piotra zabłąkała się raz jeszcze, nową falą refleksji obudziła w nim trwogę. Czym jest ta przemożna potrzeba czegoś poza światem, dręcząca nieszczęśliwą ludzkość? Skąd się bierze? Dlaczego ludzie pragną równości, sprawiedliwości, skoro nie istnieją one, jak się wydaje, w obojętnej naturze? Człowiek pomieścił je w tajemnicy nieznanego, w nadzmysłowym raju stworzonym przez religię i tam zaspokajał trawiące go pragnienie. Zawsze płonał i będzie płonąć nienasyconym pragnieniem szczęścia. Ojcowie z Groty dlatego robili tak doskonale interesy, że sprzedawali rzeczy boskie. To pragnienie rzeczy boskich, którego nic nie zdołało ugasić na przestrzeni wieków, zdaje się odradzać ze świeżą gwałtownością pod koniec naszego stulecia nauki. Lourdes stanowiło jaskrawy, niezaprzeczony przykład, iż nigdy może człowiek nie potrafi wyrzec się marzeń o Bogu najwyższym, który przywraca równość i szczęście za pomocą nagłych cudów. Gdy człowiek osiągnął dna nieszczęść, wraca do boskiej iluzji: i tutaj tkwi początek wszelkich religii; człowiek słaby i nagi nie ma siły przeżyć swej ziemskiej nędzy bez wiecznego kłamstwa o istnieniu raju. Dziś się to potwierdziło; myśleliśmy, że tylko wiedza może zadowolić człowieka, i oto zmuszeni jesteśmy zostawić drzwi otwarte dla tajemnicy.

Nagle jedno słowo zadźwięczało w umyśle głęboko zadumanego Piotra. Nowa religia. Te drzwi, które trzeba było zostawić otwarte dla tajemnicy, to była właśnie nowa religia. Odrzeć brutalnie ludzkość z jej marzenia, siłą odebrać jej cudowność, 'której potrzebuje do życia tak samo jak chleba, to równało się może zabiciu jej. Czy znalazłaby jeszcze filozoficzną odwagę do życia takiego, jakim ono jest, czy umiałyby je przeżyć dla niego samego, bez myśli o przyszłych karach i nagrodach? Zdawało się, że miną wieki, zanim dość rozumne społeczeństwo potrafi żyć uczciwie, bez policyjnego dozoru jakiegokolwiek kultu, bez pocieszania się nadludzką równością i sprawiedliwością. Tak, nowa religia, wybuchało to, tętniło w nim jak krzyk samych ludów, zachłanne i rozpaczliwe pragnienie duszy nowoczesnego człowieka. Pociecha, nadzieja, jaką katolicyzm przyniósł światu, zdawała się wyczerpana po osiemnastu stuleciach dziejów, po tylu

łzach, wylanej krwi, po tylu bezowocnych i barbarzyńskich wstrząsach. Była to iluzja zamierająca, trzeba było przynajmniej zmienić iluzję. Jeżeli ludzie niegdyś rzucili się ku chrześcijańskiemu rajowi, działo się tak dlatego, że otworzył się on wówczas. jak młoda nadzieja. Nowa religia, nowa nadzieja, nowy raj,

o tak, świat pragnie tego w swoim obecnym przygnębieniu!

I ojciec Fourcade dobrze to rozumiał, to właśnie miał na myśli, gdy niepokoił się i błagał, aby do Lourdes sprowadzono lud z wielkich miast, szerokie masy biednych ludzi tworzące naród. Sto tysięcy, dwieście tysięcy pielgrzymów rocznie w Lourdes to było zaledwie ziarno piasku. Ale lud opuścił kościoły, na zawsze, nie wkłada duszy nawet w Najświętsze Panny, które fabrykuje; odtąd nic już nie zdoła powrócić mu utraconej wiary. Demokracja katolicka – ach, historia by się powtórzyła! Ale czy możliwe było stworzenie nowego ludu chrześcijańskiego? I czy nie byłoby konieczne przyjście nowego Zbawiciela, cudowne technienie nowego Mesjasza? Brzmiało to ciągle, rosło jak głos dzwonu w rozmyślaniach Piotra. Nowa religia! Nowa religia! Na pewno powinna być bliższa życiu, przyznać ziemi większą część, przystosować się do zdobytych prawd. A przede wszystkim niech nie budzi pożądania śmierci. Bernadeta żyła tylko po to, aby umrzeć, doktor Chassaigne wzdychał do grobu jak do jedyne go szczęścia – cała ta spirytualistyczna rezygnacja była stałym niszczeniem woli życia. U kresu była nienawiść życia, wstręt do działania. i jego paraliż. Każda religia, co prawda, jest tylko obietnicą nieśmiertelności, upiększeniem tego, co jest za grobem, jest zaczarowanym ogrodem jutra śmierci. Czy nowa religia mogłaby kiedyś umieścić na ziemi ów ogród wiecznego szczęścia? Gdzie więc szukać formuły dogmatu, który ziściłby nadzieje człowieka dzisiejszego? Jakie wierzenia zasiać, aby doczekać się plonów siły i pokoju? Jak zapłodnić powszechne zwątpienie, aby zrodziło nową wiarę, i jaki rodzaj iluzji, jakie boskie kłamstwo mogłoby zakiełkować jeszcze we współczesnej glebie, zewsząd pustoszonej i dręczonej przez wiek nauki?

W tej chwili bez widocznego przejścia, na zmańczonym tle swoich myśli Piotr zobaczył twarz starszego brata, Wilhelma. Nie zdziwiło to Piotra; jakiś ukryty węzeł musiał tu istnieć. Jak oni się kiedyś kochali i jaki dobry był ten starszy brat, taki prawy i łagodny! Potem nastąpiło zupełne zerwanie, nie widywał Wilhelma, odkąd zagłębił się w studiach chemicznych i mieszkał jak odludek, w małym domku na przedmieściu, z kochanką i dwoma dużymi psami. Następnie marzenia Piotra znowu zmieniły bieg, pomyślał o procesie, w którym padło nazwisko Wilhelma, podejrzanego, że miał kompromitujące znajomości wśród najzaciętszych rewolucjonistów. Opowiadano, że w wyniku długich badań wynalazł formułę straszliwego materiału wybuchowego, którego jeden funt wystarczyłby na wysadzenie w powietrze katedry. I teraz Piotr myślał o tych anarchistach, którzy chcieli odrodzić i zbawić świat niszcząc go. Byli to marzyciele, okrutni, ale tacy sami marzyciele jak nieszkodliwi pielgrzymi, których ekstatyczne stado widział kłęczące przed Grotą. Jak anarchiści, jak skrajni socjaliści żądali równości

w bogactwie, równego podziału dóbr tego świata, tak pielgrzymi błagali ze łzami o równość w zdrowiu, o sprawiedliwy podział spokoju moralnego i fizycznego. Jedni liczyli na cud, drudzy uciekali się do przemocy. W gruncie rzeczy był to ten sam rozpaczliwy sen o braterstwie i sprawiedliwości, wieczne pragnienie szczęścia, pragnienie, aby nie było już biednych i chorych, aby wszyscy byli szczęśliwi. Czyż w dawnych czasach pierwsi chrześcijanie nie byli groźnymi rewolucjonistami dla świata pogańskiego, któremu zagrażali i który istotnie zburzyli? Oni, których prześladowano, których próbowano wytepić, są dzisiaj nieszkodliwi, ponieważ stali się przeszłością. Groźną przyszłością jest zawsze człowiek, który marzy o przyszłym społeczeństwie; dziś jest nim fanatyk odrodzenia społecznego, który śni wielki czarny sen o oczyszczeniu wszystkiego w ogniu pożarów. To było potworne. Ale kto wie? Może stamtąd wyłoni się odmłodzony świat jutra?

Piotr, zagubiony, niepewny, w, swym wstręcie do przemocy, opowiadał się po stronie starego, broniącego się społeczeństwa, nie umiejąc powiedzieć, skąd przyjdzie łagodny Mesjasz, które – go ręką pragnąłby powierzyć biedną, chorą ludzkość, Nowa religia, tak! Nowa religia! Ale niełatwo ją wymyślić, nie wiedział, jak przejść od dawnej wiary, która była martwa, do młodej wiary jutra, mającej się dopiero narodzić. On, w rozpacz, pewien był tylko jednego: że dotrzyma przysięgi, że ksiądz bez wiary, czuwający nad wiarą innych, będzie w czystości, uczciwie pełnił swe zadanie, w dumnym smutku, że nie umiał się wyrzec swego rozumu, jak wyrzekł się był ciała. I będzie czekał.

Pociąg jechał wśród rozległych parków, lokomotywa przeciągle wygwizdała całą fanfarę radości, co przerwało tok rozmyślań Piotra. Dokoła niego wagon ożywał się, poruszał, Minęli Właśnie Juvisy, wreszcie zbliżał się Paryż, będą tam już za pół godziny. Każdy porządkował swoje rzeczy, państwo Sabatier pakowali z powrotem drobne zawiniątka, Eliza Rouquet rzuciła ostatnie spojrzenie w lusterko. Pani de Jonquère zaniepokoiła się zdrowiem Grivotte i zdecydowała, że wobec tak żalnego stanu każe ją odwieźć prosto do szpitala; Maria na próżno usiłowała wyrwać panią Vincent z jej odrętwienia. Trzeba było budzić pana de Guersaint, który uciał sobie znowu miłą drzemkę. Gdy siostra Hiacynta zaklaskała w ręce, wszyscy w wagonie zaintonowali *Te Deum*, hymn dziękczynny: *Te Deum laudamus, te Dominum confitemur...* Głosy płynęły w ostatnim uniesieniu, wszystkie te żarliwe dusze składały dzięki Bogu za wspaniałą podróż, za cudowne łaski, jakimi je obsypał, a także za te, jakimi jeszcze zechce je obdarzyć.

Fortyfikacje. Na ogromnym czystym niebie, gorącym i pogodnym, słońce godziny drugiej powoli już schodziło. Ponad ogromnym Paryżem wznosiły się w lekkich obłokach dalekie, rudawe dymy, rozproszony lotny oddech pracującego olbrzyma. Był to Paryż w swej kuźni, Paryż ze swoimi namiętnościami, walkami, z wciąż pomrukującą burzą, ze swoim życiem nieustannie rodzącym życie jutra. Biały pociąg, żalony pociąg wszelkiej nędzy i cierpienia, wjeżdżał tam w pędzie, głośniejszy wygrywając przeraźliwą fanfarę na gwizdkach. Pięciuset

pielgrzymów, trzystu chorych miało się tam zagubić i wrócić na twarde bruk swego bytowania, obudzić się z cudownego marzenia, jakie dotąd snuli, aż do dnia, gdy pocieszycielskie pragnienie nowego marze – nia zmusi ich, aby na nowo podjęli wieczystą pielgrzymką ku tajemnicy i zapomnieniu.

Ach, smutni ludzie, biedna, chora, spragniona iluzji ludzkość, która w zmęczeniu kończącego się stulecia, zagubiona i udręczona nadmiarem zbyt żarłocznie nabytej wiedzy, uważa, że opuścili ją lekarze ciała i duszy, że grozi jej wielka, nieuleczalna choroba, więc zawraca wstecz i oczekuje cudu swego uzdrowienia w mistycznym Lourdes, należącym do bezpowrotnie umarłej przeszłości! Bernadeta, nowy Mesjasz cierpienia, tak wzruszająca w swej ludzkiej realności, stanowi straszliwą naukę: odsunięta od świata, skazana na opuszczenie, samotność i śmierć ofiara, poniosła klęskę, utraciła godność kobiety, nie była ani żoną, ani matką, gdyż ukazała się jej Najświętsza Panna.